

Wodny labirynt

Frattini Eric



calibre 0.9.27

WODNY

LABIRYNT

Hugonowi, dla mnie najcenniejszemu,

za to, że każdego dnia swego życia

obdarza mnie miłością i radością. Jak również za to, że poprawiał mój fatalny włoski.

Silvii, za miłość i spokój,

który mi daje, i za bezwarunkowe wsparcie.

Bez niej nie mógłbym pisać.

Gdyby nie nauczono nas, jak interpretować

dzieje Pasji, czy potrafilibyśmy powiedzieć na podstawie uczynków jedynie, który z dwóch kochał Chrystusa - zazdrosny Judasz czy tchórzliwy Piotr?

Graham Greene, „Koniec romansu”

przeł. Jan Józef Szczepański

PODZIĘKOWANIA

Dla Miguela Angela Linaresa - za przeczytanie pierwszej wersji, ponieważ jako doświadczony czytelnik wniósł cenne uwagi.

Dla Jose Antonia Caballera Lopeza z Wydziału Filologii Iberyjskiej i Filologii Klasycznej na Uniwersytecie w La Rioja

- za konsultacje w sprawie łacińskich sentencji wypowiedzianych przez członków Kręgu Octogonus.

Dla Francisca del Rio Sancheza z Wydziału Filologii Semickiej na Uniwersytecie w Barcelonie - za dokonane z aramejskiego błyskotliwe tłumaczenie listu Eliezera.

Dla Guadalupe Săiz z Ośrodka Studiów Arabskich i Islamskich przy Wydziale Kultur i Języków Śródziemnomorskich Uniwersytetu w Jaen - za rady dotyczące trzynastowiecznych arabskich źródeł pisanych.

Dla Naguiego Henri - za objaśnienie mi tajemnic i historii religii koptyjskiej, którą wyznaje.

Dla doktora Jose Cabrery, specjalisty od psychiatrii, medycyny sądowej i kryminologii - za wskazówki związane z wątkami medycznymi powieści.

Dla Evy Celady - za to, że ukazała w swojej książce wspaniałą kuchnię watykańską. Kardynałowi

Lienartowi bardzo smakowały jej dania.

Dla Manuela Garcii - za przybliżenie mi zagadnień arabskiej kartografii.

Dla mojego syna, Hugona Frattiniego - za poprawianie moich błędów we włoskim.

Dla Oscara Maquedy, dyrektora czasopisma „Golf Digest”

- za pomoc w ukryciu karabinu w torbie na kije golfowe.

Dla Carlosa (to pseudonim), byłego snajpera Specjalnej Jednostki Interwencyjnej (UEI) Guardia Civil - za wskazówki na temat broni używanej przez Archanioła.

Dla generała Feliksa Hernanda i podpułkownika Manuela Llamasa z Centralnej Jednostki Operacyjnej (UCO) Guardia Civil - za bezinteresowne rady dotyczące pewnych punktów tej powieści.

Dla Corta Maltesa, bohatera mojego świata wyobraźni, i dla Hugona Pratta - za ukazanie mi swojej sekretnej Wenecji.

Dla mojej ukochanej Belen - za dobrze zatemperowany czerwony ołówek, który stał się moim talizmanem.

Dla Miryam Galaz, mojego wydawcy - za troskliwą opiekę nad tą książką oraz wielogodzinne dyskusje na temat jej fabuły i bohaterów.

I wreszcie szczególne podziękowania dla mojego drogiego przyjaciela Juana Ignacia Alonsa, który cierpliwie czytał kolejne wersje

„Wodnego labiryntu”. Komentarze i obserwacje Juana Ignacia pomog-

ły mi opowiedzieć tę historię. A także dla Antonia Piñera, wykładowcy na Wydziale Filologii Greckiej Uniwersytetu Complutense w Madrycie i prawdziwej skarbnicy informacji na temat początków chrześcijaństwa. To dzięki niemu powstał list Eliezera.

Część tej książki należy do nich wszystkich...

I

Aleksandria, 68 rok naszej ery

We wschodniej części miasta, w skromnej, położonej na uboczu chatynce oświetlanej jedynie przez kilka oliwnych lampek, spoczywał na łożu śmierci pewien starzec.

Obok czuwał jego wierny uczeń, Eliezer, niegdyś bogaty kupiec sukieny z Judei, który porzucił własny sklep, aby pójść za swoim mistrzem.

Bohaterowie tragedii sprzed trzydziestu pięciu lat już nie żyli. Upłynęło niewiele ponad trzydzieści lat od dnia, gdy Jezus Chrystus ukrzyżowany został na Golgocie; dwadzieścia cztery minęły od chwili, kiedy rzymski prefekt Poncjusz Piłat, wygnany przez cesarza Kaligulę do Galii, popełnił samobójstwo; dwadzieścia zbiegło po tym, jak Kajfasz, przewodniczący Wielkiego Sanhedrynu, zmarł w dziwnych okolicznościach.

Podobny los spotkał jedenastu z dwunastu uczniów, którzy towarzyszyli mistrzowi podczas tamtej wieczerzy na zboczu góry Syjon. Piotr zginął w Rzymie dokładnie rok temu, ukrzyżowany głową w dół z rozkazu Nerona. Bartłomiej udał się do Turcji, gdzie jacyś złoczyńcy obdarli go żywcem ze skóry. Tomasz zachorował i umarł w Indiach. Mateusz, nacieszywszy się długim żywotem poświęconym głoszeniu dobrej nowiny w Etiopii, Persji i Macedonii, odszedł z tego świata w sposób naturalny.

Jakub został na polecenie arcykapłana Ananiasza umęczony i zrzucony z wysokości. Andrzej, a, brata Piotra, ukrzyżowano w greckim mieście Patras. Jakub Większy miał podobno zginąć od miecza na rozkaz Heroda Agryppy. Jana, brata Jakuba, cesarz Domicjan kazał wrzucić do wrzącego oleju. Filip umarł na krzy-

żu z woli prokonsula Hierapolis, Juda Tadeusz poniósł śmierć męczeńską na północy Persji, Szymon Gorliwy zaś - nad Morzem Czarnym.

W pamięci starca wciąż żyło wspomnienie mistrza i rozmowy, którą z nim odbył przed wieczerzą paschalną. Doskonale pamię-

tał też, jak po tym, co się wtedy stało, Szymon Kananejczyk, dawny zelota, próbował go zabić z rozkazu Piotra. Starzec był

pewien, że Piotr postąpił tak, jak postąpił, by wyeliminować każdego, kto mógłby podać w wątpliwość jego przywództwo po śmierci mistrza. Przekonał resztę, że to właśnie on, ten, który leżał teraz na nędznym posłaniu, wydał Syna Człowieczego kapłanom.

W chwilach przytomności między majaczeniami wywołanymi gorączką konający usiłował przywołać ów moment, gdy Szymon Gorliwy oświadczył, że tuż przed wieczerzą widział Piotra rozmawiającego w pobliżu świątyni z Jonatanem, dowódcą stra-

ży. Później jednak, kiedy mistrz został pojmany w Getsemani, wszystko potoczyło się tak szybko, że

nikt już nie pytał Szymona o to dziwne spotkanie Piotra z dowódcą świątynnej straży.

W oczach starca, jedyne spośród uczestników owej wieczerzy, który wciąż pozostawał przy życiu, tamte wypadki stanowiły zagadkę obecną w jego myślach przez długie lata, aż do tej nocy, gdy oto umierał w ubogiej chacie zagubionej gdzieś w mieście na północy Egiptu.

Z rojeń wyrwał go Eliezer. Starł się nieco podnieść chorego, aby napić go wodą z glinianej miseczki - bezskutecznie, gdyż starzec krztusił się przy każdym łyku.

- Eliezerze, tobie, wiernemu uczniowi, powierzę swoje słowo

- wycharczał.

- Jestem gotów, mistrzu, ale spróbuj najpierw przełknąć choć odrobinę - błagał Eliezer, lecz widać było, że już się poddał.

Starzec z niespodziewaną siłą odtrącił od ust naczynie i rzekł:

- Eliezerze, weźmiesz papirusowy zwój i spiszesz wszystko, co ci powiem. Jeśli umrę, nie wyjawisz ci tego, co usłyszałem od mistrza w dzień jego pojmania, prawda o tych wydarzeniach odejdzie w niepamięć, gdyż niektóre rzeczy umrą wraz ze mną.

- Tak, mistrzu, ale odpocznij teraz trochę - poprosił Eliezer.

- Nie. - Starzec pokręcił głową. - Wkrótce nie będzie mnie wśród żywych, a przed śmiercią muszę dać świadectwo, aby ci, którzy przyjdą po nas, dowiedzieli się, co mówił mistrz owego wieczoru i jakie powierzył mi zadanie. Zapiszesz każde słowo dokładnie, jak ci podyktuję, w takiej formie, w jakiej wyszło z Jego ust.

Eliezer opuścił izbę i po niedługim czasie wrócił z papiruso-wym zwojem i przyborami do pisania. Ustawił niski drewniany stół tuż przy pościeli, usiadł na klepisku i wziął do ręki pióro.

- Moje imię brzmi Jehuda. Urodziłem się w miasteczku Is-Kariot, w rejonie Ghor. Byłem apostołem Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, i towarzyszyłem mu w wędrówkach po Judei i Galilei... - Od czasu do czasu suchy kaszel przerywał jego opowieść. Starzec oddychał z coraz większym trudem i co rusz prosił

o wodę. Eliezer sprawnie pokrywał papirus ciągami aramejskich znaków.

O zmierzchu dzielnica położona na zboczu góry Syjon

- ze swoimi sklepikami, wewnętrznymi dziedzińcami, płaskimi dachami i ciemnymi zaułkami - przemieniała się w pełen pułapek labirynt, dokąd bali się zapuszczać nawet rzymscy żoł

nierze. Sprzeciwiający się obecności najeźdźców zeloci zadbali, by niektóre uliczki były zbyt wąskie dla zbrojnych w pełnym rynsztunku.

Szymon skręcił w jedną z bram. Piotr miał jeszcze coś innego do załatwienia i powierzył mu przygotowania do wieczerzy, do której jeszcze tego samego dnia zasiądzie trzynastu biesiadni-ków. Szymon przeciął niewielki dziedziniec, doskonale widoczny przez okienko nad drzwiami do domu. Niósł kupionego specjalnie na tę okazję baranka. Upewniwszy się, że kości zwierzęcia są całe

- rzecz nieodzowna w wypadku wieczerzy paschalnej - rozniecił

ogień.

Przysposobieniem wnętrza zajął się Jan. Ustawił na środku górnej izby wielki stół, a na nim - trzynaście mis i trzynaście kielichów oraz świecznik, który miał zapłonąć na znak rozpoczęcia uczy sederowej.

Inni schodzili się jeden po drugim. Przystawali przy studni na środku dziedzińca, czerpali wodę i przystępowali do ablucji.

Baranek skwierczał na ogniu, a Jan i Szymon pilnowali wej-

ścia

Za każdym razem, gdy rozlegało się kołatanie do drzwi, Szymon zerkał przez okienko, sprawdzał, kto puka, podnosił

mocne rygle i wpuszczał nowo przybyłego do środka.

Wszyscy się znali i z radością padali sobie nawzajem w ramiona.

Na koniec brakowało już tylko trzech: Jezusa, Judasza Iskarioty i Piotra. Wreszcie Mateusz, dawniej wysługujący się Rzymianom celnik, a teraz ósmy z uczniów mistrza, zaczął się niepokoić przedłużającą się nieobecnością Piotra.

- Gdzie on się podział? - spytał.

- Widziałem go koło świątyni, kiedy poszedłem poświęcić baranka. Pewnie zaraz się zjawi - odparł Szymon.

Pozostali zdziwili się nieco, że Piotr, od którego przywykli oczekiwać wskazówek, akurat w takim momencie wybrał się do świątyni. Zwłaszcza gdy Szymon dodał, że tamten był pogrą-

żony w rozmowie z Jonatanem, dowódcą straży, czemu zresztą nie przypisał w owym momencie żadnego znaczenia.

W tym samym czasie Kajfasz, najwyższy kapłan, wręczał jednemu z uczniów tego, którego nazywano Jezusem, trzydzieści srebrnych monet za wydanie mistrza sługom świątyni.

Zdrajca zaproponował zorganizowanie zasadzki w domu, w którym miała się odbyć wieczerza, lecz Jonatan nie chciał

podejmować ryzyka związanego z zagłębianiem się w labirynt uliczek na stokach góry.

Istniała jeszcze druga możliwość - miejsce, gdzie po wieczerzy paschalnej Jezus i jego uczniowie zamierzali się modlić: łącznia oliwek zwana też ogrodem oliwnym, Getsemani. Ten wybór bardziej przypadł Jonatanowi do gustu.

- Jak rozpoznamy twojego mistrza? - zapytał Kajfasz.

- Wskażę go wam - odparł zdrajca.

- Dobrze więc. Dziś wieczorem. - Najwyższy kapłan skinął głową.

Syn Człowieczy dotarł tymczasem do domu, w którym był umówiony z uczniami. Obmywając stopy i dłonie, spytał o Piotra.

- Nic nie wiemy - odpowiedział Tomasz, rybak znad Morza Galilejskiego, uchodzący za nieufnego milczka i czarnowidza.

Wtedy rozległo się stukanie do bramy. Przybył Judasz Iskariota.

Teraz brakowało już tylko Piotra. Po chwili jednak zjawił się i on.

- Wybacz spóźnienie, mistrzu - powiedział.

- Mam jedynie nadzieję, że zatrzymały cię własne sprawy, nie zaś wybory dokonane przez innych - odrzekł Jezus, a uczniowie nie pojęli, co ma na myśli ani dlaczego, będąc ich nauczycielem, wyraża się tak zagadkowo.

Napiętą ciszę, która nastąpiła po tych słowach, przerwał

Bartłomiej nazywany Walecznym, wywodzący swój ród od uczestników dwa wieki wcześniejszego powstania Machabeuszy.

- Baranek gotowy - oświadczył.

Piotr wciąż nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia, w które wprawiała go dziwna odpowiedź mistrza. Tym bardziej że Jezus, nim udał się na górę, gdzie miała się odbyć wieczerza, poprosił

Judasza Iskariotę, by ten wyszedł z nim na dziedziniec.

Piotr chciał im towarzyszyć, lecz Syn Człowieczy powstrzymał go ruchem dłoni.

- To, co zaraz powiem, przeznaczone jest wyłącznie dla uszu Judasza - wyjaśnił.

Chwilę później zaciekawieni uczniowie, a zwłaszcza Piotr, Bartłomiej i Jakub Mniejszy, mieli okazję oglądać, jak Judasz, ze łzami w oczach, klęka przed mistrzem, ściskając jedną z jego dłoni, podczas gdy Jezus położył mu drugą na głowie, zupełnie jakby go pocieszał.

Potem wszyscy razem weszli na górę i zasiedli wokół stołu.

Syn Człowieczy zapalił świece.

- Gorąco pragnąłem spożyć z wami tę Paschę, zanim będę cierpiał. Albowiem powiadam wam już jej spożywać nie będę, aż się stanie w Królestwie Bożym - rzekł.

Uczniowie milczeli. Judasz wpatrywał się w mistrza oczyma, w których wciąż błyszczały łzy. Piotr z kolei zdawał się nie zwracać uwagi na to, co działo się dookoła, i sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał.

Starzec rozkasłał się na dobre. Eliezer próbował mu pomóc, podając wodę - na jej powierzchni osiadła krwawa plwocina.

- Mało mam czasu. Nie wolno nam zwlekać - wycharczał

umierający.

Eliezer wstał, by uzupełnić olej w przygasających lampkach.

Mistrz pobłogosławił jeden z dzbanów i wychylił pierwszy kielich, odmawiając uświęcający kidusz; potem drugi - na cześć baranka, trzeci - towarzyszący modlitwie dziękczynnej i wreszcie czwarty - dopełniający modłów. Potem znowu przemówił:

- Powiadam wam: nie będę już pił odtąd z owocu winnego krzewu, aż nastąpi królestwo Boże.

Następnie podał Janowi misę z pikantnym czerwonym sosem zwanym *hazareth*. Jan ułamał kawałek chleba i zamoczył w sosie.

Później przesunął misę ku Andrzejowi, ten zaś - w stronę Bartłomieja, a potem dalej, przez Tomasza, Mateusza, Jakuba Młodsze, Jakuba Starszego, Filipa, Judę Tadeusza, Szymona Gorliwego i Judasza Iskariotę aż do Piotra.

Temu ostatniemu z niechęcią przypatrywał się Jan. Inni uczniowie nie ufali mu zanadto. Jan, niegdyś rybak, wielokrotnie dał się poznać jako kłótnik i egoista nieczuły na cudze potrzeby, w dodatku zazdrosny o Piotra. Judasz w milczeniu obserwował ich obu, ani słowem nie zdradzając się z tym, co usłyszał od mistrza.

Wszystko to razem bardziej przypominało ucztę pożegnalną niż paschalną wieczerzę,

Judasz zawsze uważał, że mistrz próbuje nakłaniać ich wszystkich do pospólnej pracy i zapomnienia o własnych ambicjach.

Żaden nie powinien wyrastać nad innych, odrywać roli możnego między pokornymi czy ważnego pośród skromnych. I oto teraz zgromadzili się w ubogim domu na zboczu góry Syjon, a uczynili to nie tylko dlatego, że mistrz chciał im podziękować za wierną służbę, lecz również po to, by mógł wyjawić im, do czego ich przeznacza: jedenastu miało głosić dobrą nowinę, dwunasty zaś został wybrany.

Na tym tle wynikł spór między Piotrem a Janem, który jak zwykle wypomnił tam mu ignorowanie zaleceń Jezusa i wyno-szenie się ponad innych.

- Ja przynajmniej gotów jestem życie oddać za mistrza!

- wykrzyknął Piotr.

Przerwał im sam Jezus, mówiąc:

- Powiadam ci, Piotrze, zanim dziś kogut zapieje, ty trzy razy wyprzesz się tego, że mnie znasz.

Potem wszystko poszło zgodnie z przewidzianym rytuałem: odśpiewali psalmy Hallelu, pili wodę z gorzkimi ziołami i jedli pieczonego baranka.

Aż na koniec mistrz rzekł:

- Jeden z was mnie wyda.

- Kto taki? - spytał Jakub Mniejszy.

Zaległo milczenie.

- Co chcecie zrobić, czyńcie bez zwłoki, albowiem jeden z was mnie wyda, aby drugi odziedziczył klucze do królestwa, kiedy mnie już między wami nie stanie - powiedział Jezus.

Wszyscy popatrzyli na Piotra, ten zaś odwrócił wzrok.

- Powiem wam tylko, że tam, dokąd idę, wy pójść nie możecie, ale miłujcie się wzajemnie, tak jak ja was umiłowałem. Syn Człowieczy został otoczony chwałą, a przez niego Bóg w nim.

I dlatego Pan go otoczy chwałą, a stanie się to wkrótce - podjął

Jezus.

Potem wziął chleb i mówił dalej:

- Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje wydane za was.

Następnie sięgnął po kielich z winem i ciągnął uroczyście:

- Bierzcie i pijcie, oto moja krew, świadectwo przymierza, która za wielu będzie wylana na znak

przebaczenia grzechów.

Oni wypili i opróżniony naczynek, oddali mu je.

- Wstańmy i chodźmy - nakazał wtedy.

Szymon, który miał dbać o bezpieczeństwo mistrza, polecił, by wychodzili pojedynczo, by nie rzucać się w oczy, i kierowali się ku Złotej Bramie, niestrzeżonej w dzień Paschy przez Rzymian.

Niedługo później wszyscy spotkali się ponownie wśród drzew Getsemani, u stóp Góry Oliwnej. Niektórzy przysiedli na ziemi, opierając się plecami o pnie oliwek, inni wciąż stali, pogrążeni w dyskusji.

Noc upływała im na modłach i rozmowach, gdy nagle spomiędzy drzew ukazali się żołnierze z obnażonymi mieczami.

Uczniowie zerwali się na nogi.

- Wybiła godzina, oto Syn Człowieczy zostanie wydany grzesz nikom. A ten, który mnie wyda, stoi obok.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na tym, który znajdował się najbliżej mistrza - na trzymanym przezeń za rękę Judaszu Iskariocie.

Z boku, jakby dystansując się od całej sceny, stał Piotr.

Prowadzeni przez Jonatana strażnicy świątyni otoczyli Jezusa.

Szymon Gorliwy, mający walkę we krwi, wydobył sztylet i rzucił

się na ratunek mistrzowi, który tymczasem podał napastnikom swe imię i pozwalał się wiązać.

- Schowaj broń - nakazał Szymonowi.

Nieco później, podczas gdy Jezus odpowiadał przed San-hedrynem, do Piotra podeszła pewna kobieta i spytała tak głośno, że słyszeli ją stojący nieopodal żołnierze:

- Czy i ty nie byłeś pośród uczniów tego człowieka?

A Piotr potrząsnął głową na znak zaprzeczenia. Tak zaparł się mistrza po raz pierwszy.

Potem, gdy Jezusa prowadzono przed oblicze najwyższego kapłana, Piotr znalazł się pośród cizby, a jedna ze służących oskarżycielsko wskazała go palcem jako jednego z uczniów Jezusa, twierdząc, że widziała go postępującego za osłem, na którym ów jechał.

Piotr zdecydowanie zaprotestował.

- Nie znam tego, o którym mówisz, kobieto! Musiało mi cho dzić o osła! - zawołał. Tak zaparł się mistrza po raz drugi.

A kiedy chciał odejść, jakiś sługa świątynny dotknął go w pierś i oświadczył:

- I ty jesteś jednym z nich, tamtych, gdyż twoja mowa cię zdradza.

Na co Piotr jął mu złorzeczyć jako kłamcy, powtarzając każde-mu, kto chciał słuchać, że nie zna „tamtego człowieka”. A bronił

się z takim przekonaniem, że zwabieni wcześniej hałasem strażnicy odstąpili go w końcu. Wtedy zapiał kogut.

Niedługo potem Syn Człowieczy, mistrz dwunastu, został ubiczowany, opluty i ukrzyżowany na Golgocie.

Gapie, którzy ściągnęli tłumnie, by przyglądać się kaźni, rozchodzili się powoli, pozostawiając pod krzyżem jedynie strażników. Ci sądzili już, że skazaniec wyzionął ducha, gdy on niespodziewanie uniósł głowę i obrzuciwszy spojrzeniem konających na sąsiednich krzyżach złoczyńców, rzekł:

- Ojcze, odpuść im, gdyż nie wiedzą, co czynią.

Trzy godziny później przemówił znowu:

-Wykonało się - powiedział i tak brzmiały jego ostatnie słowa.

Rzymski setnik, któremu powierzono funkcję *exactor mortis*, czyniąc go odpowiedzialnym za upewnienie się, czy zgon rzeczywiście nastąpił, chwycił włócznię i wraził ją Synowi Człowieczemu w bok.

W tym samym czasie jeden z uczniów uciekał pod osłoną ciemności na rybackiej łodzi w stronę bezpiecznej Aleksandrii.

W ciągu kolejnych godzin, dni i nocy rozświetlanych jedynie płomykiem oliwnej lampki umierający starzec dyktował swemu uczniowi, Eliezerowi, świadectwo tego, jak wyglądała jego rola w całej tej historii.

Szóstego wieczoru Eliezer wszedł do chatki, gotów jak zwykle przystąpić do pracy.

- Mistrzu? - odezwał się, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

- Mistrzu?

Eliezer przybliżył lampkę do twarzy ostatniego apostoła.

Żółtawa twarz, pokryta niewyschlłym jeszcze potem i wykrzywio-na, świadczyła o tym, że starzec umarł niedawno, może podczas snu, nawiedzany przez koszmary.

Eliezer już wcześniej pojął, że piętrzące się obok na stole zwoje papirusu mogą nieodwracalnie wpłynąć na historię chrze-

ścijaństwa. Nie przypuszczał jednak, że znajdzie się wielu takich, którym zależało będzie na tym, by słowa zmarłego przed chwilą starca pozostały tajemnicą po kres czasu.

Gebel Qarara, środkowy Egipt, 1955

Góry majestatycznie wznosiły ku niebu swe szczyty w typowym dla egipskich pustyń kolorze miedzi. Tajemnicze i jałowe

- wyglądały jak z innej planety. Uporczywe wichry przynosiły z wysokości chmury gorącego piasku, który pokrywał ciało cienką warstwą. Wypełniając całą dolinę, przemieniały ją w piekarnik, w którym temperatura nie spadała poniżej czterdziestu stopni w cieniu.

Mimo to okolicę odwiedzało wielu fellachów, którzy zapusz-czali się tu w poszukiwaniu bogatego w azotany i używanego jako nawóz *sabakh*. Pewnej nocy w dolinę zagłębiło się trzech mężczyzn: przewodził im niejaki Hany Jabet, za nim postępował

jego przyjaciel Mohamed, dalej zaś - siostrzeniec tego drugiego.

Wszyscy trzej trzymali w dłoniach pochodnie i prowadzili osły wiozące na grzbiecie drewniane łopaty.

Poszukiwania, w wyniku których mieli nadzieję choć trochę poprawić trudny los swoich rodzin, postanowili zacząć u stóp urwistego skalnego zbocza. *Sabakh* dla wielu im podobnych stanowił główne źródło dochodów - chyba że ktoś natknął się przy okazji na jakiś zapomniany grobowiec, który mógł

splądrować, by następnie sprzedać znalezione w nim przedmioty na czarnym rynku w El Minya albo nawet w Kairze czy Aleksandrii.

Hany Jabet i jego towarzysze zabrali się do kopania. W pewnym momencie łopata Mohameda uderzyła w coś wyjątkowo twar-dego. Mohamed myślał w pierwszej chwili, że przebił się przez piasek do litej skały, lecz wystarczyło kilka dodatkowych ruchów szpadlem, by się przekonać, że chodzi raczej o coś w rodzaju płyty nagrobnej. Oczywiście, istniała możliwość, że to tylko złudzenie, ale Hany od razu zwrócił uwagę, że kamień wygląda na wygładzony ręką człowieka, a nie przez żywioły.

Popatrzyli po sobie, zaskoczeni, czując, jak rodzi się w nich nadzieja, że oto znaleźli zapomniany grób jakiegoś faraona albo kapłana. Zarówno władców, jak i dostojników świątynnych chowano

zawsze razem z bogatym wyposażeniem, wśród którego nie brakowało przedmiotów łatwych do upłynnienia na czarnym rynku.

W Egipcie od niepamiętnych czasów plądrowano grobowce.

Nie bez przyczyny architektów i budowniczych piramid chowano razem z tymi, dla których były przeznaczone - w ten sposób fara-onowie próbowali chronić wiedzę na temat dokładnego położenia komór grzebalnych.

Trzej mężczyźni podjęli pracę, chcąc odkopać całość zagadkowej płyty, i gdy ich łopaty uderzały o kamień oświetlany już pierw-szymi promieniami słońca, rozmyślali o tym, jaki też wycinek obejmującej cztery tysiące lat historii Egiptu uda im się za chwilę odsłonić.

To, co stopniowo ukazywało się ich oczom, wyglądało na ukryte wejście do jaskini. Każdy ruch szpadlem przybliżał ich do celu.

Hany Jabet kazał w końcu wsunąć łopaty w widoczną z boku szczelinę i ostrożnie podważyć płytę. Po czterech próbach, które podejmowali w narastającym szybko upale, kamień drgnął i wokół

zapachniało stęchlizną. Po odsunięciu skalnego bloku ujrzeli przed sobą mroczny korytarzyk wiodący chyba do jakiegoś pomieszczenia.

Hany pobiegł do miejsca, gdzie zostawili osły, i po chwili wró-

cił z dwiema pochodniami. Zapaliwszy je, wręczył po jednej Mohamedowi i jego siostrzeńcowi.

- Podacie mi którąś, jak już będę na dole - powiedział.

Wcisnął się z trudem do środka i ostrożnie próbował wyma-cać przed sobą drogę w ciemności. Jednakże kamienie pod jego stopami osunęły się nagle, upadł i potoczył się w głąb, znikając z oczu towarzyszom.

Nic nie widział, słyszał tylko ich głosy dobiegające od strony wejścia.

- Hany! Hany! Odezwij się! - zawołał Mohamed. - Wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

Wtedy z ciemnej dziury wysunęła się zniecka ręka i zacisnęła się mocno na jego ramieniu. Oskoczył gwałtownie, co bardzo rozbawiło jego siostrzeńca. Mamrocząc przekleństwa, Mohamed podniósł z ziemi pochodnię, która wypadła mu z rąk, i pochylił

się nad wejściem do jaskini.

- Przestraszyłeś się? - spytał Hany. - Nie ma czego. Podaj mi pochodnię.

W jej świetle korytarzyk wyglądał na krótszy, niż w rzeczywistości był. Kończył się dwumetrowej wysokości wyrwą.

Na dole znajdowało się pomieszczenie mające ze czterdzieści metrów kwadratowych. Hany natychmiast zauważył tam coś, co wyglądało jak trzy trumny, a pomiędzy nimi wielki *zir*, gliniane naczynie, prawdopodobnie bardzo stare, zapieczętowane dziegiem.

Hany wyjął zza pasa nóż i zaczął zdzierać czarną substancję.

Potem podniósł ciężką pokrywę naczynia i przybliżył pochodnię, chcąc przyjrzeć się jego zawartości. Zobaczył skrzynkę z białego kamienia. Najpierw pomyślał, że to dziecięca trumienka.

Pochylił się nad naczyniem i z pewnym trudem wydobył ciężką skrzynkę. Ostrożnie postawił ją na piasku i przez chwilę wpatrywał się w nią bez ruchu.

Potem panującą wokół ciszę przerwały złorzeczenia Mohameda, który gramolił się do środka, przewiązany w pasie sznurem. Kiedy wierzgając na oślep nogami, spróbował się oprzeć o jedną z trumien, wieko załamało się, odsłaniając leżące w środku ludzkie szczątki. Obok nieboszczyka widać było kilka flakonów owinię-

tych w słomę i papirus.

- To tak na wszelki wypadek, gdyby jaskinia okazała się głębsza - tłumaczył towarzyszowi zmieszany Mohamed, odsupłując linę, którą się starannie opasał.

Obaj - choć brakowało im nawet podstawowego wykształcenia

- doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że spoczywająca przed nimi skrzynka warta jest niemało. Mohamed wyjął metalowe ostrze i usiłował je wsunąć w jakąś szczelinę pomiędzy ściankami a pokrywą, co w końcu mu się udało. Podważone wieko ustąpiło z suchym trzaskiem.

Dwaj mężczyźni z ciekawością zajrzeli do skrzynki. W środku znajdowała się wyblakła szmata, w którą był zawinięty jakiś przedmiot. Gdy rozsunęli materiał, zobaczyli coś w rodzaju starej księgi: pokryte dziwnymi znakami papirusowe karty w skórzanej oprawie. Znalezisko wyglądało na dobrze zachowane, prawdopodobnie dlatego, że potrójne zamknięcie - w kamiennej skrzynce, glinianym naczyniu i wreszcie w jaskini - skutecznie chroniło całość przed niszczącym wpływem czasu.

Nie namyślając się długo, Hany i Mohamed postanowili owinąć księgę z powrotem w szmaty i odłożyli skrzynkę na miejsce.

Później wyszli z jaskini i zakryli wejście wygładzoną płytą, którą następnie przysypali piaskiem i kamieniami.

Gdy wsiedli na osły i ruszyli do domu, Mohamed spytał:

- I co teraz? Komu o tym powiemy?

Hany, który jechał przodem, odwrócił się gwałtownie.

- Nikomu. Nie powinniśmy mówić o tym nikomu. Uprzedź

siostrzeńca, że jeśli się wygada, własnymi rękami pasy z niego będą darł, a potem obtoczę go w soli i zaszyję w świńską skórę.

Mohamed i jego siostrzeniec wyznawali islam, Hany był

Koptem.

- Nim się nie martw - rzucił Mohamed. - Dla swojego wła snego dobra będzie trzymał buzię na kłódkę.

Koło południa dotarli do wioski. Hany pożegnał towarzyszy i polecił, by nie próbowali się z nim kontaktować, dopóki nie da im znać, że już mogą. Chodziło mu o to, żeby nie wzbudzać podejrzeń wśród sąsiadów, a zwłaszcza nie dopuścić, by zwąchała coś policja.

Bez słowa wkroczył do domu, pocałował żonę w czoło, zła-pał torbę i wrzucił do niej trochę czystych ubrań oraz obrazek z Najświętszą Panienką. Potem wyszedł znowu i skierował się na skraj miasteczka, gdzie przystawał zwykle rozklekotany autobus, którym można się było dostać do pobliskiej Maghaghy.

Po godzinnej jeździe pylistymi, nierównymi drogami autobus zatrzymał się po drugiej stronie Nilu. Szarpnięcie hamującego pojaz-du sprawiło, że Hany ocknął się z drzemki. Był bardzo zmęczony.

Wysiadł z autobusu i zapytał sprzedawcę suszonych daktyli o drogę. Mężczyzna, siedzący ze swoim kramikiem na rogu, poderwał się żywo i zaczął mu wszystko dokładnie tłumaczyć.

Parę minut później Hany stanął przed domem, którego szukał. Na ulicy kilkoro dzieci bawiło się gumową piłką. Zajrzał

na wewnętrzny dziedziniec. Ze środka rozległ się kobiecy głos, pytający, o co chodzi.

- Chciałbym mówić z panem Abdelem Gabrielem Sayedem -

wyjaśnił Hany kobiecie, która nadchodziła z głębi domu, wycierając ręce.

- Mąż powinien zaraz wrócić. Może pan poczeka - zaproponowała gospodyni, otwierając drzwi.

Sayed mieszkał tak jak większość ubogich, kultywujących tradycję Koptów. Już od wejścia Hany wyczuwał silną woń z kuchni: to pachniał arabski *regiff* i klarowane masło, *samma baladi*.

Hany wiedział, że Sayed, chcąc wyżywić liczną rodzinę, nie tylko pracowicie uprawiał czosnek, fasolę, zboże i trzcinę cukrową, ale również, jak wielu innych mieszkańców tej części Egiptu, zajmował się wyszukiwaniem wszelkich starych przedmiotów interesujących na tyle, by dało się je komuś sprzedać. Do najważ-

niejszych jego odkryć należały pochodzące z czwartego i piątego wieku koptyjskie tkaniny, znalezione w grocie w pobliżu el-Lahun.

Hany przypuszczał, że dzięki temu Sayed zdobył jakieś kontakty z handlarzami z Kairu i Aleksandrii. Choć, szczerze mówiąc, owe kontakty ograniczały się do kilku drobnych jubilerów, którzy skupowali wszystko, od amuletów przez tkaniny i resztki naczyń po obiekty naprawdę przedstawiające sobą pewną wartość.

Oczywiście cena przedmiotu - zanim dostał się on ze środkowego Egiptu do sklepów w Kairze - mogła wzrosnąć nawet o dwie-

ście procent w stosunku do pierwotnej. Handlarze wykorzystywali nieświadomość swoich dostawców, ale mimo to Sayed umiał

zawsze wyjść na swoje i sporo zyskać na każdej wyczerpującej nocnej podróży samochodem z Maghaghy do stolicy.

Tego typu handel sięgał korzeniami tak daleko w przeszłość jak cała cywilizacja egipska, ale nasilił się w dziewiętnastym wieku, kiedy to do Egiptu zaczęli napływać europejscy odkrywcy.

Największe skarby, takie jak Kamień z Rosetty, znajdowane czę-

sto przypadkiem, wywożono zazwyczaj do Europy, gdzie później wystawiano je w najważniejszych muzeach Londynu, Berlina, Sankt Petersburga czy Rzymu. Po drugiej wojnie światowej, gdy Egipt uzyskał pełną niezależność, przywódcy państwowi zaczęli nakładać poważne restrykcje na handel antykami, próbując nie tyle go udaremnić, ile przynajmniej kontrolować.

Wprowadzone w latach pięćdziesiątych prawo dawało handlarzom sześć miesięcy na zarejestrowanie znalezisk pozostają-

cych w ich posiadaniu, a wraz z upływem czasu rząd szukał coraz to nowych sposobów na ukrócenie nielegalnego obrotu zabytkowymi przedmiotami. Jednakże wszystkie te środki na niewiele się zdały, bo tępony proceder, choć nielegalny, był wielce zyskowny.

Funkcjonował więc ogromny czarny rynek obiektów pochodzą-

cych z grobowców i różnego rodzaju wykopalisk, nienotowanych w żadnych rejestrach i dlatego oficjalnie nieistniejących.

Egiptolodzy z całego świata i miejscowi specjaliści od staro-

żytności mawiali, iż zabytek pochodzący z Egiptu należy uwa-

żać za falsyfikat, chyba że uda się wykazać coś odwrotnego.

Jeśli jednak władze stwierdziły, że jakiś przedmiot, uznany już za autentyk, został po cichu sprzedany, mogły legalnie zażądać jego zwrotu. Sayed stanowił więc tylko jedno z najmniej istotnych ogniw tego długiego, poplątanego łańcucha.

Hany jadł daktylę, popijając je miętową herbatą, kiedy na ulicy rozległy się okrzyki dzieci. To liczne

potomstwo Abdela Gabriela Sayeda witało ojca powracającego do domu. Hany wstał.

- Muszę z panem pomówić na osobności - powiedział na widok gospodarza.

- Dobrze, tylko umyję ręce - odparł tamten, jednocześnie pozdrawiając skinieniem żonę.

Chwilę potem obaj mężczyźni siedzieli już przy niskim stole zwanym *tableya*, zastawionym talerzami z pieczywem, masłem i pastą z grochu z oliwą. Hany zniżył głos, aby nikt nie mógł podsłuchać rozmowy. Twarz gospodarza zmieniała się powoli, w miarę jak gość opowiadał mu o swoim odkryciu w jaskini niedaleko Gebel Qarara.

Pomilczawszy parę minut, Sayed oświadczył, że Hany powinien tylko trzymać język za zębami, a on, Sayed, sam się wszystkim zajmie. Zamierzał pojechać samochodem do jaskini, zabrać stamtąd wszystkie cenne przedmioty i zasypać wejście, aby nie pozostał żaden ślad po rabunku.

- Trzeba bardzo uważać, żeby przypadkiem nie postawić na nogi policji ani konkurencji - dodał cicho. - Tak czy owak, najlepiej będzie, jak się pan prześpi u mnie, a jutro z rana, jeszcze przed świtem, wyruszymy.

Kilka godzin później, tuż przed wschodem słońca, kiedy niebo barwiło się fioletem i czerwienią, rozklekotane auto Sayeda wjeżdżało do wyschniętej doliny. Pół kilometra dalej zatrzymało się we wskazanym miejscu. Dwaj mężczyźni wysiedli, bezzwłocznie wyciągnęli łopaty i zabrali się do kopania.

Po godzinie, zalewani już blaskiem słońca, mogli wreszcie wejść do jaskini. Wokół słyhać było jedynie szum wiatru wdzierającego się w dolinę. Zapaliwszy dwie pochodnie, Sayed i Hany wsunęli się do grotty. W nozdrza uderzył ich smród, rozpraszany nieco przez świeży powiew z zewnątrz.

Hany, posługując się nożem, podważył wieko glinianego naczynia i wyjął z niego ciężką kamienną skrzynkę. Po jej otwarciu oczom Abdela Gabriela Sayeda ukazała się oprawna w skórę papi-rusowa księga napisana w nieznanym mu języku. Obejrzawszy ją, schowali z powrotem do skrzynki, którą z kolei wynieśli na zewnątrz. Następnie zasunęli wejście do jaskini. Sayed schował

skrzynkę do bagażnika i przykrył szmatą. Później niezauważeni przez nikogo odjechali.

Nie mieli pojęcia, że dzięki gorącemu i suchemu klimatowi panującemu w okolicach Gebel Qarara przetrwał jeden z największych sekretów chrześcijaństwa i że dni owego sekretu, od chwili wydobycia go na światło dzienne, były już policzone.

Nie wiedzieli też, że oto za ich sprawą z zapomnianych zakamarków historii wychylnęło słowo Judasza Iskarioty. Od śmierci najbardziej umiłowanego spośród uczniów Chrystusa upłynęło tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt pięć lat i nagle jego świadectwo, będące jednym z najważniejszych dokumentów historii biblijnej i czekające od wieków w zagubionej dolinie środkowego Egiptu, trafiło w ręce dwóch fellachów.

Co a tu robię? Jak się tu dostałam? Co to za ciemny loch? Chyba jakieś katakumby? Nie pamiętam. . - szeptała do siebie młoda kobieta, wsparta o zimny mur. - Muszę sobie przypomnieć. No, Afdero, spróbuj... Spróbuj... Skąd się tu wzięłaś? To zimno i wilgoć... A, tak. . Coś jakby... Głos... Ariel mnie wołał... Letni dzień. . Było gorąco. Tak, gorący dzień, stanowisko archeologiczne niedaleko Jerozolimy. Ariel mówił coś głośno. I ta wiadomość od Assal. Moja siostra dzwoniła z Wenecji.

Tak, teraz pamiętam. . Wiadomość o babci. Że zachorowała, umiera i chce ze mną mówić. Tak, właśnie tak to wszystko się zaczęło...

II

Jerozolima, lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku Mimo bezlitosnego upału prace wykopaliskowe posuwały się w zadowalającym tempie. Izraelscy i włoscy archeolodzy odkryli we wschodniej Jerozolimie sześć grobowców z roku pierwszego.

Zaledwie kilka metrów od wejścia do czwartego grobowca siedziała w cieniu parasola mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, zajęta klasyfikowaniem znalezionych szczątków i przedmiotów. Nazywała się Afdera Brooks i pracowała dla Wydziału Starożytności Izraela w Muzeum Rockefellera w Jerozolimie.

Pewnymi dłońmi segregowała znaleziska i oczyszczała je z pyłu wieków, by następnie przerysować do oprawionego w skórę zeszytu wyryte na wielu obiektach symbole.

Pracę przerwał jej głos młodego pomocnika, Ariela.

- Afdi! Afdi! - wołał głośno.

Podniosła się i rozejrzała, osłaniając dłonią oczy od ostrego słońca.

- Tu jestem! - krzyknęła.

Ariel biegł ku niej z jakimś papierem w ręce. Pomagał przy wykopaliskach, a także studiował archeologię biblijną na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Przedtem, na czas służby wojskowej, przydzielony został do dywizji pancernej w Strefie Gazy. Jego ojciec zginął parę lat wcześniej w wojnie Jom Kippur. Afdera nie bardzo rozumiała tego pokroju idealistów, którzy rozprawiali o pokoju i wolności, bez sprzeciwu pozwalając się wcielać do izraelskich jednostek wojskowych.

- Afdi, mam dla ciebie wiadomość - wydyszał Ariel.

- Dzięki - odpowiedziała, odsuwając się na bok, żeby nie mógł

jej czytać przez ramię.

- Coś się stało? - spytał, widząc jej minę.

- Muszę pilnie zadzwonić do siostry.

Kilka godzin później, już w swoim gabinecie w Muzeum Rockefellera, zadzwoniła do Assal. Sięgnęła po słuchawkę i wybra-

ła numer - najpierw międzynarodowe 00, potem kierunkowy do Włoch, 39, kierunkowy do Wenecji, 41, i wreszcie swoje własne 522 23 49.

Po paru sekundach i sygnałach na drugim końcu linii odezwał

się głos.

- Rosa? - spytała Afdera.

- Panienska Afdera? - odpowiedziała pytaniem kobieta.

- Tak, Rosa, tu Afdera.

- Jak dobrze panienkę słyszeć! - ucieszyła się służąca. - Gdzie panienska jest?

- Dzwonię z Jerozolimy, z Izraela. - Afdera mówiła teraz gło-

śniej.

- Skąd panienska dzwoni?

Rosa, teraz już nieco przygłucha, pracowała dla Brooksów od niemal pięćdziesięciu lat, kiedy to najęła się na służbę u babki Afdery, Crescentii Brooks. Ponieważ nie został jej nikt z bliskich, Brookowie przyjęli ją do swojego pałacu w Wenecji jak dodatkowego członka rodziny.

- Rosa, chciałabym porozmawiać z Assal - powiedziała Afdera, starając się wymawiać słowa jak najwyraźniej i na tyle głośno, by dotarły do staruszki.

- Panienska Assal nie ma w domu. Jeśli panienska chce, proszę zostawić numer, to jej powiem, żeby zadzwoniła, jak wróci.

- Dostałam od niej dziwną wiadomość. Coś się stało? - spytała Afdera.

W tym momencie gdzieś w tle dały się słyszeć szybkie kroki.

To musiała być Assal.

- Cześć, siostrzyczko.

- Cześć, Assal. Co się dzieje? - rzuciła niespokojnie Afdera.

- Chodzi o babcię.

- Co z nią? - na dobre zdenerwowała się Afdera.

- Gaśnie i chce cię jeszcze zobaczyć,

- Cholera - zaklęła Afdera. - Nie wiem, czy uda mi się wrócić już dzisiaj. Muszę sprawdzić połączenia z Tel Awiwu do Wenecji.

Zobaczę, co się da zrobić i jeszcze raz do ciebie zadzwonię.

- Dobrze. Czekam.

- Nie pozwól jej umrzeć, dopóki nie wrócę. Muszę być przy niej - jęknęła Afdera.

- Uspokój się. Zajmę się nią. Tylko się pospiesz.

Afdera odłożyła słuchawkę i zastygła bez ruchu w swoim malutkim, zakurzonej gabinecie w podziemiach Muzeum Rockefellera, myśląc o babce, której śmierć musiały obie z Assal odczuć bardzo boleśnie.

Przynajmniej dla niej babka Crescentia była zawsze jak boha-terka tych powieści przygodowych, które czyta się w dzieciństwie przy latarce pod kołdrą.

Swojego pierwszego męża, Rosjanina, białego emigranta, poznała w Paryżu. Od niego uczyła się tajników złotnictwa.

Później wyszła za barona Raniera Franchettiego i zamieszkała w Wenecji. Tam nawiązała bliskie relacje ze społecznością żydowską. Mówiono, że w czasie niemieckiej okupacji, od 1943 do 1945

roku, Crescentia i jej mąż ukrywali wielu żydów. Afdera doskonale pamiętała czarno-białe zdjęcie przedstawiające dziadków owiniętych w trójkolorową flagę i tańczących na placu Świętego Marka 28 kwietnia, w dniu wyzwolenia.

To właśnie w mieście kanałów Crescentia Brooks założyła swoją pierwszą galerię, Brooks Antique Gallery. Razem z mężem i córką - matką Afdery i Assal - podróżowała po Egipcie, Somalii, Sudanie i Etiopii, i w trakcie tych wycieczek zachwyciła się pozostałościami po dawnych kulturach. Imiona wnuczek wybrał jej mąż, na pamiątkę dwóch słonych jezior leżących w etiopskim regionie Afar, osiemset pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Addis Abeby.

Dziadek Afdery, Raniero Franchetti, był słynnym odkrywcą, który zjeździł świat od chińskich wybrzeży po Góry Skaliste.

Lubił opowiadać wnuczkom, jak to kiedyś w Malezji opuściła go załoga dżonki, na której wybuchła zaraza. Mówił też, że kiedyś spędził prawie rok wśród Pigmejów, aż wreszcie, kiedy wszyscy uważali go już za zmarłego, odnalazła go angielska misjonarka.

Jednakże Afderze najbardziej zapadła w pamięć historia wyprawy do Kotliny Danakilskiej w Etiopii śladami tragicznie zakończonej ekspedycji Giuliettiego. Afdera i Assal spędzały w dzieciństwie długie godziny na przeglądaniu starych dzienników dziadka -

sporządzonych starannym, równym pismem notatek, ilustrowanych akwarelami ukazującymi miejsca i osoby, z którymi Raniero Franchetti zetknął się podczas swoich niekończących się wędró-

wek. Do poznanych w ten sposób interesujących ludzi zaliczała się piękna Crescentia Brooks; kilka lat po owym przypadkowym spotkaniu została żoną Raniera.

Afdera zerknęła na oprawione w starą srebrną ramkę, ustawione na biurku obok zdjęcie, na którym dziadek prezentował

się dumnie ze swoim czarnym wąsikiem i w korkowym hełmie na głowie. Stojąca obok babcia w małym kapeluszu na czarnych włosach obciętych zgodnie z modą lat dwudziestych, dodatkowo osłaniała się przed etiopskim słońcem niewielką parasolką.

Pewnie ze względu na tę fotografię strzygę się tak, jak się strzygę, pomyślała Afdera.

Po drugiej wojnie światowej Crescentia Brooks stała się jedną z najbardziej cenionych i wpływowych osób wśród europejskich marszandów zajmujących się antykami. Otworzyła drugą galerię w Bernie, mieście szczególnie liczącym się w branży, a najważ-

niejsze muzea w Japonii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Izraelu prosiły ją o pomoc, gdy zamierzały nabyć do swoich zbiorów jakąś egipską starożytność. Mała Afdera nie mogła wyjść z podziwu, że babka potrafi negocjować po arabsku cenę szczególnie wartościowego posążka Horusa, przemawiać płynną greką, gdy chodziło o figurkę odpoczywającego Herkulesa, i zamykać opiewające na miliony dolarów kontrakty, posługując się angielskim, francuskim, niemieckim, a nawet rosyjskim.

Han Gershon, dyrektor Muzeum Rockefellera w Jerozolimie i stary przyjaciel rodziny, wielokrotnie powtarzał Aferze, iż jej babka zawsze bezbłędnie wyczuwa, czy ma do czynienia z autentykiem, czy z kopią. Niewykluczone, że była to tylko kolejna z legend na temat Crescentii, lecz w oczach Afdery i Assal babcia stała się stopniowo postacią nie do przecenienia, zwłaszcza od owego ponurego ranka, kiedy ujrzały ją wysiadającą z nowo-jorskiej taksówki, zaraz po tym, gdy rodzice obu sióstr zginęli w górach koło Aspen.

Ta imponująca, władcza kobieta, która nagle okazała się ich jedyną rodziną, impulsywnie przygarnęła do siebie dwie wystraszone dziewczynki - mające wówczas jedenaście i dziewięć lat

- a następnie zabrała je do swojego pałacu w Wenecji.

- Niczym się nie martwcie. Babcia jest przy was. Wszystko będzie dobrze - powiedziała.

Jej właśnie Afdera zawdzięczała to, kim była, nawet swoją miłość do archeologii, historii i zabytków. Babka przekonała ją do studiów historycznych w Oksfordzie, a później zachę-

ciła do specjalizowania się w archeologii egipskiej i biblijnej na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Dzięki swoim

„ciemnym powiązaniom”, jak Crescentia lubiła określać własne kontakty zawodowe, załatwiła Aferze pracę w Muzeum Rockefellera, najważniejszym ośrodku Wydziału Starożytności Izraela. Niewątpliwie przygotowywała wnuczkę do przejęcia firmy, nie wspominając wszakże ani słowem, co jeszcze przyjdzie jej odziedziczyć.

Wenecja

Po trzygodzinnej podróży ze stolicy Izraela do miasta kanałów - z przesiadką w Rzymie, której towarzyszyło nie-uniknione zamieszanie z powodu zagubionego bagażu - Afdera wylądowała wreszcie w Wenecji. Wyszedłszy z terminalu lotniska imienia Marco Polo, z daleka dostrzegła

Sampsona Hamiltona, adwokata babki, ukrytego za szpaltami „Financial Times”.

- Dzień dobry, Sam - powiedziała.

- O! Dzień dobry, Afdero! Nie zauważyłem cię - odparł, składając gazetę i uprzejmie biorąc od Afdery niewielką walizkę.

- A reszta bagażu? - spytał zdziwiony.

- Zgubiona gdzieś we włoskiej przestrzeni powietrznej - wyja-

śniła. - Muszę powiedzieć Rosie, żeby się tym zajęła. Trzeba zadzwonić do Alitalii.

Następnie, po krótkim milczeniu, jakby musiała się zebrać, żeby zadać to pytanie, odezwała się znowu:

- Jak się czuje babcia?

- Czeka na ciebie - oświadczył lakonicznie adwokat.

- Daj spokój, Sam, pytałam o jej zdrowie - rzuciła Afdera.

- Czeka na ciebie - powtórzył.

Sampson Hamilton, elegancki mężczyzna w sile wieku, współ-

pracował z Crescentią Brooks od lat. Studiował prawo w Bazylei, artystycznym i kulturalnym centrum Szwajcarii. Crescentią mawiała, że stanowi doskonały typ Szwajcara, łącząc w idealnych proporcjach francuski kosmopolityzm, niemieckie staranne wykształcenie prawnicze i typową dla Włochów zręczność w poruszaniu się po świecie zarówno sądów, jak i zabytków.

Biegle władał francuskim, niemieckim i włoskim, a ponieważ kończył studia na Uniwersytecie Harvarda, jego angielski również był bez zarzutu.

Podczas gdy bmw jechało via Orlanda ku mostowi della Libertà, Afdera próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o stanie babki i przyczynach, dla których staruszka wezwała ją do siebie tak stanowczo.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość. Porozmawiasz z Crescentią, to zobaczysz - odpowiedział jej Hamilton tonem, który wskazywał, że prawnik z pewnością nie powie nic więcej.

- Widziałeś się z moją siostrą?

- Tak. Nie odstępuję babki na krok. I też bardzo cię teraz potrzebuje - stwierdził, nie odrywając wzroku od jezdni.

- Wiem.

Hamilton spędził młode lata w prowadzonej przez jezuitów szkole pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, gdzie ćwiczono go w sztuce milczenia. Surowi nauczyciele spodziewali się chyba, że ich wychowankowie zasłużą w ten sposób na pomoc Najświętszej Panny przy wyborze właściwej drogi przez życie.

Oszczędność w słowach, do której wówczas nawykł, czyniła zeń idealnego adwokata i powiernika. Afdera, doskonale tego świadoma, wiedziała, że niczego więcej z niego nie wydobędzie.

Jako że ich jazda się przedłużała w związku z korkiem przy wjeździe na most, Afdera sięgnęła po gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie pięćdziesięciu dwóch zakładników z ambasady amerykańskiej w Teheranie, uwolnionych po długim przetrzymywaniu przez terrorystów.

Pół godziny później auto wciąż jeszcze znajdowało się na moście łączącym stały ląd z miastem.

- Zostawimy samochód na Piazzale Tronchetto. Tam już czeka na nas Francesco z motorówką - wyjaśnił Hamilton.

Skręcili w prawo, na wąskie nabrzeże za stacją kolejową i przystaniami, gdzie zatrzymywały się statki wycieczkowe.

Gdy wysiedli z auta, Francesco, szofer i prawa ręka Crescentii Brooks, odebrał od Hamiltona torbę Afderę. Służył babce za informatora. W Wenecji nie działał się nic, o czym by zaraz nie wiedział

i o czym, za jego sprawą, nie dowiedziałaby się natychmiast starsza pani. Crescentia lubiła jadać śniadania w pałacowej kuchni, wysłuchując z jego ust najświeższych ploteczek znad kanałów.

Kilka minut później niewielka motorówka odbiła od nabrzeża i wpłynęła pod mostem na Canal Grande. Gdy przesuwali się wzdłuż Fondamenta Santa Lucia, Afderę opadły wspomnienia.

To miasto było, bez dwóch zdań, jej miastem: te kanały, ludzie, woda, latem wydzielająca woń zgnilizny, zimą zaś - wilgotnego mchu, tajemnicze przejścia, żelazne balkony i mroczne zauł-

ki. Wszystko to stanowiło o smaku koktajlu zwanego Wenecją.

I Afdera lubiła ten smak.

Minęli most degli Scalzi. Po omacku mogłaby wskazać, jak trafić do Palazzo Foscari-Contarini, a jak do Gritti, Donà Balbi, Fondaco dei Turchi czy San Stae. W dzieciństwie wymyśliły z Assai zabawę, polegającą na tym, że zamykało się oczy, by po ich otwarciu jak najszybciej wymienić nazwę budowli widocznej po prawej albo po lewej stronie. Babcia dawała zwyciężczyni monetę, wciskając ukradkiem drugą w dłoń tej z dziewczynek, która akurat przegrała. W ten sposób żadna nie przegrywała naprawdę.

A potem po lewej ukazał się budynek Ca' d'Oro, będący siedzibą Crescentii Brooks, a następnie również domem jej wnuczek.

Wzniesiony w pierwszej połowie piętnastego wieku na zlecenie Marina Contariniego stanowił

doskonały przykład gotyku promienistego. Nigdy nie został ukończony - brakowało lewego skrzydła - i ową asymetrię w strukturze architektonicznej dziadek Afdery kwitował powiedzonkiem, że tak oto niedoskona-

łość zamieniła się w sztukę. Fasada Ca' d'Oro, z podcieniami i balkonami, stała się z czasem jednym z symboli Wenecji. Jako mała dziewczynka Afdera uwielbiała spędzać długie godziny przy kwadratowym okienku, z którego wieczorami mogła podziwiać zachody słońca nad miastem.

Pod koniec lat sześćdziesiątych jej dziadek, baron Raniero Franchetti, przeprowadził renowację budynku, dzięki której miał

on się stać wygodniejszy dla mieszkańców, nie tracąc nic ze swojej historycznej wartości.

Afdera i Assai biegały po galeriach, wśród obrazów takich mistrzów jak Andrea Mantegna, Vittore Carpaccio czy Luca Signorelli, bawiły się w chowanego między rzeźbami Andrei Sansovina czy Tullia Lombarda i skakały na skakance pod fre-skami lycjana. Lata spędzone w tak niezwyklej scenerii uczyniły z siostr Brooks prawdziwe miłośniczki sztuki.

Assai, młodsza, poświęciła się klasyfikowaniu, wycenie i konserwacji dzieł zgromadzonych w Ca' d'Oro - dokumentów, rysunków, ceramiki, gobelinów, obrazów, inkunabułów i tak dalej, wykonując rzeczywiście wspaniałą pracę.

Afdera usłyszała głos siostry dobiegający z maleńkiej pałacowej przystani wykutej w białym kamieniu. Assai, której szczupła sylwetka odcinała się na tle murów, machała rękami i podskakiwała w dziecinnym niemal podnieceniu.

- A oto i twoja siostra - odezwał się Hamilton.

- Tak, widzę - odparła Afdera.

Gdy tylko stanęła na brzegu, Assai padła jej z rozpędu w ramiona.

- Strasznie za tobą tęskniłam, siostrzyczko - wyszeptała ze łzami w oczach.

- Daj spokój, nie płacz. Zobaczysz, że zaraz będziesz mnie miała dosyć - zażartowała Afdera, gdy trzymając się za ręce, ruszyły w głąb pałacu.

Rosa, mimo podeszłego wieku, już spieszyła po schodach, by przycisnąć wychowanicę do obfitej piersi.

- Panienska Afdera! Panienska Afdera! Cóż to za radość widzieć panienskę po tak długim czasie! - wykrzykiwała.

- Och, Roso, nie masz pojęcia, jak mi brakowało twoich *baccalà mantecato** i *fegato alla veneziana*** - uśmiechnęła się z rozmarzeniem Afdera.

- Pewnie, zaraz zadbamy, żeby panienska trochę przytyła.

W tym Izraelu nic chyba nie jecie! No, po prostu skóra i kości!

Ale nic to, raz-dwa nabierzemy ciała i wydamy się za jakiegoś porządnego weneccjanina!

- No, Rosa, przestań układać jej życie - wtrąciła się Assai.

- Lepiej przygotuj pokój.

- Już dawno przygotowany! Ile czasu panienka zostanie?

- Jeszcze nie wiem, Roso. To zależy od stanu zdrowia babci.

- Babcia teraz odpoczywa. Powiedziała, żebyś się rozgościła.

Dziś wieczorem chce z tobą porozmawiać na osobności - oświadczyła cokolwiek tajemniczo Assai.

- A co tu robi Sam? - spytała Afdera.

- Wiesz, że babcia nie podejmie bez niego żadnej poważ-

niejszej decyzji. Przyleciał wczoraj z Berna i jeżeli dobrze zrozumiałam, zostanie przez tydzień. Ma ci wręczyć jakąś kopertę z pełnomocnictwami do czegoś tam w jakimś amerykańskim banku, ale babcia ci to lepiej wyjaśni - tłumaczyła Assai. - Teraz, jak chcesz, to odpocznij. Musisz być zmęczona po podróży.

* Stona pasta z mielonego dorsza, specjalność wenecka (wł.).

** Wątróbka po wenecku (wł.).

- Wcale nie jestem zmęczona. Wykąpię się tylko i pójdę na spacer. Mam ochotę sprawdzić, jak się miewa Wenecja.

- Od twojego wyjazdu nic się nie zmieniło - zapewniła Assai.

- Tu się nic nigdy nie zmienia - odrzekła z uśmiechem Afdera, wchodząc na schody.

Kilka godzin później, po długiej przechadzce po weneckich zaułkach, wróciła do Ca' d'Oro. Przez całe popołudnie, zagłębiając do swoich ulubionych zakątków, zastanawiała się, co takiego chce jej powiedzieć babka, że tak zdecydowanie i nagle wezwała ją do siebie z Bliskiego Wschodu. Z jej zdrowiem nie było może najlepiej, ale chyba i nie najgorzej. Zarówno Assai, jak Sampson wydawali się całkiem spokojni.

U wejścia do pałacu przywitała się Rosa.

- Babcia czeka na panienkę w bibliotece.

- Dziękuję, Roso, już idę - odpowiedziała Afdera, zmierzając spieszenie ku schodom.

Stanąwszy w drzwiach wielkiej biblioteki, dostrzegła skurczoną sylwetkę babki półleżącej na dużej sofie i przykrytej kocem. Obok siedział adwokat pochłonięty przeglądaniem jakichś papierów, które kolejno podsuwał starszej pani do podpisu.

- Wchodź, kochana, wchodź, i podejdź tu do mnie - odezwała się Crescentia Brooks, poklepując siedzenie ustawionego przy sofie krzesła. - Pozwól tylko, że skończymy z tymi dokumentami, aby Sampson mógł zostawić nas same.

- Oczywiście, babciu - odrzekła Afdera i posłusznie usiadła na wskazanym miejscu.

Po paru minutach adwokat starannie pochował dokumenty do skórzanej teczki, wstał i stuknąwszy obcasami, skierował się ku drzwiom.

- Nienawidzę tego - powiedziała Crescentia Brooks.

- Czego?

- Tej manii Sampsona na punkcie stukania obcasami - wyja-

śniła starsza pani, zniżając głos, jakby miała nadzieję, że adwokat jej nie usłyszy.

- To moja niemiecka część każe mi tak robić - rzucił Hamilton od wyjścia.

- O, proszę, zawsze tak jest: niby nie słucha, a wszystko słyszy.

Tego też nienawidzę - oświadczyła Crescentia.

- Słyszałem - rzekł adwokat i zniknął za drzwiami.

Sekundę później weszła Rosa, niosąc srebrną tacę z dwiema fili-

zankami, czajnikiem pomarańczowej herbaty i ciastkami. Na osobnym srebrnym talerzyku piętrzyły się ciasteczka z amaretto.

- Nie powinnaś jeść tyle słodczy, babciu - odezwała się z wyrzutem Afdera.

- A cóż zmieni jedno ciasteczko czy cukierek? Sądzisz, że znacząco skróci mi życie? Głupstwa! - zaprotestowała starsza pani, sięgając po ciastko z kremem bananowym.

Afdera poprawiła się na krześle, wzięła z tacy jedną z filiżanek i wypaliła:

- To może mi w końcu powiesz, dlaczego właściwie musiałam tłuc się autobusem z Jerozolimy do Tel Awiwu, tam łapać samolot do Rzymu i nie przejmując się zgubionym na Fiumicino bagażem, lecieć zaraz dalej do Wenecji?

- Zaraz się dowiesz. Więc uważaj - odparła spokojnie Crescentia. - Musisz się wybrać do Ameryki, pójść do pewnego banku i zabrać z tamtejszego sejfu coś, co się w nim znajduje.

- Tylko tyle? Nie mogłaś poprosić o to Assai?
- Nie. Jedynie ty będziesz potrafiła pojąć, co masz przed sobą
- odrzekła starsza pani, dolewając sobie herbaty.
- Nie rozumiem, babciu. Assai zna się na sztuce nie gorzej niż ja i umie ocenić każde dzieło - zauważyła Afdera.
- Tak, tak, wiem. Zdaję sobie sprawę, że świetnie się spisała, katalogując nasze zbiory. Ale to ty musisz pojechać do Ameryki i zrobić, co powiedziałam. Ja jestem już na to za stara. I chcę, żebyś mnie wyręczyła.
- A Simpson? Może jako prawnik lepiej by się nadawał?
- Znajomość prawa nie ma tu nic do rzeczy, moja droga
- oświadczyła Crescentia, gładząc wnuczkę po policzku. - A to, co znajduje się w tamtym sejfie, jest dużo bardziej istotne, niż możesz przypuszczać.
- Istotne dla kogo?
- Dla chrześcijaństwa - wyjaśniła krótko starsza pani.
- Chodzi o skarb, którego powinnaś strzec jak oka w głowie.

A konkretnie o dwa bardzo ważne teksty: książkę i dziennik.

- Które dotyczą...?
- Sama się przekonasz. Jak już je przeczytasz, odpowiem na wszystkie twoje pytania, ale najpierw musisz się z tym wszystkim osobiście zapoznać.
- No nie, strasznie dziś jesteś tajemnicza, babciu - westchnęła Afdera.
- Przez całe lata chroniałam pewien sekret. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zamknęłam w nowojorskim sejfie jedną z największych tajemnic chrześcijaństwa. Aż wreszcie teraz, gdy stoję nad grobem, przyszła pora, by ktoś podjął moją misję i zrobił to, czego ja nie miałam odwagi uczynić. Do tego zadania wybrałam ciebie - stwierdziła stanowczo Crescentia Brooks.

Potem zadzwoniła na Rosę i dodała, zwracając się do wnuczki:

- Teraz zawołamy Simpsona. Dostaniesz od niego konieczne dokumenty, a także klucz. A, i chyba nie muszę dodawać, że nie powinnaś się martwić o finanse.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się służąca.

- Roso, Afdera leci załatwić coś dla mnie w Stanach

- oświadczyła autorytatywnie jej pracodawczyni. - Poproś do nas Simpsona.

Adwokat nie kazał na siebie czekać. Usiadłszy, wydobył

ze swojej eleganckiej teczki wypchaną brązową kopertę, z niej zaś

- dwie kartki z dwiema różnymi pieczęciami notarialnymi oraz klucz na łańcuszku, bardzo podobny do tych, którymi otwiera się skrytki na dworcach.

- Proszę, Afdero. Najlepiej zawieś go sobie na szyi i nigdy się z nim nie rozstawaj.

- Nawet pod prysznicem? - spytała Afdera, z rozbawieniem sprawdzając, jaki efekt wywrą te słowa na pruderyjnym dżentelmenie.

- Nawet pod prysznicem - przytaknął Hamilton, patrząc jej prosto w oczy. - Tu masz dwa notarialnie poświadczone pełnomocnictwa wystawione przez twoją babcię. Jedno z nich, sporządzone w Szwajcarii, daje ci prawo do dowolnego rozporzą-

dzania tym, co znajdziesz w amerykańskim sejfie. Drugie, przy-gotowane przez notariusza z Nowego Jorku, pozwoli ci w ogóle ten sejf otworzyć. Zapisałem też adres banku: HicksviUe, First National Bank, 106 West Old Country Road.

- HicksviUe? A gdzie to jest, na Boga?

- W stanie Nowy Jork, niedaleko od Manhattanu, w stronę Long Island. Proszę, oto bilet, lot numer 9201, Unites Airlines, z Rzymu do Nowego Jorku, klasa biznesowa, jutro po południu. Do tego masz tutaj numer rezerwacji w Avisie na lotnisku JFK, gdzie będziesz mogła odebrać samochód, oraz potwierdzenie rezerwacji w Tumblin Inn w HicksviUe, na South Broadway. Blisko stamtąd do banku. Zresztą w kopercie znajdziesz i plan, na wszelki wypadek. Plus trzy tysiące dolarów w banknotach po sto i pięćdziesiąt.

Nie przechulaj wszystkiego - upomniał ją Hamilton. - Jutro przed południem Francesco zabierze cię na Tronchetto, skąd pojedziesz na lotnisko taksówką. Lot jest o piętnastej.

- Proszę, proszę, o wszystkim pomyślałaś, Sam, nawet hotel mi wybrałaś. Mam tylko nadzieję, że nie będzie tam karaluchów

- uśmiechnęła się Afdera, biorąc z ręki adwokata grubą kopertę.

- Czy powinnam zbierać rachunki, abyś miał pewność, że nie trwonię pieniędzy na darmo?

- To pieniądze twojej babci, a tym samym niejako twoje. Więc w zasadzie nic mi do tego.

- No, tylko się nie obrażaj, Sam - poprosiła Afdera, podchodząc do prawnika. Stała na palcach i cmoknęła go w gładko wygolony policzek pachnący cedrowym płynem po goleniu.

Zanim się rozeszli, Crescentia zwróciła się jeszcze do wnuczki:

- Uważaj na siebie i zachowaj czujność. Wielu ludzi będzie chciało dostać tę książkę. Nie zapominaj o tym i nikomu nie ufaj.

Jesteś moją jedyną szansą. A teraz idź odpocząć. Ostatecznie jutro czeka cię podróż.

- Ale właściwie powinnam przedtem wrócić do Jerozolimy.

Zostawiłam w muzeum sporo niezamkniętych spraw - zreflek-towała się Afdera.

- Nic się nie martw. Rozmawiałam z Ilanem powiedziałam mu, że przez kilka miesięcy będę cię potrzebowała. Nie sprzeciwił

się - rzekła starsza pani, gestem uciszając wszelkie ewentualne protesty. - Dobranoc, kochanie.

Afdera zmierzała już do drzwi, kiedy ponownie usłyszała głos babki:

- Coś ci jeszcze powiem, drogie dziecko. Staraj się nigdy nie tracić ciekawości świata ani zdolności do dziwienia się mu.

Dopóki je zachowasz, żyjesz, ciałem i duszą. Nawet gdybyś miała wrażenie, że już umarłaś.

- Dobranoc, babciu - powiedziała Afdera i zawróciła, by poca-

łować staruszkę w policzek.

Hicksville, stan Nowy Jork

Przez całą podróż Afdera, gładząc zawieszony na szyi klucz do sejfu, zastanawiała się, jakie też sekrety kryją się w owej skrytce. Odpowiedź na to pytanie знаła na razie tylko babka, ale każda chwila lotu nad Atlantykiem przybliżała i ją, Afdere Brooks, do poznania prawdy.

Po sześciu godzinach zdecydowała się wypić małą butelkę białego wina, próbując jednocześnie wynotować sobie wszystkie informacje uzyskane od babki, nawet jeśli nie było ich zbyt dużo.

Z głębokiego snu, w który musiała niepostrzeżenie zapaść, wyrwał ją wstrząs - samolot właśnie wylądował na lotnisku JFK

w Nowym Jorku.

Przewieziona wraz z innymi pasażerami autobusem do terminalu, Afdera pokazała celnikom swój amerykański paszport i skierowała się do biura firmy Avis, gdzie przywitała ją dziewczyna w czerwonej marynarce z firmowym logo w klapie.

- Dzień dobry, w czym mogę pomóc? - spytała.

- Mam u państwa zarezerwowany samochód na nazwisko Brooks - wyjaśniła Afdera, szukając w brązowej kopercie kartki z numerem rezerwacji.

- Numer nie jest konieczny. Wystarczy prawo jazdy i paszport

- uspokoiła ją dziewczyna.

Pół godziny później, co rusz zerkając na wielką mapę roz-

łożoną na siedzeniu pasażera, Afdera usiłowała wydostać się drogą numer 678 na Van Wyck Expressway. Później, zgodnie z tym, co mówiła dziewczyna z Avisu, należało jechać prosto aż do Queens i skręcić w prawo w Long Island Expressway. Choć hotel od lotniska dzieliło nie więcej niż czterdzieści kilometrów, pokonanie tego odcinka zajęło Afderze, zagubionej w sieci amerykańskich dróg i autostrad, prawie godzinę. Dlatego wołę Europę, pomyślała, walcząc z mapą, która uparcie składała się wpół i zsuwała z fotela.

Hicksville okazało się typową amerykańską miejscowością

- oprócz budek sprzedających *bagels*, wypożyczalni chevroletów, fordów i pontiaców, sklepów z maszynami rolniczymi firmy John Deere, kilku białych kościołów i paru położonych w centrum restauracji niewiele tam było.

Znalazłszy się wreszcie na North Broadway, Afdera skierowała swojego pontiaca wprost ku skrzyżowaniu z West Old Country Road, gdzie mieściła się siedziba First National Bank.

Zaparkowała naprzeciwko banku i weszła do środka. Grupka staruszków stała w kolejce po odbiór emerytur, a chłopak wyglą-

dający na studenta przebranego za farmera rozdawał ulotki zachę-

cające rolników i hodowców do brania niskooprocentowanych kredytów. Afdera podeszła do jakiejś kobiety w okienku i zapytała o dyrektora. Potem patrzyła, jak tamta podchodzi do mężczyzny w średnim wieku i oboje kierują wzrok prosto na nią. Wreszcie mężczyzna wstał zza biurka i ruszył w jej stronę.

- Dzień dobry. Moje nazwisko James Dickins, jestem dyrektorem tego banku. W czym mogę służyć?

- Nazywam się Afdera Brooks i przyleciałam z Włoch po coś, co znajduje się u państwa w sejfie.

- W sejfie? Zdziwiałające. Znam wielu klientów korzystających z sejfów w naszym banku, a jednak panią widzę po raz pierwszy

- rzekł dyrektor, prowadząc ją do swojego gabinetu.

- To pewnie dlatego, że z państwa sejfu korzystała dotąd moja babka, Crescentia Brooks. Nie wiem, od jak dawna. Babcia mieszka w Europie, jest chora i nie może odbywać dalekich podróży.

Poprosiła mnie więc, żebym przyjechała i odebrała jej własność.

Proszę, tu mam klucz do sejfu - wyjaśniła Afdera, sięgając do łańcuszka na szyi.

James Dickins przeczytał wręczone mu pełnomocnictwa, wciąż jednak zdawał się wahać.

- Proszę wybaczyć. Dokumenty są w porządku, ale ten sejf nie był otwierany od lat, dlatego wolałbym się porozumieć ze zwierzchnikami z centrali na Manhattanie - tłumaczył nerwowo.

- Proszę się nie przejmować. Poczekam - zapewniła cierpliwie Afdera i sięgnęła po leżący obok magazyn poświęcony maszynom rolniczym.

Dyrektor wrócił po kilku minutach.

- Wszystko w porządku. Proszę za mną.

Przez tylne drzwi przeszli do jeszcze pilniej strzeżonej części banku. Przywitawszy się z uzbrojonym strażnikiem, Dickins otworzył kratę, za którą znajdowało się pomieszczenie z sejfami.

- Sejf wynajmowany przez pani babcię ma numer 1-4-2. Jeśli pozwoli pani swój klucz, to zaraz otworzymy.

- Oczywiście, proszę - powiedziała Afdera, po raz pierwszy od wielu godzin zdejmując z szyi łańcuszek.

Dickins włożył klucz podany mu przez Afderę w jedną dziurkę, swój zaś - w drugą, ale gdy je przekręcił, nic się nie stało.

Zaniepokojony, wyraźnie nie rozumiał, co się dzieje.

- Naprawdę, proszę pani, nic takiego nigdy nam się nie zda rzyło - jękał.

Afdera obrzuciła go zniecierpliwionym spojrzeniem.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodzi. Interesuje mnie wyłącznie zawartość sejfu opłacanego przez moją babkę.

Nie po to spędziłam wiele godzin w samolocie, a potem jeszcze błąkałam się po jakichś przeklętych autostradach, żeby mi pan Chodziło o księgę oprawioną w bardzo zniszczoną skórę.

Papirus wysechł i przy każdym dotknięciu mógł się pokruszyć i zmienić w bezwartościowy proszek. Afdera naliczyła trzydzieści dwie karty - każda wypełniona z obu stron. Poza tym był jeszcze gruby, zapisany odręcznie notes spięty skórzanym pasem.

Starając się jak najmniej poruszać papirusową księgą, Afdera sięgnęła po dziennik i otworzyła go na pierwszej stronie.

Natychmiast rozpoznała okrągłe pismo babki. Odczytała pierwsze zdania:

Miałam misję. Judasz prosił, bym coś dla niego zrobiła.

Zresztą, jak się nad tym zastanowić, to coś więcej niż misja.

Sądzę, że Judasz wybrał mnie, abym zrehabilitowała go w oczach ludzkości, a teraz odpowiedzialność za to spadnie na Ciebie, drogie dziecko. Dziennik, który trzymasz w ręku, pomoże Ci postawić pierwsze kroki na tej drodze. Chroń Ewangelię, Ewangelię według Judasza.

Afdera nie wierzyła własnym oczom - oto miała przed sobą coś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa było rodzajem testamentu tego, kto, jak wierzone, zdradził Chrystusa.

Nad Hicksville zapadał zmierzch. Bank już zamknięto, ale Afdera i dyrektor James Dickins wciąż siedzieli w gabinecie.

Strzegącego pomieszczenia z sejfami strażnika zaalarmował

dzwonek. To sekretarka dyrektora wracała z plastikowym pudeł-

kiem, do którego Afdera chciała zapakować manuskrypt. Nada się doskonale, pomyślała.

- Teraz potrzebuję jeszcze trochę czystych kartek, żeby wyło-

żyć nimi pudełko - poprosiła.

Wprawnyymi, nawykłymi do zajmowania się dziełami sztuki dłońmi powoli ułożyła w plastikowym pojemniku księgę oraz niezliczone skrawki papierusa, które odłamały się od kart i walały po sejfie. Upewniwszy się, że zebrała wszystko, pożegnała się z dyrektorem i opuściła bank.

Gdy wyszła na ulicę, po plecach przebiegł jej dreszcz.

Znajdowała się gdzieś w Ameryce, była całkiem sama i miała przy sobie dokument nie tylko wartościowy, ale w dodatku zdolny postawić pod znakiem zapytania nauki Kościoła katolickiego.

Wcześniej zamierzała wrócić wieczorem na Manhattan i prze-nocować w jakimś dobrym hotelu w mieście, jednakże w zaistnia-

łej sytuacji uznała, że lepiej nie ryzykować i spędzić noc w miejscu wybranym przez Sampsona w Hicksville.

Pojechała więc do Tumblin Inn i poprosiła recepcjonistę, by jej nie przeszkadzać. Zamierzała się nie kłaść i czytać do rana dziennik babki, podziwiając leżącą w zasięgu ręki księgę. Chciała jeszcze zatelefonować do Wenecji, ale spojrzała na zegarek i zrezygnowała. W Europie dopiero świta. Babcia pewnie śpi. Zadzwonię potem, pomyślała.

Czytała przez całą noc, chłonąc każde ze słów babki, każdy fakt, każdą cyfrę, każdą datę i nazwisko.

Próbowała jak najwięcej zapamiętać mimo zmęczenia i senności. Przed oczami przesuwały jej się wklejone do notesu wizytówki hoteli, czarno-białe fotografie ze statkami tnącymi wody Nilu oraz serwetki z zanotowanymi na nich numerami i nazwiskami.

Watykan

W centrali telefonicznej Pałacu

Watykańskiego zadzwieczał dzwonek.

- Watykan, słucham? - odezwał się zakonnik ze zgromadzenia orionistów, odpowiedzialnych za watykańską telekomunikację od czasu, gdy w 1886 roku na polecenie papieża Leona XIII w Stolicy Apostolskiej zainstalowano pierwszą centralkę.

- Chciałbym rozmawiać z sekretarzem stanu. To bardzo ważne

- powiedział głos po drugiej stronie linii.

-

Chwileczkę, łączę z Sekretariatem Stanu - odparł zakonnik.

W słuchawce przez dłuższy czas rozbrzmiewała religijna muzyka, którą na koniec przerwały słowa:

- Tu ojciec Emery Mahoney, osobisty sekretarz sekretarza stanu. Czego pan sobie życzy?

Wtedy głos po drugiej stronie linii wypowiedział kilka słów po łacinie:

- *Fructum pro fructo* *.

- *Silentium pro silentio* ** - odparł ojciec Mahoney.

- Moje nazwisko Denton Halston. Pełnię straż w Nowym Jorku i chciałbym mówić z kardynałem Lienartem.

- Dobrze, bracie. Momencik - rzekł Mahoney.

Zza drzwi, z gabinetu sekretarza stanu, kardynała Augusta Lenarta, dobiegała 1. symfonia Sibeliusa. Mahoney delikatnie zapukał. Dźwięki urwały się i dał się słyszeć zapraszający do środka głos kardynała.

- Mogę, eminencjo? - spytał z szacunkiem Mahoney.

- Proszę, proszę, mój drogi - odpowiedział Lienart, wyciągając prawą dłoń, tak by nowo przybyły mógł ucałować pierścień ze skrzydlatym smokiem pysznącym się od stuleci w herbie rodu Lienartów.

- Dzwoni jeden ze strażników, eminencjo. Z Nowego Jorku

- wyjaśnił sekretarz.

Lienart stał przez chwilę bez słowa, obserwując rozciągający się w dole plac Świętego Piotra. Potem nagle odwrócił się do Mahoneya.

- W porządku, przełącz go na bezpieczną linię - nakazał

i sekretarz natychmiast wycofał się w stronę drzwi.

Kilka sekund później zadzwonił stojący na biurku Lienarta czerwony telefon. Denton Halston powtórzył łacińskie wezwanie:

- *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio* - odrzekł kardynał.

- Nazywam się Denton Halston, pełnię służbę w Nowym Jorku i chciałem poinformować eminencję o pewnym zdarzeniu

- oświadczył wiceprezes First National Bank.

* *Fructum pro fructo* (łac.) - Przysługa za przysługę. (Wszystkie przypisy od tłumaczki).

** *Silentium pro silentio* (łac.) - Milczenie za milczeniem.

- Słucham, bracie - zachęcił go Lienart.

- Ewangelia została wyjęta z sejfu.

- W porządku, drogi bracie. Wiadomość odebraliśmy.

Odłożywszy słuchawkę, Lienart przyciął hawańskie cygaro srebrnym obcinaczem, a potem wezwał sekretarza.

- Chyba czeka cię misja, drogi bracie Mahoney.

- Co mam zrobić?

- Zostaniesz moim nowym aniołem zwiastującym nowinę - rzekł

Lienart, uśmiechając się przelotnym, zimnym uśmiechem. - Za dwa dni udasz się kolejno do siedmiu miejsc na ziemi, aby wręczyć zapieczętowany list siedmiu braciom, którzy następnie stawią się na spotkanie z tobą w kościele Santa Maria della Salute w Wenecji, w dniu i o godzinie przeze mnie osobiście wyznaczonych. Do tego czasu mają poczekać w Wenecji i przygotować się do działania.

- Tak, eminencjo.

- Trzeba zadbać, żeby wszystko przebiegło jak trzeba i żeby bracia dostali wygodne lokum.

- Oczywiście, eminencjo, zajmę się tym - zapewnił sekretarz.

Ojciec Emery Mahoney miał nieco ponad czterdzieści lat i irlandzkie korzenie. Wiele osób w kurii twierdziło, że bez koloratki przypominałby raczej maklera z Wall Street niż coraz bardziej wpływowego kardynalskiego sekretarza, którym był.

Przybył do Watykanu z Nowego Jorku, gdzie z dużym powodzeniem pracował w szkołach Harlemu wśród dzieci z najuboższych rodzin. W ramach nagrody został przydzielony do katedry Świętego Patryka. Od tej pory swój czas, zamiast z dziećmi z Harlemu, spędzał

na wizytach w bogatych domach przy Park Avenue, Piątej Alei czy generalnie w okolicach Central Parku. Lekcje ustąpiły podwieczor-kom i przyjęciom, na które zapraszali go przedstawiciele nowojor-skiej elity. Zresztą, rzeczywiście bardziej nadawał się do zdobywania funduszy niż do głoszenia słowa bożego w trudnych dzielnicach.

I tak to trwało, aż zainteresował się nim kardynał Lienart, kierujący wtedy Świętym Przymierzem, potężnym tajnym wywiadem Stolicy Apostolskiej, określanym w kurii mianem Jednostki.

Z czasem Mahoney wszedł w skład Kręgu Octogonus - sekretnej organizacji złożonej z ośmiu księży, byłych agentów Jednostki, gotowych „w imię Boga na męki” i działających pod bezpośrednim kierownictwem samego Lienarta.

Kiedy poprzedni papież zwolnił kardynała z funkcji szefa Jednostki, ośmiu członków Kręgu zdecydowało się służyć pod komendą Lienarta. Mahoney został wówczas jego sekretarzem, po tym jak jego poprzednik, monsignore Waclaw Przydatek popeł-

nił samobójstwo, rzucając się ze schodów Bramantego, zanim zdą-

zył złożyć żandarmerii watykańskiej planowane zeznania na temat ciemnych sprawek, w które miał być podobno zamieszany.

- Skoro to już wszystko, pozwoli eminencja, że się oddalę.

- Oczywiście. Dobranoc, bracie Mahoney - odpowiedział

Lienart.

Gdy sekretarz wyszedł, kardynał zażądał połączenia z redakcją „L'Osservatore Romano”, oficjalnego dziennika Stolicy Apostolskiej.

- Już się robi - rzekł asystent, do którego Lienart zwrócił się z tą prośbą.

Czekając na połączenie, kardynał dalej palił cygaro i obserwował powoli pustoszejący plac w dole. O tej wieczornej godzinie szczególnie lubił podziwiać widok ze swego okna.

Z kontemplacji wyrwał go dzwonek telefonu.

- Eminencjo, łączę z panem Giorgiem Foscatim z „L'Osservatore Romano”.

- Pan Foscati? - spytał Lienart.

- Tak, eminencjo, Giorgio Foscati, do usług.

- W najbliższych dniach, a pewnie i w ciągu najbliższych miesięcy będę pana prosił o drukowanie od czasu do czasu małej notki we włoskim wydaniu pańskiej gazety.

- Oczywiście, eminencjo! Zaszczycem jest praca dla eminencji, Sekretariatu Stanu, Stolicy Apostolskiej i Ojca Świętego.

- Proszę wziąć papier i ołówek i zanotować: *Animus hominis est immortalis, corpus mortale**. Niech to da pojutrze na czwartej stronie.

* *Animus hominis est immortalis, corpus mortale* (łac.) - Duch ludzki jest nieśmiertelny, ciało śmiertelne.

- Załatwione.

- Dobranoc, panie Foscati.

Jednakże dziennikarz nie zegnał się jeszcze.

- Eminencjo, moja szesnastoletnia córka, Daniela, ma za kilka miesięcy przystąpić do bierzmowania i pomyślałem, że zaszczycem byłoby, gdyby przyjęła ten sakrament z rąk eminencji.

- Podjąłbym się tego z wielką przyjemnością, ale nie wiem, czy mi na to pozwoli napięty grafik Sekretariatu Stanu. Jesteśmy bardzo zajęci organizacją oficjalnych wizyt i naprawdę nie wiem, czy...

- Dużo czasu to przecież eminencji nie zajmie, a dla mnie i mojej żony ten gest znaczyłby tak wiele. Daniela jest wszystkim, co mamy... I bardzo się przejmuje... - nalegał dziennikarz.

- W takim razie spróbuję przynajmniej zapewnić jej szczególne błogosławieństwo Ojca Świętego na ten wyjątkowy dzień. Proszę się nie martwić, drogi Giorgio, i, oczywiście, proszę pamiętać o mojej prośbie. Ukłony dla małżonki.

- Dobranoc, eminencjo.

Zakończywszy w ten sposób dzień pracy, kardynał Lienart stał jeszcze długo przed wielkim oknem, głęboko zaciągając się cygarem.

Wenecja

Prawie o tej samej porze w mieście kanałów Crescentia Brooks umierała na zawał serca w swoim

domu Ca'

d'Oro.

Na podłodze sypialni znalazła ją Rosa. Wkrótce potem lekarz rodziny, doktor Fabiani, wydał świadectwo zgonu.

- Muszę zadzwonić do Afdery, powiedzieć jej, co się stało - szlochała Assai w ramionach próbującego ją pocieszać Sampsona.

- Może ja to zrobię?

- Nie. Jestem jej siostrą i to ja powinnam ją zawiadomić -

odparła, wycierając twarz chusteczką. - Ale za to mógłbyś się zająć przygotowaniem do pogrzebu, poinformować, kogo trzeba.

Chwilowo nie mam siły układać zawiadomień ani podpisywać żadnych dokumentów. Dlatego wolałabym, żebyś ty to wszystko załatwił.

- Dobrze. Tym się nie martw. Pogrzeb i przyjmowanie kondolencji biorę na siebie.

Pożegnawszy adwokata, Assai zadzwoniła do Afdery.

- Tumblin Inn, słucham - powiedział jakiś głos.

- Chciałabym rozmawiać z Afderą Brooks.

- Chwileczką, łączę.

Po dwóch sygnałach Assai usłyszała głos siostry.

- Afdera, tu Assai.

- Co się dzieje? - spytała zaniepokojona Afdera.

- Chodzi o babcię. Kilka godzin temu umarła na zawał. Musisz wracać.

- Zrobię wszystko, co się da, żeby być jak najszybciej i nie zostawiać cię samej z przygotowaniem do pogrzebu - zapewniła Afdera.

- Z papierami pomaga mi Sampson, obiecał też, że powiadomi różne osoby, ale tak czy owak, bardzo cię tu potrzebuję. Obok siebie.

- Wrócę błyskawicznie, zobaczysz. Nic się nie martw. To na razie.

- Na razie. Teraz zostałyśmy tylko we dwie.

Rozłączywszy się, Afdera wybuchnęła płaczem, wspominając niezliczone dobre chwile spędzone z babką. Była sama w pustym pokoju, za jedyne towarzystwo mając księgę Judasza, rozsypującą się w plastikowym pudełku pod łóżkiem.

III

Wenecja

Pogrzeb Crescentii Brooks rozpoczął się mszą w kościele San Stae. Do Afdery i Assai co rusz podchodzili z kondolencjami żałobnicy, który zjechali się z całego świata.

Żadna z sióstr nigdy nie widziała tych poważnych teraz ludzi; każdy próbował je pocieszyć, wygłaszając zwyczajową formułę.

Nad przyciszonymi rozmowami górowała uwertura „Egmont”

Beethovena.

- Chciałbym złożyć paniom najszczerze kondolencje - powiedział jakiś mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze i również czarnym krawacie. Assai podała mu dłoń. - Panno Afdero, najszczerze wyrazy ubolewania - dodał, ściskając z kolei dłoń starszej z sióstr, która odnosiła wrażenie, że ugina się pod cięż-

żarem płynącej z góry muzyki i tego ciemnego, nieprzyjemnego dnia.

- Och, dziękujemy, to prawdziwy cios - zdołała wykrztusić, zanim nieznajomy odwrócił się i zniknął w kościele.

Ten piękny budynek z 1709 roku, o fasadzie zaprojektowanej przez Domenica Rossiego, uwieczniony potem przez wielkiego Canaletta, był jednym z ulubionych miejsc zmarłej, może nawet czymś w rodzaju kryjówki, gdzie szukała schronienia przed światem. Tutaj, wśród dzieł Giovanniego Battisty Piazzetty i Tiepola, odbywała długie rozmowy z ojcem Foscarim. Afdera wiedziała, że jej babka miała ogromny sentyment do tego kościoła poświę-

conego świętemu Eustachemu, generałowi wojsk cesarza Trajana, znanemu z dobroczynności oraz z tego, że objawił mu się Bóg, w związku z czym Eustachy przeszedł na chrześcijaństwo i wraz z żoną oraz dwoma synami skazany został przez cesarza Hadriana na śmierć w gorącym wnętrzu zrobionego z brązu byka.

- Afdi! Afdi!

Z rozmyślań wyrwał ją głos siostry; msza zaraz się zaczęła.

- Już idę. Wspominałam babcię - odparła Afdera, biorąc Assai za rękę i kierując się ku drzwiom kościoła.

Przez całe nabożeństwo nie mogła się pozbyć wrażenia, że ktoś ją obserwuje. W pewnym momencie popatrzyła w prawo i ujrzała, że tamten mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze przypatrzył jej się z uwagą. Krępowowało ją to. Nie знаła tego człowieka, choć przed kościołem zwrócił się do niej poufale i po imieniu.

Tyle że, prawdę mówiąc, nie знаła nikogo z tych, którzy z zasmuconymi twarzami tłoczyli się teraz dookoła w ławkach.

Po mszy żałobnicy udali się do Ca' d'Oro, gdzie wpisywali się do księgi kondolencyjnej. Profesorowie, archeolodzy, dyrektorzy muzeów, marszandzi, właściciele galerii z antykami, renowatorzy, naukowcy, tłumacze z egzotycznych języków, szpiedzy, finansiści, adwokaci, bogaci kolekcjonerzy, a nawet rabusie grobów i złodzieje - wszyscy żegnali zmarłą marszandkę.

- Kim może być tamten facet? - spytała Afdera, stojąc z puchar-kim ponczu w dłoni i obserwując mężczyznę, który przyglądał

się jej w kościele.

- O kim mówisz?

- O tym tam, w czarnym garniturze na wymiar.

- Nigdy w życiu go nie widziałam, ale jest całkiem niezły, co?

- Tak, bardzo przystojny. Spytam Sampsona, czy coś o nim wie - powiedziała coraz bardziej zaintrygowana Afdera.

Rozglądając się za adwokatem babki, zauważyła, że nieznajomy pożegnał się tymczasem z kilkoma osobami, których również nie znała, a potem wyszedł z pałacu i wtopił się w tłum sunący po strada Nova.

Afdera, odprowadziwszy go wzrokiem, zawróciła i od razu wpadła na adwokata.

- O! Sampson! Szukałam cię. Widziałeś tego faceta, który właśnie wyszedł?

- Nie wiem, kogo masz na myśli.

- Taki muskularny, elegancki, w czarnym garniturze. Musi mieć kasę, bo ten garnitur był na miarę, możliwe, że z Savile Row.

Facet wyglądał jak londyński broker.

- Naprawdę nie zwróciłem uwagi, moja droga, ale twoja babcia utrzymywała kontakty biznesowe z wieloma ludźmi, których nawet ja nie znałem.

- Trudno, nieważne - odrzekła Afdera.

Już się odwracała, by odejść, gdy adwokat zapytał:

- Powiesz mi, co znalazłaś w tym sejfie w Hicksville?

- Później - obiecała. - Jeśli chcesz, spotkajmy się jutro rano w bibliotece. Będę potrzebowała twojej

pomocy. Muszę skontaktować się z paroma znajomymi babci, a ty przecież większość z nich znałeś.

Następnego poranka Afdera i Assai wciąż były w nie najlepszym stanie w związku z wydarzeniami ubiegłych dni. Afdera miała jeszcze na sobie szlafrok, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi.

W chwilę potem stanął w nich Sampson Hamilton, jak zwykle nienagannie ubrany - tym razem w prążkowany błękitny garnitur i jedwabny krawat od Marinello.

- Dzień dobry, Roso.

- Dzień dobry, panie Sampsonie. Panienska Afdera je śniadanie w bibliotece.

- Dobrze, nie przeszkadzaj sobie, Roso. Sam pójde na górę

- rzekł adwokat, kierując się ku schodom.

Zza uchylonych drzwi do biblioteki dobiegały dźwięki inter-mezza Sfasmana zakłócone głosami dwóch sióstr.

- Dzień dobry, Sampson.

- Dzień dobry, Afdero - odrzekł adwokat, natychmiast przenosząc wzrok na Assai, która, ubrana jedynie w lekki jedwabny szlafrok, podniosła się z krzesła i ruszyła do wyjścia.

Afdera wiedziała, że jej siostra podoba się mężczyznom, a Sampsonowi w szczególności. Dobitnie świadczyły o tym jego spojrzenia, którymi obrzucał ją przy każdym spotkaniu.

- Może powinienes jej powiedzieć, co do niej czujesz - ode zwała się Afdera.

Sampson poczerwieniał na tę niespodziewaną uwagę.

- Sam nie wiem... Chyba się boję, że mnie odrzuci. No, ale do roboty - uciał zdecydowanie, sięgając po swoją teczkę, z której następnie zaczął wydobywać dokumenty wymagające podpisu Afdery. - Zdradzisz mi teraz, co było w sejfie?

Afdera wstała i sięgnawszy po plastikowe pudełko, postawiła je na stole. Potem po prostu je otworzyła. Widząc nadgryzioną zębem czasu księgę, Sampson mruknął:

- Bardzo stary rękopis. Ciekawe, czego dotyczy, że bawimy się w te wszystkie tajemnice...

- Masz oto przed sobą, drogi Sampsonie, zaginioną Ewangelię według Judasza. W gruncie rzeczy jedyne pewne źródło wiedzy o nim.

- Poczekaj... Masz na myśli Judę? Judę Tadeusza?

- Nie. Mam na myśli Judasza, Judasza Iskariotę, tego, który podobno zdradził Chrystusa - wyjaśniła Afdera.

- Naprawdę sądzisz, że to coś, co zresztą nie wygląda zbyt imponująco, może mieć jakieś znaczenie?

- Tak sądziła babcia. Miała tę księgę, o ile wiem, przynajmniej od 1965 roku. Wtedy właśnie ukryła ją w sejfie wynajętym w First National Bank w Hicksville. Może jednak już wcześniej weszła w jej posiadanie. Zostawiła mi zresztą wraz z nią swój dziennik.

-Mówiłaś, że będziesz potrzebowała jakichś kontaktów.

Jakich?

- Muszę wiedzieć, czy babcia miała kogoś zaufanego w Fundacji Helsinga w Bernie.

- Sprawdź. Ale dlaczego tam?

- To jedyne miejsce, gdzie można zrobić renowację i tłumaczenie naszej księgi tak, by nikt postronny o niczym się nie dowiedział. Słyszałam, że ludzie związani z tym ośrodkiem mają duże wpływy na całym świecie i nie liczą się z pieniędzmi, są zainteresowani wyłącznie dawną sztuką i odczytywaniem przeszłości na podstawie zachowanych zabytków. Babcia kilkakrotnie powierzała im do renowacji przechodzące przez jej ręce przedmioty.

A jeśli ona im ufała, to i my chyba możemy.

- Chcesz sama im zawieźć rękopis?

- Tak. Babcia zleciła mi tę misję tuż przed śmiercią. Jestem przekonana, że cała ta sprawa była dla niej szczególnie ważna.

Teraz więc stała się szczególnie ważna i dla mnie.

- Szczerze mówiąc, Fundacja Helsinga nie cieszy się zbyt dobrą opinią. Za wiele o niej nie wiadomo. Mają masę pieniędzy, świetnie wyposażone pracownie i laboratoria, a nikt nie wie, skąd się biorą pieniądze na to wszystko - zauważył adwokat.

- Bzdury.

- Oby. Wolałbym nie procesować się z instytucją, o której brak jakichkolwiek danych. Pojawiły się nawet pogłoski, że to ośrodek sponsorowany przez handlarzy bronią i kolumbijskie kartele narkotykowe, bo tamci w ten sposób piorą brudne pieniądze.

- Wszystko mi jedno. Mnie zależy tylko na renowacji i przetłumaczeniu tego tekstu. I nieważne, skąd pochodzą pieniądze fundacji - oświadczyła Afdera, chcąc zakończyć rozmowę.

Nie miała ochoty wtajemniczać Sampsona w to, co Crescentia Brooks mówiła o niebezpieczeństwach związanych z tą misją i o ciemnych siłach, które z pewnością zechcą zdobyć rękopis.

Zanim się rozeszli, adwokat poinformował ją jeszcze, że w ciągu kilku dni będzie można otworzyć

testament.

- Wszystkim się zajmę, włączając w to uregulowanie kwestii związanych z podatkiem spadkowym tutaj, w Szwajcarii i w Stanach. To, co należało do twojej babci, w tym jej firmy, należy teraz do ciebie i Assai. Crescentia życzyła sobie, żebyście we dwie przejęły interes. Będę ci pomagał, dopóki zechcesz.

Bo w każdej chwili możesz zrezygnować z moich usług.

- Och! Przecież nie potrafiłabym się bez ciebie obejść! - odpar-

ła Afdera. - Assai też nie - dorzuciła, uśmiechając się kpiąco.

- A, jeszcze jedno - powiedział adwokat, ignorując jej ostatnią uwagę. - Jeśli podejrzewasz, że komuś mogłoby zależeć na zawartości tego pudełka, dobrze je zabezpiecz. Ktokolwiek interesuje się tą sprawą, z pewnością już wie, że sejf w Hicksville został

opróżniony.

Watykan

W Sekretariacie Stanu wrzało, a to z powodu zbliżającej się wizyty prezydenta Francji. Kardynał Lienart, zamknięty w swoim gabinecie w Pałacu Apostolskim, zajęty był

dopinaniem wszystkiego na ostatni guzik.

- Siostrze Ernestine, proszę do mnie wezwać ojca Mahoneya

- polecił, przeglądając jakieś dokumenty.

Francuska zakonnica pilnowała rozkładu zajęć i prowadziła korespondencję kardynała od kilku dekad. W Watykanie porów-nywano ją często do słynnej Pascaliny Lehnert - wszechpotężnej sekretarki papieża Piusa XII, pracującej z nim od czasu, gdy w 1917 roku został nuncjuszem apostolskim w Niemczech, z siedzibą w Bawarii, aż do jego śmierci w 1958 roku. Przeciwnicy Lienarta wręcz nazywali siostrę Ernestine papieżycą. Nie było szans, by bez jej zgody dostać się z czymkolwiek przed oblicze kardynała. Wpływowy kardynał Ulrich Kronauer, osobisty asystent Jego Świątobliwości, a przy okazji jeden z najgroźniejszych wrogów Lienarta, poważnie brany pod uwagę na dwóch ostatnich konklawe, powiedział nawet przy jakiejś okazji, że łatwiej byłoby ewentualnemu zabójcy sforsować zaporę Gwardii Szwajcarskiej i dostać się do Ojca Świętego, niż wywieść w pole siostrę Ernestine, by przedrzeć się do „naszego drogiego kardynała Lienarta”. Obecni przy tym dostojnicy zaśmiali się z dowcipu, byli jednak trochę niespokojni, czy ten żart nie dotrze aby do uszu sekretarza stanu.

Kiedy indziej, przechadzając się po watykańskich ogrodach, kardynał Kronauer rzekł do spacerujących z nim osób: „Wszystkich nas zalewają fale ciemności, ale podczas gdy my, członkowie Kolegium Kardynałów Świętego Kościoła Rzymskiego, obijamy się o ściany, próbując walczyć o dobro Ojca Świętego, Lienart siedzi sobie spokojnie na środku pokoju”. Zaraz po tych słowach reszta

dostojników rozpięzła się w pośpiechu, jakby nie chcąc, by potężny sekretarz stanu ujrzał ich w nieodpowiednim towarzystwie.

W przeciwieństwie do siostry Ernestine ojciec Mahoney, mimo że nosił tytuł oficjalnego sekretarza, odpowiadał za prywatny kalendarz spotkań kardynała oraz za jego sprawy - by tak rzec

- równoległe.

Po drodze do zajmowanego przez Lienarta, obszernego i jasnego gabinetu, znajdującego się bezpośrednio pod komnatami papie-

ża, Mahoney obserwował ożywiony ruch spowodowany wizytą francuskiego prezydenta.

- Eminencja mnie wzywał?

- Tak, bracie Mahoney. Proszę, proszę do środka. Jeszcze tylko przejrzę menu przewidziane na obiad, który Jego Świątobliwość spożyje ze swoim gościem, i już przechodzimy do rzeczy.

Przy biurku kardynała stał szef kuchni Pałacu Apostolskiego ze swą pomocnicą.

- No, dobrze. Drogi Luigi, droga siostrzo Germano, spójrzmy, co my tu mamy... - zwrócił się do nich Lienart, w zamyśleniu wodząc wzrokiem po podanej mu liście dań. - Najpierw *oeuf à la Medici* albo *garganelli in brodo con rigaglie**. Jako danie główne *pascoline d'agneau à la royale*** , gotowany pstrąg w delikatnej aromatycznej marynacie lub szaszłyki mięsne z ziołami. Na deser pudding mleczno-ryżowy z miodem i kasztanami. Wreszcie, do kawy i herbaty, *panettone*, ciastka watykańskie i marcepanowe

„kości świętego”. I pomyśleć, że przygotowujemy takie smakołyki dla kogoś, kto ostatnio napsuł nam tyle krwi - mruknął, zerkając w stronę sekretarza i siostry Ernestine, którzy uśmiechali się lekko. - W porządku, zaserwujemy temu Francuzowi *garganelli*, pstrąga i pudding - zakończył.

- Wedle dyspozycji, eminencjo - oświadczyli chórem kucharz i siostra Germana, po czym kolejno ucałowali kardynalski pier-

ścień i opuścili gabinet.

Lienart wstał zza wielkiego biurka i odwrócił się ku wiszącemu na ścianie obrazowi. Uruchomił ukryty mechanizm i odsłonił

znajdujący się za płótnem sejf.

* Makaron w rosoli z podrobami (wł.). **

Jagnię po królewsku (fr.).

- Kardynał Metz, mój poprzednik na tym stanowisku, lubował

się w sekretach, stąd te zabawki w postaci sejfów pochowanych za obrazami - objaśnił, wydobywając ze skrytki osiem białych kopert zapieczętowanych znakiem skrzydlatego smoka, herbu rodziny Lienartów. - Jutro, drogi bracie, wyruszysz w podróż po świecie, żeby osobiście dostarczyć te koperty adresatom -

dodał, zbliżając się do ojca Mahoneya.

- Ale, eminencjo, prezydent Francji przylatuje do Watykanu i... - ośmielił się zaprotestować Mahoney.

- To żadna przeszkoda. Już ja się zajmę tym przeklętym here-tykiem, który faworyzuje laicką państwową edukację kosztem naszej i popiera rozwody. Skończy się tym, że poprze też małżeń-

stwa homoseksualne - syknął ze złością Lienart. - Najważniejsze teraz, by jak najszybciej dostarczyć te siedem kopert siedmiu braciom z Kręgu. Ósma jest, rzecz jasna, dla ciebie, bracie Mahoney.

Potem macie się zebrać w Wenecji i czekać w gotowości na dalsze rozkazy.

- Oczywiście, eminencjo. Jutro z rana wyruszam.

- I nie czuj się odepchnięty, bracie. Nie myśl, że cię odsuwam od swego boku. Zawsze miej w pamięci zawołanie mojego rodu: *Ab insomne non custita dracone**. Trzeba rozwiązać po świecie moje posłanie, o to proszę w tej chwili. I tylko ty, bracie, możesz się podjąć tej delikatnej misji.

Ojciec Mahoney schylił się nad kardynalskim pierścieniem.

W lewej dłoni ścisnął osiem białych, zapieczętowanych czerwonym lakiem kopert, których adresatami byli: ojciec Lazarus Osmund rezydujący w Malborku w Polsce, ojciec Demetrius Ferrell z sanktuarium Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Passau w Niemczech, ojciec Eugenio Cornelius z benedyktyńskiego opactwa w Ettal, również w Niemczech, ojciec Marcus Lauretta z opactwa Sant'Antimo w Montalcino we Włoszech, ojciec Septimus Alvarado z klasztoru Irache w hiszpańskiej Nawarrze, ojciec Spiridon Pontius z klasztoru Haghartsin w sowieckiej Armenii

* *Ab insomne non custita dracone* (tac.) - Aby strzec, smok spać nie może.

i ojciec Carlos Reyes sprawujący pieczę nad kościołem w wiosce Laja w Boliwii. Ostatnią, ósmą, kopertę ojciec Mahoney schował

do kieszeni w sutannie.

Genewa

Mężczyzna siedzący przy jednym ze stolików eleganckiej restauracji Lion d'Or, szczył się widokami na Jezioro Genewskie, zamówił poobiednie espresso, prosząc, by podano mu je na tarasie. Tam, nacieszywszy oczy wspaniałym krajobrazem, zaczął przeglądać egzemplarz „L'Osservatore Romano”. Obrzucił wzrokiem pierwszą stronę, na której widniała fotografia papieża przyjmującego jakąś delegację z Afryki, i kartkował gazetę dalej, aż na czwartej stronie natknął

się na notatkę następującej treści: *Animus hominis est immortalis, corpus mortale*. Dusza ludzka jest nieśmiertelna, ciało - śmiertelne. Przeczytawszy to, mężczyzna wstał i nie czekając na kawę, polecił przynieść sobie rachunek.

Kazał też wezwać taksówkę. Kilka minut później pod budynkiem stanął czarny mercedes z herbem miasta na drzwiach.

- Dzień dobry. Dokąd pana zawieźć? - spytał kierowca.

- Do siedziby Bayerische und Vereinsbank.

Niedługo potem zatrzymali się przed kamienicą w centrum.

Młoda kobieta siedząca przy ladzie z drewna i marmuru powitała nowo przybyłego perfekcyjną niemczyzną i wręczyła mu blankiet z dziewięcioma polami do wypełnienia.

Mężczyzna z pamięci wpisał pięć cyfr składających się na numer sekretnego konta: 1-1-4-1-7-8-3-1-0. Sprawdziwszy, że wszystko się zgadza, recepcjonistka skinęła na stojącego za jej plecami strażnika. Ten zaprosił klienta do windy, która miała go zwieźć na poziom minus trzy. Tam mężczyzna musiał przyło-

żyć prawą dłoń do czytnika linii papilarnych, a potwierdziwszy w ten sposób swoją tożsamość, udał się za pracownikiem banku do pomieszczenia z sejfami. Wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku. Pracownik banku otworzył sejf numer 361 i przeniósł

skrzynkę do małej sali obok, gdzie następnie zostawił klienta samego, zamykając za sobą drzwi.

W sejfie znajdowała się jedynie zalakowana koperta z odręcznie wypisaną informacją: „Dla Archaniola”. Złamawszy czerwoną pieczęć, mężczyzna wyjął z koperty fotografię młodej, bardzo atrakcyjnej kobiety o krótkich czarnych włosach, idącej ulicą Wenecji. Do zdjęcia dołączone były lakoniczne i klarowne instrukcje, zgodnie z którymi należało śledzić ową kobietę i zdobyć znajdującą się w jej rękach starą księgę. Obok widniał adres: Ca'

d'Oro, Cannaregio 3932, Wenecja.

Zapoznawszy się z zawartością koperty, mężczyzna wyjął

zapalniczkę i przyłożył ją do papieru, a gdy kartka spłonęła, wrzucił zwęglone resztki do pobliskiego kosza. Fotografię kobiety schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, wjechał windą na górę i bez słowa opuścił bank, by już po chwili zniknąć w perspektywie którejś ze spokojnych ulic Genewy.

Wenecja

Afdera chciała wiedzieć jak najwięcej o Ewangelii według Judasza i dlatego postanowiła jeszcze raz zacząć od początku lekturę dołączonego do księgi dziennika babki.

Musiała zrozumieć wagę rękopisu oraz dowiedzieć się, w jaki sposób unikatowy zabytek trafił w

ręce Crescentii Brooks.

W jej pamięci wciąż rozbrzmiewały słowa świętego Marka:

„lecz biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził”*. Zaczęła czytać.

Pod koniec 1959 roku, a może na początku 1960, Liliana Ransom, pośredniczka z Aleksandrii, której płaciłam za wypa-

* M 14, 21. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego wg Bibli Tysiąclecia.

trywanie dla mnie ciekawostek i okazji, spotkała się z zamieszkałym w miasteczku Maghagha Abdelem Gabrielem Sayedem, Koptem służącym jej często pomocą. Wiedziała, że Sayed zawsze coś ma w zanadrzu, gdyż uganiał się za wszystkim, co mógł

sprzedać swoim licznym odbiorcom w Kairze i Aleksandrii. Przy okazji tego spotkania Sayed napomknął jej, że nieco wcześniej trafiło mu się coś w rodzaju księgi: oprawne w skórę papirusowe karty, na które znalazł się już zresztą amator. Liliana nie przywiązywała do tego specjalnej wagi, jako że w owym czasie rynek na takie znaleźiska właściwie nie istniał i w związku z tym jedynie z wielkim trudem - jeśli w ogóle - dawało się określić, czy są cokolwiek warte. Mimo to Sayed namówił

ją na podróż do miejsca, skąd wydobyto księgę.

Tu Afdera przerwała lekturę, żeby poprosić Rosę o filiżankę herbaty.

Z tego, co mówiła Liliana, wynikało, że Abdel Gabriel Sayed mieszkał wraz z rodziną w bardzo skromnym dwukondygnacyjnym domu, przy czym góra nie była jeszcze wykończona. Z tyłu hodował dwa wielbłądy, które karmił foulem. Ubierał się zawsze w tradycyjną dżalabiję, głowę okręcał długimi szalami, fak wszyscy mieszkańcy Maghaghy dla zarobku imal się wszelkich zajęć.

Ściany domu miał wyklejone wizerunkami świętych i lubił

opowiadać o zasiedziałości i szczególnej roli Koptów w Egipcie.

Podczas gdy w Europie - tłumaczył - chrześcijanie byli prześladowani aż do 313 roku, kiedy to cesarz Konstantyn przyznał im swobodę wyznania, w Aleksandrii nowa religia szerzyła się bez przeszkód. Jakiś uczony dowodził nawet, że jeden z apostołów Jezusa Chrystusa zmarł w tym właśnie mieście między 60 a 70

rokiem naszej ery, czego jednak nie udało się dowieść. Kiedy w VII wieku te tereny podbili Arabowie, określali rdzenną ludność słowem „gypt”, od greckiego Aigyptos, co z kolei wzięło się od Ha-Ka-Ptah - nazwy, którą nosiło jedno z najważniejszych miast Starożytnego Egiptu, Memfis. Dlatego słowo „Kopt”, wariant „gypt”, znaczy w gruncie rzeczy „Egipt”.

W tym miejscu Crescentia Brooks dopisała na marginesie uwagę skierowaną do wnuczki:

Musisz się skontaktować z Lilianą Ransom i z Abdelem Gabrielem Sayedem. To Twój pierwszy przystanek na drodze do poznania prawdy.

Zadzwoił telefon.

- Tak, słucham - rzuciła do słuchawki nieco zniecierpliwiona Afdera.
- Witaj, Afdero, tu Sampson.
- Chcesz rozmawiać z Assai? - spytała nieuważnie.
- Przestań. Dzwonię, bo prosiłaś mnie o jakiś kontakt z Fundacją Helsinga...
- Poczekaj, wezmę kartkę i długopis.
- Zatelefonowałem do samego dyrektora, Renarda Aguilara.

Gotów jest się z tobą spotkać i wysłuchać twojej propozycji.

Ale uważaj z nim. Twoja babcia nazywała go grzechotnikiem.

Przywabi cię grzechotaniem, ale może ukąsić, kiedy najmniej się będziesz tego spodziewała. Nie ufaj mu. Ale do niego zadzwoń.

Umówiłem was za dwa dni.

- Doskonale, wielkie dzięki, Sampson. Będę cię informowała na bieżąco. A, i opiekuj się Assai pod moją nieobecność.
- Zrobię, co w mojej mocy, Afdero. Bądź ostrożna. Nie zapominaj, co masz.

Łaja, Boliwia

Ojciec Carlos Reyes zawsze starał się pomagać powierzonym jego pieczy parafianom, mieszkańcom położonej na boliwijskim płaskowyżu wioski Łaja.

Wśród swoich

„indiańskich owieczek”, jak lubił ich nazywać, mógł zapomnieć na chwilę o nieprzyjemnych misjach, realizowanych w obronie wiary, zleczanych mu od czasu do czasu przez wielkiego mistrza Kręgu Octogonus.

Zrozumiał, że coś się dzieje, gdy tylko Flora Casasaca, trudniąca się sprzedażą wyrobów z wełny, przyszła do kościoła i powiedziała, że jakiś wysoki mężczyzna pyta o proboszcza po całej wiosce.

Mahoney miał za sobą wielogodzinną podróż samolotem, która dłużyła mu się w nieskończoność.

- *Fructum pro fructo* - powiedział.

- *Silentium pro silentio* - odrzekł ojciec Reyes.

Wzniesiony w siedemnastym wieku kościół należał do najstarszych w Boliwii i był kiedyś siedzibą biskupstwa. Z czasem jednak utracił dawną świetność, okrążany coraz ciasniej przez ogródki warzywne.

- Co cię tutaj sprowadza? - spytał Reyes.

- Sam dobrze wiesz. To, co każe nam wszystkim spotykać się od czasu do czasu... - odparł Mahoney.

- Nienawiść i śmierć...

- Wiara - sprostował rzymski wysłannik.

- Lepiej niż ktokolwiek inny zdajesz sobie sprawę z tego, że wiara dawno wyniosła się z Rzymu. Tylko u takich jak ci tutaj przetrwała nietknięta - mruknął proboszcz, kiwając głową w stronę grupy dzieci ganiających za piłką z gałganków.

- Może i masz rację, ale jeśli w ogóle przetrwała, to właśnie dzięki nam, dzięki naszej pracy, dzięki temu, że wypełniamy swoją misję - odrzekł Mahoney. - Jesteśmy wojownikami Boga, jak kiedyś krzyżowcy, a ich przecież nikt nie rozliczał z gorliwości w wierze, gdy tępili niewiernych.

- Dziwi mnie, że akurat tobie zebrało się na takie rozważania.

W Rzymie napatrzyłeś się wszak na niejedno.

- Tam też są niewierni i heretycy. Myślisz, że pod boki papieża nie lęgnie się zło?

- Pewnie się lęgnie, mój drogi, ale ja po prostu coraz gorzej znoszę nasze misje.

- Może powinieneś poinformować o tym kardynała Lienarta.

Albo, jeśli wolisz, sam jeszcze dziś zadzwonię do Rzymu i przedstawię Jego Eminencji twój punkt widzenia...

To rzekłszy, Mahoney, chcąc uspokoić sytuację, chwycił ojca Reyesa za ramiona, potrząsnął nim przyjaźnie i dodał:

- Posłuchaj, kiedy już zrobimy, co musimy teraz zrobić, kardynał na pewno zgodzi się zwolnić cię z tych obowiązków, które czasami rzeczywiście są ciężkim wyzwaniem dla naszych dusz i sumień.

- Tak, niewykluczone, że masz słuszność. - Reyes pokiwał

głową, biorąc z jego rąk białą kopertę. - Zostaniesz na kolacji?

- Nie, dziękuję. Przedemną długą drogą. Muszę jeszcze dorę-

czyć pozostałe koperty, a czas nagli. *Caritas Christi urget nos**.

- *Colere cupio hominem et agrum***. Nie zapominaj o tym, bracie Mahoney.

- Nie zapomnę. *Fructum pro fructo*.

- Jedź z Bogiem - odpowiedział Reyes.

Na te słowa Mahoney wbił w niego uporczywe spojrzenie, aż proboszcz spuścił głowę i wyszeptał pozdrowienie używane przez członków Kręgu Octogonus:

- *Silentium pro silentio*.

Pierwsza koperta trafiła do adresata.

Podróż powrotna do Europy znużyła Mahoneya nie mniej niż poprzednia, ale w samolocie miał przynajmniej czas, by zastanowić się nad słowami Reyesa. Jego Eminencja naprawdę powinien przedsięwziąć jakieś kroki, uznał.

Z Madrytu poleciał do Pampeluny, skąd blisko już było do klasztoru Irache, w którym od kilku lat mieszkał ojciec Septimus Alvarado.

Klasztor, wymieniany w dokumentach od 958 roku, rozkwitał

dzięki wsparciu królów Nawarry oraz napływowi pielgrzymów zmierzających do Santiago de Compostela. Pielgrzymi - teraz z całego świata - napływali zresztą nadal i ojciec Alvarado lubił

służyć im pomocą, gdy zmęczeni, lecz pełni głębokiej wiary, która dodawała im sił w długiej drodze, zaglądali do klasztoru.

- *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*.

* *Caritas Christi urget nos* (łac.) - Popycha nas miłość Chrystusa. **

Colere cupio hominem et agrum (łac.) - Uprawiać pragnę człowieka i rolę.

Ojciec Alvarado chciał od razu otworzyć kopertę, ale sekretarz Lienarta przytrzymał jego dłoń.

- Zrobisz to po moim odjeździe. W środku są instrukcje.

To powiedziawszy, zniknął z klasztoru tak szybko, jak się pojawił. Druga koperta została doręczona.

Wkrótce potem Mahoney był już we włoskim Montalcino. Tam, w położonym wśród winnic romańskim opactwie Sant'Antimo, zaszył się ojciec Marcus Lauretta, który znajdował się właśnie w swojej celi, skupiony na lekturze Pisma, kiedy przez okienko w drewnianych drzwiach wpadła do

środką zalakowana koperta.

Następny na liście był ojciec Eugenio Cornelius, rezydujący w czternastowiecznym opactwie w Ettal i zajmujący się głównie modlitwą oraz renowacją zdobiącego kopułę kościoła fresku pędzla Johanna Jacoba Zeillera. Mahoney zastał ojca Eugenia leżącego na wysokim rusztowaniu i wodzącego cienkim pędzelkiem po fragmencie malowidła.

- Zeiller wykorzystywał architekturę budynku dla tym lepszego wyeksponowania swoich dzieł. Ten fresk widać już od wejścia

- odezwał się Cornelius, zwracając ku przybyłemu twarz pochłapaną farbami. - Dają się tu wyraźnie zaobserwować wpływy weneckie i rzymskie. Jaskrawe kolory doskonale współgrają z całością.

- Bez wątpienia - przytaknął uprzejmie Mahoney.

- Chodźmy się przejść. Z czym przybywasz?

- *Fructum pro fructo.*

- *Silentium pro silentio* - odparł Cornelius, biorąc z rąk gościa kopertę ze znakiem smoka.

W ten sposób przyszedł czas na doręczenie piątej koperty, zaadresowanej do ojca Demetriusa Ferrella, kapucyna pędzącego kontemplacyjny żywot w sanktuarium Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Passau i z lubością oddającego się tam polerowaniu wspaniałej lampy, zdobionej wizerunkami aniołów, orłów tudzież insygniów cesarskich. Cesarz Leopold podarował ją sanktuarium w 1676 roku.

Szósty adresat, ojciec Lazarus Osmond, od kilku lat przebywał

w Malborku. Tamtejszy zamek, wzniesiony przez zakon krzyżacki, swego czasu był największą ceglana budowlą w Europie i centrum krzyżackiego władztwa na tych terenach. Pierwsi mnisi ścignęli tu około 1280 roku, a w latach 1309-1457 na zamku rezydowali wielcy mistrzowie zakonu.

Wreszcie pozostała do przekazania ostatnia koperta. Mahoney musiał polecieć z Warszawy do Moskwy, a stamtąd do Erewania, stolicy Armenii. Trochę na północ od miasta, wśród wysokich gór, niedaleko miejscowości Dilidżan, wznosił się klasztor Haghartsin.

Ponad dwa dni zajęła sekretarzowi podróż do tego odległego miejsca „na końcu świata”, jak myślał, tłukąc się po wybojach rozklekotaną ładą zwaną tutaj żiguli.

Po wielogodzinnej i uciążliwej jeździe krętymi drogami, które niby noże przecinały niezmiernie gęste lasy, samochód stanął przed kompleksem niewielkich zabudowań datujących się na jedenasty i dwunasty wiek i w dużej mierze służących sprawom związanym z rolnictwem.

Do auta zbliżył się człowiek o twarzy pokrytej czymś białym.

- Dzień dobry - przywitał się grzecznie.

- Dzień dobry, chciałbym porozmawiać z ojcem Pontiussem.

Na te słowa nieznajomy zawrócił w stronę przysadzistego budynku, skąd dobiegał ogłuszający łomot. Kilka minut później ten sam człowiek pojawił się znowu, prowadząc obsypanego białym proszkiem olbrzyma.

- To tylko mąka - powiedział ten ostatni, ściskając dłoń kar dynalskiego wysłannika.

Mahoney zwrócił uwagę, że ogromna ręka Spiridona Pontiusa jest szorstka i zniszczona od pracy w młynie. Zaskakiwać też mogła potężna postura tego mężczyzny, osobiście wybranego przez Jego Eminencję na członka Kręgu Octogonus. „Nie wywyższa cię to, kim jesteś, ani nie umniejsza to, kim nie jesteś. W oczach Boga jesteś, kim jesteś. A dla naszych celów tak samo liczy się ten, kto przebywa w pobliżu Ojca Świętego, jak ten, kto żyje z dala od Stolicy Apostolskiej - oświadczył kardynał Spiridonowi Pontiusowi, proponując mu miejsce wśród ośmiu członków Kręgu. - Bliżej Boga jest bowiem ten, kto czynami zaświadcza o swojej wierze, pokornie i bez dyskusji poddając się próbom, którymi doświadcza nas Pan”.

- *Fructum pro fructo* - rzekł z powagą Mahoney.

- *Silentium pro silentio* - odpowiedział ojciec Pontius, przyjmując kopertę.

- Ponieważ świeżo dołączyłeś do naszego grona, bracie - ciągnął sekretarz kardynała - uprzedzam, że tę kopertę będziesz mógł otworzyć dopiero po moim odjeździe. Wewnątrz znajdziesz dokładne instrukcje, które powinieneś wypełnić co do joty, nie zadając żadnych pytań. Zapoznaj się z poleceniami kardynała i je wykonaj. Wielu bardzo na ciebie liczy, bracie.

Chciał już ruszać w drogę, gdy dobiegł go uroczysty głos ojca Pontiusa.

- Nie zawiodę.

- Mam nadzieję. Bóg wystawi cię wkrótce na ciężką próbę, przed którą nie będzie ucieczki.

Ojciec Spiridon Pontius zamykał grono członków Kręgu.

Mahoney mógł teraz wracać do Watykanu, by osobiście poinformować kardynała Lienarta, że misja została wypełniona.

Berno

Afdera leciała bezpośrednio z Wenecji do Berna. Jeszcze raz sprawdziła na karcie pokładowej numer lotu i spojrzała na zegarek. Mam czas, pomyślała, zmierzając w stronę baru z plastikowym pudełkiem pod pachą.

Usiadłszy w miejscu, skąd widać było tablicę odlotów, wyjęła dziennik babki i zagłębiła się w lekturze.

Od Liliany dowiedziałam się, że Abdel Sayed przekazał

ową księgę, której wartości nie potrafił ocenić, niejakiemu Rezekowi Badaniem, handlarzowi antyków z Kairu. Nie wiadomo, czy Sayed sprzedał ją Badaniem, czy raczej oddał

mu ją, licząc na to, że Badani sprzeda ją po najlepszej możliwej cenie, a następnie podzieli się ze współnikami zyskami.

W rękach Badaniego księga poważnie ucierpiała. Podobno woził ją do klientów owiniętą w gazetę!

Afdera podniosła głowę, by zerknąć na tablicę odlotów. Potem przeczytała kolejny komentarz zrobiony przez babkę na marginesie.

Taki brak dbałości jest bardzo charakterystyczny w odniesieniu do tego typu przedmiotów. Na rynku egipskich zabytków dokumenty ceni się najmniej. Na targach często widuje się bardzo zniszczone papirusowe karty i zwoje. Najciekawsze jest to, że w kraju o tak rozwiniętym handlu antykami cenę nierzadko wyznacza sprzedawca, w wielu wypadkach nie mając bladego pojęcia o rzeczywistej wartości towaru.

Obok widniało wypisane wielkimi literami słowo „NIEWIA-RYGODNE!”.

Przesada, a czasem zwyczajne kłamstwo odgrywają ogromną rolę podczas negocjacji dotyczących konkretnego przedmiotu. To po prostu coś w rodzaju odwiecznej gry o niezmiennych regułach. Egipcjanin z czystym sumieniem robi wszystko, aby przekonać klienta, że oferowany towar jest bezcenny i autentyczny, nawet jeśli to nieprawda. Będziesz musiała się nauczyć, moja droga, że w interesach, które po mnie, mam nadzieję, poprowadzisz, obowiązuje jedna zasada: chroń swoje źródła. Każde od niej odstępstwo może się okazać przykre w skutkach, jeśli nie wręcz niebezpieczne. Ten, kto coś znajduje, nie powinien zdradzać handlarzowi miejsca, gdzie to znalazł. Handlarz zatrzyma dla siebie nawet wiadomość o regionie, z którego pochodzi dany przedmiot. Marszandzi nigdy nie dzielą się informacjami o swoich kontaktach ani nie wyjawiają kolekcjonerom, w jaki sposób weszli w posiadanie tej czy innej rzeczy. W ten sposób wszystko odbywa się w tajemnicy. A kara za niedyskrecję może okazać się surowa.

Znane są wypadki, gdy handlarze zabijali się wzajemnie za udostępnienie postronnym tajnych informacji, albo wyrzucali języki gadułom, po czym zostawiali ich u drzwi kańskich szpitali. Część z tego to rozgłaszane specjalnie legendy. Ale część - wcale nie. Każdy, kto miełe jęzorem, może zostać uznany za zdrajcę i wykluczony z interesu. Do uszu Afderdy dobiegł głos, wzywający pasażerów jej lotu na pokład. Ponieważ jednak było to dopiero pierwsze wezwanie, uznała, że ma jeszcze chwilę.

Badani nigdy by nie powiedział, skąd ma księgę. Liliana obiecała jednak, że w razie czego skontaktuje Cię z kim trzeba. A Badaniem nie ufaj. To straszny oszust. Pierwszego dnia opowie Ci jedno, a drugiego - coś zupełnie innego.

Najpierw wmawiał Lilianie, że odziedziczył księgę po przodkach, że w jego rodzinie od niepamiętnych czasów przekazywano ją z pokolenia na pokolenie. Potem twierdził, że jego ojciec zdobył ją zaraz po wojnie. Oczywiście nikt mu nie wierzył. Ba, była jeszcze trzecia wersja, o dwóch wieśniakach z Maghaghy, którym, gdy orali swoje pole, ziemia zapadła się pod stopami,

odslaniając grobowiec. Ta historia, oczywiście, tyle miała wspólnego z prawdą co dwie poprzednie. Choć właśnie w ten sposób znaleziono w 1945 roku bibliotekę z Nag Hammadi i Badani musiał o tym czytać w „Al-Ahram”.

Tak czy owak, spróbuj skontaktować się z nim w Kairze przez Lilianę, o ile biedak dożyje czasów, kiedy będziesz czytać te słowa.

Głos z megafonów po raz trzeci wzywał pasażerów lecących Swissairem do Berna. Afdera Brooks poderwała się z miejsca, zostawiła na stoliku kilka lirów, schowała dziennik babki do torby, chwyciła do rąk plastikowe pudełko i pobiegła do bramki. Stewardesa przywitała ją uprzejmie i poprowadziła do fotela w klasie biznesowej. W czasie krótkiego lotu na lotnisko Belp Afdera rozmyślała o tym, co wyczytała w notatkach babki.

Po wylądowaniu natychmiast skierowała się na postój taksówek.

- Dokąd jedziemy? - spytał kierowca.

- Do Bellevue Palace, przy Kochergasse 3.

Auto ruszyło Selhofenstrasse, okrążając pasy startowe niewielkiego lotniska, ku prowadzącej do centrum Nesslerenweg.

Później wąskimi uliczkami przedostało się na Aarstrasse, która wiodła wzdłuż rzeki Aar prosto do hotelu.

Bellevue Pałace, perła architektury spod znaku *art nouveau*, znajdował się w ścisłym centrum, w pobliżu siedziby Zgromadzenia Federalnego. Należał do ulubionych hoteli Crescentii Brooks, która zawsze zatrzymywała się w tym samym apartamencie ze wspaniałym widokiem na Alpy Berneńskie.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Afdera podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer Fundacji Helsinga. Na łóżku obok leżało plastikowe pudełko. Po kilku sygnałach po drugiej stronie linii odezwał się kobiecy głos:

- Fundacja Helsinga, słucham?

- Dzień dobry, chciałabym rozmawiać z panem Renardem Aguilarem.

- A kto mówi?

- Proszę mu przekazać, że dzwoni Afdera Brooks, wnuczka Crescentii.

- Mogłaby pani sprecyzować temat, który chce pani poruszyć z panem Aguilarem?

Afderę zirytowało to bezczelne pytanie.

- To sprawa osobista. Proszę po prostu powiedzieć, kim jestem, pan Aguilar zna moje nazwisko. Mój adwokat, pan Simpson Hamilton, umówił mnie z nim na spotkanie. Jestem w Bellevue Pałace i

czekam na telefon. Nie mam wiele czasu - powiedziała sucho.

- Dobrze. Przekażę wiadomość od pani najszybciej, jak się da - odparła recepcjonistka.

Afdera spędziła popołudnie na zakupach i spacerze po Bärenplatz. Kiedy wróciła do hotelu, spytała, czy są dla niej wiadomości. W odpowiedzi podano jej kartkę z firmowym nadrukiem, na której widniało nazwisko Renarda Aguilara i zdanie: „Jutro o dziesiątej przed hotelem będzie czekał samochód, który zawiezie Panią do siedziby fundacji”.

Następnego dnia, punktualnie o dziesiątej, Afdera czekała przy recepcji, ściskając w dłoniach plastikowe pudełko, z którym nie rozstawała się od bytności w Hicksville. Przed wejściem do hotelu zatrzymało się czarne bmw.

Wysiadł z niego elegancko ubrany szofer, który skierował się w jej stronę.

- Panna Brooks? - spytał.

- Tak, to ja.

- Przysłano mnie tu po panią.

Wyjechali z miasta. Ze Schweizerhausweg samochód skręcił

w niewyasyfutowaną drogę niknącą w widocznym kawałek dalej lasu. Tuż przed nim auto stanęło u bramy, której pilnowali uzbrojeni strażnicy z dwoma wilczurami. Na znak dany przez szofera brama się otworzyła.

Droga prowadziła do kompleksu nowoczesnych budynków, które kojarzyły się Afderze raczej z laboratorium farmaceutycznym niż z fundacją poświęconą ochronie dzieł sztuki. Szofer zahamował obok wysypanej żwirem ścieżki wiodącej ku wejściu do głównego - jak można się było zorientować - budynku.

- Dzień dobry, panno Brooks. Pan Aguilar już czeka - powitała Afderę jakaś kobieta.

Afdera poszła za nią do imponującej sali zebrań, na której środku znajdował się lśniący mahoniowy stół na dwadzieścia osób. Na ścianach wisiały obrazy malarzy takich jak Andrea del Verrocchio, Domenico Ghirlandaio czy Paolo Veronese.

Drewnianą podłogę pokrywały grube perskie dywany.

- Jest bardzo stary - odezwał się głos od drzwi.

Afdera przykucnęła właśnie, by podziwiać jeden z kobierców, więc najpierw zobaczyła eleganckie buty marki John Lobb. Dopiero potem, przenosząc wzrok wyżej, ujrzała twarz mężczyzny - tego samego, który zwrócił jej uwagę na pogrzebie Crescentii Brooks.

- To pan! - wykrzyknęła.

- Owszem. Maximilian Kronauer - przedstawił się nowo przybyły, podając jej rękę i pomagając wstać.

- Ja.. Cóż, pewnie wie pan, kim jestem. Natomiast ja nic nie wiem o panu. Pracuje pan w Fundacji Helsinga?

- Nie. Fundacja tylko finansuje, całkiem bezinteresownie, część moich badań - odrzekł Kronauer.

- Jakiego rodzaju badań? - zdziwiła się Afdera.

- Och, przepraszam, powinienem był to wyjaśnić od razu.

Specjalizuję się w archeologii biblijnej i filologii semickiej. Badam języki, których używano w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

W tym momencie przerwano im rozmowę.

- Panno Brooks? Pan Aguilar panią prosi - powiedziała znana już Afderze kobieta.

- Jeśli pan chce, możemy zjeść dziś razem kolację. Ja zapraszam - zaproponowała Afdera.

- Niestety, jestem tu bardzo zajęty... I nie wiem, czy...

- Czekam na pana o siódmej wieczorem u siebie w hotelu.

Zatrzymałam się w Bellevue Palace.

- Dobrze, będę - odparł Kronauer, kiedy zniknęła już w drzwiach.

- Proszę, proszę, panno Brooks. Bardzo się cieszę z naszego spotkania - przywitał ją Aguilar.

- Ja również. Wiele słyszałam o panu i o pańskiej placówce.

- Wyobrażam sobie, że musiały do pani dotrzeć rozmaite legendy na nasz temat...

- Cóż, pewnie pan wie, że nie ma jak rozpowszechnić legendę, by zamieniła się w rzeczywistość - uśmiechnęła się Afdera.

- Ma pani słuszość. Intelkt z pewnością odziedziczyła pani po babci. Jej śmierć bardzo mnie dotknęła. Co jednak panią do nas sprowadza? - spytał Aguilar z nieskrywaną ciekawością.

- To pudełko - odparła, wskazując plastikowy pojemnik, który chwilę wcześniej położyła na metalicznie połyskującym stole.

Gdy je otworzyła, ukazując pokruszoną księgę, oczy Aguilara zaślniły.

- Istny skarb. Ale czego pani od nas oczekuje?

- Żeby podjęli się państwo renowacji i tłumaczenia tego dokumentu. Chciałabym jak najszybciej poznać jego treść. To słowa Judasza Iskarioty.

Aguilar podszedł do biurka.

- Henrietto, powiedz pani Hubert, żeby tu do mnie przyszła.

Jak najszybciej.

Następnie wrócił do Afdery i spytał:

- Czy zdaje sobie pani sprawę, co ma w rękach?

- Owszem. Dlatego proszę o to, o co proszę.

Po kilku minutach w drzwiach gabinetu stanęła mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w białym fartuchu. Na szyi miała łańcuszek, na którym wisiały niewielkie okulary.

- Pozwolą panie, że je przedstawię - rzekł Aguilar. - Panna Afdera Brooks, pani Hubert, jedna z najlepszych na świecie specjalistek od renowacji starych ksiąg.

- Bardzo mi przyjemnie, panno Brooks - odezwała się pani Hubert. - Domyślam się, że jest pani wnuczką Crescentii Brooks.

Spotkałam ją kilka razy w Paryżu, na organizowanych przez Interpol konferencjach poświęconych handlowi skradzionymi antykami.

Z tego, co pamiętam, doskonale znała się na sztuce Egiptu.

- Miło mi to słyszeć. I proszę zwracać się do mnie po imieniu.

- Dobrze, jeśli mi się pani odwzajemni tym samym. Mam na imię Sabine.

Tu do rozmowy wtrącił się Aguilar.

- Panna Brooks przywiozła nam, jak się zdaje, prawdziwy skarb, świeżo wydobyty z mroków zapomnienia. Pani Hubert, ma pani przed sobą księgę spisana ręką Judasza Iskarioty, zapewne coś w rodzaju kolejnej Ewangelii.

- Mówi pan poważnie?

- Jak najbardziej.

- Nie wiedziałam, że coś podobnego istnieje!

- Nikt nie wiedział i, prawdę mówiąc, nikt nie będzie wiedział

na pewno, dopóki pani, Sabine, nie weźmie sprawy w swoje ręce. A do czasu, gdy będziemy mogli

zapoznać się z treścią tego dzieła, lepiej trzymajmy rzecz w tajemnicy, dobrze? - poprosiła Afdera.

- Co pani zamierza?

- Zostawię księgę pod państwa opieką. Sama muszę teraz odbyć parę podróży. Ale będę co jakiś czas dzwonić i dowiadywać się, jak postępują prace.

- Trudno o lepszy wybór. W naszych ośrodkach pod miastem dysponujemy dyskretnymi laboratoriami, skąd nie przecieknie żadna informacja. Gdy zakończymy prace renowacyjne, przewieziemy księgę z powrotem tutaj i przetłumaczymy - zapewnił

ją Aguilar.

- Ile potrzebuje pani czasu, Sabine?

- Zważywszy na kiepski stan woluminu, prawdopodobnie cztery do sześciu miesięcy. Będę musiała zwrócić się o pomoc do profesora Wenera Hoffmana z Uniwersytetu Frankfurckiego, to jeden z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie papirusów.

Poproszę, żeby tu przyjechał - wyjaśniła pani Hubert.

- A kto pokryje wszystkie koszty? - spytał Aguilar Afderę.

- Tym się proszę nie martwić. Babcia życzyła sobie, aby część jej majątku została przeznaczona na renowację i tłumaczenie tego znaleziska. Pieniądze nie stanowią problemu.

Tego samego popołudnia Afdera zadzwoniła z hotelu do swojej siostry.

- Sampson dostał od babci instrukcje, zgodnie z którymi powinien otworzyć jej testament w obecności nas obu - zaprotestowała Assai.

- No tak, ale przecież jestem teraz zajęta wypełnianiem jej poleceń, więc nie dam rady wrócić do Wenecji. Wszystko mi przekażesz. A nie wydaje mi się, żebyś zamierzała mnie oszukać jak te złe siostry na filmach.

- Przestań. Przecież wiesz, że...

- Wiem, wiem. Polecę teraz na kilka dni do Izraela, a potem do Aleksandrii, żeby spotkać się ze znajomą babci.

Gdy się pożegnały, Afdera postanowiła opisać na ostatnich wolnych stronach dziennika babki to, co wydarzyło się rano w Fundacji Helsinga. Czuła wielką ulgę, pozbywszy się księgi.

Teraz musiała tylko uzbroić się w cierpliwość.

Tuż przed siódmą w pokoju zadzwonił telefon. Recepcjonista powiedział, że w hotelowej restauracji czeka na Afderę jakiś mężczyzna. Już od wejścia rozpoznała Maximiliana Kronauera.

Był bardzo przystojny. Siedział przy stoliku w głębi, czytając

„Berner Zeitung”, i popijał wodę mineralną, po od razu zwróciło uwagę Afdery. Może to jakiś szwajcarski purytanin, pomyślała rozbawiona.

Kiedy podeszła bliżej, Kronauer wstał pospiesznie i wskazał

jej miejsce obok.

- Wspaniale pani wygląda - oświadczył.

- Jeśli mamy spędzić najbliższe godziny razem, lepiej, żeby nazywał mnie pan Afdera.

Te słowa wyraźnie go zmieszały, co rozbawiło ją jeszcze bardziej.

- Och, proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie miałam na myśli nic zdroźnego. Przynajmniej na razie. - Uśmiechnęła się, obserwując efekt, jaki wywarło na nim to ostatnie zdanie.

Kronauer szybko odzyskał pewność siebie.

- W takim razie ty musisz nazywać mnie Maximilianen!

-powiedział. - „Pan Kronauer” brzmi zbyt... uniwersytecko.

- W porządku. Będę cię nazywała po prostu Maksem.

Cztery godziny później wciąż siedzieli przy tym samym stoliku.

Pochłonięci rozmową zapomnieli nawet o kolacji.

- Jak długo zostaniesz w Bernie? - spytał Max.

- Muszę niedługo lecieć do Egiptu. Ale właściwie mogłabym wcześniej wpaść do Wenecji... Może wybierzesz się ze mną?

Pokazałabym ci miasto. No i miałbyś do dyspozycji każdą z niezliczonych sypialni, które stoją puste u nas w domu...

- Dobrze, chętnie do ciebie dołączę, ale dopiero za kilka dni.

Tylko, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zatrzymam się w hotelu Bellini. Znają mnie tam i potrafią sobie radzić z moimi przyzwyczajeniami.

- Cóż, skoro wolisz hotel od naszego domu, jedzenie na mieście od kuchni naszej drogiej Rosy, a towarzystwo boyów hotelowych przedkładasz nad moje. . To mieszkaj sobie, gdzie chcesz. Tak czy owak, widzimy się za kilka dni w Wenecji. - Afdera uśmiechnęła się, wstając, i wspięła się na palce, by pocałować Kronauera w policzek.

IV

Watykan

Trochę się przytyło, eminencjo - zauważył

żartobliwie Rainiero Falcinelli.

- To pewnie dlatego, że jako sekretarz stanu wciąż siedzę za biurkiem i nie mam czasu na ruch - odrzekł kardynał Lienart, obserwując, jak krawiec zręcznymi dłońmi bierze miarę.

Pracownia Falcinellich, mieszcząca się pod numerem 40 przy Borgo Pio, niedaleko Bramy Świętej Anny, ubierała papieży, sekretarzy stanu, kardynałów i biskupów niemal od wieku. Rainiero, reprezentujący w swojej rodzinie czwarte pokolenie krawców, osobiście zajmował się garderobą Lienarta od czasu, gdy ten przybył do Rzymu jako zwykły ksiądz. Szaty od Falcineliiego miał

na sobie przy wszystkich ważnych okazjach - w dniu, kiedy został

biskupem, i potem, gdy mianowano go kardynałem, i jeszcze póź-

niej, gdy Jego Świątobliwość uczynił go zwierzchnikiem Jednostki, czyli watykańskiego wywiadu, a wreszcie także wtedy, gdy kolejny papież przeniósł go na stanowisko sekretarza stanu. Dlatego Lienart, choć nie wierzył w przesady, uważał Falcineliiego z jego sutannami za kogoś, kto przynosi mu szczęście, maskotkę.

Nazywał go Armanim Kościoła i co do tego zresztą mógł mieć rację. A jeśli nawet nie - to przezwisko mile łechtało próżność krawca i zapewne wpływało na obniżenie rachunków.

Ponadto, stojąc w purpurowych aksamitach, jedwabiach i weł-

nach, klient dowiadywał się u Falcineliiego najnowszych plotek krążących po Pałacu Apostolskim. Zakład Falcinellich zawsze był dla członków kurii tym, czym miejscowy fryzjer dla neapoli-tańskich kumoszek. Dostojnicy kościelni rozpuszczali tu języki, chcąc pochwalić się przed krawcem, jacy to są ważni, toteż pracownia od lat stanowiła kopalnię wiedzy zarówno dla agentów Jednostki, jak i tych z Sodalitium Pianum, czyli papieskiego kontrwywiadu, a także dla pracowników Sekretariatu Stanu.

- Teraz proszę się nie ruszać, eminencjo - poprosił Falcinelli, mierząc długość szaty.

- Oj, kochany Falcinelli, gdyby te twoje niezrównane sutanny nie były jeszcze takie drogie!

- Przecież nie podniosłem cen, od kiedy się znamy, eminencjo, a to już tyle lat!

- O tym ani słowa, mój drogi Falcinelli, ani słowa! Bo inaczej zaraz zacznę wspominać czasy, gdy byłem młodym księdzem o wielkiej niewinności i małej wierze... A popatrz, jak daleko od tamtej pory zaszliśmy: ja zostałem księciem Kościoła, o niewinności nieco nadwątlonej, lecz za to znacznie

wzmocnionej wierze, ty zaś ze skromnego pomocnika w pracowni swego ojca przemieniłeś się we wziętego krawca obszywającego najważniejsze osobistości w Watykanie.

- Ile kompletów szat mam przygotować tym razem, eminencjo?

- Potrzebne mi będą cztery pasy i trzy sutanny, w tym jedna codzienna. Poza tym chciałbym osiem par czerwonych skarpetek oraz dwie piuski. I nie zapomnij o farioli.

- W takim razie niech policzę. . Za każdą sutannę, jak zawsze, wezmę siedem i pół miliona lirów, przy czym dla eminencji, mojego stałego klienta, do szat ceremonialnych dodam za darmo po komplecie złożonym ze skarpetek, pasa, komży, mucetu i piuski.

Nie wspominając o trzydziestu trzech guzikach obciążniętych jedwabiem.

- Niech ci będzie. Mój sekretarz, ojciec Mahoney, ureguluje rachunek i zgłosi się po ubiory - mruknął Lienart, sięgając po swoje macchiato. - A teraz, skoro skończyliśmy z obowiązkami, powiedz, co słychać?

- Przed tygodniem był u mnie kardynał Ngange, kierujący Kongregacją do spraw Kościołów Wschodnich.

- Mówił coś ciekawego?

- Wspominał półgębkiem, że w kręgach zbliżonych do Ojca Świętego istnieje silna opozycja wobec polityki Sekretariatu Stanu.

- O, mój drogi Falcinelli, to akurat normalne od czasów Fabia Chigiego, który w siedemnastym wieku został pierwszym watykańskim sekretarzem stanu. Jako jeden z głównych doradców Innocentego X miał potężnych nieprzyjaciół, a mimo to po jego śmierci zdołał zostać Aleksandrem VII, błyskawicznie rozprawiwszy się z wrogami. *Ab uno disce omnes*, czyli po tym jednym sądz ich wszystkich. Niestety, historia lubi się powtarzać...

- Podobno ośrodkiem tej opozycji jest kardynał Kronauer

- zauważył Falcinelli.

- Mój nieoceniony przyjaciel Ulrich Kronauer... *A fructibus cognoscitur arbor*, poznacie ich po ich owocach - oświadczył!

nico enigmatycznie Lienart, powoli zbierając się do wyjścia.

Za drzwiami czekali na kardynała dwaj agenci Jednostki, odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo. Na ulicy natychmiast otoczyła go grupka przechodniów, którzy, rozpoznawszy sekretarza stanu, spieszyli złożyć wyrazy szacunku, a nawet ucałować pierścień ze skrzydlatym smokiem. Ten krótki spacer z pracowni Falcinellogo do Bramy Świętej Anny stanowił zresztą jedyny kontakt Lienarta ze światem zewnętrznym.

Przed swoim gabinetem w Pałacu Apostolskim zastał ojca Mahoneya z przygotowanymi do podpisu dokumentami.

- Wejdźmy do środka - zaprosił go kardynał.

- Dzień dobry, eminencjo.

- No i jak tam się mają nasi bracia z Kręgu?

- Siedem kopert trafiło do swoich adresatów, zgodnie z rozkazem. Skądinąd wiem, że wczoraj po południu wszyscy przebywali już w Casino degli Spiriti, czekając na dalsze dyrektywy.

Casino degli Spiriti wzniesiono w szesnastym wieku dla rodziny Contarmi. Przez lata gościli tu artyści, politycy i literaci. Potem pałac długo stał opuszczony, a swą nazwę zawdzięczał ponurym legendom, jakie narosły wokół niego w czasach, gdy jedynie rozbijające się u jego stóp fale ożywiały panującą wokół martwość. Niektórzy twierdzili, że gromadzili się w nim zabójcy i wszelkiego rodzaju zbrodniarze. Mówiono też, że w pierwszej połowie osiemnastego stulecia weneccy patrycjusze zabraniali swoim córkom zapuszczać się w te okolice, ponieważ krążyły plotki, iż nagusieńki Casanova ugania się po komnatach opuszczonego budynku za dziewczętami i efebami.

Wedle innych jeszcze pogłosek zbierały się tam wiedźmy.

Na początku lat trzydziestych ojciec kardynała Lienarta, René, bogaty i wpływowy przedsiębiorca zaprzyjaźniony z marszałkiem Pétainem i przychylny reżimom Mussoliniego oraz Hitlera, kupił

Casino i nakazał przeprowadzenie starannego remontu. Po wojnie z odrestaurowanej budowli korzystał, za zgodą właściciela, chorwacki ksiądz Krunoslav Draganović, będący sekretarzem tak zwanego Bractwa z San Girolamo. Przebywając w Rzymie pod pretekstem współpracy z Czerwonym Krzyżem, Draganovic stał się jednym z najbardziej aktywnych twórców watykańskiego kanału przetrutowego dla zbrodniarzy wojennych.

Za bazę mając rzymski klasztor San Girolamo i dysponując wieloma innymi bezpiecznymi kryjówkami, choćby takimi jak rezydencja Lienartów w Wenecji, Draganovic we współpracy z organizacją ODESSA pomógł uciec do Argentyny, Boliwii, Paragwaju, Chile i Brazylii wielu nazistom. Byli wśród nich lekarz z Auschwitz Josef Mengele, „Rzeźnik z Lyonu” Klaus Barbie, chorwacki faszysta Ante Pavelić, esesmani Erich Priebke i Hans Fischböck, kat ryskiego getta Herbert Cukurs czy komendant obozu koncentracyjnego w Treblince Franz Stangl.

Kardynał Lienart wciąż pamiętał, jak pewnego wiosennego popołudnia na początku lat pięćdziesiątych w przylegającym do Casino degli Spiriti ogrodzie został przedstawiony jednemu ze specjalnych gości ojca. Gość ów wydawał się dobrze wychowanym dżentelmenem, był obdarzony talentami konwersacyjnymi i deklarował uwielbienie dla sztuki, ze szczególnym uwzględnieniem muzyki, a także dla dawnych filozofów w rodzaju Platona i Arystotelesa. Lienart usłyszał o nim znowu wiele lat później, kiedy tamten został porwany w Argentynie przez agentów izraelskiego wywiadu i po osądzeniu powieszony.

Nazywał się Adolf Eichmann i był głównym koordynatorem planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Wielu ludzi twierdziło jednak, że rola, jaką odegrać miało należące do Lienartów Casino degli Spiriti w ukrywaniu nazistowskich zbrodniarzy, była taką samą bzdurą jak orgie rzekomo organizowane tam przez Casanovę, a kardynał Lienart, wszechpotężny watykański sekretarz stanu, osobiście dbał o to, by utrzymywać opinię publiczną w takim przeświadczeniu.

Wenecką rezydencją, podobnie jak willą Mondragone we Frascati pod Rzymem, od wielu już lat opiekowała się wierna rodzinie Lienartów pani Müller.

- Wiadomo coś o księdze? - spytał z ciekawością Mahoney.

- Jest w Bernie, w rękach specjalistów. Musimy się spieszyć.

Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek poznał jej treść.

- Mam się tym od razu zająć?

- Nie, mój drogi bracie. Lepiej poczekać, a rozwiążemy ten problem bez użycia siły. Ech, ta młodość i zapalczywość! *Dulce bellum inexpertis*!* My jednak przyczaimy się, dopóki wróg nie wykona pierwszego ruchu. Tyle że musimy go do tego ruchu skłonić.

- Jak, eminencjo?

- *Non sunt entia multiplicanda praeter necessitatem*** . Pora ruszać w kolejną podróż, bracie, by przekazać jeszcze jedną wiadomość.

- Dokąd mam jechać?

- Do Hongkongu, na spotkanie z panem Delmerem Wu -

odrzekł Lienart. - Tym razem wiadomość będzie ustna. Żadnych śladów na piśmie.

- Wu... Chodzi o tego milionera? - spytał sekretarz.

- Tak, o niego. Przez lata prowadził interesy z moją rodziną i już czas, by się odwdzieczył za wyświadczone mu przez

* *Dulce bellum inexpertis* (łac.) - Wojna jest słodka dla tych, którzy jej nie zaznali.

***Non sunt entia multiplicanda praeter necessitate* (łac.) - Nie należy mnożyć bytów bez potrzeby.

nas niezliczone przysługi. W odpowiednim czasie przekażę ci, bracie, wiadomość. Ale najpierw wybierzemy się do Wenecji.

Do Hongkongu wyruszysz zaraz po ceremonii przyjęcia do Kręgu nowych członków.

- Oczywiście, eminencjo.

- Na razie to już wszystko. Zamknij za sobą drzwi, bracie, i powiedz, że nie życzę sobie, by mi teraz przeszkadzano - zakończ-

czył rozmowę Lienart, z zapalonym cygarem w dłoni kierując się ku oknu, skąd widać było tłumy turystów przewalające się przez plac Świętego Piotra.

W gabinecie watykańskiego sekretarza stanu rozległy się pierwsze takty 40. symfonii Mozarta.

Wenecja

Afderę obudził telefon. Max Kronauer dzwonił z hotelu Bellini. Umówiliśmy się na wspólny spacer następnego poranka. Drogę do hotelu znajdującego się przy Lista de Spagna, Afdera pokonała na piechotę. Max czekał w drzwiach.

- Chciałabym ci coś pokazać, tu niedaleko. To dla mnie miejsce szczególne - oświadczyła.

- Oddaję się w twoje ręce.

Poszli przez most delle Guglie w stronę getta. Przez wieki spo-

łeczność żydowska była, obok greckiej, najliczniejsza w Wenecji.

W dwunastym wieku władze postanowiły zgromadzić żydów w jednym miejscu, jak to już wcześniej uczyniono z innymi nacja-mi. Wybór padł na wyspę Spinalunga, znaną później pod nazwą Giudecca.

- W połowie szesnastego wieku senat Najjaśniejszej przyznał

żydom parę wysp w okolicy Cannaregio, gdzie mieściły się weneckie huty, zanim przeniesiono je w rejon Arsenale. Huta to w tutejszym dialekcie *geto*, od *getare*, „topić metal”, stąd późniejsza nazwa dzielnic żydowskich - wyjaśniała Afdera. - Choć podaje się też inne pochodzenie tego słowa. Jak mówił mój dziadek, termin „getto” może się też wywodzić od talmudycznego *ghet*, czyli „rozdzielenie”, albo od słowa *get* lub *gita*, co w średniowiecznym hebrajskim oznaczało „odrzuć”.

Jako mała dziewczynka Afdera, spędzając wakacje u babki, często odwiedzała z nią Ghetto Vecchio. Teraz, idąc z Maksem po opustoszałych uliczkach, opowiadała mu o tamtych czasach.

- Nigdy nie zapomnę podwieczorków u pewnej przyjaciółki babci, signory Levi. Ja się zajadałam smakołykami, a obydwie panie rozmawiały o sprawach całkowicie dla mnie niezrozumiałych, na przykład o tajnikach kabały.

Po tych słowach Afdera roześmiała się nagle.

- Z czego się śmiejesz?

- Och, przypominałam sobie, że signora Levi miała wielką kolekcję medalionów, wiesz, takich z fotografiami w środku.

Spędzałam dużo czasu, oglądając te wszystkie zdjęcia: twarze wojskowych w pruskich mundurach, mężczyzn z długimi brodami i w czarnych pilśniowych kapeluszach, pańienek z loczkami, posyłających fotografowi nieśmiało uśmiechy... Pamiętam też, że z kuchni widać było tylny dziedziniec ze starą studnią pośrodku. Ta studnia wydawała mi się bardzo tajemnicza. Stawałam na palcach i zaglądałam do niej, wyobrażając sobie, że to wielka czarna paszcza, która zaraz mnie połknie. A co do dziedzińca...

Nigdy nie zgadniesz, jak się nazywał... Podwórzec Pokutny!

- Co za nazwa! Trzeba przyznać, że działa na wyobraźnię.

- Owszem, jak wszystko, co się wiąże ze Starym Gettem.

Okoliczni staruszkowie nazywali zresztą ten dziedziniec jeszcze inaczej: Podwórcem Sekretu. Signora Levi wzięła mnie kiedyś uroczyście za rękę i powiedziała, że aby naprawdę tam wejść, trzeba otworzyć siedem układających się w labirynt bram, z któ-

rych każda u góry ma wyryte imię jakiegoś *shed*, czyli diabła.

- Chodzi ci o *shedin*, prawda?

- Tak, diabły, które podobno narodziły się za sprawą Adama, gdy ten odsunął się od Ewy, po tym jak skosztowała jabłka. Ale dla mieszkańców Starego Getta właściwie każda brama jest magiczna.

- A ty wierzysz w to wszystko?

- Od dziecka byłam niejako zawieszona między tym, co zrozumiałe, a tym, co niepojęte, między magią a światem, który nazywamy realnym. Wciąż pamiętam imiona tamtych siedmiu diabłów: Sam Ha, Mawet, Ashmo-dai, Shibbeta, Ruah, Kardeyakos i Nà Amah.

- Niewiarygodne, że jeszcze ci nie wyleciały z pamięci.

- Dla mnie to po prostu wspomnienia z dzieciństwa.

- Dużo wiesz o tej dzielnicy...

- Dużo wiem o tym mieście. - Afdera uśmiechnęła się, chwyci-

ła swego towarzysza za rękę i pociągnęła za sobą. - Chodź, pokażę ci takie ukryte zakamarki, jakich jeszcze nikt, kto nie jest stąd, nie widział na oczy. Pójdziemy teraz tam, gdzie zwykle bawiłam się z tutejszymi dziećmi.

- Wydaje mi się, że dużo wiesz o judaizmie...

- Prawie tyle, co ty o początkach chrześcijaństwa - odrzekła.

- Jesteś głodny? - spytała nagle.

- Trochę tak.

- W takim razie najpierw skoczmy do Alla Vedova, knaj-py w okolicach Cannaregio, na najlepsze *polpettine di carne**

w Wenecji - zdecydowała z entuzjazmem.

- Szczerze mówiąc, nazwa nie zapowiada nic dobrego.

- Oj, przecież to zwykłe pulpety. Tyle że znacznie lepsze niż jakiegokolwiek inne. Poza tym spodoba ci się właścicielka, Mirella Doni, zobaczysz. Ucieszy się, jak cię pozna, i na pewno zaraz opowie ci jakąś posępną historię.

Mała restauracja pękała w szwach. Wśród klientów przeważali miejscowi, choć i tu zabłądziło paru turystów. Przy zastawionym półmiskami z *antipasti* barze tłoczyli się goście próbujący zamó-

wić kieliszek wina. Nieco chaotyczny wystrój wnętrza przydawał

lokalowi pewnej oryginalności: tu wisiła fotografia weneckiej drużyny piłkarskiej z sezonu 1965-1966, tam - pochodząca z lat pięćdziesiątych reklama aparatu marki Leica, dalej - podobizna Jeana Paula Sartre'a ukrytego za swymi okrągłymi okularami w szylkretowych oprawkach i z fajką w ustach oraz pocztówka

* Pulpeciki cielęce (wł.).

przedstawiająca angielską królową Elżbietę w zaskakującej czerwonej czapeczce i kostiumie tego samego koloru. Efektu dopeł-

niały zwisające z sufitu miedziane rondle, a nad tym wszystkim dominował głos właścicielki, kobiety o niskim wzroście, lecz niezłomnym charakterze, która bezlitośnie i nieustannie rozstawiała kelnerów po kątach.

Dostrzegłszy w drzwiach Afderę, pospieszyła witać ją już od progu, bezskutecznie próbując umocować sobie na głowie wciąż opadające okulary.

- Niech cię uściskam, moje ty śliczności! Wiesz, jak mi przykro z powodu twojej babci - oświadczyła, przytulając młodą kobietę do obfitego biustu.

- Dziękuję za pamięć. Pozwól, że ci przedstawię swojego przyjaciela, Maksa, którego niezwykle interesują wszelkie straszne historie i weneckie legendy - powiedziała Afdera z szerokim uśmiechem.

- O, to wspaniale! Mam jedną na podorędziu, a tak prawdziwą jak to, że tu we troje stoimy. Opowiem wam, a potem wzniesiemy toast po wenecku - zaproponowała ochoczo Mirella. Ustawiła na ladzie trzy kieliszki i naląła do nich białego wina. - Otóż był

u nas w mieście taki jeden Biasio, *luganegher*, czyli wędliniarz.

Przyjechał z Carnii we Friuli. W rejestrach sądowych występuje jako ten, który przygotowywał swoje niezrównane wędliny z ludzkiego mięsa. Na tym polegał jego sekret. Wpadł, kiedy pewien klient znalazł w kiełbasie palec, z paznokciem i ze wszystkim.

Biasia aresztowano i skazano na śmierć przez włóczenie za koniem, obcięcie rąk i głowy, a pod jego domem, zburzonym aż do fundamentów, znaleziono pozostałości czterdziestu trupów.

- I jaki z tego morał? - spytał Max. - Wy, Włosi, uwielbiacie przecież historie z morałem.

- Pewnie! A morał jest taki, że lepiej nie pytać, z czego są nasze *polpettine*, których zaraz skosztujesz. Później podam wam jeszcze *bavette al nero di seppia** - powiedziała zachęcająco Mirella, parskając śmiechem.

* Makaron w sosie z kałamarnicy (wł.).

Następnie jednym gestem uciszyła zgromadzonych w restauracji klientów i wzniosła toast na sposób praktykowany w Wenecji od piętnastego wieku - czyli śpiewając:

Kto dużo pije, dobrze śpi, kto dobrze

śpi, dużo nie myśli, kto dużo nie myśli, nigdy nie grzeszy, kto nigdy nie grzeszy, idzie do nieba, więc pij, a znajdziesz się w raju.

- Zdrowie! - zawtórowali jej obecni.

Właśnie wtedy, w lokalu Mirelli, Afdera opowiedziała Maximilianowi Kronauerowi o księdze, którą przekazała specjalistom z Berna, i o tym, jak doniosłe znaczenie może mieć ów dokument dla chrześcijaństwa oraz, rzecz jasna, Kościoła katolickiego.

- Babcia powierzyła mi przed śmiercią misję ujawnienia głosu Judasza Iskarioty.

- Nie ulega wątpliwości, że są tacy, którzy zechcą stłumić ten głos, przy okazji uciszając i ciebie. Powinnaś uważać i nie rozpowiadać o tej sprawie na prawo i lewo.

- Jutro z rana lecę do Egiptu, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób ta księga trafiła w ręce mojej babki. Pierwsze spotkanie mam w Aleksandri . . . Może chciałbyś mi towarzyszyć? Przydałaby mi się pomoc takiego eksperta...

- Teraz nie dam rady, ale tak czy owak dzięki za zaproszenie. Muszę jechać do Rzymu. Z przyczyn rodzinnych - wyjaśnił

Max.

- W takim razie obrażam się śmiertelnie. Żeby mnie przebłagać, będziesz musiał po moim powrocie zaprosić mnie na kolację.

- Z przyjemnością - odparł.

Afdera sama nie wiedziała, dlaczego właściwie wyjawiała mu swoją tajemnicę ani po co zaprosiła go do Egiptu. Ostatecznie prawie wcale się nie znali. A jednak ufała mu. Albo może po prostu potrzebowała kogokolwiek, komu mogłaby zaufać.

W tym samym czasie, całkiem niedaleko od miejsca, gdzie Afdera i Max jedli *swoje polpettine*, siedmiu mężczyzn opuszczało właśnie Casino degli Spiriti, kierując się w stronę bazyliki Santa Maria della Salute.

Przeciawszy Campo San Filippo e Giacomo, zagłębili się w wąską uliczkę, która prowadziła do miejsca nazywanego przez okolicznych mieszkańców Podwórcem Różanym, gdzie nad jedną z bram widniał tajemniczy, nierzucający się w oczy, pochodzący z piętnastego stulecia wizerunek smoka. Każdy z siedmiu mężczyzn przyłożył dłoń do muru i odmówił krótką modlitwę.

Następnie wszyscy weszli na pokład *vaporetto*, by przedostać się na drugi brzeg Canale Grande. Tam, na Punta della Dogana, wznosił się majestatyczny kościół pod wezwaniem Santa Maria della Salute - wymowny symbol wpływów, które Krąg Octogonus miał w Wenecji od siedemnastego wieku.

Architekt Baldassare Longhena, projektując bazylikę, zainspirował się podobno wizerunkiem świątyni Wenus zamieszczonym w księdze „Hypnerotomachia Poliphili”, której egzemplarz przechowywano w czeluściach biblioteki Świętego Marka.

Gdy zakończyła się epidemia dżumy, która zdziesiątkowała mieszkańców Wenecji w 1630 roku, władze w ramach wdzięczności postanowiły wznieść wielki kościół na cześć opiekunki miasta, Najświętszej Panny Uzdrawicielki Chorych. Budowa trwała niemal pół wieku z powodu skomplikowania projektu, który, zdaniem wielu ekspertów, odzwierciedlał idee renesansowego humanizmu, łącząc kulty pogańskie z chrześcijańskim w rodzaj synkretycznego, idealnego protochrześcijaństwa.

Kardynał August Lienart znał sekret tej niezwyklej budowli. Mierzona w stopach weneckich - jednostkach, z których każda odpowiadała 35,09 cm - wykazywała zadziwiającą regularność związaną z cyfrą osiem, i to już poczynając od ośmiokątów wyznaczających podstawę, a symbolizujących ponowne narodziny. W symbolice chrześcijańskiej ósemka odznacza zmarłych i życie wieczne - co, według Lienarta, sprawdzało się w przypadku Kręgu Octogonus, zdolnego przez wieki trwać w ukryciu na straży wiary.

Kardynał August Lienart znał sekret tej niezwyklej budowli.

Mierzona w stopach weneckich - jednostkach, z których każda odpowiadała 35,09 cm - wykazywała zadziwiającą regularność związaną z cyfrą osiem, i to już poczynając od ośmiokątów wyznaczających podstawę, a symbolizujących ponowne narodziny. W symbolice chrześcijańskiej ósemka odznacza zmarłych i życie wieczne - co, według Lienarta, sprawdzało się w przypadku Kręgu Octogonus, zdolnego przez wieki trwać w ukryciu na straży wiary.

Longhena, wpisując w swój projekt rozliczne ósemki, chciał

przekazać konkretną wiadomość: jego bazylika powstała jako wotum wdzięczności dla Boga przywracającego do życia spustoszone przez zarazę miasto. Jednakże w oczach kardynała Lienarta świątynia reprezentowała bardziej potęgę Kręgu Octogonus niż Stwórcy.

Członkowie Kręgu dotarli na miejsce. Wysoko nad nimi wzdłuż budynku ciągnął się fryz zdobiony

swastykami, oznaczającymi w sanskrycie pomyślność i zdrowie. Kilku z przybyłych znało się z wcześniejszych misji.

W środku, dokładnie pod centralną kopułą, stały krzesła - każde w jednym z rogów ośmiokąta. Dalej, w głębi nawy, pod sztukaterią z napisem *Unde origo inde salus* znajdował się fotel przeznaczony dla wielkiego mistrza Kręgu Octogonus, kardynała Augusta Lienarta.

Ojcowie Carlos Reyes, Septimus Alvarado, Eugenio Cornelius i Demetrius Farrel zajęli swoje miejsca. Nowi członkowie Kręgu

- Marcus Laurretta, Spiridon Pontius i Lazarus Osmund - czekali na stojąco, aż dołączą do nich dwaj ostatni uczestnicy ceremonii: ojciec Emery Mahoney oraz wielki mistrz, którzy rozmawiali jeszcze o czymś pod wiszącym nieopodal przepięknym obrazem Tintoretta przedstawiającym wesele w Kanie Galilejskiej.

- Już czas - powiedział wreszcie Lienart. - Chodźmy. A gdy zbliżyli się do reszty, rzekł uroczyście:

- *Fructum pro fructo.*

- *Silentium pro silentio* - odparło chórem ośmiu pozostałych.

- Zanim rozpoczniemy naradę, powitajmy w naszym gronie trzech nowych braci, którzy za chwilę złożą tu przed nami przysięgę - podjął Lienart.

Laurretta, Pontius i Osmund ustawili się przed nim szeregiem.

Potem, wzorem tych, którzy przed wiekami klękali ponoć przed grobem pierwszego papieża, świętego Piotra, ślubując wierność prawdziwej wierze, po kolei wszyscy trzej złożyli przysięgę na kolanach przed wielkim mistrzem.

Każdy przyklękał obok trzech zapalonych świec, symbolizujących trzech nowych członków sekretnej organizacji, i obiecywał

trwać w wierze, dochować tajemnicy, nie kwestionować postanowień zwierzchnika Kręgu i w razie potrzeby oddać życie za sprawę, której zobowiązał się służyć. Potem wypowiadał formułę:

„Tak mi dopomóż Bóg i wszyscy święci”, wstawał, gasił jedną ze świec i zasiadał na wolnym krześle. Taki rytuał ustanowiony został przed wiekami i ojcowie Laurretta, Pontius oraz Osmund zastosowali się do niego co do joty.

Historia Kręgu Octogonus sięgała siedemnastego wieku, a może i dalej w przeszłość. Niektórzy twierdzili bowiem, że już w jedenastym stuleciu, za pontyfikatu Urbana II, członkowie Kręgu towarzyszyli krzyżowcom w pierwszej wyprawie do Ziemi Świętej. Wielu uczestników krucjat po powrocie do Europy rozpo-wszechniało legendy o członkach sekretnej organizacji, nazywanej

Kręgiem 8, noszących znak ośmiokąta i znanych ze szczególnej biegłości w sztuce *malicidium*, którym to terminem określano po prostu zabijanie niewiernych, uważanych za wcielenie zła.

Przy ofiarach tajemniczych zabójców znajdowano wycięte z materiału koło z wpisanym w nie ośmiokątem - na każdym z jego boków widniało imię Jezusa Chrystusa, w środku zaś przeczytać można było łacińską maksymę, która w tłumaczeniu brzmiała następująco: „W imię Boga gotów na męki”. Taki sam znak miał

przy sobie Francois Ravaillac, kiedy, prawdopodobnie z rozkazu papieża Pawła V, rankiem 14 maja 1610 roku zasztyletował króla Francji Henryka IV. Członkowie Kręgu Octogonus uważali się za jego kontynuatorów w dziele obrony Kościoła i jego przedstawiciele przed każdym potencjalnym zagrożeniem, tym bardziej że po zabójstwie Henryka IV wyszło na jaw, iż Ravaillac rzeczywi-

ście należał do ultrakatolickiej organizacji noszącej nazwę Kręgu Octogonus albo Kręgu 8, której członkowie - zawsze w liczbie ośmiu - byli starannie przygotowywani do wykonywania specjalnych misji i stawiali sobie za cel ślepe posłuszeństwo Rzymowi, nie uznając innych reguł niż zasady wyznaczane przez zwierzchników Kręgu.

Kiedy już wszyscy siedzieli na swoich miejscach, Lienart powiedział:

- Naszej wierze grozi wielkie niebezpieczeństwo. Ktoś rozwarł

bramy piekieł, wywlekając z zapomnianych czeluści przeklętą księ-

gę, która mogłaby wstrząsnąć fundamentami świętego Kościoła.

Ośmiu pozostałych słuchało jego słów w pełnej skupienia ciszy.

- Ktoś wydobył na światło dzienne testament zdrajcy Chrystusa, Judasza Iskarioty. Nie wolno dopuścić, by ktokolwiek to przeczytał

i zatrul się owymi jadowitymi kłamstwami. Jak kula może przeszyć ciało, pozostawiając je bez życia, tak słowo może zranić duszę, skazując ją w dodatku na przedśmiertne cierpienia. I to właśnie przytrafić by się mogło wielu wiernym, gdyby poznali łgarstwa Judasza.

Zaległa cisza. Pierwszy odezwał się Mahoney.

- Co mamy robić, mistrzu?

- Kilku z was pozostanie w Wenecji, czekając na dalsze rozkazy. Pozostali rozjadą się w różne strony. Gdy tylko się dowiem, co dalej z ową heretycką księgą, przypadnie wam, drodzy bracia, zaszczytna rola obrońców Kościoła - odrzekł Lienart. - Ty, bracie Mahoney, od razu polecisz do Hongkongu, aby osobiście przekazać komuś wiadomość. Braci Corneliusa i Pontiusa wkrótce czeka podróż do Egiptu. Dalszych wskazówek udzieli wam przed wyjazdem brat Mahoney. Bracia Lauretta i Reyes mają za zadanie nie spuszczać odtąd z oka niejkiej Afdery Brooks. Chcę wiedzieć, z kim owa młoda kobieta rozmawia, co je, jakie książki czyta. Wszystko, co do najdrobniejszego szczegółu. Niech włos jej z głowy nie spadnie, dopóki księga nie dostanie się w nasze ręce. Brat Mahoney

dostarczy wam teczki ze zdjęciami i danymi.

Zapamiętajcie te informacje, a otrzymane materiały zniszczcie.

Żadnych śladów na piśmie. Kto nie zastosuje się do moich poleceń, złamie reguły Kręgu i zostanie ukarany. Jasne?

- Tak, mistrzu - odrzekli Cornelius i Laretta.

Kardynał mówił dalej w pełnej napięcia ciszy:

- Bracia Alvarado, Ferrell i Osmund pozostaną chwilowo w Wenecji. A teraz, zanim się rozejdziemy, pomódlmy się za powo dzenie trudnej misji, jaką na siebie wzięliśmy.

Gdy przebrzmiały słowa modlitwy, z bazyliki Santa Maria della Salute wysliznęło się dziewięć cieni, które natychmiast przepadły w mroku zalegającym wąskie uliczki.

Aleksandria

Mieszkańcy Aleksandrii zawsze szcycili się jej niezwykłą historią, a liczni w mieście Koptowie twierdzili nawet, że wywodzą się bezpośrednio od świętego Marka, autora najstarszej Ewangelii. W pięćdziesiątym roku naszej ery święty, prześladowany przez Nerona, schronił się właśnie w Aleksandrii, gdzie osiemnaście lat później zginął podczas buntu przeciwko rzymskiej władzy.

Aleksandrię miał założyć Aleksander Wielki. Później jeden z jego wodzów, Ptolemeusz I Soter, uczynił z niej stolicę Egiptu, a tutejsza biblioteka i latarnia morska zostały uznane za dwa z siedmiu cudów świata. To w Aleksandrii Kleopatra zdobyła serca Juliusza Cezara i Marka Antoniusza, na długo przed tym, zanim miasto stało się sześciomilionową metropolią zajmującą ponad dwudziestokilometrowy pas wzdłuż wybrzeża.

Afdera przyleciała z Kairu na lotnisko el-Nohza. Czekala tam na nią Liliana Ransom, przez długie lata współpracująca z Crescentią Brooks.

- Twoja babcia zawsze bardzo mi schlebiała, żebym tylko pozwoliła jej pierwszej zerknąć na moje nowe zdobycze - śmiała się Liliana, serdecznie ściskając Afderę. - A swoją drogą, jesteś do niej bardzo podobna. Była bardzo piękna - dodała, gdy kierowały się już ku wyjściu.

Ta wciąż atrakcyjna i niezwykle energiczna, choć nie najmłodsza już kobieta, nonszalancko prowadząca rozklekotanego landrowera, stanowiła w oczach Afdery ogniwo łączące jej babkę z księgą Judasza. Znała wszystkie wmieszane w tę historię osoby, począwszy od rolnika, który odkrył księgę, po kairskiego marszanda odpowiedzialnego za jej sprzedaż.

Liliana Ransom fascynowała się tradycyjnym wzornictwem i od czasu do czasu udawała się na wyprawy poszukiwawcze do Górnego i Średniego Egiptu, a były to podróże bardziej nawet w czasie niż w przestrzeni. Uwielbiała patrzeć, jak przeszłość miga za szybą jej starego landrowera. Nil, którego nazwa pochodzi od greckiego *nelios*, czyli dolina rzeczna, od zawsze był dla okolicznych mieszkańców źródłem dostatku. Przecinając nieprzyjazne pustkowia na długości ponad tysiąca

pięciuset kilometrów, ożywiał je - tym bardziej, im dalej na północ i bliżej delty, dzie-

ki czemu ten region stał się w pewnym momencie spichlerzem dla rzymskich legionów stacjonujących na dzisiejszym Bliskim Wschodzie.

W czasie jazdy Afdery i Liliana większość czasu milczały, pogrążone w swoich myślach. Na koniec auto zatrzymało się przed hotelem Cecil Alexandria, mieszczącym się pod numerem 16 przy Saad Zagloul Square.

- Zarezerwowałam ci pokój właśnie tutaj, bo w tym hotelu lubiła się zatrzymywać twoja babcia. Został otwarty w 1929 roku.

I, jak dla mnie, lata świetności ma już za sobą - powiedziała Liliana, by zaraz potem w doskonałym arabskim poprosić boya o zanieśenie bagażu Afdery do recepcji.

- Mnie się bardzo podoba - odparła Afdery, przyglądając się białej fasadzie i wyblakłym flagom u wejścia.

- Odpocznij sobie teraz, jeśli masz ochotę. O piątej po południu przyślę po ciebie Hamida, swojego szofera. Mieszkam w pobliżu biblioteki. Zjemy obiad w restauracji nad morzem i porozmawiamy o tym, co cię tu sprowadza.

Znalazłszy się w pokoju, którego okna wychodziły na morze, Afdery sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer Fundacji Helsinga. Gdy uzyskała połączenie, przedstawiła się i poprosiła o rozmowę z Sabine Hubert.

Chwilę później usłyszała spokojny głos:

- Afdery?

- Tak, Sabine, to ja. Dzwonię z Aleksandrii. Co słychać? Jak wam idzie z moją księgą?

- Dobrze. Pracujemy nad nią w bezpiecznym miejscu.

- Jak bardzo bezpiecznym?

- Tak samo bezpiecznym jak nasza główna siedziba. Możesz być spokojna- zapewniła ją Sabine. - Zebraliśmy ekipę ekspertów od renowacji i przekładu.

- Znam kogoś z tej grupy?

- Nie, ale twoja babcia znała. Jest wśród nas specjalista od konserwacji papirusów, profesor Werner Hoffman z Frankfurtu, profesor Burt Herman z Wydziału Religioznawstwa Uniwersytetu w Chicago, wybitny badacz początków chrześcijaństwa, a także profesor Efraim Shemel z Tel Awiwu, ekspert od języka koptyjskiego, i wreszcie John Fessner z Ottawy, prawdziwa znakomitość w dziedzinie datowania zabytków metodą radiowęglową. Zaczniemy od rozdzielenia poszczególnych kart, a później spróbujemy przypisać każdej z nich odpowiednie fragmenty spośród tej masy skrawków,

które nam przywiozłaś razem z księgą.

- Jak długo potrwa, zanim będzie można stwierdzić, o czym ona jest?

- Jeszcze nie wiem, Afdera. Musimy posuwać się ostrożnie, krok po kroku. Przy okazji powiem ci, że Aguilar zdecydowanie zakazał nam udzielania jakichkolwiek informacji na ten temat osobom postronnym.

- Świetnie - powiedziała Afdera. - Tylko, że zależy mi też na czasie.

- Spróbujemy uporać się z tym najszybciej, jak to możliwe.

W każdym razie uważaj na siebie.

- Jasne. Dam sobie radę. Na wypadek, gdybyś chciała się ze mną skontaktować, zostawię ci numer do mojego hotelu.

- Dobrze. Trzymaj się. A jak wrócisz do Europy, to dobrze by było, żebyś wpadła do Berna. Poznałabyś ekipę i mogłabyś sama zobaczyć, jak postępują prace.

- Na pewno przyjadę, Sabine. Dzięki za wszystko.

Przed piątą przyjechał po nią Hamid, szofer Liliany.

Marszandka mieszkała w domu bardzo typowym dla Aleksandrii ; brązowawy, naruszony zębem czasu wilgotny budynek pod tymi nieprzyjaznymi pozorami skrywał dawną świetność. Winda nie działała, więc Afdera musiała się wspiąć na szóste piętro po scho-

dach. Na górze znajdowały się tylko jedne, wielkie drzwi. Otworzyła je zaalarmowana dzwonkiem kobieta słusznej tuszy.

- Przyszłam na spotkanie z panią Ransom - wyjaśniła Afdera, zastanawiając się, czy aby nie pomyliła pięter.

- Tak, proszę. Zaprowadzę panią na taras.

Długie korytarze o ścianach pokrytych półkami wypełnionymi mnóstwem posegregowanych tematycznie książek prowadziły do wychodzących na morze pokoi, które bardziej przypominały niewielkie, zastawione gablotami salki muzealne niż pomieszczenia w prywatnym mieszkaniu. Główny korytarz kończył się wielkim tarasem, z którego widać było gigantyczną budowę nowoczesnej Biblioteki Aleksandryjskiej.

Wiosną w apartamencie Liliany gromadziło się intelektualno-artystyczne towarzystwo, by dyskutować przy tradycyjnej fajce wodnej. Do tego grona zaliczał się choćby reżyser filmowy Jusuf Szahin, bard Georges Moustaki oraz Petrou, krewny poety Konstandinosa Kawafisa. Liliana nazywała ich Grupą z Aleksandrii, ponieważ wszyscy urodzili się w tym mitycznym mieście.

Spoglądając na morze, Afdera słyszała głos pani domu, instru-ującej po arabsku Hamida, który tymczasem przebrał się w elegancką marynarkę i białe rękawiczki, ponieważ najwyraźniej pełnił też funkcję kogoś w rodzaju majordomusa.

- Widzę, że Hamid to człowiek do wszystkiego - zauważyła Afdera, witając się z Lilianą.

- Bo do wszystkiego świetnie się nadaje. Aleksandryjskie noce bardzo się dłużą takiej samotnej kobiecie jak ja, toteż umi-lam je sobie wodną fajką, muzyką Moustakiego i towarzystwem Hamida. - Uśmiechnęła się, puszczając oko do Afdery. - Chodź, spróbujesz pyszności, które przyrządziła nam Aasiyah.

Na stole w jednym z salonów znalazły wielką różnorodność potraw o najróżniejszych kolorach, zapachach i - zapewne -

smakach. Nałożywszy sobie wszystkiego, Afdera i Liliana wró-

ciły na taras. Od morza dolatywała łagodna bryza, a monotonny szum fal zakłócały jedynie klaksony samochodowe, rozlegające się od czasu do czasu na ulicy w dole.

- To teraz powiedz, co cię do mnie sprowadza - zaczęła Liliana.

- Judasz Iskariota.

- Wiedziałaś, że prędzej czy później to do mnie wróci.

Co chcesz wiedzieć?

- Potrzebuję jak najwięcej informacji o księdze. W jaki sposób trafiła do mojej babci? Jak i gdzie została odkryta? Przez czyje ręce przeszła? Kto i dlaczego odstąpił ją kolejnym właścicielom?

Babcia trzymała ją w sejfie nowojorskiego banku, razem z dziennikiem, w którym o niej pisze. Z niego dowiedziałam się o tobie.

- Nie sądzę, żebym mogła odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. W naszym zawodzie wskazana jest dyskrecja. Istnieje niepisane prawo, zakazujące nam ujawniania naszych źródeł. Ale w miarę możliwości postaram się ci pomóc - oświadczyła Liliana, sadowiąc się na wysłanej poduszkami sofie. - Strzelaj.

- Najpierw chciałabym porozmawiać o Hanym Jabecie, o niejakim Mohamedzie i o Kopcie nazwiskiem Abdel Gabriel Sayed.

Babcia napisała, że to oni odkryli księgę.

- To nie do końca tak. Już ci wyjaśniam. Księga została znale-ziona w połowie lat pięćdziesiątych przez Jabeta, jego przyjaciela Mohameda oraz kuzyna tego ostatniego, przy czym imienia kuzyna nigdy nie znałam. Ci trzej trafili na nią w jaskini w okolicach Gebel Qarara, niedaleko miejscowości Maghagha. Abdel Gabriel Sayed wkracza na scenę później, kiedy tamci trzej, dość prości ludzie,

zaczynają się zastanawiać, co zrobić ze swoim znaleziskiem. W odróżnieniu od nich Sayed ma kontakty z marszandami, więc zawozi księgę z Maghaghy do Kairu i przekazuje ją w ręce Rezeka Badaniego, o którym chwilowo wolałabym nie mówić.

Po tych słowach Liliana zamilkła na chwilę, pochylając się nad swoją fajką. Afdery skorzystała z tego, by zapytać:

- A dałoby się zorganizować mi spotkanie z Jabetem, Mohamedem i tym bezimiennym kuzynem?

- To raczej trudne. Żaden z nich nie żyje - odparła Liliana.

- Och, nie wyobrażaj sobie zaraz niestworzonych rzeczy - dodała, widząc minę Afdery. - O ile wiem, nie spotkało ich nic, co by nie było normą w zawodzie rabusia grobowców. Zresztą, kto by wszczywał śledztwo w sprawie śmierci trzech wieśniaków. Nie zapominaj, że jesteśmy w Egipcie.

- Jak zginęli?

- Hany Jabet i jego przyjaciel Mohamed szukali podobno czerwonej rtęci dla bogatego handlarza z Kairu.

- Co to jest czerwona rtęć?

- Elixir wiecznego szczęścia, bogactwa i zdrowia - wyjaśniła Liliana. - Mityczna substancja, którą wedle tutejszych podań znajdowało się w ampułkach wsuwanych w gardła mumii. Za namową jakichś hochsztaplerów Jabet i Mohamed zgodzili się zapuścić do pewnego grobowca bez żadnych zabezpieczeń. W pewnym momencie tunel, który kopali, zawalił się im na głowy. No i się podusili. Z kolei ten kuzyn Mohameda, a właściwie chyba siostrzeniec, zginął razem czterema innymi chłopakami ze swojej wioski, próbując dostać się do jeszcze jednego skarbu. Zostali pogrzebani żywcem. Gdy ich wyciągnięto, było za późno, a potem grupa archeologów odkryła bardzo interesujący grobowiec dwa metry obok miejsca, gdzie kopali.

- Czyli że pierwsze ogniwo łańcucha już nie istnieje.

- Na to wygląda. Ale zarówno Abdel Gabriel Sayed, jak Rezek Badani wciąż żyją, chyba że tymczasem dopadł ich jakiś oszukany bogaty kolekcjoner.

- Mam nadzieję, że nie. Jak znajdę Sayeda?

- Nic prostszego. Wynajmij w Kairze samochód i jedź do Maghaghy, to jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe. Sayed nadal tam mieszka.

Godzinę później Hamid wysadził Afdery przed hotelem.

Wieczór okazał się bez wątpienia owocny. Przed udaniem się na spoczynek Afdery poprosiła w recepcji, by na następny dzień zarezerwowano jej lot powrotny do Kairu.

Tego właśnie poranka, gdy szykowała się do wyjazdu, dwóch czarno ubranych mężczyzn zmierzało

nadmorskim bulwarem Corniche w stronę budynku, w którym mieszkała Liliana Ransom.

Przez nikogo niezauważeni dostali się na szóste piętro i do apartamentu.

Ojciec Spiridon Pontius skierował się ku służbowce, gdzie sypiała Aasiyah. Z daleka słyszał jej chrapanie.

Ze skórzanej torby wyjął plastikową rurkę, przez którą przeciągnął gruby drut. Następnie szybkim ruchem zarzucił to na szyję śpiącej. Aasiyah nie zdążyła stawić prawdziwego oporu i po kilku sekundach była martwa. Upewniwszy się, że nie żyje, ojciec Pontius zamknął jej powieki, wsunął język z powrotem w usta i czyniąc prawą dłonią znak krzyża, powiedział:

- *Fructum pro fructo. Silentium pro silentio.*

Po drugiej stronie mieszkania ojciec Cornelius wsunął się do głównej sypialni. Tam, w wielkim łóżu z baldachimem, spała półnaga Liliana Ransom. Zabójca dłonią w rękawiczce chwycił

zwisający z krzesła jedwabny pasek od szlafroka, podszedł bliżej i błyskawicznie zacisnął pętlę na szyi ofiary. Leżąca na brzuchu kobieta próbowała walczyć ze wszystkich sił, ojciec Cornelius znał

się jednak na rzeczy. W ostatnim racjonalnym odruchu Liliana zmusiła swoje ciało do bezwładu, licząc na to, że napastnik uzna ją za martwą, co pozwoli jej zaczerpnąć oddechu. Plan powiódł

się o tyle, że zdołała jeszcze sięgnąć po niewielki marmurowy obelisk stojący na nocnym stoliku. Zabójca z Kręgu Octogonus był

wszakże zbyt doświadczony, by dać się w ten sposób zaskoczyć.

Kilka sekund później Liliana Ransom naprawdę nie żyła.

Ojciec Cornelius nie zwolnił chwytu, dopóki nie przekonał

się, że jego ofiara rzeczywiście nie oddycha. Wtedy odsunął się od łóżka i zauważył, że ma mokre spodnie. W przedśmiernej walce kobieta oddała mocz na pościel i jego ubranie.

Spokojnie, zachowując się bardziej jak automat niż jak człowiek, zabójca związał jej ręce za plecami tym samym paskiem, którym ją udusił. Potem wziął ze stolika chusteczkę i wcisnął

zmarłej w usta. Na koniec wysmarował obelisk - strącony przez Lilianę na dywan - znalezionym obok kremem do twarzy i wsunął

go kobiecie w odbył.

Następnie obrzucił swoje dzieło ostatnim spojrzeniem i wykonując znak krzyża, wygłosił formułę:

- *Fructum pro fructo. Silentium pro silentio.*

Przed wyjściem zostawił na łóżku wycięty z materiału ośmiokąt ze słowami: „W imię Boga gotów na męki”.

- Pomyślą, że chodziło o gwałt. Zwykle przestępstwo na tle seksualnym. Ot, cudzoziemka zamordowana przez egipskiego kochanka - wyjaśnił ojcu Pontiusowi, kiedy się spotkali.

Potem we dwóch opuścili budynek i rozplynie się wśród uliczek budzącego się powoli miasta. Kilka godzin później policja aresztowała Hamida, oskarżonego o zamordowanie Liliany Ransom i jej służącej. Jego odciski palców były wszędzie, nie wyłączając niewielkiego obelisku z nocnego stolika.

Afdera, wsiadając do samolotu, nie wiedziała jeszcze, że szlak wiodący do prawdy o pozostawionej przez Judasza księdze zasłały już pierwsze trupy. Pierwsze, lecz nie ostatnie.

Tajemniczy Krąg Octogonus przystąpił do działania.

Hongkong

Ojciec Mahoney coraz gorzej znosił długie podróże samolotem i wciąż nie doszedł do siebie po wyprawach do Boliwii i Armenii. Mimo że tym razem leciał pierwszą klasą, czuł się zdecydowanie kiepsko, choć, oczywiście, nie mógł się skarżyć - ostatecznie wypełniał swoją misję w obronie wiary.

Dotarłszy na miejsce, z ulgą przesiadł się do rolls-royce'a przysłanego przez luksusowy hotel, w którym miał czekać na telefon od jednego z sekretarzy Delmera Wu, najbogatszego człowieka w Hongkongu.

Pan Wu był właścicielem hongkońskiego hipodromu o powierzchni ponad miliona metrów kwadratowych, rafinerii WuOil, jednej z największych w Azji, kilku kompanii morskich - takich jak Hong Kong Cargo - których okręty przemierzały wody całego globu, oraz prywatnej wyspy Waglan, położonej na południowy wschód od Hongkongu i zamienionej w prawdziwą twierdzę. Ponadto chodziły słuchy, że należy do grona najpotężniejszych na świecie przemysłowców rozmaitych zakazanych substancji, ale nie istniały na to dowody.

Pewne było natomiast to, że zgromadził największą kolekcję cennych manuskryptów, składającą się z mniej więcej czterech-stu tysięcy pozycji i obejmującą ponad pięć tysięcy lat historii ludzkości - od fragmentów zwojów znad Morza Martwego przez ważne rękopisy buddyjskie i listy Henryka VIII po edykty podpisane własnoręcznie przez Napoleona. Marzył, by stworzyć w Hongkongu muzeum, które stanowiłoby fundamentalny punkt odniesienia dla historyków zajmujących się nie tylko Azją, lecz również Europą.

Wśród krążących na jego temat legend była również ta dotycząca zakupu kilku fragmentów zwojów z Qumran. Pan Wu nabył

od nieznanego sprzedawcy aż dziesięć skrawków słynnych zwojów, przy czym na każdym widniała tylko jedna litera. Wydał

na to sto tysięcy dolarów, co oznaczało, że zapłacił dziesięć tysięcy dolarów za każdą. Potem pojawił się problem ich nielegalnego wywozu z kraju, w którym została zawarta transakcja. Plotka głosiła, że w tym celu Wu wykorzystał swoją piękną żonę, błękit-nooką Claire - prawdziwą azjatycką laleczkę z porcelany. Owe dziesięć liter umieszczono podobno w podłużnych tulejkach, w jakich są sprzedawane hawańskie cygara, po czym Claire Wu jakoby przemyciła je po kolei we własnej pochwie.

Wedle innej pogłoski pan Wu miał kupić swoją przyszłą żonę, wówczas pięcioletnią, w jakiejś wiosce w południowych Chinach, zachwycony niesamowicie niebieskimi oczami dziewczynki.

Opowiadano, że zamknął ją zaraz potem w jednym z najszlachetniejszych luksusowych domów publicznych w Bangkoku, gdzie pozostała, zgłębiając najbardziej wyrafinowane techniki miłosne, do dwunastego roku życia. Następnie posłał ją do najlepszych szkół w Paryżu, Nowym Jorku i Genewie,

aby nabrała ogłady i przygotowała się do życia w jego świecie. Dzień po jej siedemna-stych urodzinach zabrał ją do siebie i nikt właściwie nie wiedział, czy się z nią naprawdę ożenił, czy tylko wykorzystywał ją jako swoistą tajną broń przy prowadzeniu interesów.

Szczególne zainteresowanie prasy wzbudził wtedy, gdy jego rzecznik prasowy poinformował o „wspaniałomyślnym” zwróceniu prawowitym właścicielom wyjątkowo cennych relikwii buddyjskich zakupionych na jakiejś aukcji. Później wszakże wyszło na jaw, że owe relikwie zostały najprawdopodobniej zrabowane i nielegalnie wywiezione z regionu Gilgit w Pakistanie. Mówiono, że dwóch „marszandów” odpowiedzialnych za tę transakcję znaleziono nieco później z poderżniętymi gardłami w jakimś brudnym zaułku w Peszawarze, mieście położonym niedaleko granicy pakistańsko-afgańskiej, w pobliżu niebezpiecznej prze-

łęczy Chajber. Zresztą w życiu pana Wu nigdy nie brakowało tajemnic. Najmroczniejsza wiązała się z dokonaniem przez sześciu przestępców przed Café Saigon porwaniem jego jedyne go syna i dziedzica.

Negocjacje dotyczące okupu trwały całymi tygodniami, ale ostatecznie coś poszło źle i dwudziestotrzyletni syn milionera został uduszony, a jego zwłoki znaleziono w jednym z portowych magazynów. Zabójców schwytano i skazano na dożywocie. Potem jednak ku ogólnemu zdziwieniu ktoś opłacił adwokata, który zło-

żył apelację i w tajemniczy sposób doprowadził do wypuszczenia porywaczy za kaucją.

Tydzień później żaden z nich nie żył. Ugotowano ich żywcem w wielkim zbiorniku, a następnie wyłupiono im oczy i powieszono ich na rzeźnickich hakach. Tak znalazła ich policja. Nigdy nie udało się udowodnić związku Delmera Wu z tą egzekucją.

Dzień po swoim przyjeździe ojciec Mahoney odebrał w hotelu telefon.

- Ojciec Mahoney?

- Tak, słucham.

- Za dwie godziny przyjedzie po pana samochód, który zawiezie pana na główną przystań hongkońskiego jachtklubu. Tam spotka się z panem doradcą pana Wu, Lathan Elliot. Przekaze mu pan swoją wiadomość - oświadczył jakiś głos, po czym połą-

czenie urwało się, zanim wysłannik kardynała Lienarta zdążył

zareagować.

Dwie godziny później przed hotelem stanął lśniący bentley.

- Mam polecenie, by rozmawiać o swojej sprawie wyłącznie z panem Wu i z nikim innym - powiedział Mahoney do szofera, nie uzyskał jednak żadnej odpowiedzi.

Samochód przedarł się przez ulice dzielnicy Kowloon i przystanął przed ekskluzywnym jachtklubem.

Kierowca wysiadł bez słowa i otworzył swojemu pasażerowi tylne drzwi.

- Proszę iść do końca przystani. Tam na pana czekają - poin formował.

Mahoney poszedł drewnianym pomostem, wzdłuż którego stały najrozmaitsze jachty i żagłówki w barwach Hongkongu, Australii, Nowej Zelandii, a nawet Panamy. Jakies dwieście metrów dalej pomost rozszerzał się i Mahoney dostrzegł zacumowany tam wielki jacht o rzucającej się w oczy, bo wymalowanej wielkimi literami nazwie: „Amnesia”.

Na pokładzie uwijało się kilku marynarzy, którymi kierował jakiś mężczyzna mówiący z wyraźnym irlandzkim akcentem. Mahoney już chciał wejść po trapie na górę, kiedy zatrzymał go głos z tyłu.

- Ojciec Mahoney?

- Tak, to ja.

- Zanim pan wejdzie, muszę pana obszukać - powiedział

nieznajomy, przesuwając wzdłuż jego ciała wykrywacz metali.

- Sądzi pan, że mogę mieć broń? - spytał zaskoczony Mahoney.

- Nazywam się Gilad Leven i jestem szefem ochrony pana Wu. Względy bezpieczeństwa wymagają, by każdy, kto wkracza na teren pana Wu, został przeszukany. Każdy, choćby to był sam papież. Płacą mi za to, żebym tego bezwzględnie pilnował.

Zaległą po tych słowach ciszę przerwało lekkie buczenie.

- Proszę rozpiąć koszulę - nakazał Leven.

Mahoney usłuchał i odsłonił zawieszony na szyi złoty krucyfiks - osobisty upominek od kardynała Lienarta.

- W porządku, jest pan czysty. Proszę na pokład. Pan Elliot już czeka.

„Amnesia” była jedną z ulubionych zabawek Delmera Wu.

Została zaprojektowana i zbudowana przez istniejącą od 1873

roku firmę Benetti Shipyard, w której stoczniach w Livorno powstawały najsłynniejsze na całym świecie luksusowe jachty.

Pan Wu zapłacił architektowi Stefanowi Natucciemu miliony dolarów za sam projekt. Do wykończenia wewnątrz użyto wyszukan-ych materiałów, takich jak orzechowe i wiśniowe drewno albo kryształ Laliq ue i Murano. Żaglowiec mógł pomieścić dwunastu pasażerów, a jego załoga składała się z siedemnastu marynarzy.

Ojca Mahoneya powitała dziewczyna w tradycyjnym tajskim stroju.

- Dzień dobry. Witamy na pokładzie.

- Dzień dobry. Mam się tu spotkać z panem Elliotem.

Doradca Delmera Wu czekał w służącym za gabinet dużym pomieszczeniu przy wielkim konferencyjnym stole.

- Miło nam tu ojca gościć - rzekł, wymawiając słowa z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców z Teksasu. - W czym możemy pomóc Watykanowi?

- Pan akurat w niczym - odparł Mahoney. - Polecono mi rozmawiać wyłącznie z panem Wu. Osobiście i cztery oczy.

- Tak, ale pan Wu nie rozmawia z każdym. Dlatego albo porozmawia ojciec ze mną, albo...

- Cóż, przekażę to kardynałowi Lienartowi. Życzę miłego dnia.

A teraz byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan umożliwić jak najszybszy powrót do hotelu. Chciałbym skorzystać z pierwszego połączenia do Rzymu, aby poinformować Jego Ekszelencję o zaistniałej sytuacji - oświadczył sucho Mahoney.

W napiętej ciszy, która zapadła po tych słowach, ostro zabrzmiał

dzwonek telefonu. Lathan Elliot odebrał i przez chwilę słuchał, krótko potakując. Potem odłożył słuchawkę.

- Dobrze, właśnie otrzymałem rozkaz, żeby zabrać ojca do rezydencji pana Wu, na Wzgórze Wiktorii.

Wkrótce potem sekretarz, wieziony tym samym co wcześniej Bentleyem, znalazł się na wyspie. Wjeżdżali na wzgórze, z którego rozciągał się niezapomniany widok. Obok Mahoneya siedział

Lathan Elliot, a naprzeciwko - Gilad Leven. Mógłbym go zabić tak szybko, że nawet by się nie zorientował, pomyślał Mahoney, patrząc na potężny kark szefa ochrony.

Nagle samochód zwolnił. Znajdowali się na Plantation Road, obok widać było wysoki biały mur. Leven porozumiał się z kimś przez walkie-talkie i wielka brama stanęła przed nimi otworem, odsłaniając szeroki podjazd prowadzący do nowoczesnego budynku z dyskretnymi chińskimi akcentami. Mahoney spodziewał się wielkich lwów i waz, z rodzaju tych, które zdobią chiń-

skie restauracje na całym świecie, a miał przed sobą utrzymany w minimalistycznym stylu dom z wielkimi oknami wychodzącymi na miasto w dole. Wokół panowała przyjemna cisza, zakłócana jedynie dobiegającym z pobliskiego basenu popluskowaniem.

Po chwili z wody wynurzyła się drobna młoda kobieta o doskonałym ciele porcelanowej laleczki. Bez wątpienia - pani Wu we własnej osobie.

- Jest przepiękna, prawda? - spytał jakiś głos z tyłu.

Ojciec Mahoney odwrócił się. Stał za nim gospodarz.

- Podziwiam ją dzień w dzień i nigdy nie mam dosyć - ciągnął

pan Wu, nie odrywając oczu od żony, która tymczasem owinęła swoje wilgotne jeszcze ciało cienkim jedwabnym szlafrokiem.

Następnie podeszła i pocałowała męża w policzek.

- Kochanie, przedstawiam ci ojca Mahoneya, prosto z Watykanu

- powiedział pan Wu.

Claire, wyraźnie świadoma swojej urody, zwróciła się do Mahoneya.

- Bardzo mi miło ojca poznać - rzuciła, po czym oddaliła się szybko.

- A teraz do rzeczy - oświadczył gospodarz. - Chciałbym wiedzieć, co ojca do nas sprowadza i w jaki sposób skromny biznesmen z Hongkongu mógłby się przysłużyć Jego Świątobliwości.

Nie ulegało wątpliwości, że znał przebieg rozmowy na

„Amnesii”. Tym bardziej, że zaraz dodał:

- A Johnowi niech ojciec wybaczy obcesowość. To Amerykanin, Teksasńczyk, trudno więc oczekiwać, żeby wiedział, jak rozma wiać z wysłannikiem papieża. Czy też może raczej kardynała?

- To mówiąc, uśmiechnął się domyślnie.

- Watykan potrzebuje dziesięciu milionów dolarów w gotów-ce. Pieniądze powinny w ciągu siedmiu dni znaleźć się w sejfie jednego ze szwajcarskich banków.

- Och, a kardynał Lienart, bo to on, jak się domyślam, przysłał

tu do mnie ojca, nie wolałby raczej dwudziestu, trzydziestu albo stu milionów? - zakpił Delmer Wu.

- Nie, potrzebuje tylko dziesięciu, na warunkach, jakie przedstawiłem.

- A na co, jeśli wolno spytać?

- Na zakup dokumentu, którego ujawnienia Kościół sobie nie życzy. Nic więcej nie mogę zdradzić - odrzekł Mahoney.

- Cóż. . Dlaczego w takim razie nie skorzystać z rezerw Banku Watykańskiego? Jeśli to takie ważne dla Kościoła, Jego Eminencja nie powinien mieć kłopotów z uzyskaniem tej sumy.

Mahoney milczał.

- Och, chyba mnie ojciec nie docenia, podobnie jak kardynał

Lienart. A *to* niewskazane. Im więcej człowiek wie, tym jest silniejszy. Albo udaje, że wie, bo to już bez znaczenia. Liczy się sekret, a ja zawsze mam sporo sekretów na podorzędziu.

- Ludzkie postęпки są jak zwierciadło, w którym odbija się człowiek, lecz jedynie Bóg wie, czy to odbicie jest prawdziwe

- powiedział Mahoney.

- Och, wy, katolicy, lubicie odwoływać się do Boga w każdej sytuacji. Ale dla mnie, ojcie Mahoney, Bóg to tylko słowo, jedno z pojęć, za pomocą których próbujemy wyjaśniać świat. Zresztą, gdy chodzi o pieniądze, wszyscy jesteśmy jednego wyznania.

- Więc udostępni pan Watykanowi te dziesięć milionów?

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że będzie mi wolno obejrzeć ów tak ważny dla Kościoła dokument, zanim przekazany zostanie do Tajnego Archiwum Watykańskiego. W takim wypadku pieniądze będą czekały już jutro.

- Zgoda. Tu ma pan nazwę banku - rzekł ojciec Mahoney.

Kilka godzin później, w swoim pokoju, Mahoney wybrał prywatny numer kardynała Lienarta.

- Słucham? - odezwał się kobiecy głos na drugim końcu linii.

- Siostrze Ernestine, tu ojciec Mahoney. Chciałbym rozmawiać z Jego Eminencją.

- Już proszę.

Przez dłuższą chwilę do uszu Mahoneya dobiegały dźwięki słuchanej przez kardynała symfonii Mozarta, a konkretnie *Allegro con spirito*.

- *Fructum pro fructo* - odezwał się w końcu Lienart.

- *Silentium pro silentio* - odparł Mahoney.

- Misja się powiodła?

- Tak, eminencjo. Cel został osiągnięty.

- Wu nie stawiał warunków?

- Chce tylko obejrzeć księgę przed przekazaniem jej do archiwum.

- Nie możemy mu ufać. On doskonale rozumie, że musi chodzić o coś niezwykle cennego, dlatego spróbuje jakiejś sztuczki, żeby nas okpić. Dobrze go znam, więc wiem, co mówię. Bydlę z pieniędzmi pozostaje bydlęciem. A w tym wypadku bogactwo jedynie potęguje wrodzoną podłość. Trzeba uważać - stwierdził

kardynał.

- Jak możemy przeciwdziałać ewentualnym podstępom, eminencjo?

- Na razie poczekajmy. Jakiś mędrzec powiedział kiedyś: „Patrz wrogowi w oczy, a wyczytasz w nich, co powinieneś uczynić”.

Tak zrobimy i w zależności od sytuacji poczynimy odpowiednie kroki. Tymczasem musimy uzbroić się w cierpliwość. A ciebie, drogi bracie Mahoney, będę teraz potrzebował w Rzymie.

- W takim razie wracam jutro rano. Wu oddał mi do dyspozycji swój prywatny samolot.

- Och, byłbym zapomniał! A chciałem zdażyć z tą nowiną przed innymi. Z przyjemnością informuję, bracie Mahoney, że zosta-

łeś przedstawiony Jego Świątobliwości jako kandydat na biskupa. Przypuszczam, że oficjalnie powiadomi cię o tym kardynał

Gregorio Inzerillo, prefekt Kongregacji do spraw Biskupów, oraz kardynał Pietro Orsini, szef Pierwszego Wydziału Sekretariatu Stanu. Pragnąłem jednak pierwszy złożyć ci serdeczne gratulacje, monsignore.

- Dziękuję, eminencjo, ale nie sądzę, żebym zasługiwał

na to wyróżnienie.

- Po cóż ta skromność? Jest potrzebna, gdy człowiek dopiero odkrywa siebie i udowadnia swoją użyteczność, ty natomiast, bracie Mahoney, masz już ten etap za sobą. Zapracowałeś sobie na to, co cię spotyka. Jutro będę rozmawiał z Jego Świątobliwością i nie omieszkał poprosić, by osobiście poprowadził ceremonię

- powiedział Lienart. - A teraz: *fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*. Dobrej nocy, eminencjo - odrzekł

przyszły biskup Mahoney.

Następnego dnia o szóstej rano szofer Delmera Wu zawiózł

Mahoneya na lotnisko, gdzie czekał już bombardier global 5000

- luksusowy samolot należący do milionera. Po stosunkowo nie-uciążliwym - mimo międzylądowań w Singapurze i Abu Dhabi

- locie Mahoney znalazł się na Fiumicino, gdzie wsiadł do mercedesa z przypisanymi watykańskiemu Sekretariatowi Stanu numerami rejestracyjnymi SCV, by udać się do Stolicy Apostolskiej.

Maghagha, Egipt

Afdera wynajęła samochód z szoferem i pokonała dwieście pięćdziesiąt kilometrów, które dzieliły Maghaghę od Kairu. Po drodze podziwiała oazy zieleni rozsiane nad Nilem atakowanym ze wszystkich stron przez odwieczne piaski. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem, pochłonięta lekturą dziennika babki, przerywaną jedynie dźwiękiem klaksonu, gdy kierowca od czasu do czasu spędzał z szosy powolne krowy.

Maghagha okazała się monotoniem brunatnym miasteczkiem składającym się z brunatnych domków stojących pośród brunatnego krajobrazu. Dla chrześcijan był to rejon ważny ze względu na rolę, jaką - przynajmniej według Koptów - odegrał w życiu Najświętszej Rodziny. Uciekając przed siepaczami Heroda, Maria, Józef i Jezus schronili się w Egipcie, gdzie żyli w ukryciu przez cztery lata. Wtedy to mieli dotrzeć do wioski Deir el-Garnus, położonej dziesięć kilometrów na zachód od Ashenein el-Nassara, właśnie w okolicach Maghaghy. Przy zachodniej ścianie tamtejszego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Panienki zachowała się studnia, z której - według tradycji - nabrali wody. Potem powędrowali podobno do miejsca zwanego Domem Jezusa, gdzie obecnie - na wschód od miasteczka el-Bahnasa - znajduje się miejscowość Sandafa.

Maghagha stanowiła ponadto ważny ośrodek nielegalnego handlu antykami. We wtorki i niedziele niedaleko głównego placu odbywał się targ i jeśli ktoś wiedział, czego szukać - a Crescentia Brooks i Liliana Ransom wiedziały - mógł znaleźć naprawdę interesujące przedmioty.

Auto stanęło na zatłoczonym centralnym placu, na którym sprzedawcy oferowali daktylę i herbatę przechodniom spieszącym w stronę tego czy innego z zaparkowanych nieopodal, rozpadających się autobusów.

- Zaraz wypytam kogoś o drogę - zaoferował się szofer, zosta wiając Afderę w samochodzie.

Przez okno widziała, jak rozmawia z kimś, gwałtownie gestykułując.

- Podobno pan Sayed mieszka tuż obok, w piętrowym domu.

Łatwo go poznamy, bo piętro jest jeszcze nieskończone - oświadczył po powrocie.

Ruszyli więc, z trudem torując sobie drogę przez tłum. Kierowca trąbił bez opamiętania, kłął i wymachiwał rękami.

U końca wąskiej, brunatnej jak wszystko wokół uliczki, Afdera dostrzegła grupkę dzieci grających w piłkę.

- To musi być tam - rzuciła.

-
Trzeba zapytać - odparł i skinął na jednego z chłopców.

Spośród kilku arabskich słów, które wymienili, Afdera wyło wiła interesujące ją nazwisko.

- To tutaj - oświadczył w końcu szofer i już po chwili wnuczka Crescentii Brooks stała przed domem człowieka, od którego wszystko się zaczęło.

- Cześć - powiedziała do jednego z chłopców. - Szukam pana Abdela Gabriela Sayeda.

- To mój tata - odparł. - Jest w domu, proszę wejść i spytać mamę.

Jej babka mówiła zawsze, że w Egipcie od dzieci i much nie sposób się opędzić - i miała rację. Otoczona przez malców Afdera zatrzymała się niezdecydowanie na środku podwórza, kiedy w drzwiach domu pojawił się mężczyzna o miłej twarzy, pospiesznie wycierający ręce w jakąś szmatkę.

- Pani musi być krewną Crescentii Brooks - oświadczył.

- Bo wygląda pani jak ona.

- Tak, jestem jej wnuczką. Mam na imię Afdera.

- Abdel Gabriel Sayed, do usług. Znałem pani babcię. Ale proszę do środka, ten upał jest nieznośny. Napije się pani lemoniady?

- Chętnie.

Przeszli do pokoju. Sayed wygonił chłopców, machając na nich jak na uprzykrzone insekty,

- Teraz lepiej - uśmiechnął się, podając gościowi napój.

- Przynajmniej coś słyszeć.

- Przepraszam, że przyjechałam tak bez uprzedzenia, ale potrzebuję informacji - zaczęła Afdera.

- O księdze Judasza? Wiem od Liliany, telefonowała do mnie

- wyjaśnił, pochwywszy jej zdumione spojrzenie.

- O księdze Judasza - przytaknęła. - Chciałabym dokładnie wiedzieć, jak ten rękopis trafił w ręce mojej babci.

Abdel Gabriel Sayed usiadł na stercie poduszek leżących na ziemi przed niskim stołem, na którym stał talerz z arabskimi słodyczami.

- Szczerze mówiąc, wiele się pani ode mnie nie dowie. Kiedyś, dawno temu, zjawił się u mnie

pewien człowiek z wiadomością o odkryciu dokonanym w okolicy Gebel Qarara. Nazywał się Hany Jabet. Przespał się tu u nas i zaraz następnego dnia pojechaliśmy na miejsce. Pokazał mi jaskinię, do której wchodziło się po odsu nięciu czegoś w rodzaju płyty maskującej wylot tunelu. W środku zobaczyłem kilka sarkofagów i sporych rozmiarów gliniane naczynie. Jabet zaglądał do niego już przy poprzedniej bytności w jaskini. Otworzyliśmy je znowu. Zawierało kamienną skrzynkę, taki jakby kuferek, w którym z kolei znajdowało się coś owiniętego w materiał. To coś to była oczywiście księga Judasza. Zabraliśmy ją do samochodu, a potem zasypaliśmy wejście do jaskini.

- Kto leżał w tamtych sarkofagach? - spytała z zainteresowaniem Afdera.

- Nie wiem. Jakieś mumie w dziwacznych, wyblakłych ubiorach. Zresztą tak naprawdę widziałem tylko jedną. Mohamed, przyjaciel Jabeta, przez przypadek stanął nogą na wieko, które nie wytrzymało jego ciężaru - odrzekł Sayed.

- Co to były za ubiory? - indagowała Afdera.

- Trudno powiedzieć. Ciało wyglądało na dobrze zachowane.

Mężczyzna, niezbyt wysoki, w żelaznym hełmie. Był osłonięty puklerzem i owinięty w płaszcz ze znakiem krzyża, w dłoniach trzymał miecz. Zwróciliśmy uwagę, że na ustach i oczach miał monety. Ale ich nie tknęliśmy.

- Krzyżowiec... - szepnęła Afdera. - Tylko skąd się tu wziął?

Nigdy przecież nie dotarli w te rejony...

- Nie wiem. Tak czy owak, zostawiliśmy te sarkofagi w spokoju - powiedział Abdel Gabriel Sayed. - Hany Jabet był Koptem i z szacunku dla krzyża nie chciał niczego ruszać. Mohamed, jako muzułmanin, miał inne podejście i zamierzał wziąć sobie jeden z mieczy, ale Jabet postraszył go klątwą. Takie tam głupstwa. Hany był zresztą bardzo pobożny i chyba bardziej bał się gniewu Boga niż duchów.

- Mógłby mnie pan zawieźć do tej jaskini? Gdybym zobaczyła tamte mumie, może udałoby mi się wydedukować coś więcej na temat księgi...

- To już tyle lat. . Na pewno wszystko wygląda inaczej.. Poza tym nie wiem, czy Mohamed posłuchał Jabeta i czy aby nie wrócił

tam potem na własną rękę...

-Chociaż spróbujmy... - nalegała Afdera, wpatrując się w niego błagalnym wzrokiem. - Rozejrzę się na miejscu i może zdołam odkryć, kto i dlaczego napisał tę księgę...

Sayed milczał przez dłuższą chwilę. Pociągnął łyk miętowej herbaty i pytająco popatrzył na swoją żonę, która chwilę wcześniej weszła do pokoju.

- Zabierz ją tam - odezwała się nagle. - Pamiętaj, ile zawdzię-

czamy jej babce. W ten sposób spłacisz część długu. Nie zapomniałeś chyba, dzięki komu mieszkamy w tak dobrych warunkach, a nasza córeczka może chodzić. To twój obowiązek, Gabrielu.

- Dobrze, pojedziemy jutro z rana - powiedział Sayed do Afdery.

Po obfitej kolacji złożonej z lokalnych dań pani domu zaoferowała Afderze nocleg, ta jednak odmówiła.

- Bardzo dziękuję, ale przy wjeździe do miasteczka widziałam niewielki hotel. Tam się prześpię, a przy okazji skorzystam z telefonu, bo przed jutrem muszę się skontaktować z kilkoma osobami w Europie - tłumaczyła przeprasza jąco.

Spotkanie z Abdelem Gabrielem Sayedem okazało się bardziej owocne, niż oczekiwała. Trop związany z krzyżowcami zapowiadał się bardzo obiecująco.

Zatopiona w myślach zmyliła drogę i zgubiła się w labiryncie uliczek. Niech to diabli, pomyślała, Sayed chciał mnie odprowadzić, dlaczego nie skorzystałam z propozycji?

Błądziła w gęstniejących ciemnościach, gdy usłyszała za sobą kroki. Zaniepokojona obejrzała się przez ramię, ale było już za późno. Czyjeś silne ręce zakryły jej usta, chwyciły ją w pól

i cisnęły na ziemię.

Szarpała się zawzięcie. Udało jej się kopnąć napastnika w jądra, lecz zaraz potem zjawił się drugi, który, mamrocząc coś po arabsku, wymierzył jej policzek. Poczwała palący ból.

Przez lata uczyła się sztuk walki, więc teraz nie dawała za wygraną. Tamci dwaj wyraźnie zamierzali ją zgwałcić. Jeden zdołał w końcu unieruchomić jej ręce, drugi zaś, wciąż chyba odczuwający skutki niedawnego kopnięcia, niezdarnie usiłował

rozpiąć jej spodnie.

Udało jej się wyszarpnąć jedną rękę i wymierzyć temu pierw-szemu cios w szyję, co na chwilę pozbawiło go oddechu i w rezul-tacie wprawiło w furję. Doszedłszy do siebie, mężczyzna uderzył

ją pięścią w twarz.

Zakrwawiona, z bolącą głową, Afdera osłabła i tylko bezradnie patrzyła, jak drugi napastnik zdiera z niej ubranie. Zaczynała tracić przytomność, ale zanim zemdlała, ujrzała jeszcze, że z mroku wyłania się dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Jeden z nich błyskawicznie otoczył szyję pierwszego ze złoczyńców czymś w rodzaju drutu, zaciskając go mocno. Drugi wbił coś w szyję temu, który zdążył już zsunąć spodnie. Więcej Afdera nie widziała.

Lauretta i Reyes pospiesznie zakopali zwłoki w ustronnym miejscu. Niedoszli gwałciciele umarli, nie wiedząc, że giną, ponieważ dwaj spośród członków Kręgu Octogonus otrzymali rozkaz, by chronić

Afderę Brooks. Do czasu.

Okrzyki bawiących się gdzieś w pobliżu dzieci przywołały Afderę do rzeczywistości. W głowie czuła potworny ból, rozcię-

ta warga pulsowała. Afdera otworzyła oczy i dotknęła twarzy.

Po chwili udało jej się skoncentrować wzrok w jednym punkcie i w głębi zalanego przedpołudniowym słońcem pokoju dostrzegła zatroskaną twarz żony Abdela Gabriela, Binnaz.

- Leż spokojnie, dziecko - powiedziała kobieta.

- Muszę wstać i się umyć. I napić się wody - odrzekła Afdera, obejmując dłońmi głowę, gdy dźwigała się do pozycji siedzącej.

- Co się stało?

- Ktoś cię zaatakował, kiedy szłaś do hotelu. Najdziwniejsze jest to, że nasza najstarsza córka znalazła cię nieprzytomną przed naszymi drzwiami. Musiałaś się tu przyczłgać.

- A mężczyźni, którzy mi pomogli?

- Jacy mężczyźni?

- Już o nich mówiłam pani mężowi. Pamiętam, że dwóch facetów próbowało mnie zgwałcić, a potem, zanim straciłam przytomność, zobaczyłam, że dwaj inni, ubrani na czarno, rzucili się na tamtych napastników.

- Kiedy wybiegliśmy z mężem przed dom, nikogo przy tobie nie było.

- Jestem pewna, że gdyby nie tamci dwaj, już bym nie żyła

- powiedziała Afdera, podnosząc do ust kubek z wodą.

W tym momencie do pokoju wszedł zdenerwowany Abdel Gabriel Sayed.

- Strasznie panią poturbowały te bydlaki. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś się pani stało! A pani babcia nie dałaby mi chyba spokoju z zaświatów.

- To przecież nie pańska wina - pocieszała go Afdera.

- Byłem już na policji. Twierdzą, że nie zgłoszono dziś od rana żadnego zaginięcia ani morderstwa. Może z bólu i zdenerwowania coś się pani jednak przywidziało...

-Może...

- Dziś po południu osobiście zawiozę panią samochodem do Kairu. Nie chcę słyszeć żadnych

protestów. Nie ustąpię.

W Kairze oddam panią pod opiekę przyjaciela, nazywa się Rezek Badani. Dobrze się panią zajmie. Bóg widzi, że jestem to winien pani babci.

- Tyle że ja zamierzam najpierw obejrzeć tamtą jaskinię i nikt ani nic mi w tym nie przeszkodzi. Albo pan mnie tam zawiezie, albo pojedę sama. Muszę. A pan powinien mi pomóc. Bo to babcia, tuż przed śmiercią, kazała mi się zająć tą sprawą.

- No dobrze, ale zrobię to tylko dla Crescentii. Chociaż mam wrażenie, że patrzy na mnie teraz z góry i przeklina za to, że wystawiam panią na dalsze niebezpieczeństwa, zamiast całą i zdrową odstawić do Kairu. Ale niech tak będzie. Pojedziemy.

- Gdyby nie to, że ledwo się ruszam, a pana żona nie spuszcza nas z oka, wyskoczyłabym z łóżka i pana uściskała - zażartowała Afdera.

Binnaz zaśmiała się, a Abdel Gabriel Sayed rzucił im obu zakłopotane spojrzenie.

- Odpoczywaj. Późnym popołudniem ruszamy.

Tymczasem ojciec Reyes usiłował się dodzwonić do Watykanu.

- Pałac Apostolski, słucham?

- Chciałbym rozmawiać z Jego Eminencją sekretarzem stanu kardynałem Augustem Lienartem. To pilne.

- Już łączę z Sekretariatem Stanu.

Chwilę później w słuchawce odezwał się inny głos.

- Sekretariat, słucham?

- Chciałbym rozmawiać z Jego Eminencją sekretarzem stanu kardynałem Augustem Lienartem. To pilne - powtórzył ojciec Reyes.

- A o co chodzi?

- Nie pańska sprawa. Proszę mnie połączyć z kardynałem Lienartem. Dzwonię z Egiptu i mówię panu, że to pilne.

W głosie po drugiej stronie linii, należącym chyba do jakiegoś młodego zakonnika, który akurat pełnił dyżur, pojawiło się zdenerwowanie.

- Już łączę.

Wreszcie po paru minutach Reyes usłyszał w słuchawce charakterystyczny głos kardynała.

- *Fructum pro fructo* - rzucił Reyes.

- *Silentium pro silentio* - odrzekł Lienart. - Co się dzieje?

- Zeszłego wieczoru mieliśmy tu mały wypadek.

- A konkretniej?

- Osoba, którą mamy chronić, została zaatakowana przez dwóch niewiernych. Nastawali na jej życie, więc, stosując się do rozkazów, wkroczyliśmy z bratem Laurretta do akcji i zlikwidowaliśmy ich.

- Każdy powinien się liczyć z możliwością śmierci. A dla tamtych dwóch to może nawet i lepiej, że stało się tak, jak się stało, bracie Reyes.

- Tak, eminencjo.

- Człowiek sprawiedliwy to nie ten, kto nigdy nie dopuszcza się niesprawiedliwości, ale ten, kto dopuszczając się jej, wolałby tego uniknąć. Chyba rozumiesz naturę swoich zobowiązań wobec Boga, Ojca Świętego i swoich braci z Kręgu, bracie Reyes?

- Tak, eminencjo, ale...

- Nie ma żadnego „ale” - przerwał zdecydowanie Lienart.

- Pamiętaj, żeby w trudnych chwilach zachowywać zimną krew i jasny umysł. Bo dźwigasz na swych barkach szczególną odpowiedzialność. Ojciec Laurretta jest niedoświadczony i będzie potrzebował twojego przewodnictwa. A teraz odpocznij i zapomnij o tamtych bandytach. I nie upadaj na duchu, albowiem nadzieja, choćby nawet płonna, jest sama w sobie wartością i lepiej przeżywać kolejne zawody, niż ją na zawsze utracić.

Sprawiedliwość zaś nie polega na tym, by wszystkim dawać to samo, lecz by każdemu dawać wedle zasług. Nie zapominaj o tym, bracie Reyes.

- Nie zapomnę, eminencjo.

- Jednakże w razie gdybyś nie czuł się na siłach, żeby kontynuować misję, zlecę ją braciom Corneliusowi i Pontiusowi, którzy przebywają obecnie w Kairze i czekają na dalsze rozkazy.

- To nie będzie konieczne, eminencjo - mruknął Reyes.

- Wywiążę się ze swoich obowiązków obrońcy prawdziwej wiary.

- Oby, bracie Reyes. *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*.

W głosie odpowiadającego na to tradycyjne pozdrowienie było wszakże coś, co kazało Lienartowi

przypuszczać, że na powierzchni monolitu, jakim był zawsze Krąg Octogonus, pojawiła się niebezpieczna szczelina.

Nad Maghaghą zapadał już zmierzch, gdy Afdera wreszcie na dobre się obudziła. Zapach świeżego chleba przypominał jej, że jest głodna, choć obrzmiałe usta wciąż ją piekły i bolały.

Usiadła na łóżku i złapała się za głowę. Oddałabym rok życia za dwie aspiryny, pomyślała. W tym samym momencie do pogrą-

żonego w mroku pomieszczenia weszła Binnaz, niosąc miskę z zupą.

- Musisz coś zjeść, żeby dojść do siebie - powiedziała.

- Tak, tylko że przy każdym ruchu szczęką wszystko mnie boli.

- Trudno. Jedz, bo inaczej nie odzyskasz sił. Przynajmniej spróbuj. Mój mąż szykuje się już do podróży.

Godzinę później, kiedy słońce skryło się już za linią horyzontu, Afdera pożegnała się i wsiadła do samochodu, popędzana przez Abdela.

- Pora jechać.

Droga do przeprawy okazała się krótka. Przedostali się na drugi brzeg Nilu. Przewoźnik sprawiał wrażenie doświadczonego i wprawną ręką prowadził łódź wśród silnych prądów do zatoczki po przeciwnej stronie rzeki.

Binnaz przygotowała im wielki *zanbil*, czyli koszyk z jedzeniem. Abdel Gabriel Sayed wyjął kubek i zaczerpnął nim wody z Nilu.

- Pij. To *maya assleya*, prawdziwa woda - powiedział.

Afdera początkowo się wzbraniała, pamiętając o gnębiącej okolicznych mieszkańców chorobie wywoływanej przez pasożyty atakujące jelita, a nazywanej *bilharzia*.

- Musisz spróbować, żeby bóstwa Nilu strzegły nas w czasie tej wyprawy - nalegał Abdel.

Woda była dość słodka, przejrzysta i całkiem smaczna, więc Afdera wypiała cały kubek. Potem, słuchając szumu rzeki i patrząc na gwiazdy, miała wrażenie, że oto zagłębia się w zupełnie dla siebie nowy, a przecież trwający tu niezmiennie od tysiącleci świat. Świat niemający nic wspólnego z zabieganą, pełną stresu współczesnością. Czuła się tak, jakby nie istniało nic poza nią i Nilem, jakby cofnęła się w czasie o wiele setek lat.

Gdy zjechali z łodzi, Abdel zostawił samochód przy drodze i poprowadził Adferę do znajdującego się za wydumą budynku przypominającego niewielką fortecę. W środku zastali dwóch mężczyzn i kobietę.

- To moi kuzyni - oświadczył Abdel, sadowiąc się w kącie na poduszkach. - Proszę się rozgościć. Odpocznijemy tu chwilę i ruszymy dalej.

Afdera oparła swój plecak o ścianę i usiadła obok. Przez parę minut nikt się nie odzywał. Abdel od czasu do czasu obrzucał

zatraskanym spojrzeniem jej posiniaczoną twarz.

- Proszę się nie przejmować - rzuciła w końcu Afdera.

- Niedługo to wszystko zżółknie, a potem zacznie znikać.

- To miejsce jest dla nas, chrześcijan, święte - powiedział, żeby zmienić temat. - Podobnie jak cały region.

- Dlaczego?

- Góra Qusqam, gdzie obecnie znajduje się klasztor el-Mohar-rak, to jeden z najważniejszych punktów związanych z wędrówką Świętej Rodziny przez Egipt. Do tego stopnia, że nazywa się ją czasem drugim Betlejem. Klasztor zbudowano u stóp wzgórza nazywanego el-Qusqam na pamiątkę istniejącego tam kiedyś miasteczka. Święta Rodzina spędziła sześć miesięcy i dziesięć dni w wydrążonej w zboczu wzgórza jaskini, a potem był tam ołtarz starego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny

- wyjaśniał Abdel. - Ten ołtarz to właściwie wielka skała, na której podobno modlił się kiedyś Jezus Chrystus. Poza tym to właśnie w tej jaskini Józefowi objawił się anioł i powiedział: „Wstań, weź

Dziecię i Jego Matkę i idź do ziemi Izraela, bo już umarli ci, którzy czyhali na życie Dziecięcia”.

- Mateusz, rozdział drugi, wiersz dwudziesty i dwudziesty pierwszy - mruknęła Afdera.

- Owszem. Dobrze znasz Pismo - rzekł z podziwem Abdel.

- Wracając, Święta Rodzina wybrała inną drogę, nieco bardziej na południe, przez Assiut i Gabal Dronka, górę, którą uznano za błogosławioną i w związku z tym wzniesiono tam kolejny klasztor poświęcony Najświętszej Pani. Potem Józef, Maria i Jezus dotarli do Starego Kairu, następnie przez Matariah do al-Ma-hamma i wreszcie na Synaj, a stamtąd do Palestyny, by wreszcie osiedlić się w Nazarecie w Galilei.

- I tak skończyła się ich ponad trzyletnia podróż, w trakcie której przemierzali jakieś dwa tysiące kilometrów, za jedyny środek transportu mając muła plus łódź na Nilu.

- Otóż to. I dlatego uważamy tę ziemię za świętą.

- Kto wie, czy to nie był powód, dla którego chcieli się tu zapu-

ścić krzyżowcy - zastanawiała się na głos Afdera.

- Nie mam pojęcia, ale za kilka godzin, kiedy dotrzemy do jaskini, będziemy może trochę mądrzejsi - stwierdził Abdel, układając się do drzemki.

Trochę później Afdera poczuła przez sen, że ktoś szarpie ją za ramię. Pomna na niedawny napad zareagowała bardzo gwałtownie, odruchowo próbując walczyć. Jednakże był to tylko Abdel Gabriel Sayed, który usiłował ją obudzić, ponieważ musieli się już zbierać.

- Przepraszam, przez chwilę wydawało mi się, że znowu ktoś mnie zaatakował.

- Nie szkodzi, rozumiem. A teraz w drogę.

Jechali rozległą doliną, w której ścianach widać było mnóstwo naturalnych grot, powstałych w ciągu wieków. Tu i ówdzie wielkie kolumny zdawały się podtrzymywać wysoko sklepienie stropy.

Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy Abdel wypatrzył wyjątkowo gładką skałę, jakby obrobioną ręką człowieka. Wtedy wyjął motykę, po czym zaczął odgarniać piasek i kamienie maskujące wej-

ście do jaskini. Gdy się z tym uporał, podważył kamienną płytę, spod której wydobył się stęchły odór. Afdera głęboko zaczerpnęła świeżego powietrza i wsunęła się za swoim przewodnikiem do środka.

Kilka metrów dalej Abdel chwycił ją ostrzegawczo za rękę.

- Uwaga. Tu trzeba ostrożnie, żeby nie spaść tak, jak to się najprawdopodobniej przydarzyło Mohamedowi wtedy, kiedy rozbił wieko jednego z sarkofagów.

W świetle trzymanej przez Abdela latarki Afdera ujrzała trzy trumny. Pokrywa jednej z nich została strzaskana. W środku widać było fragment wyblakłej materii przykrywającej coś, co wyglądało jak zakonserwowana przez upływ czasu mumia, na której ustach i oczach leżały srebrne monety z wizerunkiem króla Francji Ludwika IX. Afdera schowała je do skórzanego woreczka. Następnie odsunęła rozbite wieko sarkofagu i wygładziła pognieciony materiał spowijający zwłoki. Natychmiast rozpoznała herb francuskich królów. Głęboko poruszona, wyjęła z plecaka notatnik i zaczęła rysować jaskinię, sarkofag i jego zawartość.

- Niewiarygodne - powiedziała raczej do siebie niż do Abdela.

- Ten tutaj z pewnością należał do grona krzyżowców towarzyszących Ludwikowi IX w siódmej krucjacie, do której doszło w połowie trzynastego wieku!

- Tylko nie bardzo rozumiem co ma krucjata do naszej księgi

- mruknął Abdel.

- Jeszcze się tego dowiemy, zobaczy pan.

Kiedy zbierali się do drogi, Abdel oświadczył Afderze, że następnym punktem jej programu powinna być wizyta u Rezeka Badaniego, prowadzącego znany sklep z antykami w okolicach popularnego

bazaru Khan el-Khalili w Kairze.

- Uważaj na niego, dziecko. Kiedy w grę wchodzi pieniądze, staje się nieobliczalny - powiedział.

- Będę ostrożna, obiecuję - odrzekła.

Ani jedno, ani drugie nie wiedziało, że z pobliskiej jaskini ktoś ich obserwuje. Dwaj członkowie Kręgu Octogonus nie spuszczała Afdery z oka.

Afdera, zmęczona wyczerpującą powrotną jazdą pylistymi szosami, postanowiła zatrzymać się w Mena House w Gizie.

Ten luksusowy hotel w cieniu piramid działał już w 1869 roku, a jego pokoje wypełniał zapach rosnących w ogrodach jaśminów.

Tutaj przez dziesiątki lat sypiali królowie i cesarze, generałowie i książęta, milionerzy i diwy operowe.

Kiedy wygramoliła się z rozklekotanego samochodu Abdela brudna, z posiniaczoną twarzą i plecakiem na ramionach, portier obrzucił ją z lekka nieufnym spojrzeniem. Ona jednak spokojnie pożegnała się z Abdellem, całując go w policzek i przekazując pozdrowienia dla Binnaz i dzieci. Potem bez wahania skierowała się ku recepcji, wynajęła pokój, umówiła się na masaż i zażądała, by przyniesiono jej na górę kanapkę z mięsem oraz dwie dobrze schłodzone coca-cole. Muszę doprowadzić się do porządku, pomy-

ślała, widząc zdumienie w oczach windziarza.

Tymczasem Abdel Gabriel Sayed jechał na południe. W Beni Suef zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby zatankować, zatelefonować do żony i coś przekąsić. Odłożywszy słuchawkę, ruszył

więc do baru na kanapkę i swoją ulubioną miętową herbatę. Stojąc przy ladzie, usłyszał, że jakiś mężczyzna łamaną arabszczyzną próbuje rozpytać się wśród klientów baru o możliwości dotarcia na południe.

- Ja jadę na południe. Mogę pana zabrać - zaproponował Abdel.

- Och, to bardzo uprzejme - ucieszył się nieznajomy. - Ja i mój towarzysz pochodzimy z Włoch i jesteśmy księżmi. Wybraliśmy się na wycieczkę śladami Świętej Rodziny.

- Też jestem chrześcijaninem, konkretnie Koptem. Mam na imię Abdel.

- Oczywiście zapłacimy - zapewnił duchowny.

- Nie trzeba. Dobrzy chrześcijanie powinni sobie pomagać, więc nie ma o czym mówić.

- W takim razie pójdę i powiem, żeby brat Pedro się pospieszył.

Za chwilę będziemy gotowi.

Po kilku minutach dwaj księża dołączyli do Abdela przy samochodzie.

- Jestem ojciec Miguel - przedstawił się ten pierwszy, siadając na przednim siedzeniu. - A to brat Pedro. Jest z natury dość małomówny.

Brat Pedro, olbrzym o wielkich dłoniach, usadowił się z tyłu, tuż za kierowcą.

- Proszę sobie usiąść z drugiej strony, tam będzie miał ksiądz więcej miejsca na nogi - zaproponował uprzejmie Abdel.

- Dzisiejszym cierpieniem kupujesz jutrzejszą radość, drogi Abdelu. Niech ojciec Pedro siedzi, gdzie chce.

- Oczywiście - zgodził się Abdel, włączając silnik.

Gdy dojeżdżali do Biby, ojciec Miguel poprosił Abdela, by wysadził ich przy drodze.

- Chcecie tu wysiąść? - zdziwił się Sayed.

- Tak, bardzo prosimy. Pragnęlibyśmy przejść kawałek na piechotę i się pomodlić.

Abdel wyhamował i zatrzymał auto.

- W takim razie tu księży zostawię. Bóg z wami...

- I z duchem twoim... - odparł siedzący z tyłu ojciec Spiridon Pontius, szybkim ruchem zarzucając Abdelowi na szyję pętlę z cienkiego drutu. Sayed próbował walczyć o oddech, kopnięciem stłukł przednią szybę auta, ale już po chwili nie żył.

Dwaj mężczyźni wysiedli z samochodu. Ojciec Eugenio Cornelius przeżegnał zwłoki, wypowiadając standardową formułę, a następnie położył przy zmarłym wycięty z materiału ośmiokąt.

Potem razem ze Spiridonem Pontiussem roztopił się w zapada-jących ciemnościach, zostawiając za sobą, na poboczu, rozklekotane auto Abdela Gabriela Sayeda z jego ciałem zamkniętym w bagażniku.

VI

Kair

Chciałabym mówić z panią Sabine Hubert. Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Afdera Brooks z Kairu.

- Dobrze, niech pani chwilę zaczeka, zaraz ustalę, gdzie jest w tej chwili pani Hubert - odparta recepcjonistka z Fundacji Helsinga.

Afdera, wciąż obolała po niedawnej napaści, czuła, że głupia muzyczka w słuchawce działa jej na nerwy.

- Panno Brooks? Łączę z panią Hubert.

Po chwili w słuchawce zabrzmiał miły głos Sabine.

- Afdera, gdzie jesteś?

- W Kairze. Chciałam zapytać, co z księgą.

- O, to zupełnie fantastyczne znalezisko - oświadczyła z entuzjazmem Sabine. - Niezwykłej wręcz wagi. Na jednej z kart, które udało nam się złożyć i odczytać, widnieje imię Judasza Iskarioty.

To samo imię znaleźliśmy na stronie zamykającej księgę. Jestem pewna, że określenie Ewangelia Judasza nie jest przesadzone.

Burt Herman, o którym ci mówiłam, pamiętasz, ten znawca chrze-

ścijaństwa, z Uniwersytetu w Chicago, uważa, że może chodzić o dokument potępiony swego czasu przez Ireneusza z Lyonu.

Przyjedź do Berna, jak tylko będziesz mogła. Mamy już całkiem sporo danych.

- Muszę najpierw spotkać się z kimś tutaj, w Kairze. Gdy tylko wypytam tę osobę o Ewangelię Judasza, natychmiast lecę prosto do Berna.

- Pracujemy dniem i nocą. Będziesz zadowolona z efektów.

- Świetnie. Wybacz, że tak was pospieszam, Sabine, ale naprawdę muszę jak najszybciej się dowiedzieć, o czym jest ta księga i dlaczego moja babka ukrywała ją przez tyle lat.

- Nic nie szkodzi. Dzięki tobie trafił mi w ręce tekst autorstwa Judasza Iskarioty, taka szansa zdarza się raz w karierze, dlatego nie mogę ci niczego wyrzucać. Czekamy.

- Ściskam, Sabine.

- Uważaj na siebie.

Afderze, od chwili gdy zabrała księgę Judasza z sejfu First National Bank w Hicksville, kołatało się po głowie jedno podstawowe pytanie: dlaczego Crescentia Brooks tak długo trzymała manuskrypt w jakimś amerykańskim banku? Czego obawiała się tak bardzo, że postanowiła zwlekać z renowacją i tłumaczeniem dokumentu?

Jednakże zegarek pokazywał, że godzina spotkania ze słynnym Rezekiem Badanim zbliża się w szybkim tempie, toteż Afdera, nie zastanawiając się dłużej nad niczym, chwyciła marynarkę, wybiegła z hotelu, wsiadła do taksówki i kazała się wieźć w stronę bazaru Khan el-Khalili.

Początki tego targu, zwanego przez muzułmanów sukkiem, sięgały 1382 roku, kiedy to emir Dżaharks el-Khalili wzniósł

w tym miejscu wielki karawanseraj, czyli rodzaj zajazdu dla kupców. Karawanseraj wkrótce stał się ważnym punktem handlowym miasta, a z czasem przekształcił się w jeden z największych i najważniejszych - obok bazarów w Istambule, Marrakeszu czy Jerozolimie - targów Wschodu, gdzie łatwo było się zgubić, błą-

dząc po labiryncie uliczek przesyconych wonią olejków z el-Fayum i nubijskich przypraw.

Afdera, podobnie jak kiedyś jej dziadkowie, chłoneła panującą tu atmosferę wszystkimi zmysłami, czerpiąc z tego prawdziwą rozkosz. Rozstawione wszędzie kramy oferowały wielką różnorodność biżuterii, wyrobów ze srebra, drewna, kości słoniowej, skóry, a także perfum, olejków, korzeni oraz haftowanych tkanin.

Wśród sklepików kręcili się żądni pamiątek turyści, zajadle targujący się o ceny dywanów i pierścionków, miejscowi młodzień-

cy, liczący na przypadkowy flirt z jakąś jasnowłosą pięknoscią, kieszonkowcy, policjanci wyglądający na żywcem wyjętych z komiksów oraz sprzedawcy antyków, które często zamiast dwóch tysięcy lat miały najwyżej rok. W samym centrum bazaru znajdowała się legendarna kawiarnia El Fishawy, działająca nieprzerwanie od 1773

roku i stanowiąca ulubione miejsce spotkań intelektualistów. Tam właśnie Afdera umówiła się z Rezekiem Badanim.

Już wcześniej przypomniała sobie dotyczące go fragmenty dziennika babki.

W rękach Badaniego księga poważnie ucierpiała. Podobno woził ją do klientów owiniętą w gazetę. To straszny oszust.

Pierwszego dnia opowie ci jedno, a drugiego coś zupełnie innego. Najpierw wmawiał Lilianie, że odziedziczył księgę po przodkach, że w jego rodzinie od niepamiętnych czasów przekazywano ją z pokolenia na pokolenie. Potem twierdził, że jego ojciec zdobył ją zaraz po drugiej wojnie światowej.

Oczywiście nikt w to nie wierzył. Ba, była jeszcze trzecia wersja, o dwóch wieśniakach z Maghaghy, którym, gdy orali swoje pole, ziemia zapadła się pod stopami, odsłaniając grobowiec.

Ta historia, oczywiście, tyle miała wspólnego z prawdą co dwie poprzednie. Choć właśnie w ten sposób znaleziono w 1945

roku bibliotekę z Nag Hammadi i Badani musiał o tym czytać w „Al-Ahram”. Z kolei jakimś włoskiemu profesorowi wciskał, że księga pochodzi nie z okolic Gebel Qarara, tylko z Heliopolis. Co, oczywiście, też było nieprawdą.

Między strony dziennika włożono zdjęcie zrobione w El Fishaway, a przedstawiające Crescentię Brooks i Lilianę Ransom w towarzystwie mężczyzny, który musiał być Rezekiem Badanim.

Sięgając po kawę, Afdera podniosła wzrok i dostrzegła zbliżającego się mężczyznę.

- Panna Brooks? - spytał nieznajomy. - Nazywam się Rezek Badani.

- Miło mi pana poznać. Wiele o panu słyszałam - odpowiedziała.

- Mam nadzieję, że nie we wszystko pani uwierzyła. O ludziach naszej profesji krąży wiele nieprawdziwych historii - rzekł Badani, pochylając się do jej ucha, jakby powierzał jej właśnie jakiś sekret.

Przy okazji oparł swoją grubą, spoconą słoń na jej udzie, niemal wsuwając palce pod krótką spódniczkę. Zirytowana Afdera odsunęła się odruchowo.

- Co się pani stało w twarz? - spytał.

- O, nic takiego. Spadłam ze chodów - zapewniła pospiesznie, sięgając po odłożone wcześniej na stolik ciemne okulary.

- Więc proszę mi powiedzieć, co jest powodem pani wizyty w Kairze.

- Dziennik mojej babki, którą zresztą chyba pan znał.

- Owszem. To była fascynująca kobieta, powszechnie szanowana w środowisku, co nie zdarza się tak znowu często. Potrafiła znaleźć wspólny język ze wszystkimi, nieważne, czy chodziło o ministra, czy o przemytnika, o policjanta czy bogatego kolekcjonera. Nie wiem, jak to robiła, ale miała efekty. Niesamowita kobieta.

- To prawda.

Rezek Badani był niskim grubasem i obficie się pocił, co sygnalizowały mokre plamy na jego szarym, źle skrojonym i zdecydowanie mało eleganckim garniturze. Żółte palce zdradzały nałogowego palacza. Afdera obserwowała, jak jej rozmówca zaciąga się kolejnymi papierosami marki Cleopatra, w drugiej dłoni trzymając *tasbih*, czyli coś w rodzaju muzułmańskiego różańca o trzydziestu trzech paciorkach, służących wyznawcom islamu do wspominania dziewięćdziesięciu dziewięciu imion

Allacha. Egipcjanie innych wyznań traktowali *tasbih* jako od stresowującą zabawkę.

Badani, nadzwyczaj gorliwy Kopt, regularnie uczęszczał wraz z rodziną do kościoła. Poza tym uchodził za wyjątkowo zręcznego „złotnika”, które to słowo w slangu używanym w okolicach Khan el-Khalili oznaczało wytrawnego łowcę okazji. Utrzymywał

kontakty z wieloma ludźmi takimi jak Hany Jabet czy Abdel Gabriel Sayed, skupując od nich wykopywane nielegalnie stare przedmioty.

- W czym mogę pani pomóc?

- Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie księgi Judasza i dlaczego moja babka tak długo ją ukrywała.

- Szczerze mówiąc, okoliczności, w jakich ta księga do mnie trafiła, nie były zbyt przyjemne.

- Jak to? Dlaczego?

- W owym czasie nie kontaktowałem się bezpośrednio z Sayedem, robił to za mnie mój wspólnik, Boutros Reyko, pośrednik z położonego niedaleko Maghaghy miasteczka Sandafa el-Far. To przez niego poznaliśmy się z Sayedem.

- I co się stało? - dopytywała się Afdera.

- Boutros miał za długi język. Rozповідаł na prawo i lewo, że wpadł mu w ręce bardzo wartościowy dokument dotyczący jednej z postaci biblijnych. Ponieważ tekst został napisany po koptyjsku, a Boutros z czytaniem w ogóle miał trochę na bakier, zawiózł księgę do Deir el-Abiad, do Białego Klasztoru. Tam znalazł jakiegoś biegłego w piśmie braciszka, który, jak się zdaje, przeczytał coś, czego nie powinien.

- Jak to? Co takiego przeczytał?

- Coś na temat ucznia Chrystusa albo może ucznia Judasza. .

Szczerze mówiąc, nie drążyłem tematu, zwłaszcza po tym, co się przytrafiło Boutrosowi i temu mnichowi z Białego Klasztoru.

- A co się im przytrafiło?

- Boutrosa znaleziono martwego w jego własnym łóżku. Ktoś poderżnął mu gardło - powiedział Badani, wykonując znaczący gest przy szyi. - Mnicha napadnięto koło klasztoru i ukrzyżowano,

- I sądzi pan, że te zabójstwa miały coś wspólnego z księgą Judasza?

- Policja w ogóle nie chciała ich łączyć. Wedle wersji oficjalnej i Boutros, i ten braciszek padli ofiarą pospolitych rabusiów, ale ja w to nie wierzę.

- Dlaczego?

- Dobry znajomy, który pracuje w kairskiej policji, zdradził

mi, że w ustach obu zabitych tkwiły dziwne kawałki materiału, a to już, jak dla mnie, zbyt podejrzany zbieg okoliczności, nawet jeśli nasze organa ścigania uważają inaczej.

- Co to były za kawałki materiału? Może chodziło po prostu o fragmenty knebla?

- Wątpię. Oba miały kształt ośmiokąta z wypisanym w środku zdaniem mówiącym o cierpieniu w imię Boga albo o czymś podobnym. Były identyczne.

- Rozumiem, że Reyko został zamordowany już po tym, jak przekazał panu lub sprzedał księgę...

- Tak. Dokładnie tydzień później. A ja nie trzymałem jej u siebie długo. Niemal natychmiast odstąpiłem ją świętej pamięci Lilianie Ransom, chociaż pieniądze dostałem dopiero po tym, jak Liliana sprzedała księgę pani babce - tłumaczył Badani.

- Przepraszam - przerwała mu Afdera, gdy dotarła do niej treść jego słów. - Powiedział pan: „świętej pamięci Lilianie Ransom”?

- Tak. Bo Liliana nie żyje - odrzekł. - Nie wiedziała pani?

Udusił ją młody kochanek robiący też za szofera. Podobno przy okazji dopuścił się na niej gwałtu analnego przy użyciu jakiegoś bibelotu.

- Niecały tydzień temu byłam u niej w Aleksandrii. Poznałam Hamida, wydawał się bardzo zakochany i nie wyobrażam sobie, że mógłby Lilianę udusić i zgwałcić. Po co miałby to robić?

Przecież sypiała z nim z własnej woli.

- Wie pani co, panno Brooks? Najciekawsze jest to, że przy jej zwłokach aleksandryjska policja znalazła wycięty z materia-

łu ośmiokąt. Ale ponieważ to Egipt, nikt nie zamierza się bawić w dochodzenie. Mają już winnego i starczy. Wsadzą go do kicia, a potem okaże się, że biedak popełnił samobójstwo. Sprawiedliwość podobno jest ślepa, lecz jeśli chodzi o morderstwo popełnione na kimś z Zachodu, wszystko się zmienia. Nasz rząd nie życzy sobie, żeby takie rzeczy przedostawały się do mediów, bo to by mogło odstraszyć turystów. Wygląda pani na skonsternowaną. .

- Bo jestem skonsternowana. Jeśli przy zwłokach Liliany znaleziono taki sam ośmiokąt jak w ustach pańskiego przyjaciela Boutrosa i tamtego mnicha, to znaczy, że te trzy zabójstwa coś łączy. Musi mi pan opowiedzieć wszystko, co pan wie o księdze

- oświadczyła Afdera.

- Lepiej porozmawiajmy o tym u mnie w domu. Proszę wpaść dziś wieczorem. Oto mój adres. Tam

na pewno nikt nas nie podsłucha.

Z tymi słowy Badani dźwignął się z miejsca i opuścił lokal, podejrzliwie rozglądając się dookoła.

Afdera próbowała zebrać myśli. Ściskając w prawej ręce wilgotną od potu karteczkę z adresem, czuła, że musi z kimś porozmawiać. Tylko z kim? Nie mogła z tym dzwonić do Assai ani do Sampsona Hamiltona. W końcu zdecydowanym ruchem wyjęła z torby podkładkę pod kufle zabraną z berneńskiego hotelu Bellevue Palace. Na jej odwrocie widniał numer Maximiliana Kronauera, zapisany przy pierwszym spotkaniu.

Wyszła z kawiarni i skierowała się na pocztę, gdzie odczekała, aż zwolni się jedna z kabin.

- Pani kolej - oświadczył urzędnik. - Proszę dać mi numer i przejść do kabiny numer sześć.

Wewnątrz było bardzo gorąco, więc Afdera zablokowała drzwi stopą, żeby wpadało do środka powietrze. Po chwili usłyszała sygnał wybieranego numeru i dźwięk wydawany przez podnoszoną słuchawkę.

- Max? - spytała pospiesznie, ale natychmiast doznała roz czarowania, gdyż zamiast zwykłego „halo” usłyszała: „Tu numer Maximiliana Kronauera. Proszę zostawić wiadomość i telefon.

Oddzwonię”.

Potem rozległo się nieprzyjemne piszczenie, sygnalizujące, że można mówić.

- Max, tu Afdera. Naszła mnie ochota, żeby porozmawiać.

Jestem w Kairze, ale jutro albo pojutrze wracam do Europy.

Muszę znowu lecieć do Berna. Mam nadzieję, że się tam spo tkamy. Bardzo bym chciała. Zatrzymam się w Bellevue Palace.

To na razie. Do szybkiego zobaczenia.

Z pewnym smutkiem odwiesiła słuchawkę, zapłaciła i wyszła na zatłoczoną ulicę.

Nad Kairem zapadał już wieczór i na zachodzie jaśniała dziwna poświata. Crescentia Brooks twierdziła, że to zjawisko spowodowane jest przez unoszącą się nad miastem, niewidzialną za dnia chmurę pyłu znad pustyni.

Zajrzawszy jeszcze do kilku sklepów, Afdera zatrzymała taksówkę i kazała się wieźć pod adres wskazany przez Badaniego.

Przedzierając się przez korki na skrzyżowaniach z niedziałającą od lat sygnalizacją świetlną, wolno zmiierzali ku eleganckiej, poło-

żonej na północnym wschodzie miasta dzielnicy Heliopolis.

Rezekowi Badaniem, pochodzącemu tak jak Abdel Gabriel Sayed z El Minya, nieźle się w życiu powiodło. Dzięki sprzyjającej koniunkturze, a także własnym umiejętnościom kupieckim i cierpliwości dorobił się fortuny, która utorowała mu drogę do kairskich elit. Mówiono nawet, że jakieś układy łączyły go z jednym z synów prezydenta Anwara Sadata. Tak czy owak, mimo skromnego pochodzenia, Badani zdołał się ożenić z piękną córką bogatego koptyjskiego sukiennika i przez piętnaście lat małżeństwa spłodził z nią całą gromadkę dzieci.

Mieszkał przy ulicy Ramsis, w jednym z apartamentów nieco zaniedbanego, należącego doń w całości budynku.

Afdera nacisnęła znajdujący przy drzwiach dzwonek z brązu i czekała. Po drugiej stronie dała się słyszeć bezładna biega-nina.

Chwilę później drzwi się otworzyły i stanęła w nich atrakcyjna, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna w obcisłym i nieco teraz porozpinanym stroju pokojówki. Natura łączących ją z pracodawcą stosunków była dość oczywista.

- Pan Badani czeka - oznajmiła.

Trzystumetrowy apartament mimo swych rozmiarów nie należał do najbardziej wystawnych i eleganckich. Salon, choć przestronny, był stosunkowo ciemny. Jego jedyne umeblowanie stanowiły dwie obite plastikiem sofy oraz dwa niskie stoliki; na jednym z nich, szklanym, znajdowało się kilka popielniczek wypełnionych niedopałkami papierosów marki Cleopatra, palonych przez Badaniego. Nikt by się nie domyślił, że gdzieś w tej norze są trzy sejfy z biżuterią, cennymi starożytnościami, fragmencami papirusowych dokumentów, rzymskimi monetami, a także masą gotówki w angielskich funtach, amerykańskich dolarach, hiszpańskich pesetach i włoskich lirach.

Mieszkanie Badaniego zazwyczaj pękało w szwach od nadmiaru gości, głównie niezliczonych krewnych, którzy wpadali tu na kawę albo miętową herbatę. Tym razem jednak nie było nikogo poza młodą pokojówką i kucharką.

- Pan Badani powiedział, że zostanie pani na kolacji - oświadczyła ta pierwsza.

- Chętnie, dziękuję - odrzekła Afdera.

Dzięki babce wiedziała, że w oczach Egipcjan posiłek stanowi nieodzowny wstęp do interesów, a to, co sprowadzało ją do Badaniego, można było zakwalifikować jako interes.

Czekając na gospodarza, sięgnęła po dziennik Crescentii Brooks, ale zanim zdążyła go otworzyć, pojawił się Badani we własnej osobie, rozsiewając wokół intensywną woń taniej wody toaletowej. Ubrał się na tę okazję w brązowy prążkowany garnitur i czarne lakierki.

Pokojówka, która akurat nakrywała do stołu, zerknęła na Afderę z niechęcią, może dopatrując się w niej rywalki.

- Przepraszam, panie Badani, ale chciałam zapytać...

Rezek Badani uciszył ją wymownym gestem podniesionej dłoni.

- Najpierw kolacja. Potem będzie pani mnie pytać, o co tylko zechce.

Pokojówka i kucharka zaczęły wnosić i ustawiać na stole talerze z egipską zupą z warzyw i ryżu, półmiski pełne gołębi nadziewanych daktylami i hummusu. Na deser były rozmaite arabskie słodczyce.

- Jesteście wolne - powiedział Badani do służących.

Zaraz po kolacji Afdera znów przystąpiła do ataku.

- Możemy teraz porozmawiać?

- Nie wiem, czy będę skłonny udzielić informacji o tej księdze tak za darmo. Co mogłaby mi pani zaproponować w zamian?

Wzrok Afderę zatrzymał się na planszy do tryktraka.

- Umie pan w to grać? - spytała.

- Jak nikt inny w Kairze.

- Więc proponuję taki układ: zagramy i jeśli wygram, odpowie pan na wszystkie moje pytania. Bez wyjątku.

- A jeśli pani przegra?

- Czego by pan chciał w takim wypadku? Pieniądzy?

- Pieniądzy to nie... Ale skoro już się zakładamy, może pani postawić coś innego...

-Co?

- Jeśli pani przegra, zostanie tu pani na noc.

- Mowy nie ma - rzuciła ostro Afdera, podnosząc się z kana-py. - Chyba się pan pomylił w ocenie mojej osoby. Nigdy nie poszłabym do łóżka z kimś takim jak pan.

- A czy ja coś mówię o pójściu do łóżka? Chciałbym tylko, żeby w razie przegranej spędziła tu pani noc. Śpiąc nago. Nawet pani nie dotknę, obiecuję. Wystarczy, że sobie popatrzę...

- Ale jeśli wygram, powie mi pan absolutnie wszystko, co sam pan wie?

-Tak.

- W porządku, zgoda.

Półtorej godziny później gospodarz przegrywał kolejną partię, podwójnie sfrustrowany, albowiem

nie dość, że była go na głowę kobieta, to w dodatku przegrana przekreślała jego szanse na spodziewaną przyjemność. Rezek Badani nie wiedział jednak, że w dzieciństwie Afdera i jej siostra Assai spędzały długie letnie popołudnia w Ca' d'Oro na słuchaniu ulubionych oper swojej babki oraz grze w tryktraka.

- Cóż, chyba wystarczy - oświadczyła Afdera.

- To prawda. Jestem do pani dyspozycji - przyznał z rezygnacją Badani. - Zgodnie z umową odpowiem teraz na pani pytania.

- Kto panu uświadomił, że księga może mieć jakąś wartość?

- Charles Eolande, papirolog z Instytutu Studiów Wschodnich w Chicago, dokąd się przeniósł po kilku latach pracy w Niemczech.

Korzystałem z jego porad, podobnie jak kilku moich kolegów po fachu. Co pół roku przylatywał do Egiptu po rozmaite eksponaty dla uniwersytetu i dla innych, powiedzmy, instytucji.

- Jakich instytucji? - wtrąciła Afdera.

- Dla Watykanu. Może dla Muzeów Watykańskich, ale głowy bym za to nie dał. Wiem za to z całą pewnością, że Eolande miał

wejścia w kuri . Nie potrafię powiedzieć, kogo konkretnie tam znał, ale nie ulega wątpliwości, że dostawał mnóstwo kasy za wykonywane dla tego kogoś ekspertyzy. Zawsze kupował masę znalezisk i płacił za nie gotówką. W latach sześćdziesiątych, kiedy rynek papirusów jeszcze prawie nie istniał, Eolande dorobił się prawdziwej fortuny, tyle że potem, z różnych względów, sytuacja zaczęła się zmieniać.

- Jakiego rodzaju obiekty interesowały go najbardziej?

- To ciekawe, bo chodziło mu przede wszystkim o kartonaże, wie pani, te zrobione z płótna, papirusu, kleju i gipsu powłoki, w których czasem chowano mumie. Szczególnie zależało mu na kartonazach z epoki ptolemejskiej i rzymskiej. Może szukał

czegoś konkretnego, naprawdę nie wiem.

- Sądzi pan, że Eolande wiedział wcześniej o księdze Judasza?

- Chyba nie, chociaż z nim i tym jego współnikiem nigdy nic nie wiadomo. Był jednym z lepszych papirologów, więc może coś mu się i obilo o uszy, ale raczej nic pewnego.

- A ten współnik, o którym pan wspominał... Co to za jeden?

- spytała Afdera.

- Niech pomyślę. Wydaje mi się, że nazywał się Coloiani, jakoś tak, albo może Colaiani. Tak,

Colaiani, Leonardo Colaiani.

Wykładał na Uniwersytecie Florenckim i specjalizował się w historii wypraw krzyżowych.

- I jaką rolę odegrał w interesującej nas tu sprawie?

- Odnoszę wrażenie, że zarówno on, jak Eolande szukali czegoś ważniejszego niż księga Judasza - rzucił nagle Badani, niszcząc głos niemal do szeptu.

- Skąd to wrażenie?

- Obaj pomagali facetowi zwanemu Grekiem, od którego lepiej trzymać się z daleka. Nie radzę pani zbliżać się do niego.

- Jak się nazywa ten człowiek?

- Vasilis Kalamatiano. To on od ponad trzydziestu lat trzę-

sie rynkiem antyków. Podobno zaczynał w czasie drugiej wojny światowej, skupując za bezcen własność bogatych europejskich żydów. Potem przerzucił się na antyki i dzieła sztuki sprzedawane w pośpiechu przez nazistowskich oficjeli potrzebujących pieniędzy

na ucieczkę przed sprawiedliwością.

- Gdzie mogłabym spotkać tego Greka?

- Prowadzi sklepy w Genewie i Bernie, ale nie ma jednej siedziby.

- Więc Eolande i Colaiani pracowali dla niego? -

Tak.

- A dla kogo pracuje on sam?

- Dla tych, którzy mają dość kasy, żeby móc sobie pozwolić na to, co oferuje. Jego klienci to milionerzy, rozmaite fundacje, mafiosi wykorzystujący dzieła sztuki do prania pieniędzy zarobionych na prostytucji i narkotykach, papież...

- Słucham? - zdziwiła się Afdera. - Powiedział pan: papież?

- Tak. Wiem, że swego czasu Kalamatiano utrzymywał bliskie stosunki z Watykanem, przede wszystkim z Sekretariatem Stanu i Muzeami Watykańskimi, a nie sądzę, żeby to się zmieniło.

Najciekawsze znaleźiska zawsze proponował najpierw Stolicy Apostolskiej, a dopiero potem fundacjom i prywatnym kolekcjonerom. Poza tym ma plecy w sferach rządowych i wśród organizatorów międzynarodowych targów.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Eolande współpracował z Colaianim. Co może łączyć papirologa z ekspertem od krucjat?
- Nie mam zielonego pojęcia. Wiem tyle, ile powiedziałem: ci dwaj pracowali dla Kalamatiana, a on z kolei, prawdopodobnie, dla Watykanu.
- Myśli pan, że powinnam porozmawiać ze wszystkimi trzema?
- Jak już mówiłem, na pani miejscu do Kalamatiana bym się nie pchał. Proszę spróbować z Włochem. Może widok ładnej kobiety rozwiąże mu język tak jak mnie.
- Ostatnie pytanie, dobrze? - poprosiła Afdera, kierując się już do wyjścia. - Dlaczego nikt się potem do pana nie dobijał, skoro tajemnicą poliszynela było, że miał pan w rękach Ewangelię Judasza?
- Moja droga, nasz światek jest tak mały, że każdy wie, czym dysponuje konkurencja, a czym nie dysponuje, chociaż twierdzi inaczej. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że księga była u mnie zbyt krótko, bym mógł zapoznać się z jej treścią. Wieść o tym, że przekazałem znalezisko Lilianie Ransom, rozeszła się lotem błyskawicy.
- Czyli, pana zdaniem, Kalamatiano mógł wiedzieć, że księga trafiła do mojej babci?
- Oczywiście, moja droga, oczywiście. Przed Grekiem nic się nie ukryje.
- A czy można założyć, że to on zlecił zabójstwa osób zamieszanych w tę sprawę?
- Nie wydaje mi się, żeby się do tego posunął, ale kto wie, do czego byliby zdolni jego mocodawcy...
- Sugeruje pan, że za tymi morderstwami stoi Watykan?

Trudno mi to sobie choćby wyobrazić.

- A mnie nie. Opowiem pani coś, o czym mało kto słyszał.

W naszym środowisku krąży plotka, że przed kilku laty umar-

ło kolejno kilka osób związanych z tajemniczą księgą, której nie udało się odczytać. Szeptano, że odpowiedzialny za to był

Watykan albo raczej ktoś z Watykanu, tyle że jakoś zabrakło chętnych do podjęcia śledztwa. Wiadomo, że księga znajdowała się w bibliotece jednego z amerykańskich uniwersytetów, po czym nagle przepadła bez śladu. Uniwersytet nigdy nie zgłosił kradzie-

ży. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że przy ofiarach znaleziono wycięte z materiału ośmiokąty, dokładnie takie same jak ten porzucony przy zwłokach Liliany, a także ów wetknięty w usta mojego znajomego Boutrosa. Ale proszę się nie przejmować. Może to wszystko zwykłe bajki.

- Nie wierzę w bajki, panie Badani. Wierzę dokumentom, ostatecznie jestem archeologiem i

historykiem. Potrzebuję mocnych dowodów. Dziękuję za wszystko, teraz muszę już iść. Dobranoc.

- Dobranoc, panno Brooks. W razie czego proszę dzwonić.

Może kiedyś znowu zagramy w tryktraka? - rzekł Badani, obrzucając ją ostatnim pożądanym spojrzeniem.

Była druga nad ranem, gdy Afdera ruszyła w stronę rzeki, rozglądając się za taksówką, aby pojechać do Mena House w Gizie.

Doszła tak do mostu el-Sahel, gdzie o tej porze gromadziły się dziesiątki młodych ludzi. Natychmiast zbliżyło się do niej trzech chłopaków chcących nawiązać rozmowę, ale uśmiechnęła się tylko, mówiąc:

- Potrzebuję taksówki.

Jeden z nieznajomych podniósł rękę i zagwizdał głośno, by przyciągnąć uwagę kierowcy auta, które pojawiło się kawa-

łek dalej.

- Pani taksówka, madame - powiedzieli chórem młodzi ludzie, nie tracąc nadziei na randkę z piękną nieznajomą.

W tej samej chwili, gdy Afdera dziękowała im za szarmanckie otwarcie przed nią drzwi samochodu i opadała na tylne siedzenie, do budynku, w którym mieszkał Rezek Badani, wszedł jak zwykle ubrany na czarno ojciec Lauretta. Przystanął w mroku u stóp schodów, nasłuchując.

- Bracie Lauretta - rzekł do niego Reyes kilka godzin wcz. - Przyszła pora twojej inicjacji w Kręgu. Musisz uwolnić nas od obmierzłej obecności tego fałszywego chrześcijanina, który bardziej wielbi pieniądze niż Boga.

Lauretta nacisnął guzik przywołujący windę z kutego żelaza, która, zjeżdżając, skrzypiała tak, jakby miała za chwilę spaść.

Gdy się zatrzymała, zabójca wszedł i wybrał piąte piętro.

Tymczasem jadąca do hotelu Afdera przypomniała sobie, że zostawiła u Badaniego dziennik babki. Zdenerwowana, kazała zawracać. Za wszelką cenę musiała odzyskać zgubę.

- Wysadzi mnie pan przed jednym z domów przy ulicy Ramsis.

Zapłacę dodatkowo, jeśli poczeka pan kilka minut i zawiezie mnie potem do Gizy - powiedziała.

- Oczywiście - zgodził się taksówkarz, wykręcając.

Ojciec Lauretta stał już pod drzwiami Badaniego. Zanim zadzwonił, wysunął z rękawa ostrze

mizerykordii. Potem nacisnął dzwonek i czekał, nasłuchując. Po drugiej stronie trzasnęły drzwi, słychać było zbliżające się kroki i wreszcie głos wykrzykujący już z daleka:

- Proszę, proszę, czyżby zmieniła pani zda...?

Ojciec Lauretta pchnął drzwi z całej siły, uderzając Badaniego w pierś. Zaskoczony gospodarz rzucił się po ciemku do kuchni, gdzie znajdowały się noże, ale napastnik nie dał mu czasu na sięgnięcie do szuflady.

Widząc zbliżające się ostrze, Badani chlusnął na zabójcę wrzącą wodą z czajnika. Mizerykordia wypadła Laurecie z dłoni na mokrą podłogę, co jednak tylko na moment wybiło go z rytmu.

Już po chwili znów parł do przodu jak automat.

Badani uderzył go w głowę czajnikiem, lecz Lauretta zdołał

sięgnąć po swoją mizerykordię. To była jego pierwsza prawdziwa misja i nie mógł zawieść. Wyprostował się gwałtownie i szykował

do ostatecznego ciosu.

Handlarzowi udało się jednak wydostać z szuflady dwa noże.

- Nie wiesz, z kim zadzierasz - syknął przez zęby. - Tak się składa, że radziłem sobie na ulicy na długo przed tym, zanim twoja plugawa gęba pokazała się światu. Więc szykuj się na nielekką śmierć - dodał, wysuwając do przodu jeden z noży.

- No, tylko spróbuj, niewierny psie - mruknął tamten.

To mówiąc, zręcznie uniknął pchnięcia nożem, wykonał półob-rót i trafił Badaniego łokciem w twarz. Cios był tak mocny, że marszand upadł, uderzając skronią o kant żelaznego piecyka.

Marcus Lauretta przykucnął nad swoją ofiarą, lewą ręką odchylił handlarzowi głowę i już miał skończyć swoją misję, gdy usłyszał, że ktoś wchodzi do kuchni. Nie zdążył się jednak odwrócić, bo w tej samej chwili Afdera z całej siły uderzyła go w głowę wielką patelnią, po czym, widząc, że morderca wali się na podłogę, przypadła do leżącego nieruchomo marszanda.

- No, panie Badani, proszę się ocknąć - powtarzała, bezsku tecznie usiłując go docucić. - Proszę... Ten tutaj zaraz dojdzie do siebie, a wtedy już po nas... Proszę, błagam...

Badani uchylił powieki i podniósł dłoń do zakrwawionej twarzy.

- Co się stało? Zmieniła pani zdanie? - Uśmiechnął się, wstając z wysiłkiem.

- Niech pan da spokój. Miał pan szczęście, że zostawiłam tu dziennik babki. Inaczej już by pan nie żył - oświadczyła Afdera.

- Jak pani weszła? - zapytał Badani, wciąż jeszcze nie bardzo przytomny.

- Drzwi były otwarte. Usłyszałam hałas. Szczerze mówiąc, sądziłam, że zabawia się pan z pokojówką, a tu proszę...

- Muszę się opłukać i przebrać.

- W porządku, ale najpierw zwiążmy tego typu. Nie wiem, jak mocno mu przyłożyłam.

- Sprawdźmy - rzekł Egipcjanin i kopnął leżącego w okolicie nerek.

Tamten jęknął.

- Żyje - stwierdziła Afdera z niejaką ulgą. - To dobrze, nigdy jeszcze nikogo nie zabiłam.

- Naprawdę? Co do mnie, żałuję, że ten śmieć nie będzie pierwszy na pani liście - burknął Badani, idąc po sznurek.

Gdy wrócił, skrępował swemu niedoszłemu zabójcy ręce na plecach.

- Proszę go przeszukać, a ja tymczasem doprowadzę się trochę do porządku. Potem zadzwonię do kuzyna, który pracuje w policji.

Niech się zajmą tym draniem. Po jednej nocy w kairskim więzieniu odechce mu się wszystkiego, nie wspominając o mordowaniu ludzi.

Afdera wykonała polecenie, ale w kieszeniach nieprzytomnego zabójcy nie znalazła żadnej wskazówki na temat jego toż-

samości.

Dopiero na koniec w jednej z wewnętrznych kieszeni marynarki dostrzegła coś jakby skrawek materiału. Rozprostowała go na dłoni i zobaczyła, że jest to ośmiokąt z wypisaną w środku maksymą: „W imię Boga gotów na mękę”.

Kiedy Badani wrócił do kuchni, mężczyzna na podłodze wła-

śnie zaczynał odzyskiwać przytomność.

- Niech mi pani pomoże posadzić go na krześle w salonie.

Trzeba go pilnować, dopóki nie zjawi się mój kuzyn. Już on będzie wiedział, co z tym łotrem zrobić.

We dwoje wzięli związanego pod pachy i zawlekli go do salonu.

- Zrobiłaby mi pani herbaty? - poprosił Badani. - Nic mnie tak nie uspokaja - dodał, zdejmując więźniowi buty i skarpetki.

Krzążając się po zdemolowanej kuchni, Afdery usłyszała dziwny świst - to marszand smagał tamtego po gołych stopach czymś w rodzaju szpicruty.

- Gadaj, świni. Kto cię przysłał? - pytał.

- *Incertu exitu victoriae, indivisa manent** - słyszał raz za razem w odpowiedzi. - *Animus hominis est immortalis, corpus mortale.*

Wejście Afdery przerwało tę przykrą scenę, lecz kiedy Rezek Badani odwrócił się po herbatę, jego niedoszły zabójca zerwał się z krzesła i ze słowami: *Etsi homines falles, Deum tarnen fallere non poteris***, rzucił się przez okno.

Handlarz i Afdery wychylili się za nim i zobaczyli w dole na chodniku ciało w kałuży krwi.

- Teraz bardziej niż mój kuzyn przydałby się tu przedsiębiorca pogrzebowy - oświadczył marszand, wpatrując się w zwłoki.

- To prawda - szepnęła Afdery.

- Proszę wracać do hotelu, ja porozmawiam z policją. I niech się pani niczym nie martwi, wszystko załatwię.

- Chyba nie powinnam zostawiać pana samego...

- Starczy pani wrażeń na dziś. Uratowała mi pani życie, ocaliła moją żonę przed wdowieństwem, a dzieci przed sieroctwem, więc jestem pani dłużnikiem. Proszę teraz wracać do hotelu, ja tu sobie poradzę. A w razie czego jestem do pani dyspozycji.

- Ale co pan teraz robi? Pewnie wciąż pan jest w niebezpieczeństwie...

- Proszę się nie martwić. Jak każdy Kopt mam w Kairze i okolicach liczną rodzinę, wielu kuzynów gotowych przyjąć mnie pod swój dach. No, niech pani zmyka, zanim zjawi się policja. Skontaktujemy się jakoś, dam znać, jeśli zdołam umówić panią z Colaianim.

To mówiąc, puścił do Afdery oko, ona zaś, już z dziennikiem babki w ręku, podeszła i pocałowała marszanda w policzek.

* *Incertu exitu victoriae, indivisa manent* (łac.) - Choć niepewni zwycięstwa, pozostajemy niepodzielni.

** *Etsi homines falles, Deum tarnen fallere non poteris* (łac.) - Choćbyś ludzi oszukał, Boga oszukać nie zdołasz.

Watykan

Eminencjo, musimy porozmawiać, to pilne -

odezwał się w słuchawce głos ojca Mahoneya.

- O co chodzi? - Wyrwany ze snu kardynał Lienart zerknął na zegarek stojący na stoliku nocnym tuż obok białego telefonu.

- Właśnie otrzymałem wieści od brata Reyesa...

Lienart natychmiast oprzytomniał i kazał Mahoneyowi stawić się niezwłocznie w Pałacu Apostolskim.

- Oczywiście, eminencjo.

Godzinę później kardynał wszedł do swojego gabinetu w piżamie i czerwonym jedwabnym szlafroku ozdobionym z prawej strony haftem w kształcie skrzydlatego smoka.

- Dlaczego w tej części pałacu musi być zawsze tak zimno?

- poskarżył się, szczerzej ściągając poły. - No więc, bracie Mahoney, co się dzieje?

- *Fructum pro fructo.*

- *Silentium pro silentio.*

- Brat Reyes dzwonił z Egiptu, aby powiedzieć, że ponieśliśmy stratę.

- O kogo chodzi?

- O brata Laurettę, który miał wyeliminować pewnego zamieszanego w sprawę pośrednika.

- Skąd wiadomo, że brat Lauretta nie żyje?

- Brat Reyes widział go wyskakującego z piątego piętra budynku, w którym mieszkał ów marszand.

- A dlaczego brat Reyes nie towarzyszył bratu Lauretcie?

Przecież wyraźnie nakazałem, żeby doświadczeni członkowie Kręgu czuwali nad nowicjuszami do czasu, aż tamci będą umieli radzić sobie sami. Ktoś popełnił błąd i chcę jak najszybciej się dowiedzieć kto - wycedził zimno Lienart, zapalając hawańskie cygaro i odwracając się w stronę okna, za którym szarzał plac Świętego Piotra.

- Misja wydawała się prosta i chyba dlatego brat Reyes zdecydował się na takie rozwiązanie. Marszand, ze względu na swój wiek i posturę, nie stwarzał zagrożenia, tyle że w ostatniej chwili pojawiła się ta kobieta, Afdera Brooks. Brat Reyes myślał, że...

- Proszę, proszę, nasze dziewczę pokazuje pazurki... - powiedział Lienart, ucinając wyjaśnienia Mahoneya jednym gestem.

- Pozwól, bracie Mahoney, że ci przypomnę, iż od członków Kręgu nie oczekuje się myślenia, tylko wykonywania rozkazów służących ochronie wiary i Kościoła. Wszyscy działamy w imieniu Ojca Świętego i jesteśmy narzędziami w ręku Boga. Brat Reyes nie powinien był myśleć. Powinien był osłaniać brata Laurettę.

Roma locuta, causa finita".

Mahoney spuścił z szacunkiem wzrok.

- Co eminencja rozkaże?

- Niech brat Reyes wraca do Wenecji i czeka tam na nowe polecenia. I modli się do Pana. Pora, by do akcji wkroczył brat Alvarado. W pojedynkę będzie śledził kroki panny Brooks, gdy tylko bracia Pontius i Cornelius odstawią ją do Berna.

- A co zrobimy z tamtym handlarzem? - chciał wiedzieć Mahoney.

- Chwilowo będzie się pilnował. Musimy poczekać. Jeszcze trafi się okazja. *De duobus maus minus est semper eligendum***.

Oczekuję, bracie Mahoney, że zadbasz o uniknięcie dalszych błędów. Bóg nagradza, ale potrafi też karać, pamiętaj o tym.

- Tak, eminencjo - zapewnił Mahoney z oczami wbitymi w ziemię.

- To by było wszystko - rzucił Lienart, paląc cygaro i obserwując samotnego zamiataacza, który właśnie zaczynał sprzątać plac.

Jestem jak ten zamiatacz, pomyślał kardynał. Moje zadanie to usuwać brud zanieczyszczający oblicze wiary, kalający obraz jedyne prawdziwego Boga.

* *Roma locuta, causa finita* (łac.) - Rzym przemówił, sprawa skończona.

** *De duobus malis minus est semper eligendum* (łac.) - Z dwojga złego należy wybrać mniejsze.

VII

Berno

Panie dyrektorze, ma pan rozmowę na linii

prywatnej - powiedziała recepcjonistka w Fundacji Helsinga.

- Kto dzwoni? - spytał Aguilar.

- Nie wiem, ale chyba ktoś z Watykanu. Aguilar zasiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę.

- Kardynał Lienart?

- Nie, tu Emery Mahoney, osobisty sekretarz Jego Eminencji sekretarza stanu kardynała Augusta Lienarta.

- Witam, czym mogę służyć?

- Mam dla pana polecenia od kardynała.

- A dlaczego właściwie miałbym słuchać poleceń tego czy innego kardynała?

- Ze względu na swoją wiarę? Bojaźń bożą? Strach przed Jego Eminencją? - podsunął Mahoney.

- Co mam zrobić?

- Jego Eminencja życzy sobie, aby pańska instytucja uczyniła pannie Brooks propozycję dotyczącą książki Judasza. Przy czym panna Brooks nie powinna się zorientować, kto za tym stoi.

- A jeśli zapyta?

- Wtedy proszę jej powiedzieć, że chodzi o bogatego kolekcjonera, który chce wzbogacić swoją kolekcję albo, jeszcze lepiej, pragnie przekazać księgę jakiemuś amerykańskiemu uniwersytetowi.

Jednakże pod żadnym pozorem proszę nie wspominać Watykanu.

- A jeśli panna Brooks nie zechce sprzedać księgi? - spytał

dyrektor Fundacji Helsinga.

- Zechce, zechce. Złoży jej pan bowiem propozycję nie do odrzucenia.

- Kiedy?

- Wiemy, że panna Brooks zamierza w najbliższych dniach odwiedzić fundację. To będzie dobry moment.

- Jaką sumę podać?

- Dziesięć milionów dolarów. Natychmiast po zawarciu umowy na wskazane przez pannę Brooks konto przelane zostanie pięć milionów. Druga część po przekazaniu księgi.

- Skąd pewność, że panna Brooks się zgodzi? Z tego, co wiem, nie brak jej pieniędzy. Może sobie pozwolić na odrzucenie każdej oferty.

- Pannie Brooks nie zależy na księdze. Zależy jej na zapoznaniu się z treścią tego dokumentu dla celów badawczych, a to nie stwarza zagrożenia dla Watykanu. Proszę nie zapomnieć o naszej prośbie, panie Aguilar. Miłego dnia.

- I nawzajem. Ukłony dla Jego Eminencji.

- Dziękuję, oczywiście, przekażę.

Wyprawa do Egiptu mocno zmęczyła Afderę, ale zarazem okazała się niezwykle pouczająca. Jednakże pytań przybywało i młoda kobieta liczyła na to, że przynajmniej część odpowiedzi otrzyma w Fundacji Helsinga. Jednocześnie miała wielką ochotę znowu zobaczyć Maksa. Na jednej z wolnych stron dziennika babki zanotowała swoim starannym, drobnym pismem: Charles Eolande, Leonardo Colaiani i Vasilis Kalamatiano. Te trzy nazwiska były jak kolejne stopnie na drodze do wtajemniczenia, którego bez względu na cenę zamierzała dostąpić.

Pamiętała ostrzeżenia Badaniego dotyczące Kalamatiana, ale chciała poznać prawdę o księdze Judasza.

Kiedy wysiadła z samolotu na niewielkim lotnisku Belp, poczu-

ła na twarzy chłodny powiew - wyjątkowo przyjemny po egipskich upałach.

Niespiesznie przeszła do terminalu, a gdy znalazła się w taksówce, poleciła się wieźć do hotelu Bellevue Palace. Lubiła Berno.

Dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

W hotelu od razu wybrała numer Fundacji Helsinga i poprosiła o rozmowę z Sabine Hubert.

- Pan Aguilar też chciał z panią zamienić słowo, przełączę

- oświadczyła recepcjonistka.

- Panno Brooks - odezwał się po chwili dyrektor - jak miło znów gościć panią w Bernie. Choć długo przyszło nam czekać na tę przyjemność.

- To prawda, musiałam załatwić kilka spraw w Egipcie.

- Słyszałem od Sabine Hubert, że zamierza pani do nas przyjechać na specjalne spotkanie z ekipą

zajmującą się renowacją i tłumaczeniem księgi.

- Owszem. Czy w związku z tym jest jakiś problem?

- Nie, nie, nie ma żadnych problemów. Chciałem po prostu wysłać po panią samochód, który przywiezie panią do naszej siedziby. Na własne oczy przekona się pani o postępie prac.

Ostatecznie za coś nam pani płaci.

-I to niemało.

- Spotkanie może się odbyć w sali konferencyjnej, a potem zapraszam panią na kolację. Chciałbym pani przedstawić pewną sprawę, która, jak sądzę, panią zainteresuje.

Nagle w słuchawce coś zaszeleściło - to Renard Aguilar, nie przerywając rozmowy, sięgnął do stojącej na biurku misy po miętowego edelweissa, zębami odwinął go z papierka i włożył do ust.

- Dobrze, przyjmuję zaproszenie. Proszę przysłać samochód jutro o dziewiątej rano do Bellevue Palace. A wieczorem zjemy razem kolację.

- Świetnie. Poproszę sekretarkę, żeby zarezerwowała nam stolik w Della Casa. Ich *bernerplatte* nie ma sobie równych, zobaczy pani. A teraz przełączę panią do Sabine. Przepraszam, że pozwoliłem sobie się wtrącić.

- Nic nie szkodzi. Do jutra.

Potem odezwała się Sabine:

- Jak tam?

- Doskonale. Już się nie mogę doczekać spotkania z wami.

- Będiesz pod wrażeniem naszych osiągnięć. No i oczywiście cała ekipa bardzo chce cię poznać. Pracujemy jak woły.

- Ja też chętnie wszystkich poznam. Ale najpierw chciałabym cię o coś zapytać, Sabine.

- Śmiało, strzelaj.

- Wiesz może, czy Maximilian Kronauer będzie w tych dniach w fundacji?

- Nie wiedziałam go od tygodni, ale on zazwyczaj siedzi w biurach w Gurten, a ja w laboratorium przy Freiburgstrasse, więc nic dziwnego, że się nie spotykamy. Jak chcesz, mogę o niego spytać Aguilara.

- Nie, lepiej nie. Dzięki, Sabine. Do jutra - pożegnała się Afdera.

- Zanim tu przyjedziesz, zjedz duże śniadanie, bo czeka cię poranek pełen wrażeń, gwarantuję.

Następnego dnia dokładnie o dziewiątej rano mercedes wysła-ny z Fundacji Helsinga czekał na Afdere przed hotelem.

Droga prowadziła przez zachodnią część miasta, wąskimi uliczkami, wśród zieleni parków, aż wreszcie samochód wjechał

na autostradę numer 12, gdzie przyspieszył, trzymając się prawego pasa, by na koniec skręcić na Freiburgstrasse i zagłębić się w dzielnicę przemysłową pełną rozmaitych magazynów i warsztatów.

Przy skrzyżowaniu z Meriedweg wznosił się z pozoru zwy-czajny budynek, podobny do hangaru na samoloty. Aby dostać się na otaczający go parking, należało jednak przejechać przez strzeżone bramki.

Auto stanęło i w tej samej chwili z budki strażniczej wyłoniło się dwóch uzbrojonych mężczyzn - każdy z teczką w ręce.

- Panna Afdera Brooks na spotkanie z panią Sabine Hubert

- powiedział szofer.

- W porządku. - Jeden ze strażników skinął głową, zerknąwszy do swojej teczki. - Proszę skręcić w prawo i zaparkować na końcu. Panna Brooks musi się zgłosić w recepcji. Stamtąd ktoś zaprowadzi ją na miejsce spotkania.

- Dziękuję - rzekł szofer.

Afdera odnosiła wrażenie, że znalazła się niedostępnej fortecy

- wszędzie dostrzegała kamery, alarmy, ogrodzenia i uzbrojonych mężczyzn. Recepcjonistka wpisała ją do rejestru gości, po czym poprowadziła w głąb budynku.

Panująca tu wszędzie sterylna czystość kojarzyła się ze szpita-lem. Nikt, patrząc na ten budynek z zewnątrz, nigdy by nie odgadł, że w środku poddaje się renowacji najbardziej wartościowe dzieła sztuki i zabytki piśmiennicze świata.

Recepcjonistka zatrzymała się przed wielkimi hebanowy-mi drzwiami - niepasującymi, jak zauważyła Afdera, do reszty wystroju - i wpuściła gościa do dużej sali konferencyjnej z lśni-

ącym stołem na środku i kilkoma wygodnymi fotelami z czerwonej skóry dookoła.

Na widok Afdery z jednego z nich podniosła się Sabine Hubert.

- Witaj. Jak się udała podróż do Egiptu?

- Dużo się działo.

- Pozwól, że ci przedstawię resztę zespołu - powiedziała Sabine, odwracając się w stronę czterech obecnych w sali męz-

czyn. - To jest Werner, papirolog. To Burt, specjalizujący się w historii początków chrześcijaństwa. Dalej siedzi Efraim, ekspert od aramejskiego i koptyjskiego, a obok niego John, świetny w datowaniu zabytków metodą radiowęglową.

Afdera uścisnęła wszystkim dłonie. Amerykanin Burt Herman był całkiem przystojny, mimo początków łysiny. Miał bezpośredni sposób bycia i uchodził ze jednego z najlepszych znawców wczesnego chrześcijaństwa. Kanadyjczyk John Fessner wstawił

się rozstrzygnięciem kilku spornych kwestii związanych z datowaniem antyków i kierował Ośrodkiem Badań Zaawansowanych w Ottawie. Izraelczyk Efraim Shemel przez kilka lat kierował

zespołem koptologów na Uniwersytecie Berlińskim, by następnie przenieść się do Tel Awiwu. Wreszcie Niemiec Werner Hoffman znał się na wszystkim, co miało jakikolwiek związek z papirusami.

- Cóż, jesteśmy tu po to, żeby podzielić się z tobą wszystkim, co do tej pory wiemy o twojej księdze. Czy też raczej o księdze Judasza - zaczęła Sabine. - Na początek przygotowaliśmy prezentację, potem będziesz mogła zadawać pytania, w porządku?

- Jasne. Zaczynajcie.

- Tekst został spisany na papirusowych kartach, które, jak dobrze wiesz, są trwalsze niż jakikolwiek produkowany współcze-

śnie papier. Wytwarzano je w ten sposób, że miąższ łądyg rośliny krojono na paski, które następnie układano obok siebie na desce.

Na tę warstwę kładzono w poprzek drugą, po czym całość sklepywano, suszono i wygładzano do połysku. Tak powstały karty, na których została spisana księga Judasza. To kodeks złożony z arkuszy. Przypuszczamy, że pierwotnie było ich trzydzieści dwa, co daje sześćdziesiąt cztery strony. Niektóre z nich przypominają mapy, ale w rzeczywistości po prostu uległy tak poważnym zniszczeniom, że tekst praktycznie zniknął. Język dokumentu to bez wątpienia koptyjski. Na początku trudno było odczytać cokolwiek, jako że w wielu miejscach brakowało znacznych fragmentów, lecz stopniowo uzupełnialiśmy braki tymi skrawkami, które przywiozłaś nam razem z księgą w pudełku, dzięki czemu udało się w końcu odtworzyć sporą część tekstu. Skórzana okładka, choć wyblakła i zniszczona, da się uratować. Co do tematyki, treść księgi tematycznie wiąże się z Biblią. Później Burt przedstawi ci tę kwestię z religioznawczego punktu widzenia. Ja zarysuję tylko ogólny obraz. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że w gruncie rzeczy chodzi o cztery osobne dokumenty: list Piotra do Filipa, pismo, które można by nazwać Apokalipsą według Jakuba, tekst nazywany przez nas roboczo Allogenese oraz o samą Ewangelię Judasza.

Tu Sabine Hubert zrobiła sobie małą przerwę, sięgając po wodę.

Afdera zawzięcie notowała wszystko w zeszycie z logo Fundacji Helsinga.

- Każdy kodeks ma swój indywidualny charakter. Z czasem nauczyłam się je rozpoznawać - podjęła Sabine. - W tym wypadku też poświęciłam na to sporo czasu. Uzupełniając puste miejsca, używaliśmy dwóch metod: luźne fragmenty oglądaliśmy pod mikroskopem, koncentrując się na poszczególnych literach, oraz analizowaliśmy kolejne niepełne słowa. Tym ostatnim zajmował

się zresztą głównie Efraim. Zdołaliśmy w ten sposób zrekonstruować dwie trzecie księgi. Co do reszty, będzie raczej trudno

- oświadczyła, ujmując w dłoń szklaną płytkę, składającą się w rzeczywistość z dwóch, między którymi Afdera ujrzała jedną z pięknie wyszykowanych stron księgi.

- Nie ciesz się tak - rzuciła Sabine. - Brakuje naprawdę sporo.

Są strony, gdzie nie udało się odzyskać całych dużych kawał-

ków.

- Czy istnieje jakiś sposób, by się dowiedzieć, czego dotyczyły?

- To bardzo skomplikowane - odezwał się Herman. - Mieliśmy siedem teczek z dziesiątkami fragmentów kodeksu. Te luźne kawał-

ki są różnej wielkości, część z nich nie jest większa od znaczków pocztowych. Sądzymy, że brakuje nam czterech albo pięciu stron listu Piotra do Filipa i z Apokalipsy, które znajdowały się w księdze przed Ewangelią. Jeśli chodzi o samą Ewangelię, brak nam pięciu dużych fragmentów, niemal całych stron. Poddaliśmy badaniu papirus z różnych części księgi i dzięki temu z grubsza ustaliliśmy, które urywki przynależą gdzie.

- Czy da się stwierdzić z całą pewnością, że chodzi o Ewangelię Judasza?

Pięcioro ekspertów zgodnie pokiwało głowami.

- A skąd wiadomo, że Judasz, o którym tam mowa, to Iskariota, a nie na przykład Juda Tadeusz? - drażniła Afdera.

Efraim Shemel sięgnął po jedną z rozłożonych na stole fotografii ukazujących przetłumaczone już strony i wskazał pewną linijkę.

- Tu mamy napisane: Juda Ish-Queriot. Imię Judasza wiąże się z Judea. *Ish* to po hebrajsku człowiek. Najlepsi eksperci, w tym Burt, zgadzają się co do tego, że „Iskariota” znaczy po prostu

„człowiek z miasta Keriot”.

W tym momencie wtrącił się Burt Herman.

- Keriot to była miejscowość położona w górach Judei, nad Morzem Martwym, niedaleko od miasta Arad. I rzeczywiście można w ten sposób tłumaczyć przydomek Judasza. Inna wersja mówi jednak, że przydomek ów pochodzi od słowa *sicarius*, co oznaczałoby, że Judasz był związany z sykariuszami, skrajnym odłamek walczących z Rzymianami zelotów. To oni zamknęli się potem w Masadzie.

- Wydawało mi się, że jakiś inny apostoł należał do zelotów.

- Tak, prawdopodobnie Szymon Kananejczyk. W pewnym etiopskim apokryfie Judasz jest wspomniany jako zelota i zarazem, co ciekawe, syn Szymona Kananejczyka. W takim wypadku „Iskariota” pochodziłoby od *ishi - karioth*, czyli „mąż z sika”, to znaczy krótkim zakrzywionym sztyletem używanym przez sykariuszy - wyjaśniał Herman.

- Czy dopuszczają państwo możliwość, że to może być falsyfikat?

- Wykluczone - oświadczył John Fressner. - Metoda radiowę-

glowa nigdy nie zawodzi.

- Poza tym, panno Brooks - odezwał się znowu Burt Herman

- ile jest na świecie osób, które potrafiłyby sporządzić taki falsyfikat? Dziesięć? Piętnaście? Dwadzieścia? Z czego pięć od razu odpada, znajdują się bowiem razem z panią w tej sali.

- A gdyby chodziło o bardzo stary falsyfikat?

- Mamy do czynienia z koptyjskim tłumaczeniem wcześniejszego dokumentu spisane w języku greckim, a może nawet aramejskim. Kto wie, czy to nie jedyny zachowany przekład dokonany bezpośrednio z oryginału - zaznaczył Efraim. - Większość gnostyckich tekstów pochodzi z drugiego i trzeciego wieku. Ich autentyczność ocenia się dzięki analizie epigraficznej. W tym wypadku nie może być wątpliwości.

- Dlaczego ktoś, kto to pisał, nie posługiwał się aramejskim?

- Aramejski był *lingua franca* Bliskiego Wschodu w czasach Chrystusa, który, jak się uważa, rozmawiał z apostołami i nauczał

właśnie w tym języku. Potem zyskała na znaczeniu greka. Do tego dochodzi mnogość ich lokalnych odmian. Koptyjski, w którym spisano ten tekst, bazował na podstawowym alfabecie greckim

- odparł Shemel.

- Są państwo w stanie stwierdzić, kiedy spisano tę księgę?

- Pobraliśmy próbki papirusu i skóry. Zamierzamy je przewieźć do Ottawy, gdzie zostaną poddane dalszym badaniom. Odpowiedź

na pani pytanie poznamy zapewne już za kilka dni - odrzekł

Fessner.

- Czy to możliwe, by koptyjski autor stworzył swój tekst, nie mając oparcia w żadnych wcześniejszych dokumentach?

- Nie - odparł Burt Herman. - Oczywiście z ostatecznymi ustaleniami musimy poczekać do czasu, aż dostaniemy w miarę możliwości pełne tłumaczenie. Już teraz wiemy, że w tekście kilkakrotnie pojawia się jedno imię, co wskazywałoby na wagę noszącej je postaci, która, być może, знаła nawet Judasza.

- Jakie to imię?

- Eliezer - odpowiedział Herman. - Przekonamy się, kto to taki, kiedy Efraim skończy pracę nad przekładem. Na razie wiemy jedynie, że ów Elizer występuje w księdze parę razy. Może to autor Ewangelii albo informator jej autora. Jeszcze nie potrafiemy tego rozstrzygnąć.

- A da się stwierdzić, czy Ewangelia Judasza mogła zostać napisana wcześniej niż cztery kanoniczne?

- Na pewno jest późniejsza niż Ewangelia Jana, najmłodsza z tamtych czterech. Ewangelia Marka powstała w latach 70-71

naszej ery, Ewangelia Łukasza - między 80 a 90 rokiem, podobnie zresztą jak Ewangelia Mateusza. Natomiast Ewangelię Jana datuje się na lata między 90 a 110. Przy czym wiadomo, że Ireneusz wyraźnie potępiał Ewangelię Judasza jako heretycką.

- Kim był Ireneusz?

- Ireneusza z Lyonu można by uznać za ojca Kościoła katolickiego w takiej formie, w jakiej go znamy dziś, pod koniec dwudziestego wieku. Koło 180 roku, przebywając w dzisiejszej Francji, Ireneusz stworzył dzieło „Adversus Haereses”, czyli „Przeciw herezjom”, w którym ostro atakował Ewangelię Judasza - wyjaśniał

Burt Herman, wyciągając z tylnej kieszeni spodni niewielki czarny notes. - Pisał, że w tym tekście jest mowa o relacjach Jezusa z Judaszem, który jakoby miał znać prawdę na temat zdrady popeł-

nionej względem Chrystusa. Ta wersja okazała się nie do przyjęcia dla pierwszych przywódców Kościoła, toteż tysiąc osiemset lat temu zdecydowano się ją wymazać z ludzkiej pamięci.

- Ale to znaczy, że ów Ireneusz znał Ewangelię Judasza...

- Owszem - przytaknął Herman. - Urodził się w Smyrnie, a żył mniej więcej w latach 140-202 naszej ery, w drugim wieku istnienia chrześcijaństwa. Jako ktoś w rodzaju ówczesnego intelektualisty pomógł zdefiniować podwaliny teologiczne tworzącego się dopiero Kościoła katolickiego. Był księdzem, później został

biskupem, a po śmierci dostąpił kanonizacji. Czy jest pani katoliczką, panno Brooks?

- Tak, chociaż nie bardzo praktykującą.

- Wielu katolików zdziwiłoby się zapewne, słysząc, że w początkach chrześcijaństwa nie było mowy o żadnej Biblii, wyodrębnionej spośród innych tekstów. Prawie trzysta lat trwało, zanim ustalili się oficjalny korpus Nowego Testamentu.

- Ile Ewangelii krążyło wśród wiernych do tego czasu?

- Mnóstwo. Poczynając od tych czterech, które weszły w skład Nowego Testamentu, przez Ewangelię Tomasza, Ewangelię Prawdy, Ewangelię Filipa, Bartłomieja i Piotra, Ewangelię Dzieciństwa Ormiańska, Tajemną Ewangelię Marka, Ewangelię Egipcjan i Ewangelię Hebrajczyków, po ewangeliczne teksty maryjne.

Zbierze się ich ze trzydzieści, a każda, nie wyłączając Ewangelii Judasza, ma uchodzić za prawdziwą.

- Ale zgadzają się co do faktów z życia Chrystusa i roli, jaką odegrał Judasz?

Burt Herman roześmiał się głośno.

- Panno Brooks, po ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa działały dziesiątki grupek zrzeszających jego zwolenników, na przykład karpokracjanie, marcjonici, ebionici i różni inni „ici”. Wszyscy oni wierzyli w Boga, tyle że w rozmaity sposób. Ireneusz wziął

na siebie zadanie wypracowania na użytek chrześcijan z róż-

nych ośrodków kanonu teologicznego, który w znacznej części zaakceptowany został sto czterdzieści lat później, w 325 roku, na soborze w Nicei. W swoim monumentalnym dziele „Adversus Heereses” wymieniał heretyckie teksty, do których zaliczył

Ewangelię Judasza. Anastazjusz z Aleksandrii poparł go potem, pisząc, że tylko teksty zaakceptowane przez Ireneusza są „źró-

dłem zbawienia dla łaknących prawdy, albowiem jedynie z nich płynie nauka miłosierdzia”.

- A kim mógł być ów Eliezer wspomniany w księdze Judasza?

- Nie wiem. Z tekstu wynika, że był kimś w rodzaju ucznia Judasza, przy czym, co ciekawe, jego imię nie łączy się z żadną istniejącą wtedy wczesnochrześcijańską sektą. Jak mówiłem, musimy poczekać, aż Efraim upora się z przekładem.

- Jak to się stało, że Ewangelia Judasza najwyraźniej przetrwała potępienie Ireneusza, a potem Anastazjusza?

- Tekst, spisany w dialekcie sahidyjskim języka koptyjskiego, jest pełen elementów językowych charakterystycznych dla środkowego Egiptu albo Deltę Nilu, niewykluczone, że dla rejonów Damietty lub Aleksandrii. Inne podobnie datowane dokumenty są zazwyczaj tłumaczeniami

oryginałów greckich, ale ten, jak już wspomniałem, mógł też zostać przełożony z aramejskiego.

Wersje, którymi dysponował Ireneusz, a potem Anastazjusz, były najprawdopodobniej kopiami kopi innych kopi. Ewangelię łatwo potępić, znacznie trudniej ją zniszczyć - wyjaśnił Efraim.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego właściwie ktoś chciałby coś takiego niszczyć... - zastanawiała się Afdera.

- Ma pani na myśli czasy Ireneusza i Anastazjusza czy dzisiejsze? - spytał Burt Herman, z uwagą patrząc jej w oczy.

- Dzisiejsze.

- Cóż, zawartość księgi Judasza już dawno temu nie podobała się Ojcom Kościoła. Pozwoli pani, że coś wyjaśnię, panno Brooks. Potępiani przez Ireneusza i Anastazjusza zwolennicy naszej Ewangelii uważali Judasza za wybrańca, jedyne, który posiadał wiedzę umożliwiającą przeprowadzenie misterium zdrady wraz ze wszystkimi jej dobroczynnymi dla chrześcijaństwa skutkami. Ireneusz utrzymywał, że owi heretycy, jak ich nazywał, dali się nabić w butelkę, ponieważ księga Judasza zawiera-

ła, jego zdaniem, szereg przekłamań. Tyle że jego przekonanie opierało się na uznawanej po dziś dzień za słuszną presupozycji, że Judasz był „tym złym”. Księga Judasza, czy też może raczej Eliezera, mogła podważyć opinię, jaką Ojcowie Kościoła narzucili współwyznawcom na temat człowieka, który jakoby zdradził swego mistrza, połasczywszy się na kilka srebrników, a następnie powiesił się na drzewie. Z tego, co wiemy na obecnym etapie prac, wynika, że wedle odnalezionej Ewangelii Judasz nie tyle zdradził Chrystusa, ile wydał go oprawcom na jego własną prośbę. A skoro Jezus wybrał właśnie jego do tej trudnej misji, można by się zastanawiać, czy nie wyznaczył go też do kierowania Kościołem, która to rola ostatecznie przypadła Piotrowi.

Przy czym takie rozważania byłyby wyjątkowo niewygodne dla Watykanu, nie sądzi pani?

- Pewnie tak.

- Starożytni Grecy dobrze wiedzieli, co mówią, gdy powtarzali, że boginie losu, Mojry, przędą nasze przeznaczenie nić po nici

- odezwała się Sabine, kładąc dłonie na ramionach Afdery. -I tak sobie myślę, że może nie bez powodu twój los splótł się niespodziewanie z dziejami tej księgi...

- Kto wie, Sabine, tyle że w moim wypadku splataniem nici zamiast Mojry zajęła się moja babka. Ostatecznie to ona tuż przed śmiercią kazała mi się zająć tą sprawą.

- W twoim głosie zabrzmiał wyrzut.

- Wcale nie! Choć może wolałabym sama decydować o swoim losie. A tak, chcąc nie chcąc, muszę dążyć tę kwestię.

- Pomyśl o tym inaczej. Wyobraź sobie, że możesz przejść do historii jako ta, która zmieniła zdanie milionów na temat Judasza. Kto wie... - uśmiechnęła się Sabine.

- Może.... Tak czy owak, teraz najważniejsze jest, abyśmy uzyskali więcej danych. Chciałabym jak najszybciej zapoznać się z pełnym tłumaczeniem albo chociaż dowiedzieć się czegoś o tym tajemniczym Eliezerze.

- Daj nam jeszcze ze dwa tygodnie. W takich sytuacjach pośpiech nie jest wskazany. Trzeba działać metodycznie, musimy najpierw dokładnie przeanalizować księgę, jej kontekst historyczny, bohaterów. . Potem zapewne coś się wyjaśni.

Po zebraniu i nieformalnym lunchu z naukowcami i pracownikami Fundacji Helsinga, Afdera odwiedziła laboratoria, gdzie prowadzono prace nad księgą. Na półkach i stołach pełno tam było skanerów, podświetlaczy, silnych mikroskopów i rozmaitych substancji chemicznych. Afdera wyszła stamtąd dopiero pod wieczór.

Pożegnawszy się z Sabine i resztą zespołu, zerknęła na zegarek. Już wcześniej Sabine uprzedziła ochronę, że gość wyjeżdża i potrzebny będzie samochód. Auto czekało przed bramą. W drodze do restauracji, w której była umówiona z Aguilarem, Afdera przez cały czas zastanawiała się, co takiego chce jej powiedzieć dyrektor Fundacji Helsinga.

Mercedes powiózł ją do starej części miasta, na Schauplatzgasse.

Tam, pod numerem 16, w kamienicy wciśniętej między dwa większe budynki, od 1892 roku mieściła się jedna z najlepszych berneńskich restauracji. Zaraz od progu Afdera zauważyła Aguilara, któremu towarzyszył mężczyzna w fartuchu szefa kuchni, z wyhaftowanym na kieszonce nazwiskiem: Michele Rugolo. To właśnie dzięki niemu do restauracji wciąż ściągali najwybredniejsi sma-kosze.

- Proszę za mną, zaprowadzę państwa do stolika - powiedział.

- Po aperitifie podamy państwu *bernerplatte*, naszą specjalność, przyrządzoną z dwunastu rodzajów mięsa i wędlin z ziemniakami i *Sauerkraut*. Mam nadzieję, że będzie państwu smakować.

Kiedy zostali sami, Aguilar oświadczył:

- Proszę pozwolić sobie powiedzieć, że jest pani niezwykle piękną kobietą, panno Brooks.

- Dziękuję, choć wydawało mi się, że to nie randka, tylko spotkanie w interesach.

- Och, wy, Amerykanki, stanowczo nie lubicie komplementów! - zaśmiał się Aguilar, próbując rozładować napięcie, które wywołała ostra odpowiedź Afdery.

- Właściwie jestem pół Amerykanką, pół Włoszką, czy też raczej wenecką, ale rzeczywiście nie przepadam za komple-mentami. Moja babcia mawiała, że pochlebstwa wygłaszane przez mężczyzn z kultur romańskich to słowa rzucane na wiatr.

- Jako pół Wenezuelczyk, pół Szwajcar, czy też raczej genew-czyk, chyba nie do końca mieszczę się

w tej kategorii.

- *Touché!* - uśmiechnęła się Afdera.

Renard Aguilar był tajemniczą postacią świata handlu dziełami sztuki i antykami. Jego nazwisko w niejasny sposób łączono ze słynną na początku lat siedemdziesiątych aferą dotyczącą obrotem starożytnościami o wątpliwym pochodzeniu. Podobno przepiękne popiersie faraona, które jako dyrektor pewnej znanej amerykańskiej galerii sprzedał za milion dwieście tysięcy dolarów, zostało wywiezione z Egiptu nielegalnie i egipski rząd, dowiedziawszy się o całej sprawie, zażądał od Stanów Zjednoczonych zwrotu zabytku. Wkrótce potem FBI zdobyło dowody na to, że Aguilar był zamieszany w przemyt bliskowschodnich antyków dla najważniejszych amerykańskich muzeów i kolekcjonerów.

Został skazany na zaledwie rok więzienia, ale nie odsiedział

nawet tego.

Jakaś potężna dłoń tak pociągnęła za sznurki, że ze względu na dotychczasową niekaralność pozwolono mu odpracować wyrok

- miał wygłaszać pogadanki o sztuce w szkołach i ośrodkach trzeciego wieku. Później, kiedy wydawało się, że jego kariera jest nieodwołalnie skończona, wypłynął w Bernie jako dyrektor wpływową Fundacji Helsinga. I teraz, bardzo elegancki w uszytym na miarę garniturze, z zadbanymi paznokciami i roleksem na rękę, siedział naprzeciwko Afdery, zamierzając jej złożyć propozycję nie do odrzucenia.

Po kolacji, przy kawie i likierach, przeszedł wreszcie do rzeczy.

Wcześniej jednak wyjął z kieszeni miętowego cukierka Edelweiss i szybkim ruchem wsunął go do ust.

- Usiłuję rzucić palenie i te miętówki trochę mi pomagają

- wyjaśnił przeprasząc, odkładając papierka na talerz. - No dobrze. Panno Brooks, zaprosiłem tu panią, żeby przedstawić pani pewną ofertę.

- Jaką ofertę? - spytała.

- Amerykański kolekcjoner i mecenas sztuki, który przeznaczył

już na naszą fundację miliony, poprosił mnie, żebym w jego imieniu zaproponował pani osiem milionów dolarów za księgę Judasza.

Afdera zagwizdała przeciągle.

- No, no... A kto to jest, ten bogaty kolekcjoner?

- Proszę wybaczyć, ale zostałem zobowiązany do dyskrecji.

Nazwisko kupca nie ma zresztą większego znaczenia...

- Potencjalnego kupca - poprawiła Afdera.

- Tak. Ów potencjalny kupiec zamierza następnie podarować księgę któremuś z amerykańskich uniwersytetów. Jeszcze nie zdecydował któremu.

- Gdybym chciała sprzedać księgę, sama wyznaczyłabym warunki.

- Tak też myślałem. Jakie to warunki? Może dałoby się wypracować zadowalający obie strony kompromis?

- Wątpię, jako że jedyną stroną, która bezwzględnie musi być zadowolona, jestem ja. Ponieważ do mnie należy księga.

- Czy wyższa cena miałaby wpływ na pani zadowolenie?

- Nie. Tu nie chodzi o pieniądze. Nie brak mi ich, podobnie jak mojej siostrze. Która, notabene, jest właścicielką połowy księgi, toteż każda decyzja zależy w połowie od niej - dodała Afdera.

- Więc jakie by to były warunki?

- Musiałabym mieć gwarancję, że, po pierwsze, księga trafi do fundacji, biblioteki albo uniwersytetu, gdzie pozostanie dostępna dla badaczy z całego świata. Po drugie, że przez określoną liczbę tygodni w roku będzie wypożyczana muzeom, fundacjom i organizacjom kulturalnym chcącym pokazywać ją mieszkańcom różnych krajów. Po trzecie, że zarówno mojej siostrze, jak i mnie, wolno będzie w każdym momencie zażądać informacji na jej temat. Po czwarte, że całość uzgodnionej sumy od razu zostanie przelana na rachunek w jednym ze szwajcarskich banków.

Po piąte, że przekazanie dokumentu nowemu właścicielowi nie nastąpi przed ukończeniem prac renowacyjnych i translatorskich.

Po szóste, że nowy właściciel podaruje Fundacji Helsinga wszystkie wykonane podczas prac renowacyjnych kopie poszczególnych stron księgi oraz całą dokumentację dotyczącą tych prac. Jeśli pański tajemniczy kolekcjoner przystanie na te warunki, my z siostrą zgodzimy się odsprzedać mu Ewangelię Judasza. W takim wypadku przygotowaniem dokumentów zajmie się nasz adwokat, Sampson Hamilton.

- Proszę, proszę, przygotowała się pani do tego spotkania...

- Oczywiście. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chętnie wróciłabym do hotelu, bo zrobiło się trochę późno -

odrzekła Afdera.

Gdy wyszli i Aguilar uprzejmie otwierał jej drzwi mercedesa, odwróciła się jeszcze w jego stronę.

- Poczekam na odpowiedź i dopiero potem porozmawiam z siostrą. Nie ma sensu zawracać jej głowy, dopóki pański kolekcjoner się nie wypowie.

A kiedy samochód już ruszał, skinęła na szofera, by poczekał, i wyjrzała przez okno.

- Byłabym zapomniała. Nie wie pan przypadkiem, czy pan Kronauer jest w Bernie?

- Maximilian? Nie, od dłuższego czasu się u nas nie pokazywał. Ale w najbliższym czasie ma podobno się tutaj zjawić w związku z jakąś konferencją czy innym projektem - odpowiedział Aguilar, rozwijając z papierka kolejną miętówkę.

- Dziękuję za informację. I czekam na wiadomość.

Następnego ranka Afdera zamierzała lecieć do Wenecji. Liczyła na to, że kilka dni w towarzystwie Assai pozwoli jej dojść do siebie po ciężkiej podróży do Egiptu. Na twarzy wciąż miała ślady napadu, którego ofiarą niedawno padła. Już z Ca' d'Oro planowała zadzwonić do Abdela Gabriela Sayeda, żeby dopytać się go o parę szczegółów. Chciała też skontaktować się z Rezekiem Badanim i sprawdzić, czy policja ustaliła tożsamość mężczyzny, który zaatakował marszanda w jego mieszkaniu, po czym wyskoczył przez okno. W torbie wciąż miała dziwny ośmiokąt wyjęty z kieszeni tamtego typu - taki sam jak te znalezione przy zwłokach Boutrosa Reyko i Liliany Ransom. Co to mogło znaczyć?

Kiedy przez okna zaczęły wpadać pierwsze promienie słońca, w hotelowym pokoju rozległ się przeraźliwy dzwonek. Wyrwana ze snu Afdera zaczęła nieprzytomnie macać wokół ręką w poszukiwaniu budzika. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że to telefon.

- Tak, słucham? - mruknęła.

- Cześć - powiedział męski głos.

- Max? To ty? - spytała, podskakując na łóżku.

- Tak, to ja. Jak się miewasz?

- Jestem na ciebie śmiertelnie obrażona. Przepadłeś gdzieś i nie dajesz znaku życia od naszego spotkania w Wenecji - oświadczyła tonem, którego z wielkim powodzeniem używała już w dzieciństwie, gdy dąsała się na rodziców. - Skąd dzwonisz? Gdzie jesteś?

- Całkiem niedaleko.

- We Włoszech?

- Niezupełnie.

- To gdzie? - ponagliła go.

- Kilkanaście metrów pod twoim pokojem. W recepcji.

- W takim razie nie waż się stamtąd ruszać. Ani z nikim rozmawiać. Ani oddychać. Już schodzę.

- Czekam. Tylko nie zapomnij się ubrać, to elegancki hotel...

- Odczep się. Najwyżej przyjdę w bieliźnie - zakończyła z uśmiechem.

Kilka minut później zbiegała po wyłożonych dywanem schodach.

- Günther, wie pan może, gdzie znajdę tego dżentelmena, który kilka minut temu dzwonił do mnie do pokoju? - spytała recepcjonistę.

- Pan Kronauer czeka na panią w barze.

Rzuciła się w tamtą stronę, ale przed wejściem zwolniła, żeby nie pokazywać po sobie niecierpliwości. Siedział tyłem do drzwi, przy najdalszym stoliku, pogrążony w lekturze „Herald Tribune”.

Podeszła cicho i zakryła mu oczy rękami.

- Zgadnij kto to.

- Ten świeży zapach z mandarynkową nutą nie pozostawia cienia wątpliwości, Afdero - odrzekł z uśmiechem Max.

- Nadal jestem na ciebie śmiertelnie obrażona.

- Jak mogę cię przebłagać?

- Fundując mi śniadanie? Spędzając ze mną dzień? Spędzając ze mną noc?

- Na razie poprzestańmy na śniadaniu.

Przez kolejne godziny Afdera opowiadała mu o swojej podróży do Aleksandrii, Maghaghy i Kairu, o gwałcicielach, morderstwie popełnionym na Lilianie Ransom, ataku na Rezeka Badaniego, samobójstwie tajemniczego napastnika, o dziwnym ośmiokącie znalezionym w jego kieszeni, locie do Berna, spotkaniu z ekipą pracującą nad Ewangelią Judasza, kolacji z Renardem Aguilarem i złożonej przez niego propozycji.

- Cóż. . Na twoim miejscu bym się nie wahał. Osiem milionów dolarów to dużo pieniędzy. Urządziłabyś się do końca życia.

- Już jestem urządzona do końca życia, dzięki spadkowi po dziadkach. Nie potrzebuję pieniędzy Aguilara - odparła Afdera.

- W takim razie po prostu zignoruj tę ofertę.

- TU nie chodzi o pieniądze. Przedstawiłam Aguilarowi kilka warunków i jeśli tamten facet się na nie zgodzi, mogę się z nim dogadać. Jeżeli księga zostanie u mnie, dostęp do niej będzie ograniczony, ale gdyby została złożona w odpowiedniej instytucji, trafiłaby do rąk badaczy i naukowców.

- Wiesz, w którym imieniu występował Aguilar?

- Nie. Podobno ten ktoś chce zachować anonimowość i załatwić wszystko przez fundację. Kiedy już dostanę tłumaczenie, zdecyduję, czy chcę sprzedać księgę, czy nie, bez względu na to, czy poznam nazwisko tajemniczego kolekcjonera. A teraz może mi wreszcie powiesz, gdzie się podziewałeś przez cały ten czas?

- Odwiedzałem stryja we Włoszech. Potem musiałem wygłosić wykład w British Museum. Z Londynu poleciałem do Niemiec, rzucić okiem na aramejski tekst, który mam tłumaczyć dla Uniwersytetu Berlińskiego, a z Berlina do Berna, na spotkanie ze znajomą imieniem Afdera...

W tym momencie Afdera zerknęła na zegarek.

- Och, zostało mi niewiele czasu. Muszę się spakować, żeby zdążyć na samolot do Wenecji. Może pójdziesz ze mną na górę i mi pomożesz?

- Chciałbym, ale najpierw muszę zatelefonować do kilku osób.

Potem, jak chcesz, odwiozę cię na lotnisko.

- Dobrze, więc innym razem. Nie ma potrzeby, żebyś mnie odwoził. Jestem dużą dziewczynką i dam sobie radę. Nie kłopotz się.

- Ale to żaden kłopot. Raczej przyjemność.

- Nie wiem, Max. Gdyby rzeczywiście tak było, nie trzymałbyś mnie ciągle na dystans.

- Kiedyś zrozumiesz, dlaczego to robię. Ale na razie zostawmy wszystko tak, jak jest.

- Jesteś żonaty?

- W pewnym sensie. Chociaż tu nie chodzi o kobietę. Nie mówmy o tym. Ale nie chciałbym, żebyś przez to straciła do mnie zaufanie - powiedział, wyciągając ku niej rękę.

- Muszę iść - rzuciła Afdera, odsuwając się nieco.

Jednakże zanim odeszła, wspięła się na palce i leciutko, prawie niewinnie musnęła wargami usta Kronauera. Żałowała, że odrzucił jej propozycję, ale ostatecznie nie zamierzała niczego na siłę przyspieszać. „Wszystko w swoim czasie”, powtarzała babka.

Wszystko w swoim czasie, pomyślała Afdera. Tyle że, niestety, trudno było przewidzieć, kiedy się znowu zobaczą.

Kilka godzin później znajdowała się już na pokładzie samolotu linii Swissair, lecącego do ukochanej Wenecji, gdzie czekał na nią bezpieczny dom, a w nim jedyna siostra. Afdera miała jej wiele do opowiedzenia.

Watykan

Sekretariat Stanu, słucham?

- Chciałbym mówić z ojcem Mahoneyem, osobistym sekretarzem kardynała Lienarta - oświadczył Aguilar.

Oczekiwanie dłużyło się dyrektorowi Fundacji Helsinga w nieskończoność, ale w końcu po drugiej stronie linii odezwał się głos Mahoneya.

- Witam, panie Aguilar.

- Prosiłem o połączenie z ojcem, ale w gruncie rzeczy wolałbym porozmawiać osobiście z Jego Eminencją kardynałem Lienartem.

- Jego Eminencja życzy sobie, żebym to ja zajmował się tą sprawą, dlatego, panie Aguilar, nie pozostaje panu nic innego, niż zadowolić się mną. Zdaję sobie sprawę, że nie darzy mnie pan specjalną sympatią. Wzajemnie. Nie znoszę ludzi aż tak skupionych na pieniądzach. Jak dla mnie, jest pan bezbożną szumowiną, ale rozkaz pozostaje rozkazem, dlatego zamierzam w razie potrzeby pofatygować się za panem do samutkiego piekła i...

- Ale... - spróbował się wtrącić Aguilar.

- Proszę mi nie przerywać, jeszcze nie skończyłem. Bo są dwie rzeczy, które musimy sobie wyjaśnić, zanim przystąpimy do dalszej rozmowy. Po pierwsze, jeśli panu albo Delmerowi Wu przyjdzie do głowy, żeby oszukać mnie, Jego Eminencję, Ojca Świętego albo Kościół, będziemy zmuszeni zastosować odpowiednie środki, a zapewniam pana, że ręka Boga, choć niewidzialna, każe skutecznie. Po drugie, jeżeli odkryję, że przywłaszczył pan sobie część pieniędzy przelanych na szwajcarskie konto przez Delmera Wu, osobiście zażądam od pana wyjaśnień, a tego by pan wolał uniknąć...

- Nie mogę ręczyć za Delmera Wu, co do mnie jednak, nie potrafiłbym działać na szkodę Kościoła. Jestem katolikiem i wiernym sługą Jego Eminencji kardynała Lienarta. Ręka Boga każe skutecznie, ale ręka Jego Eminencji jeszcze skuteczniej, co do tego nie mam cienia wątpliwości - odrzekł dyrektor Fundacji Helsinga.

- Doskonale, więc się rozumiemy. Teraz, gdy już sobie wszystko wyjaśniliśmy, proszę mi powiedzieć, jak tam negocjacje z panną Brooks, żebym jeszcze dzisiaj mógł zdać relację kardynałowi.

- Wczoraj wieczorem przedstawiłem pannie Brooks ofertę kupna księgi za dziesięć milionów dolarów. Panna Brooks postawiła sześć warunków.

- Jakich?

- Po pierwsze, księga ma trafić do fundacji, która udostępni ją uczonym z całego świata. Po drugie, powinna być wypożyczana różnym muzeom. Po trzecie, panna Brooks i jej siostra zastrzegają sobie prawo do śledzenia jej losów. Po czwarte, uzgodniona do zapłaty suma dziesięciu milionów dolarów musi zostać przelana za jednym razem na wskazane przez pannę Brooks konto w szwajcarskim banku. Po piąte, transakcja dojdzie do skutku nie prędzej, niż zakończą się prace renowacyjne i translatorskie.

Po szóste, cała dokumentacja dotycząca prac renowacyjnych oraz wszystkie wykonane podczas tych prac kopie poszczególnych stron księgi zostaną w Fundacji Helsinga. Panna Brooks oświadczyła, że w razie przyjęcia jej warunków jest gotowa sprzedać Ewangelię Judasza. W takim wypadku szczególnie należy uzgodnić z jej adwokatem, jakimś Sampsonem Hamiltonem.

- To wszystko? - spytał Mahoney.

- To wszystko.

- Jeszcze dzisiaj dam panu znać, co na to kardynał. Proszę czekać na mój telefon i nie wykonywać wcześniej żadnych ruchów, czy to jasne?

- Jak słońce.

- Do usłyszenia, panie Aguilar.

- Do usłyszenia.

Odłożywszy słuchawkę, dyrektor syknął przez zęby:

- A to drań. Jeszcze się policzymy, drogi ojciec Mahoney. Mam nadzieję, że nawet niedługo.

Tymczasem Mahoney telefonował już do sekretarki Lienarta.

- Siostrze Ernestine, tu ojciec Mahoney.

- W czym mogę pomóc?

- Muszę jak najszybciej porozmawiać z kardynałem. To naprawdę pilne.

- Jego Eminencja jest bardzo zajęty redagowaniem listu duszpasterskiego, który w ciągu tygodnia należy przedstawić do zatwierdzenia Jego Świątobliwości. Potem musi jeszcze przygotować plan spotkania Ojca Świętego z premierem Kanady.

Nie wiem, czy zdoła wygospodarować dziś dla ojca choć trochę czasu.

- Siostrze Ernestine, proszę przekazać Jego Eminencji, że chodzi o Berno. Kardynał zrozumie.

- Zaraz to zrobię.

Pół godziny potem ciszę panującą w gabinecie ojca Mahoneya zakłócił dzwonek telefonu.

- Tak, słucham? Ojciec Mahoney przy aparacie.

- Tu siostra Ernestine. Jego Eminencja przyjmie ojca u siebie w gabinecie za piętnaście minut.

- Dziękuję, siostrze Ernestine.

Idąc na spotkanie z kardynałem, Emery Mahoney usiłował

sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły raportu Aguilara

- Ale... - spróbował się wtrącić Aguilar.

- Proszę mi nie przerywać, jeszcze nie skończyłem. Bo są dwie rzeczy, które musimy sobie wyjaśnić, zanim przystąpimy do dalszej rozmowy. Po pierwsze, jeśli panu albo Delmerowi Wu przyjdzie do głowy, żeby oszukać mnie, Jego Eminencję, Ojca Świętego albo Kościół, będziemy zmuszeni zastosować odpowiednie środki, a zapewniam pana, że ręka Boga, choć niewidzialna, każe skutecznie. Po drugie, jeżeli odkryję, że przywłaszczył pan sobie część pieniędzy przelanych na szwajcarskie konto przez Delmera Wu, osobiście zażądam od pana wyjaśnień, a tego by pan wolał

uniknąć...

- Nie mogę ręczyć za Delmera Wu, co do mnie jednak, nie potrafiłbym działać na szkodę Kościoła. Jestem katolikiem i wiernym sługą Jego Eminencji kardynała Lienarta. Ręka Boga każe skutecznie, ale ręka Jego Eminencji jeszcze skuteczniej, co do tego nie mam cienia wątpliwości - odrzekł dyrektor Fundacji Helsinga.

- Doskonale, więc się rozumiemy. Teraz, gdy już sobie wszystko wyjaśniliśmy, proszę mi powiedzieć, jak tam negocjacje z panną Brooks, żebym jeszcze dzisiaj mógł zdać relację kardynałowi.

- Wczoraj wieczorem przedstawiłem pannie Brooks ofertę kupna księgi za dziesięć milionów dolarów. Panna Brooks postawiła sześć warunków.

- Jakich?

- Po pierwsze, księga ma trafić do fundacji, która udostępni ją uczonym z całego świata. Po drugie, powinna być wypożyczana różnym muzeom. Po trzecie, panna Brooks i jej siostra zastrzegają sobie prawo do śledzenia jej losów. Po czwarte, uzgodniona do zapłaty suma dziesięciu milionów dolarów musi zostać przelana za jednym razem na wskazane przez pannę Brooks konto w szwajcarskim banku. Po piąte, transakcja dojdzie do skutku nie prędzej, niż zakończą się prace renowacyjne i translatorskie.

Po szóste, cała dokumentacja dotycząca prac renowacyjnych oraz wszystkie wykonane podczas tych

prac kopie poszczególnych stron księgi zostaną w Fundacji Helsinga. Panna Brooks oświadczyła, że w razie przyjęcia jej warunków jest gotowa sprzedać Ewangelię Judasza. W takim wypadku szczegóły należy uzgodnić z jej adwokatem, niejakim Sampsonem Hamiltonem.

- To wszystko? - spytał Mahoney.

- To wszystko.

- Jeszcze dzisiaj dam panu znać, co na to kardynał. Proszę czekać na mój telefon i nie wykonywać wcześniej żadnych ruchów, czy to jasne?

- Jak słońce.

- Do usłyszenia, panie Aguilar.

- Do usłyszenia.

Odłożywszy słuchawkę, dyrektor syknął przez zęby:

- A to drań. Jeszcze się policzymy, drogi ojciec Mahoney. Mam nadzieję, że nawet niedługo.

Tymczasem Mahoney telefonował już do sekretarki Lienarta.

- Siostrze Ernestine, tu ojciec Mahoney.

- W czym mogę pomóc?

- Muszę jak najszybciej porozmawiać z kardynałem. To naprawdę pilne.

- Jego Eminencja jest bardzo zajęty redagowaniem listu duszpasterskiego, który w ciągu tygodnia należy przedstawić do zatwierdzenia Jego Świątobliwości. Potem musi jeszcze przygotować plan spotkania Ojca Świętego z premierem Kanady.

Nie wiem, czy zdoła wygospodarować dziś dla ojca choć trochę czasu.

- Siostrze Ernestine, proszę przekazać Jego Eminencji, że chodzi o Berno. Kardynał zrozumie.

- Zaraz to zrobię.

Pół godziny potem ciszę panującą w gabinecie ojca Mahoneya zakłócił dzwonek telefonu.

- Tak, słucham? Ojciec Mahoney przy aparacie.

- Tu siostra Ernestine. Jego Eminencja przyjmie ojca u siebie w gabinecie za piętnaście minut.

- Dziękuję, siostrze Ernestine.

Idąc na spotkanie z kardynałem, Emery Mahoney usiłował

sobie przypomnieć najdrobniejsze szczegóły raportu Aguilara i poukładać wszystko w głowie. Lienart nie znosił u swoich pracowników niezdecydowania, dlatego należało się przygotować, biorąc pod uwagę rozmaite warianty przebiegu rozmowy. Przed drzwiami gabinetu kardynała stało dwóch członków Gwardii Szwajcarskiej. Na widok Mahoneya usunęli się z szacunkiem.

To jedna z zalet bycia zaufanym sługą tak wpływowej osoby, pomyślał Mahoney.

Z gabinetu dobiegały dźwięki uwertury do „Carmen” Bizeta.

Po rodzaju słuchanej przez kardynała danego dnia muzyki można było poznać, w jakim nastroju jest Lienart.

- Śmiało, proszę do środka - rzekł teraz zza swojego biurka.

Mahoney wszedł i skierował się w stronę dwóch wygodnych sof stojących pod oknem z widokiem na plac Świętego Piotra.

Lienart nanosił ostatnie poprawki na wspomniany przez siostrę Ernestine list duszpasterski.

- Mam nadzieję, że ten przybędą ze Wschodu będzie umiał

docenić siłę mojej wiary i talent oratorski. Chociaż wątpię - dodał, siadając na sofie obok Mahoneya. - À propos, Jego Świątobliwość zgodził się osobiście poprowadzić ceremonię mianowania cię na biskupa.

- Bardzo się cieszę, choć oczywiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby przyjąć insygnia z rąk Jego Eminencji.

-A kimże ja jestem w porównaniu z Ojcem Świętym?

Przemawiająca przez ciebie skromność, bracie Mahoney, to rzadki dar. Jednakże taka skromność, drogi bracie, często graniczy z hipokryzją. Nie, będę obstawał przy swoim. Zresztą decyzja zapadła. Poza tym ceremonie to specjalność naszego drogiego papieża. Ja wolę stać z tyłu, oliwić maszynę...

- Ale, eminencjo, przecież Jego Świątobliwość..

- Jego Świątobliwość zasiadł na tronie Piotrowym dzięki mnie i popatrz, jak mi się odwdzięcza: wykonuję czarną robotę, podczas gdy inni, znacznie mniej zasłużeni, opływają w zaszczyty. Ale, jak mawiał święty Augustyn, *etsi homines falles, Deum tarnen fallere non poteris*, Boga nie oszukasz.

- Doszły mnie słuchy, że ostatnimi czasy zdrowie Jego Świątobliwości szwankuje...

- Kto tak mówi?

- Podobno sam doktor Niccollò Caporello.

- Od kogo to słyszałeś?

- Od Korybanta - mruknął Mahoney, określając tym mianem ojca Eugenia Benigniego, działającego w łonie Kongregacji do spraw Wiary agenta papieskiego kontrwywiadu.

- Informacje pochodzące od Korybanta zwykle odpowiadają prawdzie. Może powinniśmy się głębiej zastanowić nad sytuacją albo nawet dopomóc przeznaczeniu... Zmiana na lepsze zaczyna się od uświadomienia sobie istniejących niedoskonałości. Kto wie, czy w najbliższych miesiącach nie przyjdzie nam zwołać kolejnego konklawe... - Kardynał uśmiechnął się, puszczając do Mahoneya oko i zapalił hawańskie cygaro.

- Czy sugeruje eminencja, że stan zdrowia Jego Świątobliwości jest aż tak zły?

- Czas pokaże, drogi bracie, czas pokaże. *Nisi credideritis, non intelligetis**. Jak już powiedziałem, zawsze można trochę dopomóc przeznaczeniu. Kościół potrzebuje twardej ręki, a nie łagodnego pasterza. Ale do rzeczy, co słyhać w Bernie?

- Rozmawiałem z Renardem Aguilarem. Przedstawił ofertę pannie Brooks, ona jednak postawiła szereg warunków.

- Jakież to warunki?

Mahoney wymienił sześć wymogów Afdery.

- Powiemy pannie Brooks, że się zgadzamy. Zresztą pierwszy z jej warunków spełnimy: ściągniemy księgę do Watykanu. Tyle że nie po to, by ją komukolwiek udostępniać, lecz by ją zniszczyć.

Ani panna Brooks, ani jej siostra nigdy więcej o niej nie usłyszą.

Aguilar przekaże nam cały dokumentujący renowację materiał, który również zniszczymy. Ostatecznie mogę przystać na przela nie pannie Brooks od razu całej sumy. To rozsądne żądanie. Cóż, *Roma locuta, causa finita*.

Kiedy Mahoney zbierał się już do odejścia, Lienart go zatrzymał.

* *Nisi credideritis, non intelligetis* (łac.) - Pokąd nie uwierzysz, nie zrozumiesz.

- À propos, ojcie Mahoney, sądzę, że ktoś z Kręgu powinien dać nauczkę tym, którzy próbują nadawać znaczenie słowom Judasza. Skoro tak bardzo im zależy na słowach zdrajcy, muszą się liczyć z ryzykiem.

- Komu mam zlecić tę misję, eminencjo?

- Może ojcu Corneliusowi i ojcu Alvarado? Tobie, bracie Mahoney, pozostawiam wybór celu. A teraz wybacz, muszę skoń-

czyć ten list.

- Oczywiście, eminencjo, do widzenia.

- Do widzenia, drogi bracie Mahoney. Nie zapominaj informować mnie o wszystkim na bieżąco.

- Oczywiście, eminencjo.

Pozostawiony samemu sobie Lienart pogrążył się w rozmyślaniach nad planem, który podczas właśnie odbytej rozmowy zakieł-

kował w jego umyśle. Gdyby odpowiednio pociągnąć za sznurki

- a w tym był wszak mistrzem - władza nad Kościołem przeszłaby wreszcie w odpowiednie ręce. Przed wieczorem intryga była gotowa. Do jej realizacji kardynał August Lienart potrzebował dyskretnego współpracownika, najlepiej w osobie agenta Korybanta.

Thun, 25 kilometrów na południe od Berna Co wieczór po wyjściu z laboratoriów Fundacji Helsinga przy Freiburgstrasse papirolog Werner Hoffman wsiadał do swego bmw i ruszał autostradą numer sześć na południe.

Powtarzało się to dzień w dzień, bez zmian, aż do tego zimowego wieczoru.

Było bardzo zimno, a w radiu uprzedzono o pogorszeniu pogody. Cornelius i Alvarado, pilnujący wyjścia z gmachu, siedzieli w samochodzie z włączonym silnikiem i ogrzewaniem nastawionym na maksimum.

O dziewiątej wieczorem ujrzeli Hoffmana, w kożusku i bawarskim kapeluszu na głowie. Mimo odległości i mroku Alvarado próbował oszacować posturę ofiary.

- Musi ważyć ze sto kilogramów - mruknął, wyjmując z czarnej teczki niewielką fiolkę, którą następnie wsunął do kieszeni płaszcza razem z jednorazową strzykawką.

Werner Hoffman wsiadł do samochodu i wkrótce potem zjechał na autostradę numer 6, kierując się jak zwykle na południe, śledzony z bliska przez inne auto. Ojciec Cornelius obserwował go od kilku ładnych dni, co przychodziło mu bez większego trudu, jako że Hoffman nie zachowywał żadnych środków ostrożności. Od lat żonaty ze słynną pianistką, ojciec trojga dzieci, codziennie odwiedzał swoją kochankę mieszkającą w miasteczku Thun położonym dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Berna.

Opuszczał autostradę zjazdem numer cztery i przystawał

na stacji benzynowej w Viehweid. Tam tankował, jeśli zachodziła taka potrzeba, wypijał filiżankę gorącego rosółu, kupował butelkę szampana i ruszał dalej. Cornelius miał to wszystko zapisane w niewielkim czarnym notesie.

- Mógłbym śledzić tego typu z zamkniętymi oczami.

- Kiedy się zatrzyma na stacji, zaparkuj gdzieś niedaleko.

Spuszczę mu powietrze z dwóch kół, tak dużo, żeby musiał

się tym zająć. Wtedy wkroczymy do akcji i zaproponujemy mu pomoc.

- Mam wysiąść i odciągnąć jego uwagę?

- Nie. Na stacji są kamery, nie możemy ryzykować.

- Nie ma żadnego ryzyka - oświadczył Cornelius.

- Jak to?

- Bo to atrapy. Niby świecą się w nich zielone światelka, ale nie zauważyłem żadnych kabli. Właściciel najwyraźniej postanowił zaoszczędzić. Takie kamery obsługuje zwykle jakaś prywatna firma ochroniarska, oczywiście za słoną opłatą. Wiem, co mówię.

Te kamery służą bardziej zapobieganiu przestępstwom niż ściganiu ich sprawców.

- Szczęście sprzyja przygotowanym.

Kawałek przed zjazdem numer cztery prawy kierunkowskaz bmw Hoffmana zamrugał. Zgodnie z przewidywaniami Corneliusa samochód skręcił w prowadzącą do Viehweid Viehweidstrasse, a w miasteczku zwolnił i zatrzymał się na parkingu przy stacji benzynowej.

Auto zabójców, z wyłączonymi światłami, stanęło kawałek dalej. Kiedy Hoffman zniknął w sklepie, Alvarado przemknął pod osłoną ciemności w stronę bmw i przycisnął szpikulcem główkę wentyla, spuszczając trochę powietrza z dwóch prawych kół.

- Zwykle nie siedzi w środku dłużej niż pięć minut - rzekł

Cornelius, gdy jego towarzysz wrócił do samochodu.

Czekali w aucie. Pięć minut później Werner Hoffman pojawił

się znowu, niosąc jakieś torby. Rzucił je z tyłu, uruchomił samochód i wrócił na autostradę.

Na wysokości Stockeren zauważył, że coś jest nie tak z kołami.

- Niech to szlag! Chyba złapałem gumę.

Włączył światła awaryjne i stanął na poboczu. Klnąc pod nosem, wysiadł z samochodu, okrążył go i obejrzał prawą stronę. Miał kaptur. I to podwójnego. Jedno koło mógł wymienić, ale po drugie musiał zadzwonić do pomocy drogowej.

Zły jak szerszeń zabrał się do podnoszenia auta lewarkiem, kiedy za plecami usłyszał odgłos hamowania.

- Może pomóc? - spytał mężczyzna siedzący po stronie pasażera.

- Jeśli pan tak uprzejmy... - odrzekł Hoffman. - Przebiłem sobie dwa koła, a wożę ze sobą tylko jedno zapasowe.

- Jeśli pan chce, moglibyśmy pożyczyć panu nasze. Z tego, co widzę, mamy bardzo podobne modele bmw. Potem podjecha-libyśmy do mechanika w Thun.

- Serio?

- Oczywiście. Ostatecznie jedziemy w tym samym kierunku, a Thun jest niedaleko.

Zaparkowali zaraz za autem Hoffmana. Cornelius pomagał

mu odkręcić przednie koło, podczas gdy jego towarzysz wyjmował z bagażnika zapasowe. Później, gdy oba zostały zmienione, Alvarado patrzył przez chwilę na dwóch gawędzących przyjaź-

nie, odwróconych do niego tyłem mężczyzn. Następnie zbliżył

się do Hoffmana i błyskawicznym ruchem wbił mu strzykawkę w kark.

Werner Hoffman spojrzał na napastnika głęboko zdumiony, nic nie rozumiejąc. Zabójcy usadzili go na siedzeniu pasażera i przypięli pasami bezpieczeństwa.

Mocna substancja rozluźniająca mięśnie od razu zrobiła swoje.

- Takiej dawki nie powinni wykryć w wątrobie - powiedział

Alvarado. - A teraz zbierajmy się stąd, zanim ktoś coś zauważy

i ściągnie policję.

Dwa auta skierowały się teraz ku Schaufel, gdzie było jezioro, o tej porze roku pokryte niezbyt grubą warstwą lodu. Alvarado prowadził bmw Hoffmana, którego twarz, zwrócona w stronę kierowcy, miała tępy wyraz, prawdopodobnie wskutek działania wstrzykniętej substancji. Jednakże w oczach ofiary malowało się pytanie: dlaczego?

Po półgodzinie samochody stanęły w zagajniku na północnym brzegu jeziora. Ojciec Alvarado zszedł nad wodę i czubkiem buta dotknął lodu.

- Na pewno nie wytrzyma ciężaru auta. Wprost idealne miej sce - stwierdził.

Przesadzili Wenera Hoffmana na fotel kierowcy. Jego ciało przypominało worek piasku. Nie był w stanie wyartykułować nawet słowa, ale żył, o czym świadczyły łzy płynące mu po policzkach. Już rozumiał. Jeden z zabójców wyjął z kieszeni wycięty z materiału ośmiokąt i rzucił go na tylne

siedzenie bmw, wypowiadając tradycyjną formułę.

Alvarado przestawił dźwignię biegów, przekręcił kluczyk w sta-cyjce i zwolnił ręczny hamulec. Samochód zaczął powoli wjeżdżać na lód, który natychmiast pękł. Chwilę później z jeziora wystawał już jedynie tył auta z widoczną wyraźnie tablicą rejestracyjną.

Unieruchomiony Werner Hoffman czuł, jak lodowata woda sięga mu kolan, pasa, piersi i wreszcie brody. Potem zalała mu głowę.

Zabójcy stali na brzegu, czekając, czy aby nie wypłynie. Potem wsiedli do swojego samochodu i zawrócili w kierunku Berna.

Po drodze zatrzymali się przy budce telefonicznej i Alvarado wybrał numer zamiejscowy.

- *Fructum pro fructo* - powiedział.

- *Silentium pro silentio* - odparł ojciec Mahoney.

- Misja wykonana.

Podczas dalszej jazdy Cornelius i Alvarado milczeli, aż w końcu ten pierwszy rzucił:

- Ciekawe, czy bardzo cierpiał.

- Nie sądzę. W jego stanie agonia nie mogła być długa.

- Zastanawia mnie, kiedy do niego dotarło, że umrze.

- Drogi bracie, człowiek do końca odmawia pogodzenia się z faktem, że Bóg mu jednak nie pomoże. Zwłaszcza człowiek wierzący, jak w wypadku pana Hoffmana - odrzekł ojciec Alvarado, uśmiechając się nieprzyjemnie.

- *Palmam qui meruit ferat** - szepnął ojciec Cornelius.

* *Palmam qui meruit ferat* (łac.) - Chwała niech przypadnie w udziale temu, kto na nią zasługuje.

VIII

Wenecja

Ej, wstawaj, śpiochu! - zawołała Assai, wskakując na łóżko Afdery.

- Och, daj mi pospać. Chyba należy mi się trochę odpoczynku po podróży...

- Wstawaj, mówię. Rosa przygotowała ci królewskie śniadanie.

Jak wiesz, nie traci nadziei, że cię utuczy. A ty masz mi dużo do opowiedzenia. Szczególnie o tym przystojniaku z pogrzebu babci... - Assai uśmiechnęła się, rozsuwając grube zasłony.

- Akurat w tej kwestii nie mam nic do opowiadania - mruknęła Afdera, zwlekając się niechętnie z łóżka.

- Znaczy, że jeszcze się z nim nie przespałaś.

- Nie. Obawiam się, że on ma z tym jakiś problem - zawołała Afdera już z łazienki.

- Może jest impotentem i wstydzi się przyznać.

- Nie sądzę. A jak tam sprawy między tobą a Sampsonem?

- Poprosił mnie o rękę - oznajmiła Assai, wsuwając do łazienki dłoń z wielkim oprawnym w platynę brylantem na palcu.

- Och, siostrzyczko, tak się cieszę!

W doskonałych humorach zeszły na śniadanie. Na wielkim stole, zza którego rozciągał się wspaniały widok na Canal Grande, Rosa ułożyła ciepłe bułeczki, świeżutki chleb, słone masło, szynkę parmeńską, parmezan, sycylijskie pecorino i *canestraio puglie-se*. Obok stały karafki z sokiem pomarańczowym i dzbanek z kawą.

- Zawsze strasznie mi zimno w tym domu. Dlaczego nie włą-

czysz ogrzewania? - poskarżyła się Afdera, owijając się w gruby wełniany koc.

- Lubię zimno i wilgoć. Babcia też lubiła. No, opowiadaj o Egipcie.

Afdera rozpoczęła więc obszerną relację z tego, co się zdarzyło, skupiając się głównie na swoich rozmowach z Lilianą Ransom, Abdelem Gabrielem Sayedem i Rezekiem Badanim oraz na podró-

ży do Berna i spotkaniu z Aguilarem oraz ekipą naukowców pracujących nad Ewangelią Judasza. Pomięła milczeniem niedoszły gwałt, zabójstwo Liliany i atak na Badaniego.

- Musimy we dwie zdecydować, co chcemy zrobić z księgą.

Jeśli chcesz, możemy ją zatrzymać... - zakończyła.

- A ty co myślisz?

- Wiesz, że mam w tej sprawie tylko połowę głosów. Ale sądzę, że powinniśmy sprzedać Ewangelię jakiejś instytucji, która udostępniłaby ją badaczom. Ewentualnie mecenasowi, który przekazałby ją takiej instytucji. Fundacja Helsinga proponuje nam osiem milionów dolarów. Cztery dla mnie, cztery dla ciebie.

- Szczerze mówiąc, na pieniądzech mi nie zależy. Martwię się natomiast, żeby księga nie trafiła w ręce typa, który schowa ją do sejfu. Jeśli jednak dostaniemy gwarancję, że tak się nie stanie, a ty uważasz, że manuskrypt trzeba sprzedać, to go sprze-dajmy. Nie ma na co czekać - powiedziała Assai.

- Kochana jesteś - oświadczyła Afdera, wstając z sofy, na której siedziała skulona, i cmokając siostrę w czoło.

- A dokąd się teraz wybierasz? - spytała Assai.

- Muszę zadzwonić w parę miejsc - odrzekła Afdera, znikając już za drzwiami i zmierzając do biblioteki, ze szklanką soku w jednej ręce i gorącym croissantem w drugiej.

- Tylko tyle zje panienka na śniadanie? - zdenerwowała się na jej widok Rosa.

- Owszem, Roso, tylko tyle. Nie chcę za bardzo utyc przed trzydziestym piątym rokiem życia.

W bibliotece na piętrze, ozdobionej „Madonną z dzieciątkiem”

Vivariniego oraz „Biczowaniem” Signorel ego, Crescentia Brooks zwykła niegdyś spędzać długie godziny, przeglądając dokumenty, pisząc listy i rozmawiając przez telefon. Pełno tu było wspomnień po babce. Assai twierdziła nawet, że czasem słyszy w bibliotece kroki, choć wie, że nikogo tam nie ma.

Usadowiona w wygodnym, obitym brązową skórą fotelu i okryta wełnianym kocem Afdera metodycznie wypisała na kartce nazwiska osób, do których musiała zadzwonić. Na początku listy umieściła Sabine Hubert, wynotowując przy jej imieniu kwestie do poruszenia: „Metoda radiowęglowa. Tłumaczenie”.

Dalej figurował Renard Aguilar z dopiskiem: „Sprzedaż. Zapłata.

Kupiec?”. W następnej kolejności był Abdel Gabriel Sayed, którego Afdera zmierzała zapytać o pewien szczegół dotyczą-

cy księgi, nie zapominając przy tym dowiedzieć się o zdrowie rodziny. Na końcu chciała w miarę możliwości porozmawiać z Badanim, przy którego nazwisku zanotowała: „Tożsamość napastnika. Kto go nasłał? Colaianni+Eolande=Kalamatiano.

Zdrowie".

Przy dźwiękach rozbrzmiewającej z cicha symfonii Rachmaninowa wykręciła numer Fundacji Helsinga.

- Witaj, jak się masz? - spytała Sabine.

- Dziękuję, w porządku. Regeneruję się w domu, w Wenecji.

- Szczęściara! Też wolałabym być teraz w Wenecji niż tutaj

- westchnęła badaczka.

- Dlaczego? Coś się stało z księgą?

- Nie, z księgą nie. Ale... Pamiętasz Wenera? Wenera Hoffmana, naszego papirologa?

- Oczywiście, że pamiętam. Co z nim?

- Tego samego dnia, gdy się widziałyśmy, miał wypadek samochodowy. Wpadł do jeziora i się utopił.

Po plecach Afdery przebiegł zimny dreszcz.

- Jak do tego doszło?

- Berneńska policja twierdzi, że to wszystko bardzo dziwne, ponieważ tamto jezioro znajduje się jakiś kilometr od autostrady, którą jeździł Werner. Pytali nas nawet, czy nie zdradzał

w ostatnich czasach objawów przygnębienia albo skłonności samobójczych. Wyobrażasz sobie? To był najweselszy facet, jakiego znałam, i uwielbiał swoją pracę. Nie sądzę, żeby z własnej woli wjechał samochodem do lodowatego jeziora. Nie Werner.

- Myślisz, że ktoś mógł mu pomóc?

- Jak to?

- Zastanawiam się, czy ktoś mógł zepchnąć auto do jeziora.

- Co? W tym celu musiałby najpierw zatrzymać jego samochód, a Werner, jako człowiek ostrożny, nie stanąłby na drodze z powodu jakiejś obcej osoby. Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale przerażasz mnie, Afdero.

- Przepraszam, wybacz. Nie przejmuj się tym. Może rzeczywiście chodzi o zwykły wypadek. Kto z policji zajmuje się tą sprawą?

- Chyba jakiś komisarz Grüber, Hans Grüber, jeśli się nie mylę.

Z Wydziału Kryminalnego berneńskiej Staat Polizei. Jak chcesz, znajdę wizytówkę, którą mi zostawił i podam ci jego numer.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna - powiedziała Afdera.

Po chwili Sabine wróciła do telefonu.

- Mam. Notuj. Kierunkowy do Szwajcarii 41, do Berna 31, a dalej: 633 53 22.

- Dzięki.

- Po co chcesz do niego dzwonić?

- Muszę coś sprawdzić. Wyjaśnię ci, kiedy z nim porozmawiam. Obiecuję.

- Bardzo mnie zaniepokoiłaś. Nie rozumiem, dlaczego masz jakieś wątpliwości w związku z wypadkiem, który przecież zupeł-

nie ciebie nie dotyczy.

- Na razie powiedz mi, jak postępują prace nad księgą?

- O, świetnie. Etap renowacji mamy już prawie za sobą, podobnie jak datowanie metodą radiowęglową. Chcesz, żebym ci przesłała wyniki, czy zawołać do telefonu Johna? - spytała Sabine.

- I jedno, i drugie. Wyślij mi kopię raportu, ale z Fessnerem chętnie porozmawiam.

- Dobrze. Już go wołam. A propos, zastanawiałaś się, co zrobisz z księgą, kiedy skończymy nasze badania?

- Assai i ja postanowiłyśmy sprzedać Ewangelię Judasza kolekcjonerowi, który przekaze ją uniwersytetowi albo innej instytucji gwarantującej dostęp do niej naukowcom.

- Bardzo szlachetnie. Z punktu widzenia nauki to najlepsza decyzja, jaką mogłyście podjąć - oświadczyła Sabine Hubert, po czym przekazała słuchawkę Johnowi Fessnerowi, ekspertowi od datowania zabytków metodą radiowęglową.

- Afdera? Tu John Fessner.

- Witaj, John, jak tam? Opowiadaj, co ustaliliście.

- Słyszałaś o śmierci Wenera? To bardzo dziwne, nie sądzisz?

- Tak, słyszałam przed chwilą od Sabine. Jestem wstrząśnięta.

- My też. A co do księgi... Po pierwsze, musisz wiedzieć, że metoda radiowęglową to właściwie niezawodny sposób datowania starych znalezisk pochodzenia organicznego. Opiera się na pomiarze

ilości promieniotwórczego izotopu węgla akumu-lującego się w każdej żywej istocie w równym stopniu. Kiedy roślina lub zwierzę umiera, izotop ów zaczyna się rozpadać.

Średnio utrzymuje się przez 5740 lat, czyli, innymi słowy, w ciągu 5740 lat jego poziom systematycznie spada o połowę, co pozwala nam dość dokładnie ocenić wiek wielu obiektów W

przypadku księgi chodziło więc o to, by obliczyć, kiedy zostały ścięte papirusy, które wykorzystano na materiał piśmien-niczny. Dla potwierdzenia przeanalizowaliśmy też informacje dodatkowe.

- To znaczy?

- To znaczy pochodzenie włókien papirusowych, sposób ich obróbki, rodzaj oprawy i atramentu. Poddaliśmy badaniu próbki skórzanej okładki oraz kart środkowych. W pięcioro zdecydowali-

śmy, które to powinny być karty. Istniała możliwość, że poszczególne części dokumentu pochodzą z różnych okresów, dlatego należało przyjrzeć się bliżej wszystkim.

- Cudownie, ale czy mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, kiedy została napisana Ewangelia Judasza? Błagam...

- Och, przepraszam. Wiesz, my, ludzie nauki, lubimy wyłuszczać wszystko po kolei - mruknął z pewną irytacją Fessner. -

Z dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem możemy stwierdzić, że twoja księga powstała między rokiem 220 a 340 naszej ery.

- Czy możliwy jest jakiś błąd?

- Występują niewielkie wahania ilości interesującego nas izotopu, na przykład w okresie, gdy roślina znajduje się w fazie wzrostu, stąd konieczność kalibracji. Margines błędu zawsze istnieje, ale zapewniam cię, że jest tylko dwa i pół procenta szans na to, że księga została napisana przed 220 rokiem naszej ery, i tyleż samo na to, że napisano ją po roku 340.

- Wielkie dzięki, John. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna.

Mógłbyś dać mi jeszcze na chwilę Sabine? Muszę z nią zamienić słowo.

- Jasne, ale wcześniej chcieli z tobą porozmawiać Burt i Efraim

- powiedział Fessner.

- Cześć - odezwał się w słuchawce inny męski głos.

- Cześć. Mówię teraz z Burtem czy z Efraimem? - spytała Afdera.

- Z Efraimem, Efraimem Shemelem. Przekład jest prawie gotowy. Sądząc po archaicznym piśmie i formach językowych, można zakładać, że księga została spisana nie później niż w pierwszej ćwierci

piątego wieku naszej ery, a raczej na pewno sporo wcześniej. Dlatego spokojnie da się przyjąć, że stało się to koło 220 roku, kiedy wiele tekstów ważnych dla formującego się dopiero chrześcijaństwa rywalizowało o miejsce w kano-nie.

- Tak uważasz?

- To bardzo prawdopodobne. W takim wypadku Ewangelia Judasza powstałaby jeszcze przed urodzeniem cesarza Kon-stantyna, tego, który wydał edykt czyniący chrześcijaństwo oficjalną religią cesarstwa rzymskiego.

-John mówił, że księga może też pochodzić z początku czwartego wieku. Więc sama już nie wiem, co myśleć - odrzekła Afdera.

-Witaj, Afdero. Tu Burt Herman. Pozwól, że spróbuję roz-wiać twoje wątpliwości. John podał ci przedział czasowy zawarty między 220 a 340 rokiem naszej ery, dlatego musimy podchodzić do sprawy od dwóch stron. Efraim opiera się na przesłankach językowych, ja z kolei mam perspektywę religioznawcy. I z tej perspektywy jest bardzo mało prawdopodobne, by twoja księga została spisana po 325 roku, czyli po soborze nicejskim. Zresztą po 340 roku dokumenty papirusowe stają się bardzo rzadkie.

Biorąc to wszystko pod uwagę, można by przyjąć, że Ewangelia Judasza pochodzi mniej więcej z 280 roku naszej ery. Przy czym nie ulega wątpliwości, że to jedynie kopia wcześniejszego mniej więcej o wiek oryginału greckiego lub aramejskiego. Więc ostatecznie da się też założyć, że powstała zaledwie czterdzieści albo pięćdziesiąt lat po tym, jak Ireneusz z Lyonu potępił oryginalną Ewangelię Judasza w swoim dziele.

- A skąd właściwie wiadomo, że moja księga jest kopią? -

spytała Afdera.

- To więcej niż pewne. Twój dokument okazał się dużo starszy, niż przypuszczaliśmy, na pewno pochodzi z najwcześniejszego okresu rozwoju chrześcijaństwa, może nawet jest jednym z najstarszych zabytków piśmiennictwa chrześcijańskiego, jakimi dysponujemy. Jednakże uwagę moją i Efraima zwrócił fakt, że w tekście pojawiają się nieustanne odwołania do listu niejakiego Eliezera.

- Tak, słyszałam o nim. Kto to taki?

- Jeszcze nie wiemy. Ani kim był, ani jaką rolę odegrał w życiu Judasza Iskarioty. Niewykluczone, że z czasem uda nam się coś ustalić. Jak na razie z Ewangelii wynika tylko tyle, że Eliezer mógł być przywódcą jakiejś sekty albo kimś z bliskiego otoczenia Judasza.

- Może uczniem?

- Może. A wiesz, co to wszystko oznacza? Że Judasz Iskariota wcale się nie powiesił tamtej nocy po pojmaniu Chrystusa, w „pie-kle” doliny Hinnom. Kto wie, czy w początkach chrześcijań-

stwa nie działała przypadkiem potężna sekta głosząca, że zdrada Judasza została w istocie

zaplanowana przez samego Jezusa.

Wyobrazasz sobie Iskariotę jako wybrańca czczonego przez rzesze wiernych? Pomyśl, co by to oznaczało dla opartego na kulcie Piotra Kościoła rzymskiego...

-Więc naprawdę myślisz, że Eliezer mógł być uczniem Judasza?

- Twoja księga przypisuje tej tajemniczej postaci duże znaczenie. Kto wie, czy to nie ona stanowi klucz do wiedzy o początkach chrześcijaństwa i Kościoła...

- Burt, podziękuj wszystkim ode mnie. A teraz mogę jeszcze porozmawiać chwilę z Sabine? Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, zanim skończycie.

- Ja też. Daję ci Sabine. Na razie.

- Halo? Afdera?

- Posłuchaj, Sabine, przepraszam w moim imieniu Johna? Nie mogłam się doczekać, aż mi poda datę, i mogłam być trochę niemila.

- W porządku, niczym się nie przejmuj. Naukowcy lubią przy-nudzać, wyjaśniając wszystko od zarania dziejów - szepnęła konspiracyjnie Sabine.

- Poza tym chciałam cię prosić, żebyś jak najszybciej przesłała mi kopię raportu.

- Jeszcze dzisiaj wydobędę ją od Johna i wyślę ci do Wenecji.

- Dzięki. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Odwdzięczysz się, dzwoniąc do mnie po rozmowie z inspek-torem Grüberem i zdając mi sprawę z tego, czego się dowiesz o śmierci Wenera.

- Tak zrobię. Tylko... Sabine, uważaj na siebie, dobrze? Miej się na baczności, nikomu nie ufaj.

- Nie rozumiem.

- Niedługo ci wszystko wyjaśnię. Naprawdę uważaj i nie zapominaj mnie informować o postępach w pracy - pożegnała się Afdera.

Rozłączyła się, po czym ponownie wybrała numer Fundacji Helsinga, uznając, że im mniej Sabine będzie wiedziała o jej kontaktach handlowych z Aguilarem, tym ze względów bezpieczeństwa lepiej.

W słuchawce znów rozległ się głos recepcjonistki.

- Chciałabym mówić z panem Aguilarem. Raz jeszcze Afdera Brooks.

- Już łączę.

Nie trzeba było czekać długo.

- Witam, panno Brooks. Przypuszczam, że dzwoni pani, by mnie powiadomić, jaką podjęły panie decyzję w sprawie Ewangelii Judasza - odezwał się Aguilar.

- Owszem. Postanowiłyśmy przyjąć propozycję pańskiego tajemniczego kupca, jeśli, oczywiście, przedstawione przeze mnie warunki mu nie przeszkadzają. Bo żadne negocjacje nie wchodzi w grę. Nabywca księgi będzie musiał podpisać stosowne zobowiązanie i w razie jego niedopełnienia sprawa trafi do sądu, a my z Assai zażądamy zwrotu Ewangelii Judasza. Pieniądze oddamy, po odjęciu miliona dolarów na poczet poniesionych strat. Jeśli wszystko w porządku, skontaktuje się z panem nasz adwokat, Sampson Hamilton, który sfinalizuje transakcję. On też poda panu numer konta.

- Proszę, proszę... Wszystko sobie pani obmyśliła.

- Oczywiście. Niech pan przekaże swojemu klientowi, że jeśli dotrzyma słowa, wszystko pójdzie gładko. To wielka przyjemność robić z panem interesy, panie Aguilar.

- I wzajemnie, panno Brooks. Jestem zawsze do dyspozycji.

Może da się pani kiedyś zaprosić na mniej biznesową kolację?

- Przykro mi, ale nigdy nie mieszam sfery prywatnej z zawodową. Proszę zadbać, aby nie było żadnych komplikacji - ucięła temat Afdera.

Po chwili rzuciła jeszcze, zmieniając temat:

- To straszne, co się przydarzyło Wernerowi Hoffmanowi, prawda?

- Tak, to straszne. Był jednym z najlepszych papirologów.

Świat nauki poniósł wielką stratę. Autostrady zimą bywają bardzo zdradliwe.

- O, więc do wypadku doszło na autostradzie?

- Tak, podobno Werner jechał za szybko i stracił panowanie nad kierownicą.

- Dziwne. Ktoś mi chyba mówił, że znaleziono go spory kawałek od autostrady, w jeziorze.

- A, prawda. Rzeczywiście się utopił. Już zdążyłem zapomnieć.

Tak czy owak, to straszne.

- Owszem - zgodziła się Afdera, po czym zakończyła rozmowę.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, wspominając słowa Sampsona Hamiltona, odradzającego jej

zbytnią ufność wobec Aguilara i jego tajemniczej fundacji. Może adwokat miał rację?

Następny na liście osób do obdzwonienia był Abdel Gabriel Sayed. Afdera odszukała schowaną między stronicami dziennika Crescentii Brooks karteczkę z numerem telefonicznym urzędu pocztowego w Maghagha. Sayed nie miał w domu telefonu.

- Halo? Halo? - zabrzmiało po drugiej stronie linii.

- Muszę się skontaktować z Abdelem Gabrielem Sayedem.

Dzwonię z Włoch.

- Proszę poczekać. Wyślę kogoś po jego żonę. Zaraz. Afdera słyszała, jak urzędnik wydaje po arabsku polecenia. Wreszcie po dłuższej chwili dobiegł ją głos Binnaz Sayed.

- Afdera? To ty?

- Tak, Binnaz. Tu Afdera. Chciałabym porozmawiać z twoim mężem.

- Abdel nie żyje... - zaszlochała Binnaz.

Afdera zmartwiała. Abdel umarł? Przecież całkiem niedawno oglądał wraz z nią jaskinię w okolicach Gebel Qarara.. Nie, było niemożliwe.

- Jak to: nie żyje? - wybełkotała.

- Został zabity, kiedy wracał z Gizy - odrzekła Binnaz, bezskutecznie walcząc z płaczem.

- Binnaz... Binnaz, proszę, spróbuj się uspokoić i opowiedz mi wszystko po kolei.

- Policja mówi, że zgodził się zabrać kogoś ze stacji benzynowej w Bibie. Wiesz, jaki był uczynny. Tamci okazali się złodziejami, Abdel pewnie się bronił, więc go zabili, sądząc, że wiezie coś wartościowego.

Afdera usiłowała zachować zimną krew, ale z trudem chwytła oddech.

- Wiadomo coś jeszcze?

- Zdajesz sobie sprawę, jak to u nas jest. Nie ma środków na śledztwo z prawdziwego zdarzenia. Od jednego z zatrudnionych w policji przyjaciół Abdela słyszałam, że jakiś świa-dek widział go zabierającego ze stacji dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na cudzoziemców. Jeden był podobno bardzo wysoki, atletycznej budowy. I to tyle.

- Dostaliście z powrotem samochód? - spytała tknięta nagłą myślą Afdera.

- Nie. Jeszcze szukają śladów. Potem chyba go sprzedam.

Po co mi samochód? Natomiast oddali mi już rzeczy Abdela.

- Coś zwróciło twoją uwagę?

- Jak to?

- Nie było wśród tych rzeczy nic, co wydałoby ci się dziwne?

- Szczerze mówiąc, wciąż nie mam odwagi otworzyć tego pudełka. Gdy tylko na nie spojrzę, zaczynam płakać.

- A otworzyłabyś je teraz? Muszę wiedzieć, co jest w środku.

- Dlaczego?

- Trzeba coś sprawdzić.

-Co?

- Mogłabyś sprawdzić, czy między rzeczami Abdela nie ma przypadkiem ośmiokąta z materiału?

- Czego?

- Wyciętego w taki kształt kawałka materiału. Z napisem po łacinie.

- Kiedy do mnie zadzwonisz?

- Nie warto zwlekać, więc najlepiej poczekam przy telefonie.

- Dobrze. Wyślę syna po to pudełko. Nie rozłączaj się.

- Nie zamierzam.

Przez kilka minut w słuchawce panowało milczenie. Afdera rozmyślała gorączkowo. Najpierw, bo przed laty, śmierć Boutrosa Reyko, potem atak na Badaniego, dziwne zabójstwo Liliany, jeszcze dziwniejszy wypadek Wernera Hoffmana, i wreszcie niespodziewany mord na Abdelu. A jeśli to wszystko się ze sobą łączyło? Żeby się o tym przekonać, należało sprawdzić, czy przy każdej ofierze znaleziono ośmiokąt. Na leżącej pod ręką kartce wypisała nazwiska; przy Boutrosie Reyko postawiła krzyżyk, przy Rezeku Badanim też, przy Lilianie Ransom - znak zapytania, podobnie jak przy Wernerze Hoffmannie. Co do Abdela Gabriela Sayeda...

- Afdera, jesteś tam? - odezwała się Binnaz.

- Tak, jestem. Masz to pudełko?

- Tak, syn mi przyniósł. Już je otwieram. Muszę przeciąć sznurek.

Sekundy oczekiwania, kiedy Binnaz przeszukiwała rzeczy męża, dłużyły się Afderze w

nieskończoność.

- Jest - powiedziała nagle wdowa po Abdelu. - Miałaś rację.

Skąd wiedziałaś? Znalazłam ośmiokątny kawałek materiału z wypisanym w środku zdaniem w języku, którego nie rozumiem.

- W imię Boga gotów na męki - wyszeptała Afdera, stawiając krzyżyk przy nazwisku Sayeda.

Teraz już naprawdę się bała. Nie ulegało wątpliwości, że przynajmniej między zabójstwami Boutrosa Reyko i Abdela Gabriela Sayeda oraz napadem na Rezeka Badaniego był bezpośredni związek. Należało jeszcze ustalić, czy śmierć Liliany Ransom i „wypadek” Wenera Hoffmana też wpisują się w ten wzór.

Pożegnawszy się z Binnaz, Afdera znowu popadła w zadumę.

Nagle do biblioteki zajrzała Assai.

- Siostrzyczko?

- O, to ty... Przepraszam, Assai, zamyśliłam się.

- Wyglądasz na zmartwioną.

- Nie, to nic takiego... Potrzebujesz czegoś?

- Sampson tu jedzie. Powiedział, że chce z tobą porozmawiać.

Chyba ma dla ciebie jakieś dokumenty do podpisania, a także list od babci. Bo okazało się, że był jeszcze jeden sejf w tutejszym banku, Cassa de Risparmio di Venezia. Podobno musisz to przeczytać.

- Dobrze, poproś Rosę, żeby dała mi znać, jak Sampson się zjawi. Poza tym chętnie uściskam przyszłego szwagra.

- To na razie cię zostawiam. - Assai się uśmiechnęła.

- Poczekaj. - Afdera zatrzymała ją w progu.

- Co się dzieje?

- Czy babcia opowiadała ci kiedykolwiek o wypadku, w którym zginęli nasi rodzice?

- Nie. Wiesz, że wołała do tego nie wracać. Tylko raz jej się wymknęło, że to się stało w Kolorado. Sampson twierdzi, że jemu też wspominała coś o Aspen. Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Dlaczego pytasz? - zainteresowała się Assai.

- Och, bez powodu.

- Jakoś ci nie wierzę. Ty nigdy nie mówisz niczego bez powodu.

Babcia powtarzała, że zanim otworzysz usta, masz przemyślane wszystkie ewentualne konsekwencje swoich słów. Więc przestań kręcić i traktować mnie, jakbym była sześciolatką. Od śmierci rodziców wszyscy trzymacie mnie pod kloszem, ale chyba jestem już na tyle dorosła, żeby to się wreszcie zmieniło.

- Obiecuję, że jak będę coś wiedziała na pewno, tobie pierwszej powiem - oświadczyła enigmatycznie Afdera. - Kocham cię, Assai - dodała niespodziewanie.

- Ja też cię kocham - szepnęła jej siostra, zamykając za sobą drzwi.

Pozostawszy sama, Afdera znów sięgnęła po słuchawkę.

- Tak, słucham? - odezwał się młody kobiecy głos.

- Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z panem Rezekiem Badanim?

- Tak, chwileczkę. A kto dzwoni?

- Afdera Brooks. Proszę przekazać panu Badaniemu, że telefonuję z Włoch.

Dziewczyna po drugiej stronie linii już wołała starego marszanda, określając go mianem *habibi*, czyli „kochanie”.

- Afdera? To ty? - odezwał się Badani.

Bez wątpienia przeżycia owego wieczoru, gdy zdarzył się napad, mocno ich do siebie zbliżyły, tym bardziej że Rezek Badani bardzo wziął sobie do serca fakt, iż Afdera uratowała mu życie.

- Tak, to ja, Afdera.

- Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną przyjemność?

- Chciałam się dowiedzieć, jak się miewasz i jak zakończyła się wiadoma sprawa.

- Miewam się świetnie, już doszedłem do siebie. Może dlatego, że dzień i noc pilnuje mnie dwóch atletycznie zbudowanych siostrzeńców, gotowych zatłuc każdego łotra, który spróbowałby się do mnie zbliżyć. A inny mój kuzyn... Ten z kairskiej policji, pamiętasz?

- Tak, wspominałeś o nim.

- No więc ten kuzyn powiedział mi, że o zidentyfikowaniu tamtego drania nie ma nawet co marzyć. Zdjęli mu odciski palców, próbowali ustalić, jak dostał się do Egiptu, i nic. W Interpolu też nic o nim nie wiedzą. Ciało pochowano tymczasowo na cmentarzu pod Kairem, policja wciąż liczy, że ktoś się po nie zgłosi, ale jakoś w to wątpię.

- Słyszałeś o śmierci Abdela Gabriela Sayeda?

- Kochana, ja słyszę o wszystkim, co się dzieje w Egipcie.

O Abdelu wiedziałem już następnego ranka, zaraz po tym, jak znaleźli jego auto na drodze. Ktoś go udusił.

- A wiesz, że sprawca pozostawił przy zwłokach wycięty z materiału ośmiokąt, taki sam, jaki znalazłam w kieszeni męż-

czynny, który próbował cię zabić?

- Tego nie wiedziałem. Sądzisz, że ten facet miał coś wspólnego z zabójcami Abdela i Boutrosa?

- Niewykluczone - odpowiedziała Afdera. - Co więcej, podejrzewam, że do tej serii należy też dodać morderstwo, którego dokonano niedawno w Bernie. Rzekomo chodziło o wypadek, ale dość dziwny...

- Niewielu ludzi może sobie pozwolić na rozsyłanie zabójców po całym świecie...

- To prawda. Ale przy zwłokach Abdela, który pośredniczył

przed laty między odkrywcami księgi a Boutrosem Reyko, ktoś zostawił ośmiokąt. Taki sam, jaki znaleziono kiedyś przy ciele twojego współnika, a on również miał niewątpliwie kontakt z księ-

gą. U faceta, który próbował cię zabić, znaleziono identyczny ośmiokąt w kieszeni...

- A ten, który zginął w Bernie... Kto to był?

- Werner Hoffman, papirolog, członek zespołu pracującego w laboratoriach Fundacji Helsinga nad renowacją i tłumaczeniem Ewangelii Judasza.

- Przy nim też znaleziono ośmiokąt?

- Jeszcze nie wiem. Dopiero muszę zadzwonić do policjanta zajmującego się tą sprawą. Muszę wiedzieć, czy śmierć Hoffmana jakoś się z tym wszystkim wiąże. Ciebie z kolei chciałam prosić, żebyś zapytał tego swojego kuzyna z policji, czy takiego ośmiokąta nie znaleziono aby przy Lilianie...

- Przecież już ci mówiłem, że tak, zapomniałaś? Ale jak chcesz, skombinuję ci kopię raportu. Informuj mnie na bieżąco, a w razie czego, gdybyś potrzebowała pomocy, podeślę ci paru swoich kuzynów, którzy z najwyższą ochotą przetrzącą kilka karków i skopiują kilka tyłków...

- Wielkie dzięki, ale na razie chyba nie ma takiej potrzeby.

Przyślij mi tylko raport na temat zabójstwa Liliany. Kontaktowałeś się może z Charlesem Eolande albo z Leonardem Colaianim?

Zależałoby mi na tym, żeby się jak najszybciej z którymś z nich spotkać.

- Eolande jeździ po świecie z jakimiś wykładami. Dzwoniłem do Chicago na uniwersytet, ale nie potrafili mi udzielić żadnej kon-kretnej informacji. Udało mi się natomiast złapać Colaianiego, tego od wypraw krzyżowych. Najpierw nie chciał ze mną rozmawiać, ale na dźwięk twojego nazwiska zmienił zdanie. Zgodził się z tobą zobaczyć, pod warunkiem że nikt się o tym nigdy nie dowie.

- Dlaczego postawił taki warunek, jak sądzisz?

- Myśl, Afdero. Jeśli Grek, czyli Kalamatiano, usłyszy, że Colaiani rozmawiał z tobą o księdze Judasza, może się zdenerwować, a jak Grek się zdenerwuje, Colaiani skończy na dnie rzeki Arno, która to perspektywa raczej go nie zachwyca. Vasilis Kalamatiano to tajemniczy gość, lubi trzymać swoje interesy w sekrecie, więc fakt, że ktoś, kto kiedyś dla niego pracował, wdaje się w konszachty z nami, na pewno go nie ucieszy.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego Colaiani zgodził się jednak ze mną spotkać.

- Może ze względu na pamięć twojej babki. Powiedział mi przez telefon, że bardzo ją szanował i że we wstrętnym i zdradliwym świecie handlu starożytnościami rzadko trafiają się równie porząd-ne osoby.

- Gdzie go znajdę?

- Na Uniwersytecie Florenckim. Ma tam zajęcia we wtorki i czwartki, wtedy możesz próbować go złapać. To mi kazał przekazać. Niewykluczone, że wie coś interesującego na temat Ewangelii Judasza, zwłaszcza jeśli chodzi o krucjaty. Może ci powie, co się mogło dzieć z księgą w tym okresie. Tak czy owak, powinnaś z nim pogadać.

- Jutro czwartek, zobaczę, czy uda mi się pojechać już dzisiaj.

Ostatecznie stąd do Florencji mam jedynie dwieście kilometrów.

Tak, tak byłoby najlepiej.

- A ja dam ci znać, jak tylko ustalę coś w sprawie Charlesa Eolande.

- Dzwon do naszego domu, tu, w Wenecji. Jeśli mnie akurat nie będzie, możesz zostawić wiadomość. Rosa, nasza służąca, odbiera wszystkie telefony. No, dobra, uważaj na siebie - zaczęła się żegnać Afdera.

- Ty też. I pamiętaj o propozycji, którą ci złożyłem: w razie czego moi kuzyni chętnie służą pomocą. Czasem lepiej mieć pod ręką dobrego Egipcjanina niż tych waszych pedziowatych mafiosów.

- O, nie wątpię! - zaśmiała się Afdera. - Ściskam, Rezek.

- Na razie - powiedział Badani.

Usiłującą zebrać myśli Afdere zaskoczyło pukanie do drzwi.

To była Rosa.

- Pan Sampson już tu jest i chciałby z panią rozmawiać.

- Poproś go tutaj, Roso.

Adwokat stanął w drzwiach jak zwykle nienagannie ubrany - w prążkowanym niebieskim garniturze z Savile Row oraz jedwabnym krawacie Marinelli.

- Co tam, szwagrze? - uśmiechnęła się Afdera.

- Jeszcze nim nie jestem - odrzekł, nachylając się nad nią i całując ją w policzek. - Jak twoje podróże do Egiptu i Berna?

- Owocne. Musisz się skontaktować z Renardem Aguilarem, dyrektorem Fundacji Helsinga, w sprawie umowy przedwstępnej na sprzedaż księgi Judasza pewnemu tajemniczemu mecenasowi sztuki. Dam ci dokładne instrukcje.

- A co ma z tym wspólnego Aguilar?

- Występuje jako pośrednik. Tajemniczy mecenas chce pozostać incognito, ale, jak zapewniał Aguilar, jest gotów spełnić postawione przeze mnie i Assai warunki. Zajmiesz się wszystkim, prawda? Wyposażę cię w specjalne pełnomocnictwa.

- Za ile sprzedajecie tę księgę? - spytał Hamilton, otwierając swój czarny notes.

- Za osiem milionów dolarów płatnych na konto we wskazanym przez nas szwajcarskim banku.

- Pięknie. Aguilar proponuje ci taką sumę, a ty mu ufasz?

- Nie sądzę, żeby próbował nas oszukać. Wie, że w razie czego będę go ciągnąć po sądach. Dlatego liczę, że przygotujesz niepodważalną umowę, wolną od jakichkolwiek luk prawnych.

Na wszelki wypadek.

- Jasne. Zorientuję się w szczegółach i pokażę ci umowę, zanim mu ją wyślę.

- Świetnie. Chciałabym to załatwić jak najszybciej. Assai mówiła, że masz dla mnie jakieś papiery do podpisania. Oraz list.

- Owszem. Przy porządkowaniu spraw twojej babci wypłynęło kilka kwestii. Po pierwsze musisz podpisać dokument o prze-niesieniu praw własności do Ca' d'Oro, posiadłości w Nyon nad Jeziorem Genewskim, kamienicy przy Champs Elysées w Paryżu i domu na tunezyjskiej Dżerbie, a także do dwóch domów nale-

żących kiedyś do twoich rodziców, jednego w Nowym Jorku, a drugiego na Martha's Vineyard. Podpisz tutaj, tutaj i tutaj

- wskazywał Sampson. - Już zdecydowałyście z siostrą, jak się tym wszystkim podzielicie?

- Nie. Bardzo możliwe, że zachowamy współwłasność. A to i owo może sprzedamy. Z twoją pomocą, oczywiście.

- Dobrze. Będę czekał na decyzje.

- A teraz dajmy na chwilę spokój dokumentom i powiedz mi, kiedy poprosiłeś Assai o rękę?

- Cóż, idąc za twoją radą, zebrałem się na odwagę. I wierz mi, zamierzam uczynić twoją siostrę najszczęśliwszą kobietą świata

- oświadczył Sampson.

- A ty wierz mi, że w przeciwnym razie osobiście cię zabiję.

No, chodź, niech cię uściskam.

W tym momencie do biblioteki weszła Assai.

- No, ładnie, czy mam być zazdrosna? - rzuciła z uśmiechem.

- W żadnym razie. Bardzo się cieszę ze względu na was oboje.

Kiedy ślub?

- Jeszcze nie wiemy. Nie wyznaczaliśmy daty. Nie zdecydowali-

śmy też, czy uroczystość odbędzie się tutaj, czy w domu rodziców na Martha's Vineyard. Tak czy owak, Sampson ma teraz masę pracy i chciałby najpierw zamknąć parę rzeczy.

- Rozumiem. Ale nie zwlekaj za długo, mój drogi, bo jeszcze ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa...

- Pójdę już - oznajmił Sampson. - Ale muszę ci jeszcze przekazać list. Znalazłem go w sejfie banku Cassa di Risparmio di Venezia, jest zaadresowany do ciebie. Twoja babcia najwyraźniej uwielbiała sejfy. Mam nadzieję, że to już koniec niespodzianek - dodał, wyjmując ze swojej teczki od Prady zalakowaną kopertę.

Afdera rozpoznała pismo babki: „Do mojej wnuczki Afdery, po mojej śmierci”.

Rzuciła list na stół i odprowadziła Sampsona z Assai do drzwi biblioteki.

- Czekam, aż wyznaczycie datę, gołąbeczki. Tylko uprzedź-

cie mnie odpowiednio wcześniej, bo zamierzam sobie sprawić na wasz ślub oszałamiający kapelus

- powiedziała, poklepując siostrę po pupie.

- Dowiesz się pierwsza.

Gdy schodzili już po schodach, Afdera wychyliła się przez barierkę.

- Sampson, pamiętaj, masz mnie informować o wszystkim na bieżąco.

- Oczywiście. Zaraz się zajmę, czym trzeba.

Afdera wróciła na swój fotel, ale po chwili drzwi do biblioteki znów się otworzyły - to Rosa niosła tacę z dwoma talerzami.

- Mała przekąska, panienko Afdero. Trzeba jeść, chude rzadko znajdują mężów.

- Och, to bez znaczenia, Roso. I tak nie zamierzam wychodzić za mąż.

- Nawet za tego przystojnego dżentelmena, na którego zwró-

ciła panienka uwagę na pogrzebie babci?

- Coś mi się zdaje, że będę musiała uciąć Assai ten gadatliwy jęzor.

- Proszę się na nią nie złościć! Przecież obie chcemy jedynie, żeby panienka była szczęśliwa. Podobnie jak kiedyś świętej pamięci pani Brooks. Tylko tyle.

- Wiem, Roso, wiem, ale chwilowo mam co innego na głowie niż rozglądanie się za mężem - odrzekła Afdera.

- Tak, ale... - zaczęła Rosa.

- Posłuchaj - przerwała jej. - Spytaj Francesca, czy zawiezie mnie do Florencji.

- Kiedy?

- Dziś po południu. Przenocowałabym tam, bo jutro z rana mam bardzo ważne spotkanie.

- Zaraz powiem temu leniowi, żeby dziś nawet nie marzył

o grappie i wziął się do roboty. Raz-dwa będzie gotowy.

- Dziękuję.

Rosa odwróciła się jeszcze od drzwi.

- Ale jeśli panienka nie zje, nie wypuszczę za próg.

- Dobrze, zjem, obiecuję. Zjem co do okruszka.

Usatysfakcjonowana służąca wyszła z biblioteki, Afdera zaś sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer berneńskiej policji.

- Dzień dobry - powiedział po niemiecku jakiś głos. - Staat Polizei.
- Dzień dobry. Z wydziałem kryminalnym proszę.
- Chce pani mówić kimś konkretnym? - spytał oficer dyżurny, tym razem po francusku.
- Najchętniej z komisarzem Hansem Grüberem.
- Chwileczkę, sprawdzę, gdzie jest.

Czekając, Afdera nie spuszczała wzroku z koperty, którą dostała od Sampsona. Nagle w słuchawce rozległ się gruby, nieco ochryply i niezbyt uprzejmy głos:

- Tak? Kto mówi? Halo?
- Komisarz Grüber?
- Tak, to ja. Z kim rozmawiam?
- Nazywam się Afdera Brooks, dzwonię z Wenecji.
- Z Wenecji? I czego pani chce?
- Informacji - odrzekła krótko Afdera.
- Jakiego rodzaju informacji? I kim pani właściwie jest?
- Jestem znajomą pani Sabine Hubert z Fundacji Helsinga.

To od niej mam pański numer. Werner Hoffman należał do zespołu badawczego pracującego nad należącym do mnie starym dokumentem.

- I dlatego interesuje się pani wypadkiem?
- Myśli pan, że to był wypadek?
- A dlaczego mam myśleć inaczej?
- Bo doszło do niego ponad kilometr w bok od autostrady, którą zazwyczaj jeździł Hoffman. Bo nie wiadomo, po co miałyby zjeżdżać nad tamto jezioro.
- A tak swoją drogą, co to za dokument, którym zajmował się denat? - spytał niespodziewanie policjant.
- To informacja poufna - rzuciła obronnym tonem Afdera.

- Cóż, informacje na temat śmierci Wernera Hoffmana chwilowo też są poufne. *Quid pro quo*, panno Brooks, przysługa za przysługę.

- W porządku. Odpowiem na pana pytanie, ale potem pan odpowie na moje. I tak na zmianę. Zgoda, inspektorze?

- Zgoda. *Quid pro quo*.

- Hoffman, podobnie jak cały zespół zatrudniony przez Fundację Helsinga, pracował nad starym i niezwykle cennym tekstem dotyczącym początków chrześcijaństwa. A teraz moja kolej.

- Słucham.

- Dlaczego sprawą Hoffmana zajmuje się Wydział Kryminalny berneńskiej Staat Polizei, skoro, jak pan twierdzi, to był wypadek?

- Ponieważ tamtego wieczoru ktoś do nas zadzwonił, utrzymując, że na autostradzie numer sześć w okolicach Thun widział

dwóch mężczyzn wsadzających trzeciego do samochodu. Ten samochód to miało być bmw, dokładnie takie samo jak auto, w którym potem znaleziono pod wodą Hoffmana. Zaraz po tamtym telefonie wysłaliśmy patrol, ale funkcjonariusze nie natknęli się nigdzie na żadne ślady walki ani nic w tym stylu - wyjaśnił

Grüber. - Moja kolej.

- Niech pan strzela.

- Czy uważa pani, że ten wypadek czy też zabójstwo może mieć związek z pani dokumentem?

- Niewykluczone. Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy, ale jak tylko to zrobię, prześlę panu dane faksem. Jako policjant będzie pan wiedział, jak je wykorzystać. Śmierć Hoffmana nie jest jedyną, z jaką się ostatnio zetknęłam, i myślę, że może stanowić tylko pojedyncze ogniwo długiego łańcucha - stwierdziła Afdera.

- Skoro tak, ja również udostępnię pani informacje, których pani potrzebuje. W Bernie rzadko dochodzi do takich tragedii i nie chciałbym, żeby to się zmieniło. Co panią interesuje? - odrzekł

bardziej uprzejmie Grüber.

- Czy przypadkiem gdzieś przy ciele Hoffmana nie było wycię-

tego z materiału ośmiokąta z wypisanym w środku łacińskim zdaniem.

- Przejrzę rzeczy denata i sprawdzę. Chyba jeszcze nie odesłaliśmy ich wdowie.

- Mogę przefaksować panu rysunek ośmiokąta, o który mi chodzi.

- To by na pewno pomogło. Niech go pani wyśle pod ten numer

- powiedział Grüber i prędyktował Afderze szereg cyfr. - Zaraz się tym zajmę, ale potem będą oczekiwał od pani pełnej współ-

pracy. Rozumiemy się?

- Tak, herr Grüber, jak najbardziej. Proszę sobie zanotować mój domowy telefon i dzwonić. - Tu podała mu numer. - Czekam.

Quid pro quo.

- *Quid pro quo*, panno Brooks - odrzekł komisarz i się rozłą-

czył.

Afdera, nie zwlekając, naszkicowała na kartce ośmiokąt znaleziony w kieszeni mężczyzny, który zaatakował Rezeka Badaniego, po czym wysłała rysunek faksem pod podany przez Grubera numer. Teraz pozostawało jej tylko czekać.

Postanowiła więc skorzystać z wolnej chwili i przeczytać list zostawiony dla niej przez babkę w sejfie weneckiego banku.

Srebrnym nożykiem podważyła czerwoną pieczęć ze znakiem Ca' d'Oro, wyjęła list z koperty i pogrążyła się w lekturze.

Kochana wnuczko,

skoro czytasz te slozva, to znaczy, że już nie żyję - bez względu na to, czy umarłam śmiercią naturalną, czy zostałam zamordowana.

Ten list, droga Afdi, ma być przede wszystkim ostrzeżeniem, byś miała się na baczności wobec każdego dziwnego wypadku, jaki może się zdarzyć w Twoim otoczeniu za sprawą księgi Judasza, którą, jak się domyślam, zdążyłaś już zabrać z sejfu w First National Bank w Hicksville.

Uznałam, że to Ty -a nie Twoja siostra - powinnaś zająć się ujawnieniem prawdy ukrytej między stronicami Ewangelii Judasza. Może dlatego, że bardziej niż Assai przypominasz swoją matkę i mnie samą: jesteś twardsza, mniej pokorna i lepiej zniesiesz to, co Cię czeka. Assai wdała się w ojca, podobnie jak on żyje w swoim świecie. Nic w tym złego, ale tego rodzaju ludzie nie zawsze radzą sobie z rzeczywistością, szczególnie w sytuacjach takich jak ta.

Od chwili, gdy za pośrednictwem tego oszusta Badaniego i mojej drogiej Liliany księga Judasza trafiła w moje ręce, czyli od początku lat siedemdziesiątych, i mnie, i moją rodzinę spotykają przez nią same nieszczęścia. Zakładam, że nieustannie zadajesz sobie pytanie, dlaczego, zamiast poddać to dzieło renowacji i przetłumaczyć, wolałam je ukryć w sejfie pod-rzędneho banku. Odpowiedź na to pytanie brzmi: ze strachu.

Tak, ze strachu, że coś złego mogłoby się przydarzyć Tobie albo Assai. Kiedy zrozumiałam, co prawdopodobnie zawiera ten dokument, naprawdę się przeraziłam. Ledwie zainteresowałam się tematem, ktoś zaczął dokładać starań, żeby mnie od tego odwieść. Byłam wtedy młodsza, silniejsza i nie tak łatwo poddawałam się naciskom. Aż do chwili, gdy Twoi rodzice zginęli w tamtym wypadku w Aspen. Bo od razu zrozumiałam, że to nie był żaden wypadek.

Tym bardziej, że kilka dni potem odebrałam list, z którego wynikało, że jeśli nie zrezygnuję ze swoich zamierzeń dotyczących księgi, trudno mi będzie zapewnić bezpieczeństwo wnuczkom. A miałyście wtedy z Assai jedenaście i dziewięć lat. Z dnia na dzień straciłam ukochaną córkę oraz bardzo drogiego mi zięcia i nie zamierzałam w imię jakichś tam ukrytych prawd narażać Ciebie ani Twojej siostry.

Dlatego zostawiam ci ten list. Jeśli postanowisz zgłębiać tajemnicę Judasza, powinnaś wiedzieć, że ktokolwiek wtedy naciskał na mnie, nie da spokoju i Tobie. Tak więc oczywi-

ście, możesz pójść w moje ślady i po prostu zostawić księgę gdzieś w ukryciu. Doskonale bym to rozumiała. W przeciwnym jednak razie zapoznaj się z moim dziennikiem, w któ-

rym znajdziesz trochę ważnych informacji. Wykorzystaj je, a dziennik zniszcz.

Rozważ wszystko dokładnie. Zostałyście z Assai same, macie tylko siebie nawzajem. Dbajcie jedna o drugą.

Nie muszę chyba dodawać, żebyś nie ufała nikomu, kto przetnie ścieżkę, którą, jeśli się na to zdecydujesz, będziesz musiała pokonać samotnie.

Twoja kochająca babcia

Crescentia B.

Po twarzy Afdery płynęły łzy. Tak chętnie podzieliłaby się tym wszystkim z Assai! Ale nie mogła. Choć czuła się coraz bardziej samotna, wiedziała, że decyzji nie zmieni, nie cofnie się z raz obranej drogi. Jestem to winna babci i - może przede wszystkim

- rodzicom, pomyślała.

Ocierając twarz pogniecioną chusteczką, poszła do swojego pokoju, aby przygotować się do wyjazdu. Wiele sobie obiecywała po rozmowie z Leonardem Colaianim.

Gdy schodziła po schodach, z głównego salonu dobiegł ją szmer głosów. To Sampson naradzał się nad czymś z Assai. Przyjemnie było obserwować ich razem.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam - powiedziała.

- Wcale nie przeszkadzasz. Sampson i tak już wychodził.

- Chciałabym jeszcze zamienić z tobą słowo, Sam.

- Dobrze, nie ma problemu - Adwokat skinął głową.
- Chodź ze mną do kuchni.
- Po co te tajemnice? Przestraszysz Assai - powiedział, gdy tam weszli.
- Już twoja w tym głowa, żeby ją w razie czego uspokoić.

Wiesz, o czym jest ten list od babci?

- Nie. Nie zwykłem czytać cudzych listów.
- Och, wiem, nie o to mi chodziło. Myślałam, że babcia z tobą rozmawiała na ten temat.
- Nie. Mówiłem ci, że znalazłem tę kopertę, porządkując sprawy spadkowe. Znalazłem umowę dotyczącą wynajmu sejfu, a że dysponuję odpowiednimi pełnomocnictwami, poprosiłem o otwarcie go. I tyle - wyjaśnił.
- Czy babcia mówiła ci cokolwiek o śmierci moich rodziców?
- Nie, nigdy o tym nie wspominała. Tylko raz, gdy sam ją zagadnąłem, powiedziała, że doszło do wypadku, gdzieś w Stanach.

Uznałem, że chodziło o wypadek samochodowy.

- Pamiętasz, gdzie dokładnie się to stało?
- Chyba w Aspen, w stanie Kolorado. Tak, na pewno w Aspen, bo potem twoja babcia zdecydowała się pozbyć domu, który tam miała. Nie życzyła sobie wracać w to miejsce.
- A mógłbyś coś dla mnie zrobić? Ale tak, żeby Assai się o tym nie dowiedziała?
- Oczywiście. Co takiego?
- Czy dałoby się zdobyć skądś raport dotyczący wypadku rodziców?
- Pewnie tak. Zakładam, że w archiwach policji w Aspen trzymają takie rzeczy. Mam do nich zadzwonić?
- Wolalabym, żebyś *tam* pojechał. To *bardzo* ważne. Assai nie może o niczym wiedzieć. Tylko by się niepotrzebnie zdenerwowała. Powiedz jej, że lecisz do Londynu albo Genewy w związku z jakimiś sprawami babci. Na pewno uwierzy.
- Zdajesz sobie sprawę z tego, że każesz mi okłamywać przyszłą żonę?
- Zrób to dla mnie... I dla babci - poprosiła, cmokając go w policzek.
- Dlaczego ja ci zawsze ulegam?

- Bo przypominam babcię?

- A zawsze myślałem, że jedna Crescentia Brooks to dość na całe życie - mruknął Sampson.

Zanim wyszedł, Afdera przytrzymała go za ramię.

- Uważaj na siebie i nikomu nie mów, że jedziesz do Aspen, nawet swojej sekretarce. Obiecujesz?

- Obiecuję.

Watykan

Wieczorną ciszę w Sekretariacie Stanu zakłócił

telefon. Dyżurujący przy aparacie młody ksiądz podniósł słuchawkę.

- Z ojcem Mahoneyem proszę, to bardzo pilne - rzucił jakiś nieznajomy.

- A kto mówi? Muszę przecież uprzedzić, kto dzwoni - spytał

ksiądz.

- Moje nazwisko nie ma znaczenia. Proszę przekazać ojcu Mahoneyowi, że dzwonię z Berna. Zrozumie.

Młody ksiądz pospiesznie ruszył długimi watykańskimi korytarzami, pod obojętnym spojrzeniem członków Gwardii Szwajcarskiej.

Kilkakrotnie pukał do drzwi gabinetu, zanim ojciec Mahoney, który zasnął z głową na biurku, ocknął się i zapytał:

- Kto tam?

- Ma ojciec pilny telefon, ten, kto dzwoni, nie chciał się przedstawić. Nie mogłem przełączyć, bo telefon ojca był zajęty.

- Odłożyłem słuchawkę, żeby przez chwilę odpocząć. Czy ten ktoś nie powiedział, o co chodzi?

- Mówił, że dzwoni ze Szwajcarii. I że ojciec zrozumie.

- W porządku. Przyjmę to połączenie na zabezpieczonej linii.

Kilka minut później w słuchawce zabrzmiało tradycyjne pozdrowienie członków Kręgu.

- *Fructum pro fructo* - powiedział ojciec Cornelius.

- *Silentium pro silentio* - odparł Mahoney.

- Prace nad przekładem heretyckiej księgi dobiegają końca.

Wkrótce jej treść będzie znana szerokiemu gronu osób, co uważam za niebezpieczne.

- Pozwól, bracie, że o tym, co jest, a co nie jest niebezpieczne, zdecydować będziemy Jego Eminencja kardynał Lienart i ja.

Ogranicz się do wykonywania poleceń.

- Przepraszam, nie chciałem okazać braku szacunku. Po prostu razem z bratem Alvarado i bratem Pontiusiem niepokoiśmy się, że ci przekłeci naukowcy są o krok od zrozumienia przestępstwa zdrajcy.

- Jaki wydzźwięk miała śmierć Hoffmana?

- Berneńska policja bada sprawę. Nadal wahają się, czy to był

wypadek, czy samobójstwo, choć skłaniają się ku tej drugiej wersji.

- Nie ulega wątpliwości, że w Szwajcarii nie powinniśmy się afiszować ze swoją działalnością. Porozmawiam z wielkim mistrzem i przekażę wam jego rozkazy. A na razie, bracie, wszyscy trzej powstrzymajcie się od jakichkolwiek kroków.

-Ale...

- Żadnych „ale”. Spokojnie czekacie na rozkazy. À propos, kto z berneńskiej policji prowadzi sprawę Hoffmana?

- Brat Alvarado ustalił, że niejaki Grüber, śledczy z Wydziału Kryminalnego Staat Polizei w Bernie. To policjant starej daty, bardzo skrupulatny, co może nam pomieszać szyki - odrzekł

Eugenio Cornelius.

- Tacy już są ci Szwajcarzy. Skrupulatni. Dlatego produkują najlepsze na świecie zegarki i tak sprawnie piorą w swoich bankach brudne pieniądze - rzucił ironicznie ojciec Mahoney.

- Więc co mamy robić?

- Chwilowo nic, jak już mówiłem. Najpierw muszę porozmawiać z wielkim mistrzem. *Fructum pro fructo*, bracie Cornelius.

- *Silentium pro silentio* - odpowiedział członek Kręgu Octogonus i odłożył słuchawkę.

Świeżo mianowany biskup Emery Mahoney doskonale rozumiał, że kolejny wypadek śmiertelny kogoś z fundacji nie wchodził w grę, ponieważ skrupulatny komisarz Grüber z pewnością zacząłby coś podejrzewać.

Mahoney wykręcił więc prywatny numer kardynała Augusta Lienarta. Odebrała pokojówka.

- Apartament sekretarza stanu, słucham?

- Dobry wieczór. Chciałabym mówić z Jego Eminencją. Jestem jego sekretarzem.

- Nie wiem, czy Jego Eminencja już się aby nie położył - odparła kobieta.

- To proszę sprawdzić. Sprawa jest ważna.

Mahoney wiedział, że kardynał Lienart cierpi na bezsenność, w związku z czym rzadko sypiał dłużej niż trzy godziny na dobę

- podobnie jak kiedyś papież Jan XXIII.

- Tak, bracie Mahoney, o co chodzi? - rzucił teraz.

- Eminencjo, powinniśmy się bezzwłocznie naradzić. W

Szwajcarii nie wszystko idzie tak, jak powinno.

- Dobrze, proszę do mnie wpaść za dziesięć minut - zdecydował Lienart.

Mahoney nie miał daleko. Szybkim krokiem ruszył wzdłuż via del Fondamento, okrążył bazylikę od tyłu, i minąwszy stanowisko Gwardii Szwajcarskiej, znalazł się w średniowiecznym pałacu mieszczącym tak zwane apartamenty Borgiów.

Drzwi do pokoi Lienarta strzegł młody gwardzista, który na widok fioletowych szat Mahoneya wyprężył się jak struna.

- Eminencjo...!

- Spocznij - rzucił Mahoney, wchodząc do środka.

Tuż za progiem czekała na niego pokojówka, chyba ta sama, z którą chwilę wcześniej rozmawiał.

- Jego Eminencja prosi - oświadczyła, pochylając się do ręki biskupa i całując jego pierścień.

W obszernym salonie Lienarta rzucał się w oczy duży stół

zastawiony oprawnymi w srebrne ramki i opatrzonymi dedykacją dla Jego Eminencji fotografiami premierów, prezydentów, królów i książąt.

- To moje prywatne muzeum - odezwał się kardynał, nalewając sobie whisky. - Napijesz się, Mahoney?

- Och, nie, dziękuję. Dla mnie na to zbyt późno albo zbyt wcześnie.

- Cóż... Więc nad czym chciałeś się ze mną naradzić?

- Dzwonił do mnie brat Cornelius.

- I co mówił?

- Bracia Cornelius, Pontius i Alvarado martwią się postęпами w tłumaczeniu księgi.

- Chwilowo musimy czekać. Drzewo cierpliwości ma gorzkie korzenie, lecz owoce jego są słodkie. Nie pozwolę, by ktokolwiek jakimś pochopnym działaniem pokrzyżował mi plany. Dlatego przypomnij naszym braciom, Mahoney, że w chwilach niepewno-

ści to właśnie cierpliwość jest kluczem do sukcesu. Oraz że nie wolno im nic zrobić bez mojej zgody, w przeciwnym razie bowiem złamią reguły i zostaną za to ukarani.

- Tak, eminencjo, ale mnie również bardzo niepokoi fakt, że treść tej przeklętej księgi już wkrótce wyjdzie na jaw.

- Wiesz równie dobrze jak ja, bracie Mahoney, że nasz człowiek w Fundacji Helsinga zadba, by wszystko poszło zgodnie z planem.

Musimy czekać. Nasze pragnienia zawsze pchają nas do czynu.

A jest ich więcej niż dni nam przeznaczonych i czas zdaje się naglić.

Jednakże w każdym tunelu świeci światełko nadziei, które pozwala nam niezłomnie dążyć do celu. Pamiętaj o tym, bracie Mahoney, i przypomnij tę prawdę braciom przebywającym w Bernie.

- Brat Cornelius uważa za konieczne przeprowadzenie jakiejś akcji przeciwko naukowcom z Fundacji Helsinga, sądzi jednak, że nie da się tego zrobić w Bernie, bo to zbyt niebezpieczne.

Sprawę śmierci Hoffmana draży już jeden nadgorliwy policjant, komisarz Grüber.

- Zabójstwo Wenera Hoffmana zostało spartaczone. „Mylić się jest rzeczą ludzką, lecz trwać w błędzie to obyczaj głupców”, że zacytuję wielkiego Cycerona. Więc skoro z Hoffmanem wyszło tak źle, szaleństwem byłoby się znowu ważyć na coś podobnego w Szwajcarii. Niech reszta zespołu spokojnie wróci do siebie.

Wtedy się do nich dobierzemy. Węch komisarza Grübera na pewno nie sięga do Kanady, Izraela czy Chicago ani nawet do Genewy.

- Agenci Jednostki zgromadzili obszerny materiał na temat każdego z członków ekipy badawczej zajmującej się księgą -

poinformował Mahoney.

- Ostrożnie, Mahoney. Wolałbym, żeby podopieczni kardynała Belisaria Dandiego nie odkryli moich związków z Kręgiem.

- Nie widzę powodu do obaw. To rutynowa procedura.

Fundacja Helsinga prowadzi prace nad potencjalnie interesującym Stolicę Apostolską zabytkiem, więc obowiązkiem watykańskiego wywiadu jest przeświecić wszystkich mających styczność z obiektem - uspokoił kardynała Mahoney, otwierając parę teczek z logo Jednostki. - W skład ekipy wchodzi: Sabine Hubert, obywatelka Szwajcarii, występująca w roli szefowej zespołu; Burt Herman, Amerykanin, znawca początków chrze-

ścijaństwa; Żyd nazwiskiem Efraim Shemel, ekspert od języka koptyjskiego; i wreszcie niejaki John Fessner, kanadyjski naukowiec specjalizujący się w datowaniu znalezisk metodą radiowęglową. Ten ostatni mieszka na stałe w wielkim domu w Ottawie. Niemiec Werner Hoffman, papirolog, był profesorem Uniwersytetu Frankfurckiego, a w wolnych chwilach lubił

przebierać się za kobietę i poddawać się chłości wymierzonej przez kochankę.

- *Genuflectant omnes in plano**, drogi bracie Mahoney.

Przełącz braciom z Kręgu, że na razie czekamy. Żadnej wolnej amerykanki. W tej chwili ważą się losy oferty złożonej przez nas pannie Brooks. Teraz pora na ruch Aguilara. A kiedy dostaniemy księgę, przystąpimy do działania i nasi bracia pomogą wypełnić się przeznaczeniu.

* *Genuflectant omnes in plano* (łac.) - Wszyscy klękają na ziemi.

- A jeśli przeznaczenie nie pokrywa się z wolą eminencji?

-Przeznaczenie to talia kart, które dopiero my tasujemy i rozdajemy. Wedle własnej woli, bracie Mahoney. Wolnej woli.

Świadomość tego wyróżnia ludzi takich jak ja czy ty.

- A co zrobimy z tą kobietą, Sabine Hubert?

- Jak to?

- Sabine Hubert jest obywatelką Szwajcarii i każdy wymierzony w nią ruch z pewnością wzbudzi podejrzenia.

- Toteż zajmiemy się nią na końcu. Nie chcę, żeby szwajcarska policja trafiła na ślad Kręgu.

- Mam przekazać braciom jakieś konkretne rozkazy?

- Niech Cornelius, Pontius i Alvarado przyczają się w Bernie, a Ferrell i Osmund w Wenecji.

- Co z Reyesem?

- Jako odpowiedzialny za śmierć brata Marcusa Lauretty w Kairze powinien skupić się na modlitwie i błagać Wszechmogącego o wybaczenie. A także mnie, ponieważ zawiódł moje zaufanie. Casino degli Spiriti to doskonałe miejsce na rozmyślania - zawyrokował

kardynał. - Pamiętaj, bracie, by w trudnych okolicznościach zachowywać zimną krew. Tylko na tobie polegam. Nie rozczaruj mnie.

Biskup Emery Mahoney wstał z sofy, na której siedział, i skłoniwszy się, ucałował kardynalski pierścień z herbem rodziny Lienartów.

- *Fructum pro fructo* - rzekł.

- *Silentium pro silentio* - odpowiedział watykański sekretarz stanu.

Kilka godzin później kardynał Lienart odbywał samotną przechadzkę po watykańskich ogrodach. Lubił spacerować o świcie, zanim do pracy przystępowała rzesza ogrodników. Zmierzał

właśnie w stronę ogrodu botanicznego, gdy usłyszał za plecami czyjeś kroki.

- Jak się miewasz, mój drogi Korybancie?

- Doskonale, eminencjo. Nie tracę nadziei na nadejście lepszych czasów - odparł agent papieskiego kontrwywiadu, pochylając się nad kardynalskim pierścieniem.

- I słusznie. Jest czas siewu i czas zbierania plonów. Mądry człowiek potrafi ocenić, na którym z tych etapów się właśnie znalazł.

- Czego eminencja ode mnie oczekuje? - spytał Korybant.

- Pragnąłbym skorzystać z twojej wiedzy i kontaktów. Obaj rozumiemy, że wybiła chyba właściwa godzina, by ktoś żelazną dłońią ujął stery Watykanu, kładąc kres rządowi tego przybłądy, którego musimy nazywać Ojcem Świętym...

- Eminencja wybaczy, ale nie bardzo rozumiem...

- Potrzebuję kukielki.

- Kukielki?

- Tak, kukielki do przedstawienia, które wyreżyserujemy.

- A gdzie je wystawimy?

- W Watykanie, drogi przyjacielu, w Watykanie - uśmiechnął

się Lienart, patrząc w oczy nieco skonsternowanemu agentowi.

- Potrzebujemy kukielki, człowieka, który odegra główną rolę w naszym przedstawieniu, wypełni zbożną misję, nie podejrzewając nawet, że ktoś decyduje za niego, bo pociąga za sznurki.

- W dobrej sztuce musi być trup. Kogo obsadzimy w tej roli?

- To oczywiste, przyjacielu. Tego, który stoi na mojej drodze, a zarazem szkodzi interesom Kościoła, narażając go na utratę prestiżu przez wdawanie się w rozmowy z tymi przeklętymi komunistami z Warszawy i Moskwy. Komuniści to heretycy, a z here-tykami się nie rozmawia, tylko pali ich na stosie.

- Ale przecież czasy inkwizycji mamy już dawno za sobą, eminencjo...

- Znajdź mi odpowiednią kukielkę, Korybancie, a gdy obejmę stanowisko, na które nadaję się lepiej niż ktokolwiek inny, twoja wierność zostanie wynagrodzona. Są tacy, drogi Korybancie, którzy walczą jeden dzień, i tym należy się pochwała. Są tacy, którzy walczą latami, i tym należy się podziw. Są wreszcie i tacy, którzy walczą całe życie, i ci okazują się niezastąpieni.

Ty zaliczasz się do tych ostatnich.

- Ile mam czasu?

- Im szybciej się z tym uporasz, tym lepiej.

- Zrobię, co do mnie należy, eminencjo - zapewnił agent i znikł

wśród gęstej zieleni watykańskich ogrodów.

- Wiem, drogi przyjacielu, wiem...

Berno

Późną nocą ktoś wślizgnął się do głównego budynku Fundacji Helsinga. Ochroniarze dobrze go znali. Przeciął

kilka pogrążonych w mroku pomieszczeń i dotarł do części biurowej, gdzie w głębi korytarza znajdowały się masywne dębowe drzwi z brązową tabliczką z napisem: „Renard Aguilar. Dyrektor”.

Nie ulegało wątpliwości, że nocna wizyta w siedzibie fundacji służy temu, by nikt nie dowiedział się o rozmowie, która miała się za chwilę odbyć.

Aguilar usiadł za swoim biurkiem i wykręcił domowy numer Delmera Wu.

- Dobry wieczór, chciałbym mówić z panem Wu.

- A kto dzwoni? - spytał kobiecy głos po drugiej stronie.

- Proszę przekazać panu Wu, że dzwoni Renard Aguilar, przyjaciel najlepszego ucznia. Pan Wu

zrozumie.

- Przykro mi, ale pan Wu nigdy nie odbiera telefonów osobi-

ście. Skontaktuję się z którymś z jego asystentów. Proszę zostawić mi swój numer i nazwisko, a wkrótce do pana oddzwonimy

- powiedziała mechanicznie kobieta.

Aguilar odniósł wrażenie, że konwersuje z automatyczną sekretarką. Delmer Wu obwarował się kilkoma liniami umocnień.

- Proszę uważnie słuchać tego, co powiem, bo nie zamierzam się powtarzać. Jeśli nie chce pani stracić pracy w ciągu godziny, polecałbym natychmiastowe odnalezienie pana Wu i przekazanie mu mojej wiadomości. Wiem, że pani szef oczekuje mojego telefonu, ale skoro uważa się pani za upoważnioną do podważania jego decyzji, to śmiało, proszę się nie krępować i obdzwaniać jego asystentów.

Młoda sekretarka milczała przez kilka sekund, być może bijąc się z myślami.

- Osoby mające bezpośredni dostęp telefoniczny do pana Wu, znają hasło. Tylko po jego podaniu można uzyskać połączenie z panem Wu. Pan tego hasła nie podał. Przykro mi. Nic nie mogę zrobić, poza przekazaniem pana wiadomości któremuś z asystentów.

- W porządku. Niech pani robi, co pani uważa za stosowne. Ale radziłbym się od razu rozejrzeć za nową pracą - syknął

Aguilar.

- Proszę poczekać, proszę się nie rozłączać - rzuciła nerwowo dziewczyna. - Już pana przełączam do pana Elliota, doradcy pana Wu.

Rozwścieczony jej uporem Aguilar sapał w słuchawkę, dopó-

ki nie usłyszał w niej głosu z charakterystycznym teksańskim zaśpiewem.

- Tak, słucham?

- Pan Elliot? Moje nazwisko Renard Aguilar, jestem dyrektorem Fundacji Helsinga.

- W czym mogę pomóc?

- Chciałbym mówić z panem Wu.

- Jak wiele innych osób. Pytanie, czy pan Wu tę chęć odwzajemnia.

- Dysponuję dokumentem, który wzbogaciłby jego kolekcję.

Proszę mu przekazać, że chodzi o księgę autorstwa najlepszego z uczniów Jezusa Chrystusa. Pan Wu zrozumie - rzekł Aguilar, po czym odłożył słuchawkę.

Miał świadomość, że jeśli dobrze wszystko rozegra, wzbogaci się o wolne od podatków dwa miliony dolarów. Smakował

w myślach tę wizję, gdy wmontowane w aparat telefoniczny czerwone światełko sygnalizujące połączenie przywołało go do rzeczywistości.

- Halo?

- Jak brzmi pańska oferta? - spytał Delmer Wu.

- Och, pan Wu, co za niespodzianka! Już myślałem, że Ewangelia Judasza wcale pana nie interesuje.

- Zwolniłem już idiotkę, która nie chciała pana ze mną połą-

czyć, panie Aguilar. Jak pan widzi, decyzje podejmuję szybko, zwłaszcza jeśli mam w tym jakiś konkretny cel. A teraz moim celem jest dokument znajdujący się w pana rękach - oświadczył

chłodno milioner.

- Cóż, jeśli chodzi o mnie, nie musiał pan zwalniać tej bie-daczki - zapewnił fałszywie Aguilar.

- Niech się pan nią nie przejmuje. Lepiej przejdźmy do rzeczy.

- Chciałem panu zaproponować korzystny interes.

- Pozwoli pan, że sam zdecyduję, czy ten interes jest dla mnie korzystny, czy nie. Daję panu piętnaście sekund na przedstawienie sprawy.

- Mamy w fundacji księgę, która..

- Zostało dziesięć sekund - wtrącił Wu.

- ...może zawierać przekaz Judasza Iskarioty, apostoła, który...

- Pięć sekund - ostrzegł Wu.

- Proponuję panu jej kupno.

- Wreszcie zaczynamy się dogadywać. Ale skąd mam wiedzieć, że naprawdę wszedł pan w posiadanie takiej księgi?

- Nie wszedłem. Moja fundacja zajmuje się jej renowacją i tłumaczeniem. Wiem, że ostatnio na życzenie zainteresowanego nią Watykanu musiał pan przelać dziesięć milionów dolarów na pewne szwajcarskie konto. Pomyślałem, że może wolałby pan wystąpić w roli nabywcy, a nie sponsora. Na

pewno zdaje pan sobie sprawę z wartości tego woluminu, a ja, jako dyrektor Fundacji Helsinga, jestem w stanie sprawić, by trafił on w pań-

skie ręce.

- Dlaczego Watykan miałby na to pozwolić?

- Watykan nie musi o niczym wiedzieć, chyba że pan się wygada.

- Właśnie. Bo kto mi zabroni złapać teraz za telefon i szepnąć, komu trzeba, że oferuje mi pan coś, czego przedstawiciele Stolicy Apostolskiej tak bardzo pragną? Zna pan kardynała Lienarta, to nie jest człowiek, który zdawałby się w takich sytuacjach na Boga, zanosząc wraz z papieżem modły o sprawiedliwość na świecie. Jeśli przyjmę pana propozycję, obaj staniemy się celem jego ataku. Przy czym ja mam jak się obronić, a pan?

- O mnie się proszę nie martwić. Dysponując dwoma milionami dolarów, zdołałem się skutecznie ukryć. A pan przecież chętnie przytrze nosa Lienartowi. To jak będzie, panie Wu?

- Czy dwa miliony dolarów to cena, jakiej pan żąda za swój udział w przycieraniu nosa Lienartowi?

- Sam pan rozumie, ile jest warta Ewangelia Judasza i jaki może wywrzeć wpływ na Kościół. Wydaje mi się, że dwa miliony z tych dziesięciu przelanych przez pana na wskazane przez Lienarta konto to w tym kontekście niezbyt dużo...

- Skąd mam wiedzieć, czy nie złożył pan podobnej oferty innym kolekcjonerom?

- Och, panie Wu, obraża mnie pan! Jestem człowiekiem hono-ru i zawsze dotrzymuję słowa. Nigdy nie próbowałbym pana oszukać. Mam na to zbyt wiele rozsądku - zapewnił Aguilar.

- Mój ojciec zawsze powtarzał, że perspektywa zależy od doświadczenia i odwrotnie. „Nie pozwól, by twoje doświadczenie wyznaczane było przez cudzą perspektywę”, mawiał. Powiem panu, co się stanie, jeśli mnie pan wystawi do wiatru. Jestem wła-

ścicielem pewnej stacji arktycznej. Mieści się tam coś w rodzaju laboratorium, w którym przeprowadza się takie eksperymenty, że nawet mnie się o nich nie informuje. Chodzi chyba o badania nad nowymi szczepionkami przeciw rozmaitym ciężkim cho-robom. I każdy królik doświadczalny jest tam na wagę złota.

Rozumiemy się, panie Aguilar?

- Jak najbardziej, panie Wu. Za kilka dni zadzwonię do pana i ustalimy, co dalej.

- Dobrze. Tylko proszę nie wykonywać podejrzanych ruchów.

Ja ze swojej strony też nie będę. Jeden fałszywy krok i ląduje pan pod biegunem. I niech pan zadba, żeby wszystko poszło gładko.

Aguilar nie zdążył już nic powiedzieć, bo w słuchawce rozległ

się sygnał. Wszystko układało się doskonale. Rozparty za swoim biurkiem dyrektor Fundacji Helsinga sięgnął po miętowego cukierka.

Teraz należało już tylko powiadomić Lienarta o rzekomo zaplanowanym przez Delmera Wu kręctwie. Łatwo było przewidzieć reakcję kardynała. Oczywiście cała ta gra pod względem bezpieczeństwa przypominała żonglerkę granatem - każda nieostrożność groziła wybuchem. Jednakże rozmyślanie nad tym niczemu nie służyło. Aguilar wolał wyobrazić sobie, jak spożytkuje te dwa miliony dolarów - coraz bardziej w jego zasięgu.

IX

Florencja

Prowadzone przez Francesca auto pokonało nieco ponad dwustukilometrowy dystans między miastem kanałów a Florencją w dwie godziny.

- Francesco, zanocuję dziś w Grand Hotelu Villa Medici, przy via il Prato - oświadczyła Afdera.
- Wiem, słyszałem od Rosy. Pojadę przez via Borgo Ognissanti, a stamtąd to już rzut beretem.
- Gdy odstawisz mnie do hotelu, możesz ruszać z powrotem.

W domu bardziej się przydasz niż tutaj.

- A jak pani wróci?
- Tym się nie martw, wezmę taksówkę albo wynajmę samochód. Jeśli cię tu zatrzymam, Rosa wpadnie w histerię.

Kilka minut później, po przejechaniu Arno przez most Ameriga Vespucciego, stanęli przed hotelem. Znalazłszy się w pokoju, Afdera już miała sięgnąć po słuchawkę, żeby odbyć pierwszą z rozmów telefonicznych, kiedy aparat zadzwonił. Po drugiej stronie linii usłyszała znajomy głos.

- Witaj, Afdero - powiedział Max Kronauer.
- Uszom własnym nie wierzę! I dziwię ci się, że masz czelność do mnie dzwonić! Znikasz i pojawiaasz się, kiedy chcesz, i ocze-kujesz ciepłego powitania? A, właśnie, skąd wiedziałeś, że będę we Florencji, i to akurat w tym hotelu?
- Od CIA. Jeden z ich satelitów śledzi każdy twój krok - odrzekł

Max, usiłując ją rozśmieszyć, ale nie była w nastroju do żartów.

- Bardzo zabawne. W Bernie uciekłeś jak oparzony, niczego nie tłumacząc. Nie wiem, czy chcę się w to bawić, Max. Wiesz, że mi się podobasz, ale naprawdę nie mam ochoty na komplikacje.
- Chcesz się ze mną spotkać czy wolisz na mnie jeszcze powrzeszczeć? Jestem we Florencji.
- Szczerze mówiąc, wołałabym jeszcze powrzeszczeć.
- Gdzie i kiedy się widzimy?

- Jutro chcę się spotkać z niejakim Leonardem Colaianim, profesorem tutejszego uniwersytetu i specjalistą od krucjat. Liczę na to, że opowie mi coś o drodze, którą mogła przebyć księża Judasza. Jeśli masz ochotę, chodź ze mną.

- Świetnie. Z przyjemnością. O której po ciebie wpaść?

- O dziesiątej. Zjemy razem śniadanie i pojedziemy sprawdzić, co kryje w zanadrzu profesor Colaiani. Odpowiada ci to?

- W zupełności. A wieczorem dasz się zaprosić na kolację

- zaproponował Kronauer.

- Tylko pod warunkiem, że mi wyjaśnisz swoje dziwaczne zachowanie.

- Wyjaśnię, obiecuję - zapewnił ją. - À propos... - dodał.

- Wiedziałem, gdzie jesteś, bo zadzwoniłem do ciebie do domu i twoja siostra Assai udzieliła mi wyczerpujących informacji.

Zaznaczając przy tym, że powinienem się wreszcie zdecydować.

Łatwo się domyślić, do czego piła.

- Może widzi rzeczy wyraźniej niż ty czy ja. Do jutra, Max.

- Do jutra.

Afdera długo nie mogła zasnąć. Miała wiele pytań do Colaianiego, ale jeszcze więcej do Maksa i od obu zamierzała za wszelką cenę wyciągnąć konkretne odpowiedzi.

Telefon zadzwonił kilka razy, zanim zdołał ją wyrwać z głębokiego snu, w jaki zapadła wreszcie po wielu godzinach przewracania się w pościeli i dwóch tabletkach.

- Cześć.

- Cześć, Max - wychrypiała w odpowiedzi.

- Czekam na ciebie w sali Caterina. Razem ze śniadaniem.

Pospiesz się.

- Zamów mi mocną kawę. Muszę się obudzić przed spotkaniem z Colaianim. Tylko się wykąpię i już schodzę - rzuciła i rozłączyła się.

Trzy kwadranse później wpadła do sali, w której czekał Max.

- Jak tam?

Słyszając jej głos za plecami, wstał i pocałował ją w policzek.

- Świetnie wyglądasz.

- Ty też. A teraz opowiadaj: gdzie się podziewałeś? Co pora-białeś?

- Z Berna poleciałem do Londynu, gdzie zajmowałem się paroma aramejskimi manuskryptami z kolekcji British Museum.

Poza tym rząd w Damaszku zaproponował mi, żebym zbadał

i przełożył kilka rękopisów znalezionych już jakiś czas temu w okolicach Palmiry. To potrwa z rok...

- Więc będziesz pracować dla Hafiza al-Assada...

- Nie. Będę pracować nad tłumaczeniem aramejskich tekstów, które, tak się złożyło, odkryte zostały niedaleko Palmiry, która, tak się złożyło, leży w Syrii. Gdyby naukowcy działali tylko tam, gdzie obowiązuje demokracja, może nigdy nie poznalibyśmy tajemnic faraonów, nie usłyszelibyśmy o ruinach w Baalbek albo Babilonie ani o Wielkim Murze Chińskim czy Palmirze. Gdybyśmy musieli czekać, aż w krajach, na których terenie znajdują się te wszystkie cuda, zapanuje właściwy ustrój, przysłoby nam siedzieć z zało-

żonymi rękami przez tysiąc lat - odparł Max. - Lepiej powiedz mi, kim jest ten cały Colaiani.

- Leonardo Colaiani współpracował z Charlesem Eolande i obaj byli jakoś zamieszani w sprawę księgi Judasza. Eolande to jeden z najwybitniejszych na świecie papirologów, pracuje w Instytucie Studiów Wschodnich na Uniwersytecie w Chicago. Colaiani z kolei specjalizuje się w historii średniowiecza i wyklada tutaj, na Uniwersytecie Florenckim. Wydał też kilka książek. I on, i Eolande mieli kiedyś do czynienia z pewnym tajemniczym Grekiem, Vasilisem Kalamatianem.

- Znam go. A raczej dużo o nim słyszałem. Trudno powiedzieć, ile z tego jest prawdą.

- Zdaje się, że Eolande i Colaiani odbyli kilka podróży tropem tej księgi, próbując ustalić jej losy i pochodzenie, ale nie wiadomo, czy im się udało. Rezek Badani, znajomy marszand z Kairu, poradził mi, żebym się z skontaktowała z Colaianim osobiście.

Dlatego tu jestem - zakończyła Afdera, upijając łyk gorącej, mocnej i niesłodzonej kawy.

- Skąd pewność, że Colaiani podzieli się z tobą swoją wiedzą, o ile on w ogóle coś wie? Może będzie wolał zachować sekrety księgi dla siebie? Albo nie zechce z tobą rozmawiać, żeby się nie wychylać?

- Niewykluczone, że masz rację. Ale muszę go jakoś przekonać. Zbierajmy się już. Pojedziemy taksówką - rzuciła Afdera, dopijając kawę i regulując rachunek.

- A nie przyszło ci do głowy, że łatwiej byłoby ci go przekonać beze mnie? Nie powinnaś załatwić tego sama?

- Może i tak. Ale powiem mu, że jesteś jednym z najlepszych znawców wczesnego chrześcijaństwa i dlatego chciałabym, żebyś uczestniczył w rozmowie.

- Dokąd jedziemy?

- Na uniwersytet. Colaiani ma dziś zajęcia, złapiemy go, jak będzie wychodził. No, do roboty.

Florenckim kampus roił się o przedpołudniowej porze od obla-dowanych książkami studentów. Afdera poczuła nagle nostalgię za uniwersyteckimi czasami.

- Tęsknisz za tym? - spytał Max.

- Słucham? - rzuciła zamyślona.

- Pytałem, czy za tym tęsknisz. Za uniwersytetem.

-Och... Sama nie wiem. Może. Babcia wysłała mnie do Oksfordu, a potem do Jerozolimy. Żyłam wtedy jakby w innym świecie, w hermetycznej szklanej kapsule. Babcia zadbała, żebyśmy z Assai nie stykały się za często z rzeczywistością. Lata studiów wspominam jako okres ogólnej nieświadomości. Niespecjalnie nawet wiedziałam, czym się zajmuje babcia. Skupiałam się na nauce. To był czas niewinności. Babcia odgrodziła nas od reszty świata grubym murem - mówiła Afdera, z pewną zazdrością obserwując całującą się na ławce parkę.

- Pewnie próbowała was chronić.

- Pewnie tak. Tyle że w spadku zostawiła mi zagadkę, do której rozwiązania nie jestem przygotowana. A przynajmniej nie zosta-

łam przygotowana. Zdaje się, że wierzyła we mnie bardziej niż ja sama.

- Moim skromnym zdaniem radzisz sobie znakomicie. Assai musi być z ciebie dumna. Tym bardziej, że wedle tego, co mówiłaś, byłaś dla niej siostrą, matką i ojcem naraz. Twoja babcia musiała mieć powody, żeby w ciebie wierzyć.

Afdera milczała, maszerując z rękami w kieszeniach ku głównemu budynkowi, gdzie profesor Leonardo Colaiani prowadził

zajęcia z historii wieków średnich.

Colaiani poznał Crescentię Brooks przez Rezeka Badaniego na początku lat sześćdziesiątych, mniej więcej w czasie, gdy babka Afdery kupiła Ewangelię Judasza. W tym okresie twierdził

uparcie, że księga pochodzi nie z okolic Gebel Qarara, lecz spod Gebel el-Tuna. Jednocześnie doradzał egipskiemu marszandowi jej sprzedaż.

Zarówno Colaiani, jak i Eolande byli dobrze znani w kairskich antykwariatach, podobnie jak w każdym innym miejscu, gdzie istniała szansa na znalezienie jakiegoś starego rękopisu.

Skupowali je wszystkie bez wyjątku. Eolande, papirolog, badał

rynek. Dokumenty takie jak księga Judasza albo teksty z Nag Hammadi były podwójnie cenne, albowiem miały oprawę, w starożytności niezbyt ważną, ale później przez wieki utrzymującą papirusowe karty razem. Zatrudniający obu naukowców Vasilis Kalamatiano musiał o tym wiedzieć.

Afdera i Max dotarli pod aulę. Zaglądając przez okienko w drzwiach, widzieli grupę studentów robiących notatki i zadających pytania. Twarzą do nich stał wysoki i szczupły mężczyzna o długich siwych włosach i opalonej twarzy częściowo zasłonię-

tej okrągłymi okularami w rogowych oprawkach. Trzeba było zaczekać.

Wreszcie przez drzwi przetoczyła się fala studentów. Afdera, która wolała zaczekać, aż aula opustoszeje, zagadnęła Colaianiego, gdy już niemal wychodził.

- Profesor Colaiani? Nazywam się Afdera Brooks i jestem wnuczką...

- Crescentii. Tak, domyślam się - przerwał jej Colaiani. -

Przejdźmy do mojego gabinetu. Tam będziemy mogli porozmawiać spokojnie. A pan to kto? - zwrócił się do Kronauera, którego dopiero w tym momencie dostrzegł.

- Och, przepraszam, profesorze. To jest Maximilian Kronauer, wielki przyjaciel rodziny i ekspert w dziedzinie wczesnego chrze-

ścijaństwa.

- Miło mi pana poznać - powiedział Max.

- Chodźmy do mojego gabinetu - powtórzył profesor, ignorując wyciągniętą dłoń Kronauera. Nie ulegało wątpliwości, że dodatkowe towarzystwo nie przypadło mu do gustu. - Badani zapowiadał

tylko panią - rzucił z niezadowoleniem.

W gabinecie panował metodyczny nieład charakterystyczny dla miejsc pracy naukowców. Ściany, aż po wysoki sufit, pokryte były drewnianymi półkami pełnymi uporządkowa-nych tematycznie i alfabetycznie książek mediewistycznych.

Pośrodku jednej ze ścian, na specjalnie zostawionej pustej przestrzeni, wisiał fragment czternastowiecznej steli, przedstawiający osłoniętego wielką tarczą rycerza w towarzystwie jakiegoś mitologicznego zwierzęcia, prawdopodobnie skrzydlatego lwa lub smoka.

Colaiani odłożył teczkę na chwiejny stos książek i innych papierów piętrzący się na biurku. Gdy pochylił się nad ustawio-ny obok skórzany fotel, by zdjąć z niego parę kolejnych tomów, te z biurka poleciały z wielkim hukiem. Colaiani szybko ułożył nowy stos, tym razem na podłodze.

- Proszę wybaczyć, ale nie mam kiedy tego posprzątać - powie dział. - Niech państwo siadają, gdzie się da.

Afdera przycupnęła na brzeżku fotela, opierając się plecami o kilka tomów Encyklopedii Britannica. Max zdecydował się na niski taboret, na którym ze względu na swój wzrost wyglądał

komicznie. Afdera obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem.

- W czym mogę pani pomóc, panno Brooks?

- Proszę mi mówić po imieniu, dobrze?

- Dobrze. A zatem, Afdero, w czym mogę pani pomóc?

- Potrzebuję informacji.

- Jakiego rodzaju informacji?

- Informacji o Ewangeli Judasza. Chciałabym wiedzieć, co pan ustalił, pracując dla Kalamatiana. Szczególnie interesują mnie związki tej księgi z Ludwikiem IX i...

- Wystarczy. Już wiem, o co chodzi. Zdradzę pani tyle, ile mogę, nie łamiąc klauzuli tajności, do której podpisania zobowiązał mnie i Charlesa pan Kalamatiano. Poproszę o pytania.

- W jaskini koło Gebel Qarara były trzy sarkofagi, jeden z uszkodzonym wiekiem. W środku znajdowały się szczątki osło-niętego puklerzem krzyżowca. Poznałam, że to rycerz Ludwika IX, ponieważ na oczach i ustach miał monety z jego wizerunkiem.

Dlaczego krzyżowcy mieliby chronić księgę Judasza?

- Przede wszystkim musimy przypomnieć sobie kontekst historyczny. W pierwszej połowie trzynastego wieku muzułmanie ponownie zdobyli Jerozolimę. Władcy europejscy byli w tym czasie zbyt zajęci wewnętrznymi sprawami swoich krajów, by się tym interesować, toteż jedynie król Francji, Ludwik IX, zaczął

organizować kolejną krucjatę. W czerwcu 1248 roku wyruszył

z Paryża w towarzystwie braci i licznych wielmożów, wśród których znajdowali się hrabia Flandrii oraz książę Bretanii.

We wrześniu wyprawa dotarła na Cypr, gdzie planowano spędzić zimę. Tam zaatakowała krzyżowców zaraza, co nie wpłynęło korzystnie na ich morale. Jednakże Ludwik IX nie zamierzał się poddawać. Wiosną ściągnął posiłki i zamiast do Ziemi Świętej ruszył w stronę Egiptu, gdzie przez zaskoczenie, 7 czerwca, zdobył Damiettę.

To mówiąc, Colaiani wstał i sięgnął na półkę po bogato ilu-minowane dzieło.

- Proszę - powiedział i przytrzymując w zębach fajkę, otworzył

księgę na stronie z barwną ilustracją przedstawiającą flotę Ludwika IX w porcie egipskiego miasta.

- I co było dalej? - spytała Afdera.

- Ludwik, jako człowiek popędliwy, nie chciał czekać na kolejne posiłki i postanowił zaatakować Kair. Jednakże, jak uczy historia wojen, łatwiej coś zdobyć, niż utrzymać. Wysoki poziom Nilu utrudniał krzyżowcom ruchy i dopiero w listopadzie udało się podjąć marsz na Kair. W kwietniu 1250 roku wojsko Ludwika poniosło klęskę pod Mansurą.

- Co się stało z królem?

- Chory i pokonany zdecydował się wracać do Damietty, ale po drodze dostał się do niewoli. Uwolniono go za cenę wysokiego okupu i zwrotu Damietty. Zaraz potem opuścił Egipt i wraz z resztkami swojej armii ruszył do Akki. Wśród towarzyszących mu rycerzy byli dwaj bracia, Philippe i Hugo de Fratens, a także kilku Waregów.

- Nie wiedziałem, że w krucjatach brali udział Skandynawowie

- zdziwił się Max.

- Owszem, brali. Głównie jako najemnicy. Poza tym zajmowali się handlem i piractwem. Strefa ich wpływów sięgała do Morza Kaspijskiego i Konstantynopola.

- Stolicy Bizancjum?

- Tak. Według źródeł pojawili się w tym rejonie w pierwszej połowie dziewiątego wieku, by służyć cesarzowi Teofilowi, jednakże wkrótce potem, jak to najemnicy, zmienili front i w 860

roku zaatakowali Konstantynopol. Co zresztą okazało się błędem, gdyż ponieśli dotkliwą klęskę.

- Nie wyznawali chrześcijaństwa, więc trudno przypuszczać, że w Ziemi Świętej walczyli w imię wiary.

- Panie Kronauer, Waregowie walczyli z jednego prostego powodu: byli najemnikami. Stawali po stronie tego, kto lepiej płacił. Wedle niektórych dokumentów w dziesiątym wieku znowu bronili Bizancjum, a także walczyli przeciwko Arabom. To sprawiło, że przestali być postrzegani jako zło konieczne i zostali dopuszczeni do gwardii cesarskiej. Ich zjadłość względem pokonanych przeciwników stała się przysłowiowa: bez litości zabijali uciekających z pola bitwy. Cesarz Bazyli utworzył z nich elitarny oddział zwany Gwardią Wareską. Z czasem napływało ich coraz więcej, ze Szwecji, Danii, Norwegii...

-W jaki sposób przyłączyli się do krzyżowców? - zapytała Afdera.

- Istnieją przesłanki, by sądzić, że oddziały Waregów walczy-

ły u boku cesarza Fryderyka II w czasie szóstej krucjaty i wła-

śnie u boku Ludwika IX podczas siódmej. Niektórzy podobno zostali w Ziemi Świętej aż do 1291 roku, kiedy to krzyżowcy po utracie Akki opuszczali swoje ostatnie przyczółki w Tyrze, Sydonie i

Bejrucie. Jestem pewien, że grupa Waregów towarzyszyła Ludwikowi IX w odwrocie spod Damietty do Akki i że część z nich wróciła potem z Philippe'em i Hugonem na Zachód.

- Dlaczego Ludwikowi IX tak zależało na Egipcie? - spytał

Max.

- Początkowo uważano, że chodziło o stworzenie stałej bazy, z której do niezbyt odległej Ziemi Świętej mogłyby wyruszać kolejne wyprawy krzyżowe. Jednakże ta sprawa miała raczej wymiar religijny. W wielu fragmentach Biblii występują wzmianki o wędrówce Świętej Rodziny przez Egipt, toteż Ludwik IX mógł

przypisywać egipskiej krucjacie spore znaczenie - wyjaśnił profesor.

- Ale przecież wagę tej wędrówki podkreśla bardziej tradycja koptyjska niż katolicka - zauważyła Afdera.

- To prawda - wtrącił Max. - Dla Koptów ten epizod jest bardzo istotny, do tego stopnia, że choć Biblia nie precyzuje, którędy dokładnie przebiegała trasa owej podróży, oni utrzymują, że potrafili ją odtworzyć, i to bardzo precyzyjnie.

- Tak, ale proszę spróbować sobie wyobrazić mentalność trzynastowiecznego chrześcijańskiego władcy. Jemu wystarczy-

ło, że Biblia wspomina o ucieczce Świętej Rodziny do Egiptu, by uznać za konieczne wyrwanie tej ziemi z rąk niewiernych.

- Czy Ludwik IX zetknął się z księgą Judasza? A jeśli tak, to w jakich okolicznościach? - spytała Afdera, czując, że odbiegają od tematu.

- Mógł na nią trafić przez przypadek w zdobytej Damietcie.

W jego ręce wpadła albo wersja koptyjska, należąca teraz do pani, albo greckie tłumaczenie oryginału aramejskiego. Obaj z Charlesem skłaniamy się ku tej pierwszej opcji.

- A jak pan myśli, dlaczego po siedmiuset latach księga Judasza objawiła się nagle w okolicach Gebel Qarara, w jaskini, gdzie pogrzebani zostali trzej krzyżowcy?

- Jak już mówiłem, król Ludwik był wzięty do niewoli, a następnie uwolniony za cenę wysokiego okupu oraz zwrotu Damietty niewiernym. W jakimś momencie lęk o losy księgi musiał go skłonić do powierzenia jej trzem rycerzom, którym prawdopodobnie przykazano bronić owego skarbu aż po grób. Z zadania tego, jak widać, wywiązali się znakomicie.

- Sądzi pan, że Ludwik IX domyślał się, co zawiera ta księga? -

drażyła Afdera, notując wszystko na ostatnich wolnych kartkach dziennika babki.

- Na to pytanie bardzo trudno odpowiedzieć, ale oczywiście nie da się wykluczyć, że jakiś towarzyszący królowi mnich znał

język koptyjski, ewentualnie grecki. Może zresztą obawa o wpływ tego tekstu na przyszłość Kościoła nie pozwoliła Ludwikowi zabrać księgi do Ziemi Świętej i potem Europy.

- To dlaczego po prostu nie spalił tego dokumentu? - rzucił

Max.

- Och, nie! Święty Ludwik nigdy by się na coś podobnego nie zdobył, nawet gdyby wiedział, że ma do czynienia z wyznaniem Judasza! To był człowiek niezwykle pobożny, a zarazem wielce zainteresowany historią chrześcijaństwa. Nie, nie odważyłby się spalić takiej księgi. Z jego punktu widzenia najwygodniej, albo najmniej niewygodnie, było ją wywieźć gdzieś daleko od Damietty, poza zasięg tak muzułmanów, jak chrześcijan. Dopóki pozostawała w ukryciu, strzeżona przez trzech wybranych rycerzy, nie istniało żadne zagrożenie.

- Czy słyszał pan coś o niejakim Eliezerze?

- Dlaczego pani pyta?

- Bo po przetłumaczeniu Ewangelii Judasza okazało się, że to imię powraca w niej wielokrotnie, a nie mamy pojęcia, do kogo się odnosi - odrzekła Afdera.

- Coś pani opowiem, chociaż Grekowi by się nie spodoba-

ło, że o tym mówię. Podobno po zajęciu Damietty krzyżowcy Ludwika IX znaleźli tam nie tylko księgę Judasza, ale również dziwny tekst w formie listu, podpisany imieniem jakiegoś Eliezera.

Według legendy ów list naprawdę przeraził króla. Może dlatego Ludwik zdecydował się rozdzielić te dwa teksty, w nadziei, że osobno wyrządzą Kościołowi mniej szkód.

- Ustalił pan, kim był Eliezer?

- Prawdopodobnie takim ówczesnym intelektualistą, kimś w rodzaju sekretarza Judasza Iskarioty albo nawet jego uczniem.

Tyle że Judasz popełnił samobójstwo zaraz po ujęciu Jezusa, a nigdzie nie ma wzmianki, jakoby miał uczniów w czasie, gdy należał do grona apostołów.

- Chyba że wbrew temu, co mówią Ewangelie, wcale nie popeł-

nił samobójstwa...

- Nie umiem się na temat wypowiadać. Jestem mediewistą specjalizującym się w krucjatach, a nie historykiem chrześcijań-

stwa. Przypuszczam, że tę kwestię lepiej naświetliłby nam pani przyjaciel - odrzekł Colaiani, spoglądając na Maksa.

- Przede wszystkim zauważmy - zaczął Max - że choć Ewangelie zgodnie potępiają Judasza, żadna nie precyzuje okoliczności zdrady. Święty Marek w ogóle nie tłumaczy, dlaczego Judasz wydał mistrza. Święty Mateusz wzmiankuje jedynie, że chodzi-

ło o pieniądze i że potem, widząc cierpienie Jezusa, Judasz się powiesił. Święty Łukasz sugeruje, że Iskariota zdradził Chrystusa za podszeptem diabła. Święty Jan nawet wzmacnia tę tezę, utrzymując, że Judasz miał w sobie szatana. A co do samobójstwa, pisze o nim tylko Mateusz. Pozostali ewangeliciści nie wspominają o tym ani słowem.

- Więc nie da się wykluczyć, że Judasz wcale się nie zabił

i później spotkał tego całego Eliezera?

- Nie da się tego wykluczyć. Podobnie jak tego, że Judasz trafił w końcu do Egiptu. Wielu mieszkańców Judei uciekało spod rzymskiego panowania czy też przed prześladowaniami religijnymi i osiedlało się w Damietcie i Aleksandrii. Może on też tak zrobił.

- Powinienem chyba dodać, że razem z Charlesem Eolande trafiliśmy na trop listu Eliezera. Najprawdopodobniej Ludwik IX rozkazał trzem ze swoich rycerzy zabrać księgę Judasza na południe, natomiast list trafił do Akki, skąd powiózł go do Antiochii i Pireusu inny krzyżowiec, eskortowany przez Waregów. Tam ślad się urywa - wyznał Colaiani.

- Wiadomo coś jeszcze? - dopytywała się Afdera, notując najszybciej, jak się dało.

- Wśród rycerzy towarzyszących Ludwikowi IX do Akki było, jak już mówiłem, dwóch braci, którzy, dotarłszy do stolicy krzy-

zowców, musieli się chyba rozdzielić. Niewykluczone, że jeden zginął. Drugi wyruszył do miejsca znanego jako Wodny Labirynt, albo Miasto Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników, ale ani ja, ani Charles nie potrafiliśmy ustalić, co to właściwie miało być. Brak jakichkolwiek wskazówek. Wiemy jedynie, jak już wspomniałem, że ów rycerz razem z grupą Waregów zatrzymał się po drodze w Antiochii i Pireusie. I tyle.

- Czy to znaczy, że mógł wieść list Eliezera?

- Nie jestem w stanie stwierdzić tego z całą pewnością ani udokumentować, ale obecność wareskiej eskorty zdaje się potwierdzać tę tezę. Do takiego wniosku doszliśmy obaj z Charlesem.

- Rycerz z legendy... - szepnęła w zamyśleniu Afdera.

- Jakiej legendy?

- Z legendy o rycerzu i relikwii. Wydaje mi się, że jest gdzieś w Wenecji płaskorzeźba przedstawiająca hełm, tarczę i szpadę.

A legenda opowiada o rycerzu, który wracał z Ziemi Świętej, wioząc relikwię. W trakcie podróży zaprzyjaźnił się z pewnym kupcem, niejakim Morosinim. Gdy dotarli do Wenecji, kupiec zaproponował nowemu przyjacielowi gościnę w swoim bogatym domu, mieszczącym się zresztą przy uliczce jego imienia. Tam przedstawił przybysza swojej pięknej siostrze. A rycerz, biegłej-szy w sztuce wojennej niż w miłości, zakochał się na zabój, zapominając o misji zleconej mu przez króla Ludwika. Tymczasem rzekome rodzeństwo, będące w istocie parą sprytnych kochanków, ograbiło biedaka ze zdobytej na Wschodzie fortuny, zabierając mu nawet zbroję, tarczę i miecz, po czym zbiegło z Wenecji.

Legenda mówi, że od tamtej pory nieszczęsny rycerz błąkał się po ulicach miasta, lamentując, aż wreszcie pewnego dnia przy studni przed domem nieuczciwego kupca znalazł swoją zbroję.

Wtedy zniknął, ale herb wyryty na zbroi odcisnął się na cem-browinie owej studni.

- Pamięta pani, co to miał być za herb? - spytał profesor, wyjmując z półki książkę z herbami krzyżowców.

- Wydaje mi się, że coś w rodzaju lwiego pazura, ale nie jestem pewna...

Colaiani szybko odnalazł właściwą stronę, a wtedy oczom Afdery i Maksa ukazał się herb z lwim pazurem.

- Coś takiego?

- Tak, możliwe. Nawet na pewno.

- To herb rodziny de Fratens, której członkowie brali udział

w prowadzonej przez Ludwika IX siódmej krucjacie. Co by znaczyło, że opowiedziana nam przez panią legenda może mieć wiele wspólnego z rzeczywistością. Dowodzi bowiem, że któryś z braci de Fratens, albo Hugo, albo Philippe, dotarł do Wenecji. Pytanie brzmi: który? I jaką drogą?

- Czy to naprawdę ważne który? - spytał Max.

- O, tak! Bo Hugo i Philippe, nierozłączni pod Damietą i Mansurą, bardzo się między sobą różnili. Byli synami swoich czasów, pełnej sprzeczności epoki feudalnej. Europą rządzący wówczas książęta, królowie i cesarze, a w ich imieniu całe zastępy pomniejszych panów, do których zaliczał się również ojciec Hugona i Philippe'a. Jego synowie woleli jednak szukać chwały i fortuny w służbie Bogu, który w tamtej hierar-chii zajmował miejsce na samej górze. Dlatego przyłączyli się do Ludwika IX. Udział w krucjacie był o tyle szczególnym prze-

życiem, że wywracał dotychczasowe pojęcie o świecie do góry nogami, skostniałe feudalne struktury nabierały elastyczności: pan mógł skończyć jako sługa, a sługa jako pan. A do tej pory ludzie z dołu drabiny społecznej byli postrzegani przez braci de Fratens najwyżej jako potencjalne obiekty chrześcijańskiego miłosierdzia. W tych niezwykłych okolicznościach różne charaktery tych dwóch rycerzy nabrały wyrazistości. Hugo był

waleczny, ale zarazem pobożny, skromny i skłonny do ascezy.

Philippe z kolei, gwałtowny z natury, wobec nieprzyjaciół stawał

się okrutny i chętniej nawet niż inni chwalił się wielką liczbą usieczonych przez siebie niewiernych. Ich zabijanie nazywał

malicidium, czyli tępieniem zła. Hugo starał się pomagać najsłabszym, Philippe likwidował ich bez mrugnięcia okiem, jeśli tylko mieli nieszczęście zaliczać się do kategorii niewiernych.

A często i bez tego pretekstu. Hugo sprawiał wrażenie mnicha w rycerskiej zbroi, Philippe'a zaś bez cienia przesady można byłoby nazwać sadystą.

- Nadal nie do końca rozumiem, jakie znaczenie ma to, który z nich dotarł do Wenecji - powiedział Max.

- Ogromne. Jeśli jeden z braci istotnie poległ w Ziemi Świętej i jeśli był to Philippe, najprawdopodobniej pogrzebano go gdziekolwiek. Natomiast Hugona pochowano by z pewnością z honorami, w katakumbach. Chociaż i jego grób trudno byłoby odnaleźć.

Ta płaskorzeźba, o której pani wspomniała, ta z hełmem, tarczą i mieczem... Z jakiego okresu mogła pochodzić? - zainteresował

się Colaiani.

- Nie jestem pewna, ale chyba z trzynastego albo czternastego wieku. To się da sprawdzić w archiwach miasta albo w bibliotece Świętego Marka, w Pałacu Dożów. Naprawdę pan sądzi, że w tamtej legendzie może być coś na rzeczy?

- Sama pani wie, Afdero, że w każdym podaniu kryje się ziarno prawdy. A jeśli rycerz z pani legendy to jeden z krzyżowców Ludwika IX i zarazem ten z braci de Fratens, który powrócił

do Europy z listem Eliezera? A jeśli Wodny Labirynt albo Miasto Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników to ni mniej, ni więcej, tylko Wenecja? Proszę pomyśleć, co by było, gdybyśmy ustalili, że ten list znajduje się właśnie w Wenecji? Wie pani, co by to oznacza-

ło dla chrześcijaństwa? Gdybyśmy odnaleźli oryginalny dokument wykazujący, że wbrew słowom świętego Mateusza Judasz Iskariota nie popełnił samobójstwa? Taby otworzyło ludziom oczy na zafałszowanie leżące u podstaw Kościoła katolickiego! Proszę sobie wyobrazić doniosłość takiego odkrycia! Oczywiście, jestem gotów podzielić się z panią sławą...

- Dziękuję, ale ja, szczerze mówiąc, nie zamierzam dzielić się z panem treścią listu Eliezera, jeśli, oczywiście, założyć, że tak-wy istnieje i że ja go znajdę. Księga Judasza należy do mnie, ale tak czy owak jeszcze trochę za wcześnie na to, by pławić się w chwale.

- Otóż to - wtrącił Max. - Co wiemy na temat tego z braci, który nie wrócił?

- Jak państwo zapewne słyszeli, Ludwik IX przez cztery kolejne lata przebywał na Bliskim Wschodzie, fortyfikował chrześcijańskie twierdze w Akce, Cezarei, Jaffie i Sydonie, pielgrzymował do świętych miejsc, takich jak Nazaret czy Kana Galilejska. Potem, w roku 1254, musiał powrócić do Francji, by objąć obowiązki króla, albowiem zmarła jego matka, pełniąca funkcję regentki Blanka Kastylijska.

- A drugi z braci de Fratens? Co o nim wiadomo? - powtórzyła pytanie Maksa Afdera, notując zawzięcie.

- Właściwie nic. Jak już mówiliśmy, pewnie zginął. W latach 1250-1291 poległych krzyżowców grzebano najczęściej tam, gdzie padli w boju. Tylko tych szczególnie zasłużonych przewożono do Akki i w pełnym rynsztunku chowano w tamtejszych kryptach i katakumbach. Większość zakonów działających w Ziemi Świętej prowadziła rejestry poległych, a nawet częściową ewidencję grobów. Problem w tym, że po 1291 roku, kiedy to miasto przeszło w ręce muzułmanów, większość dokumentów zaginęła - odrzekł

Colaiani.

- Więc na tej podstawie nie da się zlokalizować grobu rycerza de Fratens?

- Nie. Muzułmanie spalili większość znalezionych w Akce dokumentów, a jeśli nawet coś się uchowało, dzieła dokończyli Turcy po zdobyciu miasta w 1517 roku. Wiadomo z pewnością, że w 1919 roku, kiedy Anglicy przyłączyli Akkę do Palestyny, żadne rejestry z czasów krucjat już nie istniały. Żeby odnaleźć tamten grób, należałoby zbadać każdy fragment gigantycznych podziemi pod Akką. Bez żadnej gwarancji na powodzenie. Nie wspominając już o tym, że wcześniej trzeba by było zdobyć specjalną zgodę Izraela, co się raczej nie uda.

- Dlaczego? Mam świetne układy z tamtejszym Wydziałem Starożytności.

- W przeciwieństwie do mnie - stwierdził Colaiani.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Izrael oficjalnie oskarżył Vasilisa Kalamatiana, Charlesa Eolande i mnie o podjęcie próby wywozu z Akki kilku cennych przedmiotów. Oczywiście nie miałem z tym nic wspólnego, ale oskarżenie objęło nas trzech, więc do Akki na pewno mnie nie wpuszczą.

- Proszę się nie martwić. Jeśli mi pan pomoże, ja pomogę panu - zaproponowała Afdera.

- A w jaki niby sposób miałbym pani pomóc? I właściwie dlaczego, skoro nie chce się pani z nikim dzielić profitami płynącymi z ewentualnego odkrycia listu Eliezera?

- Może zmienię zdanie. To zależy od pana.

- Więc czego pani ode mnie oczekuje?

- Chciałabym, żeby umożliwił mi pan kontakt z Vasilisem Kalamatianem.

- Czy pani zwariowała? - wykrzyknął Colaiani. - Jeśli Grek się dowie, że rozmawiałem z panią o księdze Judasza i liście Eliezera, gotów obedrzeć mnie żywcem ze skóry.

- Cóż, zna pan mój warunek. Utoruje mi pan drogę do Kalamatiana, a w Izraelu znów będzie pan miał czyste konto.

W przeciwnym razie zadbam o to, by do wszystkich przyjaciół

mojej babki dotarła wieść, że przy okazji pewnej transakcji próbo-wał mnie pan nabić w butelkę. A proszę mi wierzyć: moja babka miała niezwykłą łatwość nawiązywania przyjaźni - oświadczyła Afdera z niewinną miną.

- Wredna suka - mruknął pod nosem Colaiani, pochylając się nad zabałaganionym biurkiem w poszukiwaniu oprawnego w skórę i wytartego ze starości notesu, który znalazł się w końcu pod stertą papierów i czarno-białych zdjęć. - Dobrze, dam pani kontakt do Kalamatiana. Niech pani zadzwoni pod ten numer.

Jeśli Grek zgodzi się z panią porozmawiać, to świetnie. Wtedy załatwi pani sprawę z Izraelem. Jeśli Grek się nie zgodzi, to trudno. Moją sprawę załatwi pani tak czy owak.

- Zgoda. Umowa stoi. Zadzwonię do pana, jak pogadam z Kalamatianem. Nie będziemy dłużej panu przeszkadzać - powiedziała Afdera, wstając.

- Czekam. Proszę pamiętać, że jesteśmy teraz współnikami

- rzucił Colaiani.

- Jeszcze nie, profesorze, jeszcze nie.

- Co zamierzasz? - odezwał się Max, gdy opuścili kampus.

- Chyba spróbuję namierzyć tego Kalamatiana.

- A potem?

- Muszę zadzwonić do Berna i porozmawiać z Hansem Grüberem, żeby się dowiedzieć, czy przy zwłokach Hoffmana znaleziono wycięty z materiału ośmiokąt.

- A co zrobisz, jeśli się okaże, że ów ktoś, kto zostawia przy swoich ofiarach te ośmiokąty, rzeczywiście likwiduje wszystkich, którzy mieli styczność z księgą? Tym bardziej, że teraz pojawiła się dodatkowo kwestia listu Eliezera. Sądzisz, że jeśli naprawdę ktoś morduje osoby zamieszane w sprawę Ewangelii Judasza, to teraz po prostu sobie odpuści?

- Nie mam zielonego pojęcia, Max. Chwilowo nie mogę o tym wszystkim myśleć. Choć kto wie, czy Judasz był w ogóle wart naszych zachodów.

- Więc może, wzorem swojej babki, powinnaś go zostawić w spokoju?

- I nigdy się nie dowiedzieć, czy zdradził mistrza? Mowy nie ma.

- W „Piekło” Dantego Judasz Iskariota cierpi najstraszliwsze męki, pożerany od głowy przez wielkie ptaszysko. Samo to imię stało się synonimem zdrady i pazerności, wszystkiego co najgorsze i godne pogardy. Nikt na Zachodzie nie nazwałby tak nawet psa, nie wspominając o dziecku. Zresztą nadanie tego imienia na przykład w Niemczech jest zabronione. Sprawdzenie, czy od wieków ludzkość nie popełnia w ten sposób niesprawiedliwości, to w sumie szlachetna misja - uznał Max, Gdy taksówka zatrzymała się przed Grand Hotelem Villa Medici, Afdera wysiadła, spodziewając się, że jej towarzysz uczyni to samo. Max wszakże nie ruszył się z miejsca.

- Nie wejdiesz?

- Nie. Ale dziś przy kolacji wszystko ci wytłumaczę.

Obiecuję.

- Mam nadzieję, że wypadniesz przekonująco. Spotkajmy się o dziewiątej wieczorem, w restauracji Al Lume di Candela przy via Pancini. Tylko się nie spóźnij - rzuciła, z irytacją zatraskując drzwi.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zadzwoniła do Sabine Hubert.

- Wszystko w porządku? - spytała Sabine.

- Tak, dzięki. A u ciebie?

- Też. Powoli kończymy z twoją „Peuaggelion Nioudas”...

- Z czym?

- Tak brzmi tytuł Ewangelii Judasza po koptyjsku. Muszę ci powiedzieć, że praca nad tym tekstem to było dla mnie wyjątkowe doświadczenie, jak układanie wielkich puzzli. Ewangelia jest spisana na trzynastu papirusowych kartach, dwustronnie, co daje dwadzieścia sześć stron, noszących numery od trzydziestego trzeciego do pięćdziesiątego ósmego. W tę całość udało nam się wpasować niemal wszystkie luźne fragmenty.

- To musiała być żmudna robota.

- Owszem. Weź dziesięciostronicowy, spisany obustronnie dokument, porwij go na małe kawałki, wyrzuć połowę z nich, a potem spróbuj zrekonstruować jego pierwotny wygląd.

Piekielnie trudne zadanie. My pracowaliśmy na fotokopiach.

Powieliliśmy wszystkie, nawet najdrobniejsze skrawki, ponumerowaliśmy je, a następnie zdaliśmy się na Efraima. Odczytanie całości zawdzięczamy długiej serii małych sukcesów. Każdy wpasowany fragment przyszedł nam do celu. W efekcie może-my z całą odpowiedzialnością

stwierdzić, że jest to opowieść o ostatnich dniach Chrystusa. Ta sama, którą Ireneusz z Lyonu potępił tysiąc osiemset lat temu, co do tego wszyscy się zgadzamy.

- Skąd ta pewność?

- Stąd, że Efraim, tłumacząc, natknął się na takie oto zdanie:

„Ty zaś przewyższysz ich wszystkich, albowiem będziesz umiał

poświęcić moją cielesną powłokę". Burt twierdzi, że upublicznienie tego dokumentu mogłoby się skończyć kryzysem w Kościele. Nie ulega wątpliwości, że babcia zostawiła ci w spadku jedno z najważ-

niejszych źródeł tego stulecia, bezpośrednią relację z wydarzeń leżących u podstaw chrześcijaństwa.

- Dowiedzieliście się czegoś więcej o Eliezerze?

- Tak, to bardzo ciekawe. Burt uważa, że chodzi o ucznia albo też sekretarza Judasza, pracującego z nim już po jego rzekomym samobójstwie.

- Sabine, myślisz, że powinnam się u was pojawić?

- Sądzę, że tak. Omówilibyśmy z tobą ostatnie szczegóły.

Chyba nadszedł moment, w którym musisz się zdecydować, co dalej z księgą, czy zamierzasz ją sprzedać, podarować jakiejś instytucji, czy może zachować dla siebie. Poza tym John, Burt i Efraim chcieliby się z tobą pożegnać, zanim wrócą do siebie.

- Dobrze, w takim razie przyjadę. Czy Aguilar rozmawiał

z tobą o księdze? - spytała Afdera.

- Nie, nic nie mówił. Lepiej mu nie ufaj. Gotów jeszcze zaprzepaścić naszą pracę.

- Posłuchaj, razem z Assai zgodziłyśmy się sprzedać księgę na pewnych precyzyjnie określonych warunkach i Aguilar służy za pośrednika. Mój adwokat ma się zająć przeprowadzeniem transakcji.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, ale, powtarzam, nie ufaj Aguilarowi.

- Wezmę sobie to ostrzeżenie do serca. Widzimy się za parę dni w Bernie - pożegnała się Afdera.

Nad Florencją zapadał już zmierzch, barwiąc dachy domów różnymi odcieniami czerwieni i fioletu. Zaprojektowana w piętnastym wieku przez Filippa Brunelleschiego kopuła katedry górowała nad morzem cieni. Afdera zerknęła na zegarek.

Miała jeszcze trochę czasu do kolacji. Położyła się na łóżku, chcąc się zdrzemnąć, ale niepokój nie

dawał jej zasnąć. Wciąż myślała o tym, co ma do powiedzenia Max. O co mu może chodzić, zastanawiała się gorączkowo, dopóki w końcu nie zmorzył

jej sen.

Po pewnym czasie obudziła się i natychmiast zerwała z łóżka.

- Niech to szlag! Spóźnię się! - wykrzyknęła.

Rozebrała się pospiesznie i wzięła błyskawiczny prysznic, po czym założyła czarną bieliznę, pończochy z podwiązkami i głęboko wyciętą czarną sukienkę.

- Jeśli to go nie ruszy, to musi być gejem - rzekła do lustra, poprawiając ułożenie piersi, tak by wydawały się większe.

Potem wypadła jak burza z hotelu i wskoczyła do taksówki.

Kierowca nie przestawał na nią zerkać w tylnym lusterku. Był

śniady i bardzo atrakcyjny z tymi zielonymi oczami. Doskonały florentczyk, pomyślała.

- Proszę mi pozwolić powiedzieć, że wygląda pani wspaniale

- odezwał się w końcu.

- Dziękuję. Ale jestem mężatką - odparła, machając wymownie dłonią, na której nosiła kilka pierścionków.

- Przepraszam, nie chciałem się narzucać.

- Nic nie szkodzi. Naprawdę dziękuję za komplement.

Przez resztę drogi w samochodzie panowało milczenie.

- To tutaj - oświadczył wreszcie przystojny szofer.

Afdera wysiadła i weszła do restauracji. Maksa jeszcze nie było. Kelner zaprowadził ją do stolika w głębi sali.

- Na razie poproszę wytrawne martini - powiedziała.

Sprawdziła godzinę. Dochodziło dziesięć po dziewiątej. Max pojawił się pięć minut później. Afdera zauważyła go dopiero, gdy kelner podprowadził go całkiem blisko.

- To księdza stolik - powiedział i odszedł.

Podniósłszy wzrok, Afdera zobaczyła Maksa w eleganckim garniturze, od którego czerni tym wyraźniej odcinała się biel koloratki.

- Jestem kretynką - syknęła, wstając. Jej zdumienie szybko przemieniło się w oburzenie. - Musiałeś się nieźle bawić. Jak mogłam się nie domyślić?

- Pozwól, że ci wyjaśnię.. - zaczął Max, próbując ją przytrzymać za rękę.

- Nie chcę twoich wyjaśnień. Nie ma nic do wyjaśniania. Wszystko jest jasne: okłamałeś mnie, a ja dałam się podejść jak idiotka.

Czuję się oszukana. Cóż, ostatecznie zostałam oszukana - mówiła Afdera, wrywając mu dłoń i nie pozwalając dojść do słowa.

- Jak cię niby oszukałem? - Max zdołał się wreszcie przedrzeć przez potok jej wymowy. - Nie chcąc się z tobą przespać? Ani się z tobą całować? Musząc uciekać, żeby nie dopuścić do czegoś, czego pewnie bym pragnął? No, sama powiedz, jak cię oszukałem?

- Czuję się jak kretyнка. Powinna stąd wyjść i sama nie wiem, czy paraliżuje mnie wstyd, głupota czy upokorzenie. Tak się wygłupić! Och, te wszystkie moje podchody i zawoalowane propozycje...! Powinieneś był mi już dawno powiedzieć!

- Wiem, powinienem. Tylko że jakoś nigdy nie było okazji.

Oczywiście, nie jestem bez winy, ale za każdym razem, gdy już zebrałem się w sobie, ty mówiłaś lub robiłaś coś, co sprawiało, że takie wyznanie stawało się zdecydowanie nie na miejscu...

Otwierałaś na oścież drzwi...

- Które ty powinieneś był zamknąć nieodwołalnie już na samym początku - ucięła Afdera.

- To prawda. Sam nie wiem, dlaczego tego nie uczyniłem.

A właściwie wiem, ale to bez znaczenia. Ostatecznie jestem księ-

dzem. Choć zarazem mężczyzną. Co nie ułatwiało mi sprawy. Jeśli cię to pocieszy, to mogę ci powiedzieć, że nieraz musiałem staczać ze sobą prawdziwe walki. Na przykład wtedy w Bernie...

- I co? Mam się może nad tobą uzalać? A ja jak się czu-

łam? I teraz mi to wszystko mówisz? Tutaj? W ten sposób? Uch!

Wciąż się waham, czy ci przywalić, czy zwyczajnie stąd uciec.

Co za idiotka! - piekliła się dalej Afdera, podczas gdy Max nadal próbował ją przytrzymać, żeby przypadkiem nie skłoniła się ku drugiej z wymienionych przed chwilą możliwości.

- Więc jak będzie?

- Z czym?

- Z ewentualnymi rękoczynami.

- Szczerze mówiąc, trochę mi przeszło. Może najpierw napiję się jeszcze martini. I przy okazji sprawdzę, czy aby nie okłamałeś mnie też w innych kwestiach.

- W ogóle cię nie okłamałem. Po prostu nie powiedziałem ci wszystkiego, a to nie to samo. Ale sprawdzaj, proszę bardzo

- odparł Max.

- Od jak dawna jesteś księdzem?

- Od blisko dwudziestu pięciu lat. Wstąpiłem do seminarium jako osiemnastolatek. Moje powołanie objawiło się stopniowo, to była raczej długo analizowana decyzja niż nagłe olśnienie. Mój stryj, kardynał Ulrich Kronauer, bardzo mnie namawiał.

- Gdzie studiowałeś? Na jakim uniwersytecie?

- W Yale. Historię religii. Stąd potem specjalizacja w początkach chrześcijaństwa. Następnie spędziłem kilka lat w Damaszku, ucząc się aramejskiego i koptyjskiego.

- Najwyraźniej nie pochodzisz z biednej rodziny - mruknęła Afdera, wypijając jednym haustem drugie martini.

- Skąd ten wniosek?

- Skoro studiowałeś w Yale... To uczelnia w sam raz dla takich jak ty.

- Albo jak ty... Ale owszem, moja rodzina ma pieniądze, cał-

kiem chyba sporo. I ze strony ojca od pokoleń jest związana z Kościołem. Moi przodkowie współpracowali z wieloma papie-

żami, stryj Ulrich należy do grona najbliższych doradców Ojca Świętego. Rodzina mojej matki od początków dziewiętnastego wieku siedzi w handlu żelazem.

- Skąd pochodzisz?

- Oczywiście z katolickiej Bawarii. Ojciec urodził się w Ingolstadt, matka w Berlinie, a ja w Augsburgu, w sierpniu 1939

roku, tuż przed wybuchem wojny. Rodzice mieli w Augsburgu dom.

- Co robili podczas wojny?

- Prawdę mówiąc, na początku popierali Hitlera, ale wraz z upływem lat ich sen o wielkiej Rzeszy zaczął się rozwiewać.

Wielu ich przyjaciół trafiło do Dachau za udział w opozycji.

Na koniec została skonfiskowana część majątku należącego do rodziny matki, a rodzice zdecydowali się wynieść do Watykanu, dokąd ściągnął ich stryj Ulrich.

- Po wojnie wróciliście do Niemiec?

- Tak. Po denazyfikacji rodzice próbowali znowu normalnie żyć, co nie było wcale łatwe w tak wyniszczonym przez wojnę kraju, usiedliśmy w Monachium, gdzie mieszkaliśmy do końca lat pięćdziesiątych. Wtedy wstąpiłem do seminarium.

- Masz rodzeństwo? - spytała Afdera, sygnalizując kelnerowi, by przyniósł jej trzecie martini.

- Tak. Mam w Niemczech dwóch braci, którzy napłodzili już mnóstwo dzieci.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś księdzem?

Zrozumiałabym...

- Coś mnie powstrzymywało. Może strach, że cię stracę...

- Nie można stracić czegoś, czego się nie ma - zauważyła Afdera.

- Wiem - przyznał Max. - Więc pewnie bałem się po prostu, że już cię nigdy nie zobaczę. A tak lubię się z tobą spotykać, rozmawiać. Nie chciałem, aby to się skończyło. Wiem, że to bardzo egoistyczne. Mam zniknąć z twojego życia? - spytał nagle.

- Muszę to przemyśleć. Teraz lecę do Berna, żeby zamknąć sprawy związane z księgą Judasza. Potem, jeśli zechcesz, możemy przedyskutować rzecz na spokojnie. Na razie muszę trochę dojechać do siebie.

- Kiedy wrócisz do Wenecji?

- Nie wiem. Najpierw Berno.

- Może zamówimy kolację?

- Tak, ojcze Maksie - zgodziła się Afdera.

- Nie bądź złośliwa. - Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

- Na co masz ochotę?

Berno

Ranek wstał bardzo zimny. Lodowaty wiatr hulał

po ulicach miasta. Adwokat rodziny Brooksów, Sampson Hamilton, jechał na spotkanie do siedziby

Fundacji Helsinga.

Renard Aguilar zaprosił go na dziesiątą, a Sampson lubił być punktualny.

Mercedes zjechał z Schweizerhausweg i zatrzymał się przy bramie. Szofer opuścił szybę i wręczył uzbrojonemu strażnikowi przepustkę. Drugi z ochroniarzy przypatrywał im się z uwagą, przytrzymując na smyczy wyglądającego niezbyt przyjaźnie wilczura.

Potem sterowana automatycznie brama otworzyła się powoli. Tuż za nią wysypana białym żwirem droga niknęła w gęstym lasku.

Auto ruszyło między drzewami. Na niewielkiej polanie, ukryty za niskim wzgórzem znajdował się przeszklony budynek. Co najmniej jak siedziba CIA, pomyślał Sampson.

Nad recepcją pyszniło się wielkie logo Fundacji Helsinga.

- Pan Hamilton?

- Tak, to ja.

- Proszę za mną do sali konferencyjnej.

Idąc za młodą recepcjonistką, Hamilton przyglądał się zdobiącym korytarz dziełom sztuki: były tu greckie płaskorzeźby, fragmenty etruskich płyt nagrobnych, rzymskie posągi, a także obrazy Roya Lichtensteina, Marka Rothko i Tycjana. Na końcu znajdowały się masywne drzwi. Adwokat spodziewał się zastać za nimi zwarty zastęp doskonale ubranych prawników gotowych negocjować każdy szczegół umowy. Tymczasem w sali konferencyjnej czekał jedynie dyrektor Fundacji Helsinga, Renard Aguilar.

- Dzień dobry. Wyobrażałem sobie, że spotkamy się w większym gronie - odezwał się Hamilton.

- Och, nie! My tu w Fundacji Helsinga unikamy prawników jak ognia. Bez urazy...

- Proszę się nie przejmować, ja też nie przepadam za prawnikami, chociaż sam się do nich zaliczam - odparł adwokat, uśmiechając się z przymusem. - Przejdźmy zatem do rzeczy. Oto trzy kopie umowy przedwstępnej dotyczącej przekazania praw własności do księgi Judasza reprezentowanemu przez państwa nabywcy.

- Jeśli pan pozwoli, chciałbym to teraz spokojnie przeczytać.

- Oczywiście. Wystarczy panu godzina?

- Na pewno. Moja sekretarka zaprowadzi pana do pokoju, gdzie będzie pan mógł poczekać. Nasz personel zajmie się panem

- odrzekł Aguilar.

Dokładnie sześćdziesiąt minut później sekretarka weszła do pomieszczenia, w którym Hamilton czytał gazety.

- Mogę pana prosić?

- Jasne - rzucił w odpowiedzi.

Gdy zostali z Aguilarem sami, ten powiedział:

- Uważnie przeczytałem przygotowaną przez pana umowę.

Ze wszystkimi punktami się zgadzam, o czym bezzwłocznie poinformuję nabywcę. Możemy podpisywać. W następnej kolejności na wskazane przez pana konto przelana zostanie uzgodniona suma ośmiu milionów dolarów, a dokumentacja dotycząca renowacji i tłumaczenia księgi Judasza spocznie w archiwach Fundacji Helsinga. Kopie tej dokumentacji wyślemy panie Afderze Brooks do Wenecji. Jednakże ani panie Brooks, ani Fundacji Helsinga nie będzie wolno publicznie wykorzystywać tych materiałów bez uzyskania zgody nowego właściciela księgi. Każdy spór wynikły z odstępstwa od postanowień niniejszej umowy rozstrzygać będą sądy w Szwajcarii, Stanach Zjednoczonych bądź Wielkiej Brytanii.

- Doskonale. Jeśli wszystko jasne, pora na nasze podpisy

- rzekł Sampson Hamilton.

Obaj panowie wyjęli pióra Montblanc i parafowali każdą z dwudziestu stron umowy.

- Trzeba wnieść toast za pomyślną transakcję - oznajmił

Aguilar, wyciągając skądś butelkę szampana.

- Przykro mi, ale nie piję alkoholu. Mam nadzieję, że nie musimy się spodziewać żadnych niespodzianek ani ze strony fundacji, ani ze strony pańskiego tajemniczego nabywcy. Bo zapewniam, że nie chciałby się pan ze mną spotkać w sądzie.

- Po cóż wprowadzać niemiłą atmosferę, panie Hamilton?

Wszystko będzie jak należy. A zmieniając temat: jakie ma pan na dzisiaj plany? Może zje pan ze mną kolację?

- Żałuję, ale jutro z rana lecę do Stanów, konkretnie do Kolorado, więc...

- O, to wspaniały region, zwłaszcza jeśli ma się czas, by pojeź-

dzić na nartach.

- To podróż służbowa związana ze sprawami mojej klientki, więc raczej nie będę miał zbyt wiele czasu. Tak czy owak, dziękuję za to spostrzeżenie. Zobaczę, co się da zrobić - odparł adwokat,

wstając i podając dyrektorowi rękę.

Tuż przed drzwiami odwrócił się jeszcze i dodał:

- À propos, moja klientka, panna Brooks, chciałaby osobiście podziękować członkom ekipy badawczej pracującej nad księ-

gą. Kiedy powinna się zjawić, żeby zdążyć przed ich wyjazdem ze Szwajcarii?

- O, będą tu jeszcze co najmniej tydzień.

Po odjeździe Sampsona Hamiltona Aguilar poprosił swoją sekretarkę, by mu nie przeszkadzać, i zamknął się w gabinecie.

Potem, wsunąwszy do ust miętowego cukierka, wybrał numer w Hongkongu.

- Tak, słucham?

- Dzień dobry, chciałbym mówić z panem Delmerem Wu.

- A kto dzwoni?

- Renard Aguilar z Fundacji Helsinga. Proszę przekazać panu Wu, że mam to, o co mnie prosił - powiedział i rozłączył się.

Teraz czekała go trudniejsza rozmowa. Musiał skontaktować się z sekretarzem kardynała Lienarta, Mahoneyem.

- Watykański Sekretariat Stanu, słucham?

- Chciałbym mówić z biskupem Mahoneyem, sekretarzem Jego Eminencji kardynała Augusta Lienarta. To pilne. Proszę powiedzieć, że dzwonię z Berna, z Fundacji Helsinga.

- Dobrze, zechce pan chwilę poczekać.

Na linii rozległ się śpiew chóru, wkrótce przerwany przez dyżurnego kleryka.

- Proszę pana? Łączę z biskupem Mahoneyem.

Głos Emery'ego Mahoneya brzmiał surowo. Aguilar nie cierpiał

sekretarza, który zresztą coraz bardziej upodabniał się do swego zwierzchnika.

- Czego pan sobie życzy, panie Aguilar?

- Dzwonię, aby poinformować, że jesteśmy w trakcie załatwiania formalności z adwokatem panny Brooks. Za kilka dni wszystko będzie dopięte na ostatni guzik. Wtedy zatelefonuję, by poprosić o odebranie książki. Wie ekscelencja, że całkowicie zgadzam się z kardynałem Lienartem co do tego, że

ten dokument powinien się znaleźć pod kontrolą Kościoła.

- Przekażę Jego Eminencji pańskie słowa. Mam nadzieję, że nie wynikną żadne problemy. Bo jak pan wie, kardynał nie lubi problemów - rzucił ostrzegawczo Mahoney.

- Wiem, ekscelencjo. Żadnych problemów nie będzie i już wkrótce księga trafi do Watykanu. Nie ma powodu do obaw, zapewniam.

- Liczę na to. Czy coś jeszcze?

- Nie jestem pewien, czy to ważne... - zaczął Aguilar.

- Ja o tym zdecyduję. O co chodzi?

- Hamilton, adwokat panny Brooks, powiedział mi przy okazji, że wybiera się do Kolorado w sprawach swojej klientki.

Pomyślałem, że ta informacja może się przydać...

- Nigdy do końca nie wiemy, jaką drogą powinniśmy pójść, panie Aguilar, i często jedynym pewnikiem jest to, że tak czy owak trzeba brnąć do przodu. Wahamy się, szukamy odpowiedzi i w końcu stwierdzamy: „To należy uczynić i tak właśnie postąpię”. A potem znowu zaczynamy się wahać, czy podjęliśmy słuszną decyzję. Oto jest pytanie. Dlatego nie będzie pan wiedział, czy zrobił pan dobrze, i nigdy się pan tego nie dowie, nawet jeśli panu za to zapłacimy

- odrzekł biskup Mahoney, zanim odłożył słuchawkę.

Watykan

Telefon Renarda Aguilara napełnił Mahoneya nie-pokojem. Czy ten cały Hamilton nie zamierzał aby wtykać nosa w nie swoje sprawy? Czy jego podróż nie miała przypadkiem na celu drażnienie sprawy, którą Krąg Octogonus zamknął przed prawie dwudziestu laty? Jeśli tak, to mogło się to okazać niebezpieczne, toteż biskup Mahoney postanowił pójść do kardynała Lienarta.

Stojąc przed jego gabinetem w Sekretariacie Stanu, zapukał

trzy razy, zanim usłyszał odpowiedź.

- Proszę, bracie Mahoney, proszę - powiedział Lienart. - Wejdz

i zamknij drzwi.

- *Fructum pro fructo.*

- *Silentium pro silentio.*

- Potrzebuję rady, eminencjo.

- Czy to aż tak pilne, żeby wyciągać mnie ze spotkania z sze-fami Pierwszej i Drugiej Sekcji?
- Niewykluczone, że przesadzam, ale rzecz może się okazać poważna.
- O co chodzi?
- Właśnie rozmawiałem z Aguilarem, dyrektorem Fundacji Helsinga...
- Tak, wiem, kto to jest Aguilar. Więc o co chodzi?
- Ten człowiek wspomniał, że adwokat panny Brooks, Hamilton, zajmujący się sprzedażą księgi, wybiera się podobno służbowo do Kolorado. A przecież właśnie tam, nie bez udziału Kręgu, zginęli rodzice panny Brooks. Jeśli Hamilton coś wywęszy, może być niedobrze.
- Jakież propozycje?
- Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy wysłać do Kolorado braci Osmunda i Ferrella, aby z bliska przyglądali się poczynaniom tego kauzyperdy. Jeśli za bardzo się rozhasa, będą mogli przeciwdziałać.
- Czy mogę w takim razie liczyć, że poradzisz sobie z tym sam? - spytał Lienart.
- Tak. Ale jest jeszcze coś. . Ekipa badawcza zakończyła pracę nad księgą Judasza. Co mamy zrobić z tymi naukowcami?
- Trzej z nich zapewne wkrótce wyjadą z Berna. Niech brat Alvarado zajmie się wtedy tą kobietą, której nazwiska nie pamię-
- tam. ..
- Sabine Hubert - podpowiedział Mahoney.
- Właśnie. Najpierw myślałem, że zostawimy ją sobie na koniec, ale zmieniłem zdanie. Potem przyjdzie pora na resztę - oświadczył
- kardynał August Lienart.
- A co z Renardem Aguilarem?
- Dopóki okazuje się pomocny, zostawimy go w spokoju. Później, gdy przestanie, wyślemy jego duszę na łono Abrahama.
- Wedle rozkazu, eminencjo. Wszystkim się zajmę i powiadomię braci o nowych zadaniach.
- W takim razie to już wszystko. A, byłbym zapomniał. Uznałem, że już czas, byś wziął na siebie większą odpowiedzialność za poczynania Kręgu. Wygląda na to, że Jego Świątobliwość nie cieszy się tak dobrym zdrowiem, jak byśmy sobie tego wszyscy życzyli. Kto wie, czy w najbliższym czasie

nie trzeba będzie zwołać kolejnego konklawe. . Muszę być przygotowany na taką ewentualność i scedować na kogoś część swoich obowiązków. Jeśli jednak cię to prze-rasta, zwrócę się do brata Alvarado albo brata Ferrella. Bo może wolałbyś się zaszyć w jakimś spokojnym klasztorze w Polsce i oddać się modlitwie tudzież kontemplacji...

- Ależ, eminencjo, ja...

- Nikogo do niczego nie zamierzam przymuszać. Każdy służy Bogu i Kościołowi z własnej woli. Jeśli masz taką wolę, bracie, proszę na przyszłość nie zawracać mi głowy drobiazgami, wykazać się większym zdecydowaniem i działać na własną rękę. Doświadczenia ci nie brakuje, już raczej odwagi, by wziąć sprawy w swoje ręce. .

- Ale ja naprawdę nie wiem, czy jestem gotowy...

- Drogi bracie Mahoney, wahać się to rzecz ludzka. Byle nie trwało to zbyt długo. Wielu ludzi przechodzi przez życie, dzieląc każdy włos na czworo, i najwyraźniej ojciec do nich należy.

Więcej determinacji! Dewizą naszego Kręgu mogłaby być sen-tencja mówiąca, że wojna to wzajemne wyrzynanie się ludzi, którzy się nie znają, a robią to w interesie tych, którzy się znają i nie mają ochoty się wzajemnie wyrzynać. Do tych ostatnich zaliczamy się i my dwaj. A przynajmniej taką mam nadzieję. Decyzję pozostawiam tobie. I oczekuję rychłej odpowiedzi. Nie chciałbym bowiem w naszym gronie kolejnego

brata

Reyesa,

nieustannie

szarpanego

wątpliwościami. Jeśli ta zaraza zacznie się rozprzestrzeniać, będę zmuszony podjąć zdecydowane kroki zaradcze. *Fructum pro fructo* - zakończył Lienart.

- *Silentium pro silentio*, eminencjo.

Wróciwszy do siebie, biskup Emery Mahoney sięgnął po stojący na jego biurku czerwony telefon z zainstalowanym syste-mem antypodsłuchowym i wykręcił numer Casino degli Spiriti w Wenecji.

- *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*.

- Tu brat Mahoney, bracie Ferrell.

- Słucham.

- Są nowe wytyczne. Wraz z bratem Osmundem wyruszyście jutro do Aspen w stanie Kolorado, gdzie odnajdziecie pewnego adwokata nazwiskiem Sampson Hamilton.

- A potem?

- Na razie tylko go obserwujcie i nie róbcie nic bez konsultacji ze mną. W razie czego osobiście dam wam sygnał do działania.

Czy to jasne? Jutro z rana dostaniecie zdjęcia.

- Oczywiście. Będziemy czekać na wskazówki. Chyba że wielki mistrz zarządzi inaczej - powiedział Ferrell.

- Nie sądzę, by do tego doszło. *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*.

Mahoneya czekała jeszcze jedna rozmowa. Tym razem wybrał

numer pewnej niewielkiej, zarządzanej przez mniszki kamienicy w historycznym centrum Berna.

- Siostro, tu biskup Mahoney. Chciałbym mówić z bratem Septimusem.

- Chwileczkę, ekscelencjo. Już go proszę do telefonu - odparła zakonnica.

Chwilę później po drugiej stronie linii dał się słyszeć oddech brata Alvarado.

- *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*.

- Mam dla brata ściśle wytyczne.

- Słucham uważnie.

- Chodzi o kobietę, niejaką Sabine Hubert. To ona kierowała pracami nad heretycką księgą Judasza i musi za to zapłacić. Wie zbyt dużo, co się nie podoba wielkiemu mistrzowi.

- Kiedy mam uderzyć?

- Dopiero po tym, gdy trzech pozostałych członków ekipy opuści Szwajcarię. Nie chcemy, by policja powiązała nas ze sprawami Hoffmana, Hubert i reszty. Jak brat sądzi, czy brat Pontius będzie mógł się zająć Fessnerem? - spytał Mahoney.

- Myślę, że tak. Zresztą mogę mu pomóc.

- Zgoda, tylko musi to być czysta robota. Żadnych śladów.

Żadnych komplikacji. Jasne?

- Jak słońce.

- *Fructum pro fructo*, bracie Alvarado.

- *Silentium pro silentio*.

X

Berno

Niezwykłe zadowolona ze spotkania z Colaianim Afdera chciała teraz jak najszybciej załatwić sprawę w Fundacji Helsinga. Szczególnie zależało jej na tym, by osobiście, w imieniu swoim i babki, podziękować członkom ekipy badawczej za trud włożony w pracę nad Ewangelią Judasza.

Umówiła się z nimi w siedzibie fundacji w Gurten. Po raz ostatni miała występować w roli właścicielki cennego zabytku. Czarny mercedes wcześniej rano odebrał ją sprzed Bellevue Palace.

Aguilar i rozpromieniona Sabine Hubert czekali na nią u wej-

ścia do budynku. Samochód zatrzymał się tuż przed nimi.

- Jak się masz? - spytała Sabine, serdecznie ściskając Afderę na powitanie.

- Wyśmienicie. Zwłaszcza że jestem tutaj, z wami, i wiem, że oto spełniają się życzenia mojej babci.

- Chodźmy, wszyscy czekają na panią w sali konferencyjnej

- odezwał się Aguilar, ujmując ją pod rękę. - Później porozmawiamy w cztery oczy.

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym spotkać się z ekipą bez świadków - poprosiła Afdera. - Potem do pana przyjdę.

- Rozumiem. Sama jest pani naukowcem, a wiadomo: ciągnie wilka do lasu - uśmiechnął się nieszczercze. - Będę czekał u siebie.

Proszę się nie spieszyć.

W sali konferencyjnej, przy wielkim stole, na którym leżały jakieś papiery oraz hermetyczne metalowe pudełko, zawierają-

ce bez wątpienia księgę Judasza, siedzieli: John Fessner, Burt Herman i Efraim Shemel.

Podczas gdy Afdera się z nimi witała, Sabine otworzyła metalowe pudełko i wyjęła z niego kilka włożonych między szybki kart.

Część z nich wciąż miała tu i ówdzie dziury, większość jednak, choć poszarpana przy brzegach, wyglądała na kompletną.

- Oto twoja księga - powiedziała Sabine.

- Cóż, już właściwie nie moja - uściśliła Afdera.

- No tak. Przed oddaniem jej Aguilarowi musimy jeszcze uporać się z paroma drobiazgami. Cały

kodeks składał się z trzydziestu dwóch kart, czyli miał sześćdziesiąt cztery strony. Niektóre z nich, na przykład 5, 31, 32 i 49, są właściwie całkowicie zniszczone, nie do odtworzenia. Co ciekawe, na stronach 4, 30 i 48 jest mowa o jakimś tekście napisanym przez naszego tajemniczego Eliezera.

Co, zdaniem Burta i Efraima, świadczy o tym, że fragmenty tekstu zostały zniszczone specjalnie, aby nikt nie mógł zapoznać się z ich treścią.

- Księga, choć nazywamy ją ogólnie Ewangelią Judasza, tylko w części dotyczy Iskarioty - wtrącił Herman. - Bo składa się z czterech tekstów: listu Piotra do Filipa (strony 1-9), Apokalipsy według Jakuba (10-32), Ewangelii Judasza (33-58), czyli dzie-

ła dotąd nieznanego, choć wzmiankowanego przez Ireneusza z Lyonu w jego dziele „Przeciw herezjom”, i wreszcie z bardzo uszkodzonego dokumentu (strony 59-66), który nazywamy księgą Allogenesa i którego znaczenie nam umyka.

- Jak to?

- Na stronach 62 i 65 mowa jest o jakich strażnikach bram czy też wejść. W wielu miejscach pojawiają się wzmianki o powścią-

gających chaos niższych światów aniołach stróżach o imionach takich jak Yaldabaot, Set, Harmatot, Galila, Yobel i Adonaios.

Występuje też jakiś Samostwórca zwany Saclą, Strażnikiem Strażników, Wielkim Jeden, Barbelem albo Autogenesem.

W tym momencie Afdera przypomniała sobie snute kiedyś przez babkę i signore Levi opowieści o Podwórcu Pokutnym i Podwórcu Sekretu, na który prowadziło siedem bram z wyrytym nad każdą z nich imieniem jakiegoś *shed*, jednego z władających światem chaosu demonów *shedin*. Te otwierające kolejne bramy imiona brzmiały: Sam Ha, Mawet, Ashmo-dai, Shibbetta, Ruah, Kardeyakos i Nà Amah. Czyżby o tych właśnie siedmiu strażnikach chodziło w księdze Allogenesa? No i było przecież jeszcze siedmiu strażników wspomnianych przez Colaianiego...

- Siedmiu strażników siedmiu bram... - szepnęła Afdera.

- Nie rozumiem.

- Mój dziadek, poszukiwacz przygód, który w wieku dwudziestu lat, nękany tajemniczą chorobą, został odnaleziony wśród Pigmejów w Afryce przez pewną misjonarkę, utrzymywał kontakty z afrykańskimi przemytnikami i na grzbiecie wielbłąda przemierzył Kotlinę Danakilską, by dotrzeć do Ogadenu. Opowiadał, że od pewnego pasterza z Kotliny Danakilskiej słyszał, iż aby wejść do Edenu, zwanego tam al-Khannah al-Adn, trzeba otworzyć siedem znajdujących się na pustyni bram, co można zrobić, przywołując imiona siedmiu strzegących owych bram demonów.

- Siedem bram... Twoja babcia też coś ci o tym mówiła! -

wykrzyknęła Sabine.

- Owszem. Jedno z drugim jakoś się łączy. Dawniej Arabowie znali Adriatyk jako Guin al-Banadiquin, Zatokę Wenecjan.

Wenecja określana była mianem al-Bunduqiyyah albo Miasta Siedmiu Bram. A Miasto Siedmiu Bram w innych źródłach nazywane jest Wodnym Labiryntem. Więc może to wszystko ma jakiś związek z Ewangelią Judasza? Czy księgi Allogenesa nie należa-

łyby traktować jako swego rodzaju aneksu do tekstu poprzedza-jącego ją w kodeksie?

- Pewnie tak - odpowiedziała Sabine. - To by wiele wyjaśniało.

- Udało wam się ustalić coś więcej na temat Eliezera?

- Nie. Tak jak już słyszałaś od Burt, chodzi pewnie o ucznia albo sekretarza Judasza.

- Czy Ireneusz z Lyonu mógł coś wiedzieć o Eliezerze?

- Mógł. Ale to czyste gdybanie - zauważył Herman. - Pochodzące z drugiego wieku naszej ery dzieło „Przeciw herezjom” napisane zostało po grecku, ale my znamy jedynie przekład łaciński sporządzony dwa stulecia później. Ireneusz sporo miejsca poświęca gnostykom, w tym jednej z gnostyckich sekt, tak zwanym ofitom, czcicielom węża, i łączy z nimi Judasza, któremu różne odłamy gnostyków przypisywały wielką rolę. W kilku fragmentach księgi Allogenesa pojawiają się z kolei wzmianki o dwóch uczniach Chrystusa, z których jeden czcił mistrza i go chronił, a drugi czcił

go, ale na koniec zdradził. Przy czym nie zostaje wyjaśnione, którym z tych dwóch był Judasz. Nie da się wykluczyć, że księgę Allogenesa napisał Eliezer.

- Mogłabym dostać kopię tłumaczenia tej księgi?

- Tak, za miesiąc lub dwa będziemy je mieli gotowe - wtrąciła Sabine. - To zadanie nie wymaga jednak obecności całej ekipy w Bernie. John zrobił, co miał do zrobienia, i wraca do Ottawy.

Burt i Efraim też lecą do swoich domów. Będą uzgadniali różne rzeczy na odległość.

- Kiedy wylatujecie?

- Ja już jutro - odrzekł Burt.

- Ja też. Mam rano lot z Genewy - dorzucił Efraim.

- Ja właściwie z chęcią zostałbym jeszcze w Szwajcarii i pozwiedzał, ale niestety, w Kanadzie czeka mnie mnóstwo zajęć.

Jacyś archeolodzy chcą, żebym określił wiek kości, które znaleźli w Stanach, gdzieś koło miasta Wichita.

- W takim razie życzę wam wszystkiego najlepszego i jeszcze raz, w imieniu swoim, mojej siostry

Assai oraz nieżyjącej babci, Crescentii Brooks, bardzo dziękuję za włożony w tę pracę wysi-

łek. Gdybym kiedykolwiek mogła być któremuś z was pomocna, dzwońcie bez wahania. No i zapraszam na wakacje do Wenecji.

Po tych słowach Afdera skierowała się do drzwi. Gdy wychodziła, dogoniła ją Sabine.

- Jak długo zostaniesz w Bernie?

- Jeszcze nie wiem, muszę porozmawiać z komisarzem Grüberem.

- O Wernerze?

- Tak. I o innych „wypadkach”, do których doszło ostatnio.

Znajomy marszand z Kairu został napadnięty, a jego współpracownik z miasteczka Maghagha zabity. Ten sam los spotkał pewną znawczynię dzieł sztuki z Aleksandrii. Grüber powinien o tym wiedzieć. Potem wybieram się do Genewy, żeby porozmawiać z pewnym tajemniczym facetem, który chyba znał moją babkę.

- Co to za facet?

- Niejaki Vasilis Kalamatiano. Zwany Grekiem.

- O, słyszałam o nim, chociaż nie znam go osobiście. Krążą na jego temat legendy.

- Na przykład jakie?

W tym momencie przerwała im sekretarka Aguilara.

- Panno Brooks, pan dyrektor czeka.

- Już idę. Dziękuję.

- Wpadnij dziś do mnie na kolację, powiedzmy o wpół do dziewiątej. Wtedy pogadamy spokojnie. To mój adres - rzuciła Sabine, wręczając Afderze karteczkę.

- Dobrze. W takim razie do wieczora.

Sekretarka odprowadziła Afderę pod sam gabinet Aguilara.

Na widok gościa dyrektor Fundacji Helsinga zerwał się z fotela.

- Proszę wejść i usiąść. O, tutaj będzie pani wygodnie. Rozumiem, że pożegnanie z naszymi przyjaciółmi Fessnerem, Hermanem i Shemelem ma już pani za sobą?

- Tak.

- Chciałem spytać, kiedy powinniśmy wysłać pani kopię dokumentacji związanej z renowacją księgi Judasza.

- Myślałam, że dostanę te papiery teraz - zdziwiła się Afdera.

- Chyba jeszcze nie wszystko jest gotowe, ale jeśli zostawi mi pani adres, nie będzie żadnego problemu. Pani Hubert dziś wieczorem albo jutro rano ma mi dostarczyć ostateczny raport.

Skopiujemy wszystkie zdjęcia i analizy, a potem wyślemy pani całość, najszybciej jak się da.

- Pamiętaj pan, że to był jeden z naszych warunków, moich i mojej siostry?

- Oczywiście. Proszę się nie martwić. Może przesyłka dotrze do Wenecji przed panią. Zaraz poinformuję nabywcę, że przekazała nam pani księgę, zgodnie z umową, więc osiem milionów dolarów powinno bezzwłocznie trafić na pani konto. A teraz, skoro już wszystko omówiliśmy, pozostaje mi jedynie życzyć pani wszystkiego dobrego - zakończył Aguiar, wstając i wyciągając do Afderę dłoń. - Zostawia pani księgę w dobrych rękach.

Afderę czekała jeszcze kolacja u Sabine, która z nieznanых powodów chciała z nią porozmawiać na osobności. Po co te tajemnice, zastanawiała się Afdera. O co mogło chodzić? Czyżby o coś, o czym Shemel, Herman ani Fessner nie powinni wiedzieć?

Jednakże po wyjściu z siedziby Fundacji Helsinga zadzwoniła najpierw do komisarza Grubera.

- Grüber, słucham.

- Tu Afdera Brookes, pamięta pan? Dzwoniłam do pana w sprawie śmierci Wernera Hoffmana.

- O, tak, pamiętam. Gdzie pani jest?

- W Bernie.

- Wpadnie pani do nas?

- Tak, chętnie. Muszę z panem porozmawiać. Mam dla pana trochę informacji, no i chciałam zapytać o ten ośmiokąt.

- Dobrze. Czekam.

Na komisariacie Afdera skierowała się w stronę biurka, za któ-

rym siedział funkcjonariusz w charakterystycznym dla berneńskiej policji granatowym mundurze z czerwonymi naszywkami.

- W czym mogę pomóc? - spytał.

- Jestem umówiona z komisarzem Hansem Gruberem z wydzia-

tu kryminalnego. Nazywam się Afdera Brooks.

- Proszę zaczekać. Zadzwonię po niego.

Kilka minut później do Afdery podszedł starszy, dość otyły mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu.

- Panna Brooks? Jestem Hans Grüber - powiedział. - Przejdźmy do pokoju przesłuchań, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Pokój przesłuchań dokładnie odpowiadał wyobrażeniom, jakie Afdera miała na temat takich miejsc. Był tu przykręcony do pod-

łogi stół i dwa ustawione naprzeciwko siebie krzesła. Na ścianie obok wisiało spore lustro - Afdera przypuszczała, że służy do obserwowania podejrzanych z różnych stron.

Grüber przyniósł ze sobą grubą teczkę z napisem: „Hoffman, Werner”.

- Chce pani kawy? Bo ja się napiję.

- Nie, dziękuję. Jeśli można, to trochę wody.

Początkowo, czekając, aż młodszy rangą funkcjonariusz przy-niesie napoje, rozmawiali o Bernie. Afdera mówiła o ścisłych związkach łączących jej babkę z tym miastem.

- Babci podobał się panujący tu porządek - stwierdziła.

- Tak, Szwajcaria to kraj ładu i porządku, dopóki nie zdarzy się coś, co je zakłóci, jak śmierć Hoffmana - zauważył komisarz, kładąc dłoń na teście.

Kiedy kubek z kawą i butelka wody mineralnej znalazły się przed nimi na stole, a za funkcjonariuszem zamknęły się drzwi, Grüber przeszedł do rzeczy.

- Stan naszej wiedzy przedstawia się następująco: ktoś chciał

stworzyć wrażenie, że Werner Hoffman popełnił samobójstwo, wjeżdżając samochodem do na wpół zamrożonego jeziora niedaleko Thun, na południe od Berna. Lekarz sądowy wykrył

jednak w ciele denata ślady substancji rozluźniającej mięśnie.

Prawdopodobnie podano mu ją, by nie mógł się bronić. Bo z pewnością żył jeszcze, gdy znalazł się pod wodą. Świadczy o tym stan jego płuc. Więc co może mi pani powiedzieć o zmarłym i pracy, którą dla pani wykonywał?

- Pozwoli pan, że zacznę od tego ośmiokąta.

- Dobrze. Zamieniam się w słuch.

Afdera położyła na stole wycięty z materiału ośmiokąt znaleziony przy niedoszłym zabójcy Rezeka Badaniego. Grüber tymczasem wyciągnął z teczki z nazwiskiem Hoffmana czarno-białe zdjęcie, które położył na stole. Przedstawiało ono dokładnie taki sam ośmiokąt.

Przez kilka następnych godzin Afdera opowiadała policjan-towi o zabójstwie Liliany Ransom, przywiązanej do własnego łóżka; o śmierci Boutrosa Reyko, dawnego współnika Badaniego; o morderstwie dokonanym na Abdelu Gabrielu Sayedzie, udu-szonym na poboczu pustej egipskiej drogi przez nieznanomych, których z dobrego serca zabrał do auta; i wreszcie o nieudanym ataku na Rezeka Badaniego przeprowadzonym w jego mieszkaniu w Kairze.

- I przy każdej z ofiar znaleziono taki ośmiokąt?

- Tak. Przy każdej, bez wyjątku. Identyczny znak leżał na łóżku Liliany i w samochodzie Abdela. Reyko miał coś podobnego w ustach, a po ataku na Badaniego osobiście wyciągnęłam to świństwo z kieszeni napastnika.

- Czy dałoby się go przesłuchać?

- Niestety, ten drań nie żyje. Przywiązaliśmy go do krzesła, a Rezek nawet próbował się czegoś dowiedzieć, ale bez powo-dzenia. A później tamten rzucił się razem z krzesłem przez okno.

Z piątego pietra.

- Prawdziwe poświęcenie.

- Można tak powiedzieć. Chociaż słowo „poświęcenie”

ma konotację religijną - zauważyła Afdera.

- Właśnie. Nie wydaje się pani, że ten ośmiokąt z łacińską sentencją w środku może wskazywać bardziej na mord o podłożu religijnym lub rytualnym niż na zwyczajne zabójstwo?

- Niewykluczone, że ma pan rację. Ostatecznie to pan jest śledczym.

- Czy przychodzi pani do głowy coś, co, poza ośmiokątem, mogłoby łączyć te wszystkie morderstwa?

- Moja księga.

- Jaka księga?

- Księga Judasza.

- Judasza Iskarioty? To on napisał jakąś księgę? - rzucił Grüber tonem niedowierzania.

- Na to wygląda. Choć właściwie tę księgę napisał raczej jego uczeń, niejaki Eliezer.

- A kiedy Judasz zdążył zwerbować uczniów? Przecież zaraz po wydaniu Chrystusa popełnił

samobójstwo.

- To akurat nie jest takie oczywiste. Mógł też uciec z Jerozolimy i ukryć się w Aleksandrii. Sam pan widzi, że moja księga rzuca nowe światło nie tylko na początki chrześcijaństwa z jego podstawami, to znaczy ukrzyżowaniem Jezusa, ale również na początki Kościoła katolickiego.

- Sugeruje pani, że Ransom, Sayed, Reyko oraz Werner Hoffman zginęli z ręki kogoś, kto sobie nie życzy, by ktokolwiek zanadto interesował się księgą Judasza?

- Ja tego nie sugeruję. Ja jestem pewna.

- Jedno nie ulega wątpliwości: ramię, które sięgałoby tak daleko, musiałyby być naprawdę potężne.

- Co pan ma na myśli?

- Zapewniam panią, panno Brooks, że nie tak łatwo wynająć zręcznego zabójcę, a następnie wysłać go kolejno do Aleksandrii, na południe Egiptu, do Szwajcarii i wreszcie do Kairu. Potrzeba do tego władzy, pieniędzy, informacji i możliwości logistycznych.

Twierdzi pani, że ktoś próbuje likwidować wszystkich, którzy mieli styczność z pani księgą. Ów ktoś musi być dość pewny siebie, skoro nie waha się zostawiać śladów w postaci tych ośmiokątów. Chyba że chodzi o jakiegoś niezbyt rozgarniętego seryjnego mordercę. Istnieje też ewentualność, że to dzieło kilku morderców wynajętych przez jedną osobę. Albo jakaś sekta, coś na kształt asasynów z Alamut.

- Chce pan przez to powiedzieć, że w naszym stuleciu takie rzeczy wciąż są możliwe?

- Czemu nie? Proszę sobie wyobrazić grupę kierowaną przez silnego i zdeterminowanego człowieka, który nasyła morderców na wszystkie osoby związane z księgą Judasza. Codziennie przecież oglądamy w telewizji, jak ten czy inny szaleniec wjeżdża

ciężarówką wyładowaną materiałami wybuchowymi w jakąś ambasadę czy koszary, a robi to w imię tego czy innego boga.

Myśli pani, że nie ma katolików-ekstremistów? Że nie byłiby do tego zdolni? Gdyby w naszej kulturze powszechnie szanowano piąte przykazanie, nie miałbym nic do roboty i mógłbym się zająć swoimi orchideami.

- Proszę wybaczyć, komisarzu, ale trudno mi uwierzyć, że od dwunastego wieku nic się pod tym względem nie zmieniło.

Zresztą asasyni działali w Azji. Ale gdyby na chwilę założyć, że pańska teoria jest prawdziwa, kto w takiej współczesnej sekcji odgrywałby rolę Starca z Gór?

- Może papież, a może któryś z innych hierarchów Kościoła. .

- Mówi pan serio? Papież rozsyłający po świecie członków Gwardii Szwajcarskiej, w ich

śmiesznych kolorowych strojach, aby się rozprawili z naukowcami pracującymi nad moją księgą?

To jakiś absurd.

- Niech mi pani powie, panno Brooks, co by się stało, gdyby kiedyś wyszło na jaw, że Chrystus wcale nie umarł na krzyżu, albo że zamiast niego ukrzyżowano Piotra, Jana lub jakąś kobietę?

Co by było, gdyby się okazało, że Judasz bynajmniej nie zdradził

Jezusa ani się nie zabił, a wręcz przeciwnie, zestarzał się spokojnie w boku żony, w otoczeniu dzieci i wnuków? Kto zostałby najbardziej poszkodowany?

- Kościół. Tak czy owak, zarysowana przez pana wizja wydaje mi się mało prawdopodobna.

- Wie pani, pracuję w swoim zawodzie od dobrych trzydziestu lat, niejedno już widziałem i wiem, że nie takie rzeczy zdarzają się na świecie. A te pani ośmiokąty o czymś świadczą. Zwyczajni seryjni mordercy wybierają raczej łatwe ofiary i nie zadają sobie aż tyle trudu, żeby nagle lecieć do Egiptu, pozorować tam gwałt i rabunek, a potem wracać do Szwajcarii i aranżować samobójstwo - oświadczył Grüber.

- Zajmie się pan tym wszystkim?

- Tak. Spróbuję wpłynąć, na kogo trzeba i wyciągnąć od egipskiej policji raporty dotyczące śmierci pani znajomych. Ale niczego nie obiecuję. Obawiam się jednak, czy jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z czymś w rodzaju sekty, jej ofiarami nie padną zaraz kolejni członkowie pani ekipy badawczej.

- Sądzi pan, że John Fessner, Burt Herman, Efraim Shemel i Sabine Hubert powinni dostać ochronę?
- zaniepokoiła się Afdera.

- Sądzę, że tak, ale nie żyjemy w Stanach Zjednoczonych.

Brak nam ludzi, by całymi miesiącami osłaniać tyle osób.

- Ale przecież chodzi o naukowców, których życiu może zagra-
zać niebezpieczeństwo!

- I co z tego? Mówię pani, że nie mam ludzi. Co powinienem zrobić? Zażądać zaangażowania w sprawę zupełnie nieprzygotowanych do takich zadań funkcjonariuszy drogówki? Jeśli moja hipoteza jest trafna, należałoby raczej poprosić o pomoc wyszkolonych agentów brygad antyterrorystycznych. Ci od ośmiokątów to nie pijani kierowcy.

- Więc co robić? Herman, Shemel i Fessner lecą jutro do siebie, do Niemiec, Izraela i Kanady, ale Sabine Hubert mieszka tutaj.

- W takim razie spróbujemy mieć na trzech pierwszych oko do jutra, po czym przekazemy sprawę

kolegom z Niemiec, Izraela i Kanady. Jeśli chodzi o panią Hubert, jako obywatelka Szwajcarii ma prawo do pełnej ochrony i taką jej też zapewnimy. Proszę się nie martwić, już dzisiaj wieczorem podeślemy radiowóz pod jej dom.

- Świetnie. Bardzo dziękuję, komisarzu. A teraz muszę już iść. W razie czego za dwa dni będę u siebie w Wenecji, tam proszę mnie łapać. Jutro lecę do Genewy na spotkanie. Niech pan zadba o Sabine i resztę, i o wszystkim informuje mnie na bieżąco, dobrze?

- A pani mnie. Proszę dzwonić, jeśli cokolwiek wpadnie pani do głowy. Jesteśmy zdani tylko na siebie. Pani potrzebuje wsparcia, a i mnie chwilowo nikt nie uwierzy, jeśli powiem, że mamy do czynienia z sektą zabójców działających z pobudek religijnych na zlecenie kogoś z Watykanu - mruknął z niejaką ironią Grüber.

- Dobrze, będę dzwonić.

Jadąc taksówką do hotelu, Afdera wyjęła z torby dziennik babki i postawiła krzyżyk przy nazwisku Wernera Hoffmana.

Razem z nim były już cztery ofiary ośmiokąta. Potem popatrzyła na zegarek. Przed kolacją z Sabine musiała jeszcze odbyć kilka rozmów telefonicznych.

Najpierw zadzwoniła do Wenecji.

- Roso, tu Afdera. Dasz mi Assai? To pilne.

- Oczywiście, panienko Afdero. Już ją wołam.

Po chwili odezwała się zdyszana Assai.

- Cześć, siostrzyczko, jak tam?

- Wszystko w porządku. Tylko potrzebuję twojej pomocy.

- Doskonale. Co mam zrobić?

- Kiedy babcia kazała ci skatalogować dzieła sztuki z Ca'

d'Oro, musiałaś zaglądać do archiwów miasta, prawda?

- Owszem. Orientuję się w nich jak nikt inny. O co chodzi?

- Czy Sampson mówił ci coś o sprawie, którą się zajmuję?

- Wiesz, że on nie należy do gadatliwych, a jeśli jeszcze poprosiłaś go o dyskrecję, milczy jak grób. Nawet do mnie nie dzwoni.

Powiedział tylko, że wysyłasz go do Londynu w sprawie jakichś dokumentów, ale, oczywiście, nie

dałam się nabrać. Mam nadzieję, że po naszym ślubie znajdziesz sobie innego adwokata, moja droga. Bo Sampsona chcę dla siebie.

- Zgoda.
- No dobrze, a czego ode mnie chcesz?
- Natknęłaś się gdzieś na jakieś wzmianki o Waregach w Wenecji?
- Masz na myśli Skandynawów?
- Tak. Chciałabym, żebyś poszukała w archiwach miasta albo w bibliotece Świętego Marka materiałów na ich temat. To bardzo ważne.
- Jakież konkretniejsze wskazówki?
- Wedle wszelkich danych, po klęsce siódmej krucjaty Ludwik IX przed opuszczeniem Egiptu wraz z grupą rycerzy miał w rękach naszą księgę oraz pewien dokument, podpisany przez niejakiego Eliezera. Księgę powierzył kilku zaufanym ludziom i wysłał na południe, natomiast tekst Eliezera zabrał do Akki. Tu sprawa się komplikuje. Wśród krzyżowców było chyba dwóch braci, z których jeden, jak się zdaje, wyruszył z tekstem Eliezera do miejsca zwanego Wodnym Labiryntem albo Miastem Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników...
- A co to ma wspólnego z Waregami i Wenecją?
- Waregowie towarzyszyli temu rycerzowi w drodze przez Antiochię i Pireus do Miasta Siedmiu Bram. A Miasto Siedmiu Bram to może być Wenecja.
- Skąd wytrzasnęłaś te wszystkie informacje?
- Rozmawiałam z Leonardem Colaianim.
- Tym mediewistą?
- Tak. Znasz go?
- Osobiście nie. Ale czytałam kilka jego książek. Okazały się bardzo pomocne przy katalogowaniu naszych zbiorów. To wybitny specjalista. A ty go znasz?
- Tak, spotkałam go ostatnio.
- Podobno jest całkiem przystojny.
- Owszem, ma w sobie urok gotowej do ukąszenia kobry

- mruknęła Afdera.

- A właściwie po co się z nim spotkałaś?

- Już ci mówię. No więc Colaiani i jeszcze jeden facet, niejaki Charles Eolande, pracowali swego czasu dla pewnego Greka, Vasilisa Kalamatiano. Przez całe lata, podążając tropem księgi Judasza, próbowali odnaleźć dołączony do niej kiedyś list, napisany przez jego ucznia czy też sekretarza, Eliezera.

Ustalili, że rycerze Ludwika IX zabrali ów list z Damietty do Akki, a stamtąd do Antiochii i dalej, do Pireusu. Tam ślad się urwał. Potem Kalamatiano, zniechęcony brakiem efektów, dał

sobie z tym spokój i zrezygnował z pomocy obu naukowców.

Sprawa utknęła. Colaiani upierał się, że wśród krzyżowców byli Waregowie, a ich pobyt w Wenecji nie mógł przejść niezauważony. Dlatego proszę cię, żebyś poszperała w archiwach.

To naprawdę ważne.

- A jak coś znajdę?

- To do mnie zadzwoń. Ale nie mów o tym nikomu. Absolutnie nikt nie może wiedzieć, czego szukasz. Zrozumiałaś?

- Pewnie. Nikomu ani słowa. Poza tobą, rzecz jasna. À propos, kiedy wracasz?

- Teraz jestem w Bernie, a jutro lecę na spotkanie do Genewy.

W domu będę pojutrze. Dobra, muszę kończyć i się przebierać.

Idę na kolację do Sabine Hubert, tej, która kierowała renowacją księgi.

- Wiesz, kiedy Sampson wróci z tego „Londynu”?

- A skąd miałabym wiedzieć?

- Bo to ty go tam wysłałaś.

- Nie, nie wiem. Spytaj go. Ale na pewno niedługo. Ściskam.

- Ja ciebie też. Uważaj na siebie - rzuciła Assai.

- Ty też. Pamiętaj, nikomu ani słowa.

Kilka kilometrów od hotelu, gdzie Afdera szykowała się do wyj-

ścia, mniej więcej o tej samej porze pewien mężczyzna w stroju technika firmy telekomunikacyjnej wchodził do jednego z budynków w centrum Berna. Niosąc czarną skrzynkę z narzędziami, niemal

bezszelestnie wspiął się na drugie piętro. Tam wyjął z kieszeni wytrych i wsunął go do zamka w drzwiach mieszkania C.

W środku panował idealny ład. Pierwsze drzwi na prawo prowadziły do kuchni, gdzie nad starą żelazną kuchenką równym rzę-

dem połyskiwały miedziane rondle. Dalej znajdowała się ścienna szafa, a na koniec korytarz otwierał się na jasny salon, z którego okien widać było niewielki park.

Na jednej z wielu półek stały uporządkowane według formatu książki na temat konserwacji dokumentów spisanych na papierze, papirusie i pergaminie, a na stoliku obok pianina piętrzy-

ły się świeże numery fachowych czasopism. Z kilku fotografii zgromadzonych na pianinie uśmiechała się w miarę atrakcyjna, nieco pulchna kobieta uchwycona w różnych momentach życia: na konferencji, z grupą archeologów na jakimś trudnym do zidentyfikowania stanowisku, w tyrolskim stroju na ośnieżonym zboczu góry...

Mężczyzna uważnie rozglądał się dookoła, zatrzymując wzrok na każdym starannie odkurzonej przedmiocie. Potem przeszedł

do równie czystej łazienki i otworzył metalową szafkę, w której znalazł głównie lekarstwa na ból głowy i nadkwasotę. Zamknął

drzwiczki i utkwiał spojrzenie w półeczce nad wanną, gdzie stały butelki z balsamami, szamponami i odżywkami do włosów. Wyjął

ze skrzynki aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie półeczki.

Następnie skierował się do sypialni, zaglądając po drodze do szafy. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkanie należy do samotnej kobiety. W szafie, posegregowane kolorami, wisały bluzki i sukienki. Obok leżała bielizna i koszule nocne, zamykając drzwi, intruz dostrzegł w pokrywającym je lustrze odbicie dziewiętnastowiecznej na oko toaletki stojącej w sypialni. Sfotografował

ją i wsunął aparat do kieszeni kombinezonu.

Właśnie na tej toalecie znalazł to, czego szukał: pude-

łeczko z odżywczym kremem do twarzy. Było otwarte, a jego zawartość wciąż nosiła ślady palców właścicielki mieszkania, Sabine Hubert.

Z najwyższą ostrożnością uniósł spód czarnej skrzynki, odsłaniając dwa znajdujące się pod nim plastikowe pudełka z przezroczystymi, dziurkowanymi wieczkami. W każdym z pojemników siedziała wyjątkowo intensywnie ubarwiona żaba, sprawiająca wrażenie pogrążonej w letargu.

Przybyły zręcznie wsunął przez jeden z otworów w wieczku cienki patyk, którym kilkakrotnie ucisnął grzbiet żaby. Wtedy przerażony płaz zaczął wydzielać z gruczołów w skórze coś w rodzaju białawego żelu. Mężczyzna zbierał tę substancję szklaną szpatułką i sprawnie przenosił ją do

specjalnie przyniesionego szklanego naczynka.

Występujący na karaibskim wybrzeżu Kolumbii *phyllobates terribilis*, czyli liściołaz straszliwy, to jeden z najniebezpieczniej-szych zabójców na świecie ze względu na swój niezwykle silny jad. W przypadku dorosłego osobnika nawet niewielka ilość tej neurotoksyny może uśmiercić niemal setkę ludzi.

Mężczyzna zamknął swoją czarną skrzynkę i pewną ręką rozprowadził truciznę po wewnętrznej krawędzi otwartego słoiczka z kremem. Kiedy uznał, że już wystarczy, zakręcił szklane naczynko z resztą jadu. Potem zerknął na zrobione wcześniej zdjęcie, aby się upewnić, że niczego nie przesunął. Lekkim ruchem dłoni w rękawiczce poprawił ustawienie słoiczka z kremem.

Wykonawszy w ten sposób misję, ojciec Alvarado zebrał swoje rzeczy i po cichu opuścił mieszkanie.

Nieco później przed domem numer 6 przy Keplerstrasse stanę-

ła taksówka. Wsiadając, Afdera natychmiast dostrzegła zaparkowany nieopodal policyjny samochód. Nacisnęła guzik domofonu, a usłyszawszy charakterystyczny dźwięk odblokowujących się drzwi, weszła na klatkę schodową.

Wjechała windą na drugie piętro. Na podeście czekała na nią Sabine ubrana w wydekoltowaną czerwoną sukienkę. Z kuchni płynął miły zapach przypraw. W salonie na fotelu siedziała pogrą-

żona w lekturze młoda kobieta.

- To Madeleine - przedstawiła ją Sabine. - A to Afdera Brooks, właścicielka kodeksu, o którym ci mówiłam.

Madeleine - drobna, o kręconych blond włosach i niebieskich oczach - wstała i ucałowała Afdere w oba policzki. Afdera natychmiast domyśliła się natury łączących ją z gospodynią relacji: po sposobie ich zachowania można było poznać, że są kochan-kami.

Na drewnianej desce ułożonej na środku niewielkiego stołu przykrytego lnianym białym obrusem stał miedziany rondel z wie-przowiną gotowaną w koprze i podlaną koniakiem, z dodatkiem pieczonych ziemniaków. Sabine i Madeleine przez parę godzin zabawiały Afdere interesującą rozmową na rozmaite tematy, aż wreszcie, gdy przyszła pora na kawę, Madeleine wstała i zaczęła sprzątać ze stołu, podczas gdy Sabine i Afdera przeszły do kwestii związanych z księgą Judasza, Vasilisem Kalamatianem, Renardem Aguilarem oraz zabójstwami spod znaku ośmiokąta.

- Wiesz coś o Kalamatianie? - spytała Afdera.

- Jak wszyscy, czyli tyle, ile się o nim opowiada. Twoja babcia wysoko go ceniła, choć mieli kilka poważnych starć na tle zawodo-wym. Powiedziała mi kiedyś, że dzięki swoim układom z rządem Syrii Kalamatiano zablokował jej wjazd do tego kraju.

-I co zrobiła?

- Odpłaciła mu pięknym za nadobne, sprawiając, że jemü z kolei zabroniono wjazdu do Izraela - zaśmiała się Sabine. -

Wiesz, że miała tam wielu przyjaciół. Zasugerowała im, że Kalamatiano, ściśle związany z Syrią, może być szpiegiem. No i tak trzymali się nawzajem w szachu. A najciekawsze, że mimo to nadal łączyły ich dobre, wręcz bliskie stosunki. Ten Grek bardzo szanował Crescentię. Jeśli sam nie był zainteresowany jakimś syryjskim znaleziskiem, zaraz proponował go twojej babce, a ona postępowała tak samo w przypadku mniej dla niej ciekawych znalezisk z Izraela. Można by rzec, że istniała między nimi zażyła nienawiść.

- Sądzisz, że Kalamatiano może nie zechcieć ze mną rozmawiać, jak pojedę do niego do Genewy?

- Nie wydaje mi się. Mówiłam ci, że podziwiał twoją babkę, a to już coś. Słyszałam wprawdzie, że dostał ostatnio paranoi, uważa, że wszyscy chcą go zabić i dlatego nie rozstaje się z uzbrojonymi po zęby gorylami, a wszędzie w domu trzyma pochowaną broń, ale może to znowu tylko plotki.

- A co myślisz o Renardzie Aguilarze?

- To zmija. Podstępna zmija. Nie wiem, czy dobrze zrobiłaś, powierzając mu księgę. Jestem pewna, że nasz dyrektor chowa jakiegoś asa w rękawie, a jeśli nawet jeszcze go nie ma, to zaraz coś wykombinuje.

- Zastanawiając się, komu oddać do renowacji Ewangelię Judasza, wybrałam Fundację Helsinga, bo babka wspominała o niej w dzienniku, który zostawiła mi razem z księgą. Cenila fundację, należała chyba nawet do jakiegoś zespołu doradczego. Nie przypuszczam, żeby Aguilar ośmielił się wyciąć mi jakikolwiek numer.

- Wielu współpracowników, w tym twoja babka, zrezygnowało z udziału w projektach fundacji, widząc, w jakim kierunku to wszystko zmierza. Co uczciwszym ze specjalistów wysokie honoraria nie zamydliły oczu. Etyka nie jest mocną stroną Aguilara, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi duże pieniądze. Toteż Fundacja coraz częściej podejmuje się problematycznych z moralnego punktu widzenia zadań, takich jak na przykład prowadzone w tajemnicy prace nad obrazami, o których wiadomo, że znajdują się na amerykańskich listach dzieł zrabowanych żydowskim rodzinom przez nazistów. Aguilarowi to nie przeszkadza.

Co więcej, na jego polecenie niektórzy konserwatorzy jeżdżą choćby do Kolumbii, żeby zajmować się dziełami sztuki należą-

cymi do szefów karteli narkotykowych.

- To dlaczego nikt nie reaguje?

- Głównie ze względu na związaną z tym gigantyczną kasę.

W pewnym momencie wyszło na jaw, że Aguilar prawdopodobnie przywłaszczył sobie część pieniędzy z zawieranych nielegalnie albo półlegalnie transakcji. Właśnie wtedy część współpracowników, w tym twoja babcia, próbowało protestować, ale bezskutecznie: frakcja

popierająca Aguilara okazała się zbyt silna. Dopóki do fundacji spływają pieniądze, zarząd go nie ruszy.

- Przeraża mnie, że jako osoba kierująca pracami nad księ-

gą Judasza mogłabyś ściągnąć na siebie zainteresowanie tych od ośmiokątów.

- Przecież takimi płótkami jak ja nikt się nie zajmuje.

Ostatecznie mój udział w tym wszystkim nie był wcale tak wielki jak wkład Efraima, Burta czy Johna. Jestem tylko konserwatorką starych ksiązek.

- Tak czy owak, powinnaś bardzo uważać. Werner był tylko papirologiem, a widzisz, co się stało. Policja nie wierzy w wersję z samobójstwem. Według komisarza Grübera Werner miał

w organizmie ślady substancji rozluźniającej mięśnie i uniemoż-

liwiającej każdą próbę obrony. Podobno żył jeszcze, kiedy znalazł

się w samochodzie pod wodą. Grüber prosił, żeby sygnalizować mu wszystko, co rzuci nam się w oczy - powiedziała z powagą Afdera.

- Nie wyobrażam sobie, że ktoś dybał na życie takiej starej kobiety jak ja. Poza tym widziałam na dole, że przydzielono mi osobistego anioła stróża.

- Afdera ma rację. Powinnaś uważać - odezwała się nagle Madeleine, która właśnie wyszła z kuchni, wycierając ręce.

- Kochanie, ja naprawdę nie wiodę egzystencji pełnej mrocznych tajemnic. Ten patrol pod domem to kompletne wariactwo.

Nic mi nie grozi.

Afdera zerknęła na zegarek.

- Och, zrobiło się strasznie późno, muszę wracać do hotelu.

Jutro z rana lecę do Genewy pogadać z Kalamatianem. Mam nadzieję, że się uda. Sabine, bądź ostrożna i nikomu nie ufaj.

- Ty też. A już szczególnie patrz na ręce Kalamatianowi i Aguilarowi. No i zawiadamiaj mnie o wszystkim na bieżąco.

Niedługo oddam Aguilarowi końcowe sprawozdanie z prac renowacyjnych, więc i ty wkrótce je dostaniesz. Ostateczną wersję tłumaczenia, po poprawkach, Efraim prześle ci już z Tel Awiwu, za jakiś tydzień lub dwa. Poproszę go, żeby przekazał ci ją bezpośrednio, z pominięciem Aguilara.

- Będę do zgonu wdzięczna, bo to znacznie przyspieszy sprawę. Dziękuję za miły wieczór i pyszną kolację. Liczę, że pozwolicie mi się zrewanżować i przyjedziecie do Wenecji. Nasza Rosa świetnie gotuje, po każdym posiłku przybędzie wam dwadzieścia kilo.

Pożegnały się i Afdera zeszła do zamówionej wcześniej taksówki. Gdy popatrzyła na dwóch policjantów popijających kawę w stojącym nieopodal aucie, przypomniała sobie, co mówił Grüber o angażowaniu do takich zadań niemających właściwego przygotowania funkcjonariuszy. Na tę myśl niemiły dreszcz przebiegł

jej po plecach.

Tymczasem Sabine poszła do sypialni, gdzie czekała już na nią naga Madeleine. Gdy skończyły się kochać, Sabine postanowiła wziąć prysznic. Po pewnym czasie jej drzemiącą partnerkę obudził

szum suszarki do włosów. Sabine stała przed toaletką.

- Chodź do mnie - szepnęła Madeleine, wyciągając do niej ramiona.

- Za moment. Muszę odpocząć. Nie jestem już taka młoda

- odparła Sabine.

- No, dobrze. To idę spać. Za późno, żebym wracała do siebie.

Sabine popatrzyła na swoje nagie ciało odbite w lustrze. Nie było najgorzej. Piersi nadal pozostawały z grubsza na swoim miejscu.

Potem, wciąż jeszcze z niedosuszonymi włosami, usiadła na krześle przed toaletką, rozmasowała twarz i sięgnęła po sło-iczek z kremem. Starannie rozprowadziła go na czole, policzkach i szyi.

Niemal natychmiast poczuła silne skurcze w lewym ramieniu, a następnie, w miarę jak neurotoksyna atakowała jej system nerwowy, w całej lewej części ciała.

Z każdą chwilą czuła się coraz gorzej, wzrok jej się mącił.

Zesztywniałymi nagle dłońmi uchwyciła się blatu toaletki, pró-

bując zapanować nad bólem.

Widziała w lustrze śpiącą Madeleine, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, nie wspominając o artykułowaniu słów. Dopiero gdy z wymiotowała, Madeleine ocknęła się i wyskoczyła z łóżka, śmiertelnie przerażona.

- Sabine, co ci jest? Co się dzieje? Czy to coś z sercem?

- krzyknęła, nie uzyskując jednak żadnej odpowiedzi.

Wtedy przypomniała sobie o policjantach przed domem, podbiegła więc do okna, otworzyła je i wychyliwszy się, zaczęła wzywać pomocy.

- Wezwijcie karetkę! Szybko! Błagam, wezwijcie karetkę!

Jeden z funkcjonariuszy rzucił się do radia, a drugi popędził

na górę. W sypialni zastał konającą Sabine, która leżała na ziemi, półnaga, z obrzmiałą, zdeformowaną przez truciznę twarzą, brudna od własnych wymiocin.

Złapał porzucony na krześle ręcznik, otarł ją i próbował reanimować - bez rezultatu. Sabine pojękiwała niewyraźnie, nie mając już żadnej kontroli nad swoim ciałem.

Przez łzy widziała twarz chłopaka uciskającego rytmicznie jej klatkę piersiową, świadoma, że biedak nic nie poradzi. Chciała powiedzieć ściskającej jej prawą rękę Madeleine, że ją kocha, ale nie była w stanie. Nie była w stanie nawet utrzymać wyschniętego na wiór języka w ustach.

Zanim zjawili się lekarze, trucizna podstępnie podana Sabine Hubert przez ojca Alvarado zdążyła zrobić swoje. Jednakże tej zimnej nocy ofiarą zabójców z Kręgu Octogonus miała paść jeszcze jedna osoba.

- Zimne piwo proszę.

- Już się robi - odrzekł barman.

John Fessner, kanadyjski specjalista od metody radiowęglowej, postanowił spędzić na mieście ostatni wieczór przed powrotem do domu. Berno o tej porze wydawało się niezwykle spokojne.

W zamontowanym w lokalu telewizorze można było obejrzeć retransmisję meczu hokejowego między Dublin Rams a Dundalk Bulls.

- Są za wolni - rzucił mężczyzna siedzący przy barze obok Fessnera.

- Amatorzy. W Kanadzie to się dopiero gra w hokeja. Irlandczycy powinni zostać przy rugby.

- Jest pan z Kanady? - spytał nieznajomy.

- Tak, konkretnie z Ottawy. Kibicuję drużynie Senators.

- Ja pochodzę z Irlandii. I wolę Calgary Flames.

- Litości! Przecież oni nie potrafią podać krążka! Powinni nosić kaski na tyłkach. Ale co tam, i tak stawiam panu piwo -

zaśmiał się Fessner.

- Zgoda. Pod warunkiem, że ja zapłacę za następną kolejkę.

- Dobrze. Tylko muszę uważać, żeby nas ktoś razem nie sfoto-grafował. Przy piwie z fanem Flamesów! Nie mógłbym się pokazać na oczy znajomym.

Po kilku piwach Irlandczyk wyjawiał, że nazywa się Mike Coonan i wyemigrował z kraju sześć lat wcześniej.

- Pracuję dniami i nocami, żeby ściągnąć do siebie rodzinę.

Tutaj moje dzieci będą miały lepszy start. A zasługują na to, prawda?

- Wiesz, Mike, ja nie mam dzieci. Jestem kawalerem, choć oczywiście liczę na to, że pewnego pięknego dnia spotkam odpowiednią dziewczynę, najlepiej Kanadyjkę, katoliczkę i fankę zespołu Senators, z którą spłodzę masę małych Fessnerów - oświadczył

mocno już wstawiony Kanadyjczyk.

Około czwartej nad ranem Coonan zaproponował, żeby sko-czyli na ostatnią kolejkę do słynnego irlandzkiego baru w okolicach Murtenstrasse, tuż koło rozbudowywanego akurat głównego dworca kolejowego.

Fessner przystał na to z ochotą, po czym, zataczając się nieco, opuścili lokal. Nie zwrócił uwagi na plastikową rurkę, którą nie przestawał się bawić jego nowy znajomy.

Wsiadł do rozklekotanej łady Coonana i ruszył ku swemu przeznaczeniu. Gdy zaparkowali w ciemnej uliczce, Irlandczyk pierwszy wygramolił się z samochodu i obszedł go, by pomóc wyjść bardziej pijanemu Fessnerowi. Rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nikogo nie ma, wyjął z kieszeni giętki metalowy pręt i błyskawicznie przeciągnął go przez plastikową rurkę. Potem szybkim ruchem zarzucił go na szyję Fessnera i zacisnął.

Naukowiec szarpał się przez chwilę i rozpaczliwie walczył

o choćby odrobinę powietrza, ale wkrótce znieruchomiał, bezsilny wobec wprawy ojca Pontiusa.

Z mroku między domami wynurzył się ojciec Alvarado.

- *Fructus pro fructo.*

- *Silentium pro silentio.*

- Nie żyje?

- Nie żyje.

- Zabierz mu teczkę z dokumentacją, paszport i bilet samo-lotowy, bracie. Mamy mało czasu - powiedział Alvarado.

Złapali zmarłego za ręce i nogi, a następnie wspięli się z nim na pobliskie rusztowanie i zrzucili

trupa do głębokiego dołu przy-gotowanego pod cementowe fundamenty przyszłego centrum handlowego przy dworcu. Ojciec Pontius uniósł dłoń, nakreślił

w powietrzu znak krzyża i cisnął w ślad za ciałem materiałowy ośmiokąt ze zdaniem: „W imię Boga gotów na męki”. Misja była niemal w całości wypełniona.

Tego samego ranka mocno zbudowany mężczyzna w grubym płaszczu podobnym do tego, który z upodobaniem nosił Fessner, legitymujący się kanadyjskim paszportem wystawionym na jego nazwisko, wsiadł do samolotu linii Air Canada, lecącego do Ottawy.

Stamtąd ojciec Spiridon Pontius miał się przemieścić do Chicago, gdzie już czekało na niego kolejne zadanie: likwidacja Burta Hermana, znawcy początków chrześcijaństwa.

Watykan

Kardynał Lienart przeglądał wraz z siostrą Ernestine jakieś dokumenty, kiedy tę rutynową pracę przerwał

im nagle dzwonek telefonu.

- Niech siostra odbierze - polecił kardynał.

- Oczywiście, eminencjo - odrzekła zakonnica, sięgając po słuchawkę.

- Chciałbym mówić z Jego Eminencją - odezwał się czyjś głos.

- A kto mówi?

- Albo może niech siostra przekaze Jego Eminencji, że Korybant chciałby się z nim spotkać za dwie godziny w tym samym miejscu co poprzednio - oznajmił mężczyzna po drugiej stronie linii i połączenie zostało przerwane.

Wkrótce potem kardynał August Lienart siedział na ławce w watykańskich ogrodach, przypatrując się dryfującym po stawie nenufarom.

- Dzień dobry, eminencjo.

- Dzień dobry, Korybancie. Mam nadzieję, że nie wezwałeś mnie tu na darmo.

- Oczywiście, że nie. Eminencja zna przecież moją obowiązkowość i skuteczność, a niedawno otrzymałem bardzo konkretne zadanie.

- Więc jakie wieści?

Agent papieskiego kontrwywiadu wyciągnął do kardynała rękę, w której trzymał teczkę zalakowaną dwiema czerwonymi pieczęciami.

- Co to jest? - spytał Lienart.

- To jest, eminencjo, kukielka.

Watykański sekretarz stanu uśmiechnął się z satysfakcją. Wreszcie mógł przystąpić do działania. Skoro potrafił się pozbyć poprzedniego papieża po trzydziestu trzech dniach pontyfikatu, z pewnością zdoła powtórzyć tę sztukę z jego nieudolnym następcą.

Wziął od Korybanta teczkę i jednym ruchem złamał pieczęcie.

W środku znajdowało się kilka kartek papieru w różnych kolorach, a także parę czarno-białych fotografii przedstawiających spalone samochody, pozbawione twarzy ciała leżące w kałużach krwi na chodniku oraz demonstrantów wykrzykujących coś pod jakąś amerykańską ambasadą. Było też zdjęcie młodego, najwyżej dwudziestopięcioletniego mężczyzny oraz dotyczący go raport. U góry jego pierwszej strony widniało nazwisko mężczyzny: Agca, Mehmet Ali.

Zerkając co jakiś czas na zdjęcie, kardynał Lienart zaczął

czytać raport.

Agca, urodzony w 1958 roku we wsi Ismailli w południowo-

-wschodniej Turcji, od wczesnych lat zdradzający skłonności przestępcze, związany z prawicową organizacją terrorystyczną, tzw. Szarymi Wilkami, ale od 1976 roku utrzymuje również kontakty z innymi ugrupowaniami, niekiedy o całkiem odmiennym zabarwieniu ideologicznym. Zapytany o niego MIT, Milli istihbarat Teskilati, czyli turecki wywiad, twierdzi, że między 1976 a 1980 rokiem Agca współpracował z ekstre-mistami z różnych skrzydeł. W 1977 roku agenci Mosadu zlokalizowali go w Libanie, w obozie szkoleniowym dla terrorystów. Właśnie tam Agca wszedł w kontakt z dwiema grupami: domagającymi się islamizacji Turcji fanatykami religijnymi z Akinciiar oraz posługującymi się symbolem szarego wilka i nazwą ülkücüler faszyzującymi antykomunistami.

W tym miejscu Lienart podniósł oczy znad raportu i powiedział:

- Rzeczywiście idealna kukielka. O dokonanie zamachu na papieża spokojnie można podejrzewać i Akincilar, i ülkücüler.

Jeśli rzecz umiejętnie rozegrać, nikt nie będzie ani przez chwilę wątpił, że morderca działał z ramienia którejś z tych organizacji.

- Uśmiechnął się z satysfakcją, po czym wrócił do lektury.

25 czerwca 1979 roku Mehmet Ali Agca został aresztowany pod zarzutem zamordowania 1 lutego tego samego roku lewi-cowego dziennikarza Abdiego ipekci. Agca zabił go pięcioma strzałami i z dnia na dzień stał się bożyszczem tureckich prawicowych ekstremistów. Pięć miesięcy później z pomocą Szarych Wilków uciekł z więzienia Kartal Maltepe. Nazajutrz po ucieczce, już bezpiecznie ukryty, napisał: „Zachodni impe-rialiści, obawiając się, by Turcja i bratnie narody muzul-

mańskie nie stały się polityczną, wojskową i ekonomiczną potęgą, nasylają na nas nową krucjatę pod przykrywką wizyty przywódcy religijnego. Jeśli ta wizyta dojdzie do skutku, zabiję papieża. Po to uciekłem. Mehmet Ali Agca".

- Doskonale, drogi Korybancie - rzekł w końcu Lienart, uśmiechając się nieprzyjemnie. - Mamy naszą kukielkę.

- Jak sobie eminencja wyobraża stworzenie warunków sprzyjających akcji? - spytał agent.

- Tym nie zaprzataj sobie głowy. Osobiście układam harmono-gram dnia Jego Świątobliwości, toteż bez trudu coś zaaranżuję.

- Nie jestem pewien, czy naprawdę bez trudu. Ochrona nie odstępuje go na krok, zwłaszcza gdy kardynał Belisario Dandi nakazał swoim podwładnym z Jednostki wzmocnienie środków bezpieczeństwa.

- Dandim i ochroną sam się zajmę. Trzeba się natomiast zastanowić, jak ściągnąć tego Turka do Rzymu przed 13 maja.

- A jeśli się już go ściągnie, to co potem?

- Jego Świątobliwość spotyka się z wiernymi na placu Świętego Piotra 13 maja. Będzie jechał papamobile z odsuniętymi szybami, zadbam o to. Ochrona przy takich okazjach nie jest zbyt czujna, bo do sektorów w pobliżu papieża dopuszcza się tylko osoby ze specjalną przepustką. Agca taką dostanie. Resztę wolałbym zostawić komuś innemu. Nie chcę wiedzieć, w jaki dokładnie sposób ten Turek wykona swoje zadanie ani znać żadnych nieprzyjemnych szczegółów.

- Nie wolno nam wzbudzać niczyich podejrzeń, więc jak eminencja przekaze mi przepustkę?

- Przez pewnego dziennikarza z „L'Osservatore Romano”, niejakiego Giorgia Foscatiego. Bardzo mu zależy, abym udzielił

sakramentu bierzmowania jego córce, toteż zapewne nie odmówi nam przysługi.

- Dobrze, eminencjo, wszystko jasne - powiedział Korybant, przyklękając na piasku ścieżki i całując kardynalski pierścień.

- *Alea iacta est**, przyjacielu - odparł sekretarz stanu kardynał

August Lienart, kładąc na głowie agenta dłoń, jakby w geście pocieszenia.

Genewa

Szwajcaria, gdzie mieszkał Vasilis Kalamatiano, będąca istnym rajem, słynnym zarówno ze swych ośnieżonych szczytów i krystalicznych rzek, jak z banków i czekolady, stano-

* *Alea iacta est* (łac.) - Kości zostały rzucone.

wiała bezpieczną przystań dla wielu wpływowych marszandów.

Ugruntowana wielowiekową tradycją neutralność wobec rozmaitych targających Europą konfliktów oraz wykazywana przez tamtejszych bankierów nieporównana dyskrecja czyniły z tego kraju najpewniejszą fortecę.

Niejeden właśnie tutaj znalazł idealne miejsce nie tylko dla swoich nielegalnie zdobytych pieniędzy, ale również dla siebie i swojej rodziny. Sprawny system państwowych pożyczek, wysokie w porównaniu z resztą Europy pensje, stabilna waluta, doskonała opieka zdrowotna i sześć miesięcy wakacji w roku - wszystko to sprawiało, zdaniem wielu, że szwajcarskie społeczeństwo żyło w warunkach ocierających się o utopię, nie znając biedy ani problemów związanych z marginalizacją części mieszkańców. Był

to kraj przesadnego niemal poszanowania prywatności, własności i wszelkich przepisów.

W niemałym stopniu przyczyniła się do tego wszystkiego druga wojna światowa. Przez cały jej okres szwajcarskie banki z żelazną konsekwencją strzegły interesów swoich klientów, bez względu na to, czy klientami tymi byli żydzi, próbujący uchronić swoją własność przed zakusami nazistów, czy też ci właśnie naziści żerujący na bogactwie wysyłanych do komór gazowych żydów. Po wojnie ów pocztówkowy raj trwał nadal bez jakichkolwiek przeszkód.

Wykazywany przez Szwajcarów szacunek dla własności prywatnej stanowił ogromną zaletę z punktu widzenia wszelkiego rodzaju uczciwych i mniej uczciwych biznesmenów, w tym oczywiście marszandów. Szwajcaria była drugim obok Wielkiej Brytanii najprężniejszym centrum nielegalnego handlu dziełami sztuki i antykami, a w 1965 roku trafiła w związku z tym na pierwsze strony gazet.

Albowiem 28 kwietnia tego właśnie roku szwajcarska policja urządziła po południu nalot na dwa składy celne w Genewie.

Znalazła w nich wielką liczbę zrabowanych we Włoszech relikwii - w sumie piętnaście tysięcy obiektów o łącznej warto-

ści sięgającej niemal czterdziestu dwóch milionów dolarów.

Najprawdopodobniej maczał w tym palce Vasilis Kalamatiano.

Rankiem 6 grudnia 1971 roku przeszukano z kolei pewien magazyn w Bazylei, konfiskując prawie trzysta zabytkowych przedmiotów, w tym dwie mumie, cztery sarkofagi oraz wiele masek pośmiertnych. Śledztwo doprowadziło do Rafiqa al-Hawasiego z Gizy, prominentnego członka rządzącej Egiptem partii i bliskiego przyjaciela prezydenta Anwara Sadata.

Jak się okazało, egipscy celnicy za przyzwoleniem al-Hawasiego masowo przepuszczali autentyczne antyki jako falsyfikaty z bazaru Khan el-Khalili. Po zatrzymaniu al-Hawasi zeznał, że działał na zlecenie niejakiego Kalamatiana, w środowisku przemytników znanego pod przyzwiskiem Grek.

Al-Hawasi był młody, błyskotliwy, charyzmatyczny i pełen werwy, dość przy tym jednak odstręczający i zadufany w sobie.

Dzięki rozlicznym zabiegom wkradł się w łaski Kalamatiana, który widział w nim swoje odbicie - obaj wychowali się na ulicy, toteż w półświatku czuli się jak ryby w wodzie.

Początkowo rola al-Hawasiego sprowadzała się do wyszukiwania okazji. Chodziło o to, by wcześniej od konkurencji docierać do godnych zainteresowania antyków. Kairsy marszandzi oczywiście wiedzieli, że chłopak pracuje dla Greka i dlatego zawsze nosi przy sobie sporo gotówki. Jeśli na rynku pojawiała się coś wartego wzmianki, Rafią pędził do najbliższej budki telefonicznej i próbował złapać Kalamatiana w Grecji, Paryżu albo Genewie.

Miał jednak i tę zaletę, że - z natury przystojny - w odpowiednim ubraniu prezentował się nader dystygowanie, co ułatwiło mu osiągnięcie celu, gdy postanowił się wkroczyć do najlepszego kairskiego towarzystwa. W dodatku, współpracując z Kalamatianem, stawał się coraz bogatszy i w pewnym momencie doszedł do prze-konania, że z czasem zdoła zająć jakieś eksponowane stanowisko w rządzie Sadata. Zwłaszcza że po drodze upatrzył sobie idealną kandydatkę na żonę: ni mniej, ni więcej, tylko szwagierkę Greka.

Inną z jego „zalet” była umiejętność zręcznego dawania łapó-

wek, za sprawą których wiele niemożliwych wcześniej do przeprowadzenia transakcji błyskawicznie dochodziło do skutku. Problem polegał na tym, że tego typu ludzie nie potrafią pozostawać niezauważeni, co w społeczeństwie takim jak egipskie przysparza człowiekowi wielu często potężnych wrogów. Pycha al-Hawasiego zaczęła w końcu kłuć co poniektórych w oczy.

W wyniku policyjnej akcji z 6 grudnia 1971 roku Rafią al-Hawasi, wraz z dwudziestoma innymi osobami uwikłanymi w tę sprawę, został aresztowany i oskarżony o przemyt antyków. Prokurator zarzucił mu kierowanie zorganizowaną przestępczością.

Roczny proces skończył się skazaniem Egipcjanina na trzydzieści lat więzienia. Kiedy opinia publiczna usłyszała wyrok, zapanowało ogólne zdumienie, okazało się bowiem, że sprawiedliwość dosięga czasem nawet ludzi wpływowych.

Czy jednak chodziło o sprawiedliwość - to akurat było dość wątpliwe. Prokurator nigdy nie zdradził, kto podesłał mu podpisaną przez al-Hawasiego dokumentację trzystu znalezionych w Bazylei zabytkowych przedmiotów. Wedle niektórych mógł

za tym stać sam Grek, który nieco wcześniej odkrył, że jego młody podwładny, zawdzięczający mu niemal wszystko, robi interesy na boku. To wystarczyło, by ściągnąć na niego wieloletni wyrok oraz ogólne potępienie w środowisku marszandów. Przed zuchwalcem, który próbował oszukać jednego z najpotężniejszych ludzi w branży, doskonale znanego zarówno kolekcjonerom, jak i zajmującym się dziedzictwem narodowym agentom rozmaitych wywiadów, zatrzasnęły się nagle wszystkie drzwi.

Kalamatiano urodził się na wyspie Korfu. Wielu porównywało go ze słynnym milionerem Arystotelesem Onassisem. Wysoki i niemal całkiem łysy, na prawym oczodole nosił czarną opaskę.

Według legendy za młodu stoczył w Hongkongu bójkę z dwoma Chińczykami, z których jeden tuż

przed śmiercią wyłupił mu oko hakiem. Inna wersja głosiła, że Kalamatiano usiłował sprzedać rzekome prochy któregoś z chińskich cesarzy jakiemuś mafio-sowi, ten zaś, zwąchawszy przekręt, kazał marszanda porwać, wyłupić mu oko i trzymać go pod kluczem do czasu odzyskania wpłaconych już pieniędzy. Nikt nie wiedział, co z tego wydarzyło się naprawdę, a Kalamatianowi specjalnie nie zależało na rozwiewaniu otaczającej go aury tajemniczości. W rzeczywistości stracił

oko w dzieciństwie, kiedy jeden z kolegów trafił go kamieniem wystrzelonym z procy.

Mimo upośledzenia wzroku Kalamatiano słynął z bystrości w wypatrywaniu cennych antyków i w każdej chwili gotów był

wyłożyć na stół ogromną gotówkę. Płacił od ręki i między innymi dlatego wszyscy chętnie nawiązywali z nim współpracę.

Afdera wyszukała w dzienniku babki dotyczące go fragmenty.

Kalamatiana poznałam w Paryżu. Moja pierwsza galeria zaczynała już przynosić spore zyski, kiedy nagle Vasilis zobaczył we mnie konkurencję. Szczególnie denerwował go fakt, że prowadziłam interesy w sześciu językach, podczas gdy on, jeśli nie liczyć niezbyt przydatnej greki, wciąż władał jedynie słabym francuskim i jeszcze gorszym angielskim. W środowisku zaistniał dzięki jakiemuś dalekiemu krewnemu, który miał antykwariat w Paryżu. Grek wyuczył się tam podstaw zawodu, a gdy kuzyn zmarł, nie pozostawiając spadkobierców, interes przeszedł w ręce Vasilisa. Snobistyczne kółka lubują się w ekscentrycznych nowościach. Kalamatiano wiedział, jak to wykorzystać, a że z natury jest sprytny i ma dar negocjacji, szybko dopracował się niezwykle rozgałęzionej siatki współpracowników na całym świecie.

Afdera uważnie przyjrzała się czarno-białemu zdjęciu ukazującemu jej babkę w towarzystwie innych marszandów na jakiejś międzynarodowej konferencji. Tuż za Crescentią Brooks stał męż-

czynna o poważnej, okrągłej twarzy i z jednym okiem przesłoniętym czarną opaską. Afdera wsunęła fotografię między kartki dziennika i czytała dalej.

Jego sklep był ciemny i miał dużą piwnicę, do której schodziło się po schodach zastawionych skrzyniami. Osiągnąwszy sukces, Kalamatiano postanowił przenieść się do Genewy i potrzebował czegoś na kształt listów uwierzytelniających, a nic tak nie uwierzytelnia człowieka w oczach Szwajcarów jak urodzona w Szwajcarii żona. Pochodząca z Genewy Aimée urodziła mu potem trzech synów i córkę. Co roku dokładnie 8 stycznia Vasilis wyprawiał się na „polowanie”, jak sam mawiał. Jeździł wtedy po Włoszech, Grecji, Cyprze, Syrii, Iranie, Turcji i, oczywiście, podróżował po Egipcie. Za plecami wszyscy nazywali go Jednookim, ale nikt nie odważyłby się tak do niego powiedzieć. Od początku wzbudzał za duży strach.

Poza tym nadal umie obchodzić się z ludźmi, naginać ich do swojej woli prośbą, groźbą albo przekupstwem. Pamiętam jedną z jego najbardziej spektakularnych akcji. Kupił wtedy niewielki posążek Izydy w Kairze albo Damaszku, podobno za równowartość mniej więcej pięćdziesięciu dolarów. Później sprzedał tę figurkę pewnemu amerykańskiemu kolekcjonerowi za trzy tysiące dolarów, co oznaczało niewiarygodny wręcz zysk. Sześć lat później ten sam posążek poszedł w

Nie ulegało wątpliwości, że Vasilis Kalamatiano należał do wąskiego grona ludzi, którzy, działając na granicy prawa, w okresie powojennym ustanawiali reguły gry w handlu bliskowschodnimi antykami. To oni przerzucali mosty między tamtejszymi dostawcami a europejskimi czy amerykańskimi kolekcjonerami.

I niemal wszyscy charakteryzowali się doskonałym węchem połączonym z brakiem kultury, a także litości dla konkurencji.

- Pan Kalamatiano? - spytała Afdera.

- Na razie jego sekretarz. Z kim mam przyjemność?

- Tu Afdera Brooks, wnuczka Crescentii Brooks. Chciałam rozmawiać z panem Kalamatianem.

- Proszę poczekać - rzucił sekretarz.

Po chwili głos odezwał się ponownie:

- Panno Brooks, pan Kalamatiano prosi, żeby poczekała pani w hotelu na jego telefon.

- Czy wspominał, jak długo miałabym czekać?

- Nie. Przekazałem pani wiadomość od niego. Proszę czekać, aż zadzwoni. Nie potrafię sprecyzować, kiedy to nastąpi: czy jeszcze dzisiaj, czy za tydzień.

- W porządku. Zatrzymałam się w hotelu Beau Rivage, przy Quai du Mont-Blanc 13 - powiedziała Afdera.

Czekała cztery dni i gdy piątego, ostatecznie znecierpliwiona, postanowiła wracać do Wenecji, telefon wreszcie zadzwonił. Nie był to jednak Grek, tylko jego sekretarz, z wiadomością, że pan Kalamatiano zaprasza Afderę do siebie.

- O drugiej przyślę po panią Daniele, która zawiezie panią na miejsce.

Rezydencja Kalamatiana położona była w okolicach Route de Florissant, w jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Genewy, na terenie o powierzchni czterech kilometrów kwadratowych. Dom otaczały ogrody, a nieco dalej rozciągało się pole golfowe. Ponadto znajdowały się tu jeszcze dwa mniejsze budynki mieszkalne, przeznaczone dla sporadycznie odwiedzających Greka gości, kort tenisowy i dwa baseny, w tym jeden kryty.

Na podjeździe elegancki służący w czerni otworzył przed Afderą drzwi rolls-royce'a.

- Proszę za mną, panno Brooks - powiedział.

Weszli do wysokiego na ponad cztery metry holu, a stamtąd do wielkiego salonu z ogromnym oknem wychodzącym na ogród.

Pomieszczenie to chyba pełniło też zarazem funkcję gabinetu.

Na półkach i w gablotach leżało mnóstwo cennych przedmiotów

- prekolumbijskich, egipskich, babilońskich, rzymskich i bizantyń-

skich naczyń, monet, a nawet tkanin. Uwagę Afdery przykuły dwa dzieła: czarna granitowa statuetka z czasów Średniego Państwa oraz posążek Izydy karmiącej Horusa.

- Podobają się pani?

Afdera odwróciła się i stanęła oko w oko z samym gospoda-rzem.

- Oczywiście. Są niezwykle piękne - odparła.

Jednocześnie przypomniła sobie słowa babki: „Kalamatiano nigdy nie przestaje człowieka sondować. Lubi wiedzieć, kim wła-

ściwie jesteś, co wiesz o sztuce, co wiesz o innych rzeczach. Mimo opaski na oku ma bardzo wyrazistą twarz, nad którą doskonale panuje, co przydaje się w negocjacjach”.

- Napije się pani kawy po grecku?

- Tak, chętnie.

Nadejście służącego z filiżankami pełnymi gęstej, gorzkiej kawy zamknęło fazę wstępną spotkania. Teraz rozpoczynało się prawdziwe sondowanie gościa, które wkrótce miało przejść w fazę przyjaźni, kiedy to Kalamatiano opowiadał zwykle tę lub inną anegdotę ze swojej tajemniczej przeszłości, a potem następował

krzyżowy ogień pytań, mających wydobyć z gościa prawdę o celu jego odwiedzin.

- Moja babcia żywiła wielki szacunek dla pana - powiedziała Afdera, chcąc przełamać lody.

- I nawzajem. Crescentia była w naszym środowisku postacią wyjątkową, prawdziwym białym krukiem. Zwłaszcza w kwestiach związanych z uczciwością - odrzekł Kalamatiano, nalewając sobie kawy.

- A pan w jaki sposób znalazł się w tym środowisku?

- Babcia pani nie mówiła?

-Nie.

- Korzenie mam skromne. Moi przodkowie byli piratami, płat nymi zabójcami, najemnikami w służbie możnych tego świata.

O, ten tutaj portret przedstawia jednego z moich pradziadów, Ksenofonta Kalamatiano - oświadczył Kalamatiano, wskazując obraz, który wyglądał Afderze na włoski renesans. - Namalował

go sam Sandro Boticelli, w okresie gdy pracował dla Wawrzyńca Medyceusza.

Praszczur Greka sprawiał dość groźne wrażenie. Jego twarz poznaczona była bliznami, nabytymi bez wątpienia w jakichś bitwach.

- Ksenofont Kalamatiano urodził się na Peloponezie i wedle części źródeł wcześniej wstąpił do zakonu dominikanów, lecz potem zrzucił habit i oddał się szlachetnej sztuce skrytobójstwa, której tajniki zgłębił na dworze młodego sultana imperium osmańskiego, Mehmeda II Zdobywcy. Tam zapoznał się z dziełem greckiego zielarza Dioskorydesa, który w pierwszym wieku naszej ery stworzył pierwsze wielkie studium na temat trucizn i ich zastosowania. Ksenofont całymi dniami przesiadywał w jednej z sal pałacu w Konstantynopolu, ucząc się na przykład o tym, że ciemiernik biały, zwany też bożonarodzeniową różą, z pozoru całkiem niewinny, zawiera trującą substancję, która po odpowiednim przygotowaniu może spowodować nawet śmierć. Następnie sultan wysłał mojego przodka na dwór Wawrzyńca Medyceusza, gdzie Ksenofont dzięki swej wiedzy szybko stał się siejącym postrach trucidielem. Od tego czasu aż po dziś dzień członkowie mojej rodziny to rabusie, przemytnicy, a nawet marszandzi.

Tylko wykształcenie mamy dziś może nieco inne niż Ksenofont.

- Kalamatiano się uśmiechnął.

- Babcia wychwalała pańską znajomość antyków.

- Och, Crescentia... To była kobieta! Umiała człowiekowi kadzić, a jednocześnie z właściwą sobie elegancją boleśnie wykre-

cała mu ramię - rzucił marszand, wstając z sofy, na której siedział, i kierując się w stronę barku. - Pozwoli pani kieliszeczek mastiki?

- Niestety, nie wiem, co to jest.

- To grecka wódka z winogron, aromatyzowana żywicą z popularnych w Grecji krzewów.

- Dobrze, spróbuję.

Napełniając kieliszki, Kalamatiano spytał wprost:

- Może teraz mi pani powie, co panią do mnie sprowadza?

- Zgoda. Wie pan, że moja babcia kupiła przed laty pewną księ-

gę: Ewangelię Judasza. Potem długo trzymała ją w sejfie jednego z nowojorskich banków. Umierając, zostawiła mi list, w którym prosiła, żebym skontaktowałam się z Fundacją Helsinga w sprawie renowacji i tłumaczenia tego dzieła. Od znajomego z Kairu...

- Ma pani na myśli Rezekę Badaniego? - przerwał jej Kalamatiano.

- Tak. Właśnie od niego dowiedziałam się, że swego czasu zatrudnił pan specjalistów, którzy mieli odnaleźć dla pana pewien tekst, datowany na koniec pierwszego wieku naszej ery, zdolny zachwiać częścią dogmatów Kościoła. Ten dokument..

- Ten rzekomo istniejący dokument - znów wtrącił się Grek.

- Dobrze, więc ten rzekomo istniejący dokument, spisany przez niejakiego Eliezera, może mieć związek z Ewangelią Judasza.

Dlatego chciałabym go odszukać, przetłumaczyć i przeczytać.

- A ja bym chciał odszukać Arkę Przymierza, nie wspominając już o arce Noego, świętym Graalu, Kryształowej Czaszce czy grobowcu Wielkiego Chana, Tyle że to niemożliwe, panno Brooks.

Tak samo jak odnalezienie tekstu, o którym pani mówi.

- A gdybym panu powiedziała, że wiem, gdzie znajduje się Wodny Labirynt znany też jako Miasto Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników?

- Dwaj opłacani przeze mnie eksperci, pracując od rana do wieczora przez prawie osiem lat, nie wpadli żaden interesujący trop.

A przetrzasali archiwa, odwiedzali setki klasztorów, przemierzali tysiące kilometrów.

- Wiem na pewno, że jeden z nich zbliżył się do prawdy na ten temat dzięki przekazom dotyczącym Ludwika IX i siódmej krucjaty. Wiem też, że Ludwik IX nakazał kilku swoim rycerzom, wśród których byli dwaj bracia de Fratens, chronić Ewangelię Judasza oraz tekst Eliezera. I jestem przekonana, że pan z kolei wie o tej sprawie więcej, niż chce przyznać.

- A co bym zyskał, pomagając pani szukać tego, powtórzmy, rzekomo istniejącego dokumentu? Co do którego doniosłości wcale zresztą nie muszę się z panią zgadzać.

- Gdyby nam się udało, byłabym gotowa odstąpić panu prawo do jego sprzedaży, pod warunkiem, że wcześniej mogłabym zapoznać się z jego treścią - powiedziała Afdera. - Zyskałby pan zatem i chwałę współodkrywcy, i pieniądze.

- A pani chciałaby jedynie wiedzieć, o czym tam mowa?

- Tak. Chciałabym poddać ten tekst renowacji i tłumaczeniu.

Potem miałby pan prawo zrobić z nim, cokolwiek by się panu podobało.

Kalamatiano wpatrywał się w nią przez chwilę z namysłem, po czym rzekł:

- Zgoda. Powiem pani, co wiem. Proszę tu podejść, coś pani pokażę.

Afdera podniosła się z fotela i zbliżyła do wielkiego maho-niowego stołu, na którym leżała sterta papierów. Były to mapy, oprawne w skórę notesy, zdjęcia obrazów i ilustracji ze starych kodeksów, plany miast.

- Proszę spojrzeć. To materiały zgromadzone przez moją

Πειραιεύς,

ekipę na temat Ludwika IX, braci de Fratens, wyprawy do Egiptu i Waregów, którymi dowodził Philippe de Fratens. Trop prowadzi z Damietty przez Akkę do Antiochii i Pireusu. Potem się urywa.

- Kalamatiano otworzył sejf w ścianie i wyjął zrolowany i przewiązany czerwoną jedwabną wstążką dokument. - Oto trzynastowieczny albo czternastowieczny rękopis, w którym pojawia się wzmianka o krzyżowcu podróżującym w towarzystwie jasnobrodych wojowników z północy oraz nazwa

czyli Pireus.

Zatrudnieni przeze mnie badacze twierdzili, że może chodzić o jednego z braci de Fratens i jego Waregów.

- Skąd pan to ma?

- Nie wiem, czy słyszała pani od babki, że w naszym fachu nigdy nie zadaje się takich pytań.

- Wobec tego proszę mi powiedzieć, czemu postanowił pan zrezygnować z tamtych badań - rzuciła pospiesznie Afdera.

- Bo w pewnym momencie trafiliśmy na mur. Wyszło na jaw, że istnieją pewne wskazówki, zostawione prawdopodobnie przez Waregów de Fratensa, a dotyczące miejsca, w którym ukryto dokument Eliezera. Tyle że te wskazówki okazały się niezrozumiałe.

- Musiało chodzić o znaki runiczne. Waregowie posługiwali się nimi od trzeciego do piętnastego wieku. Wie pan, czy pańscy specjaliści próbowali pójść tym tropem?

- Jasne, że próbowali. Tyle że nic z tego nie wyszło, bo gdyby wyszło, to byśmy tu teraz nie siedzieli, a dokument już dawno byłby u mnie albo u jakiegoś oskubanego przeze mnie bogatego kolekcjonera.

- Czyli muszę podjąć ten trop. Zgadza się pan?

- O ile potem wywiąże się pani ze swoich zobowiązań...

- Wywiążę się, jeśli najpierw i pan dotrzyma słowa...

- Dotrzymam. Umowa stoi? - spytał.

- Stoi. Zostaliśmy współnikami - potwierdziła Afdera.

Kalamatiano zaproponował, że wyśle jej do Wenecji wszystkie materiały zdobyte przez Leonarda Colaianiego i Charlesa Eolande.

Afdera wiedziała, co to oznacza: od tej pory nie zamierzał ani na moment spuszczać jej z oka.

Jadąc rolls-royce'em do hotelu, uświadomiła sobie, że ani słowem nie wspomniała o legendzie dotyczącej zmarłego w Wenecji rycerza, który miał na tarczy znak lwiego pazura, czyli herb rodziny de Fratens. Nie wróciła także do sprawy Wodnego Labiryntu, a Kalamatiano o to nie zapytał.

Jego zamiary nie były do końca jasne, ale tak czy owak, na razie trzymali się nawzajem w szachu: on potrzebował jej i świadectwa Judasza, ona zaś - raportów, które sporządzili Colaiani i Eolande.

Nie wątpiła też, że wiedział już o jej spotkaniu z Colaianim we Florencji, jednakże tego tematu również nie poruszyli.

Ostatecznie babka uczyła ją, że zawsze należy mieć w rękawie asa, a w miarę możliwości nawet dwa albo trzy.,.

W hotelu zagadnął ją recepcjonista.

- Panno Brooks?

-Tak?

- Jest do pani pilna wiadomość od komisarza Grübera z berneńskiej Stadtpolizei, który dzwoni do pani od rana.

- Byłam na spotkaniu. Co się stało?

- Komisarz Grüber prosił, żeby odezwała się pani do niego jak najszybciej. - Recepcjonista wręczył jej karteczkę z numerem telefonu.

Afdera bynajmniej nie zamierzała zwlekać. Już po chwili usłyszała w słuchawce głos komisarza:

- Grüber, słucham.

- Witam pana, tu Afdera Brooks. Skąd pan wiedział, w jakim hotelu mieszkam?

- Przecież wypełniała pani specjalny formularz dla cudzoziemców, zaznaczając miejsca, gdzie się pani zatrzyma - przypomniał jej Grüber. - Gdzie się pani od rana podziewa? Dzwonię i dzwonię. .

- Co się stało?

- Chodzi o pani znajomą Sabine Hubert.

- Co z nią?

- Wczoraj wieczorem została zamordowana.

Pod Afdera ugięły się nogi. Oparła się o ścianę, usiłując dojść do siebie.

-To niemożliwe... Niemożliwe... - powtarzała. - Wczoraj wieczorem jadłyśmy razem kolację. I na własne oczy widziałam patrol pod jej domem.

- Sekcja wykazała, że ktoś otruił panią Hubert substancją, której jeszcze nie zdołaliśmy zidentyfikować. Na razie wiemy tylko, że była to bardzo silna neurotoksyna.

- Ale jak do tego doszło? Przecież Sabine czuła się dobrze...

- bełkotała Afdera.

- Trucizna znajdowała się w słoiku z kremem, który pani Hubert nałożyła na twarz przed pójściem do łóżka. Efekt był

błyskawiczny.

- A co z Johnem Fessnerem?

- Nie udało nam się z nim skontaktować, bo jest w podró-

ży. Wiadomo, że dziś rano wsiadł w Genewie do samolotu Air Canada.

- Skąd wiadomo?

- Dostaliśmy od straży celnej kopię jego karty pokładowej.

Powiadomiliśmy o wszystkim odpowiednie organa w Kanadzie, prosząc o potwierdzenie tożsamości pasażera i objęcie go specjalną ochroną.

- A Burt? I Efraim?

- Panu Hermanowi przydzieliliśmy obstawę do czasu, aż odleci z Genewy do Chicago. W Stanach Zjednoczonych przejdzie pod opiekę tamtejszej policji. Pan Shemel odrzucił naszą propozycję zapewnienia mu ochrony. Ma, jak się zdaje, dobre układy z Mosadem, bo dziś rano zjawili się w Bernie dwóch przedstawicieli ambasady Izraela w Genewie. Zapewnili, że bezpiecznie odstawią pana Shemela do Tel Awiwu, tam zaś zaopiekuje się nim Służba Bezpieczeństwa Ogólnego Szin Bet.

- Ale dlaczego komuś zależało na śmierci Sabine? Przecież ona nic nikomu nie zrobiła! Żyła swoją pracą.

-I może właśnie to ją zgubiło. Kontakt z księżą Judasza.

Pamięta pani naszą rozmowę o tych ludziach od ośmiokątów?

- Znalaziono kolejny w domu Sabine?

- Nie. A zapewniam panią, że moi ludzie szukali bardzo dokładnie. Tym razem morderca nic nie zostawił. Może zresztą chodziło o coś innego. Rozważamy wszelkie ewentualności, także te związane ze środowiskami homoseksualnymi...

- Sugeruje pan, że ktoś ją otruił, bo była lesbijką?

- Niczego nie sugeruję. Po prostu wyliczam możliwości.

Żadnej nie możemy z góry wykluczyć, choć oczywiście najbardziej prawdopodobna wiąże się z księgą Judasza. Sposób dokonania morderstwa i sama trucizna wskazują na profesjonalistę.

- Co pan zamierza?

- Przydzielić pani ochronę.

- Sądzi pan, że do mnie też przyjdą?

-Może jeszcze nie teraz, ale w przyszłości... Kto wie.

Ostrożności nigdy za wiele. Chwilowo proszę tylko, by nie opuszczała pani hotelu. A w razie czego na ulicy czeka już patrol, koledzy zawiozą panią, dokąd pani zechce. Ale samotnie niech się pani nigdzie nie rusza, dobrze?

- Dobrze, komisarzu - przytaknęła Afdera.

Odwiesiła słuchawkę i rozplakała się, myśląc o Sabine Hubert, która przywróciła życia księdze Judasza i być może dlatego straciła własne.

XI

Aspen, Kolorado

Amerykańskie miasteczko Aspen,

założone w 1879 roku przez poszukiwaczy srebra, leży wśród dość wysokich i stromych gór na północy wznosi się tu Red Mountain, na wschodzie - Smuggler Mountain, a na południu Aspen Mountain. W latach sześćdziesiątych miejscowość liczyła tysiąc stu mieszkańców, by w ciągu niecałych dwóch dekad powiększyć się pięciokrotnie.

To malownicze ustronie, które przyciągało ludzi takich jak John Denver czy Hunter S. Thompson, stało się z czasem jednym z najbardziej luksusowych ośrodków narciarskich, odwiedzanym przez milionerów i szukające męża piękności. Rezydencje w okolicy kupowali aktorzy w rodzaju Michaela Douglasa, Dona Johnsona lub Jacka Nicholsona, milionerzy tacy jak Harold Ross, założyciel

„The New Yorkera”, a także saudyjscy szejkwowie. Piękny dom mieli tu również państwo Brooks, dziadkowie Afdery i Assai.

Dla Sampsona Hamiltona, który wychował się w Szwajcarii i Austrii, gdzie zimy bywają srogie, śnieg nie stanowił problemu. Zresztą wypożyczalnia na niewielkim, położonym pięć kilometrów na północ od miasta lotnisku Sardy Field oferowała samochody terenowe.

Droga okazała się dość kręta, ale dobrze odsnieżona i niezwykle malownicza. Sampsonowi kojarzyła się z niektórymi zakątkami w Szwajcarii. Potem pojawiła się wielka tablica z napisem:

„Witamy w Aspen”.

Hotel Little Neil, w którym Sampson zarezerwował sobie pokój jeszcze z Genewy, miał się mieścić przy East Durant Avenue, pod numerem 675. Przy wjeździe do miasteczka stał policjant kierujący ruchem.

- Przepraszam, jak dojechać do hotelu Little Neil?

- Main Street do South Hunter, potem w prawo.

Kilka minut później Sampson zaparkował auto przed imponującym budynkiem. Sądząc po nazwie, spodziewał się czegoś w rodzaju alpejskiego schroniska bez większych wygód, ale Little Nell, z eleganckim barem na parterze, wyglądał zdecydowanie luksusowo.

Znalazłszy się w pokoju, Sampson od razu sięgnął po telefon i wybrał numer policji w Aspen.

- Komisariat, słucham? - odezwała się jakaś kobieta.

- Chciałbym mówić z detektywem Winkertonem. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Sampson Hamilton ze Szwajcarii.

Rozmawialiśmy już przed tygodniem.

- Chwileczkę.

Uspokajająca muzyka nie zdążyła jeszcze rozbrzmieć na dobre, kiedy w słuchawce rozległ się głos detektywa.

- Tli Winkerton, w czym mogę pomóc?

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta. Nazywam się Sampson Hamilton, jestem adwokatem rodziny Brooksów. Telefonowałem już do pana z Genewy, ze Szwajcarii...

- Tak, mam świadomość, gdzie leży Genewa. Czego pan sobie życzy?

- Potrzebuję informacji na temat wypadku, który zdarzył się tu, w Aspen, już jakiś czas temu. Chętnie bym się z panem spotkał

i spokojnie porozmawiał. Przede wszystkim muszę wiedzieć, czy przechowują państwo raporty dotyczące wypadków sprzed lat.

- Tak, tyle że wypadkami zajmowała się kiedyś Amerykańska Straż Parkowa, ponieważ większość z nich zdarzała się w nad-zorowanych przez nią strefach, takich jak góry i lasy. Chociaż, jeśli coś podobnego działo się na drodze, wkraczała też oczywiście policja. Jeszcze dziesięć lat temu raporty sporządzano ręcznie i składano w oznaczonych numerami teczkach. Później przerzucono się na maszyny do pisania. Tak czy owak, wszystko zalega w magazynie, który dzielimy z szeryfem hrabstwa Pitkin.

- Czy dałoby się wydobyć stamtąd raport dotyczący wypadku rodziców mojej klientki?

- Chyba nie zamierza pan go sobie zabrać?

- Nie, oczywiście, że nie. Pragnąłbym go jedynie przeczytać, nic więcej.

- Idę niedługo na lunch do Old Saybrook przy Main Street.

Jeśli pan chce, możemy zjeść razem, a potem pójdziemy na komisariat - zaproponował Winkerton.

- Doskonale. Niech mi pan da kilka minut.

W Old Saybrook było to wszystko, czego należało się spodziewać po restauracji w amerykańskim ośrodku narciarskim: zdobiące ściany poroża łosi, wysuszona skóra niedźwiedzia grizzly na drzwiach łazienki, indiańskie dywaniki oraz zabiegane kelnerki w jaskrawych wdziankach.

Jedna z nich dopadła Sampsona, gdy tylko wszedł.

- Stolik dla jednej osoby?

- Nie. Szukam detektywa Winkertona.

- Siedzi tam w głębi.

Tom Winkerton pochodził z Denver, gdzie prowadził dochodzenia dotyczące rabunków i morderstw. Nieprzyjemny incydent w czasie patrolu skłonił go do przeprowadzki do spokojnego miejsca, jakim było Aspen.

- Gdy zdarzył się wypadek, o który panu chodzi, pracowałem w Denver - wyjaśnił. - Dlaczego interesuje się pan czymś, co stało się niemal dwadzieścia lat temu?

- Ponieważ moja klientka uważa, że to mogło być morderstwo, a nie wypadek.

- W Aspen zabójstwa nie zdarzają się zbyt często. Ostatnie mieliśmy przed dziewięciu laty. Kilku szczeniaków z dobrych rodzin zgwałciło i zamordowało siedemnastolatkę z Ohio. Od tego czasu panuje spokój.

- Miło to słyszeć. Co nie zmienia faktu, że chciałbym zapoznać się z aktami tamtej sprawy - odparł Sampson. - Zginęły wówczas dwie osoby: John Huxley i Genoveva Brooks.

- Brooks? Z tych bogatych Brooksów?

- Owszem. Uznano, że to był wypadek.

- A pan sądzi inaczej?

- Ja nic nie sędzę. Działam z polecenia swojej klientki.

- Dobrze. Jak tylko sobie podjemy i przepłuczemy gardło piwem, pójdziemy pogrzebać w papierach. Ale tak czy owak, radzę panu porozmawiać z szeryfem hrabstwa Pitkin, Garrisonem.

On już tu wtedy pracował.

- Myśli pan, że powinienem?

- Oczywiście. Jestem pewien, że kto jak kto, ale szeryf Garrison doskonale się orientuje.

- Skoro tak.. Czy zechciałby pan do niego zadzwonić i mnie z nim umówić? Byłbym panu bardzo wdzięczny.

- Jasne. Zrobię to, jak tylko znajdziemy się u mnie w gabinecie.

Po obfitym posiłku ruszyli obaj na komisariat. W gabinecie Winkertona wisiało wiele oznaczeń i medali w ramkach, a także zdjęcie gospodarza w mundurze marines.

- Wietnam - rzucił wyjaśniająco detektyw. - Przez sześć lat polowałem w dżungli na przeklętych *charlies*.

- Dlaczego zostawił pan Denver?

- Raz patrolowaliśmy z kolegą północne dzielnice miasta, kiedy otrzymaliśmy wezwanie. Podjechaliśmy na miejsce, było ciemno, kolega rzucił się w pościg, a ja zostałem w samochodzie, żeby poprosić o wsparcie. I wtedy usłyszałem strzał. Mój partner upadł. Wskoczyłem z samochodu i wycelowałem w napastnika.

Trafiłem. A potem się okazało, że to był trzynastolatek, który podwędził broń ojcu. Wtedy uznałem, że wolę zajmować się kradzieżami nart, i dlatego tu jestem.

- Boże święty...

- A teraz, skoro opowiedziałem już panu swoje życie, przejdź-

my do rzeczy. Więc pana klientka uważa, że to nie był wypadek.

- Podejrzewa, że nie. Z tego powodu chciałbym przeczytać raport. Ostatnio w Egipcie i Szwajcarii doszło do kilku dziwnych morderstw związanych z pewnym przedmiotem i moja klientka zastanawia się, czy ów przedmiot nie odegrał też jakiejś roli przy śmierci jej rodziców.

- Dobrze, poszukajmy - powiedział Winkerton i sięgnął

po gruby rejestr leżący obok na stole. - O, proszę - zawołał, notując ołówkiem na kartce numer sprawy. - A-2013317/63.

Teraz trzeba się tylko do tego dogrzebać.

- W jaki sposób?

- Niech pana o to głowa nie boli, wszystkim się zajmę.

Wkrótce potwierdziło się, że raport powinien się znajdować w archiwach ratusza, dokąd Winkerton, nie zwlekając, zadzwonił.

- Helen - rzucił do słuchawki - potrzebuję dokumentów sprawy A-2013317/63. Powinniście to mieć gdzieś u siebie.

- Ależ to jakieś starocie sprzed prawie dwudziestu lat! Po co ci to?

- Do śledztwa.

- Wiesz co? W takim razie najlepiej będzie, jak sam poprze-rzucasz sobie te wszystkie sterty papierzysk.

- Dobra. Zaraz będę.

Ubrali się i wyszli z komisariatu, zmierzając ku budynkowi ratusza. Niedługo potem znaleźli się w

schłodnej piwnicy zasta-wionej ponumerowanymi pudełkami.

- Proszę zacząć od tej strony - polecił adwokatowi Winkerton.

- Tu są pudełka z literą „R”.

- To rabunki. Niech pan szuka litery „A”, od „accidents”. Rok 1963. O, gdzieś tutaj...

Po chwili detektyw wydał okrzyk radości.

- Jest! - zawołał, stawiając pudełko na ziemi i zrywając plomby kluczykiem od samochodu. - Zaraz, zaraz... O, proszę.

A-2013317/63, Huxley John i Brooks Geneveva.

- Niech pan pokaże - poprosił Sampson Hamilton.

- Moment, najpierw musimy tu posprzątać, inaczej Helen nas pozabija.

Gdy wyszli na ulicę, Sampson ponowił prośbę.

- W porządku. Ufam panu - oświadczył Winkerton. - Tylko proszę mi to jutro odnieść. Właściwie nie powinienem panu udostępniać akt, bo to nielegalne. Więc lepiej niech się pan nikomu nie chwali.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję. Jestem naprawdę wdzięczny.

- Nie ma o czym mówić. Zanim pan wyjedzie, musimy jeszcze skoczyć razem na piwo.

- To jesteśmy umówieni.

W samotności swego pokoju Sampson zdjął buty i zaczął przeglądać dokumentację wypadku, w którym stracili życie rodzice Afdery i Assai.

Najpierw przeczytał raport sporządzony przez dwóch ratow-ników górskich, którzy odnaleźli zwłoki. Zanotował szczegóły dotyczące miejsca zdarzenia: północna ściana Clark Peak, dziesięć kilometrów na zachód od Pitkin. Następnie wrócił do lektury.

Dalej znajdowały się notatki ze wstępnych oględzin ciała Genevevy Brooks oraz odręczny szkic z zaznaczonymi dwoma krzyżykami, sygnalizującymi - jak się domyślił Sampson - poło-

żenie zwłok. Pociągnął łyk burbona.

Na kolejnych czterech stronach - zielonkawych, z logo Aspen Valley Hospital - wyliczone były odniesione przez Johna Huxleya i Geneveve Brooks obrażenia. Podpisany pod raportem lekarz stwierdził u Huxleya głęboką ranę na szyi, spowodowaną prawdopodobnie przez gwałtowny upadek. Matka Afdery i Assai miała połamane, a częściowo wręcz wyrwane paznokcie. Uznano, że spadając, próbowała się przytrzymywać skał.

Sampson zerknął do policyjnego raportu, sprawdzając, czy pod paznokciami zmarłej nie odkryto aby śladów ludzkiej skóry, świadczących o ewentualnej walce, ale lekarz, który wykonał

sekcję, nic na ten temat nie wspomniał.

Pociągając kolejny łyk burbona i przerzucając papiery, adwokat ujrzał zniekształconą przez grube szkło opasłą żółtą kopertę ściągniętą gumką recepturką. W środku znalazł plik czarno-bia-

łych fotografii.

Zdjęcia przedstawiały miejsce wypadku, zwisającą ze skały linę, zwłoki złożone w miejskiej kostnicy oraz należące do zmarłych przedmioty. Samson oglądał to wszystko nieuważnie, dopóki nie rzucił mu się w oczy pewien szczegół.

Na fotografii widać było biały stół, a na nim - pusty plecak, bidon, kilka karabinków wspinaczkowych, czerwony sweter, rękawiczkę, czapkę, buty, jakieś klucze, latarkę, pistolet sygnalizacyjny, uszkodzony aparat fotograficzny oraz niewielki biała-wy przedmiot, na pierwszy rzut oka przypominający haftowaną chusteczkę.

Sampson przyglądał mu się przez chwilę, bez specjalnych rezultatów, aż wreszcie jednym haustem dopił burbona i wyrzucił

lód do kosza. Następnie wytarł szklanekę ręcznikiem i przyłożył

ją jak lupę do zdjęcia. Wtedy rozpoznał leżący wśród innych przedmiotów na stole wycięty z materiału ośmiokąt.

Musiał powiedzieć o tym Afderze, wcześniej jednak chciał

jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Należało się też zastanowić, czy wspominać o odkryciu Winkertonowi.

Po wypiciu połowy butelki burbona zadzwonił do Wenecji, żeby zostawić numer kontaktowy Afderze. Później próbował

zasnąć, świadom, że następnego dnia czeka go spotkanie z szeryfem Garrisonem, który mógł rzucić nowe światło na sprawę.

Poza tym trzeba było znaleźć dobrą pracownię fotograficzną i przed oddaniem teczek z dokumentacją Winkertonowi zrobić powiększenia części zdjęć.

Ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. -

Tak?

- Witaj, Sam, tu Afdera. Czego się dowiedziałeś?

- O, Afdera. Jak się miewasz? - wymamrotał adwokat.

- Świetnie. Choć trochę się niecierpliwię, kiedy ktoś nie odpowiada na moje pytania.

- Chwilowo nic ci nie mogę powiedzieć. Wczoraj spotkałem się z miejscowym detektywem. Dziś mam się widzieć z szeryfem hrabstwa Pitkin i może zdążę pojechać na miejsce wypadku. Będę chyba musiał wynająć przewodnika. Do tragedii doszło na górze nazywanej Clark Peak. Dziś wieczorem zadzwonię i podam ci więcej szczegółów.

- Pokazali ci jakiś raport?

- Dostanę go najprawdopodobniej dzisiaj rano - skłamał gładko. - Cierpliwości, skontaktujemy się potem.

- Nie zapytasz o Assai?

- O, pewnie! Co tam u niej?

- Martwi się. Twierdzi, że zmuszam cię do odbywania tajemniczych podróży. Tęskni za tobą.

- Wiem, ja też za nią tęsknię. Przekaż jej, że za kilka dni będę w domu.

- No dobrze, Sam. Uważaj na siebie i dzwoń, jeśli się czegoś dowiesz.

- Oczywiście. To na razie, do wieczora.

Zjadłszy duże śniadanie, Samson ruszył na poszukiwania pracowni fotograficznej. W recepcji dostał adres mieszczącej się przy alei Hopkinsa firmy Aspen Photoshop. Nie miał wiele czasu.

Aspen Photoshop nie wyróżniał się właściwie niczym szczególnym. Na ścianach, jak we wszystkich tego rodzaju przybytkach, wisiały powiększone odbitki zdjęć przedstawiających jakieś widoczki, narciarzy, pieczone indyki i dziewczęta w bikini.

Kolorytu lokalnego przydawały jedynie ustawione gdzieś na półkach narciarskie buty.

- Dzień dobry. Mam na imię Tom. Czym mogę służyć? - spytał

stojący za ladą młodzieniec z trądzikiem.

- Dzień dobry. Mam tu kilka czarno-białych fotografii.

Chciałbym je odbić i powiększyć.

- Nie są zbyt dobrej jakości, ale spróbuję - oświadczył przyszczaty młodzieniec, oglądając zdjęcia przez lupę. - Odbitki będą za godzinę, powiększenie zajmie trochę więcej czasu.

- Dobrze. Poczekam gdzieś przy kawie. Nie wiem pan, gdzie można wynająć przewodnika?

- A dokąd się pan wybiera?

- W okolice Clark Peak. Najlepiej dziś po południu.

- Proszę spytać naprzeciwno, u Johnsięgo. Tam przesiaduje wielu przewodników. Jest wcześniej, więc na pewno kogoś pan znajdzie.

Bar „U Johnsięgo” należał do Johnsona Clarkwooda, niegdyś światowej klasy narciarza. Reklamy budweissera i coca-coli oraz butelki burbona sąsiadowały tu więc z trofeami olimpijskimi.

Zrobiona w latach siedemdziesiątych fotografia przedstawiała Clarkwooda w towarzystwie pewnego Hiszpana, złotego meda-listy z Sapporo.

Zalegające na podłodze łupinki orzeszków ziemnych dziwnie trzeszczały przy każdym kroku.

- Macie kawę? - spytał Sampson.

- Zależy jaką - odparła kelnerka.

- Czarną. I mocną - uściślił. - Nie zna pani jakiegoś przewodnika, który zabrałby mnie dziś pod Clark Peak? - dodał.

- Będzie trudno, nazjeżdżało się turystów. Nie pan zajrzy do nas wczesnym popołudniem, może ktoś się napatoczy.

- Ile to będzie kosztować?

- Jeśli tylko pod Clark Peak, to ze dwieście dolarów. Jeśli wyżej, to o dwieście, trzysta dolarów drożej.

Niecałą godziną później, po wypiciu kilku kaw, Sampson opu-

ścił bar. Zauważył, że tuż za nim wyszedł mężczyzna siedzący przez cały czas przy stoliku w głębi.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zagadnął nieznajomy. -

Nazywam się Ralph Abbot i słyszałem, jak rozmawiał pan z Sally. Tą kelnerką - wyjaśnił.

- Ach, tak. O co chodzi?

- Z tego, co zrozumiałem, szuka pan przewodnika na wyprawę pod Clark Peak. Mógłbym tam pana zabrać, gdyby nie przeszkadzało panu, że pojedzie z nami jeszcze jeden turysta. To wspinacz z Niemiec, czeka na poprawę pogody, żeby atakować ścianę Capitol Peak, i postanowił rozejrzeć się po okolicy. To by było po trzysta dolarów na głowę.

- Doskonale.

- Gdzie się spotkamy?

- Może w biurze szeryfa w Pitkin? Stamtąd już chyba niedaleko do Clark Peak?

- Tak, to niecałe dziesięć kilometrów na południe - potwierdził

Abbot.

- To o trzeciej?

- Zgoda.

Załatwiwszy sprawę przewodnika, Sampson przeszedł przez ulicę i wrócił do fotografa.

- Wszystko gotowe - powiedział chłopak z trądzikiem. - Po powiększeniu wyszło straszne ziarno, więc jakość jest średnia, ale chyba wszystko widać.

- Tak, świetnie - mruknął adwokat, przyglądając się przez lupę ośmiokątowi.

Nie ulegało wątpliwości, że mordercy deptający po piętach Afderze swego czasu jeszcze bardziej zbliżyli się do jej rodziców.

Następnym punktem programu było Pitkin - położona nieco na północ od Aspen siedziba szeryfa hrabstwa Pitkin.

Sampson zaparkował swoją terenówkę obok radiowozu, przed Cirque Bar & Gril przy Dały Lane, gdzie się umówił z Garrisonem.

Gdy wszedł do lokalu, jak spod ziemi wyrosła przy nim dwudzie-stolatka w ludowym stroju.

- Stolik dla pana?

- Nie, dziękuję. Szukam szeryfa Garrisona.

- A. Tam jest - powiedziała dziewczyna, wskazując wysokiego mężczyznę w mundurze ze złotą odznaką na piersi, rugającego trzech stojących przed nim rządem nastolatków.

- Szeryf Garrison?

- Tak, to ja. Proszę chwilę poczekać, aż skończę z tymi obwie-siami.

Garrison był typowym prowincjonalnym szeryfem, który spę-

dził większość życia, strzegąc porządku na drogach i w miasteczkach hrabstwa Pitkin. Zaczynał pracę ze ślepą wiarą w hasło:

„Służyć i chronić”. Teraz, po dwudziestu latach, z tamtego młodzieńczego idealizmu niewiele mu zostało.

- Już jestem do pana dyspozycji - powiedział w końcu.

- Nie wiem, czy detektyw Winkerton podał panu powody mojej wizyty w Stanach...

- Wyjaśnił, że jest pan adwokatem z Europy i na zlecenie swojej klientki bada pan sprawę wypadku sprzed dwudziestu lat.

- To prawda.

- Co chce pan wiedzieć?

- W 1963 roku w dziwnych okolicznościach zginęli tu John Huxley i jego żona, Genoveva Brooks. Wybrali się na wspinaczkę po Clark Peak i ponieśli śmierć. Muszę wiedzieć, co się wtedy naprawdę wydarzyło.

- Pamiętam tę sprawę. Tamtego dnia zdarzył się też wypadek drogowy przy Snowmass Creek i akurat się nim zajmowałem, gdy wynikł ten drugi problem. Po telefonie Winkertona poszperałem trochę w archiwach i odświeżyłem sobie pamięć. W raporcie napisałem, że wiadomość o wypadku w górach dostałem koło szóstej po południu. Ktoś zadzwonił, żeby nas zaalarmować.

- Jest pan w stanie przypomnieć sobie kto?

- Nie bardzo. Chyba dwóch turystów, którzy zobaczyli ciała ze ścieżki pod Clark Peak, dokąd wybrali się na wycieczkę z przewodnikiem.

- Byli z przewodnikiem?

- Oczywiście. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszcza się w wąwozy wokół Clark Peak samotnie. Coś panu opowiem: przed kilku laty grupa młodych ludzi zgubiła się w tamtejszych lasach.

Szukaliśmy ich przez dziewięć dni, aż wreszcie znaleźliśmy, wycieńczonych i zdezorientowanych. Jeśli się nie ma doświadczenia, lepiej wynająć przewodnika.

- Tak, ale John Huxley i Genoveva Brooks byli świetnie obeznani z górami - zauważył Sampson. - Nie wydaje się panu dziwne, że na policję zadzwonili ci turyści, a nie przewodnik?

- Owszem, pewnie tak. . Teraz sobie przypominam, że to zwró-

ciło też uwagę szeryfa Bradlee, ale ostatecznie nikt nie drażył tej sprawy, nie wiem dlaczego - przyznał Garrison.

- Mam tu pewną fotografię i chciałbym, żeby mi pan wytłumaczył, dlaczego ją zrobiono - powiedział adwokat, kładąc na stole zdjęcie ze zwisającą ze skały liną.

- Zapewne chodziło o końcówkę tej liny.

- A co w niej takiego szczególnego?

- Proszę spojrzeć, jaka jest postrzępiona i jakie równe są te luźne włókna na końcu. Najprawdopodobniej została przecięta.

- A nie mogła się przetrzeć o skałę?

- Widać, że się pan nie wspina. Liny używane przy wspinaczce muszą mieć specjalny atest. Zarówno ich rdzeń, jak koszulka są wyjątkowo wytrzymałe.

- Rdzeń i koszulka?

- Rdzeń to włókna znajdujące się w środku, odpowiedzialne za osiemdziesiąt pięć procent wytrzymałości liny. Koszulka to to, co widzimy. Służy przede wszystkim do ochrony rdzenia.

Jak pan się dobrze przyjrzy temu zdjęciu, zobaczy pan, że luźne włókna na końcu, i te z rdzenia, i te z koszulki, są idealnie równe.

Co oznacza, że musiały zostać przecięte czymś ostrym. Gdyby przetarły się o krawędź skały, byłyby różnej długości - tłumaczył

szeryf.

- A taka lina... Nie może się zerwać sama z siebie?

- Może, ale skoro ci ludzie byli doświadczonymi wspinaczami, taka ewentualność raczej nie wchodzi w grę. Liny zrywają się czasem nowicjusom, którzy używają ich raz po raz, nie licząc się ze zużyciem materiału.

- A gdyby wisiały na niej dwie osoby?

- Wie pan, wszystko jest możliwe. Ale ta lina na zdjęciu to chyba lina dynamiczna, co znaczy, że się rozciąga. Istnieją też liny statyczne albo semistatyczne. Takich nie poleca się do wspinaczki.

- Dlaczego? Czym się różnią od tych pierwszych?

- To bardzo proste. Już panu wyjaśniam. Nie asekurują dobrze kogoś, kto spada z poziomu wyższego niż poziom asekuracji, nie amortyzują upadku.

- Czy coś takiego mogło się przytrafić Johnowi Huxleyowi i Genovevie Brooks?

- Bez wglądu w dokumentację niczego nie da się wykluczyć.

- Więc sądzi pan, że lina, na której wisieli, została przecięta?

- To bardzo prawdopodobne.

- Jak bardzo? W procentach.

- Na dziewięćdziesiąt procent, może na dziewięćdziesiąt pięć.
 - W takim razie mam pytanie: dlaczego nie wszczęto śledztwa w sprawie domniemanego morderstwa i przestano na stwierdzeniu, że to był wypadek?
 - Proszę posłuchać: dwadzieścia lat temu w policji w Aspen i w biurze szeryfa hrabstwa Pitkin pracowało w sumie dwudziestu dwóch funkcjonariuszy, na których przypadało prawie cztery tysiące mieszkańców, nie licząc ośmiu tysięcy turystów w sezonie.
- Co daje pięciuset czterdziestu pięciu obywateli na jednego funkcjonariusza. Zajmowaliśmy się dosłownie wszystkim: złamanymi nogami niedzielnych wycieczkowiczów, wystawianiem mandatów za jazdę z nadmierną prędkością, kierowaniem ruchem i uciszaniem pijackich burd w sobotnie wieczory w miasteczkach często oddalonych od siebie o dziesiątki kilometrów zaśnieżonych szos.
- Jak pan widzi, nie zostawało nam zbyt wiele czasu, żeby dzielić każdy włos na czworo.
- Nie krytykuję pana ani pańskich kolegów, po prostu dziwi mnie, że nikomu nie przyszła do głowy inna wersja zdarzeń niż ta z wypadkiem - oświadczył nieco zirytowany Sampson.
 - Nie mieliśmy możliwości, by się nad tym zastanawiać.
 - Czy mógłbym porozmawiać z szeryfem Bradlee?
 - Raczej nie. Szeryf Bradlee umarł siedem lat temu.
 - A z jakimś policjantem, który był wtedy tam w górach?
 - Zostałem tylko ja.
 - Jeszcze jedno: nie wie pan, czy John Huxley i Genoveva Brooks nie wynajęli przypadkiem przewodnika?
 - Nie wiem.
 - Dziękuję, szeryfie, to już chyba wszystko. Jestem panu ogromnie wdzięczny za pomoc.
 - Co pan teraz zamierza? Wrócić do Europy?
 - Nie, najpierw pojedę pod Clark Peak, zobaczyć miejsce, gdzie znaleziono ciała. Może tam przyjdzie mi coś do głowy.
 - Wybiera się pan sam?
 - Nie, u Johnsiego w Aspen dogadałem się z przewodnikiem, niejakim Ralphem Abbotem czy jakoś tak.
 - Dziwne. Znam właściwie wszystkich przewodników w okolicy, a o żadnym Abbocie nigdy nie

słyszałem. Ale może przyjechał

z Crawaford, z drugiej strony Capitol Peak. Tarn trafia mniej turystów, więc niektórzy przewodnicy na sezon przenoszą się do Aspen.

- Cóż, pora na mnie. Jeszcze raz dziękuję. Tak czy owak, do Europy wrócę bardziej świadomy tego, co się wówczas stało

- oświadczył Sampson, ściskając dłoń szeryfa.

Na zewnątrz wiał zimny wiatr. Kawałek dalej na światłach awaryjnych stała czerwona terenówka z powgniataną karoserią.

Sampson już z daleka zobaczył siedzącego za kierownicą Abbota.

Niemiecki wspinacz zajmował miejsce z tyłu.

- Czekaliśmy na pana. Wszystko w porządku? - spytał przewodnik.

- Wszystko w porządku.

Pnącą się pod górę szosą podjechali kilka kilometrów w stronę Mount Dały.

- Tu kończy się droga - powiedział w końcu przewodnik, zatrzymując auto. - Dalej pójdziemy na piechotę.

Niemiec przez całą drogę milczał, tylko od czasu do czasu odpowiadając monosylabami na pytania Sampsona. Do towarzyszących z pewnością nie należał. Trochę dziwne było, że choć pochodził z Drezna, nic nie wiedział o położonych na zachód od miasta kopalniach lignitu. Gdy Sampson dał wyraz swojemu zaskoczeniu tym faktem, wspinacz zamilkł ostatecznie i nie odezwał się już ani razu.

Ruszyli gęsiego. Najpierw szedł przewodnik, za nim Sampson, a na końcu Niemiec. Po kilku kilometrach zaczęło się prawdziwe podejście.

Abbot zręcznie wspinał się na skały i mocował liny asekurowujące dwóch pozostałych. Szybko nabierali wysokości.

- Musimy wejść na tamtą ścianę. Pan pójdzie za mną

- tu przewodnik zwrócił się do Niemca - a pan trzeci - rzucił

do Sampsona. - To nic trudnego, proszę tylko postępować wedle moich instrukcji.

I wtedy stało się coś dziwnego. Bo gdy Sampson, po mozolnej wspinaczce, oparł wreszcie dłoń na krawędzi skały, na którą wdrapali się już przewodnik z Niemcem, ten drugi z całej siły przydeptał mu palce.

Sampson krzyknął z bólu. Potem zobaczył, że Abbot próbuje odczepić jego linę.

Ojciec Demetrius Ferrell wciąż miażdżył adwokatowi dłoń, ten zdołał jednak z całej siły złapać za ramię mocującego się z karabinkiem Osmunda. Jeśli mieli spaść, to teraz już razem.

Sampson czuł, jak po nadgarstkach cieknie mu krew z połama-nych palców, a tamten na górze nie przestawał dociskać masywne-go buta. Tymczasem drugi z napastników, rozpaczliwie szarpnięty przez adwokata, nagle osunął się w dół.

Teraz wisiał tylko dzięki trzymającemu go za ramię Sampsonowi, machając nogami w pustce.

- Jeśli nie chcesz, żeby twój kompan skreślił kark, to mnie wciągnij! - krzyknął Sampson, nie słysząc, że ten w dole zaczyna coś mamrotać po łacinie.

- *De duobus malis minus est semper eligendum.*

To powiedziawszy, ojciec Osmund wyrwał się Sampsonowi i poleciał w dół, na oczach dwóch pozostałych objijając się o ostre skalne występy.

Adwokat czuł, że powoli traci z bólu przytomność. Ostatnim wysiłkiem woli sięgnął wolną ręką w górę, bezskutecznie próbując się chwycić śliskiej skały. Potem, gdy przed oczami zaczęły mu stawać rozmaite sceny z życia, głównie te z udziałem Assai, panującą w dolinie ciszę przerwał suchy odgłos.

Sampson zdał sobie sprawę, że nacisk buta na jego palce osłabł. Chwilę później rzekomy niemiecki wspinacz runął w dół

z dziurą od kuli w głowie. Następnie wszystko znikło.

Niedługo później helikopter ratowniczy zabrał nieprzytomne-go adwokata do Aspen Valley Hospital. Wieczorem ranny zaczął

powoli przychodzić do siebie.

- Witam, szeryfie - wymamrotał.

- Dobry wieczór - odrzekł siedzący przy jego łóżku Garrison.

- Zawdzięczam panu życie. Gdyby nie pan, ten typ by mnie ostatecznie wykończył.

- Powinien pan dziękować mojemu świętej pamięci ojcu, który kazał mi w dzieciństwie strzelać z winchestera do puszki. Dlatego mam teraz naprawdę niezłego cela.

- Naprawdę dziękuję, szeryfie - powiedział Sampson, po czym znów odpłynął pod wpływem środków znieczulających.

Raport sporządzony przez biuro szeryfa hrabstwa Pitkin stwierdzał, że dwaj mężczyźni, którzy zginęli tego dnia pod Clark Peak, ponieśli śmierć, usiłując zamordować adwokata Sampsona Hamiltona.

Lekarz sądowy nie zdołał pobrać odcisków ich palców, ponieważ obaj mieli na wszystkich opuszkach blizny po specjalnie zadanych ranach. O pomoc w ustaleniu tożsamości mężczyzn policja w Aspen zwróciła się do FBI - bez rezultatu. Ciała ojca Demetriusa Farrelła i ojca Lazarusa Osmuda pozostały więc w tutejszej kostnicy, czekając na kogoś, kto się po nie zgłosi.

Watykan

Nad Rzymem szalała sucha wichura, zasnuwająca niebo białą mgiełką. Wielu wierzyło, że taki wiatr przyprawia ludzi o szaleństwo i ściąga na nich nieszczęścia. Mimo to na plac Świętego Piotra napływały tłumy ludzi chcących z bliska zobaczyć papieża. Za barierkami otaczającymi kolejne sektory zgromadziło się jakieś pięćdziesiąt tysięcy wiernych, wśród których już wkrótce znaleźć się miał Ali Agca.

W tym samym czasie w Pałacu Apostolskim odbyła się pewna rozmowa telefoniczna.

- *Fructum pro fructo* - powiedział ojciec Pontius.

- *Silentium pro silentio* - odrzekł Mahoney.

- Dzwonię, ekscelencjo, żeby poinformować, że bracia Ferrell i Osmund nie skontaktowali się ze mną w sprawie kolejnej misji.

- To dziwne. Naprawdę żaden z nich nie zgłosił się do ośrodka Świętego Jerzego?

- Właśnie jestem w ośrodku, ekscelencjo, przyleciałem do Chicago trzy dni temu i czekam na darmo. Może naszym braciom coś stało? Może nie zdołali wykonać zadania?

- Trzeba się uspokoić i uzbroić w cierpliwość. Brat Ferrell to człowiek niezwykle zdyscyplinowany i odpowiedzialny. Dajmy mu trochę czasu.

- Mam jechać do Aspen i sprawdzić, co się dzieje? - spytał

Pontius.

- Nie. Nic z tych rzeczy. W Chicago też jest co robić. *Accesorium non ducit, sed sequitur iun principale**.

Jednakże w głosie Mahoneya pobrzmiwał niepokój. Brat Ferrell, pobożny kapucyn wierny zasadom Kręgu, nigdy wcze-

śniej nie zawiódł.

- Niedługo zadzwonię z nowymi instrukcjami. Na razie los braci Ferrella i Osmunda złożmy w ręce Boga.

- Dobrze, ekscelencjo - rzekł ojciec Pontius.

Mahoney wiedział, że należy się spodziewać najgorszego.

W przeciwnym razie brat Ferrell nie zwlekałby tak długo z powiadomieniem o rezultatach swojej misji. Coś musiało pójść źle.

I trzeba poinformować o tym kardynała Lienarta.

Na takie okazje przewidziany był czerwony telefon.

- Eminencjo, tu Mahoney.

- Co się stało? Coś ważnego? Dlaczego korzystasz z tej linii, bracie?

- Musimy się spotkać. Wydaje mi się, że straciliśmy w Aspen dwóch braci.

- Nie przez telefon! Widzimy się za kilka minut. Powiem siostrze Ernestine, żeby nikogo nie łączyła ani nie wpuszczała.

Dziesięć minut później Mahoney zapukał do drzwi gabinetu sekretarza stanu. Po drugiej stronie rozbrzmiewała uwertura do „Lekkiej kawalerii” Suppého.

- Proszę, proszę, bracie Mahoney - odezwał się Lienart, nie odrywając spojrzenia od zapełniającego się placu w dole. - Drzwi

- przypomniał.

Stał tyłem do wnętrza pokoju, paląc jedno ze swoich słynnych cygar.

'Accesorium non ducit, sed sequitur iun principale (tac.) - Dodatek idzie za tym, co główne.

- A więc? Co się znowu dzieje?

- Chodzi o braci wysłanych z misją do Aspen, eminencjo.

Chyba przepadli.

- Czy to potwierdzone?

- Jeszcze nie, ale brat Pontius dzwonił z Chicago, żeby powiedzieć, że ani Osmund, ani Ferrell do tej pory się z nim nie skontaktowali.

- Może jeszcze nie zrealizowali planu?

- Wątpię. Brat Ferrell zamierzał skończyć sprawę już kilka dni temu i telefonował do mnie tuż przed akcją. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zasięgnąć na miejscu języka...

W tym momencie Lienart odwrócił się gwałtownie od okna, obrzucając wściekłym spojrzeniem sekretarza.

- Nie! To najlepszy sposób naprowadzenia na nasz trop policji.

Co mielibyśmy niby zrobić? Zadzwoń na komisariat i zapytać, czy w tamtejszej kostnicy nie leżą może ciała dwóch członków Kręgu Octogonus? Trzeba zachować spokój i nie czynić pochopnych ruchów. Niewykluczone, że straciliśmy już nie tylko brata Laurettę, ale i dwóch innych. Widać z tego, że droga obrona przez ciebie, bracie Mahoney, donikąd nie prowadzi. Zaczynam żałować, że nie powierzyłem kontroli nad tą sprawą raczej bratu Alvarado...

- Ale, eminencjo... - wybełkotał Mahoney.

- Już kiedyś mówiłem: mylić się jest rzeczą ludzką, lecz trwać w błędzie to zwyczaj głupców. Teraz trzeba się uporać z tym bałaganem. Jeszcze jedno spotkanie, bracie Mahoney, a skoń-

czysz w nuncjaturze w Nairobi. Kto wie, czy pewien okres z dala od Watykanu nie wpłynąłby na ciebie korzystnie... Może masz nadmiar stresów i potrzebujesz wypoczynku... - mówił kardynał, patrząc swemu podwładnemu prosto w oczy.

- Nie, eminencjo. Podołałam zadaniu.

- Wiem, mój drogi bracie. Po prostu rozważam rozmaite ewentualności - odrzekł nieco łaskawiej Lienart, podnosząc Mahoneya z podłogi, gdzie ten klęczał z kornie pochyloną głową. - Pora, żebyś zdał mi dokładny raport z tego, co się dzieje.

- Oczywiście, eminencjo.

Usiedli na sofie pod oknem wychodzącym na plac i sekretarz zaczął opowiadać. Po chwili Lienart przerwał mu niecierpliwie:

- Ale co z tą przeklętą księgą?

- Rozmawiałem z Aguilarem, który chowa chyba jakiegoś asa w rękawie. Wiadomo, że prace nad księgą dobiegły końca, a on nadal przeciąga sprawę.

- Dlaczego?

- Odnoszę wrażenie, że próbuje nas oszukać. Panna Brooks przekazała już księgę Fundacji Helsinga, oddając ją w ręce dyrektora, on zaś twierdzi, że wciąż jej nie ma.

- To kto ją ma?

- Aguilar mówi, że zajmujący się nią naukowcy, nie orientując się, że my wiemy, że Hoffman, Hubert i Fessner nie żyją.

- Tamte dziesięć milionów dolarów trafiło już na właściwie konto?

- Wedle naszego źródła w banku wykonane zostały dwie trans-akcje, jedna opiewająca na osiem milionów, a druga na dwa.

Pieniądze od pana Wu zostały rozdzielone, toteż nie ulega wątpliwości, że Aguilar przywłaszczył sobie co najmniej dwa miliony.

- Bogactwo nie zmienia ludzi, drogi bracie Mahoney, tylko wydobywa z nich to, co najgorsze. Tak jest w przypadku Aguilara.

Sądzę, że należałoby wysłać brata Alvarado z kolejną niezapowiedzianą wizytą. Niech swoimi sposobami wyciągnie z Aguilara prawdę, ale dbając, by nie uciszyć go przed czasem. Gdy będziemy wiedzieli, gdzie jest księga, wtedy zdrajca dostanie to, na co zasłu-

żył.

- A co potem?

- Księga musi trafić w moje ręce. Nikt inny nie powinien mieć do niej dostępu. Osobiście zadbam, by została zniszczona. Tym razem postaraj się lepiej niż poprzednio, bracie.

- A co będzie, jeśli Aguilar zdążył przekazać księgę na przykład Delmerowi Wu, ten zaś odmówi współpracy?

- Wtedy użyjemy odpowiednich środków nacisku, w imię Boga, uderzając w najbardziej czuły punkt pana Wu, czyli w tę jego dziwkę tytułującą się żoną.

- Mam eminencję informować o wszystkim na bieżąco?

- W tej chwili zbyt wiele się dzieje, żebym mógł się zajmować jeszcze i tym. Dlatego potrzebuję prawej ręki.

- Słyszałem, że Ojciec Święty coraz więcej spraw przekazuje w ręce kardynała Guevary - powiedział Mahoney.

-Jego Świątobliwość ma tyle na głowie... - rzucił Lienart, znów zwracając się w stronę placu. - Kardynał Guevara służy mu nieocenioną pomocą.

- Czy to nie jest człowiek Opus Dei?

- Owszem. Gwatemalski prostak! - syknął z nieoczekiwaną gwałtownością kardynał. - Tak czy owak, należy być gotowym na wszystko, dlatego ty, bracie, musisz na razie kontrolować sprawy Kręgu. Nie wolno nam liczyć na przypadek.

- Nie do końca rozumiem...

- Chodzi o to - zaczął Lienart - że dni Jego Świątobliwości mogą się okazać policzone. Błędem było popieranie tego człowieka w trakcie ostatniego konklawe, ale takich pomyłek nie popelnia się dwa razy. Dość mam zawiedzionych nadziei. Dlatego kolejne konklawe wybierze na tron Piotrowy prawdziwego księcia Kościoła.

- Jego Eminencja byłby najlepszym kandydatem, wielu to mówi

- oświadczył uroczyście Mahoney.

- Och, drogi bracie Mahoney, szczere pochwały to prawdziwa rzadkość, zwłaszcza tu, w Stolicy Apostolskiej. Mój ojciec dał

mi kiedyś dobrą radę, do której zawsze się stosuję. Powiedział, że jeśli ktoś liże ci buty, powinieneś jak najprędzej, zanim zaczną cię gryźć, przygiąć mu kark do ziemi. Jestem pewien, że gdy Jego Świątobliwości zabraknie, wielu z tych, którzy teraz liżą mi buty, od razu mnie pogryzie w imię jakichś tam swoich interesików.

Wśród pochlebców diabeł gości najczęściej.

- Ale gdyby na najbliższym konklawe wybór padł na eminencję, co by się stało z Kręgiem?

- Pokazuj mniej, niż masz, i zdradzaj mniej, niż wiesz, drogi bracie Mahoney. Na razie skupmy się na bieżących sprawach, bo gdy zwolni się tron Piotrowy, rozpęta się prawdziwe piekło intryg. Wtedy będę musiał zanurzyć się w nie z głową, a los Kręgu czasowo spocznie w twoich rękach.

- Czy jest jakaś szansa na to, by w niedługim czasie zaistniały takie okoliczności?

- Cieszymy się dniem dzisiejszym i nie ufajmy jutru, oto moja dewiza. Róbmy, co trzeba, ale pamiętajmy, że bez niespodzianek się nie obejdzie. To by było tyle - zakończył Lienart, odprawiając w ten sposób swego sekretarza. - Pora wracać do obowiązków.

Liczę na to, że sprawa księgi zostanie rozwiązana jeszcze przed konklawe. Wolałbym, żeby w Kaplicy Sykstyńskiej zajmowały mnie już inne kwestie...

- Oczywiście, eminencjo. Zrobię, co w mojej mocy. Choć czasem wydaje mi się, że bracia Pontius, Alvarado, Cornelius i Reyes nie zdołają powstrzymać biegu wydarzeń.

- Najwspanialsze w naszym Kręgu jest to, że jego członkowie nieugięcie wierzą w swoją misję i rolę Kościoła, co powinno nas napawać optymizmem, bracie Mahoney. Za bardzo dajesz się opanować wątpieniu.

- Wiem, eminencjo, ale czasem trudno odegnać wątpiwości.

- Dobro jest proste, zło przybiera różne postacie. Jeśli dostarczysz mi tę przeklętą księgę, masz zapewnioną przyszłość w Watykanie. Nie zawieźdź mnie.

- Nie zawiodę, eminencjo - zapewnił biskup Mahoney, całując kardynalski pierścień, podczas gdy Lienart znów wpatrywał się w plac na dole.

Kilka minut wcześniej wysoki, młody człowiek z obciętymi na krótko włosami, w białej koszuli i szarym garniturze, stanął w kolejce do punktu kontroli przed wejściem do jednej ze stref, w których prawdopodobnie miał przystanąć papamobile. Żaden ze strażników nie zwrócił uwagi na tego

mężczyznę, który nie przestawał się uśmiechać, pokazując przepustkę dostarczoną mu przez dziennikarza pozostającego na usługach Lienarta. Pod marynarką miał dziewięćmilimetrový browning. Kościół katolicki obchodził tego dnia święto Matki Bożej Fatimskiej i na placu przed słynną bazyliką - otoczonym zaprojektowanymi przez Berniniego dwustu sześćdziesięcioma czterema kolumnami ozdobionymi u góry stu sześćdziesięcioma dwoma posągami świętych - zgromadziły się tłumy.

Około piątej po południu, punktualnie, pojawił się papież.

Olśniewająco biały samochód z watykańskim herbem po bokach wjechał przez Brązową Bramę. Towarzyszył mu szef watykań-

skiej ochrony, dwóch funkcjonariuszy w niebieskich mundurach, dwóch agentów Jednostki i - z przodu - czterech członków Gwardii Szwajcarskiej. Trasę przejazdu papamobile wyznaczały barierki.

O piątej osiemnaście, kiedy papież chciał wziąć na ręce małą dziewczynkę, rozległ się pierwszy strzał. Ojciec Święty się zachwiał. Kula posłana w jego stronę przez kukielkę Lienarta przeszła mu żołądek i spowodowała poważne uszkodzenia w jelicie cienkim, okrężnicy i jelicie grubym. Ból był okropny, przez niewielki otwór w brzuchu wypływała krew.

Kilka sekund później zabrzmiał drugi wystrzał. Tym razem pocisk, wycelowany w pierś, jedynie cudem trafił w prawą rękę.

Kierowca papamobile popatrzył do tyłu, nie rozumiejąc, co się dzieje, i zobaczył, że ktoś podtrzymuje papieża, który osunął się na zakrwawiony fotel. Ochroniarze coś krzyczeli, rozglądając się za napastnikiem, skutecznie kryjącym się w cizbie.

Agca pobiegł do wyjścia, wciąż z pistoletem w ręce. W pewnej chwili się potknął, gdyż dokonujący rutynowego obchodu funkcjonariusz włoskiej policji podstawił mu nogę, a następnie go obezwładnił.

Poturbowany nieco przez agentów zamachowiec został zaciąg-nięty do radiowozu, podczas gdy papamobile z nieprzytomnym papieżem pędził w stronę Brązowej Bramy, gdzie czekała już karetka. Stamtąd rannego przewieziono do rzymskiej kliniki Gemelli.

W mieszczącej się na dziewiątym piętrze sali operacyjnej po rozcięciu białej, przesiąkniętej krwią sutanny oczom lekarzy ukazał

się zakrwawiony złoty medalik i krzyż. Co ciekawe, medalik był

wgnieciony od uderzenia jednej z kul, która, trafiwszy w niego, zmieniła kierunek, i zamiast w piersi utkwiała papieżowi w palcu wskazującym prawej dłoni.

Kardynał August Lienart spokojnie obserwował całą scenę z okna gabinetu. Pierwsze kostki domina zostały popchnięte.

Gdyby uzurpator ze Wschodu umarł na stole operacyjnym, droga na tron Piotrowy mogła się okazać

całkiem krótka. On, Lienart, jako sekretarz stanu, mógł do woli pociągać za sznurki.

Z zadumy wyrwał go dzwonek czerwonego telefonu.

- Eminencjo, właśnie przeprowadzono zamach na Jego Świątobliwość - powiedział czyjś głos.

- A więc dokonało się - odrzekł Lienart, zanim odłożył słuchawkę.

Wenecja

Po pogrzebie Sabine Hubert Afdera postanowiła wracać do domu, żeby spotkać się z Maksymem Kronauerem i podjąć dochodzenie w sprawie księgi Judasza. Assai udało się znaleźć w archiwach miejskich pewną bardzo cenną informację.

- Kiedy Sampsona wypiszą ze szpitala w Aspen? - spytała Afdera.

- Jak z nim rozmawiałam, to mówił, że za parę dni. Wtedy będzie mógł wrócić. Chciałam po niego lecieć, ale mi zabronił.

- Cóż, znasz go przecież. Pewnie woli uniknąć rozdzierających scen w szpitalu.

- Możliwe. A tak swoją drogą, nigdy ci nie wybaczę, że naraziłaś go na podobne niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że to, co odkrył w Aspen, było przynajmniej tego warte.

- Gdyby nie było, nikt nie próbowałby go zabić. W odpowiednim czasie wszystkiego się dowiemy. Wczoraj próbowałam wyciągnąć coś od Sama przez telefon, ale nic mi nie powiedział. Tylko tyle, że pogadamy, jak wróci.

- Strasznie się zrobił tajemniczy.

- Może chodzi o naszą przeszłość.

- Jak to?

- Lepiej poczekajmy z tym na Sama - ucięła Afdera, całując siostrę w czoło.

Nieco później razem z Maksymem udały się na piętro do biblioteki Ca' d'Oro. Assai podeszła do wielkiego stołu, na którym leżały rozłożone jakieś papiery i fotografie.

- Chodźcie tutaj - powiedziała. - Chcę wam coś pokazać.

Tak jak prosiłaś, siostrzyczko, zaczęłam szukać śladów bytności Waregów w naszym mieście.

-I co?

- I trafiłam na pewien trop. Zresztą całkowicie przypadkowo. Jak ci powiem, o co chodzi, będziesz mi dziękować do końca życia.

- To może powiedz.

- Usiądź i przestań się irytować. - Assai się uśmiechnęła. - Już mówię. Szperałam swobodnie w archiwach, bo Silvia, która tam pracuje, jest mi winna parę przysług. Nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć, więc zaglądałam to tu, to tam, aż znalazłam pewną siedemnastowieczną rycinę. Rzuciło mi się w oczy, że jeden z czterech lwów strzegących wejścia do Arsenale ma na grzbiecie dziwne znaki. Poszłam go obejrzeć i przerysowałam kilka z nich.

I okazało się, że to nie były żadne dziwne znaki, tylko litery...

- Jakiego alfabetu?

- Runicznego. Czyli używanego przez Waregów. Potem pobieg-

łam do biblioteki Świętego Marka, żeby się dowiedzieć czegoś o historii tego lwa. I okazało się, że ta figura stała wcześniej u wejścia do portu w Pireusie! Do Wenecji, jako trofeum wojenne, przywiózł ją w 1692 roku Francesco Morosini.

- A jaki to ma związek z Waregami towarzyszącymi jednemu z braci de Fratens? - wtrącił Max.

- Ojej, zachowujesz się jak moja siostra! Ona nigdy nie daje mi dokończyć! Tamta rzeźba stała u wejścia do portu w Pireusie, począwszy od jedenastego wieku. A lew był, jak się zdaje, ważnym symbolem dla skandynawskich rycerzy walczących w Bizancjum.

Widzieli w nim ucieleśnienie potęgi, siły i lojalności. Więc niewykluczone, że wasi Waregowie, przejeżdżając przez Pireus, wyryli coś na grzbiecie figury mającej dla nich takie znaczenie!

- Sugerujesz, że skandynawscy krzyżowcy Ludwika IX, wracając z siódmej krucjaty, zostawili jakąś wiadomość na grzbiecie lwa stojącego przed Arsenale? - spytał Kronauer.

- Otóż to. Oczywiście nie wiedzieli, że kilka wieków później lew znajdzie się w Wenecji. Jeśli moja hipoteza jest słuszna, mogli po prostu chcieć zostawić jakiś ślad swojej bytności w Pireusie.

- Kalamatiano potwierdził słowa Colaianiego, który utrzymywał, że razem z Charlesem Eolande stracili trop właśnie w Pireusie.

Więc może Assai ma słuszność... - odezwała się Afdera.

- Ale dlaczego ktoś miałby robić takie rzeczy? Jeśli ci rycerze dostali rozkaz, żeby chronić list Eliezera, powinni raczej unikać zostawiania śladów - zauważył Max.

- Może obawiali się, że dokument się potem gdzieś zapodzieje, i pragnęli ułatwić przyszłym pokoleniom poszukiwania.

- Może. . Tak czy owak, nie wiemy nawet, co głosi ten napis.

A jeśli to pamiątka po jakimś pijanym norweskim turyście?

- Musimy jak najdokładniej skopiować te znaki - powiedziała Assai.
- Jak? Mamy nocą ukraść rzeźbę spod Arsenale, żeby je spokojnie przerysować?
- Nie, wystarczy, że zrobimy zdjęcia.
- To akurat racja. A potem co? - dopytywał się Max.
- Potem znajdziemy kogoś, kto zna się na runach. Zajmę się tym. Zadzwoń na Uniwersytet w Tel Awiwie i do Iana Gershona, dyrektora Muzeum Rockefellera w Jerozolimie. Han na pewno mi pomoże. Zna bardzo wielu naukowców z różnych dziedzin - oświadczyła Afdera, zerkając na zegarek. - Właściwie mogłabym do niego zadzwonić już teraz.
- Spróbuj. Ja tymczasem skontaktuję się ze znajomym foto-grafem. Ktoś musi profesjonalnie zrobić te zdjęcia.
- Ile to może zająć?
- Gdyby ten mój znajomy miał czas, to dostalibyśmy odbitki jeszcze dzisiaj. Sam wywołuje swoje filmy.
- Dobra, powiedz mu, że to sprawa życia i śmierci. Idę zadzwonić do Ilana.

Kilka minut potem Afdera uzyskała połączenie z Muzeum Rockefellera.

- Cześć, Han, tu Afdera.
- Witaj, skarbie. Skąd dzwonisz?
- Z Wenecji. Potrzebuję twojej pomocy.
- Dla ciebie wszystko. Także ze względu na pamięć twojej babki.
- Chciałabym, żebyś mi polecił kogoś, kto potrafiłby przetłumaczyć tekst zapisany runami.
- Runami? Od wieków nikt nie używa tego alfabetu...
- Wiem, ale u nas w mieście jest rzeźba pokryta dziwnymi symbolami, które trzeba odczytać.
- Znam tylko jedną osobę zdolną podjąć się takiego zadania: Norweżkę Gudrun Stremnes, wykładowczynię języków skandynawskich z Uniwersytetu Rogaland. To region położony jakieś trzysta kilometrów na zachód od Oslo. Spotkałem ją na międzynarodowej konferencji lingwistycznej w Tel Awiwie. Kto jak kto, ale Gudrun na pewno będzie umiała ci pomóc. - Tu Han przedyskutował Afderze numer. - Przekaż jej, że wciąż mam jej haftowaną chusteczkę.

dzynarodowej konferencji lingwistycznej w Tel Awiwie. Kto jak kto, ale Gudrun na pewno będzie umiała ci pomóc. - Tu Han przedyskutował Afderze numer. - Przekaż jej, że wciąż mam jej haftowaną chusteczkę.

- Wielkie dzięki, Han, nawet nie wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczna.
 - Najlepiej mi podziękujesz, wracając do nas, do pracy. Wiesz, że w Wydziale Starożytności Izraela zawsze będzie dla ciebie miejsce.
 - Wiem, Han. Jeszcze raz dzięki. Ściskam mocno - rzuciła na pożegnanie Afdera.
- Zaraz potem zatelefonowała do Norwegii.
- Profesor Stromnes? - spytała.
 - Tak, a kto mówi?
 - Tu Afdera Brooks, znajoma liana Gershona. Dzwonię z Wenecji.
 - Jak się miewa Han?
 - O, doskonale. Choć, szczerze mówiąc, nie widziałam go już od jakiegoś czasu. Prosił, by pani przekazać, że wciąż ma tę haftowaną chusteczkę.
 - Wciąż tak narzeka na swoje zarobki?
 - Chyba dobrze go pani zna. Han nigdy nie przestaje lamentować nad dysproporcją w izraelskich wydatkach na ochronę zabytków i na czołgi.
 - Cóż, takie są realia. Może przejdziemy na „ty”? - zaproponowała profesor Stromnes.
 - Z największą przyjemnością. Han polecił mi się z tobą skontaktować, ponieważ szukam kogoś, kto przetłumaczyłby mi runiczną inskrypcję, a konkretnie napis wyryty na grzbiecie kamiennego lwa.
 - Ten lew znajduje się w Wenecji?
 - Tak, przed Arsenale. Moja siostra Assai odkryła jednak, że kiedyś stał u wejścia do portu w Pireusie. Przypuszczamy, że inskrypcję zostawili przejeżdżający przez Pireus Waregowie uczestniczący w siódmej krucjacie. Potem, w siedemnastym wieku, lew trafił jako trofeum wojenne do Wenecji. Assai uważa, że te symbole z jego grzbietu to runy. Chciałabym poznać ich treść, jeśli, oczywiście, mają w ogóle jakąś treść.
 - Cóż, spróbuję ci pomóc. Tylko jak to zrobimy?
 - Poprosiliśmy znajomego fotografa o zdjęcia, najlepiej i czarno-białe, i kolorowe. Jeszcze dzisiaj wyślę ci je na wskazany adres.
 - Notuj: Gudrun Strammes, Wydział Lingwistyki, Uniwersytet Rogaland, Norwegia. Tak będzie najszybciej. Ile mam czasu?
 - Tyle, ile potrzebujesz, choć nie ukrywam, że sprawa jest pilna. Nie będę mogła ruszyć z miejsca z

rozmaitymi rzeczami, dopóki się nie dowiem, o czym mówią te runy.

- Jak tylko dostanę przesyłkę, wezmę się do pracy.
- Dziękuję, Gudrun. Czekam na wieści.
- Może wpadniesz po tłumaczenie osobiście? - zaproponowała profesor Strammes.
- Jeśli uważasz, że powinnam, to chętnie. Daj znać kiedy.
- Dobrze. To na razie. I pozdrów liana, jeśli będziesz się z nim widzieć.
- Na pewno *to* zrobię. Dzięki.

Wieczorem tego samego dnia posłaniec FedExu odebrał z Ca'

d'Oro grubą żółtą kopertę zaadresowaną do Norwegii. Afderze pozostawało tylko czekać.

Berno

Tego też wieczoru ubrany na czarno intruz wślizgnął

się od tyłu na teren otaczający siedzibę Fundacji Helsinga, bez problemu radząc sobie ze ścisłymi środkami bezpieczeństwa.

Niósł czarną skrzynkę z narzędziami oraz długą linę zakończoną hakiem.

Upewnił, że wokół panuje niczym niezmacona cisza. Psy już nie szczekały, mięso naszpikowane środkami nasennymi zadzia-

łało bez pudła.

Wtedy rozkołysał linę i zaczepił hak o występ na dachu.

Zręcznie wspiął się na wysokość okrągłego okienka, przez które wsunął się do środka.

Pokonawszy długi korytarz, dotarł do drzwi z tabliczką:

„Renard Aguilar. Dyrektor”. Uchylił je ostrożnie, wszedł i uważ-

nie rozejrzał się dookoła.

Jego wzrok zatrzymał się na stojącej na biurku misie z mię-

tówkami. Mężczyzna ukląkł na dywanie i otworzył swoją czarną skrzynkę, odsłaniając wspaniałe okaz tajpana pustynnego - jednego z najgroźniejszych węży świata. Wstrzykiwaną przez te gady jednorazowo studziesięciomiligramową dawkę jadu - pięćdziesiąt razy silniejszego niż toksyna kobry indyjskiej i osiemset razy silniejszego niż trucizna wydzielana przez grzechotniki - uważano za

wystarczającą do uśmiercenia około stu dorosłych osób.

Tajpan, czyli po łacinie oxyuranus microiepidotus, zdawał się spać. Mężczyzna wprawnie i mocno złapał go za łeb, by zmusić gada do wysunięcia zębów jadowych. Następnie przytknął do nich szklane naczynie, czekając, aż trucizna spłynie do środka.

Po skończonej operacji zamknął skrzynkę z wężem, przysunął

sobie misę z cukierkami i wyjął pędzelek, który zanurzył w zabój-czej cieczy. Ostrożnie wyjmował po jednej miętówce i przesunął

po ich opakowaniach pędzelkiem, aż uporał się ze wszystkimi.

Teraz należało już tylko zaczekać w ciemnościach na ofiarę.

Kilka godzin później luksusowy mercedes stanął na zwirowym podjeździe przed głównym budynkiem Fundacji. Renard Aguilar zjawił się jak zwykle już przed piątą rano, o tej bowiem porze -

ze względu na rozmaite przesunięcia czasowe - odbywał rozmowy z kolekcjonerami z całego świata.

Położył teczkę na biurku i zasiadł w fotelu, gotów do rozmowy z pewnym milionerem z Seulu. Czekając na połączenie, wziął z misy miętówkę, zębami rozwinął papierek i wsunął swój ulubiony przysmak do ust.

Trucizna zadziałała błyskawicznie. Aguilar już po chwili miał

kłopoty z oddychaniem. Potem zaczął się obficie pocić i właśnie wtedy z mroku wychynęła twarz ojca Alvarado.

- Gdzie jest księga? - odezwał się zabójca.

- Kim pan jest? I o jaką księgę panu chodzi? - spytał rwącym się głosem dyrektor fundacji.

Alvarado wyciągnął z kieszeni szklane naczynie z jadem.

- Właśnie połknął pan toksynę wytwarzaną przez tajpany pustynne, najbardziej jadowite węże świata. Nie ma czasu na gierki. Jeśli powie pan, gdzie jest księga, podam panu antidotum.

W przeciwnym razie już za chwilę umrze pan straszną śmiercią, a ja i tak się wszystkiego dowiem. Powtarzam więc: gdzie jest księga?

Aguilar usiłował rozpiąć przesiąkniętą potem koszulę i zdjąć uciskający mu szyję krawat.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wyrzeźił.

Alvarado pochylił się do jego ucha.

- Zostało ci zaledwie kilka minut. Jeśli będziesz się upierał, nie dostaniesz antidotum i umrzesz, nie mając żadnych szans, by nacieszyć się ukradzionymi Watykanowi dwoma milionami dolarów.

Twarz Aguilara zaczynał wykrzywiać straszny grymas. Toksyna atakowała jego krew, system nerwowy i nerki. Narastał też ból.

Brat Alvarado był jednak ekspertem, podana przez niego dawka działała powoli, żeby miał czas na uzyskanie potrzebnych informacji. Musiał się dowiedzieć, gdzie jest księga Judasza.

- Sprzedałem ją do Hongkongu - wybełkotał Aguilar. - Proszę mi podać antidotum, błagam... Błagam...

- Jeszcze nie. Komu ją sprzedałeś?

- Delmerowi Wu. Proszę... Wie pan już, co trzeba...

- Coś ci powiem, Aguilar. - Alvarado pochylił się jeszcze niżej nad konającym. - W dniu naszej śmierci wszystko, co posiadamy, przechodzi w ręce innych ludzi. Kostucha jest niezawodna, tak samo jak Krąg Octogonus. Pewni tej władzy nad tobą, daliśmy ci jeszcze jedno życie. Gdy po raz pierwszy oszukałeś Kościół, wina była po twojej stronie. Gdy zrobiłeś to po raz drugi, odpowiedzialność za to spadła już na nas. Dlatego zostałeś skazany na śmierć.

- Potrzebuję antidotum... Potrzebuję antidotum... Potrzebu...

- Z tymi słowami Aguilar skonał.

Upewniwszy się, że ofiara nie żyje, ojciec Septimus Alvarado uniósł prawą dłoń i powiedział:

- *Fructum pro fructo, silentium pro silentio.*

Następnie rzucił na zwłoki wycięty z materiału ośmiokąt i zniknął w ciemnościach.

Z kabiny telefonicznej, którą znalazł niedaleko granicy szwajcarsko-włoskiej, zadzwonił do biskupa Mahoneya.

- *Fructum pro fructo.*

- *Silentium pro silentio.*

- Misja wypełniona - poinformował Alvarado.

- A co z księgą?

- Jeszcze jej nie mam, ale wiem, gdzie i u kogo jest. W

Hongkongu, u człowieka nazwiskiem Delmer Wu. To do niego trzeba się zwrócić.

- To prawda. Bracie Alvarado, pora zniknąć ze Szwajcarii i przenieść się do Wenecji. Tam czekają na ciebie nowe zadania

- oznajmił sekretarz kardynała Lienarta.

- A nie powinienem wybrać się do Hongkongu po księgę?

- Drzewo cierpliwości ma gorzkie korzenie, lecz owoce jego są słodkie. Musimy poczekać, w ten sposób najlepiej przysłużymy się sprawie. Tak jak wspomniałem, w Wenecji otrzymasz nowe polecenia. W Szwajcarii nie masz nic więcej do roboty. Po prostu wykonuj rozkazy. *Fructum pro fructo.*

- *Silentium pro silentio.*

XII

Wenecja

To był szczęśliwy dzień dla Afdery i jeszcze szczę-

śliwszy dla Assai. W hali przylotów na lotnisku Marco Polo obie niecierpliwie wypatrywały powracającego z Aspen Sampsona.

Assai pierwsza dostrzegła stewardesę popychającą wózek, na którym siedział. Podbiegła do narzeczonego, chcąc go uściskać i ucałować, ale gdy to uczyniła, Sampson skrzywił się z bólu.

Ubrany w czerwony golf, prawą rękę miał w gipsie aż po czubki palców, podobnie zresztą jak nogę, którą musiał trzymać wyprostowaną i oszczędzać, jeżdżąc na wózku albo ewentualnie kuś-

tykając o kulach.

- Assai, za chwilę złamiesz mi drugą rękę. Już nie płacz. Jestem przy tobie i obiecuję, że nigdy więcej nie zgodzę się nic robić dla twojej siostry - powiedział, próbując ją pocieszyć. Skinął głową uśmiechniętej Afdery, która stała kawałek dalej w towarzystwie Maksa Kronauera.

- Cześć, Sam, jak się czujesz?

- Tak samo jak ty byś się czuła, gdyby ktoś cię próbował zrzucić z urwiska.

- Szczerze mówiąc, nie wyglądasz najgorzej - powiedziała, witając się z nim serdecznie.

- Pewnie nie. Ale marzę tylko o tym, żeby jechać do domu i odpocząć. Poza tym mam wam wiele do opowiadania.

Gdy zasiedli już wygodnie na tarasie Ca' d'Oro, musieli jeszcze uspokoić pochlipującą Rosę.

- Proszę, jak pana urządzili ci Amerykanie, panie Sampsonie!

- To nie Amerykanie, Roso. No, nie płacz.

Wreszcie podała im herbatę i znikła w głębi domu. Afdery, Assai i Max, który również został zaproszony, wpatrzyli się w Sampsona z oczekiwaniem.

- Zanim przejdę do rzeczy, dam wam kopię raportu na temat rzekomego wypadku waszych rodziców oraz kilka zdjęć.

- Dlaczego powiedziałaś: „rzekomego”?

- Bo to nie był wypadek. Wasi rodzice zostali zamordowani.

Na spodziewającej się tego Afdery oświadczenie Sampsona nie zrobiło aż tak wielkiego wrażenia

jak na Assai, która wygła-

dała, jakby ktoś ją uderzył obuchem w głowę.

- Zamordowani? Mama i tata? - wybełkotała.

- Tak. Tu macie zdjęcie końcówki liny, która zabezpieczała ich w czasie wspinaczki na Clark Peak, niedaleko Aspen.

Najprawdopodobniej ktoś tę linę przeciął, dlatego spadli.

- Skąd wiesz? - spytała niepewnie Assai.

- Rozmawiałem z szeryfem Garrisonem z hrabstwa Pitkin.

To ekspert w takich sprawach. Wy tłumaczył mi, jak rozpoznać, czy lina wspinaczkowa została przecięta, czy przetarła się o skałę. Nie miał wątpliwości, że w tym przypadku została przecięta jakimś ostrym narzędziem.

- Jak na to wpadłeś?

- Zwyczajnie. Przeglądając dokumentację, zwróciłem uwagę na zdjęcia zrobione na miejscu wypadku i zaraz później.

Szczególnie zainteresowało mnie jedno, przedstawiające przedmioty znalezione przy waszych rodzicach - wyjaśnił Sampson, kładąc na stole powiększoną odbitkę zrobioną w Aspen. - Spójrzcie tutaj. Najpierw pomyślałem, że to chusteczka, ale teraz widać, że się pomyliłem. To wycięty z materiału ośmiokąt.

- Sugerujesz, że przed dwudziestu laty rodzice Afdery i Assai padli ofiarą tych samych zabójców, którzy teraz mordują wszystkich mających styczność z księgą Judasza? - spytał Max.

- Otóż to. Jestem prawnikiem, a dowody mówią same za siebie.

- Czy ci faceci, którzy próbowali cię załatwić w Aspen, też mieli przy sobie taki ośmiokąt?

Sampson sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej kawałek materiału, którego kształt trudno byłoby pomylić.

- Znalaziono go przy tym, który zmiażdżył mi rękę, a potem zginął zastrzelony przez szeryfa Garrisona. Gdy czekaliśmy na helikopter ratunkowy, poprosiłem, by ktoś przeszukał zwłoki. Jak widać, intuicja mnie nie zawiodła. Wnioski nasuwają się same: albo ci dwaj, którzy mnie zaatakowali, byli bardzo młodzi, kiedy uśmiercili waszych rodziców, albo należą do tej samej grupy co tamci mordercy. Osobiście skłaniam się ku tej drugiej wersji.

Bo pomyślcie: od śmierci waszych rodziców minęły prawie dwie dekady, a żaden z tych dwóch,

którzy chcieli mnie wysłać na tamten świat, nie miał więcej niż czterdzieści, góra czterdzieści pięć lat. Jakoś nie bardzo to jedno do drugiego pasuje. Wydaje mi się, że chodzi o grupę, do której w miarę upływu czasu rekrutuje się nowych członków, jeśli wolno użyć takiego słowa.

- A kto miałby kierować ową grupą, jeśli założymy, że ona istnieje? - zainteresował się Max.

- Jakaś fundacja? Stowarzyszenie obrońców księgi Judasza?

Stowarzyszenie przeciwników jej upublicznienia? Kościół katolicki? Watykan? Gwardia Szwajcarska? Możliwości jest wiele.

- Babcia wiedziała, że rodzice zostali zamordowani - oświadczyła nagle Afdera. - Ktoś jej groził, że zabije również mnie i Assai, jeśli prace nad księgą nie ustaną. Dlatego ukryła ją w banku w Hicksville.

- No to wszystko jasne - zawyrokował Max, podczas gdy Assai z zaskoczeniem wpatrywała się w siostrę.

- Teraz pojawia się pytanie: co dalej? - odezwał się znowu Sampson. - Czy powinnymyście dążyć tajemnicę tego całego Eliezera, czy też raczej, dla własnego bezpieczeństwa, zrezygnować? Dość już chyba było niewinnych ofiar: wasi rodzice, Boutros Reyko, Abdel Gabriel Sayed, Liliana Ransom, Werner Hoffman, Sabine Hubert... Mało wam?

- Nie zapominajmy też o tych, którzy zdołali się uratować, jak Rezek Badani i ty, Sampsonie.

- Właśnie. Ale decyzja należy do Afdery i Assai.

- Nie chciałabym ponownie narażać żadnego z was na niebezpieczeństwo - powiedziała Afdera - ale to chyba jasne, że nie mogę pozwolić, by ktoś takimi sposobami odwiódł mnie od realizacji zamiaru. Zresztą, jesteśmy z Assai winne coś pamięci naszych rodziców.

- A co ma z tym wspólnego pamięć naszych rodziców? - zaprotestowała Assai. - Przecież tobie nie chodzi o znalezienie ich bezpośrednich czy pośrednich morderców, tylko o rozwiązanie zagadki Eliezera.

- A sądzisz, siostrzyczko, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim? Naprawdę uważasz, że nie zależy mi na zdemaskowaniu tych drani albo ich mocodawców? Że nie pragnęłabym ich widzieć za kratkami? Jeśli tak ci się zdaje, to chyba mnie nie znasz. Zapewniam cię, że gdybym mogła, zadusiłabym tych łotrów własnymi rękami. Bez wahania.

- Spokojnie, tylko tego brakowało, żebyście się teraz pokłóciły

- interweniował Sampson. - Ale tak czy owak, na coś musicie się zdecydować.

- Głosuję za tym, żeby nie zmieniać dotychczasowych planów, choć wiem, że mój głos to dopiero połowa sukcesu - oznajmiła uroczyście Afdera, patrząc w oczy siostrze, która zaciskała dłoń na rękę Sampsona.

- Skoro tak, to niech ci będzie. Tyle że mnie nie chodzi o dobro nauki, a o zemstę, nawet jeśli brzmi to strasznie - rzuciła po chwili Assai.

- Oba motywy są całkowicie zrozumiałe - wtrącił Max. - Ale uwaga: wymierzenie sprawiedliwości pozwala zamknąć jakiś rozdział, dokonanie zemsty natomiast zazwyczaj otwiera nowy.

- O nie, teraz jeszcze ty i twoja filozofia! - jęknęła Afdera.

- Pamiętaj, mój drogi, że błąd popełnia się w mgnieniu oka, a żeby go później naprawić, potrzeba czasem całego życia.

I przyjmij do wiadomości, że ja błędu polegającego na zapo mnieniu, co zrobiono moim rodzicom, nie popełnię. Assai też nie, z tego, co słyszę.

- *Touché* - uśmiechnął się Max.

- A ty? Zostaniesz na razie w Wenecji? - spytała go Assai.

- Najpierw muszę załatwić parę rodzinnych spraw w Genewie, a potem polecieć do Stanów na konferencję. Ale wrócę i wam pomogę.

- Będziemy za tobą tęsknić, prawda, Afdero?

Watykan

W

watykańskim

Sekretariacie

Stanu

rozbrzmiewała symfonia Beethovena. Tego poranka kardynał

August Lienart był w dobrym humorze. Dwoił się i troił, by osobiście wejrzeć w każdą istotną dla Stolicy Apostolskiej sprawę, tym bardziej że papież jeszcze nie doszedł do siebie po niedawnym zamachu.

Biskup Mahoney zastukał delikatnie do drzwi gabinetu zwierzchnika, ale nie otrzymał odpowiedzi. Muzyka Beethovena zagłuszała wszelkie inne dźwięki. W tym wszakże momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich młodszy rangą pracownik sekretariatu objuczony dokumentami związanymi z wizytą pre-miera Wielkiej Brytanii.

- O, proszę, ekscelencjo. - Ustąpił Mahoneyowi z drogi.

W gabinecie znajdowało się kilku dostojników kurii. Siostra Ernestine roznosiła na srebrnej tacy

filiżanki z kawą i talerzyki z *panettone*.

Przy wielkim stole, obok Lienarta, zasiadał kardynał Dionisio Barberini, prefekt Domu Papieskiego; kardynał Camilo Cigi, wika-riusz Rzymu; kardynał Gregorio Inzerillo, zwierzchnik Kongregacji do spraw Biskupów; kardynał William Guevara, kamerling zarzą-

dzający Kościołem w okresie wakatu; kardynał Belisario Dandi, szef Jednostki; Giovanni Biletti, komendant żandarmerii watykańskiej; oraz pułkownik Helmut Hessler, dowódca Gwardii Szwajcarskiej.

Dostrzegłszy Mahoneya, sekretarz stanu spytał:

- Czy to pilne, z czym przychodzisz, bracie?

- Tak, eminencjo, bardzo.

- W takim razie przeprosimy na chwilę - zwrócił się do zgromadzonych Lienart.

Kiedy zostali sami, Mahoney powiedział:

- Eminencjo, Aguilar nie żyje.

- Czy brat Alvarado ma księgę?

- Nie. Aguilar zdołał ją chyba przekazać nowemu właścicielowi.

- Więc dlaczego Alvarado jeszcze po nią nie pojechał?

- Bo ten nowy właściciel jest osobą szczególną. Trudno do niego dotrzeć, a jeszcze trudniej na niego wpłynąć - odrzekł

Mahoney.

- Kto to taki?

- Delmer Wu.

-A jednak... Proszę, proszę - rzucił kardynał, podnosząc cygaro do ust. - Zadaje mi cios w plecy. I to po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem...

- Co powinniśmy teraz zrobić?

- Chwilowo jeszcze nic. Przede wszystkim trzeba ustalić, czy Wu rzeczywiście ma księgę, a jeśli tak, to gdzie ją trzyma.

- Czyli co?

- Czyli nic. Po prostu do niego zadzwonię i grzecznie spytam, czy zechce współpracować. Jeśli nie,

poślemy do Hongkongu brata Pontiusa.

- Tyle że Wu bardzo się pilnuje, zwłaszcza od czasu tej afery z jego synem.

- Żaden mur nie chroni przez strachem, bracie Mahoney.

- Nie do końca rozumiem, eminencjo.

- A przecież to proste. Najpierw zadzwonię do Delmera z pozdrowieniami dla niego i dla szanownej małżonki, zahaczając przy okazji o księgę. Jeśli Wu będzie stwarzał problemy, wyślemy brata Pontiusa po uroczą Claire. Następnie znów zatelefonuję z zapewnieniem, że wszyscy tu w Watykanie modlimy się o jej ocalenie. I ponownie zagadnę o księgę. W razie dalszego oporu trzeba będzie przedsięwziąć ostrzejsze środki. Jednakże *inhumanitas omni aetate molesta est** i dlatego dam Delmerowi Wu

* *Inhumanitas omni aetate molesta est (łac.)* - Nigdy nie należy być niehumanym.

szansę odkupienia tego, czym zawinił wobec mnie i, rzecz jasna, wobec Boga.

To mówiąc, kardynał podszedł do swego biurka, wyjął z szuflady czarny notes, sięgnął po telefon i wykręcił numer.

- Witam, drogi Delmerze.

- Kto mówi? - spytał milioner.

- Twój przyjaciel, August Lienart. Dzwonię z Watykanu, ziem-skiej siedziby Boga.

- Czego znowu chcecie? Więcej pieniędzy?

- Ależ drogi Delmerze, dobry początek zawsze sprzyja dobre-mu zakończeniu. Dlatego wolałem zadzwonić osobiście, niż wysy-

łać któregoś ze swoich ludzi.

- Wspaniale. Eminencja przecież, przynajmniej w swoim mnie-maniu, nigdy nie popełnia błędów - odparł pan Wu.

- Znowu się mylisz, drogi Delmerze. Bo błędy nie istnieją.

Są tylko ruchy, które wykonujemy, niektóre bardziej przemyślane, inne mniej. W tych ostatnich się ostatnio specjalizujesz.

- Nie rozumiem.

- Oczywiście, że rozumiesz. Chodzi o tę heretycką księgę.

Chcę ją mieć. I to natychmiast.

- My tu w Chinach mamy powiedzenie, że człowiek mądry, nawet kiedy milczy, mówi więcej, niż głupi, który mówi, drogi kardynale Lienart.

- A my tu w Watykanie mawiamy z kolei, że cierpliwość popłaca, ale jeśli nie, to trzeba się uciekać do innych środków. Muszę wiedzieć, gdzie jest księga i kiedy zamierzasz nam ją przekazać.

- To dość trudne pytanie.

- Na trudne pytania są zwykle dość proste odpowiedzi.

- Skoro to ja wyłożyłem dziesięć milionów na zakup tego dokumentu, dlaczego właściwie nie miałbym sięgnąć po swoją własność?

- Ze strachu przed gniewem Boga? Albo moim?

- Ludzie tacy jak ja nie znają słowa „strach”.

- To może powinni się z nim zapoznać, drogi Delmerze, może powinni... - syknął kardynał Lienart i się rozłączył. - Nic z tego - rzucił do Mahoneya. - Trzeba wysłać brata Pontiusa do Hongkongu.

- Brat Pontius musi się najpierw uporać z misją w Chicago.

- To prawda. Ale zaraz potem niech leci do Hongkongu i zajmie się tą wschodnią ladacznicą, Claire.

- Dobrze, eminencjo.

- A teraz zawołaj tamtych, bracie - rozkazał Lienart.

Gdy purpuraci ponownie zasiedli przy stole w gabinecie, sekretarz stanu zwrócił się do szefa Jednostki, kardynała Belisaria Dandiego.

- Czy wiadomo już coś o zamachowcu, który nastawał na życie Ojca Świętego?

- Tak- odrzekł zapytany, otwierając grube dossier dostarczone przez DIGOS, włoskie służby antyterrorystyczne. - To młody Turek związany początkowo z ultrapravicowymi organizacjami krytykującymi politykę zagraniczną papieża, a zwłaszcza jego stanowisko wobec komunistów z Warszawy i Moskwy. Później przesunął się w stronę ekstremistów islamskich, którzy z kolei oskarżyli Ojca Świętego o przewożenie wielkiej krucjacie i dlatego wzięli go na cel. Mam przy sobie list napisany przez Agcę, deklarującego w nim, że planuje zabić papieża.

List, zdobyty i zrecznie wykorzystany przez wiernego Lienartowi Korybanta, krążył przez chwilę z ręki do ręki.

- Cóż, zamysł wyłożony tu został bardzo jasno.

- Czy to możliwe, by zamachowiec należał do jakiegoś spisku, będąc jedynie kukiełką, zbrojnym ramieniem?

- Wątpię. Wywiad francuski poinformował nas, że Agca sam kupił użyty do zamachu pistolet, dziewięćmilimetrový browning, od swojego znajomego, austriackiego neonazisty Horsta Grillmayera.

- To nazwisko coś mi mówi... - wtrącił Giovanni Biletti, komendant watykańskiej żandarmerii.

- Może dlatego, że Grillmayer był przez nas wykorzystywany do zadań na terenie Związku Radzieckiego i Polski.

- I co z nim? - spytał Lienart.

- Znalaziono go z podciętym gardłem w aucie, we własnym garażu - odrzekł Dandi.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi...

- Gdy tylko dostaliśmy wiadomość od Francuzów, natychmiast poprosiliśmy Austriaków o zatrzymanie go, ale kiedy zjawili się u niego w domu, było po sprawie. W związku z czym trop związany z bronią się urwał.

- Odnoszę wrażenie, że ten cały Agca to amator - wtrącił puł-

kownik Hessler z Gwardii Szwajcarskiej. - Wskazuje na to sam sposób przeprowadzenia zamachu. Toż to samobójstwo: strzelać do szefa państwa i głowy Kościoła z tak niewielkiej odległości, w miejscu publicznym, pośród tłumu... Powinniśmy się zastanowić, kto pomógł temu szaleńcowi.

- Ma pan na myśli kogoś tu, w Watykanie? - spytał Lienart.

- Nie, eminencjo, Boże uchroni od takich myśli! Kto w Stolicy Apostolskiej mógłby życzyć śmierci Ojcu Świętemu? Choć oczywiście nie da się wykluczyć, że pomoc udzielona została nieświadomie i przypadkiem...

- Nadal nie bardzo rozumiem.

- Ostatecznie Agca miał przy sobie wejściówkę do sektora, w którym zatrzymał się papamobile. Takie wejściówki bardzo trudno dostać. Więc skąd jedna z nich wzięła się u zamachowca?

- Wielkie ich liczby krążą wśród członków kurii, ich rodzin i przyjaciół. Bardzo często zdarza się, że ktoś przekazuje taką nieimienną wejściówkę dalej, a podobne ruchy bardzo trudno kontrolować - zauważył Bisletti.

- Cóż, na razie skupmy się na naszych codziennych zadaniach.

Kardynał Dandi będzie nas informował na bieżąco o postępach śledztwa - zakończył Lienart.

Kiedy został w gabinecie sam, wykreślił numer dziennikarza z „L'Osservatore Romano”, Giorgia Foscatiego, z którego osobą wiązało się niejaki ryzyko.

- Foscati?

- Tak, to ja. Z kim rozmawiam? - spytał dziennikarz.

- Tu kardynał August Lienart.

- O, eminencjo, to prawdziwy zaszczyt. Właśnie miałem do eminencji dzwonić. Chodzi o tego faceta, o którym teraz tak głośno.

- Kogo ma pan na myśli?

- Tego Turka, który podobno strzelał do Jego Świątobliwości.

- Najlepiej, żeby z nikim pan o tym nie rozmawiał, dopóki się nie spotkamy. Czy to jasne?

- Jak słońce, eminencjo. Zaraz u eminencji będę.

Wkrótce potem siostra Ernestine zapukała do gabinetu Lienarta, informując, że zjawił się pan Foscati.

- Witam, eminencjo. - Dziennikarz schylił się nad kardynalskim pierścieniem z herbem w postaci skrzydlatego smoka.

- Starczy, drogi panie Foscati, starczy tych ceremonii. Proszę tu przy mnie usiąść i powiedzieć mi dokładnie, w czym rzecz.

- Bo ja znam tego Turka...

- Jak go pan poznał?

- Przez pewnego księdza z Kongregacji do spraw Wiary. Ten ksiądz nazywał się, o ile dobrze pamiętam, Benigni, tak, Eugenio Benigni.

Słyszając prawdziwe nazwisko agenta Korybanta, kardynał

Lienart zaniepokoił się nie na żarty.

- Co wspólnego z zamachowcem miał ten Benigni?

- Któregoś dnia zadzwonił do mnie, powiedział, że jest z Kongregacji do spraw Wiary i że ma dla mnie tekst najnowszego przemówienia prefekta. Umówiliśmy się, a na koniec spotkania Benigni oświadczył, że chciałby mnie prosić o osobistą przysługę.

Zrozumiałem, że nie dla niego ta przysługa, tylko dla prefekta.

- Co to była za przysługa? - spytał Lienart.

- Chodziło o przekazanie przepustki temu całemu Agcy.

- Widział się pan z nim?

- Nie. Zostawiłem kopertę w skrzynce pod wskazanym adresem.

- Więc skąd pan wie, że przepustka była dla Agcy?

- Bo na kopercie widniało jego nazwisko. Teraz nie bardzo wiem, co mam zrobić z tą informacją.

- Nic pan z nią nie robi. Zachowa ją pan dla siebie.

To mówiąc, Lienart uniósł prawą dłoń i wypowiedział formułę rozgrzeszenia.

- *Ego te absolvo*, ja ci odpuszczam winy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

W ten sposób zabezpieczył się o tyle, że gdyby doszło do przesłuchania Foscatiego, on sam mógłby się zasłaniać tajemnicą spowiedzi.

- A teraz proszę posłuchać. Niech pan o tym z nikim nie rozmawia. W przeciwnym razie wystawi pan na niebezpieczeń-

stwo stabilność Kościoła i Stolicy Apostolskiej, nie wspominając już o pańskiej rodzinie i ukochanej córce Daniela. Proszę o tym pamiętać. Rozumiemy się?

- Tak, eminencjo.

- A, żebym nie zapomniał. Proszę też zamieścić na czwartej stronie dziennika zdanie: *Animus homini est immortalis, corpus mortale*. Pojutrze, w wydaniu włoskim.

- Oczywiście, eminencjo, oczywiście. Zajmę się tym - zapewnił Foscati.

- I jeszcze raz podkreślam: nikomu ani słowa na temat tego człowieka. Gdyby ktoś dowiedział się o pańskich z nim kontaktach, nawet ja nie zdołałabym panu pomóc. Sam pan rozumie, że skończyłoby się zapewne na oskarżeniu pana o współpracę w organizacji zamachu na Jego Świątobliwość. Dopóki jednak trzyma pan język za zębami, może pan na mnie liczyć.

Chicago

W tym mieście zawsze jest zimno, pomyślał ojciec Spiridon Pontius, maksymalnie rozkręcając ogrzewanie w wynajętym fordzie.

Kampus rozciągał się od ulicy South State aż po brzeg jeziora Michigan. Po wielohektarowym terenie snuły się tysiące studentów - większość z nich zresztą w dziwacznych ubraniach mających chronić przed chłodem.

Pontius już od kilku dni obserwował wejście do Instytutu Studiów Wschodnich Uniwersytetu w

Chicago, gdzie Burt Herman spędzał długie godziny po przyjeździe z Berna.

Musiał nadrobić stracone zajęcia, przejrzeć piętrzącą się na biurku korespondencję, wygłosić zaległe wykłady i podjąć decyzje, z którymi tylko on, jako dyrektor instytutu, mógł się zmierzyć.

Pontius nie spuszczał go z oka od dnia przylotu do Chicago.

Zadanie było jasne: Herman, tak samo jak Hoffman, Hubert, Shemel i Fessner, musiał umrzeć, ponieważ ośmielił się zajmować księgą Judasza. I tym łatwiejsze, że profesorek nie zgodził się na policyjną ochronę. Nie lubił chyba, kiedy ktoś zakłócał jego prywatność, i uważał zapewne, że Europa wraz ze wszystkim, co z nią związane, została daleko z tyłu.

Jak co wieczór o siódmej granatowy chevrolet naukowca przeciął kampus i Park Waszyngtona, kierując się Sześćdziesiątą Ulicą w stronę South State. Potem przez Chicago Skyway pojechał ku Dziewięćdziesiątej Ósmej. Po drodze zatrzymał

się przy kiosku z gazetami i restauracji oferującej dania na wynos. Ten ostatni szczegół ostatecznie utwierdził Pontiusa w przekonaniu, że Herman mieszka sam i nie chce mu się gotować.

Jego dom w niczym nie różnił się od innych pozbawionych wyrazistości budynków w okolicy, zamieszkiwanych przez przed-stawicieli klasy średniej. W pobliżu znajdowało się pokryte teraz szronem pole golfowe.

Z zaparkowanego naprzeciwko auta Pontius widział, jak w kolejnych pomieszczeniach zapalają się światła. Odczekał

trochę, wysiadł z samochodu, poszedł na tyły budynku i bezszelestnie wślizgnął się do kuchni. Nie było tam nikogo. Cicho przemknął do salonu. Na podłodze wznosiły się tu chwiejnie sterty książek, na sofie drzemał zwinięty w kłębek kot rasy angora, który tylko na moment otworzył oczy, by obrzucić intruza obojętnym spojrzeniem. Drewniane schody prowadziły na piętro Pontius ruszył na górę, wyjmując po drodze z tylnej kieszeni drut z dwoma uchwytami na końcach.

Na półpiętrze usłyszał plusk prysznica. Ostrożnie podszedł

do drzwi, zza których dobiegał ten dźwięk. Gdy je uchylił, przez szparę zaczęła się wydobywać gęsta para.

Wszedł do środka i przez chwilę patrzył na cień poruszający się za plastikową zasłonką. Potem odsunął ją szybkim ruchem i ujrzał zawieszoną na drążku koszulę falującą pod strumieniem wody.

W tym samym momencie do łazienki wpadł półnagi Herman, atakując Pontiusa od tyłu. We dwóch zwalili się na umywal-kę, która urwała się pod ich ciężarem. Nie ulegało wątpliwości, że Burt Herman, były żołnierz marines, mimo wieku i lekkiej nadwagi, wciąż potrafi walczyć.

Pontius usiłował zarzucić mu pętlę na szyję, lecz bez powodzenia. Naukowiec musiał rozumieć, że jeśli do tego dopuści, zginie.

Chwilę później poślizgnął się jednak na mokrej podłodze i upadł na brzuch, z czego natychmiast skorzystał zabójca, siadając mu na plecach i okręcając szyję drutem.

Burt Herman jeszcze przez kilkadziesiąt sekund walczył o życie. Najpierw szarpał się z całej siły, próbując zaczerpnąć powietrza, lecz wkrótce osłabł, aż wreszcie znieruchomiał.

Przedostatni z piątki naukowców pracujących nad księgą Judasza został zlikwidowany.

Przed opuszczeniem domu Pontius wygłosił zwyczajową formułę Kręgu i cisnął na prawie nagie zwłoki wycięty z materiału ośmiokąt. Teraz należało się przygotować do długiej podróży

- Hongkong czekał.

Genewa

Nieco wcześniej wiadomość zakodowana na czwartej stronie włoskiego wydania „L'Osservatore Romano” trafiła do adresata. Niedługo potem mężczyzna w rękawiczkach wszedł do eleganckiego holu siedziby Bayerische und Vereinsbank. Recepcjonistka przywitała go uprzejmie, po czym wręczyła mu blankiet z dziewięcioma polami do wypełnienia. Potwierdziwszy w ten sposób tożsamość klienta, wezwała kolegę, który zawiózł go windą na poziom sejfów i zostawił samego w niewielkim pomieszczeniu, nad zawartością skrytki numer 361.

Znajdowały się w niej dwie zalakowane koperty z odręcznym napisem: „Dla Archanioła”. Z pierwszej mężczyzna wydobyl zdję-

cie człowieka, którego natychmiast rozpoznał. Nie musiał nawet czytać tekstu na odwrocie: „Delmer Wu. Hongkong. Do likwidacji”.

Druga koperta zawierała zdjęcie śniadego księdza - to ostatnie dało się poznać po koloratce. Z tyłu był napis: „Ojciec Carlos Reyes. Tel Awiw. Do likwidacji”.

Przyjrząwszy się dokładnie obu twarzom, Archanioł wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalił fotografie. Gdy została z nich tylko kupka popiołu, wyjechał na górę i opuścił budynek banku.

Tel Awiw

Tydzień później ojciec Carlos Reyes wylądował na lotnisku Ben Guriona.

- Cel wizyty? - spytał urzędnik służby imigracyjnej.

- Pielgrzymka po świętych miejscach i odwiedziny u braci ze zgromadzenia franciszkanów w Jerozolimie - odrzekł przybyły.

- Witamy w Izraelu - powiedział urzędnik, przystawiając pieczętkę w paszporcie mordercy z Kręgu Octogonus.

Przecisnąwszy się przez tłum oczekujących, ojciec Reyes wszedł przed terminalem do taksówki.

- Dokąd pana zawieźć? - spytał kierowca.

- Do Jaffy. Na ulicę Yafo, do siedziby franciszkanów.

- Już się robi - odrzekł szofer, ruszając w stronę centrum.

W odosobnieniu swojej celi ojciec Reyes przystąpił do powtórzenia szczegółów planu, wiedząc, że nie będzie miał drugiej szansy na likwidację obiektu, ponieważ zaalarmowana śmiercią Wernera Hoffmana i Sabine Hubert izraelska policja przydzieliła Efraimowi Shemelowi ochronę.

Z raportu dostarczonego przez ojca Mahoneya wynikało, że Shemel, specjalizujący się w języku koptyjskim naukowiec z Uniwersytetu w Tel Awiwie, zwykł jadać obiady w niewielkiej restauracji w centrum handlowym Dizengoff. Potem wracał

piechotą na uczelnię. Po wykonaniu zadania ojciec Reyes miał

porzucić broń, spokojnie udać się na parking jednego z dwóch pobliskich wieżowców i tam czekać na odpowiedzialnego za jego ewakuację brata z Kręgu.

Przez kilka następnych dni Reyes badał okolicę, udając turystę. Jadał w ulubionej restauracji Shemela, zagadywał kelnerów, by zapaść im w pamięć i nie wzbudzać później podejrzeń, zapoznawał się z wyjściami awaryjnymi z lokalu, regularnie korzystał

z łazienki, która stanowiła jedyne możliwe miejsce ataku, i uczył

się na pamięć trasy między restauracją a parkingiem. W końcu uznał, że jest w stanie poruszać się po wszystkich tych miejscach z zamkniętymi oczami, wyznaczył dzień akcji i poinformował

o tym Mahoneya.

W jednym z pokoi hotelu Hilton położonego niecałe półtora kilometra dalej Archanioł szykował się do działania. Ze swojego tarasu, popijając mocną kawę, mógł podziwiać spokój pogrążonego jeszcze w ciemności Morza Śródziemnego.

Wziął zimny prysznic i ułożył na łóżku zestaw, którego zamierzał użyć tego przedpołudnia do wypełnienia misji: niebieski kombinezon z wielkimi literami IAA na plecach noszony przez pracowników Israel Airport Authority; starannie złożony szary materiał; niewielką torebkę wypełnioną ryżem; dwa naboje M1 18

7,62x51R Match; lunetę snajperską Zeiss M-Diavari 1,5.6x42; tłumik oraz karabin Accuracy AW 80.

Pewną ręką zamocował lunetę, a następnie schował broń do futerału na anemometr i trójnog. Gdyby ktoś zauważył na dachu wieżowca człowieka w kombinezonie IAA z aparaturą do mierzenia prędkości wiatru, na pewno by się nie dziwił. Archanioł

widział, że pracownicy Israel Airport Authority na zamówienie wieży kontroli lotów lotniska Ben Guriona co tydzień dokonują takich pomiarów z najwyższych budynków w Tel Awiwie.

Karabin Accuracy AW 80 ważył sześć kilogramów i miał nieco ponad metr długości, toteż idealnie mieścił się w futerale.

Archanioł włożył cienki czarny golf, buty noszone przez żoł-

nierzy armii izraelskiej oraz kombinezon IAA. Potem schował

resztę rozłożonych na łóżku przedmiotów do czarnej nylonowej torby. Spojrzał na zegarek. Nie miał daleko, ale musiał dotrzeć na miejsce piechotą - nie mógł ryzykować, że ktoś zwróci na niego uwagę w autobusie lub taksówce.

W Tel Awiwie wstał pochmurny dzień. Ojciec Reyes obudził

się wcześniej i zszedł do kaplicy pomodlić się o powodzenie misji.

Następnie, zgodnie ze zwyczajem, którego nabrał od czasu przybycia do Izraela, wsiadł na pobliskim przystanku w autobus jadący z Jaffy do centrum miasta. Potem chciał się jeszcze trochę przejść po okolicy. Był zdenerwowany.

Izrael słynął ze sprawnych służb specjalnych i brat Mahoney uprzedzał, że bez pomocy innego członka Kręgu prawdopodobnie nie da się wyprowadzić w pole postawionych po ataku w stan gotowości policjantów. Jeszcze gorzej przedstawiała się kwestia powrotu, tym bardziej że nieustanne konflikty z sąsiadami czyniły z Izraela pilnie strzeżoną fortecę.

Przez całe przedpołudnie ojciec Reyes obserwował wejście do restauracji, co chwila spoglądając na zegarek. Wokół kręcili się pracownicy okolicznych biur, kobiety z zakupami zrobionymi w centrum handlowym, uliczni grajkowie i młodzi chłopcy w wojskowych mundurach, z karabinami Galii przewieszonymi przez plecy.

Ukryty za egzemplarzem „Jerusalem Post” Reyes sterczał tak aż do południa, kiedy to w polu jego widzenia pojawił się Shemel, eskortowany jedynie przez ubranego po cywilnemu funkcjonariusza, idącego kilka kroków z tyłu w marynarce, pod którą odznaczał się przypięty pistolet.

Reyes pospiesznie wszedł do restauracji, by znaleźć się w środku przed swoją ofiarą. Większość przykrytych czerwonymi obrusami stolików była jeszcze pusta. W Izraelu nie jadano obiadów tak wcześnie.

Reyes usiadł plecami do wejścia, twarzą do drzwi toalety. Nie chciał się rzucać w oczy ochroniarzowi Shemela.

Zbliżył się kelner, z pochodzenia Etiopczyk.

- Witamy ponownie.

- Takie dobre u was jedzenie, że wciąż tu wracam.

- Cieszymy się. Co podać?

- Spróbuję tych ziemniaczanych *knish*. Do tego zupa cebulowa z brokułami oraz butelka wody.

Z tyłu słyhać było głos Shemela rozmawiającego po hebrajsku z ochroniarzem. Po chwili naukowiec wstał, zamówił coś przy barze i skierował się do toalety.

Przechodząc, prawie otarł się o zabójcę. Reyes odczekał chwilę i ruszył za nim. Gdy wszedł do środka, Shemel właśnie mył

ręce.

Kiedy się odwrócił, Reyes wyjął z rękawa mizerykordię, lewą ręką chwycił ofiarę od tyłu za twarz, prawą zaś wbił ostrze w kark naukowca. Efraim Shemel nie cierpiał. Nie wiedział nawet, że umiera.

Ojciec Reyes wygłosił łacińską formułę, rzucił na zwłoki wycięty z materiału ośmiokąt, schował mizerykordię do jednego z rezer-wuarów i wyszedł z toalety. Opuszczając restaurację, spokojnie minął ochroniarza, który jeszcze nie zauważył przedłużającej się nieobecności swego podopiecznego.

Zabójca niespiesznym, równym krokiem dotarł do ruchomych schodów, którymi mógł się dostać do tej części centrum handlowego, skąd miał już blisko na parking wieżowca. Pchnął ciężkie drzwi przeciwpożarowe i wyszedł na powietrze. Na parkingu o tej porze było pełno samochodów. Reyes rozejrzał się za autem, w którym siedziałby jeden z braci z Kręgu, ale nic podobnego nie dostrzegł.

Tymczasem Archanioł zdążył się już dostać na dach jednego z budynków. Niewidoczny z okien w sąsiednim wieżowcu, wyjął z czarnej torby woreczek z ryżem i rozwinął szary materiał

z czterema paskami wychodzącymi z rogów. Następnie otworzył

futurał z anemometrem, wyciągnął karabin, zamontował tłumik, szary materiał przywiązał sobie paskami do nadgarstków i kostek, naciągnął go na plecy i głowę, by upodobnić się kolorem do dachu budynku, po czym podczołgał się nad krawędź.

Wydobył z kieszeni kombinezonu magazynkę, w którym znajdowały się tylko dwa naboje, choć mogłoby się ich tam zmieścić dziesięć. Archanioł wiedział jednak, że po wykonaniu zadania musi zebrać łuski, bo po łuskach policja zidentyfikowałaby broń, a po broni - być może także jego samego.

Dmuchał lekki wietrzyk. Archanioł oparł karabin na woreczku z ryżem, żeby uniknąć odrzutu. Ułożył się wygodnie, przyłożył

policzek do zimnego metalu i spojrział przez lunetę w dół: od celu dzieliło go dwieście osiemdziesiąt metrów i czterdzieści centymetrów. Delikatnie położył palec na spuście. Ojciec Reyes nerwowo rozglądał się po parkingu, wypatrując zbawczego samochodu, nieświadom, że dokładnie w tym momencie jego głowa znalazła się na muszce snajpera.

Odczekawszy na odpowiednią chwilę, Archanioł wstrzymał

oddech i strzelił.

Kula, lecąc z prędkością ośmiuset pięćdziesięciu dziewięciu metrów na sekundę, trafiła ojca Reyesa nieco poniżej nasady czaszki. Przez lunetę Archanioł widział dokładnie, jak ciało osunęło się na asfalt, zabarwiając go natychmiast na czerwono.

Zabójca schował łuskę do kieszeni kombinezonu, odczołgał się na bok i uwolnił od szarej płachty, którą następnie starannie zło-

żył i schował do czarnej torby razem z woreczkiem ryżu. Później zdemontował tłumik i włożył karabin do futerału na anemometr i trójnóg. Z całkowitym spokojem zjechał windą na dół i opuścił

centrum handlowe.

Gdy przechodził przez ulicę, kierując się do hotelu, usłyszał

za plecami wycie syren pierwszych wozów policyjnych, które zjeżdżały się do restauracji, gdzie ktoś zasztyletował profesora uniwersytetu.

Kiedy już nad izraelskim wybrzeżem zapadł wieczór, na głębokie i ciemniejące wody Morza Śródziemnego wypłynęła rybacka łódź, z której pokładu wyrzucono w toń przeznaczony na anemometr i trójnóg futerał z karabinem Accuracy AW 80 w środku, a także czarną torbę zawierającą ołowiane obciążniki, niewinny z pozoru woreczek z ryżem, tłumik, złożoną w kostkę szarą płachtę oraz kombinezon z rodzaju tych, jakich używają technicy z IAA.

W mroku swojego pokoju w hotelu Hilton Archanioł rozmyślał

zapewne o zadaniu czekającym go w Hongkongu.

Oslo

Afdera poleciała do Norwegii, żeby spotkać się z profesorem Stromnes specjalistką od run i znajomą liana Gershona.

Chciała, żeby towarzyszył jej Max, ten jednak wymówił się sprawami osobistymi w Genewie oraz koniecznością złożenia wizyty stryjowi, kardynałowi Ulrichowi Kronauerowi w Rzymie.

W Oslo przesiadła się do awionetki, którą pokonała prawie trzysta kilometrów dzielące stolicę Norwegii od regionu Rogaland.

Miasteczko profesora Stromnes otaczały przepiękne fiordy, tysiąc-letnie lasy i krystalicznie czyste jeziora. Sama miejscowość okazała się niewielka, złożona z kolorowych domków skupionych wokół zadbanego mola, gdzie cumowały niebieskie promy łączące kontynent z wyspami.

Przed hotelem Afdera ujrzała mniej więcej pięćdziesięcioletnią blondynkę stojącą obok młodszego od niej najwyżej o połowę szarego volvo.

- To auto należało jeszcze do mojego ojca, a nadal się doskonale spisuje - rzuciła lingwistka tonem wyjaśnienia.

- Jest świetne.

- Świetne jak na tutejsze warunki - uśmiechnęła się profesor Stromnes.

- A tak w ogóle, to cześć, Gudrun. Jestem Afdera, znajoma Ilana.

- Wiem. Przy tych czarnych włosach trudno cię tu z kimś pomylić. Chcesz wejść na górę i odpocząć po podróży czy jedziemy od razu na uniwersytet?

- Jedźmy na uniwersytet. Umieram z ciekawości, co też odkryłaś.

- Dobrze, więc jedźmy.

Po drodze Gudrun opowiadała o swoim ojcu, który w czasie wojny sprzeciwiał się proniemieckiej polityce Quislinga i brał

nawet udział w akcji mającej na celu wysadzenie w powietrze fabryki ciężkiej wody w pobliskim Telemarku.

- Niemcy potrzebowali ciężkiej wody, bo chcieli skonstruować bombę atomową. Gdyby im się udało, kto wie, jak potoczyłaby się historia Europy i świata.

- To prawda - przytaknęła Afdera, z zachwytem chłonąc przesuwający się za oknami pejzaż.

Główny budynek uniwersytetu, prosty i nowoczesny, doskonale wpisywał się w naturalne otoczenie. Cały kampus kojarzył

się z projektami słynnego fińskiego architekta Alvara Aalto.

Gudrun pozdrowiła ochroniarza, który z zajęciem oglądał

telewizję i nie bardzo zwrócił na nie uwagę.

- Chcesz się najpierw napić herbaty? - spytała Afderę.

- Nie. Dziękuję, ale wolałabym jak najszybciej zacząć.

- Ilan mówił, że jesteś w gorącej wodzie kąpana - uśmiechnęła się Gudrun.

- Udało ci się coś odczytać z tych fotografii, które ci przysła-

łam?

Profesor Stromnes wyjęła z szafy zdjęcia oraz kilka różnokolorowych teczek, które następnie złożyła na biurku.

- Przede wszystkim muszę ci coś wyjaśnić - powiedziała, sięgając po jedną z fotografii. - Runy mają sporo wspólnego z praktykami magicznymi. Samą ich nazwę można by przetłumaczyć jako „sekrety”.

W alfabecie runicznym każdy znak ma swoje własne znaczenie, nie tak jak w naszym, gdzie litery zyskują sens dopiero po połączeniu. Przyjrzałam się temu, co mi przesłałaś, doszłam do wniosku, że jeden z Waregów towarzyszących twojemu krzyżowcowi w drodze przez Antiochię i Pireus musiał być „mistrzem run”. I z pewnością w innych miejscach też zostawił podobne wiadomości.

- Czy to możliwe, żeby rycerz biorący udział w wyprawie krzyżowej miał takie wykształcenie?

- Owszem, czemu nie? Pierwsze inskrypcje w alfabecie runicznym sięgają trzeciego wieku, potem pismo to bardzo się rozprzestrzeniło i między jedenastym a czternastym wiekiem używano go na dużych obszarach północnej Europy.

- Zdołałaś dokonać transkrypcji?

- Wydaje mi się, że chodzi o zapis zbliżony do tego, z jakim mamy do czynienia na tak zwanej szkatułce Franksa przechowywanej w British Museum i datowanej mniej więcej na ósmy wiek.

Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że w przypadku run zwykle nie wystarczy dokonać transkrypcji, trzeba się jeszcze pobawić w zgadywanki. Po pierwsze należy ustalić, w jakim porządku czytać znaki i od którego miejsca zacząć, bo często są ułożone na przykład spiralnie, jak właśnie na szkatułce Franksa i na grzbiecie twojego lwa. A po drugie nierzadko wiadomość bywa podana w formie zagadki. Ta ze szkatułki Franksa dotyczy materiału, z którego zrobiony jest ów zagadkowy przedmiot, czyli kości wieloryba.

- Gudrun, błagam... Ustaliłaś, co jest napisane na grzbiecie tego nieszczęsnego lwa?

- Wyryte na nim runy swoim kanciastym kształtem przypominają znaki z tak zwanego kamienia z Iarlabanki - oświadczyła profesor Stromnes, wybierając kilka zdjęć ze sterty na biurku.

- Pomyślałam, że odczytam je, porównując z tamtymi.

- A po odczytaniu trzeba jeszcze zgadnąć, jaka zaszyfrowana wiadomość się za nimi kryje, tak?

- Tak, coś w tym stylu. Proste to nie jest, wymaga przejścia przez kilka etapów. Tak czy owak, wiadomość z twojego lwa została spisana tak zwanym futharkiem, która to nazwa pochodzi od sze-

ściu pierwszych liter tego alfabetu, podobnie jak słowo „alfabet”

pochodzi od dwóch pierwszych liter alfabetu greckiego.

- I o czym mówi ta wiadomość? - niecierpliwiła się Afdera.

- Mówi coś w rodzaju: „W bramie morza Zara krążyć będzie wokół labiryntu, lew zaś strzeże rycerza i jego sekretu. Znajdź

gwiazdę, która oświeci tron kościoła, a zaprowadzi cię ona do grobu prawdziwego”. Mam nadzieję, że wiesz, co to może oznaczać.

- Będę się musiała zastanowić. Tylko po co ktoś miałby zapi-sywać na kamieniu taką wiadomość?

- Żeby coś komuś zasygnalizować, nie zdradzając powierzone-go sobie sekretu? Miejsce, w którym wyryta została ta inskrypcja, również o czymś świadczy. W oczach Waregów lew symbolizował siłę i honor, ale był też archetypem strażnika.

- Więc chodziłoby o zasygnalizowanie istnienia sekretu...

- Może twoi krzyżowcy wiedzieli coś, co ich zdaniem ze wzglę-

du na swoją wagę powinno kiedyś wyjść na jaw. I dlatego zostawiali wskazówki.

- Chyba masz rację. Wszystko się układa w spójną całość

- potwierdziła z entuzjazmem Afdera. - W dodatku w herbie rodziny de Fratens jest lwi pazur, co też tłumaczy wybór miejsca na inskrypcję. Oczywiście jej autorzy nie mogli wiedzieć, że wiele stuleci później ów lew znajdzie się w Wenecji.

- Raczej nie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem ci wdzięczna

- powiedziała Afdera, serdecznie ściskając lingwistkę. - Teraz powinnam jak najszybciej wracać do Wenecji.

- Będziesz musiała poczekać do jutra rana, dziś już nie zdą-

żysz na ostatni samolot z Oslo. Dlatego możesz spokojnie przyjąć moje zaproszenie na rodzinną kolację. Zjemy *farikal*, nasze tradycyjne danie, baraninę duszoną w kapuście oraz norweską specjalność, *rakfisk*, czyli sfermentowanego pstrąga, a na deser *geitost*, słodkawy kozi ser, i *kaffebrod*, bułeczki kardamonowe.

- Zgoda. Wszystko to brzmi bardzo apetycznie. Coś czuję, że wrócę do Włoch o kilka kilogramów cięższa.

- Przy twoim rytmie życia szybko wszystko spalisz - zaśmiała się Gudrun.

Jednakże Afdera ani na chwilę nie potrafiła przestać myśleć o tajemniczym zdaniu wyrytym na grzbiecie lwa sprzed Arsenale i jego ewentualnym związku z księgą Judasza. Przez większość wieczoru i następnego dnia w trakcie podróży powrotnej zastanawiała się gorączkowo, co takiego chciał przekazać żyjący przed wiekami „mistrz run”. O jaką bramę morza mu chodziło?

O którą gwiazdę i jaki tron? Co to jest Zara? I czy wszystko to miało cokolwiek wspólnego ze wspomnianym przez profesora Colaianiego Wodnym Labiryntem albo Miastem Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników?

Na te i inne pytania musiała odpowiedzieć, jeśli chciała trafić na trop nieuchwytnego jak dotąd Eliezera.

Hongkong

Hongkong słynął między innymi ze swoich luksusowych sklepów, otwieranych tu przez najdroższe firmy świata.

Marki takie jak Rolls-Royce, Bentley czy Aston Martin zaciekle walczyły o tutejszych najbogatszych klientów, do których grona bez wątpienia zaliczała się żona Delmera Wu, Claire.

Piękna, drobna, czarnowłosa i zielonooka, stanowiła dla męża milionera najcenniejszą własność i doskonale wiedziała, jak ten fakt wykorzystać. Ojciec Spiridon Pontius też to wiedział.

Elegancki rolls-royce wyjechał za bramę mieszczącą się przy Plantation Road rezydencji państwa Wu i skierował się w dół

ku centrum, gdzie kusily oko lśniące witryny wykładanych mar-murami centrów handlowych.

Pontius śledził limuzynę, jadąc czerwoną furgonetką. Pokryte czarną farbą szyby nie pozwalały ciekawskim zajrzeć do środka.

Spędził na malowaniu ich całe popołudnie, zostawiał czysty tylko kawałek przedniego okna, żeby coś widzieć podczas jazdy.

Rolls-royce wiozący Claire Wu skręcił w Hennesy Road, a potem na parking przy jednym z centrów handlowych. Pontius jechał z tyłu w bezpiecznej odległości.

Zatrzymawszy się, ujrzał, że szofer Claire wysiada i otwiera przed nią drzwi. O tej porze pani Wu zwykła spotykać się z przyjaciółkami w HK Spa Centre gdzie poddawała się różnym zabiegom kosmetycznym, a następnie zachodziła do pobliskiego hotelu na herbatę z tartą malinową i koło siódmej wieczorem wracała do domu.

Brat Pontius zdawał sobie sprawę, że szansę na przeprowadzenie akcji ma jedynie w Spa Centre albo na parkingu. Pierwszą ewentualność odrzucił po tym, gdy na własne oczy przekonał się o zastosowanych w centrum handlowym środkach bezpieczeń-

stwa. Porwanie Claire było zatem możliwe wyłącznie na parkingu, w momencie kiedy żona Delmera Wu rozstawała się z przyjaciółkami i zmierzała samotnie do czekającego kawałek dalej samochodu.

Instrukcje były klarowne. Biskup Mahoney nie wdawał się w szczegóły, ale postawił sprawę jasno: panią Wu należało ocalać, ale tak, by pozostała przy życiu. Kardynał Lienart pragnął dać milionerowi poważne ostrzeżenie, nie zaś wszczynać z nim otwartą wojnę. Ostatecznie zależało mu tylko na księdze Judasza.

Niecałe dwie godziny później Pontiusa wyrwały z zadumy głosy kilku zegnających się hałaśliwie kobiet. Zapuścił silnik, a kiedy grupka przyjaciółek się rozproszyła, ruszył powoli w stronę idącej z

kilkoma lekkimi torbami Claire.

Zrównawszy się z nią, zahamował gwałtownie, wyskoczył

z auta i wymierzył zaskoczonej kobiecie silny cios, po czym wrzucił ją razem z torbami na tył furgonetki. Później opuścił parking, zmierzając w stronę słynącej z prostytutek dzielnicy Kung Ngam, gdzie znajdowało się wiele opuszczonych magazynów.

Zanim szofer Claire Wu zorientował się, co się stało, Pontius był już dawno poza jego zasięgiem.

Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że z nosa Claire wciąż leje się krew. Pontius wniósł półprzytomną kobietę do budynku, usadził ją na krześle i przywiązał do niego za nadgarstki i kostki, z rozsuniętymi nogami.

Potem wyjął nóż i porozcinał jej jedwabną sukienkę oraz bieliznę. Naga Claire, która tymczasem przysła nieco do siebie, zaczęła - co można było poznać po jej tonie - obrzucać napastnika wyzwiskami w niezrozumiałym dla niego języku, prawdopodobnie w dialekcie mandaryńskim. Wreszcie widząc, że nic w ten sposób nie wskóra, postanowiła najwyraźniej użyć swoich wdzięków w sposób wypróbowany zapewne nieraz na mężu.

Świadoma urody swego ciała jeszcze bardziej rozsunęła uda.

W odpowiedzi Pontius uderzył ją z całej siły w twarz, tak mocno, że na delikatnej skórze odcisnęły się ślady palców.

- Zło jest podstępne: przychodzi jako gość i zostaje jako wymagający lokator, ty sprośna suko - powiedział.

- Mój mąż ma mnóstwo pieniędzy. Dostaniesz, ile sobie zażyczysz - jęknęła Claire. - Puść mnie, a nic nie powiem policji.

Jak chcesz, razem pojedziemy do banku i dam ci wszystko, co mam.

Wtedy Pontius wymruczał coś czego nie rozumiała.

- „A gdy otworzył pieczęć czwartą, usłyszałem głos czwartego Zwierzęcia mówiącego: «Przyjdź». I ujrzałem: oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła. I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta”*.

To powiedziawszy, odwiązał Claire od krzesła i włożył jej do ust coś w rodzaju czerwonej kuli przytrzymywanej przez dwie zało-

żone za głowę gumki i uniemożliwiającej ofierze wydanie jakie-gokolwiek dźwięku.

Potem z przyniesionej uprzednio torby wyjął twardą szczotkę na długiej ręczce i zaczął nią szorować pośladki kobiety, zdzierając z nich część skóry. Po pewnym czasie uznał, że już dość - nie

chciał, by ofiara zemdląca zbyt szybko. Następnie zanurzył dłonie w woreczku z solą i przyłożył je do poranionego ciała.

Claire Wu szarpała się bezskutecznie, nie mogąc nawet krzyknąć z bólu. Zresztą, gdyby mogła, i tak nikt by jej w tym odosobnionym miejscu nie usłyszał.

Pontius tymczasem wydobyl kolejny przyrząd: używany do sekcji zwłok skalpel, którym kilka razy przejechał po betonowej podłodze, żeby go wyszczerbić. Claire Wu obserwowała swego oprawcę opuchniętymi od płaczu oczami i wykrzywioną przera-

żeniem twarzą, kiedy ten błyskawicznym ruchem wbił ostrze w jej prawy policzek, co wywołało silne krwawienie. To samo zrobił

* Apokalipsa św. Jana 5, 7-8.

z lewym policzkiem, czołem i obiema piersiami, dbając jednak, by nie uszkodzić żadnego ważnego organu.

Przed końcem tej operacji Claire straciła przytomność. Kiedy ją odzyskała, stwierdziła ze zgrozą, że wisi na sznurze przywią-

zanym do belki w stropie.

Na wpół sparaliżowana z bólu, z oczami zalanymi krwią, nie bardzo mogła śledzić poczynania oprawcy. A on szykował się do ostatniego aktu. Wyciągnął z torby dwa drewniane, minia-turowe kije bejsbolowe, posmarował je kupionym tego samego popołudnia przez Claire kremem, po czym wbił jej w pochwę i odbył.

Gdy kilka godzin później zaalarmowana anonimowym telefonem policja znalazła panią Wu wciąż wiszącą na belce, w jej zmaltretowanym ciele tliło się jednak życie.

Nie ulegało wątpliwości, że porwanie i okaleczenie Claire miało być poważnym ostrzeżeniem dla jej męża. Delmer Wu nie zamierzał się wszakże tak łatwo poddawać. Na pewno nie po tym, co zrobiono z jego własnością.

Watykan

Biskup Mahoney obudził się tego ranka wyjątkowo wcześnie. Dokładnie o szóstej rano zadzwieczał dzwonek u jego drzwi - to siostra Agustina przyniosła jak co rano śniadanie, a także świeże egzemplarze londyńskiego

„Timesa”, „L'Osservatore Romano” oraz kilku innych amerykańskich i włoskich dzienników. Wszystkie rozpisywały się na temat cudownego ozdrowienia ocalałego z zamachu papieża i jego planowanych przenosin z kliniki do rezydencji letniej w Castel Gandolfo. Kilka godzin później Mahoneya czekało spotkanie z kardynałem Lienartem.

- Ekszelencjo, musimy wszyscy modlić się za zdrowie Ojca Świętego - powiedziała siostra Agustina.

- Słusznie, sostro. To najlepsze, co możemy teraz zrobić.

Oprócz, oczywiście, wykonywania obowiązków.

- To prawda. Już wracam do swoich - zapewniła zakonnica, całując pierścień biskupa i wycofując się z pokoju.

W rzeczywistości akurat zdrowie papieża interesowało Mahoneya najmniej. Najważniejszy był Hongkong i świadomość, że trzeba za wszelką cenę zdobyć księgę Judasza. Należało też poinformować kardynała Lienarta o wypadkach w Chicago, Hongkongu i Tel Awiwie. Na razie wszystko szło zgodnie z planem i sekretarz kardynała nie miał specjalnych powodów do niepokojów.

Wiedział, że na dziewiątą rano Lienart umówił się z kardyna-

łem kamerlingiem Williamem Guevara. Kierowana przez niego Kamera Apostolska, założona w jedenastym wieku, z czasem stała się potężnym ośrodkiem władzy w Watykanie, albowiem zarządzała Stolicą Apostolską w okresach wakatu. Dlatego w razie śmierci papieża to Guevara byłby odpowiedzialny za organizację pogrzebu, zniszczenie pierścienia papieskiego oraz zwołanie kolejnego konklawe.

Później, nieco przed południem, Lienart miał się spotkać z członkami Komitetu Bezpieczeństwa, aby poinformować ich o postępach w śledztwie dotyczącym niedawnego zamachu.

- Dlatego może zjedzmy razem lunch, drogi bracie Mahoney.

Przy okazji omówimy, co mamy do omówienia - zaproponował

poprzedniego dnia kardynał.

- Doskonały pomysł, eminencjo.

Do prywatnych apartamentów sekretarza stanu wchodziło się przez tak zwaną Loggię Rafaela. Jadalnię kardynała Lienarta zdobiły obrazy Caravaggia, Melozza de Forlì i Rafaela.

- Podobają ci się, bracie Mahoney?

- Tak, eminencjo, są niezwykle piękne.

- Kazałem tu przenieść te dzieła, żeby móc je kontemplować przy jedzeniu. Przyznaję, że jestem wielkim miłośnikiem sztuki, ponieważ, jak sądzę, uświadamia nam ona wewnętrzną pustkę, brak tego czegoś, czego istoty nie umiemy nawet określić.

Prawda?

- Nie wiem, eminencjo, nie jestem w tych sprawach znawcą.

Kiedy patrzę na obraz, czuję po prostu, że albo mi się on podoba, albo nie. Nie potrafię wspiąć się na taki poziom jak eminencja.

Kardynał Lienart, nalewając do kryształowych kieliszków jere-zu, uznał temat za wyczerpany.

- Mój drogi bracie, jak już mówiłem, w niedługim czasie może nas czekać kolejne konklawe, jeśli Ojciec Święty nagle mimo wszystko poczuje się gorzej. Nie chciałbym otwierać tego nowego rozdziału w swoim życiu ze świadomością, że nie pokończyłem tego, co zacząłem. Jeśli Bóg w swej mądrości postanowi nało-

żyć na moje barki ciężar, do którego dźwignania jestem zresztą doskonale przygotowany, chciałbym podjąć się tego ze spokojnym umysłem. I ty, bracie, pomożesz mi osiągnąć ów cel. Życzę sobie, żeby interesujące nas kwestie zostały rozwiązane, zanim rozpocznie się przyszłe konklawe.

- Eminencjo, robimy, co w naszej mocy. Członkowie Kręgu wywiązali się ze swoich obowiązków, choć niektórzy zapłacili za to życiem. Bracia Ferrell i Osmund w Aspen, brat Lauretta w Kairze, a teraz brat Reyes w Tel Awiwie...

- Zabraniam choćby wspominać nazwisko tego zdrajcy -

przerwał ze złością Lienart. - Jego wieczne wątpliwości mogły udaremnić starania, jakie wszyscy podejmujemy w obronie wiary i Kościoła. Bracia Ferrell, Osmund i Lauretta zaiste ponieśli śmierć męczeńską, idąc w ślady pierwszych chrześcijan. Brat Reyes natomiast złamał obietnicę wierności składaną przed Bogiem, Ojcem Świętym i przede mną jako zwierzchnikiem Kręgu. Nie jest wart, by wymieniać go wśród niezłomnych rycerzy wiary.

- Eminencja wybaczy, ale przecież brat Reyes przy wielu okazjach wykazywał się lojalnością wobec sprawy. Choć, owszem, miewał chwile wahania i nawet ostatnio osobiście obiecywałem mu, że będzie mógł się wycofać.

- Zaskakujesz mnie, drogi bracie. Brat Reyes powinien był

wiedzieć, że są ścieżki, z których nie ma odwrotu. Na taką ścieżkę wkroczył, kiedy przystąpił do Kręgu i złożył przysięgę wierności.

Wybaczyłem mu jego błąd, ale wybaczyć to nie znaczy zapomnieć.

To znaczy żyć w pokoju z pamięcią doznanej obrazy. Brat Reyes nie potrafił jednak skorzystać z tej szansy. Może przynajmniej teraz uwolnił się od swoich rozterek.

Mahoney milczał. Zasiadli do stołu. Na błyszczącym maho-niowym blacie stał porcelanowy serwis z Faenzy, a obok leżały srebrne nakrycia i białe lniane serwetki z wyhaftowanym skrzydlatym smokiem - herbem rodziny Lienartów. Dwie zakonnice czekały w pogotowiu, by podać przystawki: ulubiony pasztet papieża Juliusza III oraz polentę z maślakami, za którą przepadał

z kolei Pius IX.

Popijając te smakołyki doskonałym *latino bianco*, Mahoney i Lienart wymieniali błahe uwagi dotyczące na przykład wzrostu liczby turystów zwiedzających Muzea Watykańskie, dopóki mniszki nie zostawiły ich samych.

Wtedy sekretarz stanu powiedział:

- A więc, mój drogi bracie, jakież wieści? Czy gniew boży osiągnął zuchwalców nadmiernie ciekawych heretyckiej księgi?

- Rozkazy eminencji zostały wypełnione co do joty. Papirolog Werner Hoffman, znawca początków chrześcijaństwa Burt Herman, specjalista od datowania metodą radiowęglową John Fessner, renowatorka Sabine Hubert i wreszcie ten Żyd, ekspert od języka koptyjskiego.. Wszyscy oni opuścili już ten padół łez.

- Co z żoną naszego przyjaciela Delmera Wu?

- Brat Pontius dobrze się nią zajął. Dostaliśmy informację, że z hongkońskiego lotniska wystartował niedawno prywatny samolot pana Wu. Na pokładzie znajdowała się pani Wu, którą przetransportowano do jednej z wiedeńskich klinik, specjalizujących się w chirurgii plastycznej. Co oznacza, że brat Pontius spisał się na medal - relacjonował Mahoney. - Czy eminencja sądzi, że pan Wu teraz zmięknie?

- Cierpliwości, drogi bracie. Każda niepowodzenie czegoś nas uczy. I pan Wu zapewne pojął ostatnią lekcję. A jeśli nie.. Cóż, trzeba będzie dobitniej przemówić mu do rozsądku. Chcę, żebyś się z nim skontaktował, bracie, i ponowił naszą prośbę. Jeśli to nie poskutkuje, wyślemy brata Alvarado do Wiednia, do kliniki, w któ-

rej przebywa pani Wu. Ale może nie będzie to konieczne. Tak czy owak, nasz przyjaciel nie powinien wiedzieć, że my wiemy, gdzie leczy się jego żona. Lepiej nie dawać mu żadnej broni do ręki, czyż nie?

- Brat Alvarado jest obecnie w Wenecji, w Casino degli Spiriti, i spędza czas na modłach. Powiadomię go o wszystkim dziś po południu.

- Ale niech się jeszcze wstrzyma z podróżą do Wiednia.

Najpierw sprawdzmy reakcję pana Wu.

W tym miejscu rozmowa została na chwilę przerwana przez ponowne wejście dwóch zakonnic, które niosły danie główne: dziką kaczkę w młodych selerach.

- Czy wiesz, bracie, że to samo podano na uczenie inaugurującej pontyfikat papieża Honoriusza III w roku Pańskim 1216?

To dopiero był wybór! Kardynałowie wyłonili spośród siebie dwóch uprawnionych do głosu, ci zaś zdecydowali się na Cencia Savellego z Albano, chorowitego staruszka, mając nadzieję, że długo nie pociągnie. Pomyli się jednak, bo Honoriusz zasiadał na tronie Piotrowym prawie dekadę. Może tak

go wzmocniła watykańska kuchnia generalnie, a kaczka w selerach w szczególności.

- Jest rzeczywiście przepyszna.

- A powiedz mi, bracie, co się dzieje z panną Brooks, poprzednią właścicielką księgi?

- Podobno już po jej przekazaniu Aguilarowi spotkała się z pewnym tajemniczym Grekiem, Vasilisem Kalamatianem.

- Słyszałem o nim. To istny zbój. Watykan wynajmował go kilkakrotnie, gdy trzeba było odzyskać jakąś zrabowaną relikwię.

Pamiętam, że komisarz Biletti parę razy umawiał się z tym człowiekiem. Trzeba będzie wywiedzieć się szczegółów. Czego panna Brooks od niego chciała?

- Na razie nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że jeszcze wcze-

śniej spotkała się z pracującym kiedyś dla Kalamatiana mediewistą nazwiskiem Leonardo Colaiani. Towarzyszył jej wtedy zresztą jakiś duchowny. O ile nasze źródła się nie mylą, Colaiani na zlecenie Kalamatiana szukał jakiegoś dokumentu związanego z księgą Judasza, potem jednak obaj zrezygnowali.

- Czyżby panna Brooks trafiła na trop, którego oni nie dostrzeg-li. . ? A kim jest ów towarzyszący jej duchowny?

- Co do tropu, eminencjo, tak jak wspomniałem, chwilowo nie jestem w stanie nic powiedzieć. Jeśli zaś chodzi o duchow-nego, to, wedle jednego z agentów Jednostki, jest to niejaki Maximilian Kronauer. Bratanek Jego Eminencji kardynała Ulricha Kronauera.

- Proszę, proszę. Wypadałoby, żeby brat Cornelius przyjrzał

się z bliska poczynaniom panny Brooks. Niepotrzebnie spuści-liśmy ją z oka. Nie życzę sobie w najbliższych tygodniach żadnych niespodzianek. Jeszcze raz powtórzę: do konklawe chcę mieć wszystko z głowy. Żadnych rozgrzebanych, zaległych spraw.

Na kardynała Kronauera sam będę odtąd bardziej uważał.

- A co, jeśli brat Cornelius odkryje, że panna Brooks nadal interesuje się tym, czym nie powinna?

- W takim wypadku będziemy zmuszeni surowo ją ukarać.

Kościół nie potrzebuje nowego skandalu. Wizerunku Stolicy Apostolskiej nie może zmącić kolejna afera. Gdyby działania panny Brooks groziły wybuchem takowej, nam, jako strażnikom Kościoła, nie pozostanie żaden wybór. Czy to jasne?

- Oczywiście, eminencjo.

Znów pojawiły się dwie siostrzyczki, tym razem z deserem w postaci sera gorgonzola, anyżowych *mostaccioli* i słodkich *struffoli*. Do tego podano słodkie wino i kawę. Gdy ponownie zostali z Mahoneyem sami, Lienart rzekł:

- A teraz, mój drogi bracie, przejdę do kwestii, którą przede wszystkim chciałem poruszyć, zapraszając cię na ten skromny posiłek. Otóż gdyby się okazało, że z woli Boga w moich rękach spoczną przyszłe losy Kościoła, pragnąłbym, abyś wspierał mnie w realizowaniu tej doniosłej misji.

- Jestem zawsze najwierniejszym sługą eminencji i Kościoła.

- Wiem, mój drogi bracie, wiem, dlatego przewidziałem dla ciebie odpowiedzialne zadania. Rzec w tym, że gdyby Opatrzność zdecydowała tak, jak powinna, chciałbym stworzyć specjalny wydział bezpieczeństwa jednoczący siły wszystkich służb wywiadowczych, a także żandarmerii i Gwardii Szwajcarskiej, pozostający pod twoim kierownictwem i odpowiadający jedynie przede mną.

- Nie muszę chyba mówić, że to dla mnie zaszczyt.

- Wiem. Na tym chyba skończymy. Niech brat Alvarado będzie w pogotowiu, na wypadek gdyby okazała się konieczna interwencja w Wiedniu, a brat Cornelius niech się zajmie panną Brooks.

Przypominam: żadnych niespodzianek w okresie konklawe.

- Pamiętam, eminencjo. Zrobię, co do mnie należy. Będę też się modlił o powodzenie naszych planów.

- Wiesz, drogi bracie, co mówią kwakrzy: nie módl się po to, by być słyszany przez Boga, lecz po to, by samemu go słyszeć - odparł kardynał Lienart, odprowadzając swego sekretarza do drzwi.

Po powrocie do siebie biskup Mahoney długo rozmyślał nad słowami swego zwierzchnika. Wyglądało na to, że Lienartowi marzył się nie tylko tron Piotrowy, ale również władza absolutna.

Doszedłszy do tego wniosku, Mahoney w całkiem niezłym nastroju zasiadł do biurka, by zatelefonować najpierw do przebywającego w Casino degli Spiriti brata Alvarado.

- Dzień dobry, pani Müller. Tu biskup Mahoney.

- Dzień dobry, ekscelencjo.

- Chciałbym mówić z ojcem Alvarado.

- Tylko że. . on się teraz modli i nie wiem, czy mogę mu przerywać...

- Zdecydowanie powinna pani. To ważne - uciał Mahoney.

- Dobrze, ekscelencjo. Już go wołam.

Po jakimś czasie w słuchawce odezwał się głos brata Alvarado.

- *Fructum pro fructo*.

- *Silentium pro silentio*. Są nowe wytyczne od wielkiego mistrza. Jeśli Delmer Wu nie zgodzi się oddać księgi, konieczna będzie akcja w Wiedniu.

- Gdzie jest księga?

- W Hongkongu. Osobiście uważam, że Wu z pewnością nie zechce z nami współpracować, nie po tym, co się stało.

- Kiedy mam jechać?

- Jutro z rana. Wcześniej jednak muszę się z nim rozmówić.

Potem dam znać, jak sprawy stoją. Wielki mistrz przydzielił też kolejne zadanie bratu Corneliusowi. Trzeba śledzić poczynania Afdery Brooks, poprzedniej właścicielki księgi. Zdaje się, że ta lekkomyślna osoba draży temat Ewangelii Judasza, co Jego Eminencja uważa za niekorzystne dla interesów Kościoła.

- Gdzie przebywa obecnie ta kobieta?

- Nie wiemy, ale żeby ją znaleźć, wystarczy chyba obserwować dom niejakiego Vasilisa Kalamatiana, znanego również jako Grek, a zamieszkałego w Genewie, w okolicach Route de Florissant, w wielkim, dobrze strzeżonym domu. Niech brat Cornelius go obserwuje, dopóki nie pojawi się tam panna Brooks. Potem niech nie odstępuje jej na krok. Muszę wiedzieć o każdym jej ruchu.

Gdyby się okazało, że stwarza zagrożenie, zastosujemy odpowiednie środki zapobiegawcze.

- Przekażę wszystko bratu Corneliusowi. I czekam na rozkazy dotyczące Wiednia.

- *Fructum pro fructo*, bracie Alvarado.

- *Silentium pro silentio*, bracie Mahoney.

Teraz należało skontaktować się z panem Wu. Biskup Emery Mahoney nie był może tak biegły w sztuce szantażu jak zawsze opanowany kardynał Lienart, lecz umiał wyrażać się jasno.

Wybrał więc osobisty numer Delmera Wu i odczekał kilka sygnałów. Numer ten znało bardzo nieliczne grono wybrańców, na tyle wpływowych, by mieć bezpośredni telefoniczny dostęp do jednego z najbogatszych ludzi na świecie.

- Tak, słucham. Kto mówi?

Mahoney od razu rozpoznał głos milionera.

- Biskup Emery Mahoney, sekretarz sekretarza stanu kardynała Augusta Lienarta.

- Czego ode mnie chcecie? I skąd znacie ten numer?

- Dla nas nie ma zastrzeżonych numerów, panie Wu.

- Przekaż z łaski swojej temu draniowi, swojemu szefowi, że któregoś dnia spotkamy się twarzą w twarz, a wtedy szanowny kardynał będzie błagał o szybką śmierć. Wet za wet. Uderzyliście w to, co mam najcenniejszego, w moją Claire, więc ja z kolei uderzę w Kościół. Zrobię wszystko, by prawda o księdze Judasza wyszła na jaw i trafiła do opinii publicznej.

- Stanowczo bym to panu odradzał, panie Wu. Nasze ramiona sięgają nadspodziewanie daleko. *Cun finis est licitus etami media sunt licita**.

- Te wasze łacińskie powiedzonka nic wam nie pomogą. Nigdy nie dostaniecie księgi, a jeśli znowu wyciągniecie łapy w moją stronę, mocno się sparzycie.

- To wszystko?

- Nie. Moje gazety, rozgłośnie radiowe i telewizyjne, i wszystkie należące do mnie media nagłośnią sprawę księgi tak, że Kościół się nie pozbiera. Każdego ranka kardynał Lienart będzie znajdował

w prasie nowe rewelacje. Porozmawiam też ze swoimi przyjaciół-

mi w chińskim rządzie o szkodach wynikających z działalności ośrodków katolickich na terenie Chińskiej Republiki Ludowej.

Jeszcze zobaczymy, kto komu zalezie za skórę.

- Doskonale, panie Wu. Przekażę pańskie słowa Jego Eminencji

- rzekł Mahoney.

- Koniecznie. A, i jeszcze jedno. *O miserum te si intelligis, miserum si no intelligis**]*

Rozłączając się, Mahoney miał już pewność, że Delmer Wu nie ustąpi ani na krok. Ponieważ jednak rzecz była do przewidzenia, nie należało zaprzętać tym głowy kardynałowi. Dlatego Mahoney znów sięgnął po słuchawkę i raz jeszcze zadzwonił do Wenecji, by dać ojcu Alvarado sygnał do działania. Tylko w ten sposób mogli wpłynąć na decyzję aroganckiego milionera.

- Daję ci wolną rękę, bracie, ale pamiętaj, że ta dziwka musi pozostać przy życiu, dopóki nie zdobędziemy księgi. Czy to jasne?

- Tak, bracie Mahoney. Jak najbardziej - odrzekł zabójca.

* *Cun finis est licitus etami media sunt licita* (tac.) - Cel uświęca środki.

O miserum te si intelligis, miserum si no intelligis (tac.) -

Nieszczęsnyś, jeśli rozumiesz, nieszczęsnyś, jeśli nie rozumiesz.

Tymczasem w watykańskich ogrodach, z dała od ciekawskich spojrzeń, kardynał Lienart właśnie zaczynał rozmowę na zupełnie inny temat.

- Dobry wieczór, Korybancie.
- Dobry wieczór, eminencjo. Jak mogę pomóc tym razem?
- Wydaje mi się, że popełniliśmy jeden błąd.
- Jaki?
- Chodzi o Foscatiego. Może zacząć mówić.
- Jak go powstrzymać?
- Ten pismak ma pewien czuły punkt. Czyli córkę, Daniellę.

Kto wie, czy nie wystarczy odrobinę nacisnąć od tej strony.

- A jeśli nie?
- Trzeba będzie zaostrzyć środki.
- Co powinienem zrobić z dziewczyną?
- Gdyby na chwilę znikła, jej ojciec dwa razy by się potem zastanawiał nad każdym swoim ruchem. Szczegóły mnie nie interesują. Zostawiam je specjalistom.
- Czy to nie za mocne uderzenie jak na początek? - spytał

Korybant.

- Natury niższe wolą unikać mocnych uderzeń. Natury przeciętne uciekają się do nich pod przymusem. Natury wyższe, do których się zaliczam, bez wahania wykorzystują je do swoich celów. Czekam na efekty, mój drogi Korybancie.

XII

Wiedeń

Grzechotnik uniósł łeb do pozycji obronnej, pokazując przeciwnikowi, że jest gotów do walki, ale ojciec Alvarado miał wprawę w postępowaniu z węzami. Specjalnym hakiem przydu-sił gada do dna terrarium, po czym trzema palcami prawej ręki unieruchomił mu głowę i uniósł go w powietrze. Gad na próżno wystawiał kły pełne jadu.

Alvarado mocno ucisnął wydzielające toksynę gruczoły Duvernoya i przystawił węzowi szklane naczynko, do którego natychmiast zaczęła skapywać zabójcza biaława substancja.

Kiedy uzbierało jej się wystarczająco dużo, wrzucił grzechotnika z powrotem do terrarium.

Potem zatkał naczynko z jadem i schował je do walizeczki lekarskiej, w której znajdował się już biały fartuch i zapas jed-norazowych strzykawek z hipotermicznymi igłami.

Kilka minut później Alvarado wyszedł na ulicę i wsiadł do tram-waju jadącego na skrzyżowanie Sobieskigasse z Löblichgasse. Tarn, w jednym z domów zbudowanych w epoce cesarza Franciszka Józefa, mieściła się siedziba Heinz Sanatorium Institute, gdzie po niedaw-nych przejściach dochodziła do siebie żona Delmera Wu.

Na kompleks szpitalny składały się dwa otynkowane na biało budynki. Alvarado odczekał do siódmej, bo wtedy uwagę ochrony rozpraszała zmiana personelu medycznego.

Wszedł razem z trzema kobietami, z których rozmowy zrozumiał, że są pielęgniarkami. Jedna z nich pozdrowiła go grzecznym:

„Dobry wieczór, doktorze”. Uprzejmie odpowiedział na powitanie i żartując z nimi, jakby je dobrze znał, bez przeszkód pokonał

bramki.

Następnie zamknął się łazience, na której drzwiach wywiesił

tabliczkę z napisem: „Nieczynne”. Otworzył walizeczkę, ubrał się w biały fartuch, wyjął naczynko z jadem i napełnił toksyną jedną ze strzykawek. Teraz pozostawało już tylko ustalić, na którym piętrze kliniki leży Claire Wu.

Wrócił na korytarz i skierował się do rejestracji. Jako że była to pora wieczornego posiłku, w pomieszczeniu z kartami pacjentów nie zastał nikogo.

Nie ulegało wątpliwości, że ze względów bezpieczeństwa żona Delmera Wu występuje pod przybranym nazwiskiem i Alvarado nie wiedział, pod jakim. Mógł się kierować datami przyjęcia do kliniki, ale i tę informację łatwo było sfalszować. Dane specjalnych pacjentów trzymano w zamykanej na klucz kartotece na piętrze, w gabinecie dyrekcji. Alvarado spokojnie wyszedł z

rejestracji i pojechał windą na górę. Dalej poprowadziły go precyzyjnie opisane strzałki.

Na końcu jednego z korytarzy znajdowały się drzwi z tabliczką głoszącą: „Dyrekcja”. Alvarado pchnął je, ale nie ustąpiły. Zaraz potem usłyszał za plecami głos wyjaśniający, że o tak późnej porze w środku nikogo już nie ma. To była sprzątaczką.

- Pilnie potrzebuję danych pacjentki, którą mam się zająć jutro wcześniej rano. Jej karta przechowywana jest tu, w gabinecie.

- Rozmawiał pan z ochroną? Oni mają wszystkie klucze -

odrzekła kobieta.

Alvarado obrzucił szybkim spojrzeniem cały ich pęk wiszący u jej pasa.

- A może pani by mi pomogła? Jeśli dyrektor się dowie, że zgu biłem kopię karty pacjentki, będę miał kłopoty.

Kobieta wahała się przez moment, ale biały fartuch doktora wzbudzał szacunek, toteż w końcu, sprawdzwszy, czy nikt jej nie widzi, sięgnęła po klucze i znalazła właściwy.

Gdy drzwi do gabinetu stanęły otworem, Alvarado podziękował sprzątaczkę i powiedział:

- Wolałbym, żeby została pani na zewnątrz, na straży. Poza tym gdyby ktoś nas zobaczył, wezmę całą winę na siebie, żeby nie straciła pani przez mnie posady.

To mówiąc, wszedł do środka i zręcznie zablokował drzwi nogą, na wypadek gdyby kobieta się upierała, ona jednak szepnęła tylko:

- Dobrze, doktorze, poczekam tutaj, a jak pan wyjdzie, poza mykam.

Ojciec Alvarado szybko znalazł szafkę z kartoteką. Wytrychem otworzył zamek i ujrzał szereg czerwonych, nieopisanych żadnymi nazwiskami teczek. Musiał je po kolei przejrzeć.

Ósma dotyczyła niejakiej „pani X”, więc uznał, że właśnie tej szukał. Żeby się wszakże upewnić, zaczął czytać: „Pacjentka ma głębokie rany cięte na policzkach, czole i piersiach oraz uszkodzoną skórę na pośladkach. Ponadto została ciężko pobita, a jej wagina i odbyt noszą ślady brutalnego gwałtu”.

Nie ulegało wątpliwości, że była to robota brata Pontiusa, zawsze nieco nadgorliwego, gdy przychodziło do tortur. Pod raportem podpisał się chirurg plastyczny, doktor Eisberg. Dalej wyszczególnione zostały zabiegi, którym poddano pacjentkę, oraz dawki podawanych jej leków. U góry znajdowała się adnotacja:

„313-A”. Brat Pontius już wiedział, gdzie szukać swojej ofiary.

Odstawił teczkę na miejsce i zatrzasnął szafkę, po czym opu-

ścił gabinet, a upewniwszy się, że sprzątaczką zamknęła drzwi, skierował się ku windom.

Dotarłszy na trzecie piętro, przeszedł do sektora A i ostrożnie wyjrzał zza ściany. Przed pokojem numer 313 siedział na krześle mężczyzna. Delmer Wu, człowiek przezorny, wynajął do ochrony małżonki uzbrojonego strażnika. Ojciec Alvarado poczuł irytację, bo to oznaczało, że aby dostać się do Claire, trzeba będzie zlikwidować niespodziewaną przeszkodę. Jednakże lata spędzone w służbie Kręgu nauczyły go improwizować.

Przez chwilę przyglądał się widocznym obok drzwiom do składziku ze środkami czystości. Wszedł tam, nie zapalając światła, i zrzucił na podłogę jedno z pudeł, by przyciągnąć uwagę mężczyzny. Potem przycisnął się za metalowym regałem.

Zgodnie z przewidywaniami strażnik zainteresował się przyczyną hałasu. Zajrzał do składziku, trzymając w pogotowiu pałkę, ale zanim się spostrzegł, ojciec Alvarado zarzucił mu na szyję drucianą pętlę, którą zacisnął tak mocno, że nieszczęśnik nie zdołał nawet zipnąć.

Zabójca usadził ciało na dawnym miejscu, opierając głowę zmarłego o ścianę i kładąc mu na twarzy otwartą gazetę, tak by wyglądało, że ochroniarz się zdrzemnął. Potem sprawdził, czy nikt go nie widział, i wślizgnął się do pokoju. Tam, podłą-

czona do kroplówki, leżała na łóżku zabandażowana kobieta.

Ojciec Alvarado zamknął za sobą drzwi i wyjął z kieszeni far-tucha strzykawkę z jadem, który następnie wstrzyknął do rurki wprowadzającej surowicę do krwioobiegu chorej. Trucizna już wkrótce miała zacząć działać.

Po wykonaniu tej operacji ojciec Alvarado opuścił klinikę przez bramę dostawczą. Znalazłszy się na ulicy, zdjął fartuch i wyrzucił

go do śmietnika. Strzykawkę z resztką toksyny zabrał ze sobą - nie należało dawać lekarzom wskazówek co do antidotum mogącego uratować pani Wu życie, dopóki jej mąż odmawiał wydania księgi Judasza kardynałowi Lienartowi.

Przez następne kilka dnia wiedeńska policja prowadziła śledztwo w sprawie zaskakującego morderstwa popełnionego na strażniku w Heinz Sanatorium Institute. Tymczasem stan pani Wu gwałtownie się pogorszył. Żona milionera była już tylko cieniem dawnej siebie. Cierpiała straszliwe bóle, którym towarzyszyły stany zapalne i obrzęki w różnych partiach ciała. W jej prawe ramię, do którego podłączona była kroplówka, wdała się gangrena.

Lekarze nie potrafili tego wyjaśnić i powiadomili o wszystkim Delmera Wu.

- Nie wiemy, co się dzieje - oświadczył doktor Eisberg. -

System immunologiczny pańskiej żony zwariował. Jej organizm wytwarza nadmiar enzymów cytolitycznych odpowiedzialnych za rozkład białek i zwiększających przy okazji przepuszczalność ścianek naczyń krwionośnych, co powoduje wysięki i utrudnia krążenie, wywołując obumieranie

tkanek, a następnie gangrenę.

Jeśli szybko nie ustalimy, jaka trucizna jest tego przyczyną, i nie znajdziemy antidotum, będzie niedobrze.

- Co można zrobić, żeby Claire nie cierpiała?

- Podajemy jej środki przeciwbólowe.

- Ile zostało czasu?

- Trudno powiedzieć. Zdołaliśmy opanować dręczące panią Wu bóle głowy, mdłości, wymioty i biegunkę, kontrolujemy też ciśnienie, które zaczęło niepokojąco spadać, ale jesteśmy bezradni, jeśli chodzi o prawe ramię. Jak już mówiłem, podana pań-

skiej żonie toksyna powoduje obumieranie komórek i zsinienie kończyny. Jedyne, co możemy zrobić, to amputować tę rękę, by powstrzymać postępy gangreny. Do tego potrzebujemy jednak pańskiej zgody.

- A jeśli jej nie dam?

- W takim wypadku to kwestia dwóch, trzech dni. Choć jeśli nie znajdziemy antidotum, nawet amputacja niewiele pomoże.

- Zgoda. Zróbcie to. Amputujcie Claire ramię. Ja się zajmę antidotum.

Watykan

Późnym wieczorem pogrążonego już we śnie biskupa Mahoneya obudził dzwonek telefonu.

- Tak, słucham? - wymruczał półprzytomny Mahoney.

- Mówi Delmer Wu. Proszę natychmiast przekazać kardynałowi Lienartowi, że się zgadzam. Oddam księgę Judasza w zamian za antidotum na truciznę, która zabija moją żonę.

- Dobrze, przekażę.

- Proszę też dodać, że jeśli moja żona tymczasem umrze, nasza umowa automatycznie ulegnie rozwiązaniu, a ja będę miał wolną rękę, żeby się mścić. Niech kardynał o tym nie zapomina.

- Najokrutniejsza zemsta to pogarda dla zemsty, drogi panie Wu.

- Te mądrości proszę zachować dla kogoś innego. Chwilowo skupię się na zdrowiu żony, ale niewykluczone, że pewnego dnia spotkam się z kardynałem albo z którymś z jego wysłanników i lepiej, by mieli się wtedy na baczności. Księgę oddam, jak dostaniemy antidotum. Proszę je dostarczyć doktorowi Elsbergowi z wiedeńskiego Heinz Sanatorium Institute. Adresu chyba nie muszę podawać, prawda?

- Drogi przyjacielu, człowiek żądny zemsty nie pozwala zasklepić się ranom. Dam panu radę. Mścić się na słabszym to podłość, mścić się na równym sobie to ryzyko, mścić się na silniejszym to szaleństwo. Niech pan to przemyśli, zanim kiedykolwiek poczyni pan kroki skierowane przeciwko kardynałowi - powiedział

Mahoney.

- Zemsta pomaga pogodzić się z losem. A charakter człowieka szczególnie wyraźnie uwidacznia się wtedy, gdy poniesie on wyjątkowo dotkliwą stratę. W takich wypadkach milczenie staje się współudziałem w zbrodni, a do tego nigdy się nie zniżę, zapewniam. Antidotum ma się jak najszybciej znaleźć w Wiedniu. Wtedy przez specjalnego wysłannika prześlę księgę Judasza do Watykanu

- oświadczył Wu i odłożył słuchawkę.

Taktyka kardynała Lienarta przynosiła rezultaty. „Atakować trzeba szybko i efektywnie, żeby nie dać przeciwnikowi czasu na otrząśnięcie się i podjęcie przeciwdziałań” - rzekł przy jakiejś okazji sekretarz stanu i najwyraźniej miał rację. Ostatecznie nikt tak jak on nie znał się na technikach ataku.

Owego poranka przejawiał nadzwyczajne ożywienie. Kiedy Mahoney wkroczył do zajmowanego przezeń gabinetu, zwierzchnik akurat zaśmiewał się z czegoś razem z kardynałem kamerlingiem Guevara i kardynałem Dandim, szefem Jednostki. Wkrótce potem tamci dwaj opuścili gabinet, a Lienart poprosił swego sekretarza o zajęcie miejsca na sofie.

- Witam, eminencjo. - Mahoney skłonił się i ucałował pierścień ze skrzydlatym smokiem.

- Witam, witam. Jak się spało?

- Doskonale, eminencjo, dziękuję. Przychodzę z wieściami od naszego przyjaciela z Hongkongu.

- Od mojego drogiego Wu?! Co tam u niego?

- Zadzwonił, aby powiedzieć, że postanowił podarować księgę Judasza Watykanowi. Przyśle ją przez specjalnego posłańca.

- Bardzo mnie to cieszy, kochany bracie. Widzę, że posłuchałeś mnie w kwestii brania spraw w swoje ręce. Byle tak dalej, a świetna przyszłość cię nie minie. Czego nasz pan Wu chciał

w zamian?

- Tylko lekarstwa dla swojej żony, która ostatnio jakoś marnie się czuje...

- A, dla tej uroczej Claire. Młodość i uroda to też rodzaje choroby, czyż nie, bracie Mahoney? A najlepszym na nie lekarstwem jest czas.

- Owszem, eminencjo. Kazałem bratu Alvarado dostarczyć antidotum wskazanemu przez Delmera Wu lekarzowi. Zdaje się, że pani Wu straciła prawą rękę, w którą wdała się gangrena. Pan Wu

najwyraźniej woli żonę pokrojoną od nieżywej.

- Jakimż zadziwiającym darem od Boga jest miłość! Kochać to przedkładać ukochaną osobę nad wszystko w świecie, być gotowym do złożenia jej w ofierze każdej rzeczy, jaką się ma do dyspozycji, łącznie z własnym życiem. Takim właśnie uczuciem pan Wu musi chyba obdarzać swoją piękną, choć niekompletną małżonkę.

Prawda?

- Prawda, eminencjo,

- Trzeba zadbać, by pani Wu otrzymała antidotum na czas.

Jej śmierć nie leży w niczyim interesie. Lepiej mieć w Delmerze Wu nieprzyjaciela rozłożonego na łopatki i związanego obawą niż wolnego od strachu i uskrzydłonego żądzą zemsty. W tym drugim wypadku mógłby się okazać niebezpieczny.

- Owszem.

- A co słysząc u naszych braci, Corneliusa i Pontiusa?

- Brat Cornelius przebywa w Genewie, obserwując rezydencję tego Greka, Vasilisa Kalamatiana. Spodziewamy się, że pozwoli nam to wkrótce namierzyć pannę Brooks. Brat Pontius czeka w Wenecji na dalsze polecenia.

- Jak już mówiłem, nie wolno nam teraz popełniać błędów.

Niestety, ten wschodni barbarzyńca, którego zmuszeni jesteśmy tytułować papieżem, uparcie trzyma się życia, w związku z czym perspektywa nowego konklawe nieco się oddała. Tym bardziej należy mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. Liczę na ciebie w tym względzie, bracie. A teraz zostaw mnie samego, muszę parę rzeczy przemyśleć. I nie zapomnij odpowiednio poinstruować brata Alvarado.

- Nie zapomnę, eminencjo. Wszystko będzie dobrze. Nie trzeba się niczym martwić.

- Martwienie się w ogóle nie ma większego sensu. Należy dzia-

łać. Rozwiązywać problemy zdecydowanie, wrywać je z korzeniami.

- Zastanawia mnie tylko, czy rozsądne jest pozostawienie przy życiu Delmera Wu z całą jego wiedzą o rozmaitych rzeczach...

Lienart podszedł do okna, odwracając się do swego sekretarza plecami.

- Z przeszłości zachowujmy wyłącznie dobre wspomnienia, bracie Mahoney, teraźniejszość przeżywajmy najpełniej, jak się da, a przyszłość zostawmy w rękach Boga. On jeden jest panem naszego przeznaczenia. Jemu więc powierzmy losy pana Wu, który z pewnością otrzyma *to*, na co zasłużył. Anioł pomsty bez wątpienia zjawi się w porę. A teraz zamknij za sobą drzwi, bracie.

Emery Mahoney wpatrywał się jeszcze przez chwilę w odci-nającą się na tle okna sylwetkę kardynała, po czym usłuchał

rozkazu, nie bardzo rozumiejąc, o jakim „aniele pomsty” mówił

jego zwierzchnik.

Następnego ranka pod Bramą Świętej Anny stanął pewien wyglądający na Azjatę mężczyzna, który oświadczył, że ma paczkę dla biskupa Mahoneya.

- Rozumiem, proszę pana - odrzekł gwardzista - ale ze wzglę dów bezpieczeństwa nie wolno nam przyjmować takich przesyłek.

Możemy za to poprosić tu do nas biskupa. Proszę poczekać.

To powiedziawszy, skierował się do budki strażniczej, skąd zadzwonił do Sekretariatu Stanu.

- Witam, tu Darre spod Świętej Anny. Jest tu pewien mężczyzna, z wyglądu Azjata, z paczką dla biskupa Mahoneya. Co mam zrobić?

- Proszę mu przekazać, żeby poczekał. Już schodzę - polecił

Mahoney, gdy zawołano go do aparatu.

Kiedy pojawił się pod bramą, pilnujący jej gwardzista stanął

na baczność.

- Gdzie ten człowiek?

- Nie wiem, ekscelencjo. Jeszcze przed chwilą tu był, a kiedy odszedłem, by powiadomić ekscelencję, zniknął. Znalazłem tę paczkę opartą o mur. Obawiam się ją otworzyć - wyjaśnił gwardzista.

Mahoney od razu zrozumiał, co jest w środku.

- Wszystko w porządku. Ja się nią zajmę. Zabiorę ją na górę.

- Może lepiej, żebyśmy najpierw sprawdzili jej zawartość, ekscelencjo?

- Gdyby to była bomba, już by wybuchła.

- Nie wiadomo, ekscelencjo. Istnieją przecież bomby z opóz-

nionym zapłonem.

- Bóg nas ochroni. Proszę dać mi tę paczkę - rozkazał Mahoney swemu zdezorientowanemu rozmówcy.

Wróciwszy do siebie, wyjął z szuflady nożyczki i rozciął szary papier, w który owinięta była przesyłka. Gdy go zdjął, jego oczom ukazały się papirusowe karty zapisane spiczastymi, bez wątpienia koptyjskimi literami.

Oto wreszcie księga Judasza Iskarioty trafiła tam, gdzie powinna, by raz na zawsze zostać zapomniana dla dobra Kościoła, Ojca Świętego i Stolicy Apostolskiej. Usiłując opanować podniecenie, Mahoney podniósł słuchawkę i wykręcił bezpośredni numer do Jego Eminencji kardynała Lienarta.

Po kilku tonach po drugiej stronie linii rozległ się głos sekretarza stanu.

- Tak, słucham.

- Eminencjo, tu Mahoney.

- O co chodzi?

- Pragnę poinformować że, że heretycka księga znajduje sie w naszych rękach. Mamy ją, eminencjo! Co powinienem z nią zrobić?

- Schowaj ją do sejf, bracie, i dopóki nie wydam dalszych rozporządzeń, strzeż jej jak oka w głowie. Nikt nie może się o niej dowiedzieć, czy to jasne?

- Jasne, eminencjo.

- W takim razie do usłyszenia.

- Do usłyszenia, eminencjo.

- Oczekujemy powrotu Ojca Świętego z Castel Gandolfo.

Usiłuję przekonać papieża, żeby zrezygnował z odwiedzin u tego całego Agcy w więzieniu, ale najwyraźniej wizja wybaczenia niedoszłemu zabójcy na oczach kamer telewizyjnych jest zbyt kusząca. Kogo ten człowiek chce oszukać? Przecież wybaczyć to nie znaczy zapomnieć.

Genewa

Afdera wysiadła z taksówki przed imponującą bramą rezydencji Kalamatiana. Nie zauważyła, że z zaparkowanego nieopodal samochodu ktoś uważnie jej się przygląda. Spokojnie nacisnęła dzwonek domofonu, a słysząc lekkie brzęczenie, pchnęła furtkę i ujrzała przed sobą w oddali wychylający się spośród drzew dach głównego budynku, otoczonego polem golfowym, za którym wznosiły się dwa dodatkowe domy dla gości.

Przy końcu zwirowej ścieżki wiodącej do drzwi wejściowych czekał służący.

- Dzień dobry, panno Brooks.

- Dzień dobry - odpowiedziała Afdera.

- Pan Kalamatiano oczekuje pani w dużym salonie. Proszę za mną.

W salonie oprócz Kalamatiana znajdował się też Colaiani.

- Państwo już się chyba znają - rzucił Grek.

- Owszem - przyznała Afdera. - Choć niekoniecznie z najlepszej strony.

- Wiem, co sobie pani myśli, panno Brooks. Muszę pani powiedzieć, że nasz profesor to wyjątkowa gnida, owszem, ale jest obeznany ze średniowieczem jak mało kto. Dlatego bardzo go potrzebujemy.

Podczas gdy służący podawał kawę i wschodnie słodycze, Afdera wydobyła z torby dziennik babki.

- Notuję tu wszystko, czego się dowiem. Dzięki temu, gdyby coś mi się stało, kto inny mógłby spokojnie podjąć śledztwo

- oświadczyła, upijając łyk kawy.

- Dlaczego miałyby się pani coś stać? - zdziwił się Colaiani.

- Kilkoro ludzi mniej lub bardziej związanych z Ewangelią Judasza zginęło już w dziwnych okolicznościach. Przy większości z nich znaleziono coś w rodzaju znaku zabójcy, wycięty z materiału ośmiokąt. Do grona ofiar zaliczają się moi rodzice, naukowcy, którzy pracowali przy renowacji i tłumaczeniu księgi, dyrektor Fundacji Helsinga plus kilka osób w Egipcie. Nie ulega wątpliwości, że w pewnym momencie mordercy spróbują się dobrać i do mnie. A także do panów, jeśli odkryją, że usiłujemy odnaleźć dołączony do księgi tekst ucznia Judasza.

- Do mnie? - przeraził się Colaiani.

- Uspokój się, profesorku, i nie piszcz jak zastrachany osesek.

Jeśli któryś z tych łotrów wyciągnie swoje brudne łapy w moją stronę, będę wiedział, jak się z nim rozprawić - mruknął Kalamatiano, pokazując rozmówcom ukryty pod marynarką niewielki pistolet.

-A teraz, droga panno Brooks, proszę nam opowiedzieć, co pani odkryła, żebyśmy mogli wspólnie się zastanowić, co dalej.

- Po spotkaniu z panem, panie Colaiani, usiadłam i zebra-

łam do kupy wszystkie uzyskane wcześniej informacje. Zgodnie z tym, co sam mi pan powiedział, historia listu Eliezera zaczyna się dla nas w Damietcie, 7 czerwca 1249 roku, kiedy to rycerze Ludwika IX zdobywają miasto. W tym momencie list i księga Judasza są jeszcze razem. Potem, po klęsce egipskiej wyprawy, król Ludwik wraz grupą rycerzy, wśród których są też Waregowie, przeprowadza się do Akki. Postanowiłam skupić się na tropie, który mi pan wskazał. Stwierdził pan mianowicie, że Ludwik IX mógł

zdawać sobie sprawę z zagrożenia, jakie stwarza ta księga, i uznać, że dla chrześcijaństwa najlepiej będzie rozdzielić Ewangelię Judasza i dołączyć do niej list Eliezera, bo osobno niosły mniejsze ryzyko. Ponieważ temu z braci de Fratens, któremu podobno powierzono list, towarzyszyć mieli Waregowie, skoncentrowałam się na ich podróży z Akki do Antiochii, a potem do Pireusu. Poza tym zainteresował mnie ten cały Wodny Labirynt albo inaczej Miasto Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników, którego nie udało się panom zidentyfikować...

- A pani się udało?

- Tak. To, oczywiście, Wenecja.

- Skąd ta pewność? - spytał Kalamatiano.

- Stąd, że przypomniałam sobie opowieści mojej babki i jej przyjaciółek z Ghetto Vecchio, szczególnie signory Levi, która pokazała mi kiedyś tak zwany Podwórzec Sekretu, tłumacząc, że według legendy, aby się na niego dostać, trzeba pokonać siedem bram z wyrytymi u góry imionami siedmiu *shedin*, czyli diabłów nazywających się: Sam Ha, Mawet, Ashmo-dai, Shibbeta, Ruah, Kardeyakos i Nà Amah. I uświadomiłam sobie, że tych siedmiu diabłów to przecież siedmiu strażników labiryntu.

- Nadal nie bardzo rozumiem oczywistość związku Wodnego Labiryntu z Wenecją.

- Imiona tych *shedin* mają związek z kabałą. Od mojej siostry Assai dowiedziałam się, że w przechowywanym w Pałacu Dożów dziele zatytułowanym „Hypnerotomachia Poliphili” pojawia się wzmianka o jakimś labiryncie. I rzeczywiście, jest tam bardzo ciekawy rysunek przedstawiający wodny labirynt poprzecinany dzi-wacznymi, prowadzącymi donikąd mostami. Labirynt ów znajduje się w obrębie grubych murów z siedmioma wiodącymi do środka bramami. Po jego kanałach pływają łódki.

Twarze Kalamatiana i Colaianiego nadal wyrażały scepty-cyzm.

- Pewien badacz „Hypnerotomachii”, nazywany Apostołem Zenonem, ogłosił w 1723 roku, że odnalazł oryginał tego dzieła, jeden z egzemplarzy wydrukowanych w 1499 roku przez Manuzia. W tymże oryginale znalazła się podobno odręczna notatka po łacinie, datowana na 1521 rok i głosząca, że praw dziwym autorem „Hypnerotomachii” był dominikanin Francesco Colonna z Wenecji. Colonna, wybitny znawca kabały, opierał się na niej, pisząc swoją książkę, i dlatego nazwał rodzinne miasto Wodnym Labiryntem. Bo tym właśnie mianem określali Wenecję już kabaliści z Safed. Tak oto wszystkie tropy zbiegają się w jednym miejscu.

- A o co chodzi z tymi siedmioma bramami i siedmioma straż-

nikami? - spytał Colaiani.

- Już wyjaśniam. Miastem Siedmiu Bram nazywali Wenecję Arabowie i od nich zapożyczył ten koncept Colonna. Z każdą z bram wiązała się konkretna symbolika. Każda miała swoją nazwę, była więc Brama Przygody, Brama Morza, Brama Wschodnia, Brama Złota, Brama Miłości, Brama

Kolorów i Brama Podróży.

W sumie siedem. Przy czym należy pamiętać, że do prawdziwej Wenecji nigdy nie prowadziło takich siedem bram. Moja siostra wyszukała w archiwach biblioteki Świętego Marka informacje na temat ich domniemanego usytuowania na terenie dzisiejszego miasta. Brama Przygody znajdowałyby się więc gdzieś na wschód od Cannaregio i na zachód od Castello; Brama Morza - mniej więcej tam, gdzie Arsenale; Brama Wschodnia - na zachód od Cannaregio, może gdzieś w Ghetto Vecchio; Brama Złota -

w obecnej dzielnicy Świętego Marka; Brama Miłości - na wschód od San Paolo i Santa Croce; Brama Kolorów - w Dorsoduro albo w środkowej części wyspy Giudecca; a Brama Podróży

- w okolicach San Lazzaro degli Armeni, San Servolo lub San Francesco del Deserto, czyli w okolicy, z której krzyżowcy biorący udział w czwartej krucjacie wypływali do Ziemi Świętej.

A teraz, skoro mamy już zlokalizowany Wodny Labirynt alias Miasto Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników, możemy się zająć rozszyfrowaniem wskazówek zawartych w runicznej inskrypcji widniejącej na grzbiecie lwa sprzed Arsenale.

- Co mówi ta inskrypcja? - spytał Colaiani.

- „W bramie morza Zara krążyć będzie wokół labiryntu, lew zaś strzeże rycerza i jego sekretu. Znajdź gwiazdę, która oświetla tron kościoła, a zaprowadzi cię ona do grobu prawdziwego”.

- Jeśli dobrze zrozumiałem to, co pani przed chwilą mówi-

ła, Brama Morza miałyby się znajdować w rejonie Arsenale.

Czyli gdzieś tam trzeba by szukać jakichś śladów. Skoro labirynt to Wenecja, lew strzegący rycerza i jego sekretu musi być tym sprzed Arsenale. Najbardziej interesujące wydaje się kolejne zdanie - ciągnął mediewista, zapalając fajkę. - „Znajdź gwiazdę, która oświetla tron kościoła, a zaprowadzi cię ona do grobu prawdziwego”.

- Może chodzi o którąś z gwiazd na niebie. Ostatecznie wyko-rzystywano je kiedyś do określania położenia, jak dziś południki i równoleżniki - zauważył Kalamatiano.

- Nie sądzę - odparł Colaiani. - Do końca osiemnastego wieku ludzie wciąż gubili się na morzu, ponieważ orientowali się jedynie w przybliżeniu. Pierwsze mapy intuicyjnie obejmujące duże fragmenty globu pochodzą z czasów Kolumba, czyli z epoki, która nastąpiła po 1492 roku. Pierwszy oficjalny południk wyzna-czono prawie w tym samym okresie, a pierwszy przedstawiciel zachodniej myśli mający wstępną wizję tego, co dziś rozumiemy przez kartografię, to florentczyk Paolo del Pozzo Toscanelli, jeden z typowych ludzi renesansu, którzy znali się tak na geografii, jak na astronomii i medycynie, żyjący między 1397 a 1482 rokiem.

- A może w tym zdaniu mowa o Rzymie? - rzucił Grek. -

Wyrażenie „tron kościoła” nasuwa od razu skojarzenia z Watykanem.

- Raczej nie o to chodzi - odrzekła Afdera. - Jestem pewna, że chodzi o kościół w znaczeniu budynku, o tron w jakiejś świątyni, w której zostawili wyrytą wiadomość Waregowie towarzyszący jednemu z braci de Fratens podczas powrotu z Ziemi Świętej.

A całość inskrypcji runicznej z grzbietu lwa sprzed Arsenale wskazywałaby na to, że owa świątynia powinna znajdować się w Wenecji.

- Tak pani sądzi?

- Wszystkie tropy prowadzą do Wenecji: Wodny Labirynt, Miasto Siedmiu Bram i Siedmiu Strażników, zasłyszana przeze mnie w dzieciństwie legenda o krzyżowcu i jego śmierci w zaułku Morosiniego, pochodzący z Pireusu lew sprzed Arsenale. . Musimy się zastanowić, gdzie w Wenecji był lub jest jakiś tron...

- Może w bazylice Świętego Marka? - podsunął Kalamatiano.

- Nie. Zresztą święty Marek nie miał wiele wspólnego z władzą, więc chyba nie wchodzi w grę.

- Więc co zrobimy?

- Pozwolą panowie, że zadzwonię do siostry. Assai to prawdziwy ekspert, gdy chodzi o historię naszego miasta. Na pewno nam coś podpowie.

- Dobrze, spróbujmy. Nie mamy nic do stracenia - zgodził się Grek.

Afdera wstała od stołu, na którym stosami zalegały książki, rękopisy i plany, i podeszła do telefonu.

- Halo?

To była Rosa.

- Roso, muszę pilnie porozmawiać z Assai. A przy okazji, jak się miewa Sam?

- Dzień dobry, panienko Afdero. Pan Sampson czuje się doskonale, bardzo dbamy o niego z panienką Assai. Niedługo całkiem wyzdrowieje. A wtedy będziemy mieli w Ca' d'Oro ślub!

- Wiem, Roso. Już niedługo. A teraz poproś moją siostrę.

- Cześć, gdzie jesteś? - odezwała się po chwili Assai.

- W Genewie, u Vasilisa Kalamatiano, z profesorem Leonardem Colaianim.

- U tego Greka, który znał babcię? Ze słynnym mediewistą?

W czym wam mogę pomóc?

- Potrzebujemy pewnej informacji na temat Wenecji. Bardzo na ciebie liczymy.

- Dobrze, w czym mogę pomóc?

- Pamiętasz te runy wyryte na grzbiecie lwa sprzed Arsenale?

Udało się je odczytać. Profesorka Gudrun Stromnes z Norwegii ustaliła, że ten tekst w przekładzie brzmi mniej więcej tak: „W bramie morza Zara krążyć będzie wokół labiryntu, lew zaś strzeże rycerza i jego sekretu. Znajdź gwiazdę, która oświeca tron kościoła, a zaprowadzi cię ona do grobu prawdziwego”.

- I na czym polega problem?

- Musimy wiedzieć, czy w Wenecji jest jakiś tron albo coś podobnego.

- Tron? W kościele?

- Tak. Coś w tym stylu. Coś, co byłoby ważne dla Kościoła katolickiego.

-Poczekaj, niech pomyślę... Może chodzi o tron Piotra -

oświadczyła Assai.

- Tron Piotra?

- Tak. Z bazyliki San Pietro, wiesz, tej na wyspie San Pietro di Castello. Ów tron służył podobno uważanemu za pierwszego papieża świętemu Piotrowi w czasach, gdy ten przebywał

w Antiochii. Jest z marmuru i artystycznie nie przedstawia sobą większej wartości. Ale spełnia twoje warunki.

- A skąd się wziął w Wenecji?

- Dokładnie nie wiadomo. Mówi się, że przywieźli go jacyś krzyżowcy, nie chcąc, by wpadł w ręce muzułmanów. W 637

roku Bizancjum utraciło Antiochię na rzecz Arabów. Odzyskał

ją dopiero cesarz Nicefor II Fokas. W 1085 roku miasto zdobyli Turcy Seldżuccy, a w 1098 - krzyżowcy biorący udział w pierwszej krucjacie, którzy uczynili Antiochię stolicą księstwa o tej samej nazwie. Taki stan trwał przez cały wiek dwunasty i dużą część trzynastego, aż w 1268 roku wkroczył na te tereny mamelucki sułtan Egiptu Bajbars i okrutnie złupił Antiochię, na zawsze odbierając jej dawne znaczenie.

- Myślisz, że tymi krzyżowcami, którzy przewieźli tron Piotra do Wenecji, mogli być Waregowie jednego z naszych braci de Fratens? - spytała Afdera.

- Czemu nie? To by się nawet zgadzało.

-Assai jesteś po prostu niezastąpiona. Gdy tylko wrócę do Wenecji, przyjrzymy się temu tronowi i zobaczymy, czy nie kryje się tam przypadkiem jakaś tajemnica. Zadzwoń jeszcze.

Pozdrów Sama.

-Wszystko słyszeliśmy. To brzmi przekonująco - rzekł

Kalamatiano, uprzedzając wyjaśnienia Afdery, gdy ta odłożyła słuchawkę. - W tym rękopisie - ciągnął, pokazując swoim rozmówcom piętnastowieczny kodeks - jest mowa o katedrze Piotra w Antiochii. Święty Piotr, wybrany przez Chrystusa na „opokę”

Kościół, zaczął nauczanie w Jerozolimie. Według tej księgi jego pierwszą siedzibą był Wieczernik i niewykluczone, że już tam, w miejscu, gdzie modliła się Maryja z uczniami, istniało specjalne siedzisko dla głowy Kościoła. Potem Piotr przeniósł się do Antiochii nad rzeką Orontes.

-Antiochia leżała wówczas w Syrii, a teraz znajduje się w Turcji - wtrącił Colaiani.

- Owszem. Była trzecim co do ważności miastem Imperium Rzymskiego, po Rzymie i egipskiej Aleksandrii. Stanowi niezwykle istotny punkt w dziejach chrześcijaństwa, po pierwsze dlatego że jej pierwszym biskupem był Piotr, po drugie zaś ze względu na fakt, iż właśnie tam wyznawców Chrystusa po raz pierwszy nazwano chrześcijanami. Można by ją określić mianem pierwszego ośrodka misyjnego. Stamtąd Piotr miał się wyprawić do Rzymu, gdzie później poniósł męczeńską śmierć.

- Koniecznie musimy zobaczyć ten jego tron w Wenecji! Może naprowadzi nas to na jakiś nowy trop!
- wykrzyknął Colaiani.

- Proponuję, żebyście wybrali się tam we dwoje - rzekł

Kalamatiano.

- Ja? Z panną Brooks? To chyba nie najlepszy pomysł. Każdy widzi, że nie jestem człowiekiem czynu, i jeśli ktoś nas zaatakuje, będę umiał co najwyżej obrzucić go podręcznikami historii średniowiecza.

- Pańskie zdanie w tej kwestii średnio mnie obchodzi, panie Colaiani. Chce pan mieć udział w glorii, jaka spadnie na odkrywcę listu Eliezera? To będzie pan musiał zamoczyć szanowne nogi, a może nawet szanowny tyłek. Pora włożyć w tę sprawę nieco wysiłku. Koniec wyrażania się innymi.

- Po co mam go ze sobą wlec, panie Kalamatiano? - odezwała się Afdera. - Wolę jechać sama, przynajmniej uniknę niańczenia niedołęgów.

- Chwileczkę! Dlaczego rozmawiają państwo tak, jakby mnie tu wcale nie było? - oburzył się mediewista.

- Już nie będziemy. Dostyc dyskusji - uciał Kalamatiano. -Jutro z rana lecicie do Wenecji. Pan, profesorze Colaiani, będzie mnie na bieżąco informował o wszystkim.

- Czyżby mi pan nie ufał? - spytała Afdera.

- Moja droga, zaufanie to zbytek, na który niewielu może sobie pozwolić. A my jeszcze niezbyt dobrze się znamy. Dlatego pan Colaiani pojedzie z panią. Jeśli nie przyda się pani w roli źródła wiedzy, proszę go wykorzystać jako chłopca na posyłki.

- Zaufanie to sztuka, a nie wszyscy jesteśmy artystami.

Rozumiem. Nie pozwolę jednak, żeby ktokolwiek się wtrącał

w moje poczynania. Czy to jasne?

- Jak słońce, panno Brooks. Noc spędzą państwo u mnie, w jednym z domów dla gości. Już kazałem George'owi przygotować pokoje. Jutro rano mój szofer zawiezie was na lotnisko.

Czekam na wieści z Wodnego Labiryntu.

- Proszę się nie martwić, panie Kalamtiano. Jeśli tylko nie dopadną nas zabójcy od ośmiokątów, już wkrótce się odezwiemy.

Hongkong

Ritz Carlton miał wszystko, czego wymaga się od hotelu wysokiej klasy: doskonałą lokalizację, świetne spa i wspaniałą obsługę. Po zimnym prysznicu, długim masażu i śniadaniu złożonym z żytniego chleba, mocnej kawy i świeżo wyciskanego soku z pomarańczy Archanioł wyjął z szafy szary prążkowany garnitur z lekkiej wełny uszyty na miarę przez znajomego krawca z Savile Row, a także czarne sznurowane buty marki John Lobb, niebieską oksfordzką koszulę z bawełny i krawat Marinelli, błę-

kitny w białe grochy.

Starannie się uczesał i ubrał. Musiał jeszcze przygotować broń.

Oparł o łóżko półautomatyczny rosyjski karabin SVD Dragunow na naboje kaliber 7,62 x54R. Jego ciężar nie przekraczał czterech i pół kilograma i miał trochę ponad metr długości, toteż łatwo go było schować do pokrowca na kije golfowe.

Archanioł od kilku dni szukał najlepszego miejsca do przeprowadzenia akcji. Właśnie ze względu na owo specyficzne miejsce musiał użyć szczególnych pocisków, zdecydował się więc na penetrator HS 9,6g, wzmacniany stalą oraz stopem wolframu i ołowiu. Tego rodzaju amunicji używano jedynie w krajach Układu Warszawskiego - stąd pomysł, by posłużyć się zawsze skutecznym dragunowem.

Po złożeniu karabinu Archanioł zamontował jeszcze na lufie wojskową lunetę Schmidt & Bender 3-12x58 ze swoim ulu-bionym krzyżem MIL-DOT pozwalającym bardzo precyzyjnie nanosić poprawki na odległość i znios. Zakończywszy przygotowania, załadował broń, nałożył na lufę okrągłą drewnianą nasadkę i schował karabin do pokrowca, kolbą do dołu, razem z kilkoma kijami do golfa.

Zanim wyszedł z pokoju, ustawił pokrowiec przy szafie, by sprawdzić, czy dragunow został dobrze zamaskowany. Nawet z niewielkiej odległości wyglądał jak niewinny ekwipunek golfiarza. Sam Archanioł z kolei do złudzenia przypominał zmęczonego trudnym tygodniem menedżera żądającego relaksu na polu golfowym.

Dzień był szary i pochmurny. Jeśli zacznie padać, będę musiał zmienić strategię, pomyślał zabójca, spoglądając na niebo.

Od Spring Garden Lane dzieliły hotel ponad dwa kilometry.

Torba z karabinem w środku ważyła prawie dwadzieścia kilogramów, należało więc iść spacerkiem, żeby się nie spocić, co mogło-by wzbudzić podejrzenia ochroniarzy w Hopewell Building.

Pozytywne było to, że w Hongkongu, gdzie co drugi mieszkaniec uprawiał golf, elegancko ubrany mężczyzna z pełną kijów golfowych torbą na plecach wyglądał najnaturalniej w świecie.

Czterdzieści minut później Archanioł ujrzał przed sobą dwa górujące na okolicę wieżowce: pięćdziesięcioczeropiętrowy Wu Tower oraz sześćdziesięciopiętrowy Hopewell Building. W obu mieściły się klimatyzowane biura wielkich korporacji.

Tuż przed dwunastą przed wejściem do Hopewell Building pojawiła się grupa biznesmenów. Archanioł wmieszał się między nich i już po chwili prowadził z jednym ożywioną konwersację na temat golfa.

Ta szczęśliwa okoliczność pomogła mu bez przeszkód minąć ochroniarzy.

- Na które piętro pan jedzie? - spytał Archanioła zapalony miłośnik golfa:

- Na pięćdziesiąte czwarte.

- Do Sheffield & Bros?

- Tak, mam tam spotkanie.

- Jeśli trafi się panu okazja, proszę pozdrowić Johna Catwella, szefa działu inwestycji.

- Oczywiście - odrzekł Archanioł, który nie miał zielonego pojęcia o firmach zajmujących kolejne piętra wieżowca.

Mechaniczny głos płynący z niewielkiego głośnika obwieścił, że winda dotarła na miejsce. Wyszedszy, Archanioł skierował

się ku schodom awaryjnym. Miał jeszcze sześć pięter do pokonania.

Gdy wspinał się na ostatnie, przyłożył palce do szyi, by sprawdzić sobie puls. Spacer z hotelu, a przede wszystkim odbyta chwilę wcześniej wspinaczka sprawiły, że oddychał w przyspieszonym

rytmie. Jeśli nie chciał spuszczać, musiał odpocząć.

Na sześćdziesiątym pięttrze najwyraźniej mieściło się kiedyś biuro architektoniczne. Po podłodze wciąż walały się jakieś plany. Z zewnątrz nie dało się zajrzeć do środka - uniemożliwiały to przyciemniane szyby sprzyjające zamiarom Archanioła.

Morderca ustawił torbę na dwójnogu, zamierzając oprzeć na niej karabin przy składaniu się do strzału. Ostrożnie, by nie uszkodzić lunety, wyjął dragunowa, zamontował tłumik i odłożył

broń na ziemię. Potem przysunął sobie stojącą obok drewnianą skrzynię i usiadł, by poczekać na odpowiednią porę.

O zmierzchu kolejno pozapalały się światła w położonej naprzeciwko Wu Tower.

Przez lunetę Archanioł widział luksusowe, zajmowane przez Delmera Wu biuro na pięćdziesiątym czwartym pięttrze. Wstał, podszedł do okna i uchylił wywietrznik, blokując go tak, by się nie zamknął. Celując w obiekt, należało przy okazji wstrzelić się w ten dziesięciocentymetrowy otwór. Od dwójnogu do okna były jakieś cztery metry, do których dochodziło osiemdziesiąt osiem kolejnych dzielących oba budynki.

Z zewnątrz napłynęło wilgotne powietrze. Gdyby się rozpadało, krople mogłyby zmienić tor lotu kuli wystrzelonej z dużej odległości. Ale wyglądało na to, że wszystko się uda.

Po kolejnej półgodzinie Archanioł dostrzegł Delmera Wu, który wkroczył do rześkiego oświetlonego gabinetu w towarzystwie kobiety, która była zapewne jego sekretarką. Milioner zasiadł

do biurka i podniósł słuchawkę telefonu. Zabójca obserwował, jak jego przyszła ofiara gwałtownie gestykuluje i ciska różnymi przedmiotami o ścianę. Chyba nie jesteśmy dziś w najlepszym humorze, pomyślał.

Sekretarka opuściła gabinet. Wu wstał od biurka i skierował

się w stronę okna. Nadeszła właściwa chwila.

Archanioł położył palec na spuście, wypuścił powietrze z płuc, rozluźnił mięśnie i strzelił. Pierwsza kula pomknęła ku celowi z prędkością sześciuset trzydziestu metrów na sekundę, rozbijając szybę kilka centymetrów od głowy Delmera Wu.

Odłamki szkła poraniły twarz i oczy milionera, który upadł, po czym, nie rozumiejąc, co się stało, usiłował się po omacku podnieść. W tym momencie Archanioł wystrzelił ponownie, celując w głowę. Chwilę później krew i mózg Delmera Wu spryskały znajdującą się za nim ścianę.

Archanioł wstał spokojnie, schował karabin między kije golfowe, zebrał łuski po nabojach, zarzucił torbę na ramię i windą towarową zjechał na poziom minus cztery, gdzie rozładowywano samochody dostawcze. Potem wyszedł z budynku i wtopił się w uliczny tłum.

Idąc Queen's Road East w stronę swego hotelu, słyszał syre-ny policyjnych wozów zmierzających w

stronę Wu Tower. Misja została wykonana.

Watykan

Fructum pro fructo - rzekł ojciec Cornelius.

- *Silentium pro silentio* - odparł Mahoney.

- Śledziłem tęcałą Brooks od chwili, gdy opuściła dom Vasilisa Kalamatiano.

- I czego się dzięki temu dowiedziałeś, bracie?

- Przenocowała u Greka, po czym, następnego ranka, wyjechała stamtąd w towarzystwie mężczyzny, który został przez nas zidentyfikowany jako Leonardo Colaiani, znany mediewista, profesor Uniwersytetu Florenckiego. Razem polecili z Genewy do Wenecji. Nie spuszczam ich z oka. Teraz jestem przed domem tej Brooks, czyli pałacem Ca' d'Oro.

- Coś jeszcze? Bo chyba nie dzwonisz do mnie, żeby przekazać mi tylko tyle, bracie? - zniecierpliwił się Mahoney.

- Od dwóch dni godzinami przesiadują w bibliotece Świętego Marka, w Pałacu Dożów, oraz w archiwum miejskim. Z pewnością coś knują.

- Ale co?

- Nie wiem. Rozmawiałem z jednym z pracowników archiwum, który powiedział, że panna Brooks i profesor interesują się książkami i dokumentami dotyczącymi świętego Piotra.

- Świętego Piotra? Pierwszego papieża?

- Właśnie. Przeglądali na przykład publikację na temat rozmaitych relikwii i innych przedmiotów kultu, które nie wiadomo skąd trafiły do Wenecji. Przede wszystkim chodzi chyba o tak zwany tron Piotra, wciąż znajdujący się w jednym z weneckich kościołów.

- Musimy trzymać rękę na pulsie. Obserwuj pannę Brooks, bracie, jednak nic na własną rękę. Czy to jasne?

- Tak. A co z tym Grekiem?

- Może należałoby mu złożyć wizytę. Ale na razie pilnuj tej kobiety, bracie, i koniecznie informuj mnie o jej poczynaniach.

- Oczywiście.

- *Fructum pro fructo* - pożegnał się Mahoney.

- *Silentium pro silentio* - odrzekł ojciec Cornelius.

Mahoney siedział chwilę bez ruchu, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Może pannie Brooks nie chodziło już wcale o księgę Judasza? Ta bowiem od wielu dni znajdowała się w jego własnym sejfie. A jeśli Ewangelia Judasza to nie wszystko? Jeśli jest coś jeszcze, co mogłoby zagrozić spokojowi Kościoła? Tak rozmyślając, znowu sięgnął po telefon.

- Słucham?

- Mówi biskup Emery Mahoney, chciałbym rozmawiać z kardynałem sekretarzem stanu.

- Jego Eminencja uczestniczy w spotkaniu. Proszę spróbować później.

- Dobrze.

Po dwóch godzinach ciszę w gabinecie pogrążonego w pracy Mahoneya zakłócił dzwonek telefonu.

- Tu Sekretariat Stanu. Kardynał Lienart przyjmie ekscelencję za dziesięć minut.

- Dziękuję.

Zbliżając się długim korytarzem do sal zajmowanych przez Sekretariat Stanu, Mahoney usłyszał koncert klarnetowy Mozarta, włączony na cały regulator.

Na widok wysoko postawionego przedstawiciela kurii gwardzista wyprężył się jak struna.

W gabinecie Lienart, przekrzykując muzykę, debatował z siostrą Ernestine nad zdrowiem papieża.

- Jest jeszcze słaby, ale wszystko wskazuje, że dojdzie do siebie. Powinniśmy się za niego modlić - powiedział.

- Oczywiście, eminencjo, robię to nieustannie.

- A teraz, droga siostrze Ernestine, proszę zostawić nas z biskupem Mahoneyem samych i zamknąć za sobą drzwi - polecił kardynał. - Mamy ważne sprawy do omówienia.

Kiedy zakonnica opuściła przestronny i jasny gabinet, Lienart podszedł do odtwarzacza i ostrożnie zdjął igłę z płyty.

- Co cię do mnie sprowadza, bracie? - spytał, nie patrząc na Mahoneya, tylko na chowany do koszulki czarny krążek.

- Otrzymałem niepojęce wieści od brata Corneliusa.

- Jakież to wieści?

- Brat Cornelius zgodnie z poleceniem spędził kilka dni w Genewie, obserwując dom Greka Vasilisa Kalamatiano. Panna Brooks, tak jak przewidywaliśmy, pojawiła się tam w końcu, przy czym spotkała się nie tylko z Kalamatianem, ale z kimś jeszcze. .

- Z kim?

- Z niejakim Leonardem Colaianim, mediewistą, profesorem Uniwersytetu Florenckiego. We trójkę długo się naradzali.

Rankiem następnego dnia panna Brooks i profesor Colaiani udali się na lotnisko i polecili do Wenecji, a teraz spędzają większość czasu w bibliotece Świętego Marka i w archiwach miejskich, wyszukując książki dotyczące Szymona Piotra.

- Może po prostu nagle zainteresowała ich osoba pierwszego papieża.

- Wątpię, eminencjo. Przed kilku laty Colaiani wraz z Amerykaninem Charlesem Eolande brał udział w poszukiwaniach na poły mitycznego dokumentu znanego jako list Eliezera.

Człowiek ów znał podobno Judasza Iskariotę i mógł przekazać o nim jakieś ważne informacje.

- Myślałem, że zniszczenie księgi, która znajduje się w naszych rękach, rozwiąże sprawę.

- Renard Aguilar, dyrektor Fundacji Helsinga, twierdził, że z księgi wydarto specjalnie kilka stron, a na kilku innych pojawia się imię Eliezera. Ze wzmianek tych wynika jedynie, że był

to ktoś blisko związany z Judaszem, nic więcej. Colaiani i Eolande, finansowani przez Kałamatiana, usiłowali kiedyś ustalić, co się stało z listem napisanym jakoby przez owego Eliezera.

- Jakoby? Czyli ty, bracie, w to nie wierzysz? - spytał Lienart.

- Sam nie wiem. Dziwi mnie tylko nagła łatwość, z jaką panna Brooks zgodziła się sprzedać księgę Fundacji Helsinga, co mogło-by wskazywać, że może, podkreślam: może zdołała z czyjąś pomocą dokopać się do czegoś ważniejszego niż zdobyty przez nas dokument. Dlatego uważam, że należałoby bliżej się przyjrzeć jej poczynaniom.

- Też tak sędzę.

- To doskonale, bo pozwoliłem już sobie wydać odpowiednie dyspozycje.

- Ja z kolei, drogi bracie, zajmowałem się... powiedzmy, że sprzątniem - oświadczył Lienart.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, eminencjo.

- Nasz wspólny przyjaciel pan Wu przeniósł się do wieczności i zapewne zasiada już u boku swego Buddy, jeśli, rzecz jasna, został uznany godnym takiego zaszczytu. Nie kryję, że miałem w tej sprawie swój udział.

- Ale przecież wszyscy bracia z Kręgu zajmowali się ostatnio czymś innym...

- To prawda. Czasem jednak trzeba zdywersyfikować środki. Zawsze powtarzam, że wystarczy robić, co w naszej mocy, by w pewnej chwili zacząć robić znacznie więcej. Tak właśnie było w

wypadku naszego nieodżałowanej pamięci Delmera Wu, który stał się zbyt groźny w swojej zajadłości po tym, co się przydarzyło jego małżonce. Dlatego musiałem wkroczyć.

- Kto przeprowadził tę misję?
- Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. I poprzestańmy na tym.
- Jakie jeszcze zadania przed nami?
- Należałoby się zająć profesorem Colaianim, jego szefem, tym całym Grekiem, oraz panną Brooks, jeśli okaże się, że nasze dziewczę wtyka nos w nie swoje sprawy.
- Mam wydać konkretne polecenia bratu Alvarado, bratu Pontiusowi i bratu Corneliusowi?
- Brat Cornelius niech na razie poprzestanie na obserwacji.

Bracia Alvarado i Pontius powinni czekać w gotowości, albowiem w każdej chwili mogą się okazać potrzebni. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, co knują panna Brooks i spółka.

- Dobrze, eminencjo.
- Nie wolno nam tracić z oczu naszych szeroko zakrojonych celów.
- Oczywiście. Wszystko pod kontrolą - zapewnił Mahoney i schylił się, by ucałować kardynalski pierścień.

Wychodząc z gabinetu Lienarta, biskup minął się w drzwiach z siostrą Ernestine, prowadzącą przygarbionego mężczyznę, któ-

rego nie rozpoznał.

- Eminencjo, pan Foscati - zaanonsowała zakonnica.
- Wprowadź. I zadbaj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.
- Wedle życzenia, eminencjo.

Giorgio Foscati wyglądał niechlujnie, miał kilkudniowy zarost i świadczące o bezsenności cienie pod oczami.

- Potrzebuję pomocy, eminencjo - powiedział błagalnym tonem.
- O co chodzi? Co mogę dla pana zrobić?
- Chodzi o moją córkę, eminencjo, o moją ukochaną córeczkę
- jęknął dziennikarz.

- Co się stało?
- Ktoś ją porwał, gdy wracała piechotą ze szkoły. Nic więcej nie wiemy. I umieramy ze strachu.
- Rozmawiał pan z kimś o tym Turku, który strzelał do Jego Świątobliwości?
- Nie, eminencjo. Ściśle zastosowałem się do wskazówek eminencji. Z nikim nie rozmawiałem. Sądzi eminencja, że porwanie mojej córki może mieć związek z tamtą nieszczęsną kopertą?
- Niewykluczone. Tak czy owak, uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby pańska córka jak najszybciej wróciła do domu.
- Dziękuję, eminencjo. Moja żona w ogóle nie sypia, a ja bie-gam jak opętany, ale to na nic. Daniela jest obywatelką włoską, ponieważ jednak mieszkamy na terenie Watykanu, policja włoska nie chce się mieszać.
- Proszę się nie martwić, panie Foscati. Wszystko będzie dobrze. Porozmawiam, z kim trzeba. A teraz proszę wybaczyć, lecz obowiązki wzywają. Sam pan wie, że od zamachu przybyło mi mnóstwo pracy.
- Oczywiście, eminencjo. Tylko błagam, proszę nie zapominać o naszej Danieli - powtarzał Foscati prowadzony już przez kardynała do drzwi.
- Nie zapomnę. Zresztą, ta dzisiejsza młodzież... Założę się, że pańska córka zwyczajnie gdzieś zabalowała i wkrótce się pojawi.

To mówiąc, August Lienart wypchnął gościa za próg i przez chwilę patrzył, jak człowiek będący jednym z pionków w jego mistrzowskiej grze, oddala się ze zwieszoną głową, powłócząc nogami.

Wenecja

Kiedy przyjedziesz? - spytała Afdera. - Mam ci wiele do opowiedzenia.

- Właśnie spotkałem się w Rzymie z wysłannikami rządu z Damaszku. Ustalaliśmy datę mojej podróży do Syrii. Wiesz, w sprawie tłumaczenia tych aramejskich zwojów, o których ci wspominałem. Liczę, że za miesiąc lub dwa dostanę zielone świat-

ło - odrzekł Max.

- Chętnie bym się z tobą spotkała. Wiesz o tym.

- Wiem. Ja też chętnie bym się z tobą spotkał.

- Tyle że z innych powodów.

- Nie zaczynaj. Przecież ci powiedziałem, jaka jest sytuacja.

Pewnych rzeczy po prostu mi nie wolno, nawet gdybym miał na nie ochotę. Bo może powinnaś wiedzieć, że gdybym nie został księdzem, rozważałbym spędzenie z tobą reszty życia. Ale święcenia kapłańskie zobowiązują.

- Do diabła ze święceniami! Zresztą chciałabym cię tylko zobaczyć...

- To akurat da się zrobić.

- Wybacz, że krzyknęłam, Max, ale od kilku dni jestem jakaś nerwowa. Także dlatego potrzebuję cię tu, w Wenecji.

- Skoro tak, przylecę jutro rano - zaproponował.

- Moje dochodzenie dobiega końca i za kilka dni powinno przynieść rezultaty.

- Co odkryłaś?

- Jak już ci mówiłam, udało mi się odcyfrować ten runiczny tekst z grzbietu lwa sprzed Arsenale. Z Leonardem Colaianim...

- Spotkałaś się z nim znowu?

- Tak, w Genewie, u Vasilisa Kalamatiano.

- Uważaj. Colaiani to niebezpieczny typ. I niezbyt godny zaufania.

- Nie sądzę. To znaczy, nie sądzę, żeby był niebezpieczny, bo niegodny zaufania, to i owszem. Przyleciał ze mną do Wenecji, żeby pilnować interesów Kalamatiano. Odkryliśmy, że znajduje się tu w jednym z kościołów kamienny tron, podobno kiedyś używany przez samego świętego Piotra. Przypuszczamy, że jesteśmy już tylko o krok od kolejnej wskazówki, która doprowadzi nas do listu Eliezera.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Wszystko na to wskazuje. W tamtej runicznej inskrypcji była mowa o gwiazdzie oświetlającej tron kościoła i sądzimy, że chodzi właśnie o ten tron, o którym ci przed chwilą wspomniałam.

- Gdzie on się znajduje? - zainteresował się Max.

- W kościele na wyspie San Pietro di Castello. Wybieramy się tam dziś wieczorem.

- Lepiej poczekaj z tym na mnie. Nie chcę, żebyś szwendała się po takich miejscach w towarzystwie Colaianiego. Jutro przed południem będę na miejscu. Obiecuj mi, że zaczekasz.

- Dobrze, obiecuję. Ale tylko do jutra, nie dłużej. Muszę zrobić krok naprzód i nie mogę tego odkładać miesiącami, licząc, że w końcu się zjawisz - uprzedziła Afdera.

- Zgoda. Jutro się spotkamy i razem pójdziemy do tego kościo-

ła. Masz wszystkie konieczne zezwolenia?

- Jakie zezwolenia, Max? Jesteśmy we Włoszech.

- To się źle skończy, ale dobrze, jak sobie życzysz. W takim razie do jutra. I uważaj na siebie. Najlepiej nie wychodź z domu.

Zadzwoń, jak tylko przylecę.

- Zatrzymasz się u nas, w Ca' d'Oro?

- Lepiej nie wystawiać się na niektóre pokusy, dlatego przenocuję jak zwykle w hotelu Bellini. Zaraz zarezerwuję pokój.

- Twoja strata. Wiesz, co mówi przysłowie, Max. Ulec pokusie to grzech, ale często warto... - Afdera uśmiechnęła się do słuchawki.

- Dobranoc - uciał Max.

- Dobranoc. Chyba cię Kocham.

Ale tego Max już nie usłyszał, ponieważ zdążył się rozłączyć.

Przed jedenastą rano u drzwi wejściowych do Ca' d'Oro rozległ się dzwonek. Rosa pospieszyła otworzyć.

- Witaj, Roso, jak się miewasz?

- Doskonale, panie Maksie. Miło pana widzieć.

- Ja też się cieszę.

- Jadł pan już śniadanie?

- Piłem kawę.

- W takim razie coś panu przygotuję. Ale wcześniej zaprowa dzę pana na górę.

Wspięli się po schodach na drugie piętro, gdzie Rosa usadziła gościa na balkonie, skąd rozciągał się piękny widok na Canal Grande, po którym pływały wypełnione turystami *vaporetti*.

Max przeglądał właśnie prasowe doniesienia na temat zdrowia papieża, kiedy za plecami usłyszał pospieszne kroki.

- Cześć, łobuzie - powitała go Afdera, przytulając się może zbyt mocno.

- Nie ma co, miłe powitanie - zaśmiał się Max.

- O której przyleciałeś?

- Wczesnym rankiem. Ale byłem tak wykończony, że postanowiłem najpierw się wykapać i chwilę przespać. A ty? W jakiej jesteś formie?

- W świetnej. Chcesz się przekonać? - szepnęła z uśmiechem, bawiąc się paskiem od szlafroka.

- Przestań. Uspokój się i siadaj.

Przez kilka następnych godzin rozmawiali o spotkaniu Afdery z profesorem Stromnes, o Kalamatianie i tropach wiodących od lwa sprzed Arsenału do tronu Piotra w kościele na wyspie San Pietro di Castello.

- Musimy się tam wybrać jeszcze dzisiaj! - zawołała Afdera.

- Nie ma co dłużej zwlekać.

- A może jednak zrobilibyśmy to jak należy i poprosili patriarchę Wenecji o pozwolenie? Jestem pewien, że dla dobra nauki by nie odmówił.

- Zwariowałeś? Pamiętaj, że ktoś zabija wszystkich badaczy mających styczność z księgą. A jeśli ten ktoś jest sterowany z Watykanu?

- To tylko domysły. Patriarcha, kardynał Hans Mühlber, jest dobrym znajomym mojego stryja i na pewno udzieliłby nam zezwolenia na poszukiwania.

- Nie zmiernam ryzykować. Dasz mi gwarancję, że ci mordercy od ośmiokątów nie zostali nasłani przez Watykan? Tylko pod tym warunkiem pójdę z tobą do patriarchy. W przeciwnym razie załatwię sprawę po swojemu, z twoją pomocą lub bez niej.

- Dobrze, niech ci będzie - zgodził się Max.

- Zbiórka dziś o dziewiątej wieczorem. Zanim pójdziemy na wyspę, możemy coś zjeść w Alla Vedova.

- A Colaiani?

- Lepiej niech tu na nas zaczeka. I tak w niczym mi nie pomo-

że, a z tobą będę bezpieczna.

- Dobrze, to do dziewiątej - rzekł Max, wstając.

- Może Rosa cię odprowadzi do drzwi?

- Nie trzeba. Znam drogę - odpowiedział i pocałował Afdere w czoło.

Nad miastem kanałów zapadał zmierzch. Max zjawił się w restauracji pierwszy i stał przy barze, gawędząc z Mirella Doni.

- Próbujesz mi go odbić? - zaśmiała się Afdera zaraz po wejściu.

- Chciałabym, ale przy takim ruchu nie mam jak - odparła właścicielka, pociągając łyk białego wina.

Max spojrział na zielony plecak Afdery.

- Trzymasz tam pistolet i wytrych?

- Wzięłam dwie latarki, mleczną kalkę, ołówki, polaroid z lampą błyskową i dwie butelki wody. Myślałam, że to ty zadbasz o nasze bezpieczeństwo - odparowała Afdera.

- Mam krucyfiks, będzie nas chronił. Już widzę, jak wypro-wadza mnie w kajdankach policja i muszę wydzwaniać do stryja, żeby wniósł kaucję za bratanka, któremu się zachciało włamywać do kościoła zamkniętego na czas remontu.

- Nie kracz. A krucyfiks się przyda, zawsze możesz walnąć nim napastnika w głowę.

- Błuźnisz.

- Przepraszam, żartowałam.

Zanim wyszli z restauracji, ulice opustoszały. Tu i ówdzie kręcił się tylko jeszcze jakiś zabłąkany turysta.

Mijając kolejne kanały, skierowali się ku placowi Świętego Marka. W pewnym momencie Max zatrzymał się i obejrzał niespokojnie. Ktoś za nimi szedł, lecz gdy przystanęli, kroki z tyłu umilkły.

- Może ktoś wybrał się na zwiedzanie - powiedziała Afdera.

- Może. Ale lepiej zachować czujność.

Przeciawszy plac, ruszyli wzdłuż riva degli Achiaivoni, riva de San Biagio i via Giuseppe Garibaldi, aż dotarli do drewniane-go mostu Quintavalle, łączącego Wenecję z San Pietro. Wyspa, na której kiedyś znajdowała się forteca, była jednym z pierwszych zasiedlonych miejsc w okolicy.

Po obu stronach ciągnęły się stare doki z masą zacumowanych wszędzie łódek. Deptak oświetlało

wyłącznie kilka słabych latarni. Przekrzywiona dzwonnica majaczyła w widmowym świetle.

Obok wznosił się kościół, zbudowany już w siódmym wieku i pozostający główną świątynią miasta aż do 1807 roku, kiedy to rolę tę przejęła bazylika Świętego Marka.

Budynek pokrywały rusztowania i zwieszające się z nich płachty brezentu. Max pchnął główne drzwi.

- Zamknięte - stwierdził. - Trzeba poszukać wejścia od tyłu.

Daj mi latarkę.

- Masz. Idę z tobą - odpowiedziała głośno Afdera, przekrzykując łoskot uderzających o nabrzeże łódek.

Przedarli się przez otaczające kościół krzewy i w północnej ścianie odkryli niewielkie drzwiczki, na których wisiała wielka kłódka przytrzymująca grubego łańcuch. Afdera, która oprócz innych rzeczy miała w plecaku i wytrych, uporała się z nią w mgnieniu oka.

- Przypomnij mi, że nie powinienem cię nigdy brać ze sobą do Watykanu - mruknął Max.

W budynku panował mrok rozpraszany jedynie przez wieczną lampkę.

- Wiesz, że podczas pierwszej wojny światowej spadła ta bomba, która uszkodziła konstrukcję nośną kopuły?

- Wolalabym, żebyś zaczekała z tymi rewelacjami, aż wyjdzie-my. Poza tym musimy się pospieszyć, lepiej, żeby robotnicy nie zastali nas tu o poranku - odpowiedział Max, szukając latarkę tronu.

- Tam - pokazała Afdera. - To chyba to.

Max podniósł latarkę i snop światła padł najpierw na piętnastowieczny obraz pędzla Marca Basalta, przedstawiający siedzącego na kamiennym tronie świętego Piotra w otoczeniu czterech innych świętych: Mikołaja, Andrzeja, Jakuba i Antoniego.

Tuż pod obrazem stał tron, ogrodzony czerwonym sznurem i ze względu na prace remontowe przykryty folią. Afdera wyjęła scyzoryk i zaczęła ją rozcinać.

- Patrz, tu z boku jest jakby wgłębienie - zauważył Max. -

Może coś w środku znajdziemy.

- Dasz radę wyjąć ten kamień?

- Musiałbym czymś go podważyć, nie chcę zbytnio narozrabiać...

- Poczekaj - rzuciła Afdera, chwytając Maksa za ramię. - Jak to było? „Znajdź gwiazdę, która oświetla tron kościoła, a zaprowadzi cię ona do grobu prawdziwego”. Gwiazdę, która oświetla tron

kościół...

- Co to może znaczyć?

- Popatrz. Mamy gwiazdę - oświadczyła Afdera, przyglądając się z uwagą tylnej stronie oparcia.

- Jak to się stało, że dopiero teraz ją zauważyliśmy?

- Tak bywa. Podaj mi kalkę. Przerysuję te inskrypcje, żeby pokazać je potem Colaianiemu. Może to będzie nasza wskazówka.

Znaki wyglądały na arabskie. Afdera skopiowała je starannie co do jednego.

- Sądysz, że to oparcie pochodzi z epoki? - spytał Max.

- Na pewno. Wygląda mi to na typową arabsko-muzułmań-

ską stelę grzebalną z trzynastego wieku. Towarzyszący bratu de Fratens krzyżowcy prawdopodobnie uznali, że najbezpieczniej zostawić swój przekaz w miejscu widocznym dla wszystkich. Byli chyba bardziej przemyślni, niż przypuszczaliśmy.

- Ciekawe, co tu jest napisane?

- Trudno powiedzieć. Może Colaiani przetłumaczy inskrypcję albo będzie znał kogoś, kto to zrobi. Zaraz stąd spadamy, ale najpierw zrobię jeszcze kilka zdjęć.

Zaczęła fotografować napis, kiedy Max usłyszał jakieś szelesty przy drzwiczkach, którymi dostali się do środka.

- Pospiesz się, do diabła - rzucił.

- Coś takiego! Myślałam, że wy, duchowni, nigdy nie przekli-nacie - zaśmiała się Afdera, pakując rzeczy do plecaka.

- Tylko wtedy, kiedy ktoś każe nam się włamywać do kościołów.

Ruszyli ku drewnianym drzwiczkom, lecz gdy Afdera prze-kroczyła próg, czyjeś silne ręce chwyciły ją za ramiona i cisnęły na stojący przy ścianie metalowy kontener. Poczowała mocne uderzenie w głowę i straciła przytomność. Wcześniej jednak zdążyła jeszcze zauważyć, że Max walczy z ogromnym przeciwnikiem, zręcznymi unikami zbijając niezgrabnego olbrzyma z tropu. Potem zapadła ciemność.

Kilka godzin później okropny ból głowy przywołał ją do rzeczywistości.

- Gdzie jestem? - jęknęła.

- Ocknęła się - powiedział jakiś głos, należący, jak po chwili zdała sobie sprawę Afdera, do jej siostry Assai.

- Gdzie Max?

- Jestem tutaj. Nie martw się. Tamten typ nie zdołał mnie wykończyć, choć nie można powiedzieć, żeby się nie starał.

- Co się stało?

- Kiedy wychodziliśmy z kościoła, zaatakował nas jakiś strasznie silny facet, istne monstrum. - Max się przeżegnał. - Popchnął

cię na kontener z gruzem tak mocno, że straciłaś przytomność, a wyłączwszy cię w ten sposób z gry, skoncentrował się na mojej skromnej osobie. Poczęstował mnie pięścią, ale miałem szczęście, bo po omacku udało mi się znaleźć coś w rodzaju grubej belki.

Walnąłem go z całej siły i myślałem, że mu wystarczy, ale jak się nad tobą pochyliłem, znowu się na mnie rzucił, chociaż był cały okrwawiony. Wtedy uderzyłem go kamieniem w twarz, co ostudziło jego zapędy na tyle, że mogłem cię stamtąd zabrać.

- Zabiłeś go? - spytała wstrząśnięta Assai.

- Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad jego stanem.

Uznałem, że zajmę się raczej twoją siostrą.

- Musimy słuchać radia. Jak nic nie powiedzą, to znaczy, że facet przeżył - stwierdził Sam.

- To mógł być jeden z tych od ośmiokątów - mruknęła Afdera.

- Niewykluczone. Tym bardziej że od wyjścia z restauracji miałem wrażenie, iż ktoś nas śledzi. Powinienem być bardziej uważać i to sprawdzić, zwłaszcza że szedłem z tobą.

- Nie przejmuj się. Nic mi nie jest, tylko głowa mnie boli, ale to przejdzie. A teraz musimy ustalić znaczenie tej arabskiej inskrypcji, którą przerysowałam z tronu. Zatelefonujcie do Leonarda Colaianiego i zaproszcie go do Ca' d'Oro. I chyba trzeba mu powiedzieć, co zaszło. Bo i jemu może coś grozić.

- Zadzwoń do niego z rana - obiecał Sam. - Zgadza się z Afderą co do tego, że powinniśmy wszyscy znajdować się w jednym miejscu, konkretnie tutaj, w Ca' d'Oro, gdzie jesteśmy najbezpieczniejsi. Ale na razie trzeba się przespać. Po tak ciężkim i długim dniu każdy z nas potrzebuje chwili odpoczynku.

- Dobrze. - Afera skinęła głową. - Roso, przygotuj pokój dla Maksa. Dziś przenocuje u nas.

- Doskonale. Pościelę łóżko w pokoju gościnnym.

- Zaprowadzę cię, Max - zaproponowała po chwili Afdera.

- No to idziemy.

Gdy wspięli się na piętro, Rosa wychodziła już z pokoju, niosąc stertę ręczników.

- Dałam panu nowe, panie Maksie.

- Dziękuję, Roso. Dobranoc - odrzekł, zamykając drzwi.

- Otworzę okno i trochę tu przewietrzę. Od dawna nikt tu nie spał. Assai i ja za rzadko przyjmujemy gości - rzuciła Afdera.

Mijając Maksa, zauważyła zaschniętą krew za jego uchem.

- Jesteś ranny.

- To nic takiego. Dostałem czymś twardym w głowę - odparł, dotykając skaleczonego miejsca.

- Zaraz ci to przemyję. Zdejmij koszulę, cała jest we krwi.

Rosa ci ją upierze - zarządziła Afdera, wchodząc do łazienki, skąd wróciła po chwili z miednicą pełną ciepłej wody i czystym ręcznikiem.

Stała za plecami Maksa i przystąpiła do oczyszczania rany, przysuwając się do niego coraz bliżej, tak że wyraźnie czuł ciepło jej piersi i słyszał przyspieszony oddech.

- Teraz czoło. Masz skaleczenie nad prawą brwią.

W tym momencie poczuła jego ręce na swoich udach i pośladkach. Odszukała jego usta i zaczęli się namiętnie całować.

- Kocham cię - szepnął Max, po czym cofnął się gwałtownie, narzucił koszulę i wyszedł z pokoju.

Afdera mogła go zawołać, lecz nie zrobiła tego, świadoma, że najprawdopodobniej na moment stracił panowanie nad sobą, bo niedawne zdarzenia wytrąciły go z równowagi.

Następnego ranka wstała z uporczywym bólem głowy, zdeterminowana jednak, by pchnąć naprzód sprawę inskrypcji.

Na tarasie zastała już Assai i Sama w towarzystwie profesora Colaianiego.

- Dzień dobry wszystkim - powiedziała.

- Dzień dobry, siostrzyczko. Jak się czujesz?

- Jakbym wypila wczoraj trzydzieści martini. Głowa zaraz mi chyba pęknie.

- Kiedy zabierzemy się do pracy? - spytał Colaiani. - Mam tu w Wenecji znajomego historyka z Muzeum Marynarki, Stefana Pisani, który będzie umiał przetłumaczyć tę inskrypcję.

- Świetnie. Proszę do niego zadzwonić, a ja tymczasem wypiję kawę, wezmę sześć aspiryn, wykąpię się i ubiorę. Nie ma co zwlekać. Może odczytanie tego tekstu przybliży nas do listu Eliezera.

Będę gotowa za kilka minut - powiedziała Afdera, kierując się pospiesznie ku schodom.

Drzwi do pokoju Maksa stały otworem. Gdzie on się podział, pomyślała.

Pół godziny później wychodziła z Ca' d'Oro w towarzystwie siostry i Colaianiego.

- Nie idziesz z nami? - spytała Sama.

- Nie, dziękuję uprzejmie. Po Aspen mam już dość przygód.

Wolę poczekać, aż wrócicie i wszystko mi opowiecie.

- Zgoda. W takim razie spotkamy się przy obiedzie - stwierdziła Assai, całując go w policzek.

Obie siostry i profesor skierowali się do Muzeum Marynarki, mieszczącego się przy riva San Biagio. Wejścia strzegły dwie imponujących rozmiarów kotwice. W środku wystawiano broń, herby, sztandary i makiety okrętów, kierujące wyobraźnię ku morzom całego świata i odległym epokom.

Stefano Pisani czekał w drzwiach. Ten szczupły mężczyzna o krótkiej, nieco zaniedbanej bródce i przenikliwych oczach specjalizował się w historii marynarki i kolekcjonował *forcolas*, czyli elementy gondoli, na których wspiera się wiosło.

- Witam, jak się miewasz? - przywitał go Colaiani. - Przedstawiam ci Afdere i Assai Brooks, wnuczki Crescentii Brooks.

- Miło mi panie poznać. Poznałem panią Crescentię na jakiejś konferencji, chyba w Marsylii, z dziesięć lat temu. Mówiliśmy wtedy o rabusiach wraków i nielegalnym handlu przedmiotami wydobytymi z morza. Chętnie posłucham o tronie świętego Piotra, ale najpierw muszą panie obejrzeć „Bucintoro” - oświadczył

historyk, prowadząc gości do miejsca, gdzie znajdowała się perła muzeum.

„Bucintoro” był wspaniałym, pokrytym złotem okrętem, na którego pokładzie w dzień Wniebowstąpienia odbywały się zaślubiny weneckiego władcy z morzem. Rzesze mieszkańców Republiki przyglądały się tej ceremonii z innych statków i łodzi płynących w uroczystym pochodzie.

- To piękna, dziewiętnastowieczna kopia - powiedział Pisani.

- Oryginał został spalony z rozkazu Napoleona, gdy jego wojska zajęły Wenecję. W oczach francuskiego cesarza „Bucintoro”

reprezentował dumę Wenecjan, stąd decyzja o jego zniszczeniu.

Tyle że na wenecką dumę nic to nie pomogło.

Afdera zwróciła uwagę na wystawione w pierwszej sali chińskie działo.

- Pochodzi mniej więcej z 1900 roku, z czasów powstania bokserów - wyjaśnił historyk. - Przywiózł je tutaj i podarował

miastu słynny awanturnik Corto Maltese. Podobno używał go wcześniej, napadając na pociągi ze złotem w okolicach Szanghaju, w Mandżurii i na Syberii.

Potem Pisani poprowadził swoich gości niekończącymi się korytarzami i salami pełnymi eksponatów do obszernego gabinetu wychodzącego na Arsenale. Afdera uśmiechnęła się, gdy jej wzrok padł na widoczne w dole lwy.

Gabinet Pisaniego przypominał raczej kajutę na osiemnastowiecznym galeonie niż współczesny pokój do pracy. Zdobily go globusy, astrolabia, mapy nawigacyjne i przedstawiające weneckich kapitanów portrety pędzla uczniów Tintoretta.

- Usiądźmy przy tym stole. Tu nam będzie wygodnie - zaproponował muzealnik. - Mam właśnie okropne problemy z rozmaitymi fundacjami. Potrzebuję pieniędzy na pewien projekt, który chciałbym zrealizować w Aleksandrii, ale włoskie fundacje wciąż robią problemy. Zwariuję z nimi. Ale przepraszam, przejdźmy do sprawy, z którą państwo tu przyszli.

Afdera pokrótce przedstawiła Pisaniemu kwestie związane z odziedziczoną po babce księgą.

- Przywieziona przeze mnie do Europy Ewangelia Judasza została poddana renowacji i tłumaczeniu przez specjalistów z Berna. Dzięki temu trafiliśmy na ślad dokumentu, który prawdopodobnie wyszedł spod pióra jednego z uczniów Judasza...

- Ma pani na myśli Judasza Iskariotę, apostoła-zdrajcę?

- Może dałoby się udowodnić, że ten utrwalany przez Kościół

od wieków wizerunek niekoniecznie odpowiada prawdzie historycznej.

- A jaka w tym moja rola?

- Już mówię. Jeden z tropów doprowadził nas do trzynastowiecznej steli, na której odkryliśmy arabską inskrypcję. Sądzimy, że dotyczy ona naszej zagadki. I w tym względzie liczymy na pańską pomoc. Profesor Colaiani powiedział, że jest pan ekspertem.

- Studiowałem filologię arabską i wyspecjalizowałem się w językach i kulturach

śródziemnomorskich, żeby móc czytać listy i traktaty nawigacyjne wielkich arabskich żeglarzy z czasów średniowiecza. Do tej pory mój arabski mógł już nieco zaśniedzieć, ale spróbuję.

Afdera wyjęła z plecaka arkusze mlecznej kalki z przerysowanymi poprzedniego wieczoru znakami widniejącymi na oparciu tronu w kościele San Pietro. Jeszcze w Ca' d'Oro ułożyła je na podstawie zdjęć w odpowiedniej kolejności, by bez trudu przedstawić Pisaniemu całość inskrypcji w naturalnych wymiarach. Zrobione polaroidem fotografie też miała ze sobą.

- Interesujące, naprawdę interesujące - mruknął Pisani, przyglądając się znakom przez lupę.

- Uda się panu to przetłumaczyć? - spytała niecierpliwie Afdera.

- Sądzę, że tak, przynajmniej w ogólnych zarysach.

- To wystarczy. Ile czasu pan potrzebuje?

- Jeśli zacznę od razu, to na jutro rano powinienem być gotowy

- odrzekł muzealnik. - Potem jednak, jak gdyby coś sobie przy pomniał, spojrzął na gości i zapytał: - A co będę z tego miał?

- Darowizna na rzecz muzeum wystarczy? Powiedzmy tyle, żeby wystarczyło na realizację pana aleksandryjskiego projektu. .

- rzuciła Afdera.

Twarz historyka rozjaśniła się uśmiechem.

- Jutro rano dostanie pani przekład. Obiecuję.

- Cieszę się. Ja też dotrzymam słowa - zapewniła Afdera.

Kiedy znaleźli się we trójkę na ulicy, Assai wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło?

- Twoje bezwstydne łapówkarstwo.

- Moja droga, z pieniędzmi jest jak z papierem toaletowym: jeśli ich potrzebujesz, to na gwałt. I Pisani znalazł się w takiej właśnie potrzebie. Nic się nie martw. Sam się wszystkim zajmie i jeszcze odliczymy to sobie od podatku jako darowiznę na cele naukowe.

- Jesteś niesamowita - zaśmiała się znowu Assai.

Żadne z tych trojga nie zauważyło, że ktoś za nimi idzie.

Nie dam się tak urządzać jak brat Pontius, myślał tymczasem brat Cornelius, obserwując wesołą

kompanię, która zmierzała w stronę Ca' d'Oro.

Krąg Octogonus nie rezygnował tak łatwo z raz upatrzonych ofiar.

XIV

Wenecja

Następnego

ranka

Afdera

obudziła

się

niespokojna. Nie wiedziała co się stało z Makssem po tym, jak rozstał się z nią poprzedniej nocy. W dodatku już wkrótce miała się wraz z Assai i Colaianim wybrać do Pisaniego, żeby sprawdzić, czy zdołał przetłumaczyć arabską inskrypcję.

Po drodze nikt się specjalnie nie odzywał, z wyjątkiem Assai, która spytała:

- Rozmawiałaś z Makssem? -

Nie.

- Dlaczego znikł tak nagle? Co się stało?

- Nic, absolutnie nic - ucięła zdecydowanie Afdera, nie patrząc siostrze w oczy.

Kilka minut później stanęli przez wielkimi kotwicami zdobią-

cymi wejście do Muzeum Marynarki.

Tam, na parterze, oczekiwał gości Pisani. Zaprowadził ich następnie do swojego ekscentrycznego gabinetu. Gdy tylko weszli, ujrzeni ustawioną na środku pokoju wielką zieloną tablicę z wypisanym na niej po arabsku tekstem.

- To jest inskrypcja z tronu świętego Piotra? - spytała natychmiast Afdera.

- Tak. Zadanie okazało się niełatwe, bo w niektórych miejscach znaki się zatarły. Ostatecznie chodzi o tekst z trzynastego wieku - odrzekł muzealnik.

- A co tam jest napisane?

-Hunäka 'ayna yarqudu färasu l-'asadi l-muqaddasu, hunäka fi-l-makäni l-ladj tartafVu fi-hi

nayma, hunäka fl-l-madlnati l-lati lä tazälu muqaddasa, Sa-taltaqT Bi-kalimati s-sädiqi wa-l-mujtäri l-ladj yanfiadiru min sulälatin ^azlmatin al-ladjläyüyadu la-hu malikun zva-l-ladiyatazuayyabu ^alay-hi qiyädatu l-qabä'üi l- 'isrä'iliyya - odpowiedział Pisani.

- No nie, Stefano, przetłumacz to - jęknął Colaiani.

- A, przepraszam. Więc w przekładzie brzmiałoby to mniej więcej tak: „Tam, gdzie spoczywa święty rycerz od lwa, w miejscu, w którym wznosi się gwiazda, w mieście wciąż uświęconym, znajdziesz słowo prawdziwego wybrańca, który pochodzi z wielkiego plemienia, tego, które nie ma króla, i który poprowadzi lud Izraela”.

- Cudownie! Kolejna zagadka! - zirytowała się Assai.

- Spokojnie. Przeanalizujmy to po kolei - uspokajał ich Colaiani, kierując się ku ustawionemu pod oknem stołowi. -

„Tam, gdzie spoczywa święty rycerz od lwa”, a więc wiemy już, że chodzi o Hugona de Fratens. Idźmy dalej: „W miejscu, w któ-

rym wznosi się gwiazda, w mieście wciąż uświęconym”. Pierwszą część tego zdania trudno na razie zrozumieć, ale miasto „wciąż uświęcone” to bez wątplenia Akka zwana też Akra, znajdującą się dziś w Izraelu.

- Skąd ta pewność? - spytała Assai.

- To proste. W 332 roku przed Chrystusem Akka weszła w skład imperium Aleksandra Wielkiego. Potem, po rozpadzie Cesarstwa Rzymskiego na część wschodnią i zachodnią, znalazła się w tej pierwszej, czyli w Bizancjum. W roku 638 trafiła w ręce Arabów.

Później zdobywali ją kolejno: w 1104 Baldwin I, w 1187 Saladyn I, sułtan Egiptu i Syrii, a potem krzyżowcy biorący udział w trzeciej krucjacie pod wodzą króla Anglii Ryszarda Lwie Serce, króla Francji Filipa II Augusta i cesarza Fryderyka I Barbarossy. Wtedy nazwano ją z francuska Saint Jean d'Acre, a w trzynastym wieku określano mianem miasta wciąż uświęconego, ponieważ po upadku Jerozolimy stanowiła stolicę tego, co pozostało po Królestwie Jerozolimskim. Przez dziesięciolecia odgrywała rolę przyczółka chrześcijaństwa, opierając się nawale muzułmańskiej. Więc mamy Hugona de Fratens i Akkę.

- A co z tą gwiazdą? - zainteresowała się Assai.

- Może chodzi o położenie grobu albo o coś podobnego -

powiedziała Afdera. - Natomiast nie ulega wątpliwości, że słowa o

„prawdziwym wybrańcu, który pochodzi z wielkiego plemienia, tym, który nie ma króla i który poprowadzi lud Izraela”, muszą odnosić się do Judasza Iskarioty. W Ewangelii Judasza na jego określenie używa się tych samych sformułowań.

- To co teraz? - spytała Assai.

- Lecimy do Izraela. Muszę odnaleźć grób Hugona de Fratens, jeśli wciąż istnieje. Kto jedzie ze mną?

- Ja wolałabym zostać w Wenecji, z Samem. Wciąż nie doszedł

do siebie po Aspen - tłumaczyła się Assai. - Poza tym wiesz, że lepiej odnajduję się w archiwach niż w kurzu wykopalisk.

- Ja pojadę - zadeklarował się Leonardo Colaiani, wysuwając się do przodu.

- Doskonale. Zadzwoń do liana Gershona, dyrektora Wydziału Starożytności Izraela, i uprzedzę go o naszej wizycie.

Następny przystanek: Jerozolima.

Zanim opuścili gabinet, Afdera poradziła Pisaniem, żeby wytarł arabski napis z tablicy i zapomniał o wszystkim, o czym rozmawiali.

- Niech pan mnie usłucha, dla własnego dobra. Wiele osób zgięło już w dziwnych okolicznościach z powodów mniej ważnych niż ta inskrypcja. Mój adwokat, Sampson Hamilton, skontaktuje się z panem w sprawie pieniędzy na badania w Aleksandrii.

Odwalił pan kawał dobrej roboty.

Watykan

Do jedenastej kardynał Lienart obradował z prefektami kilku kongregacji. Jako sekretarz stanu dzierżył ster Kościoła do czasu całkowitego ozdrowienia papieża. Gdy zebranie dobiegło końca, wezwał swego sekretarza. - Bracie Mahoney?

- Tak, eminencjo? - W słuchawce zabrzmiał głos biskupa.

- Proszę jak najszybciej przyjść do mojego gabinetu. Sprawa jest pilna.

- Oczywiście, eminencjo, będę za parę minut.

Spotkanie miało się, oczywiście, odbyć w najściślejszym sekrecie, jako że dotyczyło kwestii z wielu względów kluczowych dla przyszłości Kościoła.

Mahoney zjawił się szybko i jak zwykle delikatnie zapukał.

- Proszę - zaprosił go do środka kardynał.

- W czym mogę pomóc, eminencjo?

- W tym co zwykle - odrzekł Lienart, zapalając cygaro. - Chcę wiedzieć, na czym stoimy.

- Brat Cornelius śledzi Afderę Brooks. Brat Pontius miał niedawno nieprzyjemne spotkanie z nią i tym księdzem, Maximilianem!

Kronauerem. Zdołali go ranić, ale dochodzi do siebie w Casino degli Spiriti. Kazałem bratu Corneliusowi czekać na dalsze rozkazy. Brat Alvarado również znajduje się w Wenecji, gotów do

dzia-

łania.

- Zastanawiam się, czy nie wysłać go do Genewy, do Kalamatiana. Ten Grek zbyt dużo wie o zdrajcy Judaszu i jego księdze.

Wypadałoby coś z tym zrobić...

-Tylko że Kalamatiano bardzo dba o swoje bezpieczeń-

stwo...

- Dlatego trzeba skorzystać z pomocy brata Alvarado. On sobie poradzi.

- A co z panną Brooks i tym Kronauerem? Oni też dużo wiedzą... - stwierdził Mahoney.

- *Accesorium on ducit, sed sequitur suum principale*, drogi bracie. Trzeba postępować ostrożnie, żeby się przypadkiem teraz nie potknąć. Niech brat Cornelius dalej trzyma rękę na pulsie.

Ale gdy uzna, że przyszła pora, ma wolną rękę.

- Czyli pozostawiamy mu decyzję co do losów panny Brooks?

- Tak, przecież właśnie to powiedziałem. A brat Pontius niech mu pomaga. Czworo oczu widzi lepiej niż dwoje, a dwa mózgi myślą skuteczniej niż jeden, nieprawdaż?

- A Kronauer? Jego eliminacja, ze względu na stryja, może się okazać niebezpieczna.

- Maximilianem Kronauerem i jego stryjem zajmę się osobi-

ście. Przekaż Corneliusowi, bracie, że wolno mu podjąć kroki jedynie wobec panny Brooks. Ojcu Maximilianowi Kronauerowi nic nie może się stać, jasne?

- Oczywiście, eminencjo.

- Świetnie. To tyle na dzisiaj. Do zobaczenia. I obyśmy mieli już to wszystko z głowy.

Po zakończeniu spotkania z sekretarzem Lienart udał się do watykańskich ogrodów, gdzie przy fontannie z galeonem był

umówiony z agentem Korybantem.

- Witam, drogi Korybancie.
 - Dzień dobry, eminencjo.
 - Jak tam sytuacja na szachownicy?
 - Chodzą słuchy, że Ojciec Święty zamierza odwiedzić tego Turka w więzieniu...
 - Słyszałem. Próbowałem przekonywać tego głupka Dandiego, żeby wpłynął na Jego Świątobliwość, ale najwyraźniej wszystkim zależy na telewizyjnym spektaklu.
 - A co jeśli Agca zdradzi papieżowi, co wie na temat kulis zamachu? Po nitce do kłębka... - rzucił niespokojnie agent.
 - Nie sądzę, żeby tak się stało. Nasza kukielka nie ma przecież o niczym pojęcia. Najwyżej może podać nazwisko dostawcy broni.
- A tym Austriakiem już się zajęliśmy, więc niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Martwi mnie tylko Foscati, ten od Daniela.
- Niepotrzebnie.
 - Nie rozumiem.
 - Daniela nie żyje.
 - Jak to: nie żyje? - Lenart podniósł głos.
 - Próbowała uciekać i jeden z ludzi, którzy jej pilnowali, niechcący uderzył ją w głowę. Za mocno.
 - Kto jej pilnował?
 - Proszę się nie martwić, eminencjo. Nasi przyjaciele z rzymskiej mafi już usunęli ciało. Nikt go nigdy nie znajdzie, zapewniam.

O resztę lepiej nie pytać. Zdecydowanie lepiej. Najzdrowiej dla wszystkich będzie, jeśli puścimy całą sprawę w niepamięć...

Kardynał August Lienart milczał, patrząc bez ruchu, jak Korybant znika w ciemnościach. Przez moment ujrzał w wyobraź-

ni twarz Foscatiego. Ale może dobrze się stało? Ostatecznie zarówno Foscati, jak i jego córka byli jedynie pionkami.

Jerozolima

Afdera czuła się w Jerozolimie jak u siebie w domu. Znała tu każdy zapach, każdy smak i każdy

kolor, To miasto było jej równie bliskie jak Wenecja. Prawie przez cały lot, siedząc w pierwszej klasie, studiowała gazety. Wszystkie rozpisywały się na temat śledztwa w sprawie zamachu na papieża. Na co drugiej stronie widniało przynajmniej jedno zdjęcie Ojca Świętego, najczęściej czarno-białe, z czasów młodości spędzonej w dalekim kraju. Nie brakowało też fotografii niedoszłego zabójcy.

- A myślałem, że na papieża nikt się nie odważy podnieść ręki - mruknął Colaiani.

-Dlaczego? Przecież to po prostu głowa państwa... Jeśli o mnie chodzi, już dawno przestałam wierzyć w boskie posłannictwo Watykanu. Podobnie zresztą jak w tego ich Boga.

- Proszę tak nie mówić. Co innego Bóg, a co innego ludzie, którzy nadużywają jego imienia. A takich w Watykanie rzeczywiście nie brakuje.

- Może ma pan rację - przyznała Afdera, szykując się do drzemki.

Obudziło ją szarpnięcie przy lądowaniu w Tel Awiwie. Gdy opuszczali z Colaianim terminal, żadne nie zwróciło uwagi na dwóch mężczyzn obserwujących ich z bezpiecznej odległości.

Bracia Pontius i Cornelius wypełniali swoje zadanie.

Na zewnątrz Afdera od razu zauważyła niezgrabną sylwetkę liana Gershona, przyjaciela Crescentii Brooks i dyrektora Wydziału Starożytności Izraela.

- Afdi! Afdi! Tutaj! - zawołał Han, podskakując komicznie.

- Witaj, Han. Jak się miewasz?

- Cieszę się, że znów cię widzę, i mam nadzieję, że wkrótce wrócisz do pracy.

- Zanim zaczniemy się na ten temat sprzeczać, pozwól, że przedstawię ci profesora Leonarda Colaianiego, wybitnego mediewistę - powiedziała Afdera, usuwając się na bok, żeby umożliwić Hanowi uściśnięcie dłoni profesora.

- Czytałem pańskie prace na temat krucjat - rzekł Gershon.

- Może chciałby pan obejrzeć kilka stanowisk archeologicznych w Akce?

- Oczywiście! Szczególnie interesują mnie szpitalnicy.

- W takim razie załatwione - odrzekł Han. - Podziemne miasto zbudowane przez rycerzy świętego Jana to największy kompleks zachowany w Akce do naszych czasów. Znajduje się pod północną częścią dzisiejszego Starego Miasta. Wie pan, że odkryliśmy tam cały zespół pomieszczeń o łącznej powierzchni czterech tysięcy pięciuset metrów kwadratowych? Ogromne sale i niekończące się korytarze prowadzące na wielki centralny dziedziniec.

- Tak, czytałem o tym. O ile wiem, włożono mnóstwo wysiłku w prace konserwatorskie.

- Przepraszam, że wam przerywam, panowie - wtrąciła się Afdera - ale czy możemy już ruszać do Jerozolimy?

- O, tak, oczywiście! Zaraz podjedzie po nas mój szofer.

Zatrzymacie się u mnie?

- Nie, Ilan, wielkie dzięki, zarezerwowaliśmy pokoju w hotelu American Colony, przy ulicy Nablus. Nie chcemy siedzieć na głowie tobie, Helenie i dzieciakom.

- Wiesz, że cię uwielbiają, ale skoro wolisz jakiś tam pię-

ciogwiazdkowy hotel z basenem, sauną i jedną z najlepszych restauracji w mieście, to twoja sprawa.

- Jesteś uroczy.

- Ty też. Choć nie wiem, czy Helena i dzieci nadal będą podzie-lać tę opinię, kiedy im powiem, co postanowiłaś w kwestii mieszkania.

Wsiedli do mercedesa Ilana i malowniczą, krętą szosą ruszyli na przedmieścia Jerozolimy. Hotel, w którym mieli się zatrzymać Afdera i Colaiani, znajdował się we wschodniej części miasta, tuż obok miejsca, gdzie przebiegała linia demarkacyjna wyznaczona w 1949 roku postanowieniami rozejmu podpisanego po pierwszej wojnie arabsko-izraelskiej. Ilan zostawił ich w recepcji, umawiając się z nimi na następny dzień.

Otwarty w 1902 roku przez barona Ustinova - dziadka akto-ra Petera Ustinova - hotel American Colony stał się wygodną przystanią dla przybyszy z Europy i Ameryki, a z czasem zyskał

zasłużoną sławę. W trakcie pierwszej wojny światowej zamie-niony na szpital wojskowy, pozostawał neutralną wyspą, oazą spokoju w tym niestabilnym politycznie regionie. Podobnie było i później. Tak arabscy, jak i żydowscy politycy organizowali tu spotkania z zagranicznymi dziennikarzami, szpiegami z CIA i KGB, wysoko postawionymi przedstawicielami ONZ i dyplomatami z całego świata.

Afdera przez całą noc rozmyślała o Maksie.

Gdy następnego poranka zeszła na śniadanie, na wewnętrznym dziedzińcu roiło się od gości. Dawno temu babka opowiadała jej o rozgrywających się tu o tej porze spektaklach. Oto przy jednym ze stolików siedziało dwóch korespondentów, z których pierwszy pracował dla BBC, drugi zaś dla hiszpańskiego radia. Obaj mieszkali w tym hotelu od ponad pięciu lat i mówiono nawet, że któryś z nich pośredniczy między CIA a grupami palestyńskimi usiłującymi torpedować plany pokojowe na Bliskim Wschodzie, przy czym mogła to być jedynie kolejna z wielu legend o American Colony.

- Panna Brooks? - spytał kelner.

- Tak, to ja.

- Telefon do pani. Może pani odebrać tutaj albo w recepcji.

- Wolę w recepcji. Dziękuję.

Dzwonił Ilan.

- Jak ci się spało w tej norze? - spytał ze śmiechem.

- Kiepsko. Wiesz, w pościeli z lnu i egipskiej bawełny trudno zasnąć... A turecka kąpiel i masaż w spa też nie sprzyjają wypo-czynkowi. .. - zakpiła Afdera.

- Jak się wyszukujecie, przyjedźcie z profesorem do Muzeum Rockefellera. A, właśnie, moja droga, telefonował do mnie nie jaki Maximilian Kronauer, podający się za twojego przyjaciela, z zapowiedzią, że będzie dziś u nas, żeby się z tobą zobaczyć.

Afdera milczała przez chwilę, usiłując dojść do siebie. Odnosiła wrażenie, że od tamtej nocy w Ca' d'Oro minęły nie dni, lecz lata.

- Halo, jesteś tam?

- Jestem, jestem. Chętnie spotkam się z Maksem - rzuciła zdawkowo i czym prędzej się pożegnała.

Po śniadaniu wyszli z hotelu i ruszyli na piechotę ku ulicy Sułtana Sulejmana, wiodącej do Bramy Heroda. Stamtąd było już niedaleko do siedziby Wydziału Starożytności Izraela.

Kawałek za nimi jechał szary peugeot z dwoma mężczyznami w środku.

Muzeum, ufundowane w 1927 roku przez magnata finansowe-go Johna Rockefellera, gromadziło zbiory dokumentujące historię ludzkości od epoki kamienia po wiek osiemnasty. Eklektyczny budynek łączący cechy architektury bizantyńskiej i arabskiej oraz art déco stał się w czasie wojny sześciodniowej miejscem jednej z najbardziej zaciekle bitew, lecz mimo to zabytki nie ucierpiały.

Colaiani szedł za Afdera przez kolejne pełne eksponatów sale, a następnie przez świetliste patio pełne roślinności i ozdobione fontannami.

- Pan Gershon czeka na państwa, panno Brooks - powiedziała sekretarka.

W gabinecie Afdera ujrzała pogrążonego w rozmowie z Ilanem Maksa, trzymającego w dłoniach książkę o grobach krzyżowców w Akce.

Na widok Afdery Max wstał z fotela i podszedłszy do niej, pocałował ją niewinnie w policzek.

- Proszę, proszę, nie wiedziałem, że aż tak dobrze się znacie

- rzucił Ilan, obserwując ich uważnie.

Afdera umiała wychwycić sarkazm w jego głosie.

- Cześć, Max. Co słyszeć? - spytała.

- Nic specjalnego. Przygotowuję się do wyjazdu do Syrii.

- O, wybiera się pan do Syrii? - wtrącił Ilan.

- Tak. Rząd w Damaszku zaproponował mi tłumaczenie aramejskich zwojów.

- Max jest ekspertem od aramejskiego - wyjaśniła Afdera.

- Więc może mógłby nam pan pomóc z inskrypcjami, które znajdujemy na wyrobach z gliny? - zainteresował się Ilan.

- Z przyjemnością podejmę się pracy dla pana, panie Gershon.

Słyszałem wiele dobrego na pański temat.

- Nawet w Damaszku?

- Nawet w Damaszku - potwierdził Max.

- Cóż, może usiadzimy i pozwolimy Afderze wyjaśnić, czego ode mnie oczekuje - zaproponował Ilan.

Gdy wszyscy czworo zajęli miejsca, wyjęła z torby dziennik babki.

- Moja babcia opisuje tu historię Ewangelii Judasza, począwszy od jej odkrycia w okolicach Gebel Qarara aż po dzień, w którym księga do niej trafiła, by następnie przeleżeć długie lata pod kluczem w sejfie nowojorskiego banku. Badając tę sprawę, trafiłam przy okazji na trop zabytku zwanego listem Eliezera i ustaliłam, że ów tekst, napisany prawdopodobnie w latach sześćdziesią-

tych lub siedemdziesiątych naszej ery, powinien się znajdować w Akce, w grobie pewnego krzyżowca. I tu zaczyna się twoja rola, Ilanie.

- Sama wiesz najlepiej, że nie istnieje pełen wykaz tych grobów, jako że większość z nich pozostała niezidentyfikowana. Oznaczamy je najczęściej za pomocą numeru, sygnalizując ich położenie w katakumbach - wyjaśnił dyrektor Wydziału Starożytności Izraela. - Zresztą, skąd pewność, że dokument, którego szukasz, został ukryty właśnie w Akce?

- Wszystko na to wskazuje. Prześledziliśmy trasę krzyżowców towarzyszących pokonanemu Ludwikowi IX w przeprowie z Egiptu do Ziemi Świętej, gdzie część rycerzy podzieliła się na dwie grupy pod wodzą dwóch braci, Philippe'a i Hugona de Fratens. Philippe, bardziej wojowniczy, wrócił na Zachód w towarzystwie kilku Waregów, wiesz, Skandynawów...

- Wiem, kim byli Waregowie.

- No więc właśnie oni zostawili ślady swojej bytności w Antiochii i Pireusie, ślady, które urywają

się w Wenecji. Po pierwsze, odkryliśmy runiczną inskrypcję na grzbiecie lwa przywiezionego z Pireusu i strzegącego teraz Arsenału. Jej treść jest następująca: „W bramie morza Zara krążyć będzie wokół

labiryntu, lew zaś strzeże rycerza i jego sekretu. Znajdź gwiazdę, która oświetla tron kościoła, a zaprowadzi cię ona do grobu prawdziwego". Dzięki temu dotarliśmy potem do arabskiego tekstu wyrytego na oparciu tronu używanego podobno przez świętego Piotra w Antiochii. Specjalista stwierdził, że ten napis pochodzi z trzynastego wieku, z czasów, kiedy Philippe de Fratens wrócił

wraz ze swymi towarzyszami do Europy. W tłumaczeniu brzmi to tak: „Tam, gdzie spoczywa święty rycerz od lwa, w miejscu, w którym wznosi się gwiazda, w mieście wciąż uświęconym, znajdziesz słowo prawdziwego wybrańca, który pochodzi z wielkiego plemienia, tego, które nie ma króla, i który poprowadzi lud Izraela". Wyraźnie mowa o jakimś grobie. I chciałabym, żebyś nam pomógł go zlokalizować. Na razie nie wiemy, co to za „miejsce, w którym wznosi się gwiazda" i bez twojego wsparcia możemy strawić na tych poszukiwaniach całą wieczność, bez żadnych rezultatów.

- Pokaż mi arabski oryginał - poprosił Ilan.

Po przestudiowaniu znaków składających się na inskrypcję z tronu świętego Piotra, Ilan podszedł do biurka i sięgnął po telefon. Przez kilka minut z kimś rozmawiał, po czym zakończył

słowami:

- Doskonale, zatem widzimy się jutro w Galilei.

- No, mów, bo pęknę z ciekawości - ponagliła go Afdera.

- Chodzi o ten fragment z gwiazdą. Niewykluczone, że to wskazówka co do położenia grobu. Dlatego zadzwoniłem do dobrego znajomego, Jigala Mizrahiego, z obserwatorium na górze Hermon w rejonie Wzgórz Golan. To jeden z naszych najwybitniejszych specjalistów od astronomii i astrofizyki. Jutro z rana podjadę po was do hotelu i wybierzemy się tam razem. Może jemu uda się rozwikłać tę waszą zagadkę. W przeciwnym razie czeka nas mozolne przedzieranie się przez katakumby pod Akką.

- Dobrze, więc widzimy się jutro - stwierdziła Afdera i wstała, zbierając się do wyjścia.

- Radziłbym ci wziąć przyjaciół na przechadzkę po mieście, żeby nie wyjechali z Jerozolimy, zupełnie jej nie znając - rzucił

od niechcenia Ilan.

- W porządku, tak zrobię - mruknęła niechętnie, cmokając go na pożegnanie w policzek.

- I połóżcie się wcześniej. Jutro mamy przed sobą długi dzień.

Z Jerozolimy na górę Hermon jest prawie dwieście kilometrów krętymi drogami.

Gdy we trójkę opuścili budynek Muzeum Rockefeller era, Colaiani wymówił się od spaceru

zmęczeniem. Afdera wiedziała, że oto nadarza się doskonała okazja, żeby zadać Maksowi tysiące pytań, które kłębiły jej się w głowie od chwili, kiedy zostawił ją samą w pokoju gościnnym Ca' d'Oro, ale niejako wbrew sobie postanowiła zachować milczenie.

- Nasz profesorek musiał chyba coś wyczuć - rzekł wreszcie Max. - Nie zamierzasz się do mnie odzywać? - dorzucił po chwili.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć, po tym jak ostatnio uciek-

łaś. Co chciałbyś usłyszeć?

- Nie rozumiesz, że to wszystko jest dla mnie bardzo trudne?

- A dla mnie nie?

- Posłuchaj, wiele lat temu złożyłem śluby czystości, a teraz nagle spotykam ciebie i prawie łamię przysięgę. To wymagało chwili zastanowienia. Nad sobą, nad tym, co do ciebie czuję, nad kapłaństwem... W Ca' d'Oro trudno by mi było się skupić.

- I co wynikło z tego całego skupiania się? - rzuciła ironicznie Afdera.

- Chyba nadal nie uświadamiasz sobie, przez co przechodzę.

Zawsze żyłaś pod kloszem, najpierw chronili cię rodzice, potem babka. Ale my, zwykli śmiertelnicy, musimy umieć stawiać czoło naszym problemom.

- O! Czyli ty jesteś dzielny, bo sprostałeś próbie, a ja tchórz liwa, bo cię na tę próbę wystawiłam? Zupełnie jakbyśmy nie byli oboje dorośli!

Kłócąc się, niepostrzeżenie dotarli pod Bazylikę Grobu Świętego, wznoszącą się w sercu Starego Miasta.

- Nie wstąpisz, żeby się poradzić swojego Boga? Może ci powie, jak lepiej traktować innych!

- Przestań się złościć. Zgadzam się, że pewnie nie powinienem był tak cię wtedy zostawić, ale spróbuj wyobrazić sobie, jak się czułem.

- A ty spróbuj sobie wyobrazić, jak ja się czułam, kiedy zwia-

łeś z mojego domu niczym złodziej. Czułam się, jakbym zrobiła coś złego! Jakbym była winna! Więc naprawdę nie rób z siebie ofiary. I wreszcie się na coś zdecyduj, bo dla Kościoła i dla mnie nie ma w twoim życiu miejsca.

Na te słowa Max w milczeniu odwrócił się na pięcie i ruszył

ku wejściu do świątyni. Patrząc, jak znikł w tłumie meksykańskich turystów, Afdera rozplakała się z żalu. Potem poszła przed siebie, w stronę Bramy Damasceńskiej, mijając przekupniów i zdąża-jących

do meczetów wiernych. Wieczorem Max nie zadzwonił, choć czekała na jego telefon.

Następnego dnia, zanim wstał świt, przed American Colony przyjechał samochód z Ilanem i Makssem w środku. Colaiani zaopatrzył się na drogę w paczkę ciastek i termos kawy.

Przez niemal dwieście kilometrów Max i Afdera nie odezwali się do siebie nawet słowem. Mówił głównie Ilan, udziela-jąc Colaianiemu szczegółowych informacji na temat mijanych tu i ówdzie wykopalisk.

Góra Hermon, mająca 2814 metrów wysokości, położona na granicy między trzema skonfliktowanymi krajami, czyli Izraelem, Syrią i Libanem, to jedno z najwyższych wzniesień na Bliskim Wschodzie i ważny punkt strategiczny. Jej południowe i zachodnie zbocza od czasów wygranej przez Izrael wojny sześciodniowej znajdowały się właśnie pod jego kontrolą, a pewne żydowskie przysłowie mówiło nawet - nie bez racji - że kto ma w swojej mocy górę Hermon, ten, jeśli chce, może pluć na głowy sąsiadom.

Wczesnym popołudniem auto zaczęło wspinać się po zachodnim stoku Wzgórz Golan i po godzinnej jeździe krętymi szosami stanęło wreszcie u stóp wielkich kamiennych schodów prowadzących do obserwatorium.

- Ależ tu zimno, niech to szlag! - poskarżył się Colaiani.

- Ostatecznie jesteśmy na wysokości niemal trzech tysięcy metrów nad poziomem morza - odezwał się Jigal Mizrahi, który właśnie schodził, by powitać nowo przybyłych.

- Jak tam? - spytał Ilan, serdecznie go ściskając. - Poznaj Afderę Brooks, księdza Maximiliana Kronauera i profesora Leonarda Colaianiego z Uniwersytetu Florenckiego.

- Bardzo mi miło. Proszę do środka, bo rzeczywiście jest zimno.

Obserwatorium astronomiczne na górze Hermon cieszyło się światowym uznaniem. Zespół badawczy doktora Mizrahiego miał

na swoim koncie odkrycie gwiazd, planet i ich satelitów.

- Choć specjalizuję się astronomii pozycyjnej, czyli astrometrii, a także w astrofizyce, która zajmuje się przykładaniem do całego kosmosu najnowszych osiągnięć fizyki, interesuję się też historią astronomii i właśnie dlatego Ilan tu państwa ściągnął. Powiedział, że usiłują państwo ustalić położenie pewnego konkretnego grobu w Akce.

- Właśnie tak. Wiemy, że chodzi o Akkę, dzięki pewnej trzynastowiecznej arabskiej inskrypcji, która w tłumaczeniu głosi mniej więcej coś takiego: „Tam, gdzie spoczywa święty rycerz od lwa, w miejscu, w którym wznosi się gwiazda, w mieście wciąż uświęconym, znajdziesz słowo prawdziwego wybrańca, który pochodzi z wielkiego plemienia, tego, które nie ma króla, i który poprowadzi lud Izraela”. Udało nam się rozszyfrować większość tej zagadkowej formuły, ale mamy problem z tym fragmentem o gwieździe i sądzimy, że chodzi w nim o położenie grobu - wyjaśniła

Afdera.

- W trzynastym wieku na Bliskim Wschodzie dość popularne były zegary słoneczne i księżycowe, wykorzystywane do ustalania godzin modłów - powiedział Mizrahi. - Zegary te określały cztery strony świata, a ich wskazówka skierowana była w stronę Kaaby w Mekce. Zresztą muzułmanie do tej pory wielką wagę przykładają do kwestii kierunku: mihraby w meczetach zorientowane są zawsze na Mekkę.

- Czy w trzynastowiecznej Akce był meczet? - zainteresował

się Max.

- Niech mi ksiądz pozwoli dokończyć. Przy wnoszeniu budynków sakralnych architekci dbali o zaznaczenie linii północ-po-

łudnie, a żeby wskazać kierunek, w którym należało kierować modły, wbijali w ścianę dwa gwoździe - ciągnął Mizrahi. Pokazał

gościom trzynastowieczne mapy wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. - Zdziwiliby się państwo, widząc, jak dokładne mapy powstawały dzięki pomiarom bazującym na takich metodach, na przykład w państwie al-Mamuna. Ale i wcześniej.

Eratostenes już w trzecim wieku przed naszą erą wyznaczył średnicę Ziemi.

- Kto to był Eratostenes? - spytał Max.

- Grecki matematyk, astronom, filozof i geograf. Do wielu z jego odkryć odwoływano się potem przez długie wieki.

- Szczerze mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiem

- wyznała Afdera.

- A przecież to proste. Arabowie nie wyznaczali położenia tak jak my, w oparciu o punkty na ziemi, tylko na podstawie punktów na niebie. Kiedy Ilan zadzwonił do mnie i zacytował

ten fragment o gwiazdzie, od razu pomyślałem o gwiazdozbiórze Wolarza. Przede wszystkim wprowadziłem do naszego komputera dane dotyczące przybliżonej lokalizacji grobu. Miałem to ułatwić, że zawężili państwo obszar poszukiwań do Akki. Po chwili zaczęły mi wyskakiwać pozycje gwiazd i na ich podstawie można spróbować ustalić coś konkretniejszego.

- Co to za konstelacja, ten gwiazdozbiór Wolarza? - spytał

Colaiani, przerywając wyjaśnienia astronoma.

- To jedna z osiemdziesięciu ośmiu konstelacji znanych współ-

cześnie, ale wśród czterdziestu ośmiu innych wymienia ją już Ptolemeusz. Jej gwiazdy układają się w sylwetkę człowieka zwró-

conego w stronę Wielkiej Niedźwiedzicy.

- Czy takie orientowanie się według gwiazd było skuteczne?

- Owszem. Proszę mi wierzyć, Arabowie byli w tym czasie znacznie do przodu w stosunku do Zachodu. Podczas gdy w Europie ludzie marli od zarazy i płonęli na inkwizycyjnych stosach, na terenie dzisiejszego Iraku stworzono Dom Mądrości, żeby uczeni mogli tam spokojnie pracować.

- Ale przecież Ludwik IX nie miał pod ręką żadnego arabskiego kartografa, a jeśli nawet miał, to nie zachował się na ten temat ani jeden przekaz - zauważył Colaiani.

- To, że nie zachowały się przekazy, o niczym jeszcze nie świadczy - odparł Mizrahi. - Wielu ówczesnych władców interesowało się księgami wychodzącymi spod pióra arabskich uczonych.

Bo i było czym. Weźmy taką na przykład busolę: choć została wynaleziona przez Chińczyków, przez Arabów wzmiankowana jest już około 1220 roku. Prawdopodobnie to oni wprowadzili ów wynalazek do Europy. W średniowieczu, w przeciwieństwie do Europejczyków, byli bardzo mobilni. W 1154 roku al-Idrisi, opierając się na informacjach przekazanych przez Ptolemeusza, sporządził dość dokładną mapę świata. Co więcej, to Arabowie przywrócili do życia dzieła starożytnych klasyków. A wymiana kulturowa między Europą a Bliskim Wschodem ożywiła się wła-

śnie w trzynastym wieku.

- No dobrze, ale gdzie miałyby się znajdować grób naszego rycerza? - wtrącił się po raz kolejny Max.

- Wedle moich danych gdzieś koło karawanseraju Khan el-Shawarda - stwierdził Mizrahi, wyjmując jakąś kartkę z drukarki.

- W Akce zachowały się trzy karawanseraje - wyjaśnił Ilan.

- Khan el-Faranj ze swoim osiemnastowiecznym kościołem Franciszkanów, Khan el-Udman, z wieżą zegarową, w czasach krucjat leżący w dzielnicy genueńczyków, oraz Khan el-Shawarda związany z działalnością Wenecjan.

- Proszę, wracamy do Wodnego Labiryntu - mruknęła Afdera.

- Słucham? - zdziwił się Mizrahi.

- Nie, nic takiego. Ilan, a czy w okolicy któregoś z tych karawanserajów jest jakaś budowla z trzynastego wieku?

- Khan el-Shawarda ma trzynastowieczną wieżę.

Słyszając to, Afdera, wydała okrzyk radości, ściągając na siebie zdumione spojrzenia wszystkich

czterech mężczyzn.

- Grób musi być tam! Ilan, jestem pewna, że miejsce wiecznego spoczynku rycerza Hugona de Fratens znajduje się właśnie pod tą wieżą.

- I co mam w związku z tym zrobić? Zburzyć ją?

- Nie. Po prostu załatw mi pozwolenie na rozpoczęcie prac wykopaliskowych - powiedziała błagalnym tonem Afdera.

- Wiesz, że dla ciebie wszystko, ale *to*, o co prosisz, *to czyste szaleństwo*. Zdajesz sobie sprawę, ile potrwa załatwianie takiego pozwolenia?

- Tobie wydadzą je od ręki.

- Jeśli wystąpię w imieniu Wydziału Starożytności Izraela. Ale w takim wypadku Izrael musi coś na tym zyskać.

- Zyska rozgłos, mój drogi, rozgłos. Pomyśl, co by się stało, gdybyśmy po dziewiętnastu stuleciach odnaleźli dokument spisany przez ucznia jednego z apostołów Chrystusa! Tęby było odkrycie na miarę zwojów znad Morza Martwego, okupione krwią wielu ludzi. Ilan, błagam, zrób to dla mnie...

- Dobrze, spróbuję. Mam nadzieję, że nie chodzi o kolejną legendę w stylu opowieści o Arce Przymierza z góry Ararat...

- Na pewno pierwszy się o tym przekonasz.

- Zgoda. Jutro z rana wracam do Jerozolimy i zajmę się formalnościami. Skontaktuję się też z kim trzeba w Akce.

- Jesteś naprawdę kochany - zawołała Afdera, rzucając mu się na szyję.

Tej nocy Afdera w ogóle nie położyła się spać, tylko spisywała wszystko, czego się dowiedziała od Jigala. Babcia byłaby ze mnie dumna, pomyślała. Mimo przenikliwego chłodu, z przyjemnością obserwowała doskonale widoczne w tym miejscu nocne niebo.

Nagle stukot kroków za jej plecami przerwał ciszę.

- O czym myślisz?

- O, cześć, Max. Myślałam o tym, jaki tu spokój, w przeciwieństwie do tego, co się dzieje na dole, w Izraelu, Syrii, Libanie...

Wszyscy ci ludzie mordujący się nawzajem w imię Boga. . Czasem wydaje mi, że lepiej by było, gdyby człowiekowi nie została dana wolna wola.

- Pomyśl jeszcze o tych szaleńcach, zabijających osoby, które miały styczność z księgą Judasza - dodał Max. - Jeden z papieży powiedział kiedyś, że w dniu, kiedy chrześcijaństwo stanie się instrumentem fanatyzmu, otrzyma cios prosto w serce i straci siłę.

Chyba miał rację. Zastanawia mnie tylko, czy całe to cierpienie nie poszło na darmo.

- Przestań. Wyobraź sobie, jakie znaczenie list Eliezera miałyby dla chrześcijaństwa właśnie, dla katolików, ale i dla naukowców.

Jak wspaniale by było dostać w ręce tekst napisany przez ucznia jednego z apostołów Chrystusa, przez kogoś, kto znał kogoś, kto towarzyszył Jezusowi podczas Ostatniej Wieczerzy, w Ogrójcu, a potem w drodze na Golgotę...

- Czyżbyś już zapomniała o tamtych wszystkich, którzy zginęli z powodu tej księgi: o Boutrosie Reyko, Abdelu Gabrielu Sayedzie, Lilianie Ransom, Wernerze Hoffmannie, Sabine Hubert, Burcie Hermanie, Efraimie Shemelu... Nie mówiąc o twoich rodzicach.

- To zabrzmiało jak wyrzut. A przecież cokolwiek zrobiłam, zrobiłam także dla nich. Ktoś kiedyś powiedział, że zemsta najsłabszego jest zawsze najokrutniejsza. Moja będzie polegać na ujawnieniu treści tych dwóch dokumentów.

- Skąd pewność, że uda ci się dokończyć to, co zaczęłaś? Ci maniacy od ośmiokątów na pewno zechcą nam w tym przeszkodzić. Pytanie, kto będzie szybszy: my czy oni.

- Zastanawiałeś się nad nami? - spytała nagle Afdera.

- Zostawmy to na później, dobrze?

Zapadło milczenie. Słyszeć było tylko wiatr świszczący w ska-

łach. Nad Bliskim Wschodem wstawało słońce.

Wkrótce potem Ilan odjechał do Jerozolimy.

- Wezmę ze sobą profesora Colaianiego. Chciałby przejrzeć przechowywane u nas plany Akki. Jigal zawiezie was do Tyberiady.

Tam wynajmiecie samochód. Czy mogę prosić, żeby ksiądz dopił-

nował, by ta oto szalona kobieta nie narobiła w Akce głupstw, zanim przyjadę?

- Oczywiście, niech pan się nie martwi. Dla pewności po prostu ją zwiążę - oświadczył Max, zerkając spod oka na Afderę.

- Skończyliście? - zirytowała się ona. - Świetnie. To skoczę po swoje rzeczy.

- Do Tyberiady jest zaledwie sześćdziesiąt pięć kilometrów.

Za jakąś godzinę będziemy na miejscu - zapewnił Mizrahi.

Afdera pożegnała się jeszcze z Ilanem i Colaianim.

- Uważajcie na siebie - powiedziała.

- A ty czekaj spokojnie na mój przyjazd - przykazał ponownie dyrektor Wydziału Starożytności Izraela, wsiadając do auta.

Tyberiada była gwarnym letniskowym miasteczkiem, które zimą wszakże pustoszało. Terenowy samochód Jigala Mizrahiego zatrzymał się przed budynkiem z szyldem: „Eldan. Samochody do wynajęcia”.

- Akka jest około czterdziestu pięciu kilometrów stąd. Radzę wam obejrzeć jezioro. O tej porze nie ma jeszcze autokarów z pielgrzymami.

- Dziękujemy za wszystko, Jigal. Naprawdę bardzo nam pan pomógł - pożegnała się Afdera.

- Powodzenia. Niech ksiądz na nią uważa - rzucił na odjezd-nym astronom.

Max i Afdera wynajęli auto i ruszyli w stronę wybrzeża, ku legendarnej Akce. Po drodze minęli Rogi Hittinu, miejsce słynnej bitwy stoczonej w 1187 roku przez krzyżowców z wojskami sułtana Saladyna.

- To ciekawe - odezwała się Afdera. - Zupełnie jakby Hugo de Fratens nas prześladował. To właśnie tutaj Saladyn wybił

tysiące templariuszy i szpitalników dowodzonych przez wład-cę Królestwa Jerozolimskiego Gwidona z Lusignan oraz pana Zajordanii Renalda z Chatillon.

- Niesamowity widok - mruknął Max wpatrzony w otwierającą się przed nimi równinę.

Saint Jean d'Acre, obecna Akka

Możemy wynająć pokój w jakimś hotelu na Starym Mieście - zaproponowała Afdera, gdy wjechali do Akki. - Tam zaczekamy na wieści od Iliana i Colaianiego.

- Dobrze. Byłem tu kilka lat temu i spałem wtedy przyjemnym hoteliku pod nazwą Walied Hostel, położonym zresztą całkiem niedaleko interesującej cię wieży.

Przez resztę dnia zwiedzali okolice Khan el-Shawarda. W wielu miejscach natykali się na symbole wolnomularskie, takie jak cyrkiel i węgelnica, oraz znaki krzyżowców. Afdera przekonała się, że wieży nikt nie pilnuje.

- Może zakradlibyśmy się do niej późnym wieczorem, po zamknięciu targu? - spytała.

- Znowu zaczynasz.

- Oj, Max, nie bądź tchórzem. Jesteśmy już naprawdę blisko celu. . Czuję się prawie tak, jakbym trzymała list Eliezera w ręku.

Pomożesz mi?

- Nie, a jak się będziesz upierać, to cię przywiążę do łóżka, żebyś nie wykradła się, kiedy zasnę.

- O, czyli jednak będziemy spać w jednym pokoju. - Afdera się uśmiechnęła.

- Mieliśmy nie poruszać tego tematu, dopóki nie uporamy się z innymi sprawami.

- Jakiego tematu?

- Daj spokój. Przecież dobrze wiesz, o *co mi* chodzi. A o samotnej nocnej wyprawie do wieży zapomnij.

- To chodź ze mną. Inaczej pójdę sama.

- Do diabła, Afdero! Aresztują nas! Albo stanie się jeszcze coś gorszego.

-Max...

- Dobra. Zgadzam się. Choć nie wiem, dlaczego to robię. Kupmy teraz, co trzeba, i wracajmy do hotelu. Musimy trochę odpocząć, bo czeka nas bardzo, ale to bardzo długa noc - mruknął.

Gdy zapadł zmierzch, ulice się wyludniły. Rojny przed południem targ rybny i korzenny zupełnie opustoszał. Przed opuszczeniem hotelu Afdera włożyła do wojskowego plecaka nożyce do cięcia blachy, dwa lewarki, dwa młotki, kilka metalowych i drewnianych klinów, dwie latarki i dwie liny.

- Strasznie zimno! - poskarżył się Max.

- Ciągnie od morza.

- Naprawdę nie rozumiem, co ja tu z tobą wyczyniam.

Powinniśmy zaczekać na liana.

- Przestań wreszcie.

Nie zwrócili uwagi na dwóch śledzących ich mężczyzn. Zabójcy z Kręgu Octogonus deptali im po piętach.

Postawiona w trzynastym wieku wieża górowała nad okolicą.

Obok wznosił się meczet Ahmeda al-Dżazzara, wszystko wokół

tonęło w księżycowym blasku.

- Poświęć mi - szepnęła Afdera, wydobywając z plecaka noży-ce, którymi zamierzała przeciąć gruby łańcuch broniący dostępu do wieży.

- Jeśli ktoś nas zobaczy, *to* natychmiast wezwie policję.

- Nic się martw. Jak nas złapią, Ilan zaraz wyciągnie nas z więzienia. No, pomóż.

Wspólnymi siłami otworzyli ciężkie, skrzypiące drzwi.

- Czego właściwie szukamy?

- Jakiejś płyty kryjącej wejście do podziemi. Gdzieś tu musi być coś takiego. Rozejrzyj się tam.

- O to ci chodziło? - spytał Max, oświetlając kamienny blok z wyrytym na nim lwem.

- Tak sądzę - odrzekła Afdera. - Teraz trzeba spróbować to podnieść. Zazwyczaj wejścia do katakumb dają się stosunkowo łatwo otworzyć.

Zaczęli odgarniać pył, który nagromadził się przez wieki wokół

płyty. Afdera usiłowała ją podważyć, Max dmuchał, by oczyścić szczeliny.

- Podłóżmy lewarek i zobaczymy, co będzie.

- Zgoda.

- Raz, dwa, trzy...

Płyta drgnęła.

- Włóż tu kliny i popychaj... Tak, świetnie...

Kamień przesunął się nieznacznie.

- Jeszcze raz.

- Może jednak zaczekamy na liana i poprosimy o pomoc?

- Uspokój się i pchaj.

W końcu ukazała się czarna czeluść. Afdera przystawiła latarkę, próbując coś dojrzeć w szczelinie, ale bezskutecznie.

- Jeszcze kawałek - wysapał Max.

Otwór powiększył się na tyle, że szczupła osoba mogła się już przecisnąć.

- Zejdę. Obwiąż mnie w pasie sznurem. Jeśli pociągnę raz, to znaczy, że wszystko dobrze, jeśli dwa razy, to znaczy, że zaatakował mnie wielki szczur, więc możesz mnie zostawić i zmykać.

- Kusząca perspektywa.

- Domyślam się - rzuciła, wślizgując się do lochu.

Max ostrożnie popuszczał linę, aż poczuł, że Afdera musiała dotknąć nogami podłoga. Niecierpliwie wyczekiwał uspokajają-

cego szarpnięcia.

Ona tymczasem rozglądała się po wąskim, ozdobionym herbami krzyżowców korytarzyku, który kończył się nieco większym pomieszczeniem przywodzącym na myśl przedsionek. Poświeciła sobie, wypatrując jakichś drzwi, a potem zaczęła opukiwać ściany.

W końcu głuchy dźwięk odpowiedział jej, że znalazła to, czego szukała.

Kilkakrotnie uderzyła w ścianę z całej siły, aż fragment muru osunął się, odsłaniając kolejne pomieszczenie. Przez powstałą w ten sposób dziurę Afdera wsunęła rękę z latarką, z ciekawością zaglądając do środka. W głębi stały trzy kamienne sarkofagi.

Powiększywszy nieco otwór, prześlizgnęła się do wnętrza i dokładnie obejrzała sarkofagi. Jedyne ten ustawiony pośrodku miał z boku znak krzyża. Właśnie w nim musiał leżeć Hugo de Fratens, wybrany przez króla Francji na strażnika listu Eliezera.

Afdera uznała, że zanim przystąpi do bliższych oględzin, powinna wrócić do czekającego na nią Maksa.

- Max, jesteś tam?

- Tak. Znalazłaś coś?

- Trzy sarkofagi, z których jeden z pewnością zawiera zwłoki chrześcijanina, bo ma krzyż z boku. Poza tym stoi między dwoma pozostałymi, pośrodku, i coś mi się zdaje, że to miejsce wiecznego spoczynku naszego Hugona de Fratens. Musisz wrócić do hotelu i przynieść mi aparat fotograficzny. Trzeba to udokumentować.

- Nie zostawię cię tu samej.

- Nie wygłupiaj się. Nic mi się nie stanie. Nikogo tu nie ma.

Leć do hotelu i szybko wracaj. Ja w tym czasie porobię notatki.

- Dobrze, pójdę, ale ty się stąd nie ruszaj - zastrzegł Max.

- A dokąd miałabym iść? Pospiesz się.

Max wypuścił z rąk linę i wypadł z wieży. Biegając, słyszał

swoje kroki i własny przyspieszony oddech. Afdera tymczasem wróciła do pomieszczenia z sarkofagami i zamiast zgodnie ze zło-

żoną Maksowi obietnicą robić notatki, zaczęła otwierać środkowy, podważając wieko metalowymi klinami.

Pokrywa powoli ustępowała, aż wreszcie oczom Afdery ukazały się szczątki tego, kto wiele wieków wcześniej był rycerzem króla Ludwika IX, Hugonem de Fratens. To, co niego zostało, niemal w całości przykrywał wielki puklerz z godłem szpitalników. Afdera ostrożnie zdjęła puklerz i odłożyła na bok. Teraz miała przed sobą wyblakłe resztki ubioru i szkielet. Przyjrzała mu się uważnie.

Na jednym z jego palców błyszczał pierścień. Dmuchnęła, by oczyścić go z pyłu, i ujrzała herb z lwim pazurem, znak rodziny de Fratens.

Hugo de Fratens miał zaciśnięte kości dłoni na ogromnym mieczu, który mierzył półtora metra, a ważył zapewne około czterech kilogramów. Taka broń, trzymana oburącz, używana była do walki pieszej, głównie po to, by złamać zwarte szeregi jazdy wroga i otworzyć w nich wyłom własnej konnicy.

I wtedy Afdera przypomniała sobie inskrypcję z tronu świętego Piotra: „Tam, gdzie spoczywa święty rycerz od lwa, w miejscu, w któ-

rym wznosi się gwiazda, w mieście wciąż uświęconym, znajdziesz słowo prawdziwego wybrańca, który pochodzi z wielkiego plemienia, tego, które nie ma króla, i który poprowadzi lud Izraela”.

Przez chwilę stała wpatrzona w głowicę rękojeści, ozdobioną wizerunkiem sześcioramiennej gwiazdy. Potem wyjęła broń z rąk kościotrupa i położyła ją na ziemi, a następnie zaczęła majstrować przy rękojeści, ciągnąc do góry głowicę. Przy czwartej próbie głowica ustąpiła, odsłaniając znajdującą się wewnątrz trzonu rękojeści skrytkę, a w niej - doskonale widoczny w silnym świetle latarki zwinięty w rulon papier.

Afdera wyciągnęła go ostrożnie, czubkami palców. Na pierwszy rzut oka był to zwykły kawałek papirusu. Bała się go uszkodzić, ale musiała wiedzieć, co zawiera. Delikatnie go rozwinęła.

Papirus okazał się pokryty dziwnymi znakami, które niemal od razu rozpoznała jako pismo aramejskie. Nie wątpiła już, że oto znalazła list Eliezera.

Oglądała z satysfakcją znalezisko, gdy nagle usłyszała za plecami czyjeś kroki.

- Max? To ty?

W tym momencie ojciec Cornelius rzucił się na nią, unosząc cienkie ostrze mizerykordii. Afdera w odruchu obronnym cofnęła się za sarkofag, ale napastnik był szybszy i jednym skokiem znalazł się przy niej. Ścisnęła mocniej latarkę i zamachnęła się nią, celując w głowę tamtego - bez większych rezultatów. Wskórała tylko tyle, że pod wpływem wstrząsu latarka zgasła i pomieszczenie pograżyło

się w całkowitej ciemności, a wtedy zabójca z Kręgu Octogonus z łatwością sięgnął ofiary. Poważnie ranna w brzuch, krwawiąc obficie, Afdera pomyślała jeszcze, że nie wie, gdzie jest list. Należał do niej przez kilka chwil, a później napastnik musiał go zabrać.

Oparta o ścianę, powoli traciła świadomość tego, co się wydarzy-

ło i jak właściwie znalazła się w tym miejscu. Powinna sobie przypomnieć. No, Afdera, spróbuj... Spróbuj... Jak się tu dostałaś?

Wbiegając do wieży, Max zobaczył mordercę, który stał nad wejściem do podziemi i rozplątywał linę okręconą wokół pasa.

- Kim pan jest? - zawołał Max i dokładnie w tej samej chwili tamten rzucił się na niego z zakrwawionym sztyletem w dłoni.

Kronauer zręcznie uskoczył w bok i ostrze przeszło kilka centymetrów od niego, ale ojciec Cornelius szybko otrząsnął się z zaskoczenia i ponowił atak, mruczając pod nosem:

- *Nulla protestas nisi a Deo**.

Tym razem Max zaparł się o ścianę i chwycił napastnika za nadgarstki. Szarpali się przez moment, aż w końcu upadli na posadzkę. Ojciec Cornelius, choć słabszy od Kronauera, miał

jednak więcej wprawy - oswobodził się więc i pobiegł do wyjścia, roztopiając się w nocnych ciemnościach. Nie zauważył, że podczas walki zgubił torbę z listem Eliezera.

Doszedłszy do siebie, Max obwiązał się sznurem i zsunął

po nim w głąb krypty.

- Afdera? Afdera! Wszystko w porządku? - krzyczał, świecąc sobie latarką.

Nie otrzymał odpowiedzi. Afdera pólleżała, wsparta o mur.

Max natychmiast zrozumiał, że jest z nią bardzo źle.

- Mam mokre ręce - zdołała wyszeptać, patrząc na lśniące od krwi dłonie.

-Spokojnie, kochanie, spokojnie... Wydostanę cię stąd

- powiedział, usiłując ją podnieść.

- Nie, zostaw mnie. Prawie nie czuję bólu.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - błagał Max, dźwigając ją i czując, jak jej krew przesiąka mu przez koszulę. - Położę cię tutaj, żebyś trochę odpoczęła - dodał po chwili.

-List... List... Ten człowiek go zabrał... Biegnij za nim i zabierz mu list Eliezera - powtarzała Afdera, wciąż chyba nie całkiem świadoma, co naprawdę się stało.

Bezradnie przyglądając się krwi wypływającej z rany na brzuchu, powoli zamknęła oczy.

-Już pamiętam... Byłam w Hicksville... Tak dawno...

- wyszeptała z trudem.

Widząc jej śmiertelnie bladą twarz, Max przeraził się że to już koniec.

* *Nulla protestas nisi a Deo* (łac.) - Każda władza pochodzi od Boga.

EPILOG

Genewa

Ojciec Alvarado przytrzymał dłońmi w rękawiczkach machającego odnóżami żółtego skorpiona, zwanego również niosącym śmierć, zmuszając go do oddania jadu.

Ten gatunek skorpiona zamieszkuje północną Afrykę i Bliski Wschód. Choć kolec jadowy żółtych skorpionów nie odznacza się szczególną długością, ich ukłucie wywołuje bardzo silny ból, wysoką gorączkę, konwulsje, paraliż, śpiączkę i w końcu śmierć. Ojciec Alvarado upewnił się, że hipotermiczna strzykawka zawiera wystarczającą ilość żółtawego płynu, po czym schował

ją do metalowego pudełka i czekał.

Położona w jednej z najbardziej eleganckich dzielnic Genewy posiadłość Greka była naprawdę imponująca. Czego nie dało się powiedzieć o stosowanych do jej ochrony zabezpieczeniach. Tu i ówdzie spacerowali wprawdzie uzbrojeni strażnicy, nie zwracali wszakże specjalnej uwagi na nic, co się działo wokół.

Ojciec Alvarado wdrapał się na dach zaparkowanej przy ogrodzeniu dostawczej furgonetki i przeskoczył na drugą stronę, nawet nie musnąwszy kabla uruchamiającego alarm. Potem, niezauważony, przeciął pole golfowe i znalazł się w pobliżu głównego budynku.

Przyczajony w ogrodzie obserwował służącego, który krzątał

się po salonie zastawionym starożytnościami. Wiedział, że pod wieczór ten właśnie lokaj po raz ostatni obejdzie dom i włą-

czy alarmy w poszczególnych pomieszczeniach, zostawiając jednak wolny od czujników główny korytarz, na wypadek, gdyby Kalamatiano zapragnął nocą zejść po coś do kuchni.

I tą drogą ojciec Alvarado zamierzał się dostać do sypialni Greka. Wślizgnął się do domu i ukrył w schowku pod głównymi schodami, by zaczekać, aż wszyscy pójdą spać.

Gdy uznał, że już pora, opuścił swoją kryjówkę, i zaczął iść po marmurowych schodach, niemal przyklejony do ściany, trzymając się prawej strony, jako że czujniki sięgały tylko lewej.

Ze strzykawką w dłoni stanął wreszcie pod drzwiami na końcu korytarza, przed sypialnią marszanda. Cicho wsunął się do środka i podszedł do łóżka. Na nocnym stoliku leżało szklane oko Kalamatiana, zdając się groźnie wpatrywać w zabójcę.

Ojciec Alvarado zdjął ze strzykawki gumowe zabezpieczenie i wbił igłę w udo ofiary. Grek nawet tego nie poczuł. Morderca zaś wyjął z kieszeni wycięty z materiału ośmiokąt i położył go na stoliku obok szklanego oka.

Potem wypowiedział jeszcze zwykłą formułę Kręgu i opuścił dom.

Godzinę później zaatakowanym przez neurotoksynę żółtego skorpiona ciałem Kalamatiana wstrząsnęły pierwsze skurcze.

W ciągu następnych czterdziestu minut wystąpiły konwulsje, a temperatura sięgnęła czterdziestu stopni. Wreszcie po kolejnych dwóch godzinach marszand umarł „w tajemniczych okolicznościach”. Kolejny pionek został usunięty z szachownicy.

Gdzieś w Rzymie

Maximilian

Kronauer

rozprostował

pobrudzony krwią Afdery papirus i w świetle lampki przyjrzał

się uważnie pokrywającym go znakom. Stanowiący przyczynę tyłu śmierci list Eliezera, ucznia Jezusa Iskarioty, spisany był

syryjską odmianą aramejskiego i on, Maximilian Kronauer, jako jeden z nielicznych ludzi na świecie, potrafił go odczytać. I chciał

go zrozumieć, chciał się dowiedzieć, w imię czego umarło tak wiele osób. Musiał się przekonać, czy Judasz ostatecznie zdradził Chrystusa, czy nie.

Umieściwszy kartę między dwiema szybkami, przystąpił

do robienia notatek.

Da milta d-hayyutha d-amar li rabbuni w-Eliezer talmideh ktab... Oto słowa mistrza wiernie spisane przez jego ucznia Eliezera. Amar Yeshua l-rabbuni di: „In titrahaq min habraya w-ipasher lakh razzaya d-malkhutha”. Jezus powiedział memu mistrzowi: „Oddalmy się na bok, abym ci zdradził tajemnice Królestwa”. Tukhal l-mimteya Iah, Iahen b-isuraya saggiya.

„Wejdiesz do niego, lecz za cenę wielkiego cierpienia...”

Przez kilka następnych dni Max nie opuszczał swojej kryjówki, dniem i nocą pracując nad tłumaczeniem przekłętego listu.

W końcu pewnego ranka przekład uzyskał ostateczny kształt i spójne znaczenie, potwierdzając najczarniejsze obawy hierarchów Kościoła. Max odczytał tekst jeszcze raz.

Oto słowa mistrza wiernie spisane przez jego ucznia Eliezera.

Jezus powiedział memu mistrzowi: „Odlącz się od nich, abym ci zdradził tajemnice Królestwa.

Wejdiesz tam, lecz za cenę wielkiego cierpienia. Albowiem inny zajmie twoje miejsce, aby pozostali mogli wypełnić swój obowiązek wobec tego, kogo uważają za swego pana".

Po Ostatniej Wieczerzy Jezus zgromadził swych uczniów, wśród których był także mój mistrz, i rzekł do nich: „Ten z was, który ma dość siły, niech przestanie istnieć dla ludzi, a stawia się przede mną". I odparli mu: „Mamy dość siły", lecz ich duch nie mógł się odważyć, aby stanąć w jego obecności, poza moim mistrzem, Judaszem Iskariotą.

Jezus, jak powiedział mi mistrz, spojrział wtedy na nich i rzekł: „Dlaczego skłoniście do gniewu? Wasz pan, który jest wśród was, rozpalił gniew w waszych duszach, oprócz jednej.

Znajdźcie w sobie doskonałość i stawcie się przede mną".

** Ten i następne fragmenty listu Eliezera oparte na tekście Ewangelii Judasza w przekładzie księdza Wincentego Myszora.*

Mistrz zdradził mi następnie, że kilka dni przed pojmaniem w Ogrójcu Jezus zwrócił się do niego w te słowa: „Chodź, a pokażę ci rzeczy jeszcze niewidziane. Albowiem wielkie jest Królestwo, nieobjęte nawet wzrokiem zastępów anielskich, a w nim wielki i niewidzialny Duch, niedostępny i dla aniołów, nieprzeczuty przez ludzi i nigdy nienazwany żadnym imieniem".

A potem rzeki: „Ty przewyższysz ich wszystkich, albowiem poświęcisz ciało, w którym żyję, i tak, na rozkaz Boga, pójdziesz moją ścieżką i poprowadzisz tych, co pójdą za tobą".

I powiedział mi mistrz, że przed śmiercią spytał go Jezus, oddzieliwszy od reszty: „Kto poprowadzi plemiona Izraela?".

A potem rzekł: „Ty, Judaszu, poprowadzisz je i rozgłosisz nowinę. Tyś najbardziej doświadczony, najukochańszy i będziesz też najbardziej niezrozumiany. Tylko ty, a nie Kefas. On bowiem w swej porywczosci nie zdoła przekazać nowiny. Więc od tej pory ty, Judaszu, wznosić będziesz Kościół sprawiedliwych. Takie jest twoje posłannictwo od Boga i tak ci mówię, jako Jego Syn.

A obraz wielkiego pokolenia Adama zostanie zmacony, albowiem wcześniej niż niebo, ziemia i aniołowie istniało to pokolenie wywodzące się z wiecznego Królestwa. Tak więc wszystko zostało ci powiedziane. Wznieś oczy i patrz na obłok i na światłość, która jest w nim, i na gwiazdy, które go otaczają. Ta gwiazda, która wyznacza drogę, jest twoją gwiazdą".

A wtedy Judasz wniósł oczy i zobaczył świetlisty obłok, i w nim się zanurzył. Ci zaś, co byli na ziemi, usłyszeli dochodzący z niej głos, który mówił: „Ty, Judaszu, pochodzisz z wielkiego pokolenia bez króla. Ty będziesz moim posłańcem".

Skończywszy lekturę, Max zadumał się głęboko. Bo kto w końcu był zdrajcą i dlaczego? Chrystus wyznaczył Judasza na swego wysłannika i może dlatego Piotr *zmusił go* do ucieczki do Aleksandrii.

Nie ulegało wątpliwości, że bez względu na wiele niejasnych punktów list Eliezera był dla Watykanu niewygodny. Ostatecznie wynikało z niego, że gmach Kościoła został wniesiony na niewła-

ściwej skale.

Dlatego Max zamierzał wykorzystać ów dokument jako kartę przetargową w czekających go negocjacjach.

Więzienie Rebibbia zu Rzymie

Papież samotnie zmierzał do celi T4. Kierujący watykańskim wywiadem kardynał Belisario Dandi, szef watykańskiej żandarmerii Giovanni Biletti oraz sekretarz stanu czekali w milczeniu.

Ojciec Święty, powłócząc nogami, szedł betonowym korytarzem, zatrzymywał się u kolejnych drzwi, błogosławił zamkniętych za nimi więźniów, i ruszał dalej, ku celi T4.

Trzymany w niej zamachowiec na widok gościa ukląkł i ucałował

papieski pierścień. Miał spędzić w tych czterech ścianach resztę życia. Gdy usiedli, pochylił się do ucha Jego Świątobliwości i zaczął

szeptać, a w miarę jak mówił, twarz papieża pochmurniała.

Po opuszczeniu celi Ojciec Święty wrócił do swoich towarzyszy i patrząc wprost na sekretarza, powiedział:

- Módlmy się, aby przemoc i fanatyzm nie miały dostępu do Watykanu.

Nieco później kardynał Dandi tłumaczył Lienartowi:

- Ten Turek nic nie wie. Jeśli rzeczywiście chodziło o jakiś spisek, jego uczestnicy byli zawodowcami, a zawodowcy nie zostawiają śladów.

- A może Jego Świątobliwość po prostu nie chciał się z nami podzielić tym, co usłyszał?

- Nie sędzę.

Watykan

Był przyjemny wieczór. Po raz pierwszy od wielu dni przestało padać i kardynał Lienart postanowił wybrać się na swój

zwyczajowy spacer po watykańskich ogrodach. Sam - bez sekretarza czy eskorty, bez leniwych biskupów i wiecznie coś knujących kardynałów. Lubił przechadzać się wzdłuż murów wzniesionych przez papieża Leona IV, który musiał obawiać się muzułmanów zagrażających Europie w dziewiątym wieku.

Pochylając się, by zaczerpnąć dłonią wody z fontanny, Lienart zauważył, że jednak nie jest sam.

- Witaj, Archaniele - powiedział.

- Dobry wieczór, eminencjo - odrzekł Maximilian Kronauer.
- Co cię do mnie sprowadza?
- Chcę złożyć Jego Eminencji propozycję.
- A jaką ty możesz mi złożyć propozycję?
- Korzystną. Bo tak się składa, że wszedłem w posiadanie czegoś, czego eminencja bardzo pragnie.
- Mój drogi Maximilianie, jeśli nie można mieć tego, czego się pragnie, trzeba pragnąć tego, co się ma. Do takich wniosków doszedłem w ciągu długich lat spędzonych w Watykanie.
- Czyli nie chce eminencja wiedzieć, czego dotyczy moja pro-pozycja?
- Zakładam, że pewnego listu mającego związek z tym zdrajcą Judaszem.
- Może nie taki z niego zdrajca, jakim co poniektórzy chcieliby go wiedzieć. Niewykluczone, że to on został wyznaczony przez Chrystusa do budowy Kościoła, a nie Piotr.
- Drogi Maximilianie, jako ksiądz zdajesz sobie sprawę, że wszelkie gwałtowne posunięcia są dla takiej instytucji jak nasza niewskazane. A zresztą, myślisz, że przeciętny katolik zwróci uwagę na treść tego świstka? Jeśli tak właśnie myślisz, to znaczy, że jesteś niepoprawnym optymistą. Szczerze mówiąc, najbardziej strzec trzeba drobnych sekretów. Te wielkie i tak są bezpieczne, bo nawet ujawnione wywołują powszechne nie-dowierzanie.
- Kropla draży kamień. I kiedyś opinia publiczna zażąda zdania rachunków.
- A, czyli jesteś optymistą. To dobra cecha u młodych. Ale skąd ta nagła troska o stan świadomości tych samych ludzi, których zwykłeś zabijać dla pieniędzy? Skąd tak nagły poryw sumienia? Dlaczego zniecka zaczęło cię interesować, co sądzą masy idiotów? Przecież to wszystko bezmyślni chciwcy, żarłoczni na wszystko: pieniądze, innych ludzi, uczucia... Pożerają, bez większej przyjemności zresztą, trawią i zapominają. Opinia publiczna... Dobre sobie - mruknął ironicznie Lienart, podejmując wędrówkę po wyżwirowanych ścieżkach.
- Wysłucha eminencja, co mam do powiedzenia, czy powinienem się z tym zwrócić raczej do redakcji „The New York Timesa”?
- Dobrze, już dobrze. Słucham.
- Oddam eminencji list Eliezera, do rąk własnych, pod warunkiem, że nic złego nie przydarzy się już pannie Afderze Brooks, jej siostrze Assai, adwokatowi Sampsonowi Hamiltonowi i profesorowi Leonardowi Colaianemu. Niech eminencja odwoła swoje brytany, a tłumaczenie listu nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Gdyby jednak wymienionym przeze mnie osobom coś się stało, gdyby, dajmy na to, padli ofiarą grypy, a ja miałbym powody przypuszczać, że to dzieło Jego Eminencji, osobiście zadbam o to, by

ów tak pożądaną przez eminencję dokument trafił na pierwsze strony gazet.

- Kiedy dostanę ten list?

- Choćby dzisiaj, jeśli się dogadamy.

Kardynał zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł:

- Wybaczenie to szansa, by zacząć od nowa, nie musząc się cofać. *Aliorum iudicio permulta nobis et facienda et non facienda et mutanda et corrigenda sunt**. Zgadzam się, ale rozumiem, że tamte cztery osoby będą trzymały język za zębami.

- Żadna z nich nie zna treści listu, nawet panna Brooks -

zapewnił Max, wyjmując spod marynarki skórzaną teczkę z listem Eliezera. - Proszę.

Lienart nawet jej nie otworzył.

* *Aliorum iudicio permulta nobis et facienda et non facienda et mutanda et corrigenda sunt* (łac.) - Wedle innych wiele rzeczy powinno być przez nas zrobionych, zaniechanych, zmienionych lub poprawionych.

- Nie zajrzy eminenca do środka?

- Drogi Maximilianie, kto traci wiarę, nie może stracić nic więcej, a kto nie ufa ludziom, nie ufa i Bogu. Nie oszukałbyś mnie przecież. Ja ciebie zresztą też nie. Zbyt wiele o sobie nawzajem wiemy i mnóstwo możemy jeszcze razem działać.

- Na mnie proszę więcej nie liczyć.

- Czemu nie? Tym, co naprawdę się liczy, jest nie tyle siła, ile umiejętność efektywnego jej stosowania. Obecny papież mawia, że Kościół to pieczywa, którą Bóg obdarza świat. W swojej prostocie nie rozumie jednak, że świat w ogólności, a Kościół

w szczególności potrzebuje ludzi takich jak ja, skłonnych rozdawać raczej ciosy niż pieczywa. Jestem obrońcą, strażnikiem Kościoła, i jeśli okrucieństwo, którego, drogi Maximilianie, zdajesz się nie pochylać, służy umacnianiu mojej władzy, a więc tym samym i Kościołowi, zamierzam je stosować.

- Z czasem coraz mniej rozumiem ludzi takich jak eminenca.

- Dziwne. Bo przecież jesteś taki sam. Obaj doskonale przystosowaliśmy się do czasów, w których wypadło nam żyć - oświadczył

kardynał, okrążając jedną z fontann. - Chrześcijaństwo w formie zaproponowanej przez Pana naszego Jezusa Chrystusa to dobra doktryna, dobra w sensie moralnym. Tyle że nikt jakoś nie chce realizować jej założeń, zwłaszcza tu, w dwudziestowiecznym Watykanie.

Słowa Jezusa pobrzmiwają tu zaledwie odległym echem.

- Owszem. I gdyby Chrystus żył dzisiaj, natychmiast uciekł-

by z Watykanu. Mam nadzieję, że korzyści, jakie spodziewa się eminencja wyciągnąć z tego wszystkiego, przewyższą poniesione przy okazji straty. I proszę nie zapominać o naszej umowie. Jeśli którejkolwiek z wymienionych przez mnie wcześniej osób coś się stanie, wrócę tutaj. A wtedy niewiele eminencji pomoże - rzucił

Max, kierując się ku wyjściu z ogrodów.

- To akurat nie jest takie pewne. Do zobaczenia, Archaniele.

Bo na pewno jeszcze się zobaczymy - zakończył Lienart.

-Może i tak... Ale na miejscu eminencji nie cieszyłbym się na to spotkanie - odparł Archanioł, rozplywając się wśród cieni.

Kardynał wrócił do Pałacu Apostolskiego, a znalazłszy się w zaciszu swego gabinetu, wybrał numer biskupa Emery'ego Mahoneya.

- Chciałbym cię prosić, bracie, żebyś jak najszybciej zjawił się u mnie z księgą.

Kilka minut później sekretarz pukał do drzwi gabinetu Lienarta.

- Jestem.

- Wejdz, bracie, i zamknij za sobą drzwi.

Mahoney podszedł do kardynała, przykląkł na jedno kolano i ucałował pierścień ze skrzydlatym smokiem. W dłoni trzymał Ewangelię Judasza.

- Oto księga, eminencjo. Co mam z nią zrobić?

- Trzeba ją spalić w oczyszczającym wszystko ogniu. I ją, i list, który właśnie trafił w moje ręce. Jak najszybciej, jeszcze dziś.

Mam nadzieję, że mogę na ciebie w tym względzie liczyć, bracie Mahoney?

- Oczywiście, eminencjo - odrzekł sekretarz, wycofując się w stronę drzwi.

-Jeszcze jedno - zatrzymał go Lienart. - Niech bracia Alvarado, Pontius i Cornelius wracają do swoich klasztorów i zwykłych zajęć, ich misja chwilowo dobiegła końca. Przekaż im, proszę, że świetnie się spisali i że teraz powinni modlić się za braci, którzy oddali życie w obronie wiary. To wszystko. Pokój niech będzie z tobą, bracie.

-I z eminencją.

Nahariya, dwanaście kilometrów

na północ od Akki

Szpital Nahariya, słucham?

- Proszę mnie połączyć z pokojem 116 - odezwał się Max.

- Momencik.

Chwilę potem dał się słyszeć dźwięk podnoszonej słuchawki.

- Jak się czujesz? - spytał Max.

- Dobrze, nie licząc tej dziury w brzuchu. Straciłam dużo krwi. Gdyby nie ty, już bym nie żyła - odpowiedziała Afdera słabym jeszcze głosem. - Ocaliłeś mi życie i nie wiem, jak ci się za to odwdzięczę. Kocham cię. Wiem, że z oczywistych wzglę-

dów nigdy mi nie pozwolisz zbliżyć się do siebie naprawdę, ale chciałam, żebyś wiedział. Kocham cię, Max.

- Ja ciebie też. Co nie zmienia faktu, że podążamy zupełnie innymi ścieżkami. A odwdzięczysz mi się, jeśli nie będziesz więcej prowokować Lienarta i jego brytanów. To wystarczy.

- Oddałeś mu list Eliezera, prawda?

- Tylko w ten sposób mogłem zapewnić bezpieczeństwo tobie, twojej siostrze, Samowi i Colaianiemu.

- Wiesz, że ten człowiek zniszczy i list, i księgę, i nigdy się nie dowiemy, co tam było. Należało go wcześniej chociaż przeczytać.

Tylu ludzi zginęło na darmo...

- Może jednak nie.

- Nie rozumiem.

- Bo ja wiem, co było w tym liście. Zawarłem z Lienartem układ: wszystko ujawnię, jeśli coś stanie się tobie, Assai, Samowi albo Colaianiemu.

- To niebezpieczne! Przecież on może próbować cię zabić.

- Nie sądzę, żeby się odważył. Pamiętaj, że jestem bratankiem jego potężnego rywala, kardynała Ulricha Kronauera. Wuj nie puściłby mu tego płazem.

- Co było w liście? Wydaje mi się, że po tym, co przesłałam, zyskałam prawo, by wiedzieć.

- A mnie się wydaje, że im mniej wiesz, tym mniej ci grozi.

Na razie powinnaś mieć spokój. Wróc do normalnego życia. Jesteś młoda, uda ci się.

- I mam to zrobić bez ciebie, prawda?

- Tak, to kara, jaką sobie wyznaczyłem. Zresztą, Lienart powiedział, że jeśli kiedykolwiek jeszcze cię zobaczę, nasz układ straci ważność, a ty, Assai, Sam i Colaiani znów znajdziecie się w niebezpieczeństwie - skłamał Max. - To cena, którą muszę zapłacić. Wygórowana, przyznaję.

Po drugiej stronie linii rozległ się szloch.

- Ale ja cię kocham, Max...

- Ja ciebie też. I dlatego lepiej będzie zrobić tak, jak mówię.

Nie chcę być odpowiedzialny za twoją śmierć. Wiesz, że Lienart nie cofnie się przed niczym.

- Kocham cię, kocham cię, kocham...

- I ja cię kocham, Afdero - odrzekł Max.

Połączenie zostało przerwane.

Castel Gandolfo

Osiemnaście kilometrów od Rzymu, nad

brzegiem jeziora Albano, znajduje się papieska rezydencja, do której kolejni papieże od wieków udają się na letnie wakacje. To właśnie w tamtejszych ogrodach, spędzając czas na modlitwach i spacerach, Jego Świątobliwość wracał do zdrowia po zamachu.

Od wizyty w więzieniu Rebibbia bywał bardziej niż zwykle zamyślony. Rozmowa z niedoszłym zabójcą wyraźnie wytrąciła go z równowagi. W jego pamięci wciąż rozbrzmiewało pewne wypowiedziane przez młodego Turka słowo: Becket.

Tego poranka przed oblicze Jego Świątobliwości został wezwany kardynał sekretarz stanu August Lienart. Wiozący go mercedes, mijając tłumy turystów, wspinał się wzdłuż Ercolano i stanął

przed pierwszym stanowiskiem Gwardii Szwajcarskiej. Dowódca natychmiast rozpoznał samochód dostojnego gościa, a dwaj stojący przy budce strażnicy wyprężyli się w pozycji na baczność.

Auto ruszyło dalej, by wkrótce stanąć na dziedzińcu pałacu wzniesionego w siedemnastym wieku przez Carla Madernę dla papieża Urbana VIII. Rezydencja papieska została następnie rozbudowana przez Barberiniego na polecenie Piusa XI.

- Jego Świątobliwość oczekuje eminencji w ogrodzie. Proszę za mną - powiedział chłodno papieski

sekretarz.

Lienart nigdy za nim nie przepadał, ale ten człowiek pełnił

funkcję sekretarza, powiernika, a nawet spowiednika papieża.

Chcąc się dostać przed oblicze Ojca Świętego, należało pokonać zaporę w osobie jego sekretarza, co dla niektórych stanowiło prawdziwy problem.

Długimi korytarzami przeszli ku wielkim zewnętrznym schodom prowadzącym do rozległych i zadbanych ogrodów. Lienart już z daleka dostrzegł ubraną na biało postać w kapeluszu na głowie, usadowioną na krzeselku nad brzegiem sadzawki. Obok stał

stolik, a jeszcze jedno krzesło wskazywało, że papież spodziewa się gościa.

- Ojcze Święty. . - odezwał się półgłosem sekretarz, delikatnie dotykając ramienia pogrążonego w półśnie mężczyzny. - Ojcze Święty... Jego Eminencja kardynał Lienart już tu jest.

Papież otworzył oczy i wyciągnął ku przybyłemu rękę z pier-

ścieniem.

- Niech eminencja tu przy mnie usiądzie - powiedział, poklepując puste krzesło obok. - Może lemoniady?

- Nie, dziękuję.

Przykazawszy zbierającemu się do odejścia sekretarzowi, by im pod żadnym pozorem nie przeszkadzano, Jego Świątobliwość zaczął rozmowę banalnym na pozór pytaniem.

- Czy eminencja wie, co przedstawia to rzymskie popiersie?

- spytał mianowicie, wskazując pobliską rzeźbę, niemal w całości pokrytą mchem.

- Nie wiem.

- To Polifem, jednooki syn Posejdona i nimfy Toosy. Ulisses uciekł mu z Wyspy Cyklopów. A czy eminencja wie, jak przedstawił się Ulisses, gdy Polifem spytał go o imię?

- Niestety, nie jestem ekspertem od mitologii.

- Przedstawił się mianem *outis*, co można przetłumaczyć jako

„żaden człowiek” albo po prostu „nikt”. Tak właśnie brzmiała odpowiedź tego młodego Turka, gdy zapytałem go, kto kazał

mu mnie zabić. Na początku nie bardzo zrozumiałem. A gdy już wychodziłem z celi, Agca powiedział

jeszcze: „Kluczem jest Becket”. Zna eminencja historię Thomasa Becketa i słowa Henryka II?

- Owszem, znam - odrzekł Lienart. - „Czy nikt nie uwolni mnie od tego klechy?”.

- Utrąpionego klechy - poprawił go papież.

- Rozumiem, że chodzi o jakąś alegorię.

- Do pewnego stopnia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zosta-

łem przez eminencję obsadzony w roli Becketa - stwierdził papież, wprawiając swego rozmówcę w prawdziwe osłupienie. - Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli chce się poznać człowieka, należy dać mu władzę. Mój błąd polegał na tym, że dałem władzę eminencji.

- Już raczej było odwrotnie. Dzięki komu Jego Świątobliwość zasiada na tronie Piotrowym? Proszę przypomnieć sobie przebieg ostatniego konklawe. Kto wtedy odpowiednio pociągał za sznurki? Chyba że woli Świątobliwość wierzyć, że został wyniesiony do tej godności wolą Ducha Świętego. A co do reszty, mając niemal absolutną władzę, nawet osioł potrafiłby rządzić.

- Teraz, gdy tak sobie szczerze rozmawiamy, cieszę się, że zamiast trybikiem reprezentowanego przez eminencję systemu okazałem się raczej jedną z jego niedoszłych ofiar. Władza wystawia człowieka na najcięższą próbę, bo trzeba umieć się oprzeć pokusie jej nadużywania. Dla tych, którzy jej pożądamy, przestaje istnieć cokolwiek między szczytem a dnem przepaści, a eminencja niebezpiecznie balansuje na krawędzi tej ostatniej.

- *Aequam memento rebus in arduis servare mentem. Eram quo des, eris quod sum**. Wspaniale jest mieć świadomość swej zni-komości i dlatego nie pragnąłbym zasiadać na tronie Piotrowym, cokolwiek inni na ten temat sądzą. Próbować udawać, że się jest tym, kim się nie jest, to jakby próbować udawać Boga. Marne szanse na powodzenie. Zawsze twierdziłem, że każdy uczy się na błędach, przy czym niektórzy uczą się na własnych, a inni, tacy jak ja, na cudzych. I to jest zasadnicza różnica między nami.

- Jakże się eminencja myli! Tacyt pisał, że władza zdobyta niecznymi środkami nigdy nie posłuży dobrym celom. Dlatego, gdyby kiedykolwiek wyniesiono eminencję do godności piasto-wanej teraz przeze mnie, Kościół wkroczyłby w jeden z naj-

* *Aequam memento rebus in arduis servare mentem. Eram quo des, eris quod sum* (łac.) - Pamiętaj zachowywać spokój w trudnych chwilach. Kim ty jesteś, ja byłem, czym ja jestem, ty będziesz.

mroczniej szych okresów w swojej historii - stwierdził papież, próbując dźwignąć się z krzesła i krzywiąc się z bólu. - Istnieje tylko jedna prawdziwa władza: władza naszych sumień odda-nych w służbę sprawiedliwości; i tylko jedna chwała: ta, która wiąże się z obroną prawdy. A eminencja nie szanuje ani sprawiedliwości, ani prawdy.

Lienart wpatrywał się w niego, z przyjemnością obserwując cierpienie, które papież sam potęgował każdym swoim ruchem, jakby chciał pokazać, ile potrafi znieść. Wreszcie sekretarz stanu wstał z krzesła i powiedział:

- Jeden z nas wciąż zdaje się wierzyć w niebo i piekło, w dobro i zło. . Cóż, tak czy owak, źli mają tę przewagę, że jest im co prze baczać. Zawsze byłem żołnierzem Pana, gotowym podejmować zadania, przed którymi inni tchórzliwie się cofali. Lepiej działać i ewentualnie potem żałować, niż żałować braku działania. Nie ulega wątpliwości, że bardzo się różnimy. Bo ja nie wierzę w tego waszego Boga z bajeczek dla dzieci.

Z tymi słowami Lienart skierował się do wyjścia, nie słysząc już, jak papież powiedział:

- Każda ziemską władzę trwa krótko, drogi przyjacielu, naprawdę krótko...

Kiedy mercedes sekretarza stanu opuszczał papieską rezydencję, kierując się w dół ku piazza Cesare Battisti, ukryty jakieś sto metrów dalej mężczyzna sięgał po snajperski karabin.

- Mówiłem, że na miejscu eminencji nie cieszyłbym się na nasze kolejne spotkanie - mruknął Archanioł, kładąc palce na spuście i naprowadzając lupę na okrytą czerwoną piuską głowę Lienarta...

Potem ujrzałem inną Bestię, wychodzącą z ziemi: miała dwa rogi podobne do rogów Baranka, a mówiła jak Smok.

I całą władzę pierwszej Bestii przed nią wykonuje, i sprawia, że ziemia i jej mieszkańcy oddają pokłon pierwszej Bestii, której rana śmiertelna została uleczona. [...] I zwodzi mieszkańców ziemi znakami, które jej dano uczynić przed Bestią, mówiąc mieszkańcom ziemi, by wykonali obraz Bestii, która otrzymała cios mieczem, a ożyła. I dano jej, by duchem obdarzyła obraz Bestii, tak iż nawet przemówił

obraz Bestii, i by sprawił, że wszyscy zostaną zabici, którzy nie oddadzą pokłonu obrazowi Bestii. I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia - imienia Bestii lub liczby jej imienia. Tu jest potrzebna mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.*

" Apokalipsa Św. Jana, 13, 11-18